

# Dziki raj

Blake Jennifer



calibre 0.9.43

**JENNIFER BLAKE**

# DZIKI RAJ

## ROZDZIAŁ I

Zgromadzenie nie było liczne. Przy stole, przykrytym obrusem z flamandzkiego lnu,

upstrzonym okruchami i plamami po winie, puste krzesła wręcz rzucały się w oczy. Nic w

tym dziwnego, zważywszy na to, iż każdy dzień przynosił nowe plotki o niepokojach wśród

Indian. Wioska plemienia Natchezów znajdowała się niebezpiecznie blisko,

toteż niewielu

gości miało odwagę zaryzykować  
powrót pustą drogą o świcie, gdyby  
przyjęcie nieco się

przeciągnęło.

Elise Laffont także odczuwała niepokój.  
Zwykle nie bywała na tego rodzaju

impresach towarzyskich, jak to soiree\*[1](#)  
u komendanta, i dziś wieczorem też  
pewnie by nie

przyszła, gdyby nie przywiodła jej tutaj  
konieczność. Od śmierci męża - to  
znaczy przez

ostatnie trzy lata - utrzymywała się sama. Niektórzy uważali to za przejaw smutku i

skromności ze strony młodej wdowy. Prawda była taka, że Elise lubiła własne towarzystwo, a

poza tym zarządzanie majątkiem tak ją zajmowało, że frywolne rozrywki nie stanowiły dla

niej atrakcji.

Od szczytu stołu dobiegł ją głośny wybuch śmiechu.

Chepart, chichocząc z własnego dowcipu, nakazał stojącemu za jego

krzesłem

służącemu, aby napełnił kieliszki gości przednią maderą, która miała uświetnić deser. Blask

świec, płonących w kryształowym żyrandolu zwieszającym się z nieheblowanych krokwi,

połyskiwał na miodowobrazowych lokach Elise, przebijając się przez warstwę białego pudru.

Odwróciła głowę, by spojrzeć na gospodarza. Ciepły bursztyn jej oczu ochłódł, zastąpiony

wyrazem pogardy, który zniekształcił

delikatne rysy.

Dwa miejsca dalej madame Marie Doucet pochyliła się nad ramieniem męża, aby

pochwyć spojrzenie Elise. Jej pulchna twarz tchnęła zadowoleniem.

- Komendant świetnie się dzisiaj bawi, czyż nie? Prawdziwy z niego bon vivant.

- Przynajmniej on tak sądzi - rzekła Elise cicho.

- Co chciałaś przez to powiedzieć, chere? Chyba nie zrozumiałam.

Starsza kobieta musiała odznaczać się

kiedyś lalkowatą urodą i pamięć o tym  
sprawiła,

że zachowała kokieteryjne maniery i  
lekki, pośpieszny sposób 'wysławiania  
się, choć w jej

blond włosach zaczęły się już pojawiać  
siwe pasma. Była jednak dobrą  
przyjaciółką i

życzliwą sąsiadką. Mieszkała zaledwie  
pięćset metrów od domu Laffontów,  
toteż Elise

nauczyła się nie zwracać uwagi na  
pustotę madame Marie, wysoce sobie  
ceniąc jej



uprzejmość i dobre serce.

1\* Soiree (fr.) - tu: wieczorne przyjęcie

Teraz potrząsnęła tylko głową. - To nic takiego.

Komendant fortu Rosalie,  
przedstawiciel Jego Królewskiej Mości  
Ludwika XV

pośrodku głuszy zwanej Luizjana,  
zdecydowanie lubił dobre życie. Jest  
bardziej

rozpustnikiem i sybarytą niż bon  
vivantem, pomyślała Elise,  
wykrzywiając pogardliwie

delikatne, choć nieco zbyt szerokie usta. Chepart był oddanym przyjacielem jej męża. On i

Vincent Laffont nieraz upijali się do nieprzytomności. Opowiadali wtedy wulgarne historyjki

i zaśmiewali się z nich. Kiedy jej mąż raczył łaskawie utonąć, łowiąc ryby w Missisipi,

komendant przyszedł do niej, demonstracyjnie zatroskany i współczujący. Tak zatroskany, że

niemal wcisnął młodą wdowę w fotel i wsunął rękę pod stanik jej sukni, aby pogłaskać piersi.

Elise złapała sterczący z koszyczka drewniany drut do robótek i pokłuła nim natręta. A potem

zdjęła znad kominka muszkiet Vincenta i przegoniła komendanta poza granice swego

majątku. Kiedy sobie poszedł, zapłakała po raz pierwszy od śmierci męża, a były to łzy

gniewu i oburzenia, lecz także szczęścia: nigdy już nie będzie zależna od żadnego mężczyzny.

Dlatego tak bardzo denerwowało ją, że musi prosić komendanta o przysługę. Nie

miała ochoty korzystać z jego  
gościnności ani znosić towarzystwa  
tłustego głupca - lecz

będzie musiała, przynajmniej dopóki nie  
uzyska tego, co chce.

Powędrowała spojrzeniem po izbie, po  
mieniącym się kolorami tureckim  
dywanie pod

stopami, jedwabnych draperiach na  
zasłoniętych okiennicami oknach, w  
których nie było

szyb, przyjrzała się scenie pasterskiej  
Watteau, zawieszanej nad olbrzymich  
rozmiarów

kominkiem, w którym pulsowały ogniem czerwone węgle i dopalała się wielka kłoda.

Wszystkie te rzeczy wydawały się nie na miejscu w zwykłym, prostym domku

przeznaczonym dla komendanta fortu.

Zarówno wyszukana zastawa, jak i żałosna w tym

otoczeniu wspaniałość kryształowego żyrandola, a także pozostałych elementów

umeblowania, świadczyły o pretensjonalnej arogancji komendanta i jego ambicji. Chepart

uważał swój urząd za pierwszy krok w karierze, która miała go zaprowadzić choćby na dwór.

Tymczasem nie widział powodu, by odmawiać sobie luksusu, nie bacząc na to, jak jego

konszachty z agentami handlowymi wpływają na stan zaopatrzenia fortu, jego zdolności

obronne oraz poziom życia zamieszkujących go żołnierzy i oficerów.

Jakimi środkami powinna się posłużyć, by zmusić kogoś takiego do wysłuchania jej?

Nie miała pieniędzy na łapówkę i w ogóle nie brała pod uwagę zaoferowania towaru, który

najbardziej zainteresowałby starego rozpustnika: siebie samej. Jednak być może myli się,

przypuszczając, że komendant zażąda czegoś w zamian za przysługę, o którą chciała go

prosić. Nie było to nic wielkiego ani niezwykłego, choć dla niej znaczyło tak dużo. A

komendantowi z pewnością niczego nie ubędzie, jeżeli rozkaże więźniom odsiadującym karę

w areszcie, by zbudowali dla niej stodołę i zagrodę dla drobiu.

Mężczyźni nie byli niebezpieczni, przebywali w areszcie oskarżeni głównie o

niesubordynację. Komendant bowiem nie cieszył się autorytetem i zdawał sobie z tego

sprawę, toteż wszędzie węszył spisek. Wina uwięzionych oficerów polegała wyłącznie na

tym, iż uważali, że mądrze byłoby poczynić pewne przygotowania w związku z



nieuchronnym, jak sądzili, wybuchem indiańskiego powstania. Informacja na ten temat

nadeszła prosto z wioski Białe Jabłko, a przyniosła ją kobieta, która usłyszała o planowanym

powstaniu od Tatuowanego Ramienia, matki Wielkiego Słońca, wodza Natchezów.

Na Cheparcie nie zrobiło to wrażenia. Oznajmił, że francuscy oficerowie nie powinni

dawać się zwodzić swoim indiańskim dziewczkom i że z pewnością dobrze to na nich wpłynie,

jeżeli bat zedrze im skórę z pleców.  
Jakieś tam drobne plemię nie odważy  
się rzucić

wyzwania potędzie Francji. Czyż  
francuscy gubernatorzy Luizjany nie  
starali się zapewnić

sobie przyjaznych stosunków ze swoimi  
indiańskimi sojusznikami? Ci zaś byli  
niczym dzieci

w rękach ludzi inteligentnych i  
przebiegłych. A poza tym żaden  
indiański wódz nie ośmieli

się zaatakować, wiedząc, że przeciwko  
jego plemieniu zostanie skierowana cała  
francuska

armia, aby ukarać je za taką zdradę.

Zdaniem Elise, to właśnie z powodu nieskrywanej pogardy dla Indian i rażącego braku

umiejętności oceny sytuacji Cheparta ona musi co prędzej postawić stodołę i wybudować

zagrodę dla drobiu. To właśnie nieudolność komendanta wywołała niepokoje wśród

Natchezów, zamieniając ich w rabusiów, z niewątpliwą satysfakcją podkradających jej kury,

kaczki, wieprzki i cielęta. Natchezowie

nigdy nie szanowali prawa własności.  
Ostatnio jednak

ich złodziejskie wyprawy zaczęły mieć  
na celu nie tylko uzyskanie łupu, ale i  
dokuczenie

osadnikom. Z każdym dniem poczynali  
sobie coraz śmieiej.

Elise bezwiednie zwróciła swe  
bursztynowe oczy na korpulentną postać  
gospodarza.

Chepart podchwycił to spojrzenie i  
uniósł kieliszek. Z ledwie skrywanym  
pożądaniem

przyglądał się uważnie wysokiej

fryzurze Elise, dumnej linii jej szczęki i zdecydowanym,

opanowanym rysom owalnej twarzy. Uniósł dłoń i zakręcił na palcu loczek długiej, puszystej

peruki, śmiało zerkając na dekolt uszytej ze złotego brokatu sukni Elise, ze stanikiem

obejmującym delikatne wzniesienia jej piersi. Językiem przesunął po grubych wargach,

pozostawiając na nich wilgotny ślad.

Elise zacisnęła zęby, ale nie mogła powstrzymać dreszczu odrazy. Aby go

ukryć,

owinęła ramiona ciasno szalem, udając, że broni się przed chłodem.

- Czy pani zimno, droga madame Laffont?! - zawołał Chepart przez stół, klaskając na

służącego. - Nie możemy na to pozwolić.

Afrykański niewolnik, chłopiec jeszcze, przybiegł pędem na wezwanie. Komendant

gestem wskazał mu ogień i chłopiec podszedł szybko do paleniska. W tej samej chwili z głębi

domu wynurzyła się służąca z tacą ciast i kremów. Gwar rozmów ucichł, gdyż wszyscy

czekali, aż zostaną obsłużeni. W milczeniu przyglądali się, jak młody Murzyn podsycza ogień.

Jedyny dźwięk pochodził od rzucanych na żar kłód, które trzeszczały, zajmując się ogniem.

Płomienie skoczyły, sięgając w głąb komina i przeganiając z kątów cienie. Przez otwarte

drzwi poświata przeniknęła do przyległego pomieszczenia, rozświetlając mrok salonu, z

którego można było wyjść na zewnątrz domu.

Ciszę rozdarł przeraźliwy wrzask.

- Indianin! Przyszedł nas zamordować! - krzyczała madame Doucet, błyszczącymi z

przerażenia oczami wpatrując się w drzwi salonu i wskazując na coś drżącą dłonią.

Mężczyźni zerwali się z krzeseł, tocząc wokół dzikim wzrokiem. Kobiety pokrzykiwały cicho

i spłoszone przywarły do swoich mężów. Służąca wyrzuciła tacę w



powietrze i stała jak

skamieniała. Ciasta wylądowały na podłodze, wprost na jej stopach.

Chepart zaklął i

gwałtownym ruchem odstawił kieliszek, tak że jego zawartość rozlała się i pociekła po

obrusie strużką czerwoną niczym krew. Elise kurczowo zacisnęła palce na szalu i odwróciła

się w kierunku, który wskazywała madame Doucet.

Indianin w milczeniu ruszył w głąb pokoju, poruszając się z gracją dzikiego

zwierzęcia, wysoki jak wszyscy  
Natchezowie, wspaniały i nieskończenie  
dziki. Blask ognia

odbijał się od miedzianej skóry na jego  
umięśnionej, zupełnie pozbawionej  
owłosienia klatce

piersiowej i ginał w skomplikowanym  
wzorze tatuażu. Tatuaz stanowił  
świadcstwo, iż jego

właściciel pomyślnie przeszedł próbę  
odwagi i nie boi się bólu. Światło  
wydobyło z mroku

zdobioną paciorkami białą skórę  
mokasynów i opasującą biodra  
spódniczkę, zamigotało w

załamaniach miękkiej białej peleryny z łabędziego puchu. Łabędzie pióra posłużyły też do

uszycia ozdoby w kształcie diademu, zwyczajem wojowników z królewskiego rodu,

wywodzących się z kasty Słońca, noszonego na czubku głowy. Włosy poniżej diademu

związane były w ciasny, gęsty węzeł, który utrudniłby wrogowi zdjęcie skalpu, gdyby

posiadacza tych włosów zawiodły siła lub męstwo. Jednak linia włosów nad czołem nie

została sztucznie podniesiona, jak to było w zwyczaju Natchezów, a oczy przybysza, czujne,

o nieodgadnionym spojrzeniu, nie były czarne, lecz szare.

- Merde! - zaklął komendant z ulgą., -  
Toż to Reynaud Chavalier!

Strach, który trzymał w swoim uścisku mężczyzn, zamienił się w gniew. Z

zaciśniętymi ustami spoglądali przez chwilę jeden na drugiego, a potem zwrócili się w stronę

intruza. Kobiety wzdychały i rozmawiały cicho, podekscytowane.

Elise siedziała spokojnie i

zafascynowana wpatrywała się w Indianina. Zobaczyła, jak mężczyzna nazwany Chavalierem

sunie majestatycznie przez pokój, rozglądając się wokół z ledwie skrywaną pogardą. Jego

spojrzenie dotknęło jej, zatrzymało się na chwilę z niepokojącą aprobatą, a potem

powędrowało dalej, jak gdyby nie znalazło niczego interesującego.

Madame Doucet pochyliła się ku Elise nad pustym krzesłem swego męża.

- To ten mieszaniec - szepnęła przejęta.

- Wiem - odparła Elise.

I rzeczywiście wiedziała, jak wszyscy zresztą. Nigdy nie spotkała Reynauda

Chavaliera, lecz wiele o nim słyszała. Był synem Roberta Chavaliera, hrabiego de Combourg,

i Indianki z plemienia Natchezów, zwanej Tatuowane Ramię, a także bratem mężczyzny

znanego jako Wielkie Słońce. Do trzynastego roku życia wychowywali go Indianie, potem

zabrał go ze sobą ojciec, gdy wracał do kraju po zakończeniu służby w Luizjanie, i

wykształcił. Stary hrabia zmarł kilka lat temu, pozostawiając Reynaudowi znaczny majątek i

szmat ziemi po zachodniej stronie rzeki Missisipi. Reynaud pozostał we Francji jedynie do

chwili, gdy uporządkował sprawy ojca, to znaczy zapewnił bezpieczną przyszłość jego

francuskiej żonie i przekazał majątek oraz tytuł prawowitemu dziedzicowi.

Pięć lat temu powrócił, by zaszyć się w swoim majątku i pozbyć się płaszcza

cywilizacji równie łatwo, jak zrzucił jedwabne spodnie. Większość czasu spędzał w

posiadłości za rzeką, gdzie, jak głosiły plotki, zdarzało mu się podejmować w wielkim stylu

gubernatora i jego towarzystwo. Kiedy jednak Reynaud odwiedzał Główną Wioskę

Natchezów, pozostającą pod jurysdykcją komendanta fortu Rosalie, zawsze ubierał się w



indiański paradny strój.

Teraz zaś ze zniecierpliwieniem przyglądał się wlepionym w siebie przerażonym

spojrzeniom. Z pewnością niepotrzebnie zadawał sobie trud, lecz musiał zrobić to, po co

przyszedł. W końcu odwrócił się w stronę komendanta i skłonił głowę bez cienia służalczości.

- Życzę państwu miłego wieczoru.

- Co ma znaczyć to wtargnięcie? - wybuchnął Chepart, ale zaraz się opanował. Zerwał

z szyi chustkę i rzucił ją na stół.

- Prosiłem o posłuchanie, lecz powiedziano mi, że muszę czekać, aż znajdzie pan dla

mnie czas. Wiem, że w biurze jest pan zaprzątnięty sprawami niezwyklej wagi, toteż

pomyślałem sobie, że spotkamy się później, w czasie wolnym od nawału zajęć.

Choć słowa były gładkie, dźwięczała w nich nutka ironii. - Pomyślałeś raczej, że

przyłapiesz mnie w chwili, kiedy będę mniej skłonny wezwać strażę i

wpakować cię do

aresztu za zuchwalstwo! Rzeczywiście, odczuwam silną pokusę, żeby zawołać swoich ludzi.

- Proszę bardzo. Ufam jednak, że nie będzie pan rozczarowany, gdy się nie zjawią.

Chepart uchwycił się kurczowo blatu stołu, pochylił w przód i zapytał:

- Co zrobiłeś moim ludziom?

- Tylko ich rozbroiłem.

Mówił głosem głębokim i dźwięcznym. Gdyby zamknąć oczy, pomyślała Elise,

można by przypuszczać, że to mówi  
dworak albo arystokrata. Zapatrzyła się  
na srebrne opaski

obejmujące mięśnie jego ramion,  
świadoma dziwnego niepokoju, jaki w  
niej budził, i bardzo

z tego niezadowolona.

- Jak śmiałeś! - krzyknął Chepart  
oburzony.

Irytacja i gniew wzbierały w  
Reynaudzie, kiedy przyglądał się  
zażywnemu,

przekonanemu o własnej ważności  
głupcowi.

- To było konieczne. Musi mnie pan wysłuchać. Od tego zależy życie pańskich

podkomendnych, jak również ludzi powierzonych pańskiej opiece, także tych,

zgromadzonych dziś przy tym stole.

Chepart przez chwilę wpatrywał się w Reynauda, a potem opadł ciężko na krzesło.

- Puszczę mimo uszu tę zniewagę - wycedził - jeżeli nie będziesz usiłował przekonać

mnie, że plotki o rychłym ataku

Natchezów są prawdziwe.

- To nie plotki, lecz fakty.

- I ja mam w to uwierzyć? Tylko dlatego, że ty to mówisz? Jaki masz dowód?

- Mój brat, Wielkie Słońce, powiedział o tym matce.

A ona ze względu na pamięć mego ojca, którego kochała, nie chce, aby poląła się krew Francuzów. Przesłała już kilka ostrzeżeń, ale pan nie słuchał. Teraz wysłała mnie.

- Co czyni z ciebie zdrajcę, nieprawdaż?

- Byłbym też zdrajcą, gdybym pozwolił, by rodacy mego ojca zostali wyrżnięci.

Żywię jednak nadzieję, że Natchezowie odstąpią od ataku, kiedy spostrzegą, jak dobrze

przygotowani i wyposażeni są Francuzi.

- Nie wątpię, to przecież tchórze.

Reynaud Chavalier wpatrywał się w komendanta, aż przewyciężył chęć, by walnąć

pięścią w tę tłustą twarz.

- Nie są tchórzami, ale realistami, którzy nie widzą sensu w umieraniu na próżno.

- Nie będziemy się kłócić o słówka -  
powiedział komendant protekcjonalnie.

- To różnica, którą radziłbym dobrze  
zapamiętać, Chepart - powiedział  
Reynaud

spokojnie, choć ze śmiertelną powagą. -  
Ludzie mojej matki są dumni, a ty  
kazałeś niedawno

obnażyć i wychłostać wojownika,  
ponieważ popełnił drobne przewinienie,  
za które powinien

zostać ukarany przez wodza. Są też  
rzetelni, a ty pozostawiłeś na wolności  
żołnierza z fortu,



który zastrzelił starego człowieka tylko dlatego, że nie oddał w terminie miary ziarna.

Natchezowie władali tą ziemią od stuleci, a ty próbujesz wyrzucić ich z najstarszej wioski,

Białe Jabłko, ponieważ pragniesz zagarnąć dla siebie urodzajne ziemie wokół niej. To tylko

kilka spośród wydarzeń, które wystawiły na próbę ich cierpliwość. Przysięgli, że ruszą

przeciw tobie wraz z Yazoo, Czoktawami, Tiouxami, Tensasami i innymi. Termin został

ustalony, a do poszczególnych plemion wysłano pęk trzcin. Aż do dnia ataku z tego pęku

wyrzucać się będzie codziennie jedną trzcinę. Moja matka znalazła trzciny w Świątyni Słońca

i, wiele ryzykując, wyciągnęła kilka z nich. Dzięki temu atak tutaj nastąpi wcześniej niż gdzie

indziej i Francuzi zamieszkujący dolinę Missisipi zostaną ostrzeżeni. Jeżeli będziecie

przygotowani, skończy się na niczym. Jeśli nie, zostaniecie zmuszeni, by stawić czoło świętej

wojnie Natchezów, zwanej Krwawą Zemstą.

- Obawiam się, że muszę cię rozczarować, drogi Chavalier, ale nie podniosę alarmu.

Będziesz musiał mi wybaczyć - stwierdził komendant obłudnie. Jego czoło lśniło od potu.

- To nie mojego wybaczenia będziesz potrzebował, ale siedmiuset mężczyzn, kobiet i

dzieci, oddanych ci pod opiekę.

W ciepłe pokoju do nozdrzy Elise dobiegła woń dobrze wyprawionej

skóry i dymu z

ogniska, niedźwiedziego sadła  
zmieszanego z pachnącym zieleń  
spikanardu - środka

używanego przez Indian do impregnacji  
mokasynów - a także świeży powiew  
nocnego

powietrza. Kombinacja zapachów  
zdawała się unosić wokół mężczyzny,  
wzmacniając

otaczającą go aurę męskości i  
niewymuszonej siły. Odwróciła głowę,  
by uciec przed tym

zapachem.

Chepart walnął pięścią w stół.

- Powiniennem cię pojmać, skrępować i wychłostać, aby wbić ci do głowy respekt dla

tego urzędu!

- Zrób to - usłyszał natychmiastową ciętą odpowiedź. - Jeżeli sądzisz, że potrafisz.

Bezsilny gniew zabarwił purpurą policzki komendanta.

- Wynoś się! Wynoś się z mojego domu i nie wracaj! Wy, mieszkańcy, wszyscy

jesteście tacy sami: kłamliwe,

złodziejskie, przebiegłe sukinsyny, sto razy gorsze od każdego

Indianina!

- Rozumiem pańską frustrację, komendancie, ale nie może pan pozwolić, by gniew

pana zaślepił. Przekazałem ostrzeżenie i nic więcej nie mogę zrobić. Radzę wziąć je pod

uwagę.

Reynaud raz jeszcze skinął lekko głową w geście grzeczności, który nawet po części

nie odzwierciedlał pogardy, jaką odczuwał. Przesunął spojrzeniem po zgromadzonych wokół

stołu gościach: pobladyłych kobietach, a wśród nich tej pięknej, w złotej brokatowej sukni, o

twarzy osoby, która nie doświadcza gwałtownych uczuć lub nauczyła się nad nimi panować, i

po mężczyznach stojących w sztywnych pozach. Odwrócił się szybko na pięcie, powiewając

peleryną z łabędzich piór, i ruszył do drzwi.

Madame Doucet westchnęła głęboko,  
jakby uwolniona od zaklęcia. Zerknęła  
na Elise,

a potem szepnęła:

- Szlachetny dzikus.

- I brzydko pachnący - mruknęła Elise.

Reynaud Chavalier zamarł, odwrócił się  
i wbił w nią spojrzenie. Nigdy dotąd nie

widział tej kobiety, był o tym  
przekonany. Co więc wzbudziło jej  
wrogość? Nie był próżny,

jednak perfumowane uściski dam dworu,  
igraszki z indiańskimi dziewczętami,



nieskrępowanie zaspokajającymi swoje apetyty i niewinnymi niczym kocięta, a także

uwodzicielskie zabiegi starszych wdów przekonały go, że podoba się kobietom. Zaskoczenie i

gniew, jakie poczuł, były tak silne, że z trudem zachował obojętność. Częściowo

usprawiedliwiało go to, że atak nastąpił niespodziewanie: w końcu nie co dzień Francuzka

ośmiela się rzucić jedną z najgorszych obelg pod adresem Natcheza z rządzącej kasty Słońca.

Elise spostrzegła błysk gniewnego zainteresowania, widoczny przez chwilę w oczach

mieszkańca. Kiedy uświadomiła sobie, co zrobiła, jej twarz oblała się szkarłatem.

U

Natchezów ludzi z najniższej kasty, wykonujących najbrudniejsze prace, nazywano

Śmierdzielami, ona zaś obdarzyła tym mianem Reynauda Chavaliera.

Nie miała zamiaru go obrazić, a to, co powiedziała, nie było przeznaczone dla jego

uszu. Mimo to nie zaprze się swoich  
słów. Z bijącym mocno sercem  
wytrzymała jego

spojrzenie, unosząc obronnym gestem  
brodę.

Reynaud wpatrywał się w czysty owal  
jej twarzy, wrażliwe usta, nakrapiane  
rdzawymi

cętkami bursztynowe oczy, w których  
krył się cień lęku. Coś ścisnęło go w  
piersi i poczuł, jak

krwem zaczyna żywiej krążyć mu w  
żyłach. Dżentelmeni i wojownicy nie  
walczą z kobietami,

więc Reynaud raz jeszcze odwrócił się na pięcie i wymaszerował z pokoju.

Minę miał jednak

zachmurzoną.

Mimo iż Chavalier opuścił dom komendanta, dobry nastrój nie powrócił i goście

zaczęli się zbierać, tym bardziej że komendant wypadł z jadalni, przeklinając i odgrażając się

wartownikom. Jego goście, zaalarmowani, a jednocześnie niepewni, jak potraktować

ostrzeżenie mieszańca, rozmawiali

przyciszonymi głosami, naradzając się,  
co powinni zrobić,

jeżeli Chepart nie zechce podjąć  
żadnych działań. Tymczasem  
przyniesiono okrycia, toteż

kiedy gospodarz wrócił do jadalni, gęsto  
się tłumacząc i nie szczędząc zjadliwych  
komentarzy

pod adresem Chavaliera i Natchezów,  
oni akurat wychodzili. Oświadczył, że  
osobiście uda się

natychmiast do wioski, by zbadać  
sprawę, choć jest przekonany, że  
Indianie jak zwykle

powitają go i ugoszczą z radością. Nie ma potrzeby się niepokoić. Wielkie Słońce to człowiek

przebiegły: bez wątpienia rozpuszczanie plotek o rzekomym ataku miało zastraszyć

Francuzów i zapobiec przejęciu wioski. Ale nie wyjdzie im to na dobre, już on, Chepart, tego

dopilnuje.

Elise wyszła z Doucetami. Nie nadarzyła się okazja, by porozmawiać z Chepartem o

stodole, a zresztą brak opanowania i

grubiaństwo komendanta napełniły ją takim niesmakiem,

że wątpiła, czy zdoła go o cokolwiek poprosić.

Jednak nie zapomniała o celu swojej wizyty w forcie.

Następnego dnia wstała wczesnie rano, włożyła znoszony strój jeździecki w kolorze

myśliwskiej zieleni i zjadła w kuchni szybkie śniadanie, zlecając jednocześnie murzyńskiej

służącej zadania na ten dzień. Trzymając w dłoniach kapelusz z szerokim rondem,

pomaszerowała do szopy, która służyła jako stajnia i stodoła. Był tam już afrykański służący

do wszystkiego, Claude. Przez chwilę rozmawiała z nim o tym, że trzeba wywieźć nawóz z

szopy na pola, a potem pokazała mu miejsce, gdzie zamierza zbudować stodołę, i poleciała,

aby od razu zabrał się do wycinania krzaków i drzew. Obejrzelili też krowę, która miała ocielić

się pod koniec zimy, i przedyskutowali pomysł, by kupić za uzyskane od niej mleko i



zrobione z niego masło kilka  
karłowatych kurczaków z hodowli  
Doucetów.

Claude poszedł do stajni, by osiodłać  
klacz, a Elise z dumą rozejrzała się po  
zadbanym

obejściu i dobrze utrzymanych polach o  
powierzchni czterystu mórg. Ziemia to  
coś trwałego,

niezmiennego. Nigdy nie zdradzi cię ani  
nie zrani. To coś, co można kochać.

Było już dobrze po wschodzie słońca,  
prawdopodobnie około wpół do  
dziewiątej,

kiedy Elise dosiadła wreszcie klaczy.  
Jeżeli pojedzie prosto do fortu, być  
może uda jej się

złapać komendanta, nim zabarykaduje  
się w swoim biurze wewnątrz palisady.  
Chociaż

możliwe, że w ogóle nie będzie dzisiaj  
pracował, jako że była wigilia świętego  
Andrzeja.

Jutro święto, a wiele osób miało  
zwyczaj weselić się i odpoczywać od  
zajęć już w przeddzień.

Obrządki nie były uroczyste, zważywszy  
na to, iż w okolicy znajdował się  
zaledwie jeden

kościółek, w dodatku bez księdza.  
Duchowny odwiedzał ich od czasu do czasu, gdy

podróżował w dół albo w górę rzeki.

Droga z fortu do Głównej Wioski nad potokiem St. Catherine była błotnistym traktem,

z koleinami wyżłobionymi kołami francuskich podwód. Obok Indianie wydeptali wąską

ścieżkę. Na odcinku około dwóch i pół kilometra droga wiła się w górę i w dół pośród lasu o

gęstym poszyciu i obrośniętych bujnie

pnąciami drzewach. Tu i ówdzie przecinały ją ścieżki

prowadzące do mniejszych wiosek. Elise wjechała na otwarty teren, zajęty przez Francuzów.

Widać tu było zgrabne, porządne domy, zbudowane w indiańskim stylu zwanym maison de

poteaux en terre, „dom na palach osadzonych w ziemi”. Mocne, grube ściany, uszczelnione

bousillage - mieszaniną gliny i jeleniej sierści podtrzymywały strome dachy, osłaniające okna,

w których nie było szyb. Przed deszczem i wiatrem chroniły jedynie okiennice, zwane

contrevents. Podłogę tworzyła na ogół warstwa ubitej i udeptanej stopami ziemi. Wokół

domów rozpościerały się leżące teraz odłogiem pola. Na pastwiskach pasło się bydło i owce,

skubiąc resztki zielonej trawy, sterczącej pośród zbrązowiałej listopadowej roślinności.

Kiedy Elise znalazła się na trakcie, słońce stało już wysoko na niebie, śląc ku ziemi

jaskrawe promienie.

Jej farma leżała niemal dokładnie w połowie drogi pomiędzy fortem a wioską,

wyprawa nie była więc męcząca - ot, mała przejażdżka. Powietrze, choć rześkie, nie było

zimne, a szybki kłus rozgrzewał. Lekki wietrzyk buszował wśród drzew, zsyłając w dół istną

ulewę liści - złotych, szkarłatnych i brązowych. Ścieliły się na drodze niczym dywan,

szeleszcząc delikatnie pod kopytami

klaczy.

Elise zdążyła przebyć mniej więcej dwieście metrów, gdy usłyszała za sobą wołanie.

Obejrzała się i zobaczyła stojących na drodze Indian: było ich trzech, jeden z nich unosił

ramię w geście pozdrowienia. Poczowała niepokój, lecz odpędziła go. Nie było nic niezwykłego

w tym, że Indianie znajdowali się poza wioską. Handlowali regularnie z ludźmi z fortu i

często wymieniali na farmach

upolowaną zwierzynę czy złowione ryby  
na kurczęta i gęsi.

Dziś rano też ich widziała, jak mijali jej  
dom.

Ściągnęła wodze i zawróciła, by  
~potkać się z Indianami możliwie blisko  
domu.

Rozpoznała jednego z nich był nim mąż  
Przepióreczki, Indianki kupionej przez  
męża Elise,

który uczynił z niewolnicy swoją  
konkubinę. Obie kobiety zaprzyjaźniły  
się ze sobą, zamiast

zostać wrogami, a połączyła je



nienawiść do Vincenta Laffonta. Po śmierci męża Elise

uwolniła Indiankę i pozwoliła jej wrócić do wioski.

Mąż Przepióreczki był ciemnym, małomównym mężczyzną. Elise nie lubiła go i

często się zastanawiała, czy Przepióreczce jest teraz choć trochę lepiej niż wtedy, kiedy była

własnością Vincenta. Mąż przyjaciółki stał z tyłu, z ponurą miną. Jeden z mężczyzn ponowił

pozdrowienie.

Elise nauczyła się kilku indiańskich słów od Przepióreczki, w tym także w narzeczu

Czikasawów, tego lingua franca wszystkich plemion zamieszkujących brzegi Missisipi:

Czikasawów, Czoktawów, plemion Tensas, Tunicas, Yazoo, Natchitoches, Cad do, Quachita

i pół tuzina innych. Odwzajemniła ceremonialne pozdrowienie i zapytała, dokąd zmierzają.

Okazało się, że zmierzali właśnie do niej. Natchezowie planują wielkie polowanie,

wyjaśnili. Na pewno upolowaliby  
mnóstwo zwierzyny, kto wie, może  
nawet bizona, gdyby

mieli broń. Dlatego Wielkie Słońce  
wysłał ich, by zapytali, ilu strzelb  
mogłaby użyzyć na

ten szlachetny cel. W zamian obiecywali  
dać tyle mięsa, że wystarczy na całą  
zimę dla niej i

dwojga afrykańskich służących.

Propozycja była kusząca, zdawała się  
nie mieć nic wspólnego z wojną,  
przeciwnie -

stanowiła świadectwo rozsądku i

pokojowych zamiarów. Samotnej kobiecie trudno zdobyć

dziczyznę na stół. Nie chciała zabijać bydła, a drób już jej się znudził. Czasami wysyłała

Claude'a, aby coś upolował, jednak w pobliżu farmy trudno było o inną zwierzynę niż króliki

czy wiewiórki. Duże zwierzęta kryły się w głębi lasu.

Problem polegał na tym, że miała tylko jeden muszkiet i nie chciała się z nim

rozstawać, zwłaszcza że Indianie mogliby go nie oddać. Oczywiście,

otrzymałaby godziwą

rekompensatę w futrach, skórach i  
mięsie, ale to nie rozwiązywało  
problemu: gdyby zaszła

potrzeba, nie miałyby się czym bronić.  
Ta myśl przypominała jej wydarzenia  
wieczoru, o

których tak naprawdę ani na chwilę nie  
zapomniała.

Zmusiła się do uśmiechu.

- To wspaniały pomysł i życzę wam  
powodzenia. Jednak spieszę się teraz do

komendanta Cheparta. Może moglibyśmy

porozmawiać o tym, gdy wrócę.

- Ale, madame Laffont, do tego czasu może być za późno. Mężczyźni udający się na

polowanie mogliby już wyruszyć, ale nie wszyscy mają broń.

- Nie zamierzam zabawić w forcie zbyt długo. Tymczasem możecie zapytać pana

Douceta. Jeżeli nie da wam strzelb, wtedy wróćcie do mnie.

Starła się mówić spokojnie, chociaż ten, który z nią rozmawiał, wystąpił naprzód i z

miejsca, gdzie stał, łatwo mógł chwycić  
uzdę klaczy.

- Przyniesienie broni zajmie tylko  
chwilę.

- Ale ja nie mam nawet chwili - odparła,  
uśmiechając się oziębło. Ściągnęła  
wodze,

odwróciła klacz i wbiła obcasy w jej  
aksamitne boki. - Zobaczą się z wami,  
kiedy wrócę.

Mąż Przepióreczki wysunął się do  
przodu, jednak przywódca zatrzymał go

zdecydowanym ruchem dłoni.

Odjeżdżając, Elise czuła na plecach ich

spojrzenia. Nie było to

miłe uczucie. Jej dłonie drżały, gdy zaciskała kurczowo wodze, co niezbyt podobało się

klaczy. Opanowała się jakoś, choć z trudem.

Indianom na pewno nie w smak była jej odmowa. Uważali, że kobieta powinna mieć

mężczyznę, który by mówił w jej imieniu i trzymał ją w cuglach. Na swój sposób byli równie

okropni, jeśli nie gorsi, jak Francuzi z fortu Rosalie. Ponieważ była majątną



wdową, do tego

całkiem atrakcyjną, wielu kawalerów, zwłaszcza spośród oficerów, którzy musieli

utrzymywać się za niewielki żołd, w dodatku wypłacany z opóźnieniem, wmawiało jej, że

postąpi rozsądnie, przyjmując oświadczyzny. Przekonywali, że potrzebuje męża, by ją chronił,

wykonywał ciężkie prace i ogrzewał łóżko. Jest niemądra, skoro uważa, że potrafi żyć

samotnie. To niegodne kobiety, tak się

po prostu nie robi. Całowali ją po rękach, przynosili

kwiaty i nieustannie kręcili się po domu. Wzywali na pomoc przyjaciół Elise i każdą matronę,

którą udało im się przekonać. Nie dawali jej spokoju. Rezerwa i chłód Elise zdawały się

pobudzać ich zapały. Zdobycie jej uważali za wyzwanie i zakładali się ze sobą, który z nich

zostanie szczęśliwym wybrankiem. A kiedy zamknęła przed nimi drzwi, odmawiając

goszczenia nieżonatych mężczyzn,  
nazwali ją zimnokrwistą suką, lodowatą  
wdową, która

mrozi mężczyzn spojrzeniem.  
Przysięgali, że pożałuje, gdyż z  
pewnością nie zdoła utrzymać

się sama i skończy jako zgorzkniała  
wiedźma, z trudem wiążąca koniec z  
końcem,

mieszkająca w szopie, jedynie z kotem  
do towarzystwa.

Pokazała im. Udowodniła, że potrafi żyć  
sama, i to nieźle. Nie potrzebuje męża  
ani w

ogóle mężczyzny. A jeśli nawet jej serce jest zimne jak lód, co komu do tego? Im mniej

czujesz, tym mniej cierpisz - tyle wiedziała.

I nagle w niespokojne myśli Elise wdarł się obraz Reynauda Chavaliera. On także z

pewnością nie aprobował jej postępowania. Skrzywiła się na wspomnienie gafy, jaką

popęłniła. Przez całą noc przewracała się niespokojnie na sienniku, który trzeszczał przy

każdym ruchu. Zwykle nie popełniała takich błędów. Być może powinna była jakoś dać mu

do zrozumienia, że nie zamierzała go obrazić, jednak na samą myśl, że miałaby przeproszać

takiego hardego barbarzyńcę, robiło jej się niedobrze.

Jak postąpiłby Chavalier, gdyby Indianie poprosili go o pożyczenie broni? Bardzo

chciała znać odpowiedź na to pytanie.

Co prawda, nie podobała jej się arogancja, wyniosłość i

pewność siebie mieszańca, nie znaczyło

to jednak, że jego opinia nie była warta  
rozważenia.

Niestety, po wydarzeniach wieczoru  
wątpliwe było, czy zechciałby ją  
wyrazić - wszystko

jedno, wobec niej czy kogokolwiek  
spośród Francuzów zamieszkujących  
okolice fortu

Rosalie.

Teraz, kiedy miała okazję przyjrzeć się z  
bliska indiańskim wojownikom,  
przyszło jej

na myśl, że Chavalier nie wygląda tak  
jak oni. Był co prawda wysoki, o głowę

wyższy od

Cheparta, lecz jego włosy były bardziej miękkie i błyszczące, nie szorstkie i smoliście czarne

jak włosy jego matki. Miał ładny kształt głowy, nie spłaszczonej z tyłu jak u Indian

przywiązywanych w niemowlęctwie do specjalnej deski, którą ich matki mocowały sobie z

przodu ciała, by mieć swobodę ruchów przy wykonywaniu codziennych czynności. Rysy

Reynauda były delikatniejsze i bardziej

subtelne niż rysy jego indiańskich braci  
niewątpliwy

skutek francuskiego dziedzictwa.

A mimo to, nie wiedzieć czemu,  
wydawał się bardziej niebezpieczny.

Może z powodu

inteligencji błyszczącej w szarych  
oczach lub zaprawionej pogardą  
obojętności, z jaką przyjął

fakt, że jego ostrzeżenie zostało  
zlekceważone? Powinien okazać więcej  
troski o życie

francuskich kobiet i dzieci, które mogą  
zginąć, jeżeli Chepart nie potraktuje



poważnie swoich

obowiązków. Tymczasem wyglądało na to, że nie zamierzał tracić czasu na zastanawianie się,

jaki los spotka kobiety - w tym ją samą - jeśli powstanie wybuchnie. Nie, żeby potrzebowała

jego troski, co to, to nie.

Zmusiła się, by przestać myśleć o Reynaudzie. A niech go! To, że marnuje czas,

rozmyślając o nim, świadczyło, jak bardzo spotkanie z Indianami wyprowadziło ją z

równowagi. Lepiej będzie, jeśli  
zastanowi się, jak podejść Cheparta i  
skłonić go do udzielenia

jej pomocy.

Suche liście dębu zaszeleściły nad  
głową Elise, gdy przejeżdżała pod  
zwisającym

konarem. Dudniący odgłos kopyt klaczy  
wydawał się dziś szczególnie głośny.  
Elise rozejrzała

się wokół w jasnym świetle dnia,  
wędrując spojrzeniem ku górze. Na  
czystym błękitnym

niebie sęp zataczał powolne kręgi. To

był naprawdę sęp, nie jastrząb, i nagle  
cisza zaczęła

dźwięczeń Elise w uszach. Wszystkie  
ptaki umilkły, wiatr ustał i wydawało  
się, że jest sama

w wielkim lesie. Poczowała ukłucie  
strachu.

Nagle spomiędzy drzew dobiegł suchy  
trzask wystrzału. Uniosła się w  
strzemionach,

spoglądając przed siebie, w kierunku,  
skąd dobiegł odgłos. Klacz pod nią  
zatańczyła

niespokojnie. Nie wiedziała, kto

strzelał: mężczyzna polujący w lesie,  
farmer do lisa lub kuny

podkradającej mu kurczaki, czy był to  
znak dla pracujących w polu, by szybko  
wrócili do

domu. Przed nią leżała posiadłość  
Doucetów. Pan Doucet, drzeworytnik,  
który we Francji

trudnił się wyrobem matryc drukarskich,  
znany był z tego, że rano lubił sobie  
postrzelać, aby,

jak mawiał, doskonalić rękę.

Nagle usłyszała grzechot wielu  
wystrzałów, którym towarzyszyły krzyki,

nie

wiedziała - przerażenia czy triumfu.  
Dobiegały nie tylko z przodu, ale i z tyłu. Elise obracała

konia to w jedną, to w drugą stronę,  
nasłuchując niespokojnie, z oczami  
rozszerzonymi

strachem. A potem, podjąwszy decyzję,  
skierowała klacz w stronę farmy  
Doucetów.

Wkrótce jej oczom ukazały się  
zabudowania. Z glinianego komina  
unosił się w niebo

błękitny dym i przez chwilę Elise

wydawało się, że wszystko wygląda normalnie. A potem

zobaczyła ciało monsieur Douceta, rozciągnięte na schodach, i mastiffa, który miał pilnować

obejścia, a teraz leżał obok swego pana z futrem pokrytym krwią. Przez frontowe okno

wypłynęła chmura gęstego dymu. W drzwiach wejściowych ukazało się dwóch Indian

niosących odzież i żywność. Jeden z nich dźwigał na plecach wielką szynkę. Za nimi szedł

trzeci, popychając przed sobą płaczącą  
kobietę o zalanej krwią twarzy. Pod  
pachą zaś trzymał

chłopca, nadal ubranego w nocną  
koszulę. Elise rozpoznała córkę madame  
Doucet i jej

sześcioletniego wnuka.

Zamarła ze zgrozy i przez chwilę  
pozwoliła, by klacz dalej szła drogą, a  
potem,

zaczepnąwszy powietrza, aż zaboląły ją  
płuca, zawróciła konia, wbiła mu  
ostrogę w bok i

pognała z powrotem. Za sobą słyszała

nawoływania. Dostrzeżono ją. Nie obejrzała się,

pochyliła głowę i wyciągnięta nad grzbietem klaczy pogalopowała przed siebie. Nie

przejmowała się pościgiem. Rabusie, objuczeni zdobyczą, nie mogli jej dogonić, zwłaszcza że

najpierw musieliby dosiąść koni. Wszystkie obawy skierowała ku farmie. Pracowała tak

ciężko, starając się ją utrzymać, a teraz wszystko to, na czym jej zależało, znalazło się w



niebezpieczeństwie.

Nie mogło być wątpliwości. Pomimo ostrzeżeń zostali zaskoczeni. Atak, w który nikt

nie wierzył, nastąpił. I nie nadszedł o świcie, w bitewnym zgiełku, ale spokojnie, jako rezultat

podstępu, który miał doprowadzić do przekazania broni w ręce Indian, którzy uspokoili ich

gładkimi słówkami i obietnicą mięsa na zimę - zaiste, trik godny Francuzów.  
Natchezowie

powstali, by ich przepędzić, i zostawiali

za sobą śmierć.

## **ROZDZIAŁ II**

Po kilku minutach stała przed własnym domem i wpatrywała się w płomienie liżące

framugi okien i w gęstą chmurę dymu snującą się wokół budynku.

Afrykańskich służących

nigdzie nie było widać. Jeżeli znajdowali się wewnątrz domu, musieli być martwi, istniała

jednak możliwość, że zostali uprowadzeni - zależy w jakim humorze byli akurat Indianie. W

pobliżu szopy leżała cielna krowa, a  
raczej to, co z niej' zostało po  
pośpiesznym uboju. Wokół

wybiegu dla kurczaków fruwało pełno  
piór, zupełnie jakby drób został  
oskubany. Kiedy

siedziała nieruchomo w siodle,  
ogarnięta przerażeniem, zza domu  
wypadła gęś, rozpędziła się

i ciężko wzleciała, kierując się w stronę  
lasu.

Pomyślała o znajdujących się w domu  
zapasach, o puchowych pierzynach,  
pracowicie

tkanych pledach i wszystkich tych  
umilających życie przedmiotach, które w  
większości

wykonała własnymi rękami, a także o  
swoich nielicznych sukniach, uszytych z  
materiałów

sprowadzonych wielkim kosztem aż z  
Francji. Czy przypadły, zrabowane przez  
dzikusów?

Czy nie da się ocalić choć części  
dobytku?

Nerwy miała napięte jak postronki i  
wystarczyłby najmniejszy ruch czy hałas,  
aby

zaczęła krzyczeć. Jak dobrze, że ma pod sobą ciepły i mocny koński grzbiet! To pomagało,

podobnie jak konieczność opanowania zdenerwowanej klaczy, choć zapach dymu i śmierci

mocno przeszkadzał jej w tym zadaniu.

Pomyślała z roztargnieniem o Indianach, którzy zaczepili ją na drodze. Dlaczego nie

zaatakowali już wtedy? Stanowiła łatwą zdobycz dla wojowników - tyle że ona siedziała na

koni, a oni nie.

Strzał, który usłyszała w lesie, był zapewne sygnałem, na który czekali. Jak niewiele

brakowało!

Z wiatrem dobiegły odgłosy strzelaniny i słabe krzyki. Naokoło, gdziekolwiek

spojrzała, widziała unoszący się nad wierzchołkami drzew dym. To był skoncentrowany atak,

nie pojedynczy wypad. Mężczyźni w forcie będą walczyli, jeśli zdążą dopaść broni, ale jak

długo zdołają się utrzymać? Natchezów było ponad dwa tysiące, w tym około

siedmiuset

pięćdziesięciu doświadczonych wojowników, Francuzów zaś nie więcej niż siedmiuset, z

czego zaledwie połowa zdolna do noszenia broni. Nawet jeżeli wszyscy zdolni do walki dotrą

na czas do fortu, co wydawało się mało prawdopodobne, i tak przeciwnik pozostanie dwa

razy liczniejszy. Jeśli dodać do tego element zaskoczenia, zanosіło się na masakrę.

Łzy gniewu i przerażenia napłynęły

Elise do oczu, a potem poczuła, jak  
rodzi się w

niej gorycz. Dlaczego zlekceważono  
ostrzeżenia! Niecierpliwie otarła dłonią  
twarz. Płacz na

nic się nie zda. Coś trzeba zrobić. Nie  
wolno tkwić pośrodku drogi do fortu,  
kiedy w każdej

chwili zza zakrętu może wyłonić się  
kolejna grupa wojowników. Nigdzie nie  
było

bezpiecznie - ani w forcie, ani u żadnego  
spośród francuskich sąsiadów.

Pozostawały jedynie



lasy.

Rzuciła pożegnalne spojrzenie na dom i zsunęła się z siodła. Klacz była nieduża, Elise

kupiła ją od Hiszpanów i nie chciała się z nią rozstawać, ale nie miała wyboru: puściła luźno

wodze i mocno klepnęła ją w zad. Klacz pogalopowała drogą. Koń na nic się nie przyda w

gęstym lesie, wysoki kapelusz z szerokim rondem także będzie jej tylko przeszkadzał. Zdjęła

go i rzuciła tak blisko domu, jak zdołała,

a potem uniosła spódnice i pobiegła w stronę lasu po

przeciwnej stronie drogi.

Pomiędzy drzewami panował chłód i było wilgotno.

Elise starała się stąpać wyłącznie po zbitych liściach i wykrzywionych korzeniach, by

pozostawić za sobą jak najmniej śladów. Omijała krzaki dzikiej róży i zwisające gałązki

kolcowoju, które mogłyby poszarpać jej suknię i wskazać drogę każdemu, kto zechciałby

pójść jej tropem.

Nie zawsze było to możliwe. Spadające liście wplątywały się we włosy i przywierały

do twarzy. Na dłoniach i przegubach pojawiły się czerwone i piekące zadrapania. Wdepnęła

w dziurę i czarna, cuchnąca woda zmoczyła jej but i pończochę. Oddech świszczął w piersi, a

w płucach i w boku odczuwała dolegliwe kłucie. Każdy krok był torturą, mimo to szła dalej.

W końcu trafiła na okazałe drzewko

magnolii. Jego wiecznie zielone liście  
były gęste,

ciemnozielone i błyszczące z wierzchu,  
a rdzawe od spodu. Masywne  
poskręcane konary

opadały ku ziemi, tworząc  
nieprzeniknioną ścianę. To było  
schronienie. Elise pochyliła się i

przeszła pod gałęziami, pod wolną  
przestrzeń koło pnia. Opadła na ziemię,  
wsparłszy plecy o

szorstką korę. Podciągnęła kolana i  
objęła je ramionami. Przez dłuższą  
chwilę siedziała

nieruchomo, wsłuchując się w ciszę. W końcu oparła głowę na kolanach i zamknęła oczy.

Minęło pół godziny, a może znacznie więcej, gdy do jej uszu dobiegł odgłos kroków.

Zamarła, po czym uniosła głowę i oddychała głęboko niczym zwierzę, które wietrzy

niebezpieczeństwo. Uklęka i rozsunała liście, by zerknąć w kierunku nadchodzącego. Z

początku zobaczyła tylko poruszający się niepewnie kształt, który wkrótce przybrał postać

szczupłego, niewysokiego mężczyzny.  
Nie miał na sobie nic oprócz splamionej  
krwią koszuli

i bryczesów. Jego twarz była blada, a  
spojrzenie nieprzytomne. Elise niemal  
natychmiast

rozpoznała w nim nastoletniego  
terminatora u bednarza, sąsiada  
Doucetów.

- Henri! - zawołała półgłosem. - Tutaj,  
Henri!

Nie usłyszał. Zawołała więc jeszcze raz,  
a potem wstała, rozsunęła gałęzie i

pomachała do niego.

Zatrzymał się tak gwałtownie, że upadł,  
zaraz jednak podniósł się i na  
czworakach

poczołgał ku niej po uschłych liściach,  
które trzeszczały niczym strzały z  
muszkietu.

Pochyliła się i pomogła mu wejść do  
kryjówki. Chłopak upadł tuż obok niej,  
drżąc na całym

ciele.

- Jesteś ranny? - spytała cicho.

- To tylko draśnięcie.

Trudno było go zrozumieć - zszokowany

trząsał się i szcząkał zębami.

- Jesteś pewny?

Pokiwał zdecydowanie głową.

- B - byłem w u - u - u - bikacji. Indianie wymordowali wszystkich: monsieur,

madame i trójkę maleństw. Znaleźli wino i koniak, inaczej mnie też by zabili.

W końcu powoli wydobyła z niego, co się wydarzyło.

Chłopak skrył się w ubikacji i przez szpary w deskach widział, jak Indianie mordowali



pracodawcę i jego rodzinę. Posiekali ich na kawałki, a dom podpalili. Potem wynieśli na

zewnątrz żywność i trunki i urządzili sobie ucztę. Iskry z płonącego budynku przeniosły się

na dach ubikacji i Renri musiał opuścić schronienie. Indianie strzelali do niego, jednak byli

tak pijani, że kula zaledwie go drasnęła, a im nie chciało się go szukać.

Elise uspokajała chłopca, jak tylko mogła, namawiając, aby pozwolił jej obejrzeć ranę.

Rzeczywiście, nie była poważna, jednak on nadal się trząsł. W końcu opanował się na tyle, że

mógł usiąść, objąwszy ramionami kolana. Wtem usłyszeli kobiety płacz, cichy i zduszony,

jakby płakało niemowlę, mimo to miał w sobie ów bezbrzeżny smutek, jaki można usłyszeć

tylko w głosie szlochającej kobiety. Renri spojrział na Elise~ a w jego spojrzeniu czaił się

strach, obawa, że płacz jest tylko sztuczką, mającą na celu wywabienie ich z kryjówki.

Kobieta mogła też przyprowadzić za sobą Indian. Nietrudno było się domyślić, co czuje

Renri, ponieważ ona odczuwała to samo, rozdarta pomiędzy koniecznością uciszenia kobiety

za wszelką cenę a współczuciem, które nakazywało jej, by udzieliła nieszczęsnej

natychmiastowej pomocy.

W końcu zwyciężyła kombinacja obu tych impulsów.

Wiedziona zarówno troską, jak i gniewem, Elise wyczołgała się spod

magnolii.

Wstała, przez chwilę zbierała się na odwagę, lecz nim zdążyła choćby drgnąć, Renri był już

obok niej.

- Zostań - powiedziała szorstko.

- Nie mogę, nie sam.

- Nic nie możesz zrobić.

- N - n - nie wiadomo.

Choć przestał szczękać zębami, nadal miał trudności z mówieniem.

- Tu będziesz bezpieczniejszy -  
zauważyła rozsądnie, co było  
zadziwiające,

zważywszy na stan jej nerwów.

- Nie o - o - obchodzi mnie to.

Nie mogła go zmusić. Kiwnęła więc  
tylko głową i ruszyła w stronę, z której  
dobiegał

szloch.

Wpadli na kobietę niespodziewanie, w  
miejscu, gdzie Elise zupełnie się jej nie  
spodziewała. Zaledwie pomyślała, że  
płacząca kobieta zabłądziła, rozpoznała

ją. Pod dziko

splątanymi włosami kryła się twarz nagle postarzałej madame Doucet.

- Elise! - załkała przeraźliwie i rzuciła się sąsiadce w ramiona. Nie była bardziej

zaskoczona, niż gdyby Elise nagle weszła do jej salonu, kiedy opłakiwano tam kogoś

bliskiego.

Elise tuliła ją i głaskała po plecach, pomrukując uspokajająco, jednak szloch nie

ustawał. Zapomniała o Renrim, dopóki nie poczuła, jak ściska jej ramię i nie usłyszała

zduszonego okrzyku radości. Podniosła wzrok i zobaczyła przedzierających się w ich stronę

dwóch Francuzów. J eden trzymał muszkiet, drugi podpierał się kosturem i ciągnął za sobą

nogę, której kostka paskudnie spuchła. Prawdopodobnie kończyna była zwichnięta, a może

nawet złamana.

- Ucisz ją - rzucił jeden z mężczyzn

gwałtownie - albo zrobią to  
Natchezowie. I to na

dobre.

- Jest wstrząśnięta. - Elise podniosła  
głos tylko na tyle; by można było ją  
usłyszeć.

- Potrzebuje solidnego policzka, ot co.  
Proszę ją tu podprowadzić.

Elise widywała obu nowo przybyłych w  
forcie, a że społeczność francuska nie  
była

wielka, znała ich też ze słyszenia.  
Mężczyzną opierającym się na  
prowizorycznej kuli był



Jean - Paul St. Amant, przystojny kawaler dobiegający trzydziestki, którego urodę

podkreślało tęskne spojrzenie ciemnych oczu. Przyjechał nad Missisipi, by poznać tę część

kraju i został kimś w rodzaju zarządcy rodzinnych posiadłości. W tak oczywisty sposób nie

nadawał się do życia w głuszy, że wszyscy dziwili się, dlaczego nie wraca do Nowego

Orleanu, gdzie rodzinne powiązania mogły zapewnić mu lepszy start. Drugim mężczyzną był

niejaki Pascal, kupiec i przyjaciel  
Cheparta. Jak głosiły plotki,  
zaopatrywał on fort na mocy

szczególnie korzystnej dla obu stron  
umowy zawartej z komendantem. Jego  
krępe ciało i

aroganckie maniery tak bardzo  
przypominały Elise zmarłego męża, że  
unikała Pascala, jak

tylko mogła.

Teraz także nie spodobało jej się  
grubiaństwo i nieczułość kupca. Objęła  
mocniej

madame Doucet i odwróciła się bokiem

do mężczyzn.

- Za kilka minut na pewno się uspokoi.

- Nie mamy kilku minut.

- Zdaję sobie z tego sprawę równie dobrze jak pan, monsieur, ale nie widzę powodu,

by zachowywać się okrutnie.

Pascal chwycił starszą kobietę, wyrwał ją z objęć Elise i gwałtownie odwrócił.

Podniósł dłoń, gotując się do ciosu, który jednakże nie nastąpił. Madame Doucet, zdjęta

grozą, z oczami szeroko otwartymi i tak jasnoniebieskimi, że zdawały się pozbawione koloru,

wpatrywała się w coś, co znajdowało się za plecami Pascala. Po chwili zachwiała się i padła

zemdlna.

- Wygląda na to - zza krzaków dobiegł ich głęboki głos z nutką kpiny - że problem

został rozwiązany.

Renri zaczerpnął głęboko powietrza, lecz nie poruszył się. Kupiec zaklął i uniósł

muszkiet. Elise odwróciła głowę i zobaczyła wysokiego mężczyznę o miedzianej skórze,

ubranego w białą skórzaną spódniczkę i pelerynę. Rzuciła się ku Pascalowi i podbiła lufę

strzelby. Kupiec zaklął, lecz huk wystrzału nie wstrząsnął leśną głuszą. Widocznie on też

rozpoznał przybysza na tyle wcześnie, aby powstrzymać się przed pociągnięciem za spust.

Opuścił broń.

- Mało brakowało, a byłbym cię zabił,

Chavalier burknął.

- Skoro tak twierdzisz.

Elise zauważyła pełne gracji pochylenie głowy, towarzyszące słowom, w których

przebijała gorycz i jakby zdumienie.

Jeszcze bardziej zdziwiło ją, że tak bez namysłu rzuciła

się, by uniemożliwić Pascalowi zranienie mieszańca. Zrobiłam to wyłącznie dlatego, że strzał

mógł ściągnąć Indian, przekonywała samą siebie, a Reynaud Chavalier być może zdoła nas

ocalić.

- Co cię tu sprowadza? - dopytywał się kupiec. - Czy uszkodziłeś sobie ramię, że nie

możesz skalpować, a może zdegustował cię morderczy trud twoich współbraci?

- Szedłem za tą damą.

Reynaud spojrział na kobietę leżącą u ich stóp. Jeżeli pomyślał, że to o nią mu chodziło,

nie wyprowadzi ich z błędu. Prawda była jednak taka, że to za wdową Laffont się uganiał,

odkąd znalazł w błocie przed płonącym domem jej kapelusz. Jego widok sprawił, że ścisnęło

mu się serce. Przez chwilę miał ochotę zabić swego brata, Wielkie Słońce, za to, że nie

uprzedził go, kiedy nastąpi atak, pozwalając mu spać spokojnie, gdy wojownicy wyprawiali

się o świcie, aby dokonać masakry. A potem przyszło mu na myśl, że Wielkie Słońce być

może nie wiedział więcej niż on. Od władcy rządzącego plemieniem z woli bogów nie



oczekiwano, że będzie brał udział w planowaniu wojen ani dowodził wojownikami. To

należało do drugiego najwyższego rangą mężczyzny w plemieniu, ich wuja, Tatuowanego

Węża - wodza czasu wojny.

- Po co?

To było dobre pytanie. Reynaud zerknął na twarz młodej Francuzki, która przyklęła i

położyła głowę madame Doucet na swym podołku. Choć na policzkach miała ślady łez, była

opanowana. Wyglądała na śmiertelnie zmęczoną, a w jej oczach czaił się strach. Dałby wiele,

aby usunąć ten lęk. W tym momencie kobieta uniosła rzęsy i spojrzała na niego z taką

nienawiścią, że Reynaud poczuł, jak mięśnie jego brzucha napinają się, jakby w oczekiwaniu

na cios.

- Aby zapewnić jej bezpieczeństwo - powiedział powoli.

- Mógłbyś to zrobić? - zapytał mężczyzna z kulą. Nadzieja sprawiła, że

głos mu się

załamał.

- To możliwe.

- Jak? - zapytał kupiec, wykrzywiając szyderczo wargi. - Zabierając ją do wioski jako

swoją niewolnicę?

- Jest inny sposób.

W głosie mieszkańca było coś takiego, że w głębi serca Elise zbudził się niepokój.

A

może sprawiła to uporczywość, z jaką

spojrzenie Reynauda powracało do niej, oceniające i

beznamiętne. Jednak odpoczywając pod magnolią, zdążyła zastanowić się nad swoim

położeniem. Przełknęła ślinę i odezwała się:

- Gdybyśmy wiedzieli, jak wygląda sytuacja w forcie, czy ktoś jeszcze się broni,

moglibyśmy spróbować się tam przedostać.

- Fort padł. - St. Amant poruszył się niespokojnie, wsparty na kuli. - A

właściwie w

ogóle nie był broniony.

Chepart nie żyje. Widziałem jak zginął, pocięty na kawałki we własnym ogrodzie.

Zaczerpnęła gwałtownie powietrza, uświadamiając sobie, co oznaczają te słowa. Jeżeli

fort został zdobyty, to wszystko stracone. Jednak nie mieli czasu, by się nad tym zastanawiać.

- Musimy uciekać. Jeżeli zdobędziemy Łódź, możemy popłynąć do Nowego Orleanu,

zaalarmować wojsko.

Reynaud potrząsnął głową.

- Rzeka będzie strzeżona, wszędzie zostaną umieszczone posterunki. Mało

prawdopodobne, żebyście zdołali się przedostać. Z sześciu mężczyzn, którzy dotarli do rzeki

zaraz po ataku, czterech zostało zabitych, a pozostali zapewne wkrótce zostaną schwytani.

Elise spojrzała na swoich towarzyszy. Ze ściągniętymi, pobladłymi twarzami

wpatrywali się w Reynauda Chavaliera,

jakby tylko on mógł ich ocalić.

- Wspomniał pan, że jest inne wyjście - zasugerował St. Amant.

- Najbliższe bezpieczne dla was miejsce to fort przy Poste de la Saint Jean Baptiste.

Mogę was tam doprowadzić.

Zwykle podróżowało się w te okolice, położone pośrodku terytorium Indian

Natchitoches, płynąc Missisipi do miejsca, w którym łączyła się ona z rzeką Red, a potem w

górze, aż do francuskiego posterunku.

- Lecz skoro nie możemy płynąć rzeką ..

- Moglibyśmy przeprowić się o zmroku,  
a potem poruszać się lądem, korzystając  
z

indiańskich szlaków. To o wiele mniej  
niebezpieczne, niż płynąć rzeką, kiedy  
na obu

brzegach czyhają wrogie oddziały.

- Tak - przerwał mu szorstko kupiec. -  
Słyszałem co nieco o tych szlakach. Są

niebezpieczne, długie i trudne do  
przebycia.

- Wygląda na to, że nie mamy wyboru. -



St. Amant spojrział na Reynauda, ten jednak

milczał, choć odwzajemnił spojrzenie.

Kupiec przytaknął energicznie.

Rozstawił szeroko nogi i oparł ręce na biodrach.

- Jaka jest twoja cena, mieszańcu?

Aż do tej chwili Reynaudowi nawet nie przeszło przez myśl, by ciągnąć korzyści z

trudnej sytuacji, w jakiej znaleźli się Francuzi. Mógłby na to przysiąc. Teraz coś w tonie

mężczyzny podrażniło jego nerwy  
niczym nóż wbity w bok bizona,  
mieszając się ze

wspomnieniem pełnego nienawiści  
spojrzenia, jakim obrzuciła go wdowa  
Laffont. Poczul

gniew. To, że mogli go obrażać w  
chwili, gdy oferował im pomoc, było już  
dostatecznie

paskudne, lecz to, że okazywali mu  
wzgardę tak wyraźnie, świadczyło, że są  
aroganckimi

bigotami, niewdzięcznikami, nawet w  
obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa  
niezdolnymi

wyrzec się swoich uprzedzeń. Z pewnością przyda im się lekcja pokory.

Mimo to wahał się przez chwilę, pozwalając, by pomysł dojrzał w jego umyśle. Nie

wiedział, czy idea ta narodziła się wyłącznie z chęci zemsty, czy też w grę wchodziła potrzeba

udowodnienia tym ludziom, jak bardzo są od niego zależni. A może chodziło o coś jeszcze -

coś, czego nie potrafił nazwać. Ale czy miało to znaczenie? Pokusa była zbyt silna, by jej się

oprzeć.

- Nie podam żadnej ceny - powiedział powoli. Wszystko, czego żądam, to normalna

obsługa.

- Nie sądzę, żebym rozumiał.

Kupiec, który mianował się ich rzecznikiem, spoglądał czujnie to na Reynauda, to na

pozostałych.

- W plemieniu Natchezów panuje zwyczaj, że mężczyźnie przydziela się kobietę, by

dbała o jego potrzeby: gotowała, uzupełniała zapasy żywności i ogrzewała mu łożę w zimne

noce - zarówno w wiosce, „jak i podczas długiego polowania.

- Chcesz powiedzieć, że mamy przydzielić ci kobietę? Francuzkę?

- A co w tym dziwnego? - Reynaud uniósł brwi w wyrazie grzecznego zdziwienia. -

Jest tu jedna, która by mi odpowiadała: wdowa. Z pewnością wie, jak obchodzić się z

mężczyzną.

- Ty łajdaku!

- Czy to zbyt wysoka cena za wasze życie? - zapytał Reynaud miękko.

Elise wpatrywała się Reynauda, czując, jak krew odpływa jej z twarzy. Madame

Doucet poruszyła się i cicho jęknęła, lecz ona nie zwróciła na to uwagi.

Przenikliwie zimno

ścisnęło ją za serce i rozeszło się po całym ciele. Czowała, że ledwo może oddychać. Jej usta

sformułowały jedno słowo: „Nie”.

Reynaud spodziewał się

natychmiastowego sprzeciwu i był  
przygotowany na

wysłuchanie pełnego żaru apelu. Gdyby  
zwróciła się do niego jak do  
kulturalnego,

cywilizowanego człowieka, byłby  
zrezygnował ze swoich żądań i jeszcze  
ją przeprosił.

Jednak kiedy zobaczył, jak przerażenie  
zmienia jej twarz w maskę, umocnił się  
w swoim

zamyśle. Skoro ona i tak uważa go za  
dzikusa, będzie zachowywać się jak  
dzikus.

- Jak rozumiem, pani nie uważa tej ceny za nazbyt wysoką, madame Laffont? -

zapytał, a w jego głosie pobrzmiewała ironia. - Jak to wspaniałomyślnie.

Przyjmuję pani

poświęcenie.

- Nie! - krzyknęła.

- Proszę zaczekać, nie wolno nam decydować pośpiesznie - powiedział kupiec

uspokajająco. Jego głos, służalczy w tonie, brzmiał tak, jakby Pascal uważał, iż rozmawia z



kobietą, która osiągnęła kres  
wytrzymałości nerwowej i lepiej nie  
niepokoić jej ponad miarę.

St. Amant, poblady, spojrzął na nią, a  
potem odwrócił wzrok i dodał:

- To kwestia życia ... lub śmierci.

- To ohydne - oświadczył Henri, stając  
obok Elise, jakby chciał ją ochronić.

Spojrzął

na Reynauda. - To, co pan sugeruje,  
przerasta wszelkie wyobrażenie!

Rzeczywiście, Reynaud zgadzał się z  
nim. Mimo to, kiedy patrzył na Elise  
Laffont,

czuł dziwny ucisk w piersi, przemożną potrzebę, by wziąć ją w ramiona i trzymać, dopóki

odraza na jej twarzy nie ustąpiłaby miejsca słodkiej uległości. Pragnął jej, i to od chwili, gdy

ich spojrzenia skrzyżowały się ponad stołem w domu komendanta. Już wtedy sprawiła, że

stracił nad sobą panowanie.

- Może to sugerować - powiedziała Elise zjadliwym tonem - ponieważ jest potworem,

nikczemnym kundlem, gorszym niż

Natchezowie, którzy przynajmniej  
kierują się słusznym

gniewem.

Reynaud uniósł wyżej głowę, a rysy jego  
twarzy stwardniały.

- Potworem zdolnym zostawić was,  
abyście posmakowali tego gniewu,  
jeżeli taka jest

wasza wola.

- Więc zostaw mnie, lecz zabierz resztę!

- Jak mógłbym to zrobić? - zapytał  
miętko. - Madame Marie to zacna  
kobieta, lecz nie

umywa się do pani ... pod pewnym  
względem.

Elise zacisnęła dłonie na ramieniu  
madame Doucet.

Starsza kobieta jęknęła i potoczyła  
wokół nieprzytomnym spojrzeniem. W  
życiu Elise

bywały już chwile, gdy desperacko  
pragnęła zastrzelić mężczyznę, lecz  
żadna nie mogła

równać się z tą.

Kupiec postąpił krok do przodu.

- Pójdzie z nami i z pewnością okaże się

rozsądna, ręczę za to.

Reynaud spojrział na kupca, a w jego spojrzeniu było tyle groźby, że Pascal czym

prędzej się cofnął.

- Nie chcę niechętniej mi kobiety ani uszkodzonej.

- Myślisz, że moglibyśmy ...

- Nie wiem. Mogę tylko przypuszczać, że oceniacie mnie według siebie.

- Jestem pewien, że madame Laffont okaże rozsądek.

- Być może. Muszę poczynić pewne przygotowania. Wrócę o zmierzchu i wtedy dacie

mi odpowiedź.

Reynaud spojrzał na Elise klęczącą u jego stóp. Jego twarz była bez wyrazu. Obrócił

się na pięcie i szybkim krokiem odszedł. Wkrótce zniknął w lesie.

W ciągu następnych kilku godzin Pascal nie przestawał jej namawiać, by się zgodziła.

Głosem ochrypłym z wysiłku, aby nie krzyczeć ani nie mówić zbyt głośno,

przekonywał ją,

że jest niemądra, a to, o co ją proszą, to  
nic wielkiego, zaledwie drobne,  
trwające kilka dni

nieprzyjemności, które wkrótce się  
skończą. Kiedy zaczynał zbyt się  
podniecać, St. Amant

uspokajał go. Przewyciężywszy  
skrupuły, zapewniał ją, że dopilnuje, aby  
nic złego się jej nie

stało - jeżeli tego właśnie się obawia.  
Podkreślał też, że choć decyzja należy  
do niej, nie

wolno jej zapominać, iż ma w swoich

rękach życie czworga ludzi.

Nie chodzi mu o niego, mówił, lecz jedna z tych osób jest kobietą jak ona, a druga to

młody chłopiec. Nie powinna pozwolić, by duma i strach skłoniły ją do podjęcia decyzji,

której potem będzie żałować.

Elise była na tyle realistką, by zdać sobie sprawę, że obaj mężczyźni na swój sposób

mają rację. Mimo to nie potrafiła przewyciężyć odrazy. A kiedy do zmierzchu pozostało



niewiele czasu, a madame Doucet do argumentów mężczyzn dodała własne łzawe błagania,

zrozpaczona Elise poczuła, że właściwie nie ma wyboru.

Jednak to nie prośby współtowarzyszy, ale dobiegający z oddali śwąd, dźwięk

bębnow, trzciniowych piszczałek i pijackich okrzyków Indian skłoniły ją do wyrażenia zgody.

Nie mogło być wątpliwości: Indianie zwyciężali, a większość Francuzów, jeśli nie wszyscy,

została wyrznięta. Nie mogli zdobyć

wody i żywności, nie ryzykując, że zostaną odkryci.

Każda chwila spędzona w tym miejscu zwiększała ryzyko, że natkną się na nich, choćby

przypadkiem, jakaś grupka wojowników. Gdyby tak się stało, oznaczałoby to poprzedzoną

torturami śmierć dla mężczyzn, a dla niej i madame Doucet - w najlepszym razie niewolę.

Musieli uciekać, a jedynym sposobem, by tego dokonać, było uzyskanie pomocy Reynauda

Chavaliera. Dopóki nie widziała go w pobliżu, dopóty nie myślała, co będzie musiała zrobić,

aby zapewnić im tę pomoc, potrafiła przekonać samą siebie, że zdoła się zmusić, by

zaspokoić jego potrzeby. W końcu nie może to być gorsze niż alternatywa, prawda?

Gdy wreszcie wyraziła zgodę, pozostawiono ją w spokoju, samą z obawami i

wspomnieniami. Nie miała ochoty myśleć o Vincencie Laffoncie ani teraz, ani nigdy. Już

lepiej wspominać dzieciństwo we Francji, ojca i dom rodzinny przy Quai Malaquais.

Matka Elise zmarła, kiedy dziewczynka miała trzynaście lat i najbardziej potrzebowała

jej opieki. Przez blisko rok ona i ojciec wspierali się wzajemnie, a potem wdowiec zaczął

spotykać się z niejaką madame Rouquette. Wdowa Rouquette miała dziecko, ośmioletniego

chłopca o oczach jak paciorki, szerokich, wiecznie wilgotnych ustach i wielce złośliwej

naturze. Był żywym odbiciem swojej rodzicielki. Po kilku tygodniach ojciec poślubił wdowę i

madame Rouquette wprowadziła się do domu, który Elise przywykła uważać za dom swej

matki.

Następne miesiące nie należały do przyjemnych. Ojciec we wszystkim ulegał młodej

żonie, uzależniony od niej fizycznie i zdominowany przez osobowość silniejszą niż jego

własna.

Macocha nienawidziła pasierbicy, ponieważ przypominała jej o poprzedniczce, a poza

tym miała odziedziczyć dwie trzecie majątku, o ile z nowo zawartego związku nie narodzi się

potomstwo. Rozpoczęła więc kampanię, która miała na celu udowodnienie, że to Elise nie

podobają się nowe porządki - co wkrótce okazało się prawdą.

Sytuacja stawała się coraz trudniejsza, zwłaszcza że ojciec po jakimś czasie przestał

brać stronę córki. Na miesiąc przed piętnastymi urodzinami Elise wybuchła kłótnia o

koronkowy szal, niegdyś należący do matki Elise. Macocha złapała za kij od miotły, aby

uderzyć nim pasierbicę, ta jednak wyrwała go jej z rąk i oddała cios. Macocha wybiegła z

krzykiem z domu, pokazując wszystkim zakrwawioną twarz. Wezwała żandarmów i na jej

żądanie Elise została umieszczona w domu poprawczym.

Mijały dni i tygodnie. Elise straciła w końcu nadzieję, że ojciec kiedykolwiek zabierze

ją z tego okropnego miejsca. Macocha zapewne powiedziała mu, że jego córka uciekła. Nie

chciała nawet myśleć o tym, że ojciec mógłby świadomie godzić się, by pozostawała w

zamknięciu, podczas gdy jedno jego słowo przywróciłoby jej wolność.

Zaczęła przysłuchiwać się rozmowom kobiet, stłoczonych w domu poprawczym. Ich



opowieści, stanowiące na ogół mieszaninę faktów i zmyśleń, były jednakże wystarczająco

okropne, by prześladować ją w snach przez lata. Osia tych opowieści była niezmiennie męska

perfidia: mężczyźni brali, co chcieli, posługując się siłą lub groźbą i nie troszcząc o skutki

swoich poczynań; prawili słodkie słówka, zdradzali i kłamali bez zmrużenia powiek. Wiele

opowieści dotyczyło męskiego okrucieństwa, zarówno fizycznego, jak i psychicznego. Kiedy

to, co usłyszała, złało się ze wspomnieniem zdrady ojca, Elise zaczęła pogardzać męską płcią.

Pewnego dnia nastąpiło wielkie zamieszanie. W domu poprawczym pojawili się

mężczyźni wyposażeni w zaświadczenie, że mogą wybrać spośród pensjonariuszek żony dla

kolonistów w Luizjanie. Dziewczęta otrzymają trochę odzieży i zostaną dostarczone na

wybrzeże, skąd statek zabierze je do kolonii. Kiedy już raz znalazły się na liście, nic - ani

starania rodziców bądź opiekunów, ani przekupstwo czy kruczki prawne - nie mogło ocalić

ich przed zesłaniem. Władze poleciły, by dostarczono pewien kontyngent kobiet i nie było

odwołania. Mężczyźni wybierali niewiasty młode, zdrowe i bez nałogów - wśród nich

znalazła się i Elise.

Podróż na wybrzeże była jednym pasmem cierpień. Jechały otwartym wozem, choć

był środek zimy. Nie miały ciepłych

rzeczy i w większości ubrane były w  
cienkie, letnie

suknie. Związane w pasie łańcuchami,  
niczym bydło, wprowadzano i  
wyprowadzano je do

gospod i sal jadalnych. Nikt nie  
troszczył się o zapewnienie im  
prywatności, musiały więc

zaspokajać fizyczne potrzeby niemalże  
na oczach strażników. W porcie Hawr,  
gdzie czekały

na statek, wiele zmarło, zmożonych  
gorączką. Na ich miejsce sprowadzono  
kobiety

schwytane na ulicach, podwórzach  
małych farm, więźniarki z różnych miast,  
w tym wiele

napiętnowanych jako morderczynie i  
zdrajczynie. Długa podróż na pokładzie  
„Mutine”

zwiększyła liczbę ofiar, a te, które  
przetrwały sztormy, były na wpół żywe,  
kiedy statek

zawinął w końcu do portu w Mobile.

Przez jakiś czas pozwolono im  
odpocząć, by odzyskały siły, a potem  
wyprawiono w

podróż do Nowego Orleanu, gdzie zajął

się nimi dyrektor Kompanii Zachodnioindyjskiej,

pan Jacques de la Chaise. Zadbął, by mogły się wykąpać, wyprać odzież i trochę odpocząć.

Podczas tej chwili wytchnienia pod dom dyrektora przychodziło wielu mężczyzn, aby

pogapić się na kobiety lub zbliżyć do nich pod jakimś pretekstem. Pod koniec tygodnia

wystawiono je na widok publiczny, aby mężczyźni mogli się im przyjrzeć.

Choć powiedziano im, że będą mogły

same wybrać sobie partnera, w  
przypadku Elise

sprawa wyglądała zupełnie inaczej.  
Vincent Laffont wtoczył się do pokoju,  
obrzucił kobiety

taksującym spojrzeniem i od razu ruszył  
do Elise. Nie dano jej szansy, by mogła  
mu

odmówić, nie zawracano sobie głowy  
oświadczeniami, ale zabrano ją do biura  
dyrektora,

gdzie Vincent przedstawił swoją  
wybrankę. Zważywszy na nienormalne  
okoliczności,

zrezygnowano z zapowiedzi i po godzinie była już żoną Laffonta.

Jej mąż, jak się o tym wkrótce przekonała, był łajdakiem. Starszy od niej o ponad

dwadzieścia lat, sam siebie nazywał kupcem, choć właściwie był przemytnikiem.

Dostęp do informacji oraz poparcie, jakie otrzymywał z biura Kompanii Indyjskiej we

Francji, pomagały mu omijać przepisy, wydane przez gubernatora Etienne'a de Periera i Radę



Najwyższą, a nawet samą kompanię w tym także zakaz handlu towarami, które nie

pochodziły z francuskich statków. Właśnie dzięki tym wpływom mógł jako jeden z

pierwszych wybrać sobie narzeczoną• Buńczuczny samochwał, uwielbiający dobre jedzenie,

alkohol i towarzystwo handlarzy, równie jak on pozbawionych skrupułów, zarobił dla

kompanii mnóstwo pieniędzy, handlując z Hiszpanami, a przy okazji odkładając dla siebie

sporą fortunkę.

Nie dał swojej nowo poślubionej żonie ani chwili, by oswoiła się ze zmianą stanu

cywilnego, ale zaciągnął ją do łóżka tuż po toastach za zdrowie państwa młodych.

Doświadczenie to okazało się bolesne i poniżające. Vincent nie spodziewał się, że jego żona

będzie dziewicą, toteż potraktował ją jak zwyczajną kobietę z ulicy - wziął brutalnie i bez

zbędnych, jego zdaniem, przygotowań.

Kiedy Elise lepiej go poznała, nie była  
wcale pewna,

czy gdyby o tym wiedział, zachowałby  
się inaczej. Jej nieśmiałe próby obrony i  
krzyki bólu

sprawiały mu wyraźną przyjemność, a  
opór podniecał. Akt seksualny stał się  
dla Elise czymś

niewypowiedzianie okropnym. Długo po  
tym, jak stosunek przestał jej sprawiać  
fizyczny ból,

nadal nie był niczym więcej, jak tylko  
pogwałceniem intymności, odrażającym  
przeżyciem,

którego należało unikać za wszelką cenę.  
Chłód, który miał być środkiem obrony,  
tylko

podniecał Laffonta. Nie troszczył się  
zupełnie o uczucia młodej żony, bawiło  
go jednak

doprowadzanie jej do wściekłości, a  
potem bicie, dopóki nie uległa.

Jednak krótko po ślubie mąż Elise padł  
ofiara własnych matactw i nawet  
wpływowe

znajomości nie zaradziły nieszczęściu.  
Wszczęto dochodzenie, zarządzane przez  
dyrektora de

la Chaise'a, w wyniku którego  
Vincentowi odebrano koncesję na  
handel. Statek Laffonta wraz

ze znajdującymi się na nim towarami  
został skonfiskowany i sprzedany, a jego  
właściciel

ledwie uniknął oskarżenia o szmugiel.  
Pozwolono mu kupić ziemię w kraju  
Natchezów, w

pobliżu fortu i osady Rosalie,  
nazwanych tak na cześć żony wysokiego  
urzędnika na dworze

Ludwika XIV, księcia de Pontchartrain.  
Laffont wycofał się tam, by lizać rany i  
szukać

sposobu na odzyskanie utraconej pozycji.

Mniej więcej w tym samym czasie Elise zaczęła powoli wyzbywać się strachu przed

swoim małżonkiem. Odkryła bowiem, że podobnie jak większość brutalni, lubujących się w

znęcaniu nad słabszymi, był on tchórzem.

Doprowadzona do wściekłości powtarzającymi się aktami przemocy i drwiącymi

komentarzami, przestała zważać na

własne bezpieczeństwo i odmówiła  
dalszego dzielenia z

nim łoża, a kiedy próbował ją do tego  
zmusić, gryzła, kopała i drapała, jednym  
słowem:

walczyła, posługując się każdą dostępną  
bronią. Pewnego razu wylała mu na  
głowę garnek

wrzącej sagamite - potrawy, w której  
skład wchodziła mąka kukurydziana,  
tłuszcz

wieprzowy, szynka i fasola. Innym  
razem przegnała nachalnego małżonka z  
domu,

wymachując siekierą. A gdy złamała mu trzy palce ciężkim tłuczkiem do kukurydzy,

sprowadził do domu Przepióreczkę, aby zaspokajała jego potrzeby seksualne.

Pięć z siedmiu lat przeżytych w kolonii Elise spędziła bez mężczyzny. W tym czasie

jej odraza do miłości fizycznej nie tylko nie zmniejszyła się, ale przeciwnie, wzrosła. To, że

teraz znowu będzie musiała zaspokajać znieprawione męskie zachcianki, napełniało ją



bezsilnym gniewem i przerażeniem.

Oczywiście, Reynaud Chavalier to mężczyzna zupełnie innego pokroju niż jej zmarły

mąż i Elise doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Nie był bufonem ani skłonny do

znęcania się nad słabszymi brutalem, lecz człowiekiem silnym, umiejącym przeprowadzić

swoją wolę, a zarazem bez większego wysiłku kontrolującym własne pragnienia. Takiego

mężczyznę niełatwo będzie pokonać.

Jego gniewowi nie zabraknie ognia, a  
jego życzeniu,

aby ją sobie podporządkować,  
zdecydowania. To, że był mieszzańcem,  
nie miało znaczenia,

chyba tylko takie, iż płynąca w jego  
żyłach indiańska krew sprawiała, że  
doskonale potrafił

ukrywać uczucia za maską stoickiego  
spokoju, co czyniło go tym bardziej  
niebezpiecznym.

Aby wykorzystać czyjąś słabość, trzeba  
najpierw ją poznać, a ona, o ile krótkie  
spotkanie z

Reynaudem mogło stanowić jakąś wskazówkę, nie dostrzegając w nim nawet śladu słabości.

To wszystko śmiertelnie ją przerażało, tak jak przerażała ją jego bliskość: był taki wysoki,

władczy i okazał zainteresowanie nią jako kobietą. Krew płynąca w jego żyłach była skażona,

a charakter gwałtowny. Lecz przede wszystkim - był mężczyzną.

## **ROZDZIAŁ III**

Nim wczesny listopadowy zmierzch przeszedł w noc, ukrywający się pod

drzewkiem

magnolii byli już głodni, spragnieni i tak zdenerwowani, że z byle powodu skakali sobie do

oczu. Nie rozmawiali więcej ze sobą. Elise, doprowadzona niemal do szaleństwa

zmasowanym atakiem gniewnych żądań i płaczliwych „prośb”, usiadła z dala od innych, z

plecami opartymi o pień i dłońmi wciśniętymi między kolana. Madame Doucet, której

zagrożono, że jeśli nie przestanie jęczeć,

zostanie uduszona, siedziała, wpatrując się

bezmyślnie w przestrzeń, a jej dłonie bez przerwy naciągały i układały fałdy sukni, jakby to

była dziecięca kołderka. Renri, wyczerpany porannymi przeżyciami, zapadł w niespokojny

sen. St. Amant pocierał zranioną nogę, a Pascal krążył tam i z powrotem, niby to trzymając

wartę.

Nikt jednak nie zauważył Reynauda, dopóki nie wyłonił się z cienia. Pascal

tylko

zaklął, a potem, odzyskując animusz, zapytał:

- Gdzieś ty, u diabła, był?

- Ruszajmy - powiedział Reynaud, ignorując go.

- Zadałem ci pytanie. - Kupiec nie zamierzał ustąpić i podszedł do mieszańca z

uniesionym muszkietem.

Reynaud spojrział na Pascala.

- Posłuchaj i zapamiętaj sobie, co ci

powiem - rzekł nieśpiesznie swoim niskim,

głębokim głosem. - Nie mam wobec was żadnych zobowiązań i nie muszę nikomu niczego

wyjaśniać. Nie obchodzi mnie, czy zginiecie, i nie widzę powodu, by miało mnie to

obchodzić. Wyprowadzę was z terytorium Natchezów przez wzgląd na pamięć mojego ojca i

aby zapewnić sobie usługi kobiety, której zażądałem.

Podczas marszu będziecie robili to, co

wam powiem, natychmiast i bez  
zbędnych

pytań, ponieważ od tego może zależeć  
wasze życie. Jeżeli nie jesteś w stanie  
sprostać zadaniu

i jeśli nie przestaniesz się puszyć,  
zostawię cię, ponieważ będziesz  
stanowił zagrożenie dla

innych. To pewne jak dwa razy dwa.  
Słuchaj mnie i zważaj na to, co mówisz,  
a będziesz

bezpieczny, przysięgam. Możesz iść z  
nami, jeżeli chcesz, ale nie będę ci  
więcej tego



powtarzał.

- Nie zapytałeś, czy madame Laffont zgodziła się na twoją propozycję.

- Cóż, nadal tu jest.

Elise uniosła głowę i zobaczyła utkwione w siebie spojrzenie szarych oczu. Nie mogła

odwrócić wzroku. Miała wrażenie, że Reynaud Chavalier wie, jak bliska była decyzji, by

uciec. Co najmniej pół tuzina razy z najwyższym trudem przezwyciężyła pokusę, by zerwać

się na równe nogi i zniknąć w lesie, a potem przedrzeć się na brzeg rzeki, gdzie mogłaby

poszukać jakiegoś czółna i popłynąć nim w dół Missisipi, poza terytorium Natchezów. To nie

strach ją powstrzymał, lecz przekonanie, że ta droga prowadzi prosto ku śmierci. Nie chciała

umierać, choć alternatywa wydawała się niewiele lepsza.

Reynaud ruszył ku Elise, zgrabnym ruchem pochylił się i wyciągnął ku niej dłoń. W

innych okolicznościach odmówiłaby natychmiast. Teraz jednak spojrzała tylko na niego,

mimoходом zauważając, że przebrał się w bardziej stosowny do podróży strój, złożony z

obszytych paciorkami wąskich spodni i grubszej, sięgającej ud peleryny z miękkiej koźlej

skóry. Pióropusz i ciasno zwinięty węzeł włosów zniknęły, zastąpione zwykłym warkoczem

przewiązanym rzemykiem. Czuła się dziwnie skrępowana, jakby kierowała nią siła jego woli,

a w jej głowie nadal dźwięczały słowa, które wypowiedział do kupca. Bardzo chciała

wiedzieć, w jakim stopniu odnoszą się do niej.

Wyciągnęła rękę i przyjęła pomocną dłoń. Dotknięcie, dobrowolny kontakt z dłonią

mężczyzny sprawił, że przebiegł ją dreszcz, ogniskując się w okolicy żołądka. Ciepło i siła

tego uścisku spowodowały, że zrobiło jej się gorąco. Drżącym i zaprawionym goryczą głosem

spytała:

- Czy ja też będę bezpieczna?

- Bardziej niż inni, ponieważ będziesz najbliżej mnie.

Pomógł jej wstać, a potem podtrzymał, gdy się zachwiała. Odsunęła się od niego

gwałtownie i odwróciła. Reynaud wpatrywał się w jej uniesioną wysoko głowę i sztywne

barki, rozdarty pomiędzy gniewem a żalem, iż uznała go za aż tak odrażającego, i

zaniepokojony panicznym strachem,  
który dostrzegał w jej oczach.

Dotarcie do rzeki zabrało im prawie  
dwie godziny. Noc była ciemna,  
bezksiężycowa.

Szli wolno, przedzierając się przez las  
ścieżkami znanymi tylko Reynaudowi i  
unikając dróg.

Mieszaniec często wysuwał się do  
przodu, a potem wracał i pośpieszał ich,  
ostrzegając przed

pośliznięciem się na pokrytych  
wapiennym łupkiem pochyłościach i  
pomagając wyminąć

gęstwinię dzikich śliw. Posuwali się powoli, lecz w miarę bezpiecznie.

Na brzegu rzeki czekała na nich ciężka dłubanka, ukryta pod ściółką i do połowy

wypełniona zapasami, powiązanymi w zgrabne pakunki. Elise wątpiła, czy przeciążone

czółno zdoła pomieścić jeszcze ich sześcioro, jednak pod kierownictwem Chavaliera jakoś się

w nim upchali. Kiedy Reynaud odpychał pirogę od brzegu, a potem wskakiwał do środka,

łódź zanurzyła się co prawda głęboko,  
lecz kiedy już usiadł i zatopił w nurt  
krótkie wiosło o

szerokim piórze, ustalając rytm dla St.  
Amanta i Pascala, wszystko okazało się  
w porządku.

Kobiety i chłopca rozmieszczono  
pomiędzy wiosłującymi mężczyznami.  
Elise

siedziała tuż przed Reynaudem,  
schylając się za każdym razem, kiedy  
przenosił wiosło na

drugą stronę łodzi. Spojrzała za siebie,  
na ciemną postać, która na pozór bez  
wysiłku posyłała



ich w przód po spienionej wodzie, a potem utkwiała wzrok w opuszczonym właśnie brzegu.

Wzgórza i strome brzegi zasnuwane były dymem, przez który gdzieś przebijały

płomienie. Tam, z tyłu, pozostało wszystko, co posiadała - jej ziemia, jedyne miejsce, z

którym łączyły ją jakieś więzy. Nie wiedziała, kiedy znów ją zobaczy i czy w ogóle to

nastąpi. Nie miała pojęcia, co pocznie, kiedy dotrą w końcu do fortu Saint Jean Baptiste, jak

będzie żyła i gdzie zamieszka. W tej chwili nic nie miało znaczenia. Liczyła się tylko

ucieczka i cena, jaką będzie musiała zapłacić.

N a brzegu, który dopiero co opuścili, coś się poruszyło. - Chyba zostaliśmy

dostrzeżeni... - powiedziała. Usłyszeli niosący się po wodzie gniewny krzyk, a potem świst

kuli wystrzelonej z muszkietu. Reynaud pochylił się mocniej nad wiosłem. Inni poszli w jego

ślady, stękając z wysiłku. Następny

wystrzał rozległ się echem ponad  
lustrem wody, odbijając

się od przeciwległego, porośniętego  
lasem - i jakże oddalonego! - brzegu. Po  
prawej stronie

łodzi kula, podskakując, przebiła  
powierzchnię wody, za nią następna i  
jeszcze następna.

Przemieszczali się niepewni kierunku,  
gdyż w panujących ciemnościach  
niewiele

dawało się dostrzec.

Choć woda wokół nich pieniała się od  
strzałów, nie zostali trafieni. Indianie

mieli co

prawda łodzie z wydrążonych pni,  
zwane przez Francuzów pirogami, lecz  
wszystkie

znajdujące się powyżej ujścia potoku  
Sto Catherine zostały wysłane w pogoń  
za dwoma

Francuzami. Tak więc stojący na brzegu  
wojownicy marnowali tylko amunicję.

Kuląc się, Elise pomyślała, że  
najbardziej narażony na  
niebezpieczeństwo jest

Reynaud, ponieważ siedzi na rufie i  
łatwo może zostać trafiony. Jako członek

kasty Słońca i

brat króla był chroniony, jednak w ciemnościach Indianie nie widzieli, z kim mają do

czynienia. Mógł do nich zawołać i przekazać im francuskich osadników jako swoich jeńców.

W takim przypadku zachowałby prawo do jej usług, jeżeli naprawdę o to mu chodziło. Fakt,

że tego nie zrobił, lecz pochylony nad wiosłem pracował z determinacją, by jak najszybciej

opuścić wrogie terytorium, zdawał się

wskazywać, że zamierza dotrzymać danego słowa. A to

oznaczało, że ona będzie musiała dotrzymać swojego.

Właściwie niczego nie przyrzekała. Jej zgoda została uzyskana siłą. Czy zatem

powinna czuć się związana? Jeżeli jest jakiś sposób, aby wykręcić się z tego zobowiązania,

ma wszelkie prawo, aby się nim posłużyć. Wszelkie prawo.

Missisipi była w tym miejscu szeroka co najmniej na milę. Kiedy łódź wryła się

wreszcie w muł na drugim brzegu,  
Pascal oparł się o burtę i nie  
wyciągnąwszy nawet wiosła z

wody, dyszał ciężko, zmęczony  
długotrwałą walką z nurtem rzeki. St.  
Amant również rzucił

wiosło na dno łodzi i opadł bezwładnie.  
To Henri wyskoczył za burtę i dopchnął  
do brzegu

ciężką łódź. Reynaud wstał, ujął Elise  
pod ramię i popchnął lekko w przód.  
Oddychał

głęboko, lecz nie wydawał się  
szczególnie zmęczony.

- Muszę ... odpocząć - wydyszał St. Amant, kiedy suknia Elise otarła się o jego kolana.

Podniósł wzrok i zobaczył, że wszyscy na niego czekają.

- Nie ma czasu. Mogą ruszyć za nami w pogoń. Nie wolno nam pozostawić śladów

świadczących, że tu wysiedliśmy. Niech myślą, że płyniemy dalej w dół rzeki.

St. Amant skinął głową, mimo to chwilę trwało, nim zdołał wstać i powlec się w stronę brzegu. Pascal wygramolił się z łodzi na czas, by Reynaud i Elise nie



musieli go

wymijać. Na brzegu obaj mężczyźni stali beczynnie, przyglądając się, jak Indianin wraz z

Henrim wyładowują zapasy i układają pakunki w stos. Reynaud zepchnął ciężkie czółno na

głęboką wodę i pozwolił mu odpłynąć z prądem.

W zadziwiająco krótkim czasie bagaże zostały posortowane i rozdzielone, ustalono też

szyk, w jakim mieli się posuwać. Reynaud pozacierał na brzegu ślady

ładowania, zarzucił na

plecy najcięższy, owinięty w skórę  
pakunek, wziął do rąk łuk i strzały,  
zawiesił na ramieniu

muszkiet i stanął na czele grupki  
uciekierów. Ruszyli. Tuż za  
Reynaudem postępował

Pascal, stanowiąc dodatkowe  
zabezpieczenie na wypadek, gdyby  
niebezpieczeństwo nadeszło

od przodu. Za nim szła Elise, potem  
madame Doucet i St. Amant, wsparty na  
kuli. Pochód

zamykał Henri. Szli w ciszy. Nie mieli

sobie nic do powiedzenia, za to wiele do przemyślenia.

Wszyscy zdawali też sobie sprawę, że muszą jak najszybciej opuścić terytorium Natchezów.

Jeżeli rankiem Indianie nie ruszą za nimi w pogoń rzeką, ale zdecydują się rozpocząć

poszukiwania na brzegu, lepiej, aby dzieliła ich jak największa odległość. Tym bardziej że

oddział indiańskich wojowników potrafi poruszać się błyskawicznie niczym strzała, o wiele

szybciej niż ich grupa, spowalniana przez kobiety i rannego. Czas był najlepszym

sojusznikiem uciekinierów.

- Hej, mieszańcu! - zawołał Pascal. - A co powie twój brat Wielkie Słońce, kiedy

przekona się, że opuściłeś imprezę na długo przed jej zakończeniem?

- Nie będzie w tym niczego niezwykłego - usłyszał odpowiedź. W głosie Reynauda

nie było nawet cienia obawy. - A kiedy się dowie, że pojawiłeś się wraz z nami

w forcie Saint

Jean Baptiste? Uznają cię za zdrajcę, przynajmniej ja tak to widzę.

- Nie muszę być wobec nikogo lojalny.

Elise dosłyszała stanowczość w głosie Reynauda, jednak nie mogła się powstrzymać,

by nie pomyśleć, że przecież starał się ostrzec Cheparta i Francuzów.

Pascal roześmiał się.

- Miejmy nadzieję, że Wielkie Słońce podzieli ten pogląd. Z tego, co wiem, twoi

ludzie także nie przepadają za  
odszczepieńcami.

- Ja nie mam swoich ludzi - powiedział  
Reynaud.

Gdy mężczyźni umilkli, te słowa jeszcze  
długo dźwięczały echem w głowie  
Elise.

Chociaż wypowiedziane nieświadomie i  
bez litowania się nad sobą, wzbudziły w  
jej duszy

głęboki odzew, sprawiając, że Reynaud  
Chavalier nie wydawał się jej już taki  
odpychający i

groźny. Wszyscy dokądś przynależeli.

Nieszczęście mieszańca polegało na tym, że nie

wiedział, gdzie ma szukać swoich: pośród Natchezów czy Francuzów.

Mijały godziny. Wlekli się krok za krokiem, z oczami utkwionymi w mrok przed sobą,

z wolna ucząc się wymijać w ciemności opadłe gałęzie czy gęstwiny zwisających pnączy.

Kiedy madame Doucet z jękiem padła na ziemię, niezdolna iść dalej, odpoczęli trochę, lecz

gdy tylko starsza dama była w stanie się

podnieść, od razu ruszyli dalej. Tuż przed świtem

zatrzymali się, by zaspokoić pragnienie, przegryźć coś i przespać się kilka godzin, o wiele za

krótko, jak na ich potrzeby. Kiedy wzeszło słońce, byli już na nogach.

Dzień wstał ładny i dość ciepły, odpowiedni do marszu.

Jesień w tym roku przeciągała się. Choć raz czy dwa trafił się przymrozek, dnie były

na tyle ciepłe, że wystarczało lekkie odzienie z długimi rękawami. W nocy



zaś grzali się przy

ognisku. W miarę jak mijały godziny, coraz bardziej przystosowywali się do monotonii

marszu, stawiając jedną stopę przed drugą i nie poświęcając tej czynności ani jednej myśli.

Madame Doucet narzekała, że od bagażu porobiły się jej pęcherze. Wreszcie Reynaud

uwolnił ją od pakunku i obarczył nim niezadowolonego z takiego obrotu sprawy Pascala.

Elise, zmęczona ciągłym unoszeniem

długich spódnic, poprosiła Reynauda o  
rzemień,

przewiązała się nim w talii i zatknęła za  
ten zaimprovizowany pasek rąbek  
spódnic, na modłę

francuskich praczek. Kusiło ją, by zrobić  
to samo z tylną częścią sukni, uznała  
jednak, że

ciężki welwet kostiumu do konnej jazdy,  
nie mówiąc już o halkach pod nim,  
hamowałby jej

ruchy. Spała w nim na ziemi, kolce  
mijanych krzewów pozaciągały materiał,  
a woda

strumieni zmoczyła go, więc to, że dół sukni będzie ciągnął się po błocie, nie miało

znaczenia.

Robiło się coraz cieplej. Maszerowali przez niziną, bagnistą krainę, porośniętą

wybujalymi cyprysami, dębami, klonami, orzechami, drzewami gumowymi, jesionami,

wawrzynami, dereniami i tuzinem innych drzew, których listowie tworzyło nad głowami

idących wysoką kopułę. Niemal' z

każdego pnia zwieszały się festony  
szarego mchu, który

Francuzi nazywali brodą kapucyna.  
Strumyki i ich odnogi wiły się pomiędzy  
drzewami

niczym węże, kiedy przeprawiali się  
wciąż od nowa przez, zdawałoby się, te  
same potoki.

Kiedy pot zaczął zbierać się pod  
włosami Elise i spływać jej po karku i  
między

piersiami, niecierpliwie wyczekiwała  
okazji, aby pobrodzić w chłodnej  
wodzie, mimo że

najpierw musiałyby zdjąć wysokie buty i wełniane pończochy, a potem mozolnie oczyścić

stopy z czarnego błota. Po chwili namysłu postanowiła nie przeprowiać się przez strumienie

w obuwiu, jak czynili to Pascal i St. Amant, ponieważ obawiała się, że zwilgotniała skóra

trzewików otrze jej stopy. Gorsza od nieustannej konieczności wkładania i zdejmowania

butów była jednak ciągła walka z hordami moskitów, unoszącymi się pod sklepieniem gałęzi.

Owady, czarne i zajadłe, napełniały powietrze przenikliwym bzyczeniem.

Minęli bystro płynący strumyk o czystej wodzie i piaszczystym dnie, ponad którym

zwieszały się ciemnozielone festony mchu i długie liście paproci, nietkniętych jeszcze przez

mróz. Zatrzymali się, aby odpocząć. Elise przysiadła pod drzewem i osuszyła stopy połą

żakietu. Wytrzepała pończochę z piasku, wsunęła ją na nogę i pacnąwszy z irytacją natrętnego

komara, zawiązała podwiązkę tuż pod kolanem. Sięgnęła po drugą pończochę i z żalem

spozregła, że wkrótce zrobi się w niej dziura. Ponieważ nic na to nie mogła poradzić,

włożyła pończochę i właśnie zaczęła ją wygładzać, kiedy uczucie nagłego dyskomfortu

podpowiedziało jej, że nie jest już sama. Uniosła głowę i zobaczyła wpatrującego się w nią

Reynauda. Opierał się o drzewo niedaleko miejsca, które wybrała. Przesuwał spojrzeniem po

smukłej krzywiznie jej kostki i  
delikatnej wypukłości łydki. Elise  
poczuła, jak zalewa ją fala

gorąca. Wcale jej się to nie spodobało,  
zaciśnęła więc zęby i udając, że nie  
spozstrzegła

niczego, porządkowała garderobę.  
Odetchnęła jednak z prawdziwą ulgą,  
gdy wreszcie obie

pończochy, wygładzone i przytrzymane  
podwiązkami, znalazły się na swoim  
miejscu i mogła

opuścić spódnice. Gwałtownym ruchem  
klepnęła się w nadgarstek, zabijając  
następnego



moskita.

Reynaud odepchnął się od drzewa i ruszył w stronę pakunków. Rozwiązał rzemienie

jednego z nich, przez chwilę czegoś szukał, a gdy się wyprostował, trzymał w dłoni małe

gliniane naczynie. Podeszedł do Elise i przyklękając na jedno kolano, wręczył jej naczynko.

- Cóż to takiego? - zapytała Elise, nie wykonując żadnego ruchu, by przyjąć prezent.

- Niedźwiedzie sadło. Odstrasza

moskity. Elise spochmurniała i zmarszczyła nos.

- Nie wątpię, ale nie, dziękuję.

- Nie jest takie złe, jak ci się wydaje.

- Wąchałam już zjełczały niedźwiedzi tłuszcz i nie sądzę, żebym chciała to robić przez

cały czas, nosząc go na sobie.

- Ten jest świeży. Sam się nim smarowałem.

Ten spokojny, wyprany z wszelkich uczuć głos przypomniał jej, że już raz oskarżyła

go, iż brzydko pachnie, a teraz mogłaby zrobić to ponownie. Dreszcz przebiegł po skórze

Elise. Zaczerwieniła się tak mocno, że aż poczuła się zmieszana. Otworzyła usta i przez chwilę

wpatrywała się w niego, niezdolna się odezwać.

- Tak czy inaczej - powiedział swobodnie - to nie była sugestia, lecz rozkaz.

Znachorka plemienia Natchezów twierdzi, że ukąszenie moskita może spowodować chorobę i

ja w to wierzę.

Zanurzył palec w białawym, półpłynnym sadle i przesunął nim po policzku Elise.

Odsunęła się gwałtownie, a jej zażenowanie natychmiast ustąpiło miejsca gniewowi.

- Możesz posmarować się sama albo ja to zrobię. Zabrzmiało to niczym groźba.  
Elise

przez chwilę wytrzymała jego wzrok, a potem wzięła od niego naczynko.  
Pochylił głowę i

wstał, napinając gibkie mięśnie.

- Kiedy skończysz, przekaż naczynie  
madame Doucet i pozostałym - rzucił  
przez

ramię i odszedł.

Nie odpowiedziała, ale i tak tego nie  
oczekiwał. Z trudem powstrzymał  
pokusę, aby

odwrócić się i patrzeć, jak będzie  
wcierała w skórę niedźwiedzie sadło.  
Zbyt często udawało

jej się wprawić go w zakłopotanie.  
Działo się tak za każdym razem, kiedy  
dostrzegał błysk

białej łydki pod uniesioną spódnicą,

miękki ruch jej bioder lub krągłość  
piersi, kiedy

odsuwała na bok blokującą przejście  
gałązkę lub przeciągała się, aby  
rozluźnić napięte

mięśnie. Czuł się rozdarty między  
potrzebą nieustannego pozostawania  
przy jej boku i

dotykania jej a koniecznością  
wyprzedzania grupy bądź zostawiania w  
tyle, aby w porę

dostrzec niebezpieczeństwo. Chociaż  
Elise rzadko zdawała się uświadamiać  
sobie jego

obecność, Reynaud przez cały czas doskonale wiedział, gdzie ona się znajduje i co robi. I

kiedy tak się w nią wpatrywał, z wolna narastało w nim poczucie winy połączone z

pożądaniem, nad którym coraz trudniej mu było zapanować, oraz oczekiwaniem, spalającym

duszę niczym ogień.

Pod wieczór słońce zniknęło za grubą warstwą chmur. Zrobiło się parno.

Rzadko spotykana o tej porze roku duchota wzmagająca niepokój

uciekinierów. W miarę

jak oddalali się od fortu Rosalie i nie było widać nawet śladu pogoni, ich nastrój stopniowo

zaczął się poprawiać. Lecz byli zmęczeni, ledwie poruszali nogami, a pakunki, które nieśli,

zdawały się ważyć tony. Madame Doucet znów lamentowała i zapomniawszy o strachu,

skarżyła się głosem znacznie donośniejszym od szeptu. Henri, któremu pakunek zdążył już

otrzeć ramiona, utyskiwał cicho pod



nosem, a St. Amant zrobił sobie z rozwidlonej gałęzi

dodatkową kulę. Elise była zmęczona ponad wszelkie wyobrażenie. Szybko przywykła do

zapachu niedźwiedziego sadła, który, prawdę mówiąc, nie był znów taki przykry, ponieważ

tłuszcz wymieszano z zieleń spikanardu. Środek okazał się bardzo skuteczny, mimo to Elise

od czasu do czasu pozorowała uśmiercanie moskitów, nie chciała bowiem dać Reynaudowi

satysfakcji, przyznając, że miał rację.

Mieszaniec znów wysforował się do przodu. Elise wydawał się kimś wręcz

niehumanym. Rzadko stał lub szedł spokojnie, zawsze pozostawał czujny. Kiedy zatrzymywali

się na odpoczynek, sprawdzał tyły lub wspinał się na najwyższe drzewo, by stamtąd rozejrzeć

się po okolicy. Nie okazywał zniecierpliwienia, gdy wyczerpani padali na ziemię, ciężko

dyszając, lecz jeśli sam odczuwał zmęczenie, zupełnie nie było tego po nim

widać.

Doprowadzało to Elise do szału, choć z drugiej strony działało krzepiąco.

Na godzinę przed zmierzchem dotarli do rzeki. Na mapach narysowanych przez

badaczy Kompanii i sprzedawanych poszukiwaczom srebra czy złota miała z pewnością jakąś

nazwę, jednak Elise nie znała jej ani o nią nie dbała. Mniejsza niż Ojciec Wód, Missisipi, była

jednakże dosyć szeroka i głęboka. Przebycie jej będzie wymagało zbudowania tratwy, a do

zmierzchu pozostało niewiele czasu.  
Rozbiją więc obóz i przenocują na  
brzegu.

Pakunki, jak się okazało, zawierały  
niedźwiedzie i lisie skóry, używane do  
spania,

ciasno zwinięte kawałki materiału,  
siekiery o krótkich trzonkach, a także  
woreczki mąki

kukurydzianej i wymieszane suszone  
sagamite - uniwersalne danie z mielonej  
kukurydzy,

zawierające również skrawki suszonego  
mięsa i fasolę. Znalazł się też kosz  
jakichś dziwnych

bulw i dojrzałych owoców śliwy daktylowej, a także kociołek przeznaczonego do

przygotowywania potraw, a zatem nie przyprawionego ziołami niedźwiedziego sadła. Nie

zabrakło ostrych noży, żelaznego garnka i kompletu sześciu ręcznie robionych drewnianych

miseczek oraz łyżek. Reynaud spędził czas, jaki pozostawił im do namysłu, nader pracowicie.

Kiedy rozpakowywali bagaże, Renri nazbierał drew i teraz Reynaud rozpałił niewielki,

ale silny ogień. Położył obok Elise parę kaczek, które ustrzelił wieczorem z łuku. Wysłał

Renriego po wodę, St. Amanta postawił z muszkietem na straży, a sam wziął dwie siekiery,

skinął na Pascala i zniknął w lesie.

Madame Doucet skubała kaczki, a Elise nastawiła w garnku wodę z rozpuszczonym w

niej sagamite, aby powoli gotowała się nad ogniem. Zanim wrócili mężczyźni, kaczki,

nasmarowane niedźwiedzim tłuszczem,

piekły się na rożenkach wyciętych z  
mocnych gałęzi,

sagamite pachniało zachęcająco, a w  
żarze, na pokrywce od garnka, piekły się  
placuszki z

mąki kukurydzianej. Nie miała kłopotu z  
przyrządzeniem żywności. Francuzi już  
dawno

nauczyli się przygotowywać jedzenie na  
sposób indiański, choć nie wszystkim  
ono

smakowało. Elise, krzątając się wokół  
posiłku, kątem oka obserwowała, jak  
Reynaud i Pascal

budują coś w rodzaju szałasów,  
używając do tego celu przyniesionych z  
lasu młodych

drzewek. Każde drzewko zginali tak, że  
tworzyło półkole, po trzy drzewka na  
szałas, trzy

kolejne umocowywali wzdłuż tej  
konstrukcji i przykrywali materiałem.

Szałas nie były obszerne - miały  
szerokość rozpostartych męskich ramion  
i taką

wysokość, by dało się wczłgać do  
środka. Ich zadaniem było chronić  
podróżnych przed



kapryсами pogody, a przede wszystkim przed hordami moskitów. Cztery szalasy zbudowano

tuż obok ogniska, a piąty, trochę szerszy, nieco dalej. Nietrudno było się domyślić, że ten

ostatni miał służyć jej i Chavalierowi.

Elise starała się unikać spoglądania w tamtym kierunku. Przewrażliwiona wyobraźnia

podpowiadała jej, że inni postępują podobnie: tak skrupulatnie omijają wzrokiem szalasy

przygotowany dla nich dwójga, że ich

taktowne zachowanie jeszcze bardziej  
przyciąga

uwagę. Czuła, że wszyscy myślą tylko o  
tym, co się będzie działo w tym szalasie  
po

zapadnięciu nocy - niektórzy z litością,  
inni z gniewem, a jeszcze inni z  
niezdrową

ciekawością. Szybkie spojrzenia, jakimi  
obrzucali ją i Reynauda, jasno  
świadczyły, jakim

torem biegną ich myśli.

Apetyt opuścił ją i w końcu wyrzuciła  
zawartość miseczki do ognia. Pragnęła

odwlec

moment pójścia spać, zabrała się więc do zmywania, lecz Reynaud odebrał od niej naczynia,

zawołał Renriego i poszedł razem z nim nad rzekę, gdzie wyszorowali garnki piaskiem. Renri

przyniósł je czyste i napełnione świeżą wodą. Wymył też resztę naczyń i starannie wypłukał.

Kiedy wrócił do ogniska, pomógł Elise je wysuszyć i schować, razem z paroma plackami,

które zostawili sobie na śniadanie.

Kiedy krzżeli się przy gospodarstwie,  
zapadła ciemnoř. St. Amant wczółgał  
się do

swojego namiotu, podobnie Renri i  
madame Doucet. Pascal nadal siedział,  
wpatrując się w

ogień i ćmiąc wąską glinianą fajkę,  
podobną do indiańskich fajek pokoju.  
Reynaud

zabezpieczył resztę jedzenia, schował je  
do ciasno związanych worków, które  
zawiesił na

gałęziach wysoko nad ziemią, by ustrzec  
przed zwabionymi zapachem  
zwierzętami. Przez

chwilę stał nieruchomo, przyglądając się Elise, a potem wyszedł z kręgu światła i zniknął w

mroku, kierując się w stronę rzeki.

Woda nad ogniskiem zaczęła wrzeć. Elise wpatrywała się w nią, niemile świadoma

zapachu swego spoconego ciała, niedźwiedziego sadła na skórze i dymu. Ujęła rączki garnka

przez poły sukni i poniosła go w stronę oddalonego szałas.

W przeciwieństwie do towarzyszy podróży starała się nie myśleć o tym, co

wkrótce

zajdzie w szałasie. Na tyle, na ile było to możliwe, przygotowała się do snu tak, jakby to

zrobiła, gdyby znajdowała się w swoim domu, którego szczątki dopalały się teraz zapewne

gdzieś po drugiej stronie Missisipi. Ukrywszy się za płócienną zasłoną, zdjęła suknię i halki, a

po namyśle także koszulę. Zanurzyła ją we wrzątku i użyła w charakterze myjki, a potem

wypłukała i rozwiesiła na zewnątrz do

wyschnięcia. Gorący okład - przyniósł  
ulgę zbolałym

mięśniom. Następnie, nie wiedząc,  
czemu to robi, założyła z powrotem  
halki i suknię i

położyła się na legowisku ze skór -  
najdalej od środka, jak tylko się dało.

Początkowo leżała sztywno, napinając  
mięśnie, jednak z upływem czasu  
rozluźniła się

nico. Być może szalas przeznaczony był  
tylko dla niej, gdyż Reynaud, w końcu  
półkrwi

Indianin, woli spać pod gołym niebem?

Czy to możliwe, że jej wyraźna niechęć  
sprawiła, że

zmienił zdanie? Czy był aż tak  
wrażliwy? Leżała, wsłuchując się w  
odgłosy nocy: szelest

poszycia, kiedy jakieś małe zwierzę,  
opos lub szop, buszowało po obozie, i  
cichy szelest liści,

nadal uparcie trzymających się gałęzi  
buka, pod którym znajdował się szałas.  
Czyżby

Reynaud natknął się w ciemności na  
panterę czy żbika lub został zaatakowany  
przez Indian?



Jej myśli rozpierzchły się niczym  
rozwiane powiewem wiatru liście, gdy  
usłyszała

ciche stąpanie i kłapa szafasu odchyliła  
się. Zaczęła szybciej oddychać, serce  
podskoczyło

gwałtownie w piersi i zaczęło mocniej  
bić, tłukąc się o żebra .

. Masywna sylwetka Reynauda  
wypełniła szafas. Był blisko niej,  
przerażająco blisko,

kiedy przez chwilę pochylał się nad nią,  
a potem legł na skórach. Mogła udawać,  
że śpi.

Mogłaby, gdyby tylko potrafiła zapanować nad oddechem, ale nie było to możliwe. Słyszała,

jak się odwraca. Leżał teraz twarzą do niej. Chyba wyszeptał jej imię, ale nie była pewna. U

niósł się na łokciu. Zdusiła krzyk, gdy pogładził jej ramię przez materiał sukni. Wzdrygnęła

się. Palce Reynauda kontynuowały wędrówkę, delikatnie przesuwając się wzdłuż linii jej szyi.

Wstrzymała oddech i mocno zacisnęła powieki, czując, że cała drży. Nie chciała tego.

Pragnęła leżeć spokojnie, emanując chłodną nienawiścią, nieczuła na to, co robi z nią ten

mieszaniec. Ale nie mogła. Nagle uświadomiła sobie, że Reynaud już jej nie dotyka. Sekundy

mijały powoli.

A potem mężczyzna świadomie, choć powoli, przesunął rękę w dół i objął drżącą

wypukłość jej piersi.

Elise eksplodowała gniewem. Uniosła gwałtownie ramiona, odpychając jego dłonie,

drapiąc i wykrzykując jedno słowo:

- Nie! Nie! Nie!

Reynaud, najwidoczniej nie zaskoczony, złapał ją szybko i mocno za nadgarstki.

Unieruchomiwszy w ten sposób jej dłonie, przytrzymał je jedną ręką nad głową Elise, a

drugą zatkał jej usta, uciszając krzyk. Jego muskularne udo naciskało na jej kolana, zmuszając

ją, by zaprzestała oporu. Uścisk jego ramion był mocny, nie pozostawiał szans na ucieczkę.

Kiedy pochylił się nad nią, poczuła na twarzy dotyk jego włosów, mokrych, jakby przed

chwilą wyszedł z kąpieli. W ciszy, która nagle zapadła, Reynaud zapytał domyślnie:

- Nie chodzi tylko o mnie, prawda?

Elise nie wiedziała, jak to się stało, że gniew wyparował, i nagle łzy zaczęły boleśnie

dusić ją w gardle, a potem popłynęły strumieniem po policzkach. Reynaud zaklął cicho i

cofnął dłoń, uwalniając Elise, a potem odsunął się od niej.

- Dlaczego?

Namiętność znikła z jego głosu,  
pozostawiając zmieszanie i z wolna  
ustępujące

napięcie. Elise poczuła, jak zalewa ją  
fala ulgi. Głosem zduszonym od łez  
zapytała:

- Co za różnica?

- Ktoś cię skrzywdził. Jakiś mężczyzna,  
może nawet niejeden.

To nie było pytanie, ale stwierdzenie. I  
choć wypowiedziane obojętnie,  
świadczyło o

tym, że Reynaud zaczyna rozumieć.

- Jeden w zupełności wystarczył.

- Twój mąż?

- Mój ... mąż.

- To wspaniale - powiedział dobitnie - że jesteś wdową.

Zdumienie powstrzymało słony potok łez Elise.

- Dlaczegoż to?

- Bo inaczej' ktoś musiałby cię nią uczynić.

Ktoś? Czy miał na myśli siebie? Leżała spokojnie, zaintrygowana i



zaciekawiona.

Reynaud odwrócił się i przy tej okazji jego kolano otarło się o nogę Elise.

Cofnęła ją

natychmiast.

Reynaud założył dłonie na piersi.

- Nie musisz się mnie bać - powiedział przez zaciśnięte wargi. - Nic mi po przerażonej

kobiecie. Nie ma z niej żadnego pożytku w łóżku.

Stwierdzenie trudno było uznać za pochlebne. Być może dlatego mu

uwierzyła i

rozluźniwszy wreszcie napięte do granic wytrzymałości mięśnie, zrobiła to, czego domagało

się jej zmęczone ciało - zapadła w sen.

Obudził ją dobiegający z oddali odgłos gromu. Jęknęła cicho i otworzyła oczy,

spodziewając się zobaczyć blade światło poranka. Jednak w szalasię było nadal ciemno, tak

ciemno, że nie dostrzegała konturów ciała leżącego obok niej mężczyzny, choć wyczuwała

jego ciepło. Rozbudzona, uświadomiła sobie nagle, dlaczego czuje to ciepło aż tak wyraźnie:

otóż jej głowa spoczywała na ramieniu Reynauda, a ręka, omdlała od snu, na jego brzuchu.

Pokonała chęć, by zaczerpnąć głęboko powietrza. Przewyciężając opór

zesztywniałych mięśni, zaczęła się powoli wycofywać. Jeżeli uda jej się tego dokonać, nie

budząc Reynauda, wszystko będzie dobrze. Z otwartymi szeroko w ciemności oczami

ostrożnie' przesunęła się na skraj posłania.

Nagły błysk oświetlił wnętrze szafasu i przerażona Elise spostrzegła, że Reynaud

wcale nie śpi, ale spoczywa nieruchomo, obserwując ją.

Znieruchomiała, wstrzymując oddech.

- Nie wszyscy mężczyźni są tacy sami - powiedział z zadumą.

- Doprawdy? - Chciałaby mu wierzyć, ale po prostu nie potrafiła.

- Nie spodziewam się, że uwierzysz mi

na słowo. Będziesz musiała przekonać się o

tym sama.

Stanowczy ton jego głosu zaniepokoił ją.

- Wolałabym nie.

- Nie masz wyboru. - Uniósł dłoń i przykrył nią palce Elise spoczywające bezwładnie

na jego brzuchu. Szarpnęła się, lecz nie zdołała oswobodzić ręki, zacisnęła więc dłoń w pięść.

- Co ... co masz na myśli?

- Zawarliśmy umowę i zmuszę cię, abyś jej dotrzymała. Będziesz mi usługiwała - tak

jak sobie tego zażyczę.

- Ale powiedziałaś ... - zaczęła w panice.

- Owszem. I dotrzymam słowa. Nie dotknę cię.

- Nie rozumiem! - Poczwała, jak rodzi się w niej gniew.

Jego pierś uniosła się oddechem.

- Ty będziesz mnie dotykać.

- Nie mogę!

- Możesz. I będziesz, jeśli ty i twoi rodacy chcecie kiedykolwiek zobaczyć

Natchitoches.

Elise umilkła. To nie był kaprys, ale starannie przemyślana taktyka, mająca na celu

uzyskanie od niej tego, co sobie zamierzył. Kiedy ona spała, on przez cały czas rozmyślał nad

tym, jak ją nagiąć do swojej woli. Gdyby chodziło tylko o własne bezpieczeństwo, mogłaby

odmówić, ale nie wolno jej było  
ryzykować życia innych. Co prawda, nie  
groziło im już teraz

bezpośrednie niebezpieczeństwo, ale od  
fortu na brzegu rzeki Red dzieliły ich  
nadal całe

kilometry gęstego lasu, możliwego do  
przebycia tylko dla tych, którzy znali  
drogę i potrafili

odnaleźć ledwie oznaczone indiańskie  
szlaki. Jak właśnie się przekonała,  
czynne

sprzeciwianie się Reynaudowi było  
niemądre i bezcelowe, a gdyby nawet  
udało jej się go



pokonać, nie miała dokąd pójść ani do kogo się zwrócić. Pascal i St. Amant dali jasno do

rozumienia, iż oczekują, że zjedna sobie mieszańca, bez względu na cenę, jaką będzie

musiała za to zapłacić. Gniew i nieposłuszeństwo na nic się zdadzą. Będzie potrzebowała

czegoś więcej. Zwilżyła wargi koniuszkiem języka.

- Wiesz, że ja nie mogę ... że ja ...

- Tak, wiem. Ale jak inaczej nauczysz się ufać, jeśli nigdy nie zbliżysz się do

mężczyzny, nie dopuścisz do intymności?

- Ufać? - zapytała z pogardą. -  
Miałabym zaufać mężczyźnie, który posługuje się

szantażem, aby osiągnąć cel, i rzuca najokropniejsze groźby pod adresem bezbronnych?

Myślisz, że jestem głupia?

Odwrócił głowę.

- Wolisz pozostać przestraszonym królikiem, drżącym z przerażenia, ilekroć zbliży się

do ciebie mężczyzna?

- Nie jestem królikiem! A co do mężczyzn, potrafię zadbać o to, by żaden zbytnio się

do mnie nie zbliżył.

- Tracąc tym samym największą przyjemność w życiu, źródło najżywszej radości.

- Masz na myśli fizyczne wykorzystanie kobiety przez mężczyznę? - zapytała z ironią.

- Dla mnie to nie było źródło radości.

- Nie, mam na myśli kochanie się,

dzielenie sobą. Coś, czego, jestem  
pewny, nigdy

dotąd nie zaznałaś.

Na krótką chwilę zdołał wzbudzić w  
niej ciekawość.

Zdusiła ją jednak bezlitośnie.

- A ty, ze swoim wielkim  
doświadczeniem, dobrze to znasz?

Nie odpowiedział. Zamiast tego  
rozprostował siłą jej zaciśnięte, chłodne  
palce i

położył je sobie płasko na piersi.

Elise zadrżała, a kiedy drżenie nie ustawało, zamknęła oczy i ukryła twarz na silnym

ramieniu Reynauda. Jego dłoń była ciepła, a uścisk delikatny, choć stanowczy.

Z wolna drżenie ustało. Dłoń Elise ogrzała się od ciepła jego ciała. Pod dotykiem

palców czuła coś jakby regularne rytmiczne uderzenia. Uświadomiła sobie, że to jego serce.

Było przyśpieszonym rytmem, ostrzegając, że mężczyzna u jej boku nie jest wcale taki

spokojny, jak chciałby, żeby się wydawało. Ta świadomość mimo woli zafascynowała ją i

przypomniała jego słowa: „Nie chodzi tylko o mnie, prawda?”.

Czy to możliwe, że poczuł się zraniony w swojej dumie, kiedy tak stanowczo wyraziła

niechęć do niego na przyjęciu i potem w lesie? Nie pasowało to do obrazu, jaki sobie

wytworzyła. Reynaud nie był tak obojętny, jak sądziła, a już na pewno nie w tej chwili. Czy

to możliwe, że powodem tego  
wzburzenia był po prostu dotyk jej  
dłoni? Najwidoczniej

Reynaud pożąda jej silniej, niż  
przypuszczała. Być może zatem miał  
rację, że nie wszyscy

mężczyźni są tacy sami, a ona myliła się,  
oceniając ich według Vincenta Laffonta,  
zmuszającego ją do zaspokajania swoich  
rozpustnych zachcianek.

I kiedy tak starała się dociec pobudek  
Reynauda, wrażliwe czubki jej palców

odnalazły delikatne wypukłości blizn na  
piersi mężczyzny. Tatuaż układał się w

określony

wzór, a linie zazębiały niczym ogniwa łańcucha ułożonego rzędami jeden nad drugim. Elise

wiedziała, że zostały wykonane ostro zakończonym narzędziem - być może kościaną igłą - i

nasączone ciemnym roślinnym sokiem. Ponieważ nie miały służyć ozdobie, lecz zaświadczać

o dzielności mężczyzny, powinny wydać się jej szkaradne, a jednak takie nie były. Żałowała

nawet, że jest ciemno i nie może się im



przyjrzeć. Reynaud przynajmniej nie miał ich na

twarzy, tak jak wielu innych wojowników, którym tatuaż ozdabiał czoło i grzbiet nosa.

Wywnioskowała z tego, że nie zamierzał aż tak podkreślać swego pochodzenia.

Lecz było coś jeszcze. W przeciwieństwie do Vincenta, owłosionego niczym zwierzę,

i większości mężczyzn, których zdarzało jej się widzieć z podwiniętymi rękawami i rozpiętą

koszulą, pierś Reynauda była gładka.

Zauważyła to już wcześniej u Indian,  
zwłaszcza tamtej

nocy w domu komendanta. Nic nie  
hamowało ruchu jej dłoni, kiedy  
przesuwała nią po piersi

mężczyzny, nic nie ukrywało pięknie  
ukształtowanych mięśni, opasujących  
jego klatkę

piersiową, ni gry mięśni pod  
miedzianobrązową skórą.

Kolejna błyskawica załała blaskiem  
szalas i w jej świetle Elise zobaczyła  
coś, czego

nie dostrzegła wcześniej:

Reynaud, leżący tak spokojnie pod dotykem jej dłoni, był zupełnie nagi. Odsunęła się

od niego gwałtownie, jakby dotknęła rozżarzonych węgli.

Chwycił ją za nadgarstek. - A cóż to znowu?

- Jesteś nagi!

- Co za różnica?

- Olbrzymia!

- Dałem ci słowo - powiedział szorstko.

- Ty ... ty ... Obiecujesz, że mnie nie

dotkniesz? - Nie mogła powstrzymać  
cisnącego

się na usta pytania ani ukryć przerażenia  
w głosie.

- To była przysięga, jedna z  
najświętszych, złożona na wszystkich  
świętych, na welon

dziewicy, prawdziwy krzyż, brodę  
Ludwika Xv, wszelkie chrześcijańskie  
świętości, na cienie

murów zamku Combourg i grób mego  
ojca ...

- Dobrze już, dobrze - wtrąciła, aby  
powstrzymać potok przysięg. - Wierzę

ci.

- Więc połóż znów rękę na mojej piersi, dobrowolnie. To było żądanie, nie

pozbawione jednak odcienia prośby. Puścił ją. Elise przez dłuższą chwilę leżała spokojnie, aż

wreszcie powoli, urywanymi ruchami, jakby nie panując nad swoim ciałem, zrobiła, o co „ją

prosił.

Położyła płasko dłoń na przeponie Reynauda, a potem przesunęła ją w górę, rozpoznając znany już rytm serca, zarys

mięśni i linie tatuażu. To, że jej dłoń  
zdawała się

wszystko pamiętać, wprawiło Elise w  
zmieszanie. Reynaud nie poruszył się ani  
w żaden

sposób nie ujawnił swego triumfu.  
Oddychał spokojnie, jego ręce  
spoczywały nieruchomo u

boków. Gdy błyskawice oświetlały  
szafas, Elise przezornie zamykała oczy.  
Nie chciała

wiedzieć, czy Reynaud ją obserwuje, ani  
ryzykować, że znowu dostrzeże jego  
nagość,

choć i tak gładka płaszczyzna brzucha z nabrzmiałą męskością poniżej i długie, kształtne

nogi aż nadto wyraźnie wryły jej się w pamięć.

Po jakimś czasie wydało się Elise, że samo leżenie z dłonią na piersi Reynauda to nie

dosyć. Zagryzła lekko dolną wargę i zapytała szeptem:

- Co mam teraz zrobić?

- Co tylko sprawi ci przyjemność - odparł głębokim, pełnym głosem. - Z wyjątkiem

tego - dodał, kiedy uniosła dłoń spoczywającą na jego brzuchu.

Dotknęła przypadkiem piersi mężczyzny. Płaski dotąd sutek skurczył się jak jej

własny i Elise zastygła na moment, zdumiona, a potem ponowiła próbę, pocierając sutek

delikatnie, aż stwardniał jeszcze bardziej. Mimo woli zaintrygowana) przesunęła dłoń na

drugą pierś Reynauda. Podrażniła drugi sutek, uśmiechając się lekko z rozbawieniem, kiedy

brodawka natychmiast zareagowała.



Zaczęła zataczać palcem coraz szersze kręgi.

Muskuły na piersiach Reynauda były tak dobrze wykształcone i napięte, iż oddzielało

je od siebie wyraźne zagłębienie.

Przesunęła dłoń niczym po ścieżce aż do szyi i zanurzyła

palce w płytkiej dolince obojczyków, a potem poprowadziła je dalej wzdłuż jabłka Adama ku

występowi szczęki i dołkowi w brodzie.

Tu zatrzymała się, by potrzeć knykciami gładką, nie skażoną zarostem skórę

policzków Reynauda. Ktoś kiedyś powiedział jej, że Indianie nie gołą się, lecz wrywają

włosy jeden po drugim - operacja wykonywana zdecydowanie rzadziej niż codzienne

skrobanie bokobrodów. Wyglądało na to, że ten ktoś miał rację.

Pomyślała o ustach leżącego obok niej mężczyzny, nie otoczonych kłującą szczecina,

wyrazistych w kształcie, o miękkich, delikatnych wargach. Znajdowały się tak blisko jej

palców. Ciekawe, jak by to było ...

Onieśmielona, cofnęła szybko dłoń z powrotem na brzuch Reynauda. Także tu

mięśnie były twarde, a nawet napięte. Oddychał teraz płytko, chwytając powietrze haustami.

Rozpostarła dłoń, badając to szybkie falowanie. Dziwne: zważywszy na to, że leżał tak

spokojnie, spodziewała się raczej głębokiego, równego oddechu uśpionej osoby.

Podobnie jak pierś, także przeponę spowijały szerokie pasy mięśni, a pępek

ukrył się

głęboko pomiędzy krawędziami  
muskulów. Tuż pod niewielkim  
zagłębieniem zaczynała się

wąska linia włosów, a kiedy powiodła  
wzdłuż niej na próbę czubkiem palca,  
nawiedziło ją

wspomnienie tego wieczoru, gdy  
pierwszy raz go ujrzała: połyskujących  
w blasku świec ud i

łydek, pozbawionych owłosienia  
właściwego dla jej rasy, oraz wdzięku  
starożytnej rzeźby,

charakteryzującego całą jego postać i

ruchy.

Nagle Reynaud zacisnął dłoń na palcach Elise, powstrzymując ją. Nim zdążyła się

poruszyć czy choćby zaprotestować przeciwko bolesnemu uściskowi, szarpnął się i wstał.

Nagły powiew wiatru powiedział jej, że mężczyzna gwałtownie uchylił klapę szafasu i

wypadł na zewnątrz.

Na dworze zaczęło padać, choć oni tego nie zauważyli.

Teraz słyszała, jak krople uderzają  
powoli w dach nad jej głową. Leżała,  
wysłuchując

się w deszcz i marszcząc z  
niedowierzaniem brwi. Opuścił ją, a ona  
nie była z tego

zadowolona.

Posłanie z futer było jeszcze ciepłe w  
miejscu, gdzie leżał. Poczwała chłód i  
zadrzała.

Usiadła, wpatrując się w ciemność i  
nasłuchując, ale nie potrafiła odgadnąć,  
co robi Reynaud

ani dokąd poszedł.

Nagle podjęła decyzję. Uklękła i  
poczołgała się ku wejściu do szałas.  
Odsunęła

zasłonę i wyjrzała.

Noc była ciemna i wiatr zacinał  
deszczem prosto w jej twarz. Usłyszała  
grzmot i niebo

rozdarła błyskawica, oświetlając  
kontury drzew, odbijając się w kroplach  
deszczu siekącego

ziemię mokrymi, zimnymi strugami i  
okrywając srebrnym blaskiem nagą  
sylwetkę

mężczyzny.

To był Reynaud. Stał z odrzuconą do tyłu głową i opuszczonymi, wyciągniętymi

wzdłuż boków rękami. Z zaciśniętymi mocno powiekami, obojętny wobec wszystkiego, co

działo się wokół, wystawiał twarz na zimny, jesienny deszcz.

## **ROZDZIAŁ IV**

Elise, idąc, wpatrywała się w swoje stopy. Mozolne podążanie za krępą sylwetką

Pascala szybko stało się nawykiem nie wymagającym angażowania myśli ani



uwagi. Ze

zmarszczonymi brwiami i nieobecny  
wyrazem brązowych oczu zerkąca od  
czasu do czasu

ponad ramionami kupca na szerokie  
plecy Indianina.

Nie potrafiła go zrozumieć .. To, czego  
od niej zażądał w zamian za pomoc w

ucieczce, było barbarzyństwem. A  
tymczasem jego zachowanie, a  
zwłaszcza delikatność, jaką

okazał w nocy, były czymś rzadkim  
nawet wśród cywilizowanych mężczyzn  
- wiedziała o

tym aż nadto dobrze. Kimże on w końcu był: dzikusiem czy dżentelmenem?

Za jego wyrozumiałością krył się jakiś zamysł, była o tym przekonana. Być może

spodziewał się, iż bliskość jego porażająco męskiej postaci sprawi, że Elise ulegnie

ciekawości i zapragnie się dowiedzieć, jak to jest kochać się z nim. Wygłoszone w nocy

zachwyty nad miłością fizyczną i drwiące ubolewanie, że ona niczego takiego dotąd nie

zaznała, jasno wskazywały, jakim torem  
biegną jego myśli.

Z pewnością bardzo się rozczarował.  
Mimo to ilu mężczyzn miałoby  
cierpliwość

czekać? Większość zdawała się sądzić,  
że kobiece protesty, bariery, jakie  
wznosiły, istnieją

wyłącznie po to, by je obalać. Dążyli  
prosto do celu, dbając jedynie o własną  
przyjemność i

nie zważając na ból, jaki sprawiają  
swoim partnerkom. Niektórym  
zadawanie cierpienia

sprawiło wyraźną przyjemność. Po Reynaudzie nie spodziewała się niczego innego. Pod

pewnym względem jego wyrozumiałość wydawała się bardziej niepokojąca niż ewentualna

brutalność.

Czy jednak była to prawda? Ją także zaszokowała siła fizycznej reakcji i to, że

absolutnie nie potrafiła znieść bliskości mężczyzny.

Czuła jeszcze wstyd na myśl o braku samokontroli i o tym, że on uważał ją za

ofiarę

własnego przewrażliwienia. Nie wiedziała, co by uczyniła, gdyby Reynaud nie zrezygnował z

kochania się z nią. Woląca o tym nie myśleć.

Bezczelny indiański bękart! - pomyślała w nagłym przyływie gniewu. Jak śmiała przypuszczać, że prześliznie się pomiędzy jej liniami obrony, używając tak lichego podstępu!

Czy spodziewał się, że jego mięśnie i tatuaż, zaświadczający, iż został przyjęty do grona

mężczyzn, wywrą na niej aż takie  
wrażenie? Dotykać go, jeszcze czego!  
Następnym razem

zostawi na jego brzuchu ślady paznokci.  
Pożałuje, że zawarł z nią tę haniebną  
umowę. Nie

była jakąś tam rozchichotaną indiańską  
dziewczyną, gotową bawić się w koci  
łapci i tarzać po

futrach. Była Elise Laffont, majątną  
wdową, dumną i szanującą się  
Francuzką. Następnym

razem będzie zupełnie inaczej i sprawy  
nie pójdą tak dalece po jego myśli.  
Przezwyćięży

swoją awersję na tyle, by skutecznie się  
bronić, i postawi go z powrotem na jego  
obute w

mokasyny nogi. Niech lepiej zachowa  
litość dla siebie, bo będzie jej  
potrzebował, kiedy z nim

skończy.

Uniosła rzęsy, spoglądając raz jeszcze  
na czoło pochodu. Reynaud właśnie  
uchylił się

przed gałęzią, skręcając jednocześnie  
objuczone ciężarem bagażu ciało w bok  
gibkim,

miękkim ruchem. Jego spódniczka

wniosła się przy tym, ukazując miedziane muskularne udo.

Elise przełknęła ślinę, czując, jak zalewa ją fala gorąca, a pamięć podsuwa obraz Reynauda

stojącego nago w deszczu.

Odwróciła szybko wzrok, potrząsając głową, by pozbyć się tej wizji. Wolała myśleć o

tym, jak zakradł się potem do szałas, starając się jej nie obudzić. Zasnął natychmiast, a

przynajmniej tak się Elise zdawało. Miała zamiar czuwać, jednak zmęczenie



szybko

przewyciężyło wszelkie postanowienia  
i zapadła w mocny sen. Nie miała  
pojęcia, iż deszcz

przestał w końcu padać, a kiedy  
nadszedł świt, Reynaud znów ją opuścił.  
I bardzo dobrze - z

pewnością nie miała ochoty spojrzeć mu  
w twarz. Nie zmartwiłaby się, gdyby już  
nigdy go

nie zobaczyła.

- Proszę! - zawołała madame Doucet. -  
Ja ... muszę odpocząć!

Reynaud nie zareagował, szedł dalej, starannie badając szlak przed nimi.

Jednak

pochylenie głowy i nieobecne zachowanie wskazywało, że myśli o czymś zupełnie innym.

Madame Marie ponowiła prośbę.

- Panie Reynaud!

Odwrócił się gwałtownie, słysząc rozpaczliwe błaganie w głosie starszej kobiety, i

szybkim gestem wskazał, że mogą odpocząć. On sam ruszył dalej.

Mężczyźni rzucili się na

ziemię, madame Doucet skinęła na Elise, wskazując kępę wiecznie zielonego mirtu, rosnącą o

kilka metrów od szlaku.

Elise ruszyła za starszą damą. Jednak po kilku minutach wysunęła się zza krzewów i

powędrowała dalej w las, oddychając głęboko i rozkoszując się chwilą samotności. To, że

musiała przebywać stale w pobliżu ludzi, których ledwie znała, było dostatecznie przykre,

lecz ukradkowe spojrzenia, jakich jej

dziś nie szczędzono, doprowadzały ją do wściekłości.

Doskonale wiedziała, co sobie myślą. Zastanawiają się, co zaszło między nią a mieszkańcem w

nocy, czy Elise sprawiło to przyjemność i czy Reynaud był zadowolony z zapłaty.

Niewątpliwie wyobrażali sobie wszelkiego rodzaju igraszki i wyczerpujące swawole, jakie

miały miejsce w szałasie w burzliwą noc, i byli ciekawi lub zatroskani, zależnie od

charakteru. Elise zerwała garść

bukowych liści i podarła je na strzępy.

Przeraźliwy krzyk sprawił, że natychmiast się obróciła i popędziła w stronę, gdzie

zostawiła madame Doucet. Krzyk rozległ się ponownie.

- Indianie! Mon Dieu, Indianie!

Starsza kobieta wybiegła z krzaków z rękami uniesionymi do góry, otwartymi do

krzyku ustami i oczami rozszerzonymi przerażeniem. Omal się obie nie przewróciły, kiedy

madame Doucet chwyciła Elise w  
miażdżący uścisk.

- Co się stało? Gdzie są Indianie?

- Widziałam go. - Kobieta jęknęła. -  
Obserwował mnie. To było straszne, ta  
twarz ...

Elise rozejrzała się szybko, ale niczego  
nie zobaczyła. Tymczasem przybiegli  
Henri i Pascal,

pokrzykując i domagając się wyjaśnień.  
Elise powiedziała im, co się' wydarzyło,  
nie

spuszczając wzroku z Reynauda, który  
zawrócił z rekonesansu. Za nim podążał,

opierając się

na kulach, St. Amant.

- Wracajcie do obozowiska - rozkazał Reynaud. - Ja się tym zajmę.

Posłusznie wykonali polecenie. Elise nadal trzymała madame Doucet w ramionach.

Henri i St. Amant usiedli w pobliżu kobiet, Pascal oparł się o drzewo, nie wypuszczając z rąk

muszkietu. Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał, tylko madame Marie nie przestawała

szlochać. Po jakimś czasie jęki  
nieszczęśnej kobiety przybrały bardziej  
zrozumiałą postać.

- Och, moja córka, moja piękna Anette,  
odeszła, odeszła, odeszła. I Charles, taki

słodki, taki kochany i taki malutki. Oni  
umrą, wiem o tym.

- Cicho bądź, kobieto - burknął Pascal. -  
Wszyscy umrzemy, jeżeli ściągniesz tu

Indian.

- Ale pan tego nie widział. Charles  
płakał i oni go uderzyli, drogiego,  
małego



Charles'a, mojego jedyne go wnuka. A  
moja córka ... miała krew na włosach ...  
Och, mon

Dieu, mon Dieu, nie mogę tego znieść.  
Nie mogę.

Elise robiła, co w jej mocy, by uspokoić  
kobietę, szepcząc słowa pociechy i  
ocierając

jej łzy z policzków. Henri przysunął się  
bliżej. Zniżając głos, zapytał:

- Widziała pani coś, madame Laffont?

Potrząsnęła głową.

- Ale to nie znaczy, że nikogo tam nie

było.

Pascal i St. Amant wymienili przeciągłe spojrzenia. St. Amant wzruszył ramionami.

- Ale jak im się udało ścigać nas aż dotąd? - zapytał Henri.

- Pomimo środków ostrożności zostawiamy za sobą ślad niczym stado bizonów. Żadne

z nas nie jest jednym z tych coureurs des bois, traperów nawykłych do życia w lasach.

- Więc czemu nie zaatakowali? Po co nas śledzą? upierał się chłopiec.

- Być może z szacunku dla naszego przewodnika - zasugerował St. Amant.

- Albo w porozumieniu z nim - dodał Pascal, wykrzywiając drwiąco wargi.

- Co pan ma na myśli? - zapytała Elise.

- Być może Chavalier bawi się z nami, udając, że nas prowadzi w bezpieczne miejsce.

A kiedy znudzi mu się ta gra, wezwie swoich przyjaciół - albo sam nas zabije.  
A przynajmniej

spróbujecie. - Kupiec uniósł wyżej muszkiet.

- Niech pan nie będzie śmieszny! Nie mamy niczego, co mogłoby stanowić dla niego

jakąś wartość.

- Doprawdy? - Szyderstwo w jego głosie nie pozostawiało wątpliwości, co ma na

myśli, zwłaszcza że towarzyszyło mu lubieżne spojrzenie.

U niosła brwi i wydeła usta.

- Jeżeli pije pan do mnie, to muszę panu przypomnieć, że o wiele łatwiej byłoby mu

pozbyć się was i zabrać mnie jako swego jeńca.

- Broni pani tego mieszańca?

- Mówię, jak postrzegam sytuację.

- Musiał dokonać nie lada wyczynu wczoraj w nocy, skoro udało mu się zadowolić

naszą oziębłą wdówkę.

Elise wbiła w niego spojrzenie.

- Co pan powiedział?

- Chepart tak panią nazwał. Nie wiedziała pani o tym?

- Mogłam się domyślić - rzuciła z ironią.

- Żaden Francuz nie był dość dobry, by cię rozruszać, a wystarczyła jedna noc z

mieszkańcem i topniejesz jak wosk. Cóż to za ogień zdołał pod tobą rozpalić, madame

madame, jakimże narzędziem posłużył się, by tak rozgrzać?

Usłyszeli delikatny dźwięk, coś jakby szum wiatru w gałęziach drzew, i Reynaud

wszedł między nich.

- Skoro jesteś taki ciekawy, Pascal,

dlaczego nie zapytasz mnie? -  
powiedział

podejrzanie spokojnym tonem.

Pascal otworzył usta, lecz kiedy  
napotkał spojrzenie nieubłaganych  
szarych oczu i

dostrzegł miedzianą dłoń spoczywającą  
niebezpiecznie blisko noża, zawahał się.  
Oblizał

wargi.

- To ... to nie mój interes.

- Więc lepiej o tym pamiętaj.

Madame Doucet chwyciła Reynauda za nogawkę.

- A ... ten Indianin, którego widziałam?

- To nie był Natchez, lecz Tensas.

- Należał zatem do plemienia, które miało walczyć u boku ludzi Wielkiego Słońca -

powiedziała Elise szybko.

- To prawda. Jednak skoro Natchezowie uderzyli przed wyznaczonym dniem,

Tensasowie zwrócili się przeciw nim. Ten człowiek to tylko zwiadowca, zupełnie



nieszkodliwy.

- Odnalazł pan go? Rozmawiał z nim? -  
dopytywał się St. Amant.

Reynaud skinął głową.

- Krótko.

W jego głosie była jakaś nuta, której  
Elise nie rozumiała. Czyżby nikt inny  
tego nie

spozstrzegł? - pomyślała. A może tak  
bardzo bali się mieszańca, że nie śmieli  
o nic zapytać?

Niemile wrażenie szybko minęło,  
wszyscy odetchnęli z ulgą, szukając

odprężenia w

gorączkowej rozmowie.

Dzień przemknął niepostrzeżenie,  
znikając za mgiełką zmęczenia.

Przekraczali

strumienie, walczyli z rojami moskitów,  
przepakowywali tobołki i rozdzielali je  
od nowa, aby

oszczędzić otarte miejsca na plecach i  
barkach. Sztywność obolałych z wysiłku  
mięśni

stopniowo przechodziła w ciągłe  
znużenie. Ich krok wydłużył się, zyskując  
regularny rytm.

Indianie już się nie pojawili. Wędrowcy przedzierali się przez dziewicze tereny,

porośnięte drzewami cyprysowymi, których korony zwieszały się na wysokości

pięćdziesięciu metrów, dębami i orzechami o pniach tak potężnych, iż trzech mężczyzn z

trudem dałoby radę je objąć, i tak obficie sypiących orzechami i żołędziami, że grunt pod

nimi - żerowisko wiewiórek - pokryty był grubą warstwą łupin.

Marsz urozmaicały błazeństwa tych

małych zwierzątek - szarych bądź rudych  
- i tak

ciekawskich, że bawiły się w berka tuż  
nad ich głowami, poskrzekując gniewnie  
na

przechodzącą dołem kolumnę.

Dostrzegali ciche stadka jeleni znikające  
w puszczy przed nimi

i od czasu do czasu zatrzymywali się,  
aby przepuścić rodzinę oposów,  
zwanych przez

Francuzów leśnymi szczurami. A raz  
przez dobrą chwilę stali, wstrzymując  
oddechy, nim

skunks buszujący w zeschniętych liściach  
nie upewnił się, że nie zostało tam już  
nic do

zjedzenia, i nie odszedł w swoją stronę.

W pewnej chwili Elise nastąpiła na  
spróchniały pień leżący u wylotu  
naturalnej

polanki i kolec dzikiej śliwy wbił jej się  
w stopę. Drzewa te, których drżące na  
wietrze liście

zaczynały już żółknąć, rosły tu gęsto,  
wyciągając w stronę przechodzących  
kolczaste gałęzie.

Elise nie zauważyła uschniętego konara,

dopóki nie poczuła przenikliwego bólu.  
Kolec

przeciął but i wbił się w ciało z boku  
stopy. Nie chciała zawracać nikomu  
głowy tą drobną

sprawą, a poza tym Reynaud narzucił tak  
szybkie tempo marszu, że nie było mowy  
o tym, by

się zatrzymać i obejrzeć nogę. W ciągu  
kilku następnych godzin tak mocno otarła  
sobie

ramię, że zupełnie zapomniała o kolcu w  
stopie. Przypomniała sobie o nim  
dopiero

wieczorem, kiedy rozbili obóz i przygotowali wieczorny posiłek.

Była już jednak tak zmęczona, że nie miała siły zdjąć buta i opatrzyć ranki. Pochyliła

się więc tylko w przód, objęła podkurczone nogi ramionami i siedziała w bezruchu, wpatrując

się w płomień. Madame Doucet wcześniej udała się na spoczynek i wkrótce z jej szałas

zaczął dobiegać szloch. Płakała, dopóki nie usnęła.

Henri dokądś powędrował, a Pascal i

Sto Amant poszli do lasu i wrócili  
dopiero, gdy

pora była kłaść się spać. Prawdę  
mówiąc, Elise spodziewała się, że  
Reynaud także odejdzie,

jak zeszłego wieczoru. Niedaleko  
obozowiska znajdowało się źródło,  
gdzie zaopatrywali się

w wodę. Bez wątpienia można też było  
się w nim umyć. Dla siebie Elise  
nastawiła garnek

wody, która zaczynała właśnie wrzeć.

Jednak Reynaud nawet się nie ruszył.  
Leżał na boku po drugiej stronie



ogniska,

wsparty na łokciu. Spojrzała na niego, a potem na ich szalas, stojący z dala od innych. Jeżeli

jej wybawiciel i prześladowca był świadomy napięcia, jakie odczuwała, to nie dał tego po

sobie poznać. Jego twarz o ostrych rysach, ozłocona żółtopomarańczowym światłem

płomieni, wyrażała obojętność.

Lecz Reynaud czuwał. Obserwował Elise, widoczną w blasku ogniska, czując dziwne

napięcie w lędźwiach. Podwinęła  
aksamitne rękawy żakietu i teraz  
tańczące płomyki

przydawały złocistego blasku  
delikatnym krzywiznom jej ramion.  
Pragnął je pogłodzić;

przesunąć palcem wzdłuż zmarszczki  
pomiędzy brwiami i wąskiego grzbietu  
nosa aż po

delikatną miękkość warg. • Ponieważ nie  
mógł tego zrobić, śledził grę uczuć na jej  
twarzy i

nasłuchiwał.

Wysoko w koronie drzewa, pod którym

on wkrótce będzie leżał obok tej  
kobiety, szop

przeskakiwał z gałęzi na gałąź.  
Niedługo, gdy wokół zapanuje cisza,  
ześliznie się po pniu i

zniknie w mroku nocy. W szalasię Henri  
przewracał się niespokojnie z boku na  
bok, śniąc

zapewne o tym, jak morduje Reynauda,  
by ocalić Elise. Biedny Henri się  
zakochał. Reynaud

nie był nieczuły i gdyby to tylko było  
możliwe, nie podsyciłby wstrętu  
chłopca do sytuacji, w

jakiej się znaleźli. Kłopot w tym, że nic nie mógł na to poradzić. Będzie musiał uważać na

Henriego. Często takie pierwsze uczucie może przysporzyć więcej kłopotów niż jawna

zdrada.

Pascala także nie należało spuszczać z oka. Nie dbał o to, że został zmuszony do

wycofania się, i to w obecności Elise. Jednak zraniona duma może domagać się

zadośćuczynienia. Być może powinien odrzucić na bok swoją niechęć do tego

człowieka i

postarać się zrozumieć frustrację  
mężczyzny, którego wolność została  
kupiona za względy

kobiety, rozmyślał Reynaud. „Chyba że  
przypisuje Pascalowi zbyt wielką  
wrażliwość. Z

charakteru przypominał komendanta  
Cheparta - był równie głupi jak on i tak  
samo

skoncentrowany na sobie. Taki człowiek  
nie potrafi czuć się czymkolwiek  
dłużnikiem. Jeżeli

sprawy tak właśnie się mają, tym łatwiej

będzie sobie z nim poradzić.

St. Amant był inny. O ile Reynaud potrafił to ocenić, kołatały się w nim jeszcze

resztki arystokratycznego wychowania. Wielu podobnych mu młodych chłopców zjechało do

kolonii, by zdobyć majątek i błyszczeć potem na francuskim dworze. Inni schronili się tu

przed prawem albo wierzycielami, którym nie mogli spłacić długów honorowych. Dla ludzi

tego pokroju Luizjana okazywała się na

ogół bardziej więzieniem niż  
schronieniem.

Madame Doucet stanowiła balast, nie  
było na to innego słowa. Spowalniała  
marsz,

rozpacz i strach odbiły się na stanie jej  
umysłu i trzeba jej będzie dobrze  
pilnować, aby nie

ściągnęła na nich nieszczęścia. Powierzy  
ją Henriemu, zdecydował. Zapewni w  
ten sposób

starszej damie opiekę i zajmie czymś  
chłopca, zlecając mu pożyteczne, a  
zarazem

odpowiedzialne zadanie.

Wrócił myślami do kobiety po drugiej stronie ogniska.

Jego oczy zwęziły się, a mimowolny uśmiech wykrzywił kącik ust. Bardzo się starała

dotrzymać im kroku i udawało się jej to, chociaż sił dodawały jej zapewne złość i duma. Nie

dbał o to, że gniew, widoczny w jej oczach, skierowany był przeciw niemu - lepszy gniew niż

strach. Nadal robiło mu się niedobrze na myśl o tym, jak drżała w jego ramionach



poprzedniego wieczoru. Przez cały długi dzień próbował odsunąć od siebie myśli o tym, jak

podle musiał traktować ją ten łajdak, jej mąż, oraz wyrzuty sumienia z powodu tego, co sam

zrobił, stawiając jej ultimatum. Być może poczułby się lepiej, gdyby potrafił przekonać

samego siebie, że skłoniła go do tego troska o nią, nie pożądanie.

Boże, ależ on jej pragnął!  
Niewymuszony wdzięk, z jakim się poruszała, połysk

aksamitu na krągłościach jej piersi,  
lśnienie i ciężar włosów zaplecionych w  
warkocz,

smukłość szyi - wszystko to sprawiało,  
że krew szybciej zaczynała krążyć mu w  
żyłach.

Widok białej, smukłej kostki i wąskiej  
stopy, kiedy zdjęła but i pończochę,  
także

pozbawił go spokoju. Ona zaś chyba o  
tym wiedziała, gdyż uniosła wyżej  
spódnice i

przysunęła nogę bliżej ognia, by  
oświetliły ją płomienie.

- Co robisz?

Elise podniosła głowę, zaskoczona szorstkością Jego głosu ..

- Próbuję dojrzeć, czy kolec nadal tkwi w stopie.

- Nadepnęłaś na kolec?

- Przebił cholewkę buta.

- Pozwól mi rzucić okiem. - Jednym zwinnym ruchem dźwignął się na nogi, a potem

okrążył ognisko i przykląkł tuż obok niej.

- Sama mogę to zrobić - powiedziała szybko, cofając stopę.

- Nie sprawię ci bólu.

- To ... to nic takiego, zwykłe zadrapanie.

- Kolec mógł się złamać i utkwić w ciele.

Jego głos, choć miękki i przekonujący, miał twardość stali. Spojrzała na Reynauda

niezdecydowana. Jeżeli stało się tak, jak mówił, ranka może się paskudzić, co groziło

zakażeniem krwi. Nie mogłaby wówczas chodzić, a tego należało za wszelką cenę uniknąć.

- No dobrze - powiedziała niezadowolona, wyciągając ku niemu stopę. - Spójrz na to!

Objął ciepłym uściskiem jej kostkę, drugą dłonią podtrzymując piętę. Przez chwilę w

milczeniu wpatrywał się w czerwoną pręgę na skórze Elise.

- I co?

- Widzę ciemny punkcik, prawdopodobnie kolec. Masz może

igłę?

- Nie - odparła krótko.

- Więc wyjmę go czubkiem noża -  
powiedział, ignorując natychmiastowy  
protest i

próbę wyrwania stopy. - Ale mam  
pewien warunek. Usunę kolec, jeżeli ty  
zrobisz to samo dla

mnie.

Uspokoila się.

- Wbił ci się? .

Puścił ją i odwrócił się, aby pokazać

prawą rękę. To, że skaleczenie nie było poważne,

zawdzięczał wyłącznie twardości swojej skóry, gdyż kolec był gruby i wyglądał paskudnie.

Długi na ponad dwa centymetry, tkwił wbity mocno w mięsień wewnętrznej strony dłoni.

Elise natychmiast zdała sobie sprawę, że trudno byłoby mu go usunąć lewą ręką.

- Nie wiem, czy potrafię.

- Spodoba ci się to - powiedział, błyskając zębami w uśmiechu.

Całkiem możliwe. Zmarszczyła brwi, by ukryć tę myśl.

- Spróbuję.

- Dobrze.

Ujął ponownie stopę Elise i nim zdążyła się przygotować, wbił w nią koniec noża.

Poczuła ukłucie i ostry ból.

- Auuu! - jęknęła, wciągając gwałtownie powietrze.

- Przestań się wiercić.

- Tylko poczekaj - mruknęła przez



zaciśnięte zęby.

Nie skomentował tego. Po chwili wyjął nóż z ranki i przycisnął ją kciukiem, by zatamować wąską strużkę krwi.

- Oto twój kolec.

- Pokaż - zażądała posepnie, najwidoczniej nie dowierzając, że w ranie cokolwiek

było.

Lecz kolec naprawdę istniał, długi na pół centymetra i połyskujący ciemno na czubku

noża, a potem na dłoni Reynauda. Kiedy skinęła głową, Reynaud wyrzucił kolec i wstał.

- Nie ruszaj się, zaraz wracam.

Obserwowała, jak znika w lesie, poruszając się tak swobodnie jak za dnia. Spojrzała

na swoją stopę, spodziewając się głębokiego rozcięcia, lecz zobaczyła tylko małą czystą ranę,

nie głębszą niż początkowe zadrapanie. Krwawienie już właściwie ustało, podobnie jak

pulsujący ból, który skłonił ją do zdjęcia

buta i pończochy.

Usłyszała cichy dźwięk, a potem  
Reynaud znowu pojawił się obok niej.  
Pochylił się

nad wrzącą w garnku wodą i wrzucił do  
niej coś, co wyglądało jak garść śmieci.  
Widząc jej

zdumienie, wyjaśnił:

- To kora czerwonego dębu, zapobiegnie  
zatruciu krwi. Będziesz musiała  
zanurzyć

stopę w wywarze.

- Ale to była woda na mycie!

- Przyniosę ci następną, tymczasem ...

Podał jej nóż, a potem odwrócił dłoń tak, aby kolec był widoczny, i położył ją na

kolanie Elise.

Chwyciła nóż delikatnie prawą ręką, trzymając za ostrze tuż przy czubku, lewą

zaciśnęła na jego palcach. Spoglądając na poraną bruzdami skórę, zaczęła się zastanawiać,

jak najlepiej usunąć kolec. Zwilżyła usta i przygryzła od wewnątrz dolną wargę. Gdzie się

podział jej gniew i chęć rewanzu?  
Zniknęły, gdy ich potrzebowała.

Zerknęła na Reynauda. Obserwował ją,  
nie spuszczając z niej intensywnego  
spojrzenia

ciemnoszarych oczu. Natychmiast  
poczuła się pochwycona w sidła,  
niezdolna odwrócić

wzrok. Jej serce przyśpieszyło rytm.  
Opuściła szybko rzęsy.

Gdyby spróbowała ciąć twardą,  
zrogowaciałą skórę nad kolcem, nóż  
tylko by się po

niej ześliznął. Potrzebowała lepszego

punktu oparcia. Uwolniła palce Reynauda, chwytając

mocno za ciało na dłoni i ściskając warstwę skóry, by pozostała nieruchoma. Zaczerpnęła

głęboko powietrza i czubkiem noża przecięła skórę. Przesunęła szybko ostrzem wzdłuż kolca,

eksponując go, a potem odrzuciła nóż, paznokciami chwyciła podstawę kolca i usunęła go z

rany, która natychmiast zaczęła krwawić. Jednak Elise ledwie to zauważyła. Z jej piersi

dobyło się coś, co było zarówno westchnieniem, jak i śmiechem. Unosząc z triumfem kolec,

spojrzała na mieszańca.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że Reynaud nie odezwał się ani nie poruszył.

Oczywiście, usunięcie kolca to nic wielkiego, mimo to większość znanych jej mężczyzn

poddanych temu niewielkiemu zabiegowi wierciłaby się i narzekała. Kiedy pewnego razu

musiała oddać podobną przysługę

Vincentowi, zaklął głośno i uderzył ją, a  
gdy było po

wszystkim, poszedł uspokoić nerwy  
solidną porcją koniaku. Napotkawszy  
nieruchome

spojrzenie Reynauda, domyśliła się, że  
go bolało. W końcu, jak każdy  
śmiertelnik, miał ciało i

nerwy. Różnica polegała na tym, że on  
akceptował ból i godził się go przyjąć,  
nie pozwalając,

aby cierpienie odniosło nad nim  
zwycięstwo. Ciekawe, co jeszcze kryje  
się za niewzruszoną



maską jego twarzy, pomyślała Elise.

Przemyli ranę naparem kory dębowej i owinęli ją paskami miękkiej skóry, aby

zapobiec zabrudzeniu. Reynaud przyniósł więcej wody, a potem zostawił Elise przy ognisku i

ruszył w stronę źródła. Elise przez dobrą chwilę zastanawiała się, czy znowu powinna spać w

sukni. Jeśli zostanie tylko w koszuli, może Reynaud nie potraktuje tego jak zaproszenie. Po

tym, co między nimi zaszło, nie wydawało się to prawdopodobne.

Rozpuściła włosy i

przezcesała je palcami.

Wreszcie potrzeba wygody zwyciężyła i Elise wczołgała się do szałasu tylko w bieliźnie.

Niepotrzebnie się martwiła. Kiedy Reynaud wreszcie do niej dołączył, spała głęboko

pośrodku legowiska z futer. Nie dotknął jej, ale ostrożnie ułożył się obok. W szałasie było

zbyt mało miejsca, żeby mogli leżeć inaczej. Kiedy naciągał na nich futra,

Elise westchnęła i

wyprostowała nogę, przesuając udo  
wzdłuż jego nogi. Delikatny dotyk  
miękkiej, gładkiej

skóry podniecił Reynauda, wyzwalając  
w nim jednocześnie szczególne poczucie  
winy - jakby

złamał przysięgę. Ułożył się w  
bezpiecznej odległości od śpiącej i z  
determinacją zamknął

oczy.

Elise obudziła się, gdyż było jej zbyt  
gorąco i miała wrażenie, że się dusi.  
Otworzyła

oczy. Słabe światło poranka rozjaśniało mrok szałas, pozwalając rozpoznać podtrzymujące

go paliki. Uświadomiła sobie, że futra do połowy zakrywają jej twarz, a coś ciężkiego

przygniata żebra i kolano. Gdy tylko zdała sobie sprawę, co, a raczej, kto ją podtrzymuje,

zrzuciła z siebie gwałtownie ten ciężar i usiadła. Ścianka szałas zatrzęsła się, kiedy Elise

oparła się o nią plecami. Odwróciła się i spojrzała na Reynauda.

Nie odwrócił wzroku, a w jego spojrzeniu dostrzegła iskierki rozbawienia.

- Dzień dobry - powiedział jak gdyby nigdy nic. Opadła na posłanie, zaciskając

powieki. Odczekała, aż uspokoił się jej puls. Przełknęła ślinę i otworzyła oczy.

- Dzień dobry.

Teraz, kiedy Elise leżała przytulona do ściany szałasu, pośrodku zrobiło się więcej

miejsca, toteż Reynaud przeciągnął się i wyprostował na całą długość, a nawet

założył dłonie

za głowę.

- Jeżeli niechcący cię dotknąłem -  
powiedział obojętnym tonem - to bardzo  
przepraszam.

Spoglądała na niego podejrzliwie  
oczami w kolorze bursztynu, o  
tęczówkach usianych  
rdzawymi cętkami.

- A dotknąłeś?

Odwrócił głowę, by na nią spojrzeć.

- Przynajmniej w myśli.

Jej proste, piękne włosy spływały miodowobrazowym welonem na ramiona i dalej,

poniżej talii, niczym jedwab pokrywały skórę bizona, którą byli okryci.

Miękki lok, delikatnie zakręcony na końcu, opadł na lewą pierś Elise i połyskiwał w

mroku poruszany oddechem, przyciągając wzrok ku miękkiej okrągłości, na której spoczywał,

sterczącej brodawce i ciemnemu kręgowi sutka, prześwitującego przez

sprany materiał

koszuli.

Elise podążyła spojrzeniem za'  
wzrokiem Reynauda, czując, jak coś  
ściska ją w

żołądku.

- Nie powinniśmy już wstać? - spytała.

- Jeszcze nie pora.

- Lecz inni być może już się obudzili i  
moglibyśmy ...

- A poza tym - przerwał jej, nie  
podnosząc głosu - nie załatwiliśmy



jeszcze naszych

spraw.

- Myślisz o ... - umilkła, niezdolna znaleźć odpowiednich słów.

- Owszem.

- Przecież jest rano!

- A kto ci powiedział, że takie rzeczy dzieją się tylko w nocy?

- Nie mogę - powiedziała z przekonaniem. - Nie mogę, kiedy na mnie patrzysz.

- Więc zamknę oczy.

Zacisnęła dłoń w pięść i uderzyła nią o futra.

- Dlaczego to robisz? Przecież nie może ci to sprawiać przyjemności.

- Doprawdy? Nie może?

- Chyba że lubisz mnie torturować!

- Absolutnie nie.

- Nic z tego.

Nie patrzyła teraz na Reynauda, a ton jej głosu jasno wskazywał, że ledwie nad sobą

panuje.

- Pamiętaj o konsekwencjach.

- Nie wierzę, że nas zostawisz, a poza tym przebyliśmy już prawie połowę drogi.

Poradzimy sobie.

- Niespełna połowę, a najgorsze jeszcze przed nami.

Lecz może wolałabyś, bym przejął inicjatywę? - Wyciągnął rękę i dotknął intrygującego loka na piersi Elise.

Klepnęła go w dłoń i gniewnym ruchem odrzuciła na plecy pasmo włosów.

- Spróbuj mnie zmusić, a pożałujesz -  
powiedziała, wpatrując się w niego  
zwięzionymi

z gniewu oczami.

- Naprawdę? - Choć słowa brzmiały  
spokojnie, w głębi jego szarych oczu  
czaiła się

nutka wątpliwości.

- Już ja się o to zatroszczę.

Gęste rzęsy Reynauda opadły, kryjąc  
wyraz jego oczu.

- Jeżeli masz na myśli to, o czym i ja  
pomyślałem, to nie mogę się już

doczekać, kiedy

spróbujesz.

Już ona się o to zatroszczy, przyrzekła to sobie solennie.

Z drżeniem w sercu przysunęła się bliżej i zsunęła niżej futra zakrywające

Reynaudowi pierś. Cichy odgłos wciąganego gwałtownie do płuc powietrza, gdy jej palce

delikatnie przesunęły się po jego płaskim brzuchu, zdopingował ją, by nacisnęła mocniej.

Lecz chociaż miała ochotę wbić

paznokcie w jego skórę, jakoś nie mogła tego zrobić. Zamiast

tego przesunęła delikatnie dłoń ku górze, wokół pępka i przepony męczyzny, a potem

wzdłuż mostka. Drażniła się z nim, grożąc, a zarazem podniecając. Poświęciła chwilę uwagi

jego sutkom i przesunęła palcem wzdłuż linii tatuażu, a potem zbadła płytkie zagłębienie u

nasady szyi i dołek w brodzie.

Przyszędł jej do głowy pewien pomysł, uniosła się więc na łokciu i pozwoliła

włosom

ześliznąć się lśniąca kaskadą na twarz  
mężczyzny. Utworzyły rodzaj namiotu  
wokół jego

głowy i ramion. Uśmiechając się lekko,  
ujęła kosmyk włosów i przesunęła nim  
delikatnie,

drażniąco, po jego ustach, a kiedy  
zacisnął wargi, zrobiła to ponownie, tym  
razem zwracając

większą uwagę na kąciki ust. Nie  
poruszył się, lecz mięśnie jego ramienia,  
o które się

opierała, stwardniały niczym rzemień.

Powoli, bardzo powoli przesunęła lok pod nosem

mężczyzny i wzdłuż krzywizny obu policzków. Następnie kosmyk włosów powędrował ku

oczom Reynauda, zagłębieniom powiek, czołu i skroniom, by w końcu obrysować zawiły

kształt ucha.

To, że Reynaud prawie nie reagował na to bezlitosne łaskotanie, zezłościło Elise,

prowokując ją do coraz śmielszych poczynań. Zsunęła się niżej, tak że



miękkie pasma jej

włosów leżały teraz na piersi Reynauda.  
Wykonując głową szerokie, zamaszyste  
ruchy,

zaczęła masować ją jedwabistymi  
splotami. Ciepło ich ciał wydobyło z  
nich zapach

fiołkowego mydła, którego używała  
podczas ostatniej kąpieli w domu.  
Zsuwała się coraz

nżej, wodząc dłonią wzdłuż jego boku i  
pieszcząc włosami brzuch, z twarzą  
ukrytą za

kurtyną włosów.

Twardość ciała Reynauda, jego skrywana siła, którą wyczuwała czubkami palców,

sprawiły jej głęboką i nie do końca uświadomianą przyjemność.

Delikatnie i jakby niechcący przytuliła się do niego, pozwalając, aby krągłości jej

piersi otarły się o jego ramię. Musnęła kolanem twarde mięśnie jego nóg i poruszała biodrami

tak, że niewielki wzgórek w złączeniu jej ud ocierał się o knykcie jego spoczywającej

swobodnie dłoni. Gdzieś w środku poczuła narastające ciepło i głębokie zadowolenie,

rozprzestrzeniające się po całym ciele, jak kojący, a zarazem podniecający narkotyk.

Zsunęła stopą futro i obnażyła Reynauda aż do kolan.

Zasłona z włosów powędrowała niżej, to przykrywając, to otaczając jego męskość.

Dotknęła jego członka, z początku przez przypadek, lecz kiedy natychmiast uniósł się i zaczął

pulsować, Elise pochwyciła go w kokon  
włosów i mocno ścisnęła splotami,  
czując przyływ

gorąca i triumfu, gdy zdała sobie  
sprawę, że teraz on nie może już zaprzecć  
się swojej

fizycznej reakcji.

Pragnął jej. I to pragnął mocno,  
niewiarygodnie wręcz mocno. Jednak  
obiecał, że jej

nie weźmie, nie dotknie. A zatem  
najgorsze, co Elise mogłaby mu teraz  
zrobić, to zostawić go

w stanie niezaspokojonego pożądania.

Nawet jej sprawi to przykrość, więc  
jaką torturą będzie

dla niego!

I tak właśnie zrobiła. Przesuwając  
powoli, pieszczotliwie włosami wzdłuż  
jego ciała i

wycofując się niepostrzeżenie, by nie  
zdołał jej zatrzymać ani pochwycić. A  
potem było już

za późno. Kłapa zakrywająca wejście do  
szałasów zakołysała się gwałtownie i  
Elise już przy

nim nie było. Rzucił się w pogoń za nią,  
lecz .natychmiast olbrzymim wysiłkiem

woli

powstrzymał się i opadł z powrotem na futra, przyciskając do czoła zwiniętą w pięść dłoń. A

kiedy wpatrywał się w falujący materiał zasłony, w jego mózgu rozbrzmiewała wciąż jedna

fraza: „Co ja najlepszego zrobiłem, zawierając ten diabelski układ z wdową Laffont? Co ja

zrobiłem!”.

- Hej, mieszańcu, idziesz w złą stronę! - zawołał Pascal, choć decyzję o tym, by stawić

czoło Reynaudowi, podjęli wspólnie.

Henri pierwszy zauważył, że stopniowo zbaczą coraz dalej na północ. Z początku

nie nikomu nie mówił, ponieważ sądził, że tak właśnie prowadzi szlak, którym podążali. A

kiedy wreszcie wspomniał o tym podczas postoju, minęły długie godziny, nim zdołali

zweryfikować jego podejrzenia, spoglądając na zachodzące słońce. Powinni posuwać się na

północny zachód, i tak. było do tej pory.

Teraz jednak Reynaud prowadził niemal prosto na

północ.

- Słyszałeś?

Reynaud, który wyprzedzał ich mniej więcej o dwieście metrów, zwolnił i odwrócił

się, czekając, aż do niego dołączą.

- Słyszałem.

- I co na to powiesz?

- Mylicie się - odparł, hamując gniew. Od rana nie był w najlepszym humorze i



Z

trudem panował nad sobą. Uwaga kupca zirytowała go. Ten zaś oparł dłonie na biodrach i

wysunął do przodu szczękę.

- Nie jesteśmy traperami, lecz potrafimy odróżnić północ od południa.

Prowadzisz nas

prosto w głuszę.

- Nie. Tylko do mego domu.

- Twojego domu? - wykrzyknął Sto Amant. - Ale, mon ami, dlaczego? Mieliśmy iść

do fortu nad rzeką Red.

- I dojdziemy tam. Nie obiecywałem, że pójdziemy prosto do fortu.

- Ale to było oczywiste ...

- Dla kogo? Poprosiliście mnie, żebym was tam zaprowadził i tyle. Nie przypominam

sobie żadnych warunków.

- Musimy dostać się do fortu - powiedział St. Amant, rozkładając dłonie. - Są tam

ludzie, którzy nic nie wiedzą o powstaniu, o masakrze. Krewni

zabitych. Ktoś musi im o tym

powiedzieć.

- Nic się nie stanie, jeśli pozostaną w błogiej nieświadomości trochę dłużej.

- To będzie wyglądało dziwnie, jeżeli nie pojawimy się tam od razu.

- Doprawdy? Więc zrzucicie winę na mnie - powiedział Reynaud, wzruszając ramionami. - Muszę zająć do domu, by przygotować się do dalszej drogi.

- Nie możesz tego zrobić! - wrzasnął Pascal.

- A właśnie, że zrobię.

Elise, obserwująca mężczyznę, poczuła gniew, któremu towarzyszyło ukłucie lęku. Czy

to możliwe, że Reynaud zachowywał się tak z jej powodu? Czy uznał jej słowa, że teraz

potrafią już sami sobie poradzić, za wyzwanie? A może postanowił wyprowadzić ich głęboko

w las, w głuszę, znaną tylko Indianom i paru nieustraszonym francuskim traperom? Wtedy

znależliby się na jego łasce.

Reynaud odwrócił głowę i napotkał spojrzenie bursztynowych oczu Elise. Wyczytał w

nich oskarżenie i jego rysy stwardniały.

- A co my będziemy robić - zapytał St. Amant - kiedy ty będziesz się przygotowywał?

- Co tylko będziecie chcieli - odparł krótko Reynaud. - Możecie być moimi gośćmi

albo zaczekać na mnie tutaj lub iść dalej sami.

Nikt się nie odezwał. St. Amant spoglądał to na Elise, to na Pascala,

który stał ze

zmarszczonymi brwiami, rozmyślając nad czymś intensywnie. Madame Doucet płakała,

raczej przestraszona kłótnią niż dlatego, że rozumiała, o co chodzi.

Henri wysunął się naprzód, jego twarz pobladła, a dłonie zacisnęły się w pięści.

Głosem drżącym z emocji powiedział:

- Jee - e - st pan łajdakiem, Chavalier.  
W - w - wydaje pan rozkazy, a m - m -  
my

musimy słuchać, wszyscy, a zwłaszcza  
madame Laffont. P - pan prowadzi, a my  
m - m -

musimy iść za panem lub ryzykować  
śmierć. B - b - b - bawi się pan naszym  
życiem i

naszymi duszami i n - nie pozwala się  
powstrzymać. D - d - dałbym wszystko,  
żeby m - m -

móc pana powalić, t - t - tu i teraz.

- Nie wątpię, ale nie mogę pozwolić ci  
na to. A tak, nawiasem mówiąc, biedna

madame Laffont z pewnością podziela  
twoje oburzenie.

Elise podniosła wzrok, a kiedy Pascal napotkał jej spojrzenie, skinął nieznacznie, choć

znacząco głową w kierunku Reynauda. Kiedy nie zareagowała, uczynił to ponownie. Elise

pojęła, że kupiec chce, aby użyła swoich wpływów i odwiodła mieszkańca od powziętego

zamiaru. Zważywszy na to, co zaszło pomiędzy nimi rano, ten zamysł wydał się Elise

śmieszny, choć tak naprawdę wcale nie było jej do śmiechu.



Zwilżyła wargi.

- Panie ... Reynaud, nie mógłby pan jeszcze tego przemyśleć? Zwłoka może oznaczać,

że wieści dotrą do fortu przed nami, a wtedy miną tygodnie, nim ludzie dowiedzą się, że

jesteśmy bezpieczni. Nie wolno niepotrzebnie narażać naszych bliskich i przyjaciół na

rozpacz. A poza tym musi pan zrozumieć, że chcielibyśmy odzyskać naszą własność, a żeby

tak się stało, musimy przedstawić

sprawę gubernatorowi w Nowym  
Orleanie najszybciej jak

to możliwe.

- Własność? - zapytał Reynaud  
pogardliwie.

- To nasze źródło utrzymania, jedyne  
zabezpieczenie.

- Wasze bezpieczeństwo zależy  
wyłącznie od was samych.

- Jeżeli chodzi ci o moje ciało ... -  
zaczęła drżącym z gniewu tonem Elise.

- Nie - przerwał jej, wykonując krótki,  
urywany ruch dłonią. - Nie.

Uwierzyła mu i nie wiedziała, co jeszcze mogłaby powiedzieć. Nie знаła tego

mężczyzny zbyt dobrze, lecz rozumiała go wystarczająco, by zorientować się, kiedy wszelkie

argumenty stają się bezcelowe.

St. Amant odchrząknął.

- Proponuję głosowanie.

- Musimy iść z panem Chavalierem - powiedziała madame Doucet.

Starsza pani widać rozumiała więcej, niż myśleli. Kiedy minęło zaskoczenie,

St.

Amant zgodził się z nią. Pascal chciał iść do fortu, podobnie jak Henri. Elise wahała się, nie

wiedząc, co będzie dla nich lepsze.

- Ponieważ głosy podzieliły się równo, wygląda na to, że wybór należy do ciebie.

Spojrzała na Reynauda i dostrzegła w jego oczach iskiierki rozbawienia.  
Doskonale

zdawał sobie sprawę, że dla niej ten wybór oznacza coś więcej niż dla innych. Jeżeli

zdecyduje się iść do fortu, uwolni się od niego, a jeśli wybierze bezpieczeństwo przy boku

Reynauda, będzie musiała nadal dzielić z nim łóżę i usługiwać mu.

- To nonsens - powiedział Pascal. - Kobiety nie mają prawa głosu.

- Podobnie jak wyrostki - wtrącił Reynaud, nie patrząc na niego. - Co oznacza, że

głosować będziesz ty i St. Amant., I co wy na to? Czy ja mam zdecydować? A może wolałbyś

jednak usłyszeć, co ma do powiedzenia

pani?

W pierwszej chwili postanowiła dzielić los Pascala i Henriego, lecz uświadomiła

sobie, iż liczenie na to, że kupiec i młody chłopak potrafią odnaleźć drogę pośród ciągnącej

się dziesiątkami kilometrów zwartej masy drzew, pnączy i krzewów, jest po prostu niemądre.

Dlaczego miałyby ryzykować życie ich wszystkich, kierując się li tylko rozgoryczeniem? Nie

lepiej pozwolić, by Indianin cieszył się

zwycięstwem i znosić jego towarzystwo  
jeszcze przez

jakiś czas? Nie chciała ginać w głuszy.

- Wystarczy - burknął Pascal. - Ten twój  
dom, Chavalier, jak daleko od niego się  
znajdujemy?

- O dwa lub trzy dni drogi stąd.

- A zatem im szybciej wyruszymy, tym  
szybciej tam dojdziemy.

Rozbawienie zniknęło z oczu Reynauda,  
zastąpione niepokojem. Nie udało mu  
się

poznać odpowiedzi Elise. Zarzucił sobie  
na ramiona bagaż i ruszył przed siebie  
długimi

susami. Szybko też ich wyprzedził. I  
choć zostawiał za sobą dobrze  
zaznaczony ślad w

postaci jasnych, połyskujących żywicą  
nacięć na drzewach, nie zobaczyli go aż  
wieczorem,

kiedy dosłownie na niego wpadli.  
Sylwetka Reynauda rysowała się na tle  
ognia,

prowadzącego ich niczym latarnia  
morska, płonącego jasno nad rzeką,  
której wody miały



smak soli.

## **ROZDZIAŁ V**

Księżyc wstawał nisko nad horyzontem:  
olbrzymi, żółtawopomarańczowy,  
otoczony

błękitnym pierścieniem. Choć mijający  
dzień był ciepły, noc zapowiadała się  
chłodna. Lekki

wietrzyk poruszał gałęziami drzew,  
posyłając na ziemię miękkie deszcz liści.  
Wkrótce

nadejdzie zimno i mróz, lecz jeszcze nie  
teraz. Jeszcze nie. Na razie mogli  
cieszyć się

winnosłodkimi dniami jesieni, zwanej indiańskim latem. W tym roku trwała ona wyjątkowo

długo, co wobec zaistniałych wypadków zdawało się szczególnie okrutnym żartem.

Pascal udał się już na spoczynek, podobnie jak madame Doucet. St. Amant i' Henri

siedzieli w pobliżu ognia, rozmawiając przyciszonymi głosami. Reynaud zniknął wkrótce po

kolacji i więcej się nie pojawił. Elise nie mogła znaleźć sobie miejsca pomimo zmęczenia,

które otulało ją niczym płaszcz. Przy ogniu było zbyt gorąco, 'a nie czuła się dość śpiąca, by

iść do szafasu. Nie miała też ochoty przyłączyć się do rozmowy mężczyzn. Wypowiedzi St.

Amanta, pomimo całej arystokratycznej powściągliwości, cechował denerwujący cynizm,

zwłaszcza gdy jednym tchem wspominał ją i mieszańca. Henri zaś patrzył na Elise z takim

psim oddaniem, że czuła się nieswojo, choć dziś po południu wydawało się jej, że w

spojrzeniu chłopca dostrzega cień  
wymówki.

Westchnęła, widząc kolejne przetarte  
miejsce na swoim niegdyś wspaniałym

aksamitnym żakiecie. Dlaczego tak  
trudno współżyć z bliźnimi? Dlaczego  
nieustannie

oceniają cudze zachowanie i osądzają  
je? Kłóczą się i zabijają? Co zmusza  
ludzi, by napadali z

krzykiem na innych, podobnych sobie?  
Dlaczego na ziemi nie zapanuje pokój,  
czemu ludzie

nie współpracują ze sobą ku

powszechnemu dobru, wykazując się tolerancją? Czy była tak

niemądra, że nie potrafiła dostrzec przyczyny?

Mężczyźni i kobiety są tacy, jakimi stworzył ich Bóg omylni. Czy mimo to nie mieli

dosyć inteligencji, by dostrzec, że chciwość i zdrada, tak jak w przypadku Natchezów,

prowadzą do nienawiści i zemsty? Jak wiele bólu, cierpienia i śmierci dzieli ich jeszcze od

czasu, kiedy Francuzi będą mogli znów

żyć w pokoju ze swymi indiańskimi sojusznikami?

Zadane krzywdy rodzą chęć zemsty, zapoczątkowując niekończący się rozlew krwi. Czy oni

tego nie widzą?

Zaczerpnęła głęboko tchu, gdyż uderzyła ją nagła myśl.

Piękne słowa, lecz jak odnoszą się do niej? Z powodu krzywdy, którą wyrządzono jej

w przeszłości, ona także dokonała dziś swojej małej zemsty, i to wobec mężczyzny, który

odmówił sobie prawa do obrony. Być może zasłużył na to, zważywszy na sposób, w jaki

zmusił ją, by dzieliła z nim łożę, lecz kiedy zorientował się, iż żywi wstręt do miłości

fizycznej, zostawił ją w spokoju. Zachowała się niegodnie.

Wykorzystała fakt, że Reynaud Chavalier jest człowiekiem honoru, i to nie było w

porządku. Wyrzuty sumienia, dotąd nieznane i niepożądane, dosięgły jej dopiero teraz, choć

przez cały dzień czaiły się gdzieś w  
głębi umysłu. Pokusa, by zemścić się na  
nim za jego

żądania, była trudna do odparcia, lecz to  
jej nie usprawiedliwiało. Wiedziała, że  
on nie może

jej odpłacić tym samym. Dał przecież  
słowo, a ona ufała, że go dotrzyma.

Zaufanie. Dziwne słowo w odniesieniu  
do mieszańca w stroju dzikusa,  
mężczyzny,

który zażyczył sobie jej usług, zmusił ją,  
by dzieliła z nim łóżko i szantażował  
bezlitośnie,



próbując nagiąć do swojej woli. Mimo to ufała, że dotrzyma raz danego słowa. Wierzyła bez

zastrzeżeń, że jej nie tknie, nie bała się, że w gniewie podniesie na nią rękę.

W ogóle się go nie bała.

Wpatrując się w mrok nocy, zaczęła rozważać ten dziwny fakt. Oczywiście, nie była

strachliwa. Nie bała się piorunów, węży, myszy ani pełzających robaków. Jedyne lęk,

rozbudzony w niej w przeciągu kilku lat małżeństwa, dotyczył poczucia

zależności od

mężczyzny, podporządkowania jego sile i rozbuchanej pożądliwości. Walczyła z nim,

podobnie jak walczyła z mężczyznami, którzy próbowali ją w ten sposób traktować, jednak

ten lęk zawsze w niej był. Dopóki nie spotkała Reynauda Chavaliera.

Przepędził go za

pomocą kilku słów i żelaznej kontroli rządzącej każdym jego działaniem, pozwolił dać wiarę

jego przyrzeczeniu i zdać się na nie.

Elise miała pewien kodeks zasad,  
według którego żyła.

Wykształcił się podczas trzech lat po  
śmierci męża, kiedy musiała radzić  
sobie w

świecie, który należał do mężczyzn.  
Podstawową przesłanką była uczciwość.  
Prowadząc

farmę, pracowała ciężko i tego samego  
wymagała od swych pracowników. Nie  
targując się,

płaciła rozsądną cenę za to, co  
kupowała, lecz ani grosza więcej.  
Sprzedawała tylko zdrowe,

zbywające sztuki bydła ze swego stada,  
a każdy, kto próbował jej wcisnąć chore  
zwierzę,

spotykał się ze stanowczą odprawą.  
Kiedy zawierała umowę, dotrzymywała  
jej i tego samego

oczekiwała od innych.

Teraz zaś czuła, że to właśnie ona nie  
jest w porządku.

Jej kodeks nakazywał, by mu to  
wynagrodziła. Nie oznaczało to, że musi  
przyznać się

do winy lub dawać mu jakąś  
rekompensatę. Wystarczy, jeśli usłuży

Reynaudowi, choć tylko

ona będzie wiedziała, dlaczego to robi.

Gdzie on się podziewa? Kiedy tak rozmyślała, Pascal i St. Amant ugasili ogień i

schronili się w szałasach. Wiedziała, że Reynaud zawsze robi obchód obozu, nim się położy.

Być może właśnie tym się teraz zajmował lub poszedł umyć się nad rozlewisko. Wstała i

przeciągnęła się. Słyszała chrapanie Pascala i cichy płacz madame Doucet.

Odkąd ugaszono ognisko, księżyc  
wydawał się świecić jaśniej. Jego blask  
pozbawiał

noc kolorów, sprawiając, że wszystko  
wokół wydawało się czarne lub  
srebrnoszare. Las stał

milczący, nie słychać było nic prócz  
cichego, niemal tajemniczego szelestu  
opadających liści

i odgłosów buszujących w zaroślach  
nocnych zwierząt. A potem usłyszała  
słaby plusk wody.

Nie zastanawiając się ruszyła w  
kierunku, skąd dobiegał dźwięk.  
Dojrzała pierwszy

blask światła na wodzie. Nurt był tak powolny, iż rzeka zdawała się stać w miejscu, odbijając

pokryty gwiazdami firmament i ślad księżyca. Drzewa rosnące nad samym brzegiem

zwieszały się nisko, tworząc zatoczki cienia. Woda nie wydawała się głęboka, choć brzeg był

wysoki, co oznaczało, że zimą i podczas wiosennych deszczy poziom lustra znacznie się

podnosi. Jednak to dwie połyskujące smugi - ramiona szybko poruszającego się pływaka -

przyciągnęły uwagę Elise. Uśmiechając się z satysfakcją, gdyż w końcu udało jej się go

odnaleźć, podeszła do brzegu.

Jej kroki spłoszyły żabę, która z głośnym pluskiem wskoczyła w nurt. Reynaud

odwrócił się na bok i spojrzał w stronę, skąd dobiegł odgłos. Dojrzał ją w cieniu i uniósł dłoń,

a potem zaczął płynąć ku niej długimi, silnymi uderzeniami ramion.

- Czy coś się stało?! - zawołał.

- Nie, nie, po prostu ... zastanawiałam



się, dokąd mogłeś pójść.

Niedaleko miejsca, gdzie stała, brzeg opadał łagodniej i zwierzęta wydeptały tam

sobie ścieżkę do wodopoju. Reynaud podpłynął do tego miejsca. Kiedy jego stopy dosięgły

dna, stanął i odrzucił w tył ociekające wodą włosy. Światło księżyca posrebrzyło jego

miedzianą skórę, uwydatniając wszelkie krzywizny i zagłębienia muskularnego ciała.

Przypominał pogańskie bóstwo - dzikie i

wspaniałe w swojej nagości.

Był nagi! Nie myślała ... sądziła, że będzie miał na sobie przynajmniej spódniczkę.

Odwróciła wzrok i usłyszała śmiech Reynauda. Kątem oka spostrzegła, że wyskoczył na

brzeg i pochylił się, by sięgnąć po ubranie. Widziała go już przedtem nagiego, i Vincenta

także, chociaż jej mąż nie afiszował się tak swą nagością, i miał po temu powód, zważywszy

na jego baryłkowate kształty i krótkie,

grube nogi. Mimo to poczuła się pewniej, kiedy

Reynaud owinał się spódniczką.

- Nie jest ci zimno? - spytała co prędzej, nie czekając na jego komentarz. - Noc jest

chłodna, a ty cały mokry.

- Nie. Wysiłek rozgrzewa, a poza tym jestem do tego przyzwyczajony.

- Uważam, że Natchezowie robią zbyt wiele zamieszania wokół kąpieli.

- Nie poświęcają jej więcej uwagi niż Francuzi pudrom, perfumom i

aksamitnym

odzieniom.

I znowu przypomniał jej o tym, jak bardzo go obraziła. - Muszę przeprosić cię za to,

co powiedziałam wtedy, w domu komendanta - wyrecytowała szybko. - Nie chciałam cię

obrazić. No i ... i wiem, że to nieprawda.

- Wspaniały gest. Przyjmuję przeprosiny.

Szyderstwo w jego głosie nie uszło

uwagi Elise. Odwróciła się i zapytała:

- Nie wierzysz mi? Wzruszył ramionami.

- Po prostu jest mi bardziej przykro niż tobie.

- Wątpię - odparła, dając do zrozumienia, że gdyby wówczas nie potraktowała go tak

lekceważąco, żadne z nich nie znalazłoby się w obecnej sytuacji. - Wspomniałeś o aksamicie.

Mam nadzieję, że nie chodziło ci o mój kostium? Już ledwie mogę w nim wytrzymać, ale to

mój jedyny strój.

- Możesz ubrać się tak jak kobiety Natchezów.

- Dziękuję, ale nie chcę.

Kobiety Natchezów nosiły jedynie tkaninę owiniętą wokół bioder. Piersi pozostawały

nagie. A kiedy na dworze robiło się zimno, zakładały krótką pelerynkę lub owijały się futrem.

Oparł się ramieniem o drzewo tuż obok niej.

- Zapewniłoby ci to swobodę ruchów, a

i wyglądałabyś całkiem dobrze.

Mógłbym

zrobić ci taki strój z tego, co mamy w bagażu.

- Nie mówisz poważnie.

- Rób, jak uważasz.

To dziwne, jak bardzo ciało pod suknią zaczęło ją swędzieć, kiedy Reynaud

wspomniał o kąpieli. Pokusa, aby zdjąć odzież i nigdy więcej na nią nie spojrzeć, była bardzo

silna, lecz Elise zwalczyła ją.

- Ubrania waszych kobiet może i są wygodne, lecz jak to się dzieje, że jest im w nich

ciepło podczas zimy?

- Czasami rzeczywiście bywają trochę zbyt przewiewne, jednak zima rzadko bywa tu

ostra, a poza tym można się do tego przyzwyczaić, podobnie jak do pływania w lodowatej

wodzie.

- Strój Natchezów jest bardziej skąpy niż innych plemion, prawda?



- Trochę. To chyba kwestia tradycji.  
Natchezowie nadciągnęli tu przed laty z południa.

- Naprawdę? - spytała z roztargnieniem, przyglądając się, jak woda kapie z jego

włosów, gromadzi się w płytkim zagłębieniu nad obojczykami i ścieka srebrną strużką w dół

klatki piersiowej.

- Natchezowie różnią się od Czoktawów i Czikasawów. Są od nich wyżsi, mają

szersze czoła i inne obyczaje.

Stanowimy pozostałość silnego niegdyś plemienia. Podobnie

jak nasi przodkowie, budujemy domy na usypanych z ziemi kopcach. Jeśli wierzyć legendom,

przechowywanym w pamięci mędrców plemienia, nasi przodkowie nadeszli z południa, z

okolic, które teraz należą do Hiszpanii. Pochodzili od budowniczych piramid, lecz pojawili

się tu później, to znaczy, jakieś dwieście - trzysta lat temu.

Elise zmarszczyła brwi.

- Jeżeli dobrze zapamiętałam, czego uczyły nas siostrzyczki, oznacza to

czasy, kiedy

ten poszukiwacz przygód, Cortez,  
walczył z Aztekami.

- Natchezowie twierdzą, że mieli  
niegdyś potężnego wroga, z którym  
staczali liczne

walki. Pewnego dnia, jak głosi legenda,  
pojawił się biały człowiek. Przyłączył się do  
domów z

drewna, unoszących się na wodzie.  
Natchezowie sprzymierzyli się z nimi  
przeciwko staremu

wrogowi. Lecz kiedy wróg został  
pokonany, a jego przywódcy zabici,

biali ludzie zwrócili się

przeciw Natchezom. Ci zaś uciekli i w końcu osiedlili się nad Missisipi. Nie było tu kamieni

do budowy świętych piramid, więc wznosili kopce z ziemi, jak czynili to ich przodkowie.

Trudno powiedzieć, czy ta historia jest prawdziwa, ponieważ dawni Natchezowie nie nazwali

białych ludzi ani swoich wrogów - Indian.

- A czy owi biali to rzeczywiście następcy Corteza?

- Niektórzy tak właśnie uważają. Inni zaś sądzą, że byli to żołnierze Hernanda de Soto,

którzy pojawili się tutaj dwieście lat temu, natomiast indiańscy przeciwnicy Natchezów to

leśne plemiona polujące na tym obszarze. Jednak ta ostatnia interpretacja nie wyjaśnia

legendy o migracji ani nie tłumaczy, dlaczego Natchezowie budują kopce z ziemi i do dziś

dnia czczą słońce, którego kult dawno już wygasł w dolinie Missisipi.

- Tak, Natchezowie rzeczywiście są inni  
- zadumała się Elise. - Czczą wyższą  
istotę,

którą utożsamiają ze słońcem, mają  
dziedzicznego władcę i wywodzą swój  
rodowód, co

wydaje się logiczne, w linii żeńskiej. To  
zaś oznacza, że kobiety mają u nich  
poważanie. Są

elokwentni, traktują gości honorowo i  
bardzo delikatnie obchodzą się z  
dziećmi. Jednym

słowem, są bardziej cywilizowani niż  
inne plemiona i wielu Europejczyków.  
A jednak duszą

żony i sługi władcy, Wielkiego Słońca, kiedy ten umiera, torturują i zabijają jeńców, a

sprowokowani buntują się i wyrzynają setki ludzi.

- Widzę, że nie szczydziłaś czasu, aby dowiedzieć się czegoś o ludzkiej mojej matki -

powiedział Reynaud po chwili milczenia.

- Byłoby trudno czegoś się nie dowiedzieć, zważywszy na to, jak blisko siebie żyjemy.

- Innym jakoś się to udało.

- Ale ja chciałam wiedzieć. Pod wieloma względami Natchezowie wydawali mi się

godni podziwu, aż do ... aż do wigilii świętego Andrzeja.

- I nadal tacy są, chociaż kto wie, jak długo ...

- Co masz na myśli?

- Chyba nie wątpisz, że Francuzi uderzą przeważającymi siłami i odwdzięczą się nam

z nawiązką? Albo że inne plemiona, na skutek pomyłki pozbawione udziału w łupach,



przyłączą się do Francuzów?

- Chyba masz rację.

Umilkli. Elise podrapała swędzące miejsce na dekolcie. - Gdybyś zechciała skorzystać

z okazji i wykąpać się - powiedział, a w jego głosie dał się słyszeć ślad uśmiechu mógłbym

cię popilnować.

- Nie umiem pływać.

- Nie szkodzi. Blisko brzegu woda sięgnie ci ramion.

Pokusa odświeżenia się była przemożna.  
W normalnych okolicznościach pewnie  
by

jej aż tak nie odczuwała - znała ludzi,  
którzy twierdzili, że nigdy się nie kąpali,  
co więcej,

utrzymywali, że to nawyk zażywania  
częstych kąpeli jest przyczyną wysokiej  
śmiertelności

wśród noworodków Natchezów, a oni  
sami umierają masowo, zarażając się  
takimi

niegroźnymi chorobami jak na przykład  
odra. Elise nie znosiła brudu i  
napełniała wannę

wodą co najmniej dwa razy w tygodniu,  
a latem nawet częściej. Teraz jednak  
uświadomiła

sobie, że bardzo potrzebuje kąpieli.

- Musiałbyś się odwrócić - powiedziała.

- Jak sobie życzysz.

Odwrócił się i odszedł nieco dalej od  
brzegu. Przez chwilę podejrzliwie  
przyglądała

się jego barczystej sylwet - ce, a potem  
pośpiesznie zdjęła kostium. Rzuciła go  
na pokrytą

uschłymi liśćmi ziemię, podbiegła do

brzegu i wskoczyła do wody.

Wciągnęła gwałtownie powietrze. -  
Ależ zimna!

- Nie szkodzi - powiedział przez ramię -  
wkrótce ...

- Przyzwyczaję się, wiem!

Przez chwilę miała niemiłe uczucie, że  
Reynaud się z niej śmieje, lecz  
postanowiła, że

nie spojrzy na niego, aby to sprawdzić.  
Zacisnęła zęby, by powstrzymać  
szczęknięcie, i

zanurzyła się głębiej. Po chwili odkryła,

że woda, choć zimna, była jednak cieplejsza niż

powietrze. Nawet gdyby zanurzyła się aż po ramiona, pomyślała, z pewnością dałoby się to

jakoś wytrzymać. Stąpając ostrożnie po mulistym dnie, usłanym gnijącymi korzeniami i

gałęziami, ruszyła dalej.

- Zaczekaj! - krzyknął Reynaud. - Zapomniałem dać ci korzeń mydlnicy!

- Nie potrzebuję go!

- Owszem, potrzebujesz. Przyniosę ci.

Odwróciła się i zobaczyła, że rozdrabnia coś nożem, a potem odkłada - na bok

narzędzie. Drugą ręką poluzował zapięcie spódniczki, pozwalając, aby opadła. Elise

odwróciła się powoli i skierowała się ku środkowi nurtu.

- Zatrzymaj się. Wracaj!

- Ani myślę!

W wodzie czuła się bezradna, gdyż w przeciwieństwie do Reynauda nie potrafiła

pływać. Poza tym on był nagi, a i ona nie miała na sobie zbyt wiele. Co prawda leżeli już tak

razem w szałasie, lecz teraz wszystko wyglądało jakoś inaczej.

W końcu woda sięgnęła jej ramion, a potem szyi. I wtedy pośliznęła się na jakimś

nadgniętym korzeniu, straciła równowagę i wpadła pod wodę.

Ciszę zatoki przeciął głośny plusk, a potem, nim zdołała stanąć na nogi, silne ramię

Reynauda objęło ją w pasie i pociągnęło

do góry. Elise zaczerpnęła gwałtownie powietrza.

Woda zawirowała, przyciskając ją mocniej do muskularnego, nie poddającego się ciała

Reynauda. Na chwilę przyłgnęła do niego, czując, jak jej piersi napierają na klatkę piersiową

mężczyzny, a uda ślizgają się wokół jego rozgrzanych bioder i muskularnych nóg. Prąd wody

poruszał nimi lekko, kierując Elise ku Reynaudowi. Silny, stanowczy uścisk sprawiał, że



czuła się bezpiecznie, a jego ciemne szare oczy, kiedy na nią spoglądał, odbijały blask

księżycy na wodzie.

Poczuła, jak przeszywa ją dreszcz, wywołany dotykiem gorącego ciała, cieniem

dawnej niechęci i czymś, czego nie potrafiła nazwać. Otworzyła zaciśnięte usta i powiedziała

chłodnym tonem:

- Dziękuję, już możesz mnie puścić.

Spełnił jej prośbę, odsuwając się

pośpiesznie, a nawet gwałtownie.

- Przepraszam, że tak się na ciebie rzuciłem. Sądziłem, że to konieczne.

- Przecież sam mówiłeś, że trudno tu się utopić.

- Odeszłaś dalej, niż przypuszczałem.

W jego głosie brzmiało zakłopotanie. Wyraźnie unikał jej wzroku. Podążyła za jego

spojrzeniem w dół i spostrzegła, że mokra koszula przylgnęła do ciała i podkreśla jej kształty.

Białe wypukłości piersi połyskiwały w

blasku księżyca,. jedna z nich, z różowym sutkiem i

skurczoną z chłodu brodawką, była obnażona.

- Więc muszę ci podziękować - powiedziała, choć głos ledwie dobywał się z jej

gardła. Skrzyżowała ramiona na piersiach. - Zgubiłeś mydlnicę?

- Nie.

Uniósł lewą dłoń, zaciśniętą kurczowo w pięść, rozwarł palce, drugą dłonią prysnął

wodą na kawałeczki korzenia i potarł, aby uzyskać pianę. Wyciągnęła rękę, a on ostrożnie

położył na niej pieniące się kawałki.

Spojrzała na niego. Odwzajemnił spojrzenie, stojąc nieporuszony, jakby w ogóle nie

zamierzał wracać na brzeg.

Chciała go o to poprosić, jednak w wyrazie twarzy Reynauda było coś takiego, że

rozmyśliła się. Odwróciła się więc tylko i zaczęła rozcierać mydło. Wróciła pamięć lęku i

odrazy, lecz zaraz odeszła, zastąpiona  
uczuciem tak dziwnym, że Elise nawet  
nie potrafiła

sobie wyobrazić, gdzie mogło leżeć jego  
źródło.

Reynaud nadal się nie poruszał.

Opuściwszy rzęsy, jakby nieświadoma  
jego

obecności, zaczęła powoli namydlać  
ramiona i barki, przesuważąc dłońmi po  
smukłych

kształtach. Śliskość i ostry, świeży  
zapach mydła sprawiały jej  
przyjemność. Uniosła brodę,

głaszcząc krzywiznę szyi, pozwalając, aby jej dłoń zsunęła się kolistym ruchem niżej, ku

wypukłościom piersi. Namydliła pokrywający je materiał, jakby chciała wyprać koszulę.

Przeniosła mydliny na mokre włosy. Odrzuciła do tyłu głowę i zaczęła wcierać mydło, na

wpół tylko świadoma obecności Reynauda, choć zerkała na niego od czasu do czasu spod

zmrużonych powiek.

Reynaud oparł dłonie na biodrach i

wpatrywał się w nią ponuro. Coś w jego postawie

przywołało dawny lęk, jednak przezwyciężyła go. Kierując się impulsem, odwróciła się i

wyciągając w jego stronę dłoń z kawałkami mydła, poprosiła:

- Czy mógłbyś ... Umilkła gwałtownie, uświadamiając sobie znaczenie tej prośby.

Cofnęła gwałtownie dłoń i przycisnęła ją do piersi.

- Rozmyśliłaś się? - zapytał szorstko.

- Nie miałam na myśli ...

- Owszem, miałaś. Zapomniałaś, że nie lubisz, jak ktoś cię dotyka, a może

powiniennem pogratulować sobie, że nie uważasz mnie już za mężczyznę?

- To nie było ... nie jest ... - Umilkła i bezradnym gestem odrzuciła włosy do tyłu. -

Nie zastanowiłam się ... musisz mi uwierzyć. Ja tylko ...

- Drażniłaś się znowu ze mną i posunęłaś się za daleko. - Jego mokra pierś



połyskiwała srebrzyście, rozdętymi  
nozdrzami wciągał głęboko powietrze  
do płuc. - Dość

tego. Powinno mi pochlebiać, że czujesz  
się przy mnie bezpieczna. Ale pamiętaj,  
Elise: być

może nie stanowią zagrożenia, lecz  
jestem mężczyzną. Możesz się ze mną  
drażnić, ale nigdy

nie proś mnie, bym cię dotykał, chyba że  
naprawdę będziesz tego chciała. Nigdy.

Chmura zasłoniła księżyc, sprawiając,  
że wszystko wokół pociemniało. Nie  
widziała

już jego twarzy. Głosem drżącym z napięcia powiedziała:

- Nie będę.

- Uważam - powiedział powoli - iż taka obietnica wymaga, aby ją przypieczętować.

- Co takiego?

- Jeszcze mnie dotąd nie pocałowałaś. Myślę, że nadeszła już pora.

- Z powodu tego, co się stało?

- Częściowo, ale głównie dlatego, że tego chcę.

- Tego nie było w umowie!

- Nie? Nie przypominam sobie żadnych zakazów.

- To nie jest dotykanie - protestowała - a umowa dotyczyła dotykania.

- Rzeczywiście? Trudno całować, nie dotykając.

- Jesteś niemożliwy!

- Czekam!

- Cała jestem w mydle.

- Nie przeszkadza mi to, ale jeśli chcesz, możesz się opłukać.

- Jakiś ty uprzejmy! - zakpiła, choć nawet w jej uszach nie brzmiało to przekonująco.

- I cierpliwy, przynajmniej do czasu.

- Ty nie ... nie wykorzystasz tego i nie posuniesz się dalej.

Przez chwilę wahał się, jakby dopuszczając taką możliwość, lecz kiedy odpowiedział,

jego głos brzmiał pewnie:

- Nie.

Była mu winna zadośćuczynienie. A skoro tak, dlaczego nie miałyby zrobić

czegoś, co

sprawiłoby mu przyjemność?

Płynnym, pełnym wdzięku ruchem zbliżyła się do niego i objęła ramionami za szyję.

Stając na palcach, pociągnęła w dół głowę Reynauda i przysunęła usta do jego warg, ciepłych,

gładkich i drżących i choć Reynaud się nie poruszył, jego wargi natychmiast przywarły do

wilgotnej, cudownie wrażliwej powierzchni jej ust. Poczwała, jak jej usta odpowiadają na

pocałunek, a serce zaczyna mocniej bić.  
Wspomniała cuchnące pocałunki  
Vincenta, po

których jej wargi były obolałe i  
poranione. Jej mąż całował tak, jakby  
miał zamiar ją pożreć.

Z Reynaudem było zupełnie inaczej.

Przesunęła powoli, badawczym ruchem  
ustami wzdłuż jego warg, wyczuwając  
ich

zarys, jędrną, a mimo to delikatną  
strukturę, zagłębienia kącików. Poczowała  
fizyczną

przyjemność spływającą falami w głąb

ciała. Tęsknota, którą w sobie zdusiła i  
której istnieniu

zaprzeczała, nagle doszła do głosu,  
skłaniając ją, by przysunęła się bliżej.  
Śliskimi od mydła

piersiami przywarła do Reynauda.  
Miękkie, prężne wypukłości ślizgały się  
po jego

muskularnym ciele, stapiały z nim.  
Rozchyliła lekko usta, ciepłym  
koniuszkiem języka

przesunęła po wrażliwej linii łączącej  
jego wargi. Zaciśnięte dotąd wargi  
Reynauda rozchyliły

się, ujawniając wilgotne, delikatne  
wnętrze. Poczwała, jak klatka piersiowa  
mężczyzny porusza

się gwałtownie, unoszona oddechem.  
Reynaud objął Elise w talii i przytulił ją  
mocno do

siebie. A potem nagle odsunął.

Uniosła głowę i na krótką chwilę  
owładnęło nią dotkliwe poczucie straty.  
Mimo to,

widząc, że Reynaud nie zamierza jej  
zatrzymać, cofnęła się. Wpatrywał się w  
nią w

ciemności, a potem nagłym ruchem



wzburzył wodę, odwrócił się i ruszył  
pośpiesznie w

stronę brzegu. Choć nie widziała go,  
ponieważ księżyc skrył się za chmurami,  
słyszała szelest

liści, towarzyszący podnoszeniu ubrań.

- Nie siedź tam zbyt długo - powiedział  
rozkazująco. Rozpalę ogień, byś mogła

wysuszyć włosy.

Elise chciała odpowiedzieć, ale nie  
mogła znaleźć słów.

Zaczęła zmywać z siebie starannie  
mydło, kończąc tę szczególną kąpiel. To

dziwne,

lecz propozycja ogrzania się przy ogniu wcale nie wydawała się kusząca. Jakoś nie było jej

zimno.

Nad ranem okazało się, że mogła nie zawracać sobie głowy suszeniem włosów. Przed

świttem nadeszła ulewa. Deszcz padał, jakby nigdy nie miał przestać. Gdy tylko wyszła z

szalasu, Reynaud narzucił na nią swoją skórzaną pelerynę bez kaptura, więc włosy Elise i tak

natychmiast nasiąkły wodą. Ciekawe, jak on sam ochroni się przed ulewą, pomyślała.

Indianin sięgnął do bagażu i wydobył stamtąd następną skórzaną płachtę. Owinął się nią tak,

aby pozostawić wolną prawą rękę. Natchezowie, zarówno kobiety, jak i mężczyźni ubierali

się tak do pracy.

Elise nie dane było cieszyć się ochroną, jaką zapewniała peleryna. Nie mogła

pozwolić, aby madame Doucet mokła, ujęła ją więc pod ramię. Walczyły teraz

obie,

przedzierając się przez ulewę, ślizgając na mokrych liściach i błocie. Mimo to szli dalej. I tak

nie mieliby się gdzie schronić, a ruch sprawiał, że nie marzli - no i z każdą chwilą przybliżali

się do celu.

Tej nocy nie wypoczęli jak należy. Deszcz nadal padał.

Pomimo osłony z sosnowych gałęzi z rozżarzonych głowni na ognisku co chwila

wydobywał się cichy syk. Pośłania były wilgotne i zimne, toteż nikt nie kwapił się, by odejść

od ognia. Reynaud zabił parę wiewiórek, Elise ugotowała z nich gulasz, ale nawet smakowity

zapach nie poprawił im samopoczucia. Jedyne pociecha, że w taką pogodę nie dokuczały

moskity. W końcu owinęli się w suche części pośłań i skulili w pobliżu ognia. Kobiety zajęły

miejsce pod zadaszeniem, chroniącym przed padającym nieustannie deszczem.

Następny dzień niewiele różnił się od poprzedniego. Wyruszyli we mgle, która szybko

zmieniła się w zacinający deszcz, ten zaś przeszedł w nieustającą mżawkę.

Wydawało się, że

nigdy nie przestanie padać. Potoki stały się głębsze, a strumienie szersze.

Ziemia, czarna i

żywna, była tak nasączona wodą, że każdy ślad natychmiast napełniał się rzadkim błotem.

Buty wędrowców przemokły, skóra na stopach zbielała, aż w końcu zaczęły tworzyć się na

nich pęcherze. Owinęli więc stopy szmatami i wlekli się dalej - cóż innego im pozostało ...

Ledwie widoczne pod koronami wielkich drzew pagórki opadały łagodnie. Szlak

wiódł grzbietami wzniesień, powyżej mokradeł i wezbranych strumieni. Szli wciąż dalej i

dalej, prowadzeni przez Reynauda, zbyt zmęczeni i przygnębieni, by kwestionować kierunek

marszu.

Kiedy mówił „stop”, zatrzymali się, a

kiedy kazał iść, z trudem dźwigali się na nogi i

szli. Już nawet ze sobą nie rozmawiali. Madame Doucet poruszała wargami, jakby się

modliła, ale nie zostawała w tyle. Jej wytrzymałość zadziwiła wszystkich. A może nie było

czemu się dziwić, starsza dama przetrwała wszak podróż do Nowego Świata i trudy

budowania życia od nowa w głuszy. Była silna, przynajmniej fizycznie. St. Amant walczył o



każdy krok, co nie było łatwe,  
zważywszy na to, że musiał wspierać się  
na kulach, a grunt był

tu śliski i nierówny. Z początku skarżył  
się na skurcze w ramieniu, lecz teraz  
jego skargi

umilkły. Henri, który nie musiał już  
opiekować się madame Doucet, szedł  
obok St. Amanta,

by w każdej chwili służyć mu pomocą. Z  
nich wszystkich Pascal zachował  
najwięcej energii,

choć Elise przypuszczała, że to uraza i  
złość dodają mu sił, od czasu do czasu  
zerkał bowiem

na Reynauda z mieszaniną wściekłości i nienawiści w małych oczkach.

Pomyślała, że lepiej

byłoby, gdyby rozładował gniew, klnąc i złorzecząc, jak to miał w zwyczaju, jednak tym

razem kupiec najwidoczniej spasował i maszerował zawzięcie, z grzbietem tak sztywnym,

jakby żałował każdego kroku, który oddalał go od fortu w kraju Natchitoches.

Zapadł zmierzch, a oni ciągle byli w drodze. Nadeszła noc. Minęła jeszcze godzina.

Zataczali się niczym pijani i nawet nie zauważyli, że deszcz przestał padać. W końcu doszli

do polany. Jej skrajem płynął spory strumień. Grunt był tli' piaszczysty, stanowił mieszaninę

bieli, szarości i głębokiej czerni. Na polanie zobaczyli stos glinianych naczyń, w' większości

potłuczonych. Kilka ocalałych, pełnych wody, stało na piaszczystej łasze, pośrodku której

biło źródółko. Woda w nim była zimna i czysta, ale tak słona, że Henri, który pierwszy jej

spróbował, wypluł wszystko na ziemię.

To tutaj Indianie uzyskiwali sól. Woda, parując w glinianych dzbanach, zostawiała na

ściankach ziarnistą, słonawą substancję. To była ziemia' niczyja, otwarta dla wszystkich,

wolna od strachu i zemsty. Tu mogli odpocząć w spokoju.

Wysuszyli posłania przy buzującym ogniu, ale nie zbudowali szałasów. Powietrze

było co prawda chłodne, jednak przestało padać i nie słyszało się

moskitów. Elise położyła się

wcześnie, lecz mimo zmęczenia nie mogła usnąć. Leżała z głową wspartą na zgiętym

ramieniu, wpatrując się w ogień, przy którym pozostał jedynie Reynaud. Jeżeli nie przyjdzie,

aby położyć się obok niej, będzie to już trzecia noc spędzona w samotności.

Sypiała sama, od

kiedy pocałowała go podczas kąpieli.

Być może to go zadowoliło, a może znudził mu się jej

opór. Oczywiście nie miało to

znaczenia. W tej sytuacji nie musiała martwić się, czego

jeszcze od niej zażąda. Tylko że byłoby jej cieplej, gdyby leżał obok. Nad ranem rzeczywiście

się oziębilo. O świcie widzieli odlatujące na południe klucze gęsi i dzikich kaczek - tak liczne,

że pokrywały niebo geometrycznym wzorem. W szarzejącej ciemności ich nawoływania

rozbrzmiewały niczym żałobne zawodzenie.

Świt nadszedł zbyt szybko. Pierwsze

jaskrawe promienie słońca zastały ich  
już w

marszu. Gnali naprzód na złamanie  
karku. Musieli nadrobić czas stracony  
podczas ulewy,

lecz było jasne, że długo nie zdołają  
utrzymać takiego tempa. Odpoczywali o  
wiele za krótko

i za rzadko. W pewnej chwili Elise  
spozstrzegła, że kolumna coraz bardziej  
się rozciąga.

Spojrzała z troską na madame Doucet,  
która wlokła się w niewielkiej  
odległości od niej.

Słyszała, jak starsza kobieta walczy o każdy oddech. Ktoś powinien się poskarżyć, zażądać,

aby Reynaud zwolnił. Przedtem można było liczyć na St. Amanta, lecz on ledwie kuśtykał,

wsparty mocno na kuli, z twarzą stężoną z wysiłku i wzrokiem wbitym w ziemię.

Elise zacisnęła usta i wydłużyła krok. Niczego to nie zmieniło, więc zaczęła biec.

Dopędziła Pascala i wyminęła go. Z początku nie zauważyła Reynauda, dostrzegła go dopiero



wtedy, kiedy minęła zakręt. Już miała krzyknąć, lecz rozmyśliła się. W nastroju, w jakim się

najwidoczniej znajdował, mógłby w ogóle nie zwrócić na nią uwagi.

Przyciskając rękę do

boku, by zmniejszyć kłucie, zdwoiła wysiłki.

Czy słyszał, jak nadchodziła? Zobaczył ją? Nie wiedziała. Nie była w stanie zbliżyć

się do niego, choć nie zauważyła, aby przyśpieszył. Zaczęła biec, mimo że przy każdym

oddechu rzeziło jej w płucach, serce waliło w piersi jak oszalałe, a oczy przesłaniała mgła.

Czuła łzy spływające po policzkach. Kok z tyłu głowy rozluźnił się i warkocz opadł jej na

ramiona. Zaczepiła o krzew dzikiej' róży i spódnica naddarła się w pasie. Elise zaplątała się w

jej skraj i upadła na jedno kolano. Zaraz jednak podniosła się i ruszyła dalej, unosząc dłuższy

teraz przód spódnicy. Słyszała za sobą jakieś krzyki, ale nie zatrzymała się ani nie obejrzała.

Liczyło się tylko jedno: musi dopaść Reynauda i 'skłonić go, by się zatrzymał.

I nagle Reynaud zatrzymał się, odwrócony do niej plecami. Elise zwolniła, jednak szła

dalej, zataczając się i potykając, aż wreszcie zrównała się z nim. Uśmiechał się lekko,

wpatrując się w coś, co znajdowało się przed nimi.

- Co to takiego? - spytała chrapliwie.

- Spójrz. Tam.

Spojrzała w kierunku, który wskazywał.

Przed mm! stał dom, prawdziwa wiejska

posiadłość, piętrowy i ocieniony  
drzewami, z aleją dębów prowadzącą  
do wejścia. Z tyłu

znajdowały się budynki gospodarskie:  
szopy, stajnie, gołębnik, chaty  
niewolników. Dalej zaś

rozciągały się całe morgi  
wykarczowanej ziemi, przygotowanej  
pod uprawę. Ten widok, tak

nieoczekiwany pośród głuszy, sprawił,  
że Elise odetchnęła głęboko,  
uśmiechając się z

niedowierzaniem.

- Ale gdzie ... gdzie my jesteśmy?

- W domu - powiedział.

## **ROZDZIAŁ VI**

- Jest pani zadowolona, madame Laffont?

Elise obróciła się jeszcze raz przed lustrem, którego ramy zdobił wzór ze złotych liści.

Jej włosy, opadające wokół twarzy miękkimi lokami, zostały zebrane na czubku głowy i

upięte wysoko. Suknię, uszytą z satyny w odcieniu morskiego błękitu, z rękawami,

których

mankiety sięgały tuż za łokieć, i bufiastą spódnicą z niewielkim trenem, uczyniono lżejszą dla

oka poprzez dodanie wokół głęboko wyciętego dekoltu kryzy z kremowej jedwabnej gazy i

takiego samego podbicia rękawów, z których wyłaniały się delikatne riuszki. Przód sukni

zdobił fartuszek z cieniutkiego jedwabiu. Talię Elise, i tak wąską po trudach ostatnich dni,

uczyniono jeszcze węższą, ściskając ją

gorsetem. Dół sukni podtrzymywały  
halki z kremowej

satyny, pikowane końskim włosiem.  
Stroju dopełniały pantofle ze  
złotokremowego brokatu

na czerwonych obcasach, nieco za duże,  
ale nie miało to znaczenia, bo były bez  
pięt.

Kobieta stojąca teraz za nią z igłą w  
dłoni spisała się doskonale. Elise  
uniosła fałdę

grubej, ciężkiej satynowej spódnicy, z  
materiału najlepszego gatunku,  
droższego niż

cokolwiek, co miała na sobie do tej pory. Jej ojciec nie był bogaty - daleko mu było do tego -

toteż ubrania, które wówczas nosiła, były przede wszystkim praktyczne zwłaszcza od czasu,

kiedy do domu sprowadziła się macocha. Vincent Laffont, dumny z młodej żony, pilnował,

aby jej wygląd nie przynosił mu wstydu, ale nie widział powodu, by płacić za jakość. Elise

przywykła do gorszych materiałów, noszonych przez mieszczan, suknia zaś była uszyta z



tkaniny odpowiedniej raczej dla arystokracji.

- Jakże mogłabym nie być zadowolona?

- odparła. Choć nadal nie jestem pewna, czy

powinnam przyjąć wszystkie te śliczne rzeczy. Nie pojmuję, jak Rey ... pan Chavalier zdołał

je zdobyć w tak krótkim czasie.

- Z pewnością chętnie opowie pani o tym - odparła kobieta. Była gospodynią w domu

Reynauda, a zarazem jego kuzynką. Na imię miała Madeleine. Chociaż jej

słowom nie brakło

uprzejmości, nie było w nich ciepła. -  
Zechce pani poczekać w salonie, tuż za  
tymi drzwiami.

Jakie to wszystko dziwne: jej luksusowa  
toaleta, zachowująca się władczo chuda  
jak

tyczka Francuzka w nieokreślonym  
wieku, bogactwo i komfort domostwa.  
Elise nie mogła się

do tego przyzwyczać, choć przebywała  
w domu Reynauda już prawie dwa dni.  
Pierwsze

popołudnie i noc przespała, podobnie

jak inni powalona zmęczeniem.

Obudziła się późnym

rankiem. Leżąc na łożu o skrzyni z rzeźbionego drewna, rozejrzała się po pokoju. Podłogę z

wypolerowanego cyprysu przykrywał gruby dywan w odcieniu różu, śmietanki i morskiego

błękitu, ściany zdobiła kremowa sztukateria, zasłony zaciągnięte na oknach były z różowego

jedwabiu. W pokoju znajdowała się toaletka, wysokie lustro, na obramowaniu kominka stał

kryształowy, pozłacany świecznik. Na śniadanie dostała gęstą, słodką czekoladę i chrupiące

rogaliki. Potem nastąpiła gorąca kąpiel z różanym mydłem prosto z Paryża, po kąpeli zaś

niespodzianka: do pokoju wkroczyła Madeleine z trzema sukniami i zmianą bielizny. Czas od

przybycia gospodyni wypełniło przymierzanie strojów, nacieranie kremem dłoni i twarzy,

oraz suszenie, szczotkowanie i układanie włosów Elise.

Krewna Reynauda nie zmiękła ani na jotę przez cały czas, jaki razem spędziły.

Wyglądało na to, że pod maską grzeczności ukrywa dezaprobatę. Najwidoczniej uznała, że

Elise narzuciła swoje towarzystwo Reynaudowi i że stanowi dla niego zagrożenie. Do swego

kuzyna zwracała się bowiem z najwyższym szacunkiem i wydać było, że troszczy się o niego.

Cała sytuacja mogłaby być dla Elise kłopotliwa, gdyby nie świadomość, że długo nie zagości

w tym domu. A poza tym sama myśl, że Reynaud może być postrzegany jako ktoś potrzebujący ochrony i opieki, szczerze ją bawiła.

Kiedy dwa dni temu zbliżali się do domu, spostrzegli, że został on zbudowany

solidnie, na planie czworokąta. Fasada była prosta, zwykle bale pokryte tynkiem, ale tak

precyzyjnie, że wyglądały jak z białego marmuru. Szerokie schody prowadziły do głównych

pokoi na piętrze, głęboki portyk nad

drzwiami wejściowymi dawał  
schronienie przed

kapryсами pogody. Okrągłe kwatery  
okien pasowały do włoskich łuków i  
kolumn portyku.

Jedną z najbardziej zadziwiających  
rzeczy były jednak grube tafle szkła  
wypełniające otwory

okienne.

Wewnątrz znajdowały się obszerne  
pokoje o harmonijnych proporcjach, z  
których

każdy wychodził na wielki salon,  
dzielący dom na dwie połowy i służący

również jako hol.

Klasycznie piękne meble nosiły znamię dobrego smaku połączonego z bogactwem, a

kryształowy żyrandol, lustro o ramach zdobionych złotymi liśćmi, kryta aksamitem

wyściełana kanapka i także fotele, jak również mieniące się kolorami obicia ścian nadawały

pomieszczeniu wybitnie luksusowy charakter.

Kiedy Elise weszła do salonu, pokój wydał się jej pusty.



Ruszyła wzdłuż ścian, rozkoszując się cichym szelestem spódnic, zatrzymując się to

tu, to tam, by spojrzeć na gobeliny, przedstawiające sielankowe scenki. Świece z mirtowego

wosku płonęły w żyrandolu, w kandelabrze na obrzeżu kominka w końcu pokoju, pod oknem,

tuż obok przeładowanego ozdobami zegara z pozłacanego brązu, i w drugim, ustawionym na

czymś w rodzaju wąskiego stołu. Kiedy podeszła bliżej, przekonała się, że to, co brała za stół,



było w rzeczywistości flamandzkim klawikordem.

Tuż przed instrumentem zobaczyła mały taboret. Usiadła na nim i uśmiechając się

lekko do siebie, przebiegła palcami po klawiaturze. Kiedyś nauczyła się podstaw gry i paru

łatwiejszych kawałków. Gdy miała mniej więcej dziesięć lat, wydobywanie dźwięków z

instrumentu sprawiało jej wielką radość. Powoli, przewyciężając sztywność palców, zaczęła

wystukiwać melodię.

Reynaud usłyszał muzykę, nim wszedł do salonu. Spojrzenie jego szarych oczu

pobiegło ku żywemu obrazowi pod oknem. Blask świec odbijał się w puklach włosów Elise,

przydając im złotego połysku, drżał na wysokich kościach policzkowych, dotykał delikatnych

uszu, igrając na słodkich, wyrazistych łukach warg. Jej ręce i ramiona promieniowały

wdziękiem, a spódnice opadały wokół taboretu migotliwą falą koloru.

Była piękna. Naprawdę śliczna. Gdzieś w nim rosła potrzeba, by ją ochraniać,

odsuwając od niej smutek, i napełnić jej życie radością. Jednak duma Elise i mur, który

zbudowała wokół siebie, stały temu na przeszkodzie.

Drażniło go to, nawet jeśli szanował powody, dla których tak właśnie się

zachowywała. Ależ z niej kusicielka, kiedy tak siedzi ze zmarszczonymi brwiami - istne

uosobienie koncentracji. Co za magia czyni ją równie pociągającą, gdy jest

ubrana od stóp do

głów, jak i wtedy, kiedy jej ciało skrywa jedynie warstwa mydła i mokra koszula?

Rozszyfrowanie charakteru Elise zajęłoby zapewne lata, a i tak nie udałooby mu się jej poznać.

Obraz tej kobiety prześladował go, nawiedzał w snach, wywołując tęsknotę za jej

pieszczotami. Wkrótce, najdalej za kilka dni, będzie musiał pozwolić jej odejść.

Zrobił gwałtowny krok w przód. Elise podniosła wzrok, lecz nie poznała go.

Przestała

grać, opuściła dłonie, a potem wstała,  
wygładziła spódnicę i uśmiechnęła się  
grzecznie do

zbliżającego się ku niej mężczyzny.

Miał na sobie sięgający kolan surdut z  
bladobłękitnej satyny, oblamowany  
srebrem,

pod nim, widoczną w rozpięciu surduta,  
błękitną jedwabną kamizelkę haftowaną  
srebrem i

szare satynowe spodnie do kolan.

Pończochy, zdobione z boku szlaczkiem,  
były szare, a buty,

zapięte na srebrne sprzączki, miały wysokie obcasy, które przydawały mu wzrostu. Bujna

peruka opadała splotami aż na ramiona, a jej biel podkreślała śniady kolor skóry. Koronkowy

żabot zdobił wielki diament. Mężczyzna trzymał w dłoni srebrną, inkrustowaną tabakierkę.

- Dobry wieczór, madame Laffont. -  
Pochylił z szacunkiem głowę, nim musnął jej

dłoń ustami.

- Obawiam się, że nie znam pana ... -



zaczęła. - Reynaud! - krzyknęła,  
zaskoczona.

Wyprostował się, a w jego szarych  
oczach błysnął uśmiech.

- Musisz przyznać, strój odmienił mnie  
bardziej niż ciebie. Ja poznałbym cię  
wszędzie.

- Tak - powiedziała szczerze. - To  
zadziwiające.

- Mam nadzieję, że jest to zmiana na  
lepsze?

Otworzyła usta, aby przytaknąć, lecz  
zawahała się.

Wyglądał wspaniale jako dworzaniek - wyróżniał się szerokimi ramionami, które nie

potrzebowały poduszek, i długimi, kształtnymi nogami, odzianymi w modne, sięgające do

kolan spodnie. Mimo to lekkie uwagi, jakie wypowiadał, grzeczne i bez znaczenia,

denerwowały Elise.

- Nie jestem pewna.

- A co ci się nie podoba? - Otworzył tabakierkę i wyjął szczyptę tabaki. Choć w jego

głosie pobrzmiwał ton skargi,  
spojrzenie pozostało bystre.

- Chyba wolę twoje własne włosy,  
nawet z piórami powiedziała niepewnie.

- Więc będziesz je miała.

Zrobił ruch, jakby zamierzał zerwać  
perukę z głowy.

Elise co prędzej chwyciła go za ramię.

- Nie, nie. Wyglądasz jak prawdziwy  
dżentelmen i jesteś bardzo przystojny.

Po prostu

mnie zaskoczyłeś.

Odłożył tabakierkę i wyjął z kieszeni chusteczkę, by otrzeć palce.

Uśmiechając się do

niej, powiedział:

- Więc jestem bardzo przystojny, tak?

- I dobrze o tym wiesz.

- Lecz nie wiedziałem, że ty to zauważyłaś.

Uniosła brwi.

- Jakiś nowy sposób uwodzenia?

- Wcale nie nowy. Na dworze praktykują go od lat.

- Nie podoba mi się.

Wykrzywił usta.

- Nie zależało ci na moich uściskach, kiedy sądziłaś, że jestem nieokrzesany, a teraz

nie podobam ci się jako dżentelmen. Czy cię można zadowolić?

- Najwidoczniej nie. Więc lepiej przestań próbować.

- A to co znowu? - zapytał miękko. - Zdenerwowałem cię? Powiedz mi, co mam

zrobić, by to naprawić.

Powiedzieć mu? To z pewnością  
ostatnia rzecz, jaką by zrobiła. Jej  
zdenerwowanie

brało się stąd, że odczuwała przemożną  
pokusę, by rozpiąć mu kamizelkę,  
rozerwać koszulę o

koronkowych mankietach i przekonać  
się, czy pod nią jego pierś nadal  
pokrywa barbarzyński

tatuaż. Odwróciła się od światła, by  
ukryć rumieniec na policzkach i  
odpowiedziała lekkim

tonem:

- Chodzi po prostu o to, że wszystko

tutaj jest inne, niż oczekiwałam. Pozwól,  
że ci

powiem, jak bardzo podoba mi się twój  
dom i jak jestem ci wdzięczna, że  
troszczysz się o

moją wygodę.

- Więcej pochlebstw? Już po mnie.

- Nie, jestem szczerą. Stworzyłeś w tej  
głuszy istny raj. Opowiedz mi, jak tego

dokonałeś; ale najpierw chcę się  
dowiedzieć, jak udało ci się tak szybko  
zdobyć dla mnie

stroje i ... i inne kobiece drobiazgi.

- Nie ma w tym żadnej tajemnicy -  
powiedział. Podał jej ramię i  
poprowadził w stronę

sofy. - To wszystko należy do pewnej  
damy, którą tu gościłem.

- Dobrze się składa, że miała podobną  
figurę. - Zerknęła na niego kątem oka.

- Rzeczywiście. - Odpowiedział  
natychmiast, bez wahania, lecz czy nie  
nazbyt

szybko? - Ten sam dobry los sprawił, że  
miała ze sobą pokojówkę, imponującą  
kobietę

wzrostu i postury madame Doucet.



Obawiam się, iż rzeczy pozostawione przez nią nie są tak

piękne jak twoje, to znaczy mają nieco przygnębiające kolory, ale skoro madame Doucet jest

w żałobie, może nie będzie jej to przeszkadzać.

- Musi być jakiś powód, że damy zostawiły tutaj swe piękne suknie. W Luizjanie

bardzo trudno o takie stroje, więc chyba nie zrobiły tego dobrowolnie.

Ubrania były tak cenne, że nigdy się ich nie pozbywano, a często wchodziły

nawet w

skład spadku - spisane do ostatniej chusteczki.

Zerknął na nią spod oka, lecz dostrzegł tylko chłodny profil, gdy przyglądała się

marmurowej figuryńce, stojącej na stoliku w pobliżu sofy.

- Tak właśnie było. Zabrała je gorączka.

- Obie? - dopytywała się z nieukrywaniem zainteresowaniem.

- Obie. To była krótka choroba. Zapewniam cię, że niezaraźliwa.

- Ulżyło mi. - Nie mówił prawdy.  
Wiedziała o tym, ale nie mogła się  
domyślić, po co

te sekrety. Zdecydowała się mocniej go  
przycisnąć.

- Często miewasz gości?

- Nie.

- Od czasu do czasu?

- Tak.

- Czy są to głównie kobiety?

- Czasami któraś żona zdecyduje się  
towarzyszyć mężowi.

- Musi być bardzo dzielna, aby zapuścić się aż tak daleko.

- Odnoszę wrażenie - powiedział z namysłem - że chyba mi nie wierzysz.

- Naprawdę?

- Jeżeli sugerujesz, że kobieta, której suknie nosisz, była jakąś fille de joie\*, przybyła

tutaj, by mnie rozerwać, to się mylisz.

Odwróciła się do niego zaciekawiona.

- Nawet o tym nie pomyślałam! Czy taka kobieta zapędziłaby się aż tak daleko w

głuszę? Nie sędzę, chyba że otrzymałaby  
sowite wynagrodzenie.

Przez chwilę w jego oczach dostrzegła  
coś jakby mimowolne rozbawienie i  
błysk

zaintrygowania.

- Nie uważasz, by moje towarzystwo  
mogło stanowić wystarczającą nagrodę,  
prawda?

- Wątpię w to.

- Mogłabyś przynajmniej rozważyć taką  
możliwość.

- Chciałam tylko powiedzieć - wyjaśniła

uprzejmie - że fille de joie zapewne

oczekiwałyby pieniężnego  
wynagrodzenia, poza ...

- Tak? - zapytał miękko.

Nagle trzasnęły drzwi i do salonu  
wszedł Pascal. Zatrzymał się, widząc  
Elise i

Reynauda. Rozpoznał go od razu mimo  
stroju dżentelmena. Skinął niedbale  
głową Elise,

przyjął łaskawie kieliszek wina i zaczął  
niespokojnie przemierzać pokój.

Widocznie niczyja

opatrnościowa śmierć nie zapewniła kupcowi nowych ubrań, ponieważ miał na sobie surdut

Reynauda. Świadczyły o tym przydługie rękawy i naciągnięta do granic możliwości talia.

Własna kamizelka Pascala i jego bryczesy, choć wyczyszczone, stanowiły przykry kontrast z

mięсистym aksamitem surduta i nowymi pończochami okrywającymi jego nogi.

Elise nie miała czasu, by zastanawiać się nad wyglądem kupca, a to z powodu dyskusji, jaka wywiązała się pomiędzy

panami. Zdawała sobie sprawę, że Reynaud specjalnie

sprowadził rozmowę na swoich gości, aby odwrócić jej uwagę od tego, skąd wzięły się jej

stroje. Ale dlaczego - jeśli suknie naprawdę należały do jego kochanki - zwracał sobie w

ogóle głowę z ukrywaniem tego? Czy rzucał jej wyzwanie, aby zaciemnić prawdę? Ta myśl

nie spodobała się Elise. Nie obchodziło jej, czy sprowadza sobie kobiety tuzinami,



oczywiście, że nie, ale nie mogła pozwolić, aby wyprowadził ją w pole. Z chęcią zdarłaby z

siebie suknię i rzuciła ją Reynaudowi w twarz, lecz tego rodzaju przedstawienie z pewnością

bardzo by mu się spodobało. Spojrzała więc tylko na niego z taką palącą urazą, że zamrugał i

uniósł pytająco brwi.

Kolacja okazała się wystawnym posiłkiem, zwłaszcza w porównaniu z wiktem, jakim

**\*\*Filie de joie (fr.) - - prostytutka.**

musieli zadowalać się podczas podróży.  
Podano ją” nie szczędząc starań: na  
damasceńskim

obrusie stały ciężkie srebra, kryształ i  
chińska porcelana. Za każdym krzesłem  
czekał lokaj

w dopasowanej liberii, który miał  
usługiwać gościom, podając im soczyste  
mięsiwa i gęste

sosy, napełniając winem kieliszki,  
zbierając okruchy i podsuwając  
miscozki do mycia rąk,

wypełnione wodą pachnącą goździkami.

Madame Doucet siedziała

wyprostowana, a na jej zarumienionej  
twarzy malowało się

ożywienie. To był jej żywioł, ulubiona  
rozrywka i nawet ponura suknia z  
szarego materiału,

obszyta przy szyi czarną lamówką, ani  
przygnębiające wspomnienia nie były w  
stanie zepsuć

tej radości. Być może starsza dama  
zdoła odzyskać równowagę, jeśli przez  
jakiś czas nic nie

będzie przypominać jej o masakrze,  
pomyślała z nadzieją Elise. Nie była to  
kobieta

szczególnie silna psychicznie i rozpacz  
w połączeniu z niedostatkiem mogłyby  
rozstroić jej

umysł.

Henriego usadzono obok madame  
Doucet. Wyglądał dostojnie, z włosami  
związanymi

szeroką czarną wstążką, ubrany w  
niemodny surdut - najwidoczniej  
pochodzący z czasów,

kiedy Reynaud był jeszcze chłopcem.  
Ona sama siedziała u szczytu stołu, po  
prawej stronie

Reynauda. Henri uśmiechnął się do niej

lecko, wyrażając spojrzeniem swój podziw. Ciepłe

łóżko i dobre jedzenie w znacznym stopniu poprawiło wszystkim humor.

Na białym damasceńskim obrusie leżał drugi obrus, ozdobiony orientalnym wzorem w

pagody i kwitnące czerwono - złote kwiaty.

Przy końcu stołu, po prawej stronie Madeleine, siedział St. Amant, sącząc wino i.

wodząc palcem po deseni na obrusie. Podobnie jak inni, czekał, aż madame

Doucet skończy

jeść deser, by uraczyć się owocami i orzechami.

- Wspaniały posiłek, Chavalier, gratuluję panu kucharza - zwrócił się do gospodarza,

gdy przy stole na chwilę zapadła cisza.

Reynaud pochylił głowę.

- Przekażę mu pańskie wyrazy uznania. Otrzymałem go od pewnego plantatora z Indii,

gdzie dbał o znacznie bardziej wyrafinowane podniebienia niż moje.

Będzie zadowolony, że

obiad panu smakował.

- Jest pan zbyt skromny - powiedział St. Amant. Kucharz, jak każda inna ludzka istota,

nie stara się zbyt, kiedy wie, że nie zostanie doceniony.

Reynaud nie skomentował tego, lecz siedział w milczeniu, a jego oczy zwęziły się,

jakby oczekiwał, że St. Amant powie coś więcej.

. - Jest pan niebywale, wręcz ponad

wszelkie wyobrażenie gościny i myślę,  
że

wyrażę powszechną opinię, jeśli  
powiem, że jesteśmy panu bardzo  
wdzięczni.

- Możecie mi się zrewanżować,  
pozostając u mnie przez jakiś czas.  
Podjąłem już

pewne kroki, aby zorganizować  
polowanie, jeśli by to wam  
odpowiadało. W okolicznych

lasach nie brakuje jeleni, a nawet  
niedźwiedzi. Rozlewisko, nazwane  
imieniem diuka de



Maine, jest tuż za progiem, więc jeśli ktoś lubi wędkować ... Są jeszcze szachy, karty i moja

biblioteka.

- Czego więcej moglibyśmy pragnąć - powiedział St. Amant lekko, wzruszając

nieznacznie ramionami - chyba tylko, aby powiedział nam pan, kiedy wyruszymy w dalszą

drogę.

- Rozsądne życzenie. Chciałbym dać wam ostateczną odpowiedź, ale niestety, to

niemożliwe. Prawdę mówiąc, oczekuję wizyty przyjaciela. Może przyjechać jutro albo w

przyszłym tygodniu. Kiedy wyjedzie, ruszymy natychmiast do fortu.

- Proszę mi wybaczyć - przerwała madame Doucet, trzepocząc kokieteryjnie dłońmi -

ale czy ten gość to Indianin?

Reynaud odwrócił się do niej. -  
Przepraszam, madame?

- Pytam, ponieważ ... Och, wiem, że to brzmi dziwnie, ale obudziłam się dziś o świcie

i podeszłam do okna. Okno mojej sypialni wychodzi na tyły domu i kiedy tam stałam,

zobaczyłam wojownika wchodzącego kuchennymi drzwiami. Miał na sobie płaszcz, taki jak

pański, i chociaż nie mam pewności, wydawało mi się, że to Natchez.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Reynaud zmarszczył brwi i zerknął na kuzynkę.

Pozostali spuścili wzrok. Kiedy poprzednio madame Doucet jako jedyna z całego

towarzystwa powiedziała, że widziała Indianina, Reynaud przyznał, że był to zwiadowca z

plemienia Tensas. Choć nikogo nie dziwiła skłonność starszej pani do dostrzegania wszędzie

Indian, wszyscy poczuli się nieswojo .

- To z pewnością któryś z wartowników  
- powiedziała obojętnie Madeleine.

Twarz Reynauda rozpogodziła się.  
Spojrzał surowo po zebranych.

- Oczywiście. W obejściu kręci się sporo mężczyzn. Niektórzy są mieszańcami, jak ja,

inni zaś bywali wśród Indian na tyle długo, że wyglądają tak jak oni. To prości ludzie:

myśliwi, traperzy, kupcy, którzy przychodzą i odchodzą o dziwnych porach, lecz kiedy mnie

nie ma, zapewniają Madeleine ochronę i trzymają w karbach murzyńskich robotników.

- Uspokoił mnie pan - powiedziała madame Doucet, wzdychając.

- Z pewnością chciałaby pani wiedzieć coś więcej o przyjacielu, którego się spodziewam. Przez jakiś czas on także

był jednym z tych mężczyzn, lecz teraz  
zajął się

handlem.

- Czy to półkrwi Indianin? - spytała, a w  
jej spojrzeniu znowu pojawił się lęk.

Reynaud uśmiechnął się krzepiąco.

- Urodził się we Francji, ale żył wśród  
Natchezów. Był jednym z tych  
osieroconych

chłopców, których wysłano nim  
ukończyli dwunasty rok życia - by żyli  
wśród Indian i

poznali ich język. Ponieważ jesteśmy

mniej więcej w tym samym wieku,  
dorastaliśmy razem,

lecz on opuścił plemię, kiedy osiągnął  
pełnoletność.

Madame Doucet skinęła głową  
usatysfakcjonowana.

St. Amant przez chwilę milczał z  
szacunkiem, a potem wrócił do tematu.

- A kiedy już wyruszymy, ile czasu  
zabierze nam droga? Próbowałem sam  
to obliczyć,

ale rachunki nie są moją mocną stroną.  
Wydaje mi się, że do fortu Saint Jean  
Baptiste nie

może być daleko.

- Indiańskie szlaki potrafią wprowadzać w błąd. To jednak spory kawałek drogi.

- Tak - mruknął Pascal głosem ochryłym od wina.

Podejrzewał, iż Reynaud stosuje uniki i nie jest wobec nich szczery.

- Ale jak spory?

St. Amant rzucił kupcowi pytające spojrzenie.

- Przypuszczam, że fort nie' jest daleko stąd. To na pewno najbliższa francuska osada?



- Zgadza się.

- A zatem to tam otrzymywał pan i rozładowywał meble do tego domu?

Przyplłynęły

rzeką z Nowego Orleanu? - To prawda, choć zdziwiłby się pan, jak niewiele tego było.

Budulec na dom pochodzi stąd. Stolarzy i cieśli wybrałem spośród najlepszych rzemieślników

w Nowym Orleanie, Meksyku, Mobile i Biloxi. Sprowadziłem też innych pracowników, choć

większość prac wykonali moi ludzie.

- Zadziwia mnie pan - powiedział St. Amant grzecznie. - Ale drogę przez las musiał

pan przecież wyciąć.

- Większość rzeczy przywieźliśmy w jukach, nie na wozach, nie było więc potrzeby

budować drogi - wyjaśnił Reynaud, a potem uśmiechnął się i dodał: - Oczywiście, oprócz tej,

która biegnie skrajem moich włości i została zbudowana specjalnie dla mnie.

Elise spostrzegła, że Madeleine podniosła głowę i ostro spojrzała na

Reynauda, ale

zaraz spuściła wzrok. Jednak nie zastanawiała się nad jej zachowaniem, ponieważ zrozumiała,

do czego zmierza St. Amant. Jeżeli w pobliżu znajdowała się bita droga, nawet wąska, można

by nią podążać, rezygnując z usług przewodnika. Perspektywa była zbyt nęcąca, aby ją

zlekceważyć. Pochyliła się do przodu i zapytała:

- Klawikord też przywieziono na końskim grzbiecie?

- Nie. Na specjalnym wehikule,  
ciągniętym przez hiszpańskiego muła -  
powiedział

Reynaud nieporuszony. Misja hiszpańska  
znajduje się o niespełna pięćdziesiąt  
kilometrów od

fortu Saint Jean Baptiste. Szczęśliwy traf  
zrządził, że Hiszpanie mieli o wiele  
więcej koni i

mułów, niż potrzebowali, odkupiłem je  
więc - oczywiście za odpowiednią cenę.  
Tu, z dala od

centrum prowincji, handel pomiędzy  
garnizonami hiszpańskimi i francuskimi  
kwitnie w

najlepsze.

- Przemyt - powiedziała Elise, wspominając udział swego męża w tym zakazanym

przez władze procederze.

- To kwestia przetrwania.

Oparła się o tył krzesła, pozostawiając dalsze wypytywanie St. Amantowi. Jaki powód

miał Reynaud, aby przemilczać istnienie drogi? Z drugiej strony, obaj mężczyźni

zachowywali się nad wyraz nieodpowiednio i mało grzecznie,

zważywszy na to, że Reynaud

uratował im życie. To zaś, co miało być dla niego zapłatą - czyli jej usługi - przyniosło mu

więcej frustracji niż przyjemności. Jeżeli rzeczywiście prowadził interesy w kraju

Natchitoches, w czasie, kiedy szedł z nimi, byłby w stanie z łatwością dotrzeć do fortu i

wrócić. Z pewnością więc pragnął się ich pozbyć równie mocno, jak oni pragnęli stąd

wyjechać, i tylko gościnność wpojona

mu zarówno przez Natchezów, jak i rodzinę ojca

powstrzymywała go, by o tym otwarciu powiedzieć.

Pod koniec obiadu Elise opanowało nieznośne przygnębienie i nie opuściło jej, kiedy

przeszli do salonu, by zagrać w pikietę. Po kilku rozdaniach wymówiła się zatem i podeszła

do klawikordu. Renri zaszył się w bibliotece. Pascal zaś wrócił po krótkim spacerze i rzucił

się na sofę. Przyjął z rąk służącego

kieliszek likieru i teraz siedział,  
wpatrując się ponuro w  
grających.

Elise spoglądała to na Reynauda, to na  
Pascala, pozwalając, aby jej palce  
błądziły po

klawiaturze. Kontrast pomiędzy  
prostackim, rozwalonym na sofie  
kupcem a mieszańcem,

siedzącym w swobodnej pozie przy  
stoliku do kart, był uderzający. Przy  
Reynaudzie nawet

St. Amant tracił dystynkcję. Chociaż  
Reynaud miał elegancję dworaka, nie



mizdrzył się

jednak, nie dokuczał nikomu ani nie traktował protekcjonalnie, jak mieli w zwyczaju tego

rodzaju ludzie. To, że tak łatwo zmieniał role, przechodząc od dzikusa do dżentelmena,

wydawało się Elise absurdalne, a nawet nie w porządku. Sądziła, że zaczyna go rozumieć,

lecz teraz nie była już tego pewna.

Nawet jeśli aprobowała te zdolności kameleona, ani trochę

im nie ufała.

„Ja nie mam swoich” - powiedział na szlaku. Więc on naprawdę tak myślał? I nie

poczuwał się do większej lojalności wobec rodaków swego ojca niż swojej matki? Jeżeli tak

rzeczywiście było, znaczyło to, iż nawet on nie wie, które przebranie jest właściwe.

Podniosła wzrok zaskoczona, gdy obok instrumentu pojawił się Pascal.

- Czy wiesz, że przez cały czas gapisz się na tego mieszańca niczym kotka w rui? -

zapytał nieco bełkotliwie.

- Niech pan nie będzie śmieszny!

Pascal był pijany, lecz jego głos brzmiał donośnie.

Zerknęła na grających, aby przekonać się, czy słyszeli słowa kupca.

- O nie, nie ja. To ty jesteś śmieszna. Czy to możliwe, że ten dzikus i bękart zdołał

rozpalić naszą zimną wdówkę? Być może tego właśnie było ci trzeba? Raz zmuszona,

poddałaś się na dobre.

- Obraża mnie pan - powiedziała,  
wstając od klawikordu. - Kiedy pan  
wytrzeźwieje,

oczekuję przeprosin.

Złapał ją za ramię i zacisnął na nim  
wilgotne palce.

- Jeżeli zaczęłaś mięknąć, może ja  
mógłbym dokończyć dzieła. Przyjdę do  
twojego

pokoju za godzinę.

Szarpnęła ramieniem, czując przypływ  
dawnego wstrętu, lecz nie zdołała się  
uwolnić.

- Zrób tak - syknęła - a zabiję cię.

- Założyłbym się, że kiedy już będziesz  
pode mną, ciepło mnie przywitasz -

powiedział, przyciągając ją do siebie.

- I przegrałby pan zakład.

Reynaud wykręcił Pascalowi rękę i  
błyskawicznym ruchem biodra powalił  
go na

ziemię.

- A co to znowu za indiańska sztuczka? -  
wychrypiał drżącym głosem Pascal,  
leżąc na

plecach.

- Rzut zapaśniczy. Mam zademonstrować jeszcze raz? Kupiec posłał mu spojrzenie

pełne nienawiści.

- A teraz przeprosi pan madame Laffont za swoje za, chowanie.

Pascal spojrział na Reynauda, krzywiąc grube wargi, jednak wyraz jego twarzy

przekonał go, że lepiej będzie ustąpić. Odwrócił wzrok i wymamrotał przeprosiny.

Reynaud ujął w dłoń drżące, lodowate

palce Elise i zwrócił się do gości:

- Drodzy przyjaciele, pora iść spać.

W milczeniu opuścili salon. Madeleine pośpieszyła za nimi i kiedy Reynaud

wprowadził Elise do sypialni, zamknęła drzwi i stanęła obok nich, z niepokojem wpatrując się

w pobladłą twarz młodej kobiety.

- Przynieś koniak - polecił kuzynce.

Odwrócił Elise do siebie i zaklął pod nosem, gdy

zobaczył wyraz jej oczu. Uczynił gest, jakby chciał wziąć ją w ramiona, lecz w

porę

przypomniawszy sobie, że nie wolno mu tego zrobić. Obejmij mnie - powiedział szorstko.

Elise posłusznie wsunęła dłonie pod surdut Reynauda i przytuliła twarz do brokatowej

kamizelki. Zamknęła oczy i westchnęła głęboko. Poczwała na włosach jego policzek i delikatny

dotyk palców na swoich plecach. Dłonie Reynauda przesunęły się ku talii Elise i pozostały

tam. Nie poruszyła się. Stali tak, dopóki



nie wróciła Madeleine.

Reynaud dopilnował, aby Elise wypiała  
pokrzepiający łyk koniaku, a  
upewniwszy się,

że jest z nią lepiej, wyszedł. Jego  
kuzynka, zaintrygowana, lecz  
współczująca, krążyła po

pokoju, ścieląc łóżko i przygotowując  
nocną koszulę dla Elise. W końcu  
podeszła, wyjęła jej

kieliszek z rąk i zaczęła rozpinać suknię  
ze znajomością rzeczy, która nie  
dopuszcza odmowy.

Koniak był mocny. Elise szybko to

odczuła i bez sprzeciwów pozwoliła Madeleine

zająć się jej toaletą. Siedziała spokojnie, kiedy zdejmowała jej pończochy i buty, wstała jak

manekin, by umożliwić starszej kobiecie wsunięcie na siebie nocnej koszuli, a potem

pozwoliła posadzić się przed toaletką. Kiedy kuzynka Reynauda zaczęła przesuwać szczotkę

po długich, jasnobrązowych pasmach, nagle pewna myśl zaniepokoiła Elise. Nie chciała

pozwolić, by jej umknęła, zapytała więc co prędzej:

- A te kobiety, które m'sieu przywozi do domu, długo tu zostają?

- Jakie kobiety, madame Laffont?

- Kobiety szczególnego rodzaju.

- Nie rozumiem, o czym pani mówi. Jedyne kobiety, jakie tutaj bywały - wszystkiego

jedna czy dwie - to żony urzędników, którzy zagląдают do nas od czasu do czasu.

Sporadycznie pojawia się też jakiś

coureur de bois\* z indiańską kobietą u swego boku, lecz

oni zwykle nie zatrzymują się w domu, wolą mniej cywilizowane warunki.

Elise uśmiechnęła się, słysząc pobrzmiewającą w głosie kobiety dumę.

- Ale ... ta dama, której ubranie noszę ...

- O której damie mówisz, chire?

- Tej, która umarła.

- Ach, o tej. - Madeleine z wolna kiwnęła głową. - Reynaud opowie ci o niej, ja nic nie

wiem.

Czyżby kuzynce nakazano milczenie?  
Jeśli tak, to wypytywanie jej na nic się  
nie zda.

Zresztą i tak nie było po temu okazji,  
gdyż drzwi otworzyły się i do pokoju  
wszedł Reynaud.

Madeleine przesunęła ostatni raz po  
lśniącej kurtynie włosów opadającej na  
ramiona

Elise, odłożyła szczotkę, powiedziała  
dobranoc i wyszła. Reynaud zdjął z  
głowy perukę i

\*\*Coureur de bois (franc.) - człowiek

często przebywający w lasach, tu:  
traper.

cisnął ją na toaletkę. Stał za Elise i  
przez chwilę przyglądał się jej odbiciu  
w lustrze,

spoglądając zaborczo na włosy  
dziewczyny i jej ciało, okryte  
wydekoltowaną koszulą z

białego batystu.

- Czarujące - powiedział miękko.  
Zignorowała jego słowa.

- Zamierzasz tu spać?

- Tak zostało to zorganizowane.

- Nie pojawiłeś się w moim pokoju, od kiedy przyjechaliśmy.

- Kolejny przejaw mojej nieskończonej cierpliwości. Przeszkadza ci, że będziesz

dzieliła ze mną łóżko?

- Niespecjalnie. Po prostu zastanawiałam się, czy zasady uległy zmianie.

- Nie. - Uśmiechnął się do niej, a potem zrzucił z ramion surdut i powiesił go na oparciu krzesła Elise.

- Nie byłam pewna, czy ty w ogóle

korzystasz z łóżka.

- Od czasu do czasu.

Kopnięciem pozbył się butów na wysokich obcasach, zrolował pończochy i zsunął je z

nóg. A kiedy się wyprostował i zaczął odpinać kamizelkę, Elise złapała się na tym, że nie

może oderwać od niego wzroku.

Reynaud tymczasem zdjął kamizelkę, nadal uśmiechając się

do odbicia Elise w lustrze. Teraz jej uwagę przyciągnęły dłonie mężczyzny. Patrzyła, jak



wyciąga poły koszuli z bryczesów,  
krzyżuje ramiona i jednym płynnym  
ruchem zrzuca z

siebie koszulę przez głowę.

Szaroczarne linie tatuażu nadal widniały  
na jego piersi, wijąc się w  
skomplikowanym

wzorze. Nie do końca świadoma tego,  
co robi, odwróciła się na krześle i  
przesunęła po nich

czubkami palców. Zaczerpnął  
gwałtownie tchu, akceptując dotyk -  
pierwszy, jakim obdarzyła

go dobrowolnie. Stał nieporuszony, a

jego oczy pociemniały niczym nocne  
niebo. A potem

powoli, by jej nie spłoszyć, przyklęknął  
tuż obok krzesła, na którym siedziała.

Silna brązowa

dłoń przykryła palce Elise, zatrzymując  
je tam, gdzie były. Pierś Reynauda  
wezbrała

oddechem, kiedy szykował się, aby  
przemówić.

- Gdybym nie złożył przysięgi -  
powiedział niskim głosem - zanurzyłbym  
dłonie w

splątany jedwab twoich włosów i

przyciągnął cię do siebie, zamykając w  
ramionach i tuląc,

dopóki nie wyczułbym bicia twego  
serca. Zbliżyłbym usta do twoich warg,  
wyczuwając ich

słodkie ciepło, aż wreszcie rozchyliłyby  
się dla mnie. Rozkoszowałbym się ich  
smakiem i

z badał jego źródło, zachęcając cię, byś  
uczyniła to samo. Całowałbym twoje  
czoło, oczy,

krągłość policzków, a także to  
uwodzicielskie zagłębienie za uchem.  
Delikatnie zsunąłbym

koszulę z twoich ramion, znacząc jej opadanie szlakiem pocałunków.

- Proszę - szepnęła, a rumieniec na jej policzkach nie był spowodowany wyłącznie

zażenowaniem. Czowała się tak, jakby każde słowo Reynauda było pieszczotą, powodującą

dziwną ociężałość jej ciała i nie pozwalającą jej się poruszyć.

- Nakryłbym dłońmi twoje piersi, obejmując ich delikatny kształt, miękki, a zarazem

sprężysty, pieściłbym sutki palcami i

językiem, dopóki nie rozkwitłyby  
nabrzmiałymi

słodyczą pąkami. Przytuliłbym twarz do  
białej płaszczyzny brzucha i wdychał  
twój zapach, a

potem odnalazł te sekretne miejsca,  
które przynoszą ci rozkosz. A kiedy  
byłabyś już gotowa,

gdybyś nie mogła się już doczekać - lecz  
wtedy i tylko wtedy - wszedłbym w  
ciebie,

przepędzając precz myśl o jakimkolwiek  
innym mężczyźnie. Oddałbym ci na  
usługi całą

swoją moc i opanowanie, zapewniając  
nam obojgu nieskończoną rozkosz, która  
jest naszym

wrodzonym prawem, naszą pociechą i  
jedyną nagrodą za trudy życia. To  
właśnie zrobiłbym,

gdybym nie przysięgł, że cię nie dotknę.

Gdzieś w głębi ciała Elise narastała  
potrzeba, by kazać mu zrobić dokładnie  
to, co

powiedział. Otworzyła szeroko oczy i  
rozchyliła usta, lecz słowa zwalniające  
go z przysięgi

nie padły. Poczowała dziwny ból i

wzdrygnęła się. Niezdolna wytrzymać jego spojrzenia,

spuściła wzrok i popatrzyła na swoją dłoń przyciśniętą do piersi Reynauda.

Skłonił głowę i ucałował jej palce, a potem położył dłoń Elise na jej kolanie. Wstał

zręcznie i zgasił świece w kandelabrze na toaletce.

- Chodź do łóżka - powiedział, a w jego głosie dało się wyczuć znużenie.

Leżeli obok siebie w ciemności. Na zewnątrz głośno zawodził nocny wiatr. Belki

ścian trzeszczały, ściskane  
nadciągającym chłodem. Z salonu  
dobiegało delikatne tykanie

zegara z pozłacanego brązu, który  
uparcie, choć niezbyt natrętnie, odliczał  
minuty i wybijał

godziny.

Minęły ich już dwie i właśnie miała  
minąć trzecia, kiedy Elise odwróciła się  
do

Reynauda. W szalasię na szlaku nie  
sposób było leżeć z dala od siebie.

Zeszłej nocy,

wyczerpana podróżą, nie odczuła braku



jego bliskości, teraz jednak wydawało się jej, że nie

zaśnie, nie czując go obok siebie.

Delikatnie, jakby nie było w tym niczego dziwnego,

położyła dłoń na ramieniu Reynauda.

Nie poruszył się, pewnie, spał.

Zadowolona zamknęła

oczy i pozwoliła rozluźnić się napiętym mięśniom.

Reynaud, leżąc na plecach, co w jego obecnym stanie ciągłego pobudzenia wydawało

się najrozsądniejsze, poczuł ten

delikatny dotyk i omal się nie  
wzdrygnął. Czy zrobiła to

świadomie, a może po prostu przysunęła  
się do niego przez sen? Co za głupiec z  
niego, że w

ogóle przywiązuje do tego wagę. A  
jednak miało to dla niego znaczenie.  
Wolał myśleć, że

Elise nie spała. Uspokojony takim  
przypuszczeniem, zasnął.

Mijały kolejne pogodne dni. Słońce  
świeciło tak, że jego promienie niemal  
oślepiały.

Jak zwykle o tej porze roku ziemia

wchłaniała ciepło za dnia, a oddawała je w nocy, więc

powietrze pozostawało łagodne. Wydawało się, że zima nigdy nie nadejdzie. Minął jeden

tydzień, potem drugi i zaczął się trzeci, a oni nadal rozkoszowali się, każdy na swój sposób,

ciszą i spokojem tego zakątka. Koszmar wydarzeń w forcie Rosalie odpłynął w przeszłość,

stając się jedynie złym wspomnieniem. Nie mieli zbyt wiele czasu na rozmyślania, ponieważ

Reynaud stale wynajdywał im różne zajęcia: polowanie na kaczki i zdziczałe potomstwo

świń, które, przed blisko dwustu laty pozostawione przez ekspedycję Hernanda de Soto,

uciekły do lasu i połączyły się ze swoimi dzikimi kuzynkami, oraz inne męskie rozrywki,

wymagające dużych umiejętności strzeleckich. Organizował ekscytujące gry, takie jak

indiańska odmiana gry w kości, polegająca na rzucaniu ziaren z jednej strony pomalowanych

na czarno, albo wyścigi na wychudzonych konikach, kupionych od Indian Kaddo, którzy z

kolei nabyli je od plemion zamieszkujących równiny daleko na zachodzie.

Czasami Reynaud wyzywał do walki na szpady wszystkich swych gości po kolei, dla

ochrony przed zranieniem ubranych w watowaną kamizelkę. Innym razem pokazywał

Henriemu zasady indiańskich zapasów lub uczył go walczyć nożem. W ten sposób energia

gości i jego własna znajdowała ujście w działaniu.

Jedzenie i wino podawano o każdej porze, na życzenie.

Jednak największą pokusę, aby zapomnieć o upływającym czasie, stanowił sybarycki

komfort tego domu.

Uciekinierzy złościli się i narzekali, zwłaszcza gdy rozpoczął się trzeci tydzień ich

pobytu, ale nie ponaglali gospodarza, Reynaud bowiem niechętnie przyjmował wszelkie

wzmianki o ewentualnym wyruszeniu w dalszą drogę.

Często polował z gośćmi, ale niekiedy wysyłał z nimi jednego ze swoich ludzi -

ciemnych, milczących mężczyzn, doskonałych tropicieli i strzelców.

Muszkiety stanowiły

przedmiot ich największej dumy.

W te dni, kiedy pozostawał w domu, polecał zwykle, by osiodłano konie i zabierał

Elise na przejażdżkę po swoich włościach.

Najpierw pokazał jej znajdujące się w pobliżu rozlewisko - szerokie pasma wody,

wijące się po ciemnej, urodzajnej ziemi. W niektórych miejscach zwężały się i pogłębiały,

tworząc słoneczne zatoczki pod zwieszającymi się nisko gałęziami drzew i pnączy. Potem

pojechali na mokradła, gdzie ludzie Reynauda wycinali cisy i obrabiali drewno. Innym razem

jeździli po polach, cwałowali drogą, która zaczynała się za domem, wiodła obok młyna i



warsztatu bednarskiego na skraju  
rozlewiska i znikła w ciemnym,  
ciągnącym się hen, daleko

lesie.

Reynaud z dumą oprowadzał ją po  
gospodarstwie. Widać było, że cieszy go  
wszystko:

wędzarnia pełna mięsiwa, koryta  
wypełnione zbożem, pastwiska, na  
których pasły się

wełniste owce, kurniki, gdzie kurczęta i  
gęsi mogły czuć się bezpieczne przed  
lisami i

łasicami. Nalegał, by obejrzała

spizarnię pełną beczek mąki i orzechów,  
a także mniejszych

beczułek, zwanych świńskimi głowami,  
z niedźwiedzim sadłem, garnców miodu  
podebranego

leśnym pszczołom i pojemników z  
dżemami, galaretkami i piklami: dzieło  
Madeleine i

zatrudnionych przez nią kobiet.  
Gospodarstwo Reynauda było  
samowystarczalne, jeśli

pominąć białą mąkę, oliwę, wino oraz  
suszone egzotyczne owoce.

Elise chwaliła wszystko gorąco i

szczerze. Wiedziała, ile trudu wymaga utrzymanie

takiego gospodarstwa w głuszy, i to zarówno od właściciela, jak i pracowników. Można tu

było żyć, prawie nie kontaktując się ze światem, z dala od jego problemów i lęków, ludzkiej

chciwości i zdrady. Perspektywa takiego życia wydawała się jej wielce pociągająca,

zwłaszcza że jej własne gospodarstwo obróciło się w popiół.

Prawdopodobieństwo, że zdoła

je kiedykolwiek odzyskać, było małe, a i wówczas podniesienie go z ruin wymagałoby

ogromnej pracy.

Pewnego razu jechali późnym popołudniem ścieżką biegnącą za domem i prowadzącą

na pola. Reynaud, mrużąc oczy w promieniach zachodzącego słońca, pokazał Elise chatę, w

której mieścił się warsztat tkacki, by dać jej pojęcie o wielkości stada owiec, wyliczyć, ile

worków wełny zgręplowały i uprzedły

poprzedniej wiosny robotnice pod  
okiem jego kuzynki

i ile metrów materiału utkały, by uszyć z  
niego ubrania dla służby.

- Madeleine chyba nie bardzo mnie lubi  
- powiedziała Elise, kiedy już wyraziła  
swoje

uznanie dla dokonań gospodarzy.

- Dlaczego tak myślisz?

- Patrzy na mnie, jakbym była jednym z  
karaluchów, które tępi z takim

zapamiętaniem.

Uśmiechnął się.

- Ona naprawdę ich nienawidzi,  
zauważyłaś? Kiedy pojedę do  
Natchitoches, kupię jej

kociaka. To pomoże utrzymać karaluchy  
z dala od spiżarni.

- Zrób tak, a będzie cię czciła jeszcze  
bardziej niż teraz.

- Przesadzasz.

Widząc, jak znika jego uśmiech, Elise  
pożałowała, że w ogóle poruszyła ten  
temat.

- Wcale nie, zresztą nie ma to nic

wspólnego ze mną.

- Przywiozłem Madeleine z Francji, z Combourga. Chyba ma prawo troszczyć się o

moje dobro.

- Nie musisz mi niczego wyjaśniać.

- Rzeczywiście, jednak nie chciałbym zostać źle rozumiany. Ona jest dla mnie jak

siostra, starsza i bardzo mi droga siostra.

- To naprawdę nie moja sprawa. Zignorował jej słowa.

- Mieszkała jako uboga krewna w zamku mojego ojca, znosząc kaprysy jego żony.

„Dawno temu doszło do jakiegoś skandalu, o którym ona nie chce mówić. W rezultacie

pozostała bez środków do życia. Była dla mnie miła i dopilnowała, by traktowano mnie jak

syna mego ojca, nie zaś nieokrzesanego dzikusa, jakim pod wieloma względami byłem.

Chętnie słuchała, kiedy opowiadałem o Luizjanie, i czasami mówiła, jakie by to było



podniecające, gdyby mogła rozpocząć nowe życie w innym kraju. Kiedy postanowiłem

wyjechać z Combourga, poprosiłem ją, by pojechała ze mną. Zgodziła się. W moim domu

wzięła sprawy gospodarskie w swoje ręce, a ja się temu nie sprzeciwiałem.

- Mógłbyś ją poinformować, że nie zamierzam czynić zamachu na jej stanowisko.

- Wątpię - powiedział stanowczo - by nadarzyła się po temu okazja.

Spojrzała na niego z zakłopotaniem.

- Jesteś ostatnio bardzo drażliwy. Nie miałam na myśli nic złego.

- Naprawdę? Gdybym mógł być tego pewny, zdecydowanie by mi ulżyło.

- Co masz na myśli?

- Tak wielką przyjemność sprawia ci ... zresztą mniejsza o to. - Odwrócił szybko

wzrok i ściągnął wodze, jakby miał zamiar odjechać i zostawić ją.

- Sądzisz, że mówiąc o Madeleine, wystawiam na próbę twoją cierpliwość?

- I moje dobre intencje.

- To absurdalne!

- Naprawdę? Możesz przysiąc, że nigdy tego nie robiłaś?

Elise zaczerwieniła się, lecz nie spuściła wzroku.

- Od jakiegoś czasu nie.

- Chciałbym wierzyć - powiedział po dłuższej chwili - że naprawdę jesteś taka

niewinna - i taka szczerą.

Uświadomiła sobie, że Reynaud myśli o tym poranku, kiedy obudził się, a ona spała

wtulona w zagłębienie jego ramienia.  
Drgnął, gdy przerzuciła nogę przez jego  
uda. Na wpeł

śpiąc, odsunęła się wtedy od niego. Coś  
takiego nie zdarzyło się po raz pierwszy,  
choć zwykle

to on wyciągał w nocy do niej ramiona.

- A ty jesteś szczery? - zapytała głosem  
drżącym z napięcia.

- Och, ja nie robię sekretu z mojej  
kampanii przeciwko twoim siłom  
obronnym. Lecz

jeśli powstrzymuję się na darmo, rad  
bym się o tym dowiedział.

Odpowiedziała kpiną na jego sarkazm:

- Dlaczego? Czyżbyś miał zamiar zrezygnować?

- Jeżeli siły przeciwników są wyrównane, najlepszą obroną jest atak.

Odwrócił konia i pognał przed siebie, uciekając od niej.

Zmieszana obserwowała, jak się oddala. Wiedziała, że ostatnio Reynaud z trudem

utrzymuje nerwy na wodzy i dużo go to kosztuje. Dotąd zdawał się mieć wytyczony cel i

wytrwale do niego dążył. Czyżby zbyt

zaufała jego żelaznej woli? Czy zależna od niego,

powolna odczuwanej potrzebie, mimo woli podkopała ją? A może opanowanie Reynauda

było tylko mitem, który sama stworzyła i uwierzyła w jego istnienie?

## **ROZDZIAŁ VII**

Elise zamierzała pozwolić Reynaudowi odjechać, lecz on ściągnął wodze i zatrzymał

się pod drzewem o rozłożystych konarach. Przez chwilę po prostu siedział w siodle, wpatrując

się w ziemię. Elise przyszło do głowy, iż być może miał jej do powiedzenia coś więcej.

Uniosła więc wodze i lekko ścisnęła piętami boki klaczy.

Gdy była o kilka metrów od Reynauda, ten zsiadł z konia. Dobrze wyprawiona skóra

bryczesów przylegała ciasno do twardych mięśni jego uda, kiedy przenosił nogę nad

siodłem. Nie patrząc na nią, ruszył przed siebie, prowadząc wierzchowca i pochylając się to

tu, to tam, by wygrzebać coś spomiędzy  
zbrązowiałych liści i pogniecionej  
trawy. Elise

obserwowała go przez chwilę, a potem  
uniosła głowę i spojrzała na drzewo nad  
nimi. To był

dziki orzech.

Zsunęła się z siodła i owinąwszy wodze  
wokół nadgarstka, także zaczęła  
przeszukiwać

ściółkę. Orzechów było mnóstwo.  
Wynajdywanie ich stanowiło  
fascynujące zajęcie, tak jak

szukanie każdej ukrytej rzeczy. Zbieranie



orzechów i dzikich jagód należało do ulubionych

zajęć Elise. Zdrapała czarną, wilgotną powłokę ze skorupki i potarła orzech o udo, nie

troszcząc się o suknię. Materiał jej aksamitnego kostiumu do konnej jazdy i tak był już

zniszczony i poprzecierany. Szybko nazbierała pełną garść orzechów, które przyciskała do

piersi, a kiedy pochyliła się, by podnieść kolejny, upuściła kilka spośród zebranych wcześniej.

- Proszę, daj mi je. - Razem nazbierali tyle orzechów, że ledwo się mieściły w

kieszeniach bryczesów Reynauda. -

Wiem, gdzie rośnie śliwa daktyłowa.

Lubisz jej owoce?

To było jak wyciągnięcie ręki na zgodę, więc Elise przyjęła propozycję. Szli ramię w

ramię, prowadząc za sobą konie. Nie musieli iść daleko. Ich pojawienie się spłoszyło oposa,

buszującego wśród opadłych owoców. Stworzenie potoczyło się niezdarnie w głąb lasu,

ciągnąc za sobą ogon.

Krucze, jędrne, gorzkawe orzechy i  
miętka, rozpływająca się w ustach  
słodycz

dojrzałych śliwek o miąższu podobnym  
do pomarańczy tworzyły cudowną  
mieszanię

smaków. Siedzieli pod drzewem,  
opierając się plecami o pień, i jedli na  
przemian to orzechy,

to śliwki. Reynaud rozgniatał w  
dłoniach skorupki, a Elise wydobywała  
z nich orzechy. Pestki

śliwek były duże i gładkie. Reynaud

rozłupał kilka, aby pokazać Elise  
kwiatowy wzór na

nasionku, na każdym inny.

Po kłótni atmosfera pomiędzy nimi była  
z początku trochę napięta, zwłaszcza  
kiedy

Elise, zamiast podać orzech  
Reynaudowi, wsunęła mu go do ust.  
Przez chwilę wpatrywał się

w nią, a potem opuścił powieki  
obramowane długimi rzęsami.

Cóż to za dziwny człowiek, pomyślała  
Elise. Kim on naprawdę jest:  
szlachetnym

dzikusem czy skorym do gniewu  
dżentelmenem? Po pierwszym wieczorze  
zaniechał noszenia

peruki i dworskich ubrań. Czasami Elise  
zastanawiała się, czy Reynaud nie  
odgrywa po

prostu kolejnej roli: dumnego ze swoich  
włości farmera, rozkochanego w  
rozległych polach,

które jego ludzie uczynili tak płodnymi.  
Nie była tego pewna. Choć często  
przebywali razem,

a nawet sypiali w jednym łóżu, nadal go  
nie rozumiała. Potrafił być zadziwiająco  
wrażliwy i

spozstrzegawczy, jak tego dnia, kiedy Pascal złapał ją za ramię i złożył niedwuznaczną

propozycję. Skąd wiedział, że Elise potrzebowała wtedy jego silnych ramion, by się w nich

schronić, pewna, iż on nie odwzajemni uścisku i nie wykorzysta chwili słabości.

Potrafił też być nadzwyczaj tępy. Na przykład nie rozumiał, że jego kuzynka

Madeleine czuje się zagrożona obecnością Elise w domu i dlatego jest wobec niej

nieprzyjemna.

Przyzwyczała się już, że swoimi przemyśleniami dzieli się z Reynaudem.

- Te ziemie i dom są wspólną własnością twoją i brata? - zapytała.

Potrząsnął głową.

- Nie, tylko moją.

- Więc on jest twoim bratem przyrodnim?

- Wręcz przeciwnie, jesteśmy bliźniakami.

- Chcesz powiedzieć, że wódcz

Natchezów ma w sobie domieszkę francuskiej krwi? -

zapytała zdumiona.

- Tak trudno w to uwierzyć?

- Ależ on zezwolił na to, by mordowano jego rodaków! - Tak mocno ścisnęła

trzymany w dłoni orzech, że ostra krawędź skorupki zraniła jej palec.

- To nie zależało od niego - w takich sprawach decyzję podejmuje wódz wojenny.

Krew w jego żyłach nie ma tu nic do rzeczy. Został wychowany jak Natchez i



jest teraz

Wielkim Słońcem. Podróżuje wyłącznie w lektyce i nigdy nie dotyka stopą ziemi.

Komunikuje się z duchami w świątyni, symbolizowanymi przez trzy łabędzie strzegące

dachu. Mieszka wraz z dwiema żonami i dziećmi w domu na najwyższym wzniesieniu,

położonym tylko trochę niżej niż sama świątynia. Jego jedynym zajęciem jest troszczyć się o

dobro ludu.

- Lecz ty uciekłeś.

- To nie była ucieczka. Moja matka, Tatuowane Ramię, uznała za sprawiedliwe, by

mój ojciec zatrzymał jednego syna, kiedy wracał do Francji. Do tego czasu uważała nas za

lustrzane odbicia, dokładnie takie same - i dawno już zapomniała, który z nas urodził się

pierwszy. Jednak zmusiła się, by ocenić naszą inteligencję, siłę, niezależność, pewność siebie

i setkę innych cech. A potem dokonała

wyboru.

- Wybrała twego brata, by został Wielkim Słońcem?

- Po części. Przede wszystkim wybrała mnie, abym pojechał z ojcem, ponieważ

uznała, że lepiej niż mój brat poradzę sobie w zetknięciu z inną kulturą, wręcz skorzystam na

tym. Mój brat został Wielkim Słońcem dopiero po śmierci wuja, gdyż był najstarszym synem

najstarszej siostry dotychczasowego władcy.

- A zatem, gdybyś nie pojechał do Francji, ty także mógłbyś zostać wybrany?

- Tak przypuszczam.

- Czy trudno było ci się przyzwycząić do życia we Francji?

Reynaud oparł głowę o pień orzecha i uśmiechnął się kącikiem ust.

- Najtrudniej było nauczyć się wymawiać „r”. W języku Natchezów nie ma takiej

głoski.

Czy mówił prawdę? Miała ochotę

podrażnić ten temat, zapytać go, czy  
bękart, do tego

pół - Indianin, spotkał się w kraju ojca z  
przychylnym przyjęciem, czy został  
odrzucony z

pogardą, ale nie potrafiła znaleźć  
odpowiednich słów~ by go nie urazić.  
Zapytała więc tylko:

- Żałujesz, że tam pojechałeś?

- Nie.

Zaprzeczył bardzo stanowczo, być może  
dlatego, że chciał pozostać lojalny  
wobec

matki i brata, który przewodził masakrze dokonanej na rodakach' ojca. Tak czy inaczej, Elise

uwierzyła mu.

- To dziwne, że waszej matce pozwolono dokonać wyboru.

- Nie o to chodzi, czy jej pozwolono. Dokonała tego na mocy przysługującego jej

prawa.

- Nie rozumiem.

- Ona należy do kasty Słońca, rządzącej kasty. Mój ojciec jako Francuz został

przypisany do kasty Szlachetnie  
Urodzonych, co pozwoliło matce go  
poślubić. Słońca nie

żeńią się między sobą, lecz muszą  
znaleźć sobie współmałżonka z niższej  
kasty. Według

zwyczajów Natchezów moja matka stała  
wyżej w hierarchii niż ojciec, miała  
więc przywilej

decydowania o losie dzieci.

Potomstwo kobiety z kasty Słońca  
dziedziczyło przynależność kastową  
matki, dzieci

mężczyzn Słońce zostawały Szlachetnie

Urodzonymi - tyle wiedziała. Dlatego Reynaud i jego

brat należeli do kasty Słońca, dziedziczonej w linii żeńskiej. Zdarzało się, że kobiety z tej

kasty poślubiały Śmierdzieli tylko dlatego, by ich pozycja w związku pozostała niezagrożona.

Mąż Śmierdziel nie mógł siadać w obecności swej małżonki ani iść przed nią, musiał też

słuchać jej poleceń. Jeśli mąż Śmierdziel przeżył swą żonę z kasty Słońca, był zabijany przez



uduszenie i grzebany razem z nią.  
Niedawno w jednej z indiańskich  
wiosek wybuchł skandal,

ponieważ mąż po śmierci swej wysoko  
urodzonej żony uciekł i uniknął swego  
losu.

Najbardziej rozgniewanymi z tego  
powodu ludźmi w wiosce byli jego  
krewni, którzy

zostaliby uwolnieni na zawsze od  
perspektywy podobnej śmierci, gdyby  
uciekinię zajął

swoje miejsce w kondukcje żałobnym i  
na końcu drogi potulnie pozwolił się  
zabić.

Elise próbowała wyobrazić sobie Reynauda uczestniczącego w podobnym rytuale, być

może nawet trzymającego sznur. Nie potrafiła jednak, choć kiedyś nie sprawiłoby jej to

trudności. Czyżby zmiana odzienia aż tak wpłynęła na jej osąd?

- Jakie imię nosisz, gdy jesteś wśród Natchezów?

- Jastrząb Nocy.

- A twój brat?

- On jest po prostu Wielkim Słońcem.

Kiedyś był Nurkującym Jastrzębiem. -  
Zanim

zdążyła się odezwać, on już mówił  
dalej: - Niedawno wspominałaś o  
okrucieństwie Indian, o

tym, że torturują swoich więźniów, to  
znaczy mężczyzn. Umysł Europejczyka  
nie potrafi

znaleźć usprawiedliwienia dla takiego  
postępowania, ale w obyczajowości  
Indian jest ono

uzasadnione. Torturowanie jeńca  
pozwała zwycięskiemu plemieniu  
przekonać się, że ich

przeciwnik nie jest potworem ani demonem, tylko człowiekiem, który krwawi i umiera tak

samo jak oni. Poza tym pozwala rozładować lęk i napięcie związane z wojną, w której często

uczestniczą również kobiety i dzieci.

- Ale ty tego nie usprawiedliwiasz? - spytała, pochmurniejąc.

- Ale i nie potępiam jako barbarzyńskich praktyk. To byłaby hipokryzja, zważywszy

na to, że historia świata dostarcza wiele przykładów ,takich okrucieństw.

## Starożytni

Fenicjanie skalpowali swoich martwych wrogów, a niektórzy uczeni uważają, iż Indianie

południowoamerykańscy mają w „Swoich żyłach krew tych żeglarzy.  
Hordy Dżyngis - chana

i Tamerlana mordowały tysiące ludzi i zostawiały ich czaszki, by wyschły na słońcu.

Galowie, Frankowie i krzyżowcy wycinali w pień całe miasta, z kobietami i dziećmi

włącznie, a plądrowanie i grabież

bywały wówczas na porządku dziennym  
i często

towarzyszyły przemarszowi armii.

- To było wieki temu!

- To prawda, lecz teraz też lochy w  
Europie pełne są narzędzi tortur,  
regularnie

stosowanych wobec niewinnych w imię  
służby Bogu lub w celu wymuszenia  
przyznania się

do winy, czasem tak niewielkiej jak  
kradzież chleba - chleba, który każdy  
Natchez dałby

głodującym za darmo. Mogłabyś powiedzieć, że różnica polega na tym, iż te tortury

dokonywane są w ukryciu, a jęki cierpiących katusze zduszone. To prawda. Jednak

przestępcy są biczowani, piętnowani i wieszani podczas publicznych egzekucji. Więc gdzie

przebiega linia dzieląca Europejczyków i nieokrzesane ludy Nowego Świata?

- Chodzi o to, że oni ... oni czerpią przyjemność z zadawania bólu, przynajmniej tak

mi mówiono. To nieludzkie.

- Tak, cieszą się swoim triumfem, jak wszyscy. Mimo to potrafią być ludzcy.

Torturowanie jeńca można powstrzymać. Mężczyzna - bo jest to zawsze mężczyzna, jeśli

pomiąć obyczaje kilku wschodnich plemion torturujących także kobiety i dzieci - może

zostać ocalony. Wystarczy, jeśli kobieta - wdowa, która utraciła męża w bitwie - poprosi, by

darowano jej tego mężczyznę jako niewolnika, służącego czy męża, którego



straciła, a

zostanie on jej przekazany. Od tej chwili staje się członkiem plemienia i nie jest już uznawany

za wroga.

- I wszyscy ufają, że nie skrzywdzi wdowy?

- Zawdzięcza jej życie i całym sercem uważa się za jej dłużnika. Nie skrzywdzi swej

wybawczynie, lecz będzie jej służył wiernie, poczytując to sobie za zaszczyt.

Elise uniosła brwi.

- A co go powstrzyma przed wykradnięciem się w środku nocy i powrotem do swego

plemienia?

- Honor i wdzięczność. Jednak czasami, gdy wdowa jest stara albo brzydka, jej sługa

może pewnego dnia zniknąć. - I nikt się tym nie przejmuje?

Leniwy uśmiech Reynauda sprawił, że coś ścisnęło ją w żołądku.

- Wdowa będzie rozpaczać, ponieważ straciła niewolnika, który nie tylko ogrzewał jej

łóże, ale również wykonywał  
wyznaczone obowiązki.

- Tak - powiedziała cicho, myśląc o  
Francuzach, którzy zapewne służą teraz  
jako

niewolnicy w wiosce Natchezów.  
Reynauda także ta myśl wytrąciła z  
równowagi, ale nie

mogła się o tym przekonać, ponieważ  
właśnie w tej chwili od strony domu  
dobiegło ich słabe

nawoływanie. Odwrócili się i zobaczyli  
mężczyznę, zmierzającego w ich  
kierunku.

Reynaud wstał błyskawicznie,  
zaalarmowany i czujny. Wyciągnął  
ramię i osłonił sobą

Elise. Jego postawa świadczyła o takim  
napięciu, że nie mogła być pewna, czy  
wykonał ten

gest świadomie.

- Sacre bleu! - wykrzyknął mężczyzna,  
kiedy zbliżył się na odległość głosu. -  
Co stało

się z wielkim wojownikiem, że siedzi  
pod drzewem i obżera się śliwkami  
niczym opos? I ja

doczekałem czegoś takiego! Z ładną

kobietą u boku? To okropne i skłania  
mnie, bym płakał -

z zazdrości!

- Pierre! - krzyknął Reynaud i ruszył ku  
przybyszowi.

Objęli się mocno ramionami, poklepując  
po plecach.

Elise powoli wysunęła się do przodu.  
Reynaud odwrócił się i przyciągnął ją  
jeszcze

bliżej.

- Elise, ma chire, pozwól, że ci  
przedstawię mojego dobrego

przyjaciela, Pierre'a

Broussarda. Pierre, oto madame Laffont.

- Enchante ... madame? - Pierre

Broussard zerwał z głowy kapelusz,  
odkrywając

długie jasne włosy. Średniego wzrostu i  
młodszy o rok czy dwa od Reynauda,  
odznaczał się

szczerym, otwartym spojrzeniem. Uniósł  
brow na znak komicznego rozczarowania  
z powodu

zameżnego stanu Elise i pochylił się nad  
jej dłonią.

- Jestem wdową - powiedziała Elise, uśmiechając się mimo woli. - Miło mi pana

poznać, m'sieu. Czekamy na pana od wieków.

- Czekacie? Jak to możliwe? Przecież ja sam nie wiedziałem, dokąd się udam.

~ Och, ale ...

- Może wróciłibyśmy do domu? - wtrącił Reynaud. Jestem pewien, że chętnie

przepłuczesz gardło po podróży, Pierre, a poza tym są tam inni•' goście, którzy też pragną cię

poznać.

Czy mężczyźni naprawdę wymienili spojrzenia nad jej głową? Elise sądziła, że tak,

lecz kiedy spojrzała na Reynauda, na jego twarzy malowało się jedynie zadowolenie i troska o

to, by jak najlepiej spełnić obowiązki gospodarza.

Pierre Broussard jako osierocony chłopiec został umieszczony u Natchezów, by

nauczyć się ich języka, a gdy dorośnie, służyć francuskiemu gubernatorowi. On



jednak został

kupcem. Podróżował z Nowego Orleanu w górę Missisipi i jej dopływów aż do Illinois.

Przemierzył setki indiańskich szlaków - od posiadłości brytyjskich na wschodzie po dominia

hiszpańskie na zachodzie, a nawet dalej. W pirodze i na grzbietach jucznych zwierząt

przewoził pierścienie, drut mosiężny, igły, szydła, dzwonki, grzebienie, nożyczki, kieliszki,

lornetki, flamandzkie noże, dłuta,

siekiery, oskardy, muszkiety, proch i  
kule, szable, fuzje,

koszule, czerwone i niebieskie limburgi  
- tkaniny pochodzące z miasta Limburg -  
oraz worki

solii.

Odwiedzał forty, osiedla, wioski  
indiańskie, wymieniając swoje towary  
na skóry

bobrów, lisów, jeleni i mniejszych  
zwierząt, a także wyprawione i zdobione  
paciorkami

skórzane stroje noszone przez indiańskie  
kobiety, malowane i wypalane naczynia,

plecione

koszyki. Od Indian Kaddo z północy kupował krępe kucyki z równin, a hiszpańskie konie od

Avojelów, zamieszkujących tereny na południowym zachodzie, znacznie poniżej fortu Saint

Jean Baptiste na ziemi Natchitoches.

Miał wielu przyjaciół, ponieważ był bardzo lubiany.

Wszędzie też chętnie go witano. Każdy przypadkowo spotkany nieznajomy mógł

liczyć, że zostanie zaproszony, by usiadł

przy jego ognisku i posilił się. Właśnie dlatego

Pierre był istną skarbnicą informacji, kimś w rodzaju obwoływacza miejskiego, stale w

drodze, przywożącego wszelkie nowiny. Wiedział, kto umarł i komu urodziło się dziecko,

znał wszystkie kłótnie i skandale.

Ledwie przedstawiono Pierre' a w salonie i wręczono mu szklaneczkę wina, już

wszyscy zebrali się wokół niego, by wypytać o najnowsze wieści. Elise,

choć nie mniej

zainteresowana, została nieco z tyłu, wsparta ramieniem na krześle madame Doucet.

Wyglądało na to, że starsza pani, która zdążyła nieco odzyskać równowagę psychiczną, teraz

znów ją straciła. Z pobladłą twarzą, pochylona mocno w przód, załamywała rękę i

gorączkowo wpatrywała się w przybysza oczami czerwonymi od łez.

- Co z fortem Rosalie? - dopytywał się Pascal. - Ma pan jakieś nowiny?

- Fortyfikacje, domy - wszystko spalone. Powiedziano mi, że magazyn prochu na stoku urwiska wyleciał w powietrze. To był bardzo widowiskowy wybuch, choć nieco

przeróżający. Osada też już nie istnieje.

- A ludzie? - spytała madame Doucet z drżeniem w głosie.

- Krążą pogłoski, że oprócz was główny atak przeżyło jedynie ośmiu mężczyzn.

Czterech zabito potem w pirodze na rzece, lecz dwóm udało się przedostać do Nowego

Orleanu i podnieść alarm. Przybyli tam w żałosnym stanie, wyczerpani i głodni, z twarzami

spuchniętymi od ukąszeń moskitów, w nadpalonych, śmierdzących dymem ubraniach.

Pozostali dwaj, krawiec i woźnica, zostali wzięci do niewoli: pierwszy dlatego, że mógł

okazać się użyteczny, a drugi poprowadził wóz, którym wywieziono łupy. Przykro mi o tym

mówić, lecz wszyscy pozostali zginęli.

Ilu ludzi mogło przebywać w forcie i w

osadzie? Trzystu, czterystu? Chyba bliżej

czterystu, pomyślała Elise. Martwi, wszyscy martwi. Chociaż nie była to niespodziewana

wiadomość, przez dłuższą chwilę milczeli, zaszokowani.

- A kobiety i dzieci? - spytała madame Doucet głosem niewiele donośniejszym od

szeptu, wpatrując się, cała drżąca, we francuskiego kupca.

Pierre spochmurniał i wbił wzrok w szklaneczkę.



- Słyszałem, że około stu pięćdziesięciu kobiet i osiemdziesięcioro dzieci dostało się do niewolni.

Dwieście trzydzieści kobiet i dzieci. Gdy swego czasu przeprowadzono w osadzie spis

ludności, doliczono się siedmiuset dusz. Choć spis nie był dokładny, i tak wychodziło na to,

że podczas masakry zginęło około siedemdziesięciorga czy osiemdziesięciorga kobiet i dzieci.

Przez chwilę wydawało się Elise, że

słyszy krzyki i czuje zapach dymu,  
tłustego od palących

się ciał.

Sto Amant przestał wreszcie  
kontemplować wino i podniósł głowę.  
Skóra wokół jego

zaciśniętych warg pobieliała.

- Co się z nimi stanie?

To było rozsądne pytanie. Francuzi,  
dzięki świątłej polityce Bienville'a,  
przebiegłego

starego weterana i założyciela kolonii,  
nie mieli dotąd kłopotów z Indianami. W

przeciwieństwie do kolonii brytyjskich w Karolinie, w Luizjanie powstania wybuchały

rzadko, stąd też niewielu Francuzów znajdowało się w rękach Indian. Jednak na skutek

politycznych intryg Bienville został pozbawiony stanowiska gubernatora, a francuskie kobiety

i dzieci znalazły się na łasce Natchezów. Z plotek i przekazywanych szeptem opowieści

wynikało, że zwycięzcy nie traktowali ich dobrze. Mówiło się o głodzeniu pojmanych, biciu i

okaleczaniu.

- Zostaną przydzieleni do poszczególnych rodzin indiańskich - małe dzieci z matkami,

starsze być może oddzielnie. Wszyscy będą mieli wyznaczone obowiązki: zbieranie drewna

na opał, mielenie ziarna, gotowanie, czyszczenie i preparowanie futer - jednym słowem,

wykonywanie bieżących czynności. Kiedy już minie euforia wywołana zwycięstwem, a oni

okażą się chętni i pracowici, będą

dobrze traktowani.

Kiedy minie euforia wywołana  
zwycięstwem. Ten niebezpieczny czas,  
kiedy nastroje i

czyny łatwo wymykają się spod kontroli.  
Lepiej o tym nie myśleć.

Pierre odchrząknął. Jego wargi  
zacisnęły się, lecz wreszcie, jakby  
wbrew sobie,

przemówił:

- Doszły mnie słuchy o sześcio - czy  
siedmioletnim chłopcu, miłym dzieciaku,  
którego

pewna rodzina z kasty Słońca wzięła  
jako towarzysza zabaw dla swego syna.

Chłopcy

zaprzyjaźnili się, a z upływem dni stali  
się wręcz nierozłączni. A potem mały  
Indianin zaraził

się od swego kolegi odrą i zmarł.  
Zdecydowano, że francuski chłopiec  
zostanie złożony w

ofierze, aby mógł dalej bawić się z  
dzieckiem rodziny Słońca.

Madame Doucet krzyknęła, jej twarz  
przypominała maskę smutku. Kołysała  
się w

przód i w tył, obejmując mocno piersi ramionami, jakby obawiała się, że wyskoczy jej serce.

Elise pochyliła się nad nią i otoczyła ramionami, choć czuła się bezradna wobec ogromu

rozpaczy Marie.

Pascal zaklął. St. Amant odstawił kieliszek. Jego dłoń drżała.

- Trzeba coś zrobić, ratować ich.

- Rzeczywiście - powiedział' Pierre Broussard. - Gubernator Perier wysłał do Francji

depeszę, w której błaga Koronę i Kompanię Zachodnioindyjską, aby stłumiły powstanie.

Zwołał też pospolite ruszenie, by zasililo szeregi milicji, i wysłał Sieura de Lery'ego jako

emisariusza do Czoktawów.

- Do Czoktawów? - powtórzył Pascal z powątpiewaniem. - Przed atakiem chodziły

słuchy, że Czoktawowie mają przyłączyć się do Natchezów.

- Plotki były po części prawdziwe. To miała być masakra, przygotowywana w



tajemnicy podczas tajnych rad wojennych od zeszłego lata. Każdy wódz otrzymał pęk trzcini~

w którym była taka sama liczba gałązek. Miał wyciągać z niego jedną trzcinę dziennie aż do

dnia ataku. Ktoś manipulował przy trzcinach Natchezów, dlatego uderzyli za wcześnie.

Yazoo, którzy wraz z Tensasami byli sojusznikami Natchezów, zmasakrowali Francuzów w

małym forcie na swoich ziemiach, a w Nowym Orleanie wybuchł bunt niewolników, o

którym mówi się, że stanowił część spisku. Jednak Czoktawowie wściekli się, że

Natchezowie uderzyli wcześniej, pozbawiając ich atak elementu zaskoczenia, a na dodatek

odmówili podzielenia się łupami z fortu Rosalie. Zatem istnieje duże prawdopodobieństwo, że

Czoktawowie sprzymierzą się z Francuzami. W każdym razie taki cel przyświeca wyprawie

de Lery'ego.

- Więc wysyłamy Indian, aby walczyli z

Indianami.

- Co wydaje się mądrym posunięciem -  
powiedział Pierre oschle. - Wątpię, aby  
Perier

był w stanie wystawić w pole więcej  
niż kilkuset mężczyzn, a ocenia się, że  
Natchezowie

mają blisko tysiąc wojowników, nawet  
bez sprzymierzonych z nimi plemion.  
Potrzebujemy

Czoktawów.

- Czoktawowie to nie Natchezowie -  
zauważył ponuro Pascal.

- Lecz jest ich dużo.

Zapadła cisza przerywana jedynie szlochem madame Doucet. Starsza dama wciągnęła

z trudem powietrze do płuc, a potem zapytała z widocznym wysiłkiem:

- Przepraszam, m'sieu, czy był pan w wiosce Natchezów? Widział pan tam może

młodą kobietę o długich jasnych włosach, błękitnych oczach i słodkiej twarzy? I chłopca

mniej więcej sześciolatniego, piękne dziecko, silne i zwawe?

Pierre potrząsnął głową.

- Przykro mi, madame, ale nie mogłem.  
Choć żyłem w tej wiosce przez  
dwanaście lat i

znam tam wszystkich po imieniu, to  
jestem Francuzem, a tym samym  
wrogiem.

Reynaud trzymał się dotąd na uboczu,  
jakby nie chciał brać udziału w  
rozmowie.

Teraz odezwał się jednak:

- A powstanie niewolników w Nowym  
Orleanie. Czy to było coś poważnego?

- Spowodowało wiele zamieszania i wywołało strach, ale na ogół obyło się bez ofiar.

Jednak wielu osobom pozostanie na długo niesmak. Nasz drogi gubernator Perier,

skonsternowany i przerażony, że taka tragedia wydarzyła się podczas jego urzędowania,

poczuł się osaczony i zdecydował, że alians Indian i niewolników nie może się powtórzyć.

Najpierw powiesił kilku prowodyrów, a potem uzbroił oddział niewolników i zmusił ich, by

zaatakowali wioskę zupełnie  
nieszkodliwych Indian Chouchas.  
Zamordowali siedmiu czy

ośmiu z nich i spalili wioskę.

- Głupiec - powiedział Reynaud,  
zgrzytając zębami.

- Nawet jeśli ...

Jęki madame Doucet przeszły w łkania.  
Elise uznała, że starsza dama usłyszała  
już

dosyć. Delikatnie skłoniła ją, by wstała i  
wyprowadziła kobietę z salonu. Z  
prawdziwą ulgą

opuściła zebrane tam towarzystwo. Ona także usłyszała już więcej, niżby sobie życzyła i była

w stanie znieść w ciągu jednego popołudnia.

Nie poszła do jadalni na obiad.

Poprosiła w kuchni, ~by przygotowano tacę dla niej i

dla madame Doucet. Żadna z nich wiele nie zjadła. Starsza pani opowiadała beżładnie o

lepszych czasach, o czarujących rzeczach, jakie zrobił lub powiedział jej wnuk, o tym, że jego



niesforne kędziory nie dawały się uczesać i że wkrótce miał mu wypaść ząb. Mówiła o

chłopcu tak, jak mówi się o zmarłych.

Niepokoiliła się, jak jej córka zniesie niewolę i czy nie wpłynie to na jej osłabione

zdrowie. Bała się, że duma córki skłoni ją, by sprzeciwiła się swojej indiańskiej pani.

Martwiła się, czy nie będą głodni i nie zmarzną podczas nadchodzącej zimy. Kiedy Elise

próbowała przemówić jej do rozsądku,

przekonując, że być może martwi się  
niepotrzebnie,

madame Doucet tylko kiwała głową, a  
potem zaczynała od początku. Uspokoila  
się dopiero

wtedy, gdy Elise przyniosła jej szklanke  
ciepłego mleka zaprawionego  
koniakiem. Wypiła je i

usnęła.

Elise również była wyczerpana.  
Położyła się do łóżka, lecz nie mogła  
zasnąć. Słowa

Pierre'a dźwięczały echem w jej głowie,  
przynosząc żywy obraz tego, co

wydarzyło się w

dniu masakry i później. Leżała w ciemności i rozmyślała o Reynaudzie - o tym, jaki wydał jej

się tego dnia, kiedy zażądał, aby dzieliła z nim posłanie; jak stał nago skąpany w zimnym

deszczu, a światło księżyca posrebrzało jego skórę, gdy wyłonił się z wód rozlewiska.

Był na pół Natchezem, w jego żyłach płynęła krew zabójców, którzy o bladym,

chłodnym świcie napadli na jej

przyjaciół i sąsiadów i zdarli im skalpy  
z głów. Stał,

przysłuchując się tej litanii okropności,  
a jego twarz nie wyrażała niczego. Ani  
gniewu, ani

oburzenia, ani litości - niczego.

Co z niego za człowiek? Po południu  
ośmielił się jej tłumaczyć, dlaczego  
Indianie

torturują mężczyzn, a nawet porównał  
koszmar wojen w Europie i na Dalekim  
Wschodzie z

tchórzliwym, łajdackim  
wymordowaniem jej rodaków. Na samą

myśl o tym robiło się jej

niedobrze.

Tak, ale z drugiej strony, gubernator Perier, człowiek szlachetnie urodzony i

kulturalny, uzbroił niewolników i zmusił ich, by zaatakowali niewinnych ludzi tylko dlatego,

że mieli w sobie indiańską krew, a on chciał osiągnąć pewien cel. Och, Boże, jakich

okropnych rzeczy dopuszczają się mężczyźni! Wtuliła twarz w poduszkę i leżała odrętwiała,

starając się nie myśleć.

Reynaud nie przyszedł. Słyszała odgłosy świadczące o tym, że wszyscy udają się na

spoczynek. Być może rozmawia teraz na osobności ze swoim przyjacielem o interesach, które

przywiodły go w te strony - o ile takie interesy w ogóle istniały, w co zaczynała już wątpić.

Nie sposób przewidzieć, jak długo mogą siedzieć, popijając wino i dyskutując. Zresztą i tak

nie miało to znaczenia. Zamknęła oczy,

zdecydowana zasnąć.

Spała niespokojnie. Nękana  
koszmarami, obudziła się, przerażona.  
Serce waliło jej

mocno w piersi, włosy miała wilgotne  
od potu, jakby przebiegła kilometr.  
Nawet nie

próbowała przypomnieć sobie, czego  
dotyczył ów sen. Dotknęła pościeli po  
drugiej stronie

łóżka. Reynauda nadal nie było. Zasnęła  
znowu.

Kiedy ponownie się obudziła, w pokoju  
panował półmrok, a przez zaciągnięte

story do

sypialni przenikał żółtawy blask  
wschodzącego słońca. Elise  
przeciągnęła się i spojrzała w

bok. Reynaud leżał na brzuchu, z głową  
opartą na ramieniu. Podciągnęła się  
nieco wyżej na

łóżku, poprawiła sobie poduszkę pod  
głową i leżała, wpatrując się w mego.

Oddychał głęboko i równo. Twarz miał  
zamkniętą, opanowaną, miedziany brąz  
skóry

kontrastował z bielą haftowanej  
poszewki. Od oczu do skroni biegingły



cienkie linie zmarszczek.

Głębsze i bardziej wyraziste zagłębienia  
żłobiły kąciki ust. Rzęsy Reynauda,  
gęste i ciemne,

trochę nierówne na końcach, kładły się  
miękkim cieniem na gładkich  
policzkach. Włosy

rozplotły się i ciemne zmierzwione  
pasma opadały falą na skroń śpiącego.  
Sen sprawił, że

jego mięśnie rozluźniły się, a linia barku  
i ramienia wydawała się łagodniejsza.

Powoli rosła w niej potrzeba, aby go  
dotknąć. Pragnęła przesunąć palcem

wzdłuż brwi

i szczęki, przygładzić miękkie włosy i przycisnąć wargi do pulsującej żyłki na szyi. Miała

ochotę odrzucić kołdrę i powieść dłonią po jego ramionach i wzdłuż pleców do miejsca, gdzie

zaczynały się smukłe biodra. Ogarnęła ją dziwna, trudna do przewyciężenia tęsknota,

połączona z dokuczliwym uczuciem pełności w lędźwiach i obrzmiewaniem piersi.

Przygryzła dolną wargę i zacisnęła

palce, by zwalczyć pokusę.

Kiedy ostatnio kochała się z mężczyzną?  
Nie pamiętała. Reynaud zbliżył się do  
niej

zaledwie dwa razy, od kiedy znaleźli się  
w jego domu, a i wtedy powstrzymał się  
niemal

natychmiast. Za pierwszym razem  
odczuła ulgę, lecz potem zaczęło jej  
brakować jego

bliskości. To było głupie. Skarciła się w  
myślach, wmawiając sobie, że reaguje  
niczym jedna

z tych wesołych dam, które, jak niegdyś

podejrzewała, odwiedzały go. Z pewnością nie

wyjdzie jej to na dobre.

Reynaud poruszył się. Serce podskoczyło jej do gardła.

Odsunęła się ostrożnie i zamknęła oczy. Nie może jej przyłapać, kiedy pochyla się nad

nim niczym jakaś zakochana idiotka. Gdyby się zorientował, miałby pełne prawo uznać, że

Elise chętnie przyjmie jego zaloty. Już sama myśl o podobnym nieporozumieniu przywołała

rumieniec na jej policzki. Leżała spokojnie, ze wszystkich sił starając się opanować

przyśpieszony oddech.

U słyszała szelest pościeli i skrzypienie łóżka. Reynaud usiadł. Przez chwilę trwał tak,

a ona zastanawiała się, czy teraz to on się jej przygląda. Uświadomiła sobie, że koszula nocna

owinęła się wokół jej ciała, a dekolt przesunął w dół. Lewa pierś była obnażona, bo Elise

czuła chłód. Mimo to nie śmiała się

poruszyć.

Reynaud siedział, wpatrując się w nią. Była taka śliczna z zaróżowionymi od snu

policzkami, smukłymi, białymi ramionami wyłaniającymi się z koronkowych rękawów

koszuli i delikatnym wzgórkiem piersi, łagodnie zaokrąglonej i zwieńczonej koralowo różową

sutką. Pochylił głowę. Ta słodka półkula przyciągała go niczym magnes. Odsunął się

gwałtownie. Nie. Jeżeli ona obudzi się z

tym śmiertelnie przerażonym wyrazem w oczach,

który już raz u niej widział, nigdy sobie nie wybaczy. Musi czekać. To było zbyt ważne, aby

mógł postąpić inaczej. Jednak czasu miał coraz mniej'.

Zsunął się z łóżka i zebrał swoje rzeczy. Podeszedł do drzwi i cicho zamknął je za sobą.

Elise słyszała, jak odchodzi i nie wiedzieć czemu zachciało jej się płakać.

Nie mogła już zasnąć. Wstała, ubrała się w suknię z jedwabiu w biało - żółte

paski, z

chusteczką na szyję i fartuszkiem  
oblamowanym muślinową koronką. Na  
głowę założyła

pasujący do całości toczek. W jadalni  
dowiedziała się, że Reynaud i Pierre  
udali się na

przejażdżkę, a inni jeszcze nie wstali.  
Wypiła filiżankę czekolady i siedziała,  
krusząc

bułeczkę, a potem, kiedy przyszło jej na  
myśl, że Reynaud i jego przyjaciel mogą  
lada chwila

wrócić, poprosiła o jeszcze jedną



filizankę czekolady. Nadszedł Henri,  
nieco przygaszony po

wczorajszym wieczorze. Pozdrowił  
jednak Elise ciepło i ze wszelkimi  
znakami, że cieszy się

z jej towarzystwa. Jakoś udało jej się  
wciągnąć go do dyskusji o zaletach  
życia wędrownego

kupca i raz czy dwa chłopiec nawet się  
uśmiechnął, choć widać było, że myśli o  
czymś

innym.

- „Co będziesz robił, kiedy już  
znajdziesz się w forcie Saint Jean

Baptiste? - zapytała.

- Nie wiem - odpowiedział gwałtownie.

- Na tym polega problem. Nie mam rodziny

ani żadnego majątku. I nie mam zawodu, bo za krótko terminowałem u bednarza.

- Na pewno znajdzie się dla ciebie jakieś zajęcie. Może ktoś przyjmie cię do terminu.

- Możliwe. Choć nie przychodzi mi na myśl żaden fach, którym chciałbym się zajmować, a niektóre na pewno bym znienawidził.

- Na przykład?
- Na przykład wyprawianie skór.
- Rzeczywiście, niezbyt przyjemny zawód.
- Te zapachy ... - skrzywił się.
- To może zostałbyś szewcem albo piekarzem?

Potrząsnął głową.

- Lubię pracować na powietrzu. Gdybym dostał się do Nowego Orleanu, miałbym

więcej okazji, żeby znaleźć coś

odpowiedniego.

- Więc zrób to - powiedziała, uśmiechając się, by dodać mu otuchy.

Jednak Renri nie rozpogodził się ani trochę.

Elise domyśliła się, że chłopiec wie, iż to Pierre jest tym przyjacielem, na którego

czekał Reynaud. A skoro przybył, będą mogli wyruszyć. do fortu. Po spotkaniu z Reynaudem,

którego była świadkiem, kupiec nie zrobił ani nie powiedział niczego, co mogłoby rozwiązać te

przypuszczenia. A kiedy Elise poszła zobaczyć się z madame Doucet, odkryła, iż ona także

zastanawia się nad tą koncepcją.

- Nie wiem, czy będę mogła pójść z wami - oznajmiła. Choć głos jej brzmiał silniej niż

wczoraj, cerę miała nadal bladą i ziemistą. Nie była w pokoju sama. Towarzyszyła jej

Madeleine, kuzynka Reynauda.

Gospodyni bardzo się zaprzyjaźniła z madame Doucet, być

może dlatego, że uznała starszą kobietę

za zbyt słabą, by mogła w jakimkolwiek sensie

zagrozić jej pozycji. Jednakże, oddając Madeleine sprawiedliwość, mogło być również tak, iż

opiekowała się madame Doucet, ponieważ nieszczęsna potrzebowała wsparcia i bynajmniej

się z tym nie kryła.

- Nie pójdzie pani z nami? - zapytała Elise, zamykając za sobą drzwi. - Dlaczego?

- Muszę dostać się do mojej córki. Na pewno szaleje z rozpaczy. Bardzo

kochała

syna, a on umarł, i to tak straszną śmiercią. Ja ... ja ... boję się o nią.

Starsza dama przytknęła do oczu chusteczkę i osuszyła łzy.

- Nie rozumiem. Ma pani jakieś nowe wiadomości?

- Och, Elise, chire, w nocy nie spałam i przyszło mi do głowy, że dzieckiem, które

zostało zabite, był mój najdroższy, najukochańszy wnuczek. Wiek się zgadza. Wiem, że to on

został wybrany, by towarzyszyć synowi kobiety z kasty Słońca. Nie mogło być inaczej.

- Ale nie może pani być tego pewna, nikt niczego takiego nie powiedział.

- Czasami po prostu się wie. Czuję to tutaj, w sercu. Położyła dłoń na piersi, a potem

pochyliła głowę, by otrzeć łzy.

Elise wymieniła spojrzenia z gospodynią, która leciutko potrząsnęła głową. Podeszła

więc i usiadła obok starszej kobiety, ujęła jej dłoń i mocno ścisnęła.



- Być może tak właśnie się stało, ale nie wiemy na pewno. Lecz nawet jeśli to prawda,

nic już nie może pani na to poradzić. Musi pani iść z nami. Najlepsze, co może pani zrobić dla

córki, to zgłosić się do władz i ponaglać je, aby wysłały wojsko na ratunek pojmanym

kobietom. Wiem, że i tak to zrobią, lecz nie zaszkodzi trochę postać im nad głową, choćby

miało to przyśpieszyć bieg spraw tylko o jeden dzień.

Madame Doucet zamrugała, wytarła nos i spojrzała na Elise.

- Jesteś taka rozsądna, ma chire, taka silna. Wszyscy o tym wiedzieliśmy, ale nigdy tak

bardzo nie rzucało się to w oczy jak teraz. To wspaniale zawsze wiedzieć, jak należy postąpić

i nigdy się nie bać. Ja taka nie jestem.

Elise odsunęła się od madame Doucet, lecz w głosie kobiety nie było sarkazmu.

Zmusiła się więc, aby uśmiechnąć się do niej. W przeciwieństwie do Elise, którą bliskość

mężczyzny wprawiała w przerażenie, madame Doucet w takiej sytuacji czuła zapewne tylko

lekkie zdenerwowanie.

- Nie zawsze jest tak, jak nam się wydaje. Ale nie mówmy o mnie. Musi pani

wykorzystać swoje znajomości w Nowym Orleanie, by pomóc córce i wnukowi.

- Czy ty mnie słuchasz, Elise? On nie żyje, mój piękny chłopiec, uduszony w wiośnie

swojej młodości. Mam nadzieję, że nie

wiedział, co mu zrobią. I że był dzielny i nie płakał.

Och, mój chłopiec, mój chłopiec i moja biedna, biedna córka.

Madeleine, z ręcznikiem skropionym wodą lawendową, zbliżyła się do łóżka. Elise

doszła do wniosku, że próbując przemówić do rozsądku rozpaczającej kobiecie, tylko

pogarsza sprawę, wyszła więc z pokoju.

## **ROZDZIAŁ VIII**

W środku poranka Elise uświadomiła

sobie, że tylko kilka dni dzieli ich od  
Bożego

Narodzenia. Tyle się wydarzyło, że  
straciła poczucie czasu. Powietrze nadal  
było łagodne, a

noce ledwie na tyle chłodne, aby  
rozpalić ogień. A teraz zbliżało się Boże  
Narodzenie. Ta

myśl tak ją zaskoczyła, że  
wypowiedziała ją na głos, kiedy  
siedziały z Madeleine i madame

Doucet, racząc się odrobiną rumu.

- Tak - powiedziała kuzynka Reynauda. -  
I bardzo się cieszę, że Reynaud jest

tutaj.

Nie zawsze tak bywa, choć w zeszłym roku pojawił się w Wigilię i przyprowadził ze sobą

kapłana jezuitę, który działa wśród Indian Kaddo. Braciszek odprawił piękną pasterkę.

- A potem - dodała madame Doucet łamiącym się głosem - będziemy mieli Nowy Rok

i święto Trzech Króli.

Nowy Rok był najhuczniej obchodzonym świętem. Poprzedzający go wieczór upływał

na świętowaniu, weseleniu się i wznoszeniu toastów. Następnego dnia wymieniano prezenty,

obdarowując szczególnie dzieci. Młodzi mężczyźni składali wizyty znajomym dziewczętom,

przynosząc małe podarki oraz kwiaty i zawsze przyjmując poczęstunek w postaci parującej

szklaneczki ponczu. Zdarzało się zatem, że młody człowiek, cieszący się popularnością,

wracał do domu, zataczając się i śpiewając. W święto Trzech Króli odwiedzano przyjaciół i

znajomych. Na drogach pełno było  
wówczas wozów i ludzi na koniach,  
obładowanych

dobrym jedzeniem i chętnie witanych  
przez wszystkich.

Madeleine wyciągnęła rękę i poklepała  
starszą kobietę po ramieniu.

- Nie wolno ci o tym myśleć, ma chire.

- Ale jak mam nie myśleć? W zeszłym  
roku byliśmy tacy szczęśliwi. Zrobiłam

wypchanego konika dla mojego wnusia.  
Miał grzywę z kręconej przędzy i mały  
zawsze z nim



sypiał. Byliśmy wtedy razem - moja córka z mężem i mój drogi mąż, a ja z niewolnicami

przygotowałyśmy takie wspaniałe jedzenie ... na pewno nigdy nie jadłyście niczego równie

dobrego.

Aby odwrócić tok jej myśli, Elise powiedziała:

- Zastanawiam się, gdzie w tym roku będziemy świętować Nowy Rok i Trzech Króli,

a może nawet Boże Narodzenie?

- Nie spędzicie świąt tutaj? - zdziwiła się Madeleine, unosząc brwi. Odnosiła się już

do Elise nieco cieplej, choć nadal z dystansem.

- Naprawdę nie wiem. Czekamy na Reynauda - odparła, wzruszając lekko ramionami.

- Wszyscy?

Czy ta kobieta spodziewała się, że ona tu zostanie? Widocznie nie jest w aż tak

bliskich stosunkach z Reynaudem, jak przypuszczała Elise. Czy nikt nie powiedział jej, jak

wygląda sytuacja? Nie wiedziała, dlaczego Elise jest tutaj, dlaczego oni wszyscy są tutaj?

Jeśli tak, to nic dziwnego, że jej zażyłość z Reynaudem budziła zastrzeżenia kuzynki. Nie

można jej winić, że wyobrażała sobie najgorsze.

- Tak, oczywiście - odparła. Lecz jeśli oczekiwała, że Madeleine w jakikolwiek sposób

da wyraz uldze czy radości, spotkało ją rozczarowanie.

Tuż przed południem wynikło małe

zamieszanie. Okazało się, że pantera,  
polująca

często w pobliżu domu, porwała owcę.  
Natychmiast uformowano grupę  
pościgową, która

miała iść śladem zwierzęcia,  
kierującego się zapewne w stronę  
mokradeł. Wokół słychać było

szczekanie psów i nawoływania  
mężczyzn, dyskutujących o tym, czy  
lepiej tropić panterę

pieszo czy na końskim grzbiecie. Do  
pościgu przyłączyli się wszyscy  
panowie z wyjątkiem

St. Amanta, który wolał pozostać w bibliotece i czytać. Powiedział, że znalazł tam zbiór

Anegdot Prokopiusza i z trudem przyszedłoby mu się oderwać od rozkosznie skandalicznych

wydarzeń, opisujących romansowy trójkąt pomiędzy rzymskim cesarzem Justynianem,

królową - prostytutką Teodorą i generałem Belizariuszem. Gdy tylko towarzystwo ruszyło,

pokrzykując i nawołując psy, w domu zapanowała cisza.

Minęło kilka godzin i Elise wybrała się do biblioteki, by się czymś zająć i dotrwać do

obiadu. St. Amant, siedzący w wyściełanym aksamitem fotelu przy oknie, podniósł wzrok,

skinął głową na znak, że ją zobaczył, i wrócił do lektury.

Ona zaś wędrowała wzdłuż półek, odczytując tytuły i przesuwając palcami po

skórzanych grzbietach z wytłaczanym wzorem. W bibliotece znajdowało się wiele tomów:

grubych i ciężkich, wysokich i niskich, a także tych niewielkiego formatu, napisanych greką,

łacina, po angielsku i po francusku.

Madeleine pilnowała, by regularnie je odkurzano, lecz na

niektórych widać było plamy pleśni - skutek panującego tu wilgotnego klimatu. Uśmiechnęła

się na widok tomiku bajek Charles'a Perraulta, a także Histoires ou contes du temps passe,

opatrzonego podtytułem Contes de ma mere loye. Fakt, że znalazła ten tom w bibliotece

Reynauda, wydał jej się wręcz absurdalny. Pomięła tomy Racine'a i Woltera, by sięgnąć po

powieść napisaną przez księżnę de La Fayette.

Już miała wyjść z biblioteki, kiedy St. Amant zamknął z trzaskiem książkę i podniósł

się. Odstawił tom na półkę• - Tylko proszę mi nie mówić, że opisy skandali znudziły się panu.

- Jest znacznie gorzej, skończyłem tę książkę.

- Więc może pan zapoznać mnie ze



szczegółami nad filiżanką czekolady -  
nie znam

łaciny.

- To ciekawe, że w ogóle umie pani  
czytać.

- Nauczyła mnie tego matka, gdy byłam  
dzieckiem.

Ona zaś nauczyła się od swego ojca.  
Wygląda na to, że dziadek' nie mógł  
ścierpieć, by

jakiś umysł pozostał niekształcony.  
Później chodziłam do szkoły zakonnej.  
Siostrzyczki

uczyły nas historii, geografii, lecz  
głównie haftu, prowadzenia domu,  
muzyki,

obowiązkowości i pobożności. Czasami  
pozwalaly mi w wolnym czasie  
pomagać im przy

rachunkach i korespondencji, choć  
uważały, że nie są to dziedziny  
odpowiednie dla młodych

panien.

- To wyjaśnia, dlaczego tak dobrze  
radziła sobie pani z prowadzeniem  
farmy.

Wyprzedził ją, aby otworzyć drzwi.

- Widzę, że nie posługuje się pan już kulą - zauważyła, mijając go i wchodząc do

salonu.

- Tak, kostka prawie całkiem wydobrzała.

Elise odłożyła książkę, przeprosiła i wyszła, udając się na poszukiwanie służącej,

która mogłaby przynieść im czekoladę. Rozglądała się też za madame Doucet i Madeleine,

ponieważ chciała je poprosić, by przyłączyły się do towarzystwa. Jednak

żadnej z kobiet

nigdzie nie było widać.

- Wygląda na to, że zostaliśmy sami -  
powiedziała, wchodząc do salonu. -  
Pozostałe

damy chyba się położyły.

- Madame Doucet z pewnością dobrze to  
zrobi. Elise skinęła głową.

- Bardzo przejmuję się masakrą i nic w  
tym dziwnego.

- Chyba wszyscy się przejmujemy.

- Stracił pan kogoś? Nigdy nie

wspominał pan ...

- Nie, nie w ten sposób, jak pani przypuszcza. A jednak ... była pewna kobieta.

- Została zabita?

- Nie wiem, i to właśnie jest najgorsze. Nie było mnie tam, nie mogłem się do niej

dostać.

- Rozumiem.

Uśmiechnął się krzywo.

- Wątpię. Była żoną innego mężczyzny.

- Aha - powiedziała po chwili Elise. - Justynian, Teodora i Belizariusz.

- To miałoby wyjaśniać moje zainteresowanie? Nigdy nie myślałem o niej w ten

sposób. Nasza sytuacja jest zupełnie inna.

- Kochał ją pan?

Skinął potwierdzająco głową.

- Takie trwanie w niewiedzy musi być dla pana bardzo przykre.

- Oczywiście - powiedział, zaciskając dłonie tak mocno, że palce zupełnie

zbielały. -

A co najgorsze, ona spodziewała się dziecka, mojego dziecka.

- Och!

Cóż więcej mogła powiedzieć mężczyźnie, którego ukochana być może jest już

martwa lub pozostaje w niewoli u dzikusów, którzy wcale nie muszą zważać na jej stan, ten

stan, który sprawia, że każdy trud staje się podwójnie ciężki.

St. Amant spojrział na nią ponuro.

- Jednak najokropniejsze jest to, że  
modliłem się, by żaden z mężczyzn,  
którzy uciekli

z fortu, nie okazał się jej mężem. Modłę  
się, aby on już nie żył, ponieważ to  
stwarza dla nas

ciężką nadzieję na wspólne życie, nadzieję,  
której przedtem próżno się było  
spodziewać.

Przyniesiono czekoladę. Kiedy służąca  
wyszła, Elise napełniła filiżanki i  
postawiła

jedną przed St. Amantem. U niosła  
swoją i nie podnosząc wzroku, by dać  
mężczyźnie czas na



opanowanie się, sączyła gorący, słodki napitek. Ten jednak zerwał się tak gwałtownie, że

potrącił stolik i czekolada wylała się na spodeczek.

- Proszę mi wybaczyć, że zawracam pani głowę moimi zmartwieniami, madame

Laffont. Nie powinienem był o tym mówić. I chyba nie mam ochoty na czekoladę. Proszę mi

wybaczyć.

- Oczywiście - powiedziała Elise półgłosem, a potem, kiedy był już blisko

drzwi,

zawołała: - M'sieu St. Amant?

- Słucham, madame?

- Bardzo mi przykro ... naprawdę.

Gdy drzwi zamknęły się za nim,  
odstawiła filiżankę. Powinna czuć się  
zszokowana

opowieścią, której właśnie wysłuchała,  
ale tak nie było. To, że wiedziała, jakie  
tortury

przechodzi St.. Amant, uczyniło go tylko  
bardziej ludzkim w jej oczach. Wszyscy  
mieli swoje

kłopoty: madame Doucet martwiła się o córkę, Henri o to, co przyniesie przyszłość, Pascal

wściekał się i zadręczał, ponieważ stracił wszystkie towary i musi zaczynać od nowa. I ona,

Elise, zwłaszcza ona. Wszyscy byli odrębnymi ludźmi, obarczonymi kłopotami, które będą

musieli rozwiązać lub w inny sposób stawić im czoło. I choć każdy z nich musiał sam uporać

się ze swoimi problemami, świadomość, że zmartwienia i ból stanowią część naturalnej

kondycji człowieka, czyniła tę próbę  
mniej ciężką.

Wzięła do rąk książkę i otworzyła ją na  
pierwszej stronie, ale nie potrafiła  
skupić się

na czytaniu. Wpatrując się w przestrzeń,  
rozmyślała o tym, jak trudno poznać  
drugiego

człowieka i zrozumieć go. Kto mógł  
przypuszczać, że St. Amant, opanowany,  
kulturalny

dżentelmen, skrywa taki sekret? Nic o  
tym nie świadczyło. Jakie zatem  
tajemnice mieli inni?

Czy gdyby znała lepiej swego męża,  
gdyby odkryła, co sprawiło, że stał się  
brutalem, miałyby

szansę go zmienić? A gdyby wiedziała,  
co myśli Madeleine, czy współczułaby  
jej? Czy

potrafiłaby oddalić od ,niej lęk i  
rozproszyc wątpliwości tak, aby kuzynka  
Reynauda

zaakceptowała ją? Czy gdyby pokusiła  
się spojrzeć na świat oczami madame  
Doucet,

odczułaby jej smutek i strach, czy  
uczyniłoby ją to bardziej tolerancyjną  
wobec ciągłego

skarżenia się, płaczu i ataków hysterii starszej damy? A gdyby poszukała powodów, dla

których Reynaud okazuje jej tak wiele wyrozumiałości, i spróbowała zrozumieć, co dzieje się

w jego sercu i umyśle, czy mogłaby mu się z pełnym zaufaniem oddać?

W tej chwili wydawało się to możliwe. Jednak zainteresowanie cudzymi uczuciami

było dla Elise czymś nowym. Zbyt wiele troski o innych pochłaniało czas i może nawet

wyczerpałoby ją emocjonalnie. Nie była pewna, czy zdoła to wytrzymać i czy to w ogóle

dobry pomysł.

Dzień dobiegał kresu. Mężczyźni wrócili z pustymi rękami, rozprawiając o pułapce,

jaką zastawią na panterę za dzień czy dwa. Wkrótce zniknęli za rogiem, by odprowadzić psy.

Słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, barwiąc nisko płynące chmury kolorem lawendy i

różu. Wieczór był tak ciepły, że słyszeć

było dochodzące od strony zalewiska  
kumkanie żab,

roznośzące się daleko w łagodnym, choć  
rześkim powietrzu.

Wilgotny wiatr z południa szeleścił  
pośród nielicznych liści pozostałych  
jeszcze na

drzewach. Apetyczny zapach pieczonej  
szynki, dolatujący od strony kuchni,  
nasycał

powietrze wonnym aromatem. Elise  
wyszła na ganek, by obserwować  
przybycie mężczyzny i

pozostała tam przez jakiś czas,



oddychając głęboko, rozkoszując się  
delikatnym powiewem i

czując, jak ogarnia ją spokój. Cóż to za  
piękne miejsce, ten dom, który zbudował  
dla siebie

Reynaud! W ciągu ostatnich dni  
niebezpiecznie przywiązała się do tego  
domu i niemal go

pokochała za piękno i spokój, za  
bezpieczeństwo i odosobnienie, jakie  
oferował.

Gdy pochyliła się nad balustradą,  
usłyszała, że gdzieś trzasnęły drzwi. Po  
chwili

zobaczyła Reynauda i Pierre'a z ręcznikami na plecach, kierujących się ku rozlewisku.

Wydawało się oczywiste, że Pierre, który tyle lat żył pośród Natchezów, też nabrał

upodobania do kąpieli. Przyglądała się, jak idą: dwaj mężczyźni w doskonałej kondycji

fizycznej, trzymający się prosto, jak zwykli to czynić Indianie. Pokonywali dystans długimi

krokami, nie marnując energii na zbędne ruchy. Ich szerokie barki przechodziły w smukłe

biodra. Włosy zebrane w warkocz  
błyszczały zdrowo, połyskując w  
promieniach

zachodzącego słońca. Rozmawiali  
spokojnie, wykonując jedynie  
nieznaczne gesty, które

zaobserwowała wczoraj, gdy byli  
razem. Musiał to być jakiś rodzaj języka  
znaków, oni zaś

ledwie uświadamiali sobie, że się nim  
posługują.

Przez tak długi czas myślała o  
mężczyznach - z nielicznymi wyjątkami -  
jako o

okrutnych, pobłażających sobie,  
aroganckich istotach, na które nie można  
liczyć,

zainteresowanych tylko zaspokajaniem  
własnych apetytów. Wydawali jej się  
brzydcy,

niezgrabni, wyposażeni przez naturę w  
obsceniczne wyrostki. To, że widok tych  
dwóch

mężczyzn sprawia jej przyjemność,  
stanowiło szokujące przeżycie. W tej  
szczególnej chwili

wydawali się Elise niezwykle, otoczeni  
bohaterskim splendorem. Kiedy  
uświadomiła sobie, że

rozbiera ich w myśli, westchnęła  
przerazona, a potem odwróciła się  
plecami do maszerującej

dwójki, uniosła spódnicę i czym prędzej  
wróciła do domu.

Gdy wrócił Pierre, była w sypialni.  
Słyszała, jak Madeleine łaja go za to, że  
naniósł

błota, a potem do jej uszu dotarły  
wypowiadane ze śmiechem  
usprawiedliwienia. Na pytanie,

gdzie też podziewa się jego towarzysz,  
Pierre odpowiedział, że Reynaud został  
jeszcze przy

rozlewisku, lecz wkrótce z pewnością się pojawi. Głosy oddaliły się, a potem usłyszała już

tylko, jak Pierre zamyka za sobą drzwi sypialni.

Wstała co prędzej i pośpieszyła do salonu, jednak nikogo tam nie zastała.

Wyszła na ganek i spojrzała w kierunku rozlewiska. Ani śladu Reynauda. U szczytu

schodków zatrzymała się. Wieczór był piękny, lecz jeśli pogoda się zmieni, nieprędko się taki

znowu trafi. Postanowiła przejść się

trochę. Przez cały dzień siedziała w domu i odczuwała

potrzebę ruchu. Mogłaby wyjść na spotkanie Reynaudowi. Przesuwając lekko dłonią po

poręczy, powoli zeszła ze schodów.

Gdy opuściła szlak i weszła na krętą ścieżkę prowadzącą nad rozlewisko, słońce

zaczęło się już chować za drzewami. Pod wysokimi cyprysami obrośniętymi festonami mchu

panował półmrok. Wyteżyła wzrok, starając się dostrzec Reynauda.

Przypomniała sobie o

panterze, którą tropili mężczyźni, i  
wzdrygnęła się lekko. Myśliwi  
powiedzieli co prawda, że

zwierzę nie powinno pojawić się w  
okolicy przez kilka następnych dni,  
mimo to nie czuła się

pewnie.

Bała się, że rozminie się z Reynaudem.  
Od rozstania z Pierre'em minęło już  
sporo

czasu. Może prosto znad rzeki poszedł  
dojrzeć jakichś czynności  
gospodarskich. Gdyby



podeszła do samej wody, upewniłaby się, lecz z drugiej strony, mogłaby zaskoczyć go w

kąpieli. Raz już to zrobiła, przypadkiem, i Reynaud niczego sobie wówczas nie pomyślał.

Jeśli uczyni to ponownie, posądzi ją, że postąpiła tak umyślnie.

Zatrzymała się niezdecydowana. Czy wyobraziła to sobie, czy też po prostu dręczyło

ją sumienie? Oczywiście wcale nie chciała zobaczyć go nagiego - tamten krótki moment nie

był niczym więcej, jak tylko chwilowym  
zaćmieniem umysłu bez żadnego  
znaczenia -

powinien to zrozumieć. Pokusa, aby  
zawrócić, była silna, lecz skoro doszła  
aż tutaj,

niemądrze byłoby nie iść dalej. Jeśli on  
tam nawet będzie, wcale nie musi jej  
zobaczyć,

prawda?

Był tam.

Pływał w tę i z powrotem, jego długie  
ramiona raz po raz przecinały wodę, a  
silne

ciało pruło leniwie płynący ciemny nurt,  
pozostawiając za sobą bruzdę. Słyszała,  
jak z drzew

nieustannie kapie do wody sok. Przy  
końcu szerokiej zatoczki, utworzonej  
przez zakręt

rozlewiska, Reynaud zawracał i płynął z  
powrotem. W jego wysiłku wyczuwało  
się dziwną

zaciekłość, jak gdyby próbował zmęczyć  
się do utraty sił. Włosy, odsunięte z  
czoła przez

wodę, spływały mu falą na ramiona.  
Twarz miała wyraz uporu i determinacji.  
Kiedy

zawracał, Elise dostrzegła jasny błysk ciała. Domyśliła się, że ubranie zostawił na brzegu.

Odwróciła się powoli, by odejść. Suche liście, tworzące na ziemi gruby brązowy

dywan, pokrywały także ukrytą w mroku ścieżkę. Stała ostrożnie, zważając, by nie

nadepnąć na ukrytą pod nimi gałązkę. Odetchnęła z ulgą, kiedy od strony rozlewiska zasłoniło

ją wielkie drzewo, lecz nie zrezygnowała z czujności. Z opuszczoną głową stawiała krok za

krokiem i przyśpieszyła dopiero, kiedy znalazła się w połowie drogi do szlaku, poza

zasięgiem słuchu.

- Dokąd idziesz?

Podniosła gwałtownie głowę. Zobaczyła ściągnięte do tyłu włosy, ciemną skórę,

tatuaż. I chociaż pamięć podpowiadała jej, że zna tego człowieka, to jego nagłe pojawienie się

zszokowało ją i przestraszyło.

Straciwszy panowanie nad własnym lękiem, odwróciła się od

mężczyzny, którego unikała, ostatniego, którego spodziewałaby się tu zobaczyć, mężczyzny

w stroju największego wroga. Ruszyła biegiem przed siebie.

Zaskoczony ucieczką Elise, Reynaud przez chwilę stał w miejscu, a potem ruszył za

nią. Dogonił ją kilkoma szybkimi krokami i schwycił. Elise potknęła się, wyrrywając się z

uścisku jego ramion, a potem runęła jak długa na liście. Natychmiast znalazł się obok niej.

Jego silne i szorstkie dłonie odwróciły ją, zmuszając, aby spojrzała mu w twarz. Ze

zmarszczonymi troską brwiami obejrzał ją uważnie, szukając obrażeń. Elise zacisnęła zęby i

uderzyła na oślep. Chociaż w ostatniej chwili zdołał odwrócić głowę, trafiła go w usta.

Poczuła, jak warga Reynauda pęka pod jej knykciami i nagle zrobiło jej się niewymownie

przykro. Ze zduszonym okrzykiem rzuciła mu się w ramiona.

Reynaud jęknął miękko, gdy stracił równowagę, i przewrócił się na bok, powalony

niespodziewanym atakiem, jednak nie puścił Elise. Wylądowała na jego piersi i przytuliła

twarz do jego szyi. Wdychając świeży zapach, czuła, jak jego ciągle mokra skóra rozgrzewa

się pod dotykiem jej policzka, a krople wody wsiąkają w stanik sukni. Serce Elise nie biło już

tak mocno. Wiedziała, że powinna się podnieść, lecz było jej tak dobrze, że nie potrafiła



zmusić się, aby wykonać najmniejszy choćby ruch. Zdała sobie sprawę, że Reynaud ma na

sobie bryczesy. A więc nie tylko zaszedł ją od tyłu i przestraszył niemal na śmierć, ale miał

jeszcze czas, by się ubrać.

Uniosła się nieco, lecz mocny chwyt jego rąk nie zelżał.

Z wojowniczym błyskiem w oku spytała:

- Skąd się tu wzięłeś?

- Wiesz bardzo dobrze.

- Nie szpiegowałam cię, jeżeli tak

właśnie przypuszczasz!

- Więc czemu się zaczerwieniłaś?

- Wcale się nie zaczerwieniłam! -  
krzyknęła. - Jestem wściekła, ponieważ  
skradałeś się

jak dzikus, którym w rzeczywistości  
jesteś, i próbowałeś przestraszyć mnie  
na śmierć!

- I prawie mi się udało.

- Nieprawda. Byłam tylko ...

- Zmieszana?

- Tak. Jeśli chcesz wiedzieć, wysłałam ci

na spotkanie.

- Jestem poruszony.

Dotknięta jego ironicznym tonem, spróbowała się oswobodzić.

- Zrobisz mi krzywdę ... jeśli nie przestaniesz mnie tak ścisnąć.

- A to ciekawe - powiedział, uśmiechając się kątem ust i nie spuszczając wzroku z jej

potarganych włosów i rumieńca na policzkach, który nadawał cerze Elise świetlisty odcień. -

To groźba czy zachęta?

- Ani jedno, ani drugie - odparła bez tchu, gdyż dosłyszała tę miłą nutę w jego

głosie, zobaczyła senny wyraz jego szarych oczu.

- Pocałuj mnie, Elise.

- Nie.

Próbowała uwolnić się z coraz mocniejszego uścisku jego ramion, lecz nie pozwolił

jej na to.

- Proszę.

Przyciągnął ją mocniej do siebie.  
Spojrzenie Elise powędrowało ku  
mocno

zarysowanym konturom jego warg. Nie  
mogła oderwać od nich wzroku.

Potrząsnęła

przecząco głową i ruch ten  
spowodował, że jej wargi otarły się o  
usta Reynauda. Krótki

zmysłowy kontakt sprawił, że ciało  
Elise przeszło drżenie, sięgające  
najbardziej ukrytych

zakamarków jej ciała. Przestała się  
opierać. Wydała cichy odgłos, który  
mógł być zarówno

wyrazem protestu, jak jękiem rozkoszy, i pozwoliła, by wargi przywarły do jego ust, a

miękkie krągłości piersi napały na masywną klatkę piersiową Reynauda. Stopniowo

zwiększała nacisk, aż nagle, niespodziewanie, Reynaud skrzywił się.

Miał rozciętą wargę. Elise poczuła jednocześnie wyrzuty sumienia i czułość. Odsunęła

się, a potem koniuszkiem języka przeciągnęła kojąco po małej ranie. Rozchylił wargi, a ona

podążyła ślepo za zaproszeniem,  
smakując wilgotną słodycz wnętrza jego  
ust, rozkoszując się

gładkimi krawędziami zębów, z  
wahaniem dotykając szorstkiej jędrności  
języka, który

poruszył się lekko. Zaraz jednak uścisk  
jego ramion stężał, a język  
znieruchomiał.

Przypomniawszy sobie, że musi pozostać  
bierny.

Fala rozczarowania zalała Elise,  
docierając do każdego zakamarka jej  
mózgu z

intensywnością wywołaną tygodniami nieświadomianej frustracji. Uniosła głowę i spojrzała

na niego. Zwilżyła wargi.

- A gdybym tak poprosiła cię, żebyś mnie pocałował... i dotknął... tylko trochę -

zrobiłbyś to?

Przyglądał się jej, oddychając głęboko. On także odczuwał tęsknotę, połączoną z desperacką potrzebą, aby przegonić resztki lęku, jakie w niej wyczuwał, dać jej przyjemność i



znaleźć rozkosz w jej smukłym ciele.

- Jeżeli to jakaś sztuczka, to ostrzegam cię, że może się źle skończyć - powiedział.

- Nie, nie - mruknęła i potrząsnęła głową, dotknięta czujnym wyrazem jego oczu.

- A więc spróbuję. Niczego więcej nie mogę obiecać.

Jeszcze raz opuściła głowę, lecz nawet kiedy ich wargi przywarły do siebie, Reynaud

nie rozluźnił uścisku. Jego twarde mięśnie stężały, kiedy uniósł się nieco i

odwrócił,

układając Elise delikatnie na liściach:  
złoty i żółty, czerwonych i  
brązowych. Jego mocna

dłoń objęła jej policzek, kciukiem  
pocierał kącik ust, kiedy całował jej  
brodę, czubek nosa,

czoło. Palce Reynauda przesuwały się  
wzdłuż delikatnej krzywizny policzka  
Elise ku łukowi

szyi, aż wreszcie wśliznęły się pod jej  
głowę, ściągnęły z niej muślinowy  
toczek i zaczęły

buszować w poszukiwaniu spinek, które

utrzymywały węzeł włosów.

- Zaczekaj - szepnęła, nagle pełna wątpliwości - to pomyłka.

- Nie, nie - wyszeptał w odpowiedzi.  
Poczuła na wargach jego ciepły oddech.  
- To

tylko eksperyment. Jeśli przestanie sprawiać ci przyjemność lub jeśli się przestraszysz,

powiedz.

Włosy Elise rozsypały się, kiedy Reynaud cisnął spinki pomiędzy liście.  
Nagle

poczucie wolności, wywołane tym, co powiedział, dodało jej odwagi. Uniosła dłoń,

rozpostarła szeroko palce i przycisnęła je do boku mężczyzny, a potem przesunęła dłoń w

górze, ku jego szyi.

- Piękne, piękne - powiedział, przerzucając włosy Elise przez jej ramię, rozpościerając

je tak, aby miodowobrazowe pasma pochwytyły ostatnie błyski zachodzącego słońca. Jego

usta przywarły znów do jej warg, a

język zaczął przesuwać się po łączącej  
je wrażliwej linii,

aż wreszcie rozchyliła je dla niego, aby  
smakować delikatne wnętrze jego ust i  
połączyć ich

oboje w pulsującą pożądaniem jedność.

Poczuła, jak zalewa ją fala ciepła i  
głębokiego zadowolenia. Mruknęła coś

niewyraźnie i zanurzyła dłonie w  
wilgotną, gęstą grzywę jego włosów,  
przesuwając ustami po

jego wargach. Pożądanie i lęk walczyły  
o lepsze w jej umyśle, nawet wtedy,  
kiedy czuła

dojmującą potrzebę zatopienia się w nim.

Wzdrygnęła się lekko, gdy jego palce dotknęły jej szyi, ześlizgnęły się niżej po

dekolcie, aż wreszcie spoczęły na miękkiej wypukłości piersi, ledwie zakrytej ozdobną

chusteczką. Zaczęła szybciej oddychać, kiedy przesunął dłoń na stanik, a w ślad za dłonią

powędrowały usta. Odnalazł miejsce, gdzie była zawiązana chusteczka, zręcznie rozplótł

supeł i odsłonił blade wzniesienie

piersi. Zamknął oczy i wtulił w nie  
twarz, wciągając

głęboko w nozdrza jej zapach, poznając  
czubkiem języka smak jej skóry.

Podniecenie, które płonęło w żyłach  
Elise, było słodkie, tak słodkie i mocne  
jak wino.

Odurzające. Jej omdlałe kończyny  
zdawały się nic nie ważyć, a umysł  
opanovała dziwna

ociężałość. Musi być szalona albo  
pijana, żeby tak reagować. Zamroczone,  
owładnięta

odwieczną magią, pozwoliła mu się

odwrócić, tak aby mógł rozpiąć cienki  
rząd guziczków z

tyłu sukni, rozwiązać sznurówki gorsetu  
i rozsunąć go. Jego oddech owiewał  
ciepłym

powiewem jej ramię, kiedy powoli  
zsuwał rękaw. Skóra Elise płonęła  
wewnętrznym żarem,

gładka i jędrna, a jej ciało, wyzwolone z  
ograniczeń, jakie narzucała wola,  
uniosło się lekko

ku niemu, kiedy odsłonił jej pierś,  
nabrzmiałą pożądaniem. A kiedy  
chwycił palcami



pulsujący sutek, wciągnęła gwałtownie oddech, doświadczając nagłej, bolesnej wręcz

przyjemności.

Ledwie zdawała sobie sprawę, że podciągnął jej spódnice. Poczowała chłodny powiew na

udach, a potem jego dłoń na uniesionym kolanie, manipulującą przyozdobionej wstążkami

podwiązce. Strzepnął najpierw jeden but, a potem drugi i odrzucił je na bok.

Leżała z włosami w nieładzie i niemal rozebrana, płonąca pożądaniem, z

powiekami

na wpeł przymkniętymi, pełna  
oczekiwania. Jego śmiałe i stanowcze  
ruchy zaszokowały ją,

zwłaszcza kiedy wsunął palce pomiędzy  
jej białe i drżące uda. Pozostały tam,  
delikatnie

ściskając, ugniatając i muskając  
wrażliwe ciało. Ustami obejmował jej  
pierś i językiem

delikatnie masował sutek.

A kiedy jego dłoń powędrowała wyżej,  
rzęsy Elise zadrgały, a ciało mimo woli

poruszyło się lekko, jakby wychodząc mu na spotkanie.

Usłyszała, jak Reynaud gwałtownie wciąga powietrze, poczuła, jak szybko bije mu

serce. Świadomość, że wcale nie jest taki opanowany, jak chciałby się wydawać, sprawiła, że

jej puls także przyśpieszył. To było czyste podniecenie, paląca radość, pozbawiona złośliwej

satysfakcji, jaką odczuwała podczas pierwszej wspólnie spędzonej nocy. Objęła ramionami

jego plecy, rozpościerając szeroko  
palce. Gdzieś w głębi czuła, jak coś  
rozprzestrzenia się w

niej, otwiera, niczym dzika paproć na  
wiosnę.

Nie miała już na sobie bielizny. Jego  
szeroka dłoń spoczęła na miękkim  
sprężystym

runie, obejmując delikatną wypukłość,  
którą przykrywało, pozwalając, aby  
Elise poczuła jej

ciepło i ciężar. Uwrażliwionymi  
zmysłami wyczuła twardą, gorącą  
męskość na swym udzie.

Reynaud zacisnął powieki i zadrżał.  
Uniósł głowę i choć widać było, że nie  
przychodzi mu to

łatwo, zapytał:

- Mam przestać?

Chwilę trwało, zanim zdołała  
wykrztusić odpowiedź.

- Tak byłoby najlepiej.

- Och, bez wątpienia, ale czy tego  
właśnie chcesz?

Jej serce biło mocno, a ciało płonęło. Z  
oczami lśniącyymi w ciemności i  
wilgotnymi z

pożądania odparła:

- Nie, nie tego.

- Ani ja - szepnął, odsłaniając drugą pierś Elise i spoglądając na jej białokoralową

wspaniałość. - Ani ja.

Pożądanie pulsowało boleśnie w gardle, piersiach i udach Elise. A kiedy Reynaud

znów położył dłoń na jej podbrzuszu, zadrżała, a ciało pokryło się gęsią skórą. Zacisnęła

spazmatycznie mięśnie ud. Delikatnie

przesuwał po nich dłonią, dopóki napięcie nie ustąpiło.

A potem objął dłonią jej kobiecość, naciskając lekko, choć stanowczo. Jeszcze raz mięśnie

wewnątrz ciała Elise zamknęły się, a potem rozluźniły, nie broniąc już wejścia.

Dotąd nie doświadczyła niczego poza przemocą, brutalnymi pchnięciami i

gwałtownymi pieszczotami, które w jej stanie, dalekim od podniecenia, sprawiały więcej bólu

niż przyjemności. To ostrożne

odkrywanie przed nią jej własnej  
zmysłowości było czymś

absolutnie zachwycającym.

Gdzieś wewnątrz niej rosła ekstaza,  
żywa i obezwładniająca. A kiedy  
poczuła znowu

wilgotną, rozkoszną szorstkość jego  
języka na piersi, jęknęła i odwróciła  
twarz.

Dłoń Reynauda poruszała się wolnym  
rytmem, w ścisłym kontakcie z  
najwrażliwszą

częścią jej ciała. Biodra Elise uniosły  
się lekko, wychodząc jej na spotkanie.



## Podniecenie

zalewało ją falami. Uwięziona w niewiarygodnej słodocy tego doznania, pogrążyła się w

rozkosznym zdumieniu.

Spazm, który nagle targnął jej ciałem, zaskoczył ją tak bardzo, że krzyknęła cicho.

Reynaud uwolnił pierś Elise, aby poszukać jej warg. Zatopiona w cudownej ekstazie, poczuła

w ustach słonawy smak krwi. Przyłgnęła do niego piersiami, pragnąc, aby przytulił ją

mocniej, jeszcze mocniej, pożądam  
jego twardości i siły.

Puścił ją na chwilę, by zdjąć bryczesy, a  
potem osunął się na nią, wsuwając  
kolano

między jej uda i układając się tak, aby  
znalazła się pod nim. Gorąca, pulsująca  
męskość

Reynauda napała na ciało na Elise,  
delikatnie, jakby na próbę.

- Elise, ma chire?

Jej twarz płonęła tym samym delikatnym  
kolorem, który nadawał piersiom barwę

opalizującego różu. Nie śmiała spojrzeć na niego, nie śmiała, a nawet nie potrafiła myśleć,

pogrążona w słodkim oczarowaniu. Jednak usłyszała prośbę i żądanie w jego głosie.

Zrozumiała je i odpowiedziała na nie. Ponad jej głową ciemne konary drzew tworzyły

delikatną koronkę na tle szaroporcelanowej misy zimowego nieba. Jednak Elise, rozgrzana

przez mężczyznę u swego boku, nie czuła chłodu. Ani strachu.

- Proszę - szepnęła tak cicho, że gdyby nie spodziewał się odpowiedzi, pewnie by nie

usłyszał. Nie potrzebował wyraźniejszej zachęty. Uważnie, powoli wsunął się w wilgotne

ciepło jej ciała. Oddech Elise, kiedy westchnęła zdumiona, owionął mu twarz. Jęknęła

miętko, a potem przycisnęła się mocno, obejmując drżącymi ramionami jego barki, ściskając

go wciąż mocniej i mocniej, trąc ciałem o jego ciało, zmuszając go do wykonywania

niespokojnych, gwałtownych ruchów,  
które sprawiły, że wróciła rozkosz, a po  
niej

niewypowiedziana ulga.

- Ach, kochanie - powiedział głosem  
ochryplym z pożądania, w którym  
pobrzmiwały

jednakże nutki śmiechu - nie  
powinienem był pływać tak długo.

Co powiedziawszy, zanurzył się w niej  
głęboko, jakby nie potrafił już dłużej  
oprzeć

się pokusie. Trzymał ją mocno,  
przebijając się poprzez wspomnienia,

wyganiając je i

przynosząc ukojenie, szukając i  
znajdując rozkosz.

Kiedy dotarli do domu, było już zupełnie  
ciemno. Z okien sączył się żółtawy blask

świec, wysyłając w noc złote promienie  
na ich powitanie. Nie śpieszyli się• Szli  
objęci, od

czasu do czasu zatrzymując się i całując  
z niesłabnącym pożądaniem. Elise  
oparła głowę na

ramieniu Reynauda i zerknęła w  
pogłębiającą się ciemność lasu.

- Czego tam szukasz? Tej pantery?

- Niczego szczególnego, zastanawiam się, czy jest coś, czego powinnam się bać.

- No i co?

- Kiedy jesteś ze mną, nie boję się niczego - odparła, uświadamiając sobie, jak

prawdziwe są te wypowiedziane pod wpływem impulsu słowa. - To dziwne uczucie, niczego

się nie bać - mówiła dalej z wahaniem.

- Niczego?

- Przynajmniej w tej chwili.

- Będą inne chwile, inne sprawy. Strach jest potrzebny, zmusza do zachowania ostrożności.

- Nie chcę być ostrożna! - powiedziała gorączkowo.

Uśmiechnął się do niej.

- Mam nadzieję, że w jednej sprawie nie będziesz. Przyciągnęła do siebie głowę

mężczyzny i pocałowała go. Chwilę potrwało, zanim ruszyli dalej.

Kiedy weszli do salonu, zobaczyli, że są



tam tylko Madeleine i Henri. Kuzynka

Reynauda podniosła wzrok i od razu zorientowała się, co zaszło. Zaciśnęła wargi, ale nic nie

powiedziała, przeniosła tylko spojrzenie na punkt tuż ponad ich głowami.

- Kolacja będzie za pół godziny.

- Zjemy w sypialni - powiedział Reynaud spokojnie, uśmiechając się lekko.

Uniosła brwi.

- Jak sobie życzyacie.

- Życzymy sobie. A teraz powiemy ci już dobranoc. Przepróż wszystkich w naszym

imieniu, jeśli mozesz.

- Dobrze.

- Elise? - zawiesił wyczekująco głos.

- Dobranoc - powiedziała. Skinęła głową Madeleine i uśmiechnęła się do Henriego.

Nie czekając na odpowiedź, pośpieszyli do sypialni, którą dzielili już od jakiegoś

czasu, choć do tej pory nie łączyły ich

intymne więzi. Cichutko zamknęli za sobą drzwi.

Na obramowaniu kominka płonęły już świece w kryształowych pozłacanych

kandelabrach. Reynaud zapalił dodatkowo świeczki stojące na toalecie. Elise odwróciła się do

niego. Nagle poczuła się nieswojo, kiedy tak stała z Reynaudem w sypialni, w pełnym

świecie. Wstyd wywołany wspomnieniem własnej namiętności sprawił, że zeszywniała.

Reynaud uśmiechnął się do niej: Jego

źrenice odbijały płomyki świec.

- Szkoda, że nie zrezygnowałem z kolacji.

- Co takiego?

- Chciałbym cię rozebrać, teraz, od razu i zacząć wszystko od nowa.

Te słowa zdawały się dotyczyć jakiegoś wrażliwego miejsca tuż pod jej sercem.

- Naprawdę?

- Jestem jak ktoś spragniony, kto długo nie pił. Nigdy nie będę miał ciebie dosyć.

Kiedy ostatni raz myślała o nim jako o człowieku pozbawionym uczuć, niezdolnym do

odczuwania emocji? Sam pomysł wydawał się teraz śmiechu wart. Uśmiechnęła się zatem

leniwie.

- Jestem tak słodka i dobra jak woda?

- I równie niezbędna.

Westchnęła z udanym rozczarowaniem.

- To fatalnie.

Pochylił głowę, unosząc pytająco brwi.

- Ze nie zrezygnowałaś z kolacji,  
oczywiście!

Dopadł jej dwoma susami, podniósł i  
okręcił się razem z nią, aż spódnice  
Elise

fruwały. Lecz kiedy ich usta się  
spotkały, zwolnił i postawił ją.

Opuścił głowę, aby oprzeć czoło na  
czole Elise.

- Może jednak dobrze zrobiłem. Musimy  
podtrzymać siły.

- Tak - mruknęła. - Zwłaszcza ty, po  
całym tym pływaniu.

- Czarownica - powiedział ze śmiechem.

- Wiesz, że to twoja wina.

- Moja? - Próbowwała się odsunąć, udając oburzenie, lecz jej nie puścił.

- Jakże inaczej mógłbym nad sobą zapanować, kiedy kładłem się obok ciebie do

łóżka? Musiałem doprowadzić się do zupełnego wyczerpania.

Bawiła się zapięciem jego koszuli, wsuwając palce do środka i przeciągając ich

grzbietami po gładkiej, lecz twardej powierzchni jego piersi.

- No cóż, skoro tak ...

Ujął jej błędzącą dłoń i pocałował.

- Zachowuj się przyzwoicie, jeśli chcesz jeść!

- Reynaud?

- Tak, kochanie?

Wyczuła wibrację jego piersi, gdy mówił, i pytanie, które pragnęła zadać, omal nie

pozostało niewypowiedziane. Spojrzała na niego, w jej bursztynowych oczach zabłyśły



ogniki. Opuściła wzrok.

- Czy naprawdę zostawiłbyś nas samym sobie, gdybym nie zgodziła się na tę umowę?

- Tamtych może tak, ale ciebie nigdy.

- Zostawiłbyś ich na pewną śmierć?

Czując, że zeszywniała, przytulił ją mocniej.

- Nie byliby w gorszym położeniu, niż gdyby mnie nie spotkali. Dzięki moim

ostrzeżeniom postanowili salwować się ucieczką, dlaczego nie mieliby poradzić sobie sami?

- Niektórzy próbowali i nie udało im się, tak jak tym czterem mężczyznom zabitym na

rzece. A poza tym dobrze wiesz, że gdyby musieli iść sami, poszłabym z nimi. - Porwałbym

cię.

- Zrobiłbyś to?

- Bez wahania. Byłabyś na łasce Pascala, a on porzuciłby cię, gdybyś stała się

ciężarem. Nie chciałbym też oglądać cię w roli niewolnicy, gdyby próba ucieczki nie

powiodła się.

- Przeprowadziłbyś mnie tu siłą - a może zamierzałeś powieść mnie do wioski jako

swoją niewolnicę?

Spochmurniał, słysząc podwyższony ton jej głosu, lecz odpowiedział bez wahania:

- Wioska by wystarczyła. Jeśli pominąć nasz układ i wykradzenie ciebie i innych,

którzy są wrogami Natchezów, nie miałem powodu uciekać.

- Ale powiedziałaś ... myślałam, że i tak udajesz się do kraju Natchitoches.

Wzruszył ramionami.

- To nie było takie znów pilne.

Odsunęła się od niego, zdumiona, że pozwolił jej to zrobić. Odwróciła się na pięcie.

- Nie mogę w to uwierzyć. Uczyniłbyś mnie swoją niewolnicą?

- To dość kuszący pomysł.

- Jestem tego pewna! - powiedziała, zerkając na niego przez ramię. - A co z madame

Doucet? Skoro ja miałabym stać się ciężarem dla Pascala i innych, to co dopiero ona! Ją też

byś zabrał?

- Czy możesz z całym przekonaniem powiedzieć, że jest jej tu lepiej, niż gdyby była z

córką i wnukiem? I czy obowiązki w wiosce w równym stopniu nadszarpięłyby jej zdrowie

jak przeprawa przez lasy?

- Nie wiem, nigdy dotąd nie byłam niewolnicą - odparła szorstko. - Lecz sama myśl o

tym, że mógłbyś zostawić ich na łasce losu, przyprawia mnie o mdłości.

Odpowiedział, starając się zachować spokój:

- To dzikie okolice. Tutaj oczekuje się od mężczyzn, że będą umieli zadbać o siebie i

swoich bliskich. Ci, którzy tego nie potrafią, nie mają tu czego szukać. Co do mężczyzn, to

poszli ze mną nie dlatego, że nie mieli innego wyjścia, ale ponieważ akurat to wydawało im

się łatwiejsze.

Miał rację. Podeszła do świecy i przysunęła dłonie do ognia, aby odpędzić chłód,

który zaczynał wkradać się w jej ciało.

- Może masz rację, nie wiem. Ale co ze mną? Jeżeli mogłeś mnie porwać, to po co

przeżywaliśmy rzekę? I po co ta cała wyprawa?

- Nie chciałem urazić twojej dumy ani zrazić cię do siebie na dobre, co niechybnie

nastąpiłoby, gdybym wziął cię siłą.

- Jesteś pewien? Przecież cię obraziłam.

- I zaintrygowałam. Nadal mnie intrygujesz.

- Jak to wspaniale dla ciebie, że wycieczka nie poszła na marne.

- Dla ciebie także - powiedział ciepło, ignorując sarkazm w jej głosie.

Odwróciła się, w jej oczach błyszczało oskarżenie. Błyskawicznie znalazł się przy niej

i położył sobie jej dłonie na piersi. A widząc, że nie stawia oporu, przyciągnął ją do siebie.



- Dlaczego sama wyrządzasz sobie krzywdę, ma chire? - zapytał z twarzą wtuloną w

jej włosy. - Czy to z poczucia winy, że mi się oddałaś? Pogardzasz mną, ponieważ skłoniłem

cię, byś zrezygnowała z oporu? A jeśli nie chodzi o żadną z tych rzeczy, to czy cokolwiek

innego naprawdę ma znaczenie? Przyprowadziłem was. Żyjecie i dzięki tobie cieszycie się

dobrym zdrowiem. Nie ma sensu zastanawiać się nad tym, co mogłoby być, chyba że chcesz,

aby wątpliwości rządziły twym życiem,  
tak jak do tej pory rządził nim strach ..

Odsunęła się i spojrzała mu w oczy. Jej  
twarz płonęła gniewem.

- Musisz być taki rozsądny?

- Wybacz, taką mam naturę.

Westchnęła, oparła policzek na piersi  
mężczyzny i zamknęła oczy. Reynaud  
kołysał ją

lekko. Elise umilkła, a potem znowu się  
odezwała:

- A co z fortem Saint Jean Baptiste? Co  
będzie, kiedy już tam dotrzemy?

- Porozmawiamy o tym wkrótce, za dzień lub dwa, kiedy Pierre nas opuści.

Kiwnęła powoli głową. Odpowiedź niewiele jej dała, mimo to czuła się

usatysfakcjonowana. Nie chciała myśleć o tym, że trzeba będzie opuścić to miejsce, nie miała

także ochoty roztrząsać teraz własnych pragnień i życzeń. Zbyt były pogmatwane i

niejednoznaczne.

## **ROZDZIAŁ IX**

Walenie w drzwi niosło się echem

wśród ciszy poranka.

Elise usiadła wyprostowana na łóżku. Reynaud, czujny i z groźną miną, stał już na

podłodze, kiedy drzwi otwarły się szeroko i do pokoju wpadli mężczyźni.

Elise nie miała na sobie koszuli, czym prędkiej złapała prześcieradło i okryła się nim.

Gniew i zmieszanie walczyły o lepsze w jej oczach, kiedy patrzyła na Pascala, St. Amanta i

Henriego.

- Co to, u diabła, ma znaczyć? - zapytał Reynaud niebezpiecznie spokojnym tonem.

- Ty łajdaku, ty wstrętny mieszańcu! - krzyczał Pascal, wymachując pięścią. -

Mógłbym zabić cię gołymi rękami!

- Ja także! - Twarz Sto Amanta miała srogi wyraz. Elise spoglądała to na jednego, to

na drugiego, aż wreszcie jej wzrok spoczął na zaczerwienionej twarzy Henriego i jego

zaciśniętych dłoniach. Widziała, jak bardzo są rozgniewani. Poczowała, że coś

ściska ją w

środku. W pierwszej chwili pomyślała, że to z jej powodu wtargnęli do tego pokoju, ale zaraz

przyszło opamiętanie - według nich ona już dawno zeszła z drogi cnoty.

Przyczyna musiała

być inna.

Zrobiło się chłodniej i widać było unoszącą się z ust parę. Reynaud włożył spodnie, a

potem podszedł do kominka, wziął hubkę i krzesiwo i zaczął podpalać przygotowany

wcześniej stos drewna.

- Gdyby któryś z was raczył powiedzieć mi, czemu zawdzięczam tę wizytę o brzasku,

być może pomogłoby mi to zrozumieć ten ... wybuch niezadowolenia? - rzucił przez ramię.

- Przyłapaliśmy cię.

- Doprawdy?

- Wiemy już, a dowiedzieliśmy się tego od twojego przyjaciela, że to miejsce leży nie

dalej niż siedemnaście kilometrów od

fortu Saint Jean Baptiste. Siedemnaście kilometrów! To

mniej niż dzień drogi, bez kobiet jeszcze krócej!

Coś poruszyło się przy drzwiach i do pokoju zajrzał Pierre. W dłoni trzymał filiżankę

czekolady, jakby właśnie odszedł od śniadania. .

- Wybacz, Reynaudzie. Nie wiedziałem, że to tajemnica - powiedział przepaszającym

tonem.



- Trzymałeś nas tutaj jak gęsi w zagrodzie - mówił dalej Pascal. -  
Mogliśmy od dawna

być w forcie, a może nawet w Nowym Orleanie. Dlaczego to zrobiłeś? Do diabła z tobą,

dlaczego?

Za nim pytanie powtórzył St. Amant, a nawet Henri.

Chłopiec spojrzał na Elise, a potem szybko odwrócił wzrok. Rumieniec oblał mu

policzki aż po uszy.

- A jak sądzicie?

- Ja myślę, że powód leży w tym łóżku.

~ Uważamy - powiedział St. Amant - że pragnął pan zatrzymać przy sobie madame

Laffont, a reszta była tylko na doczepkę.

Elise siedziała, wpatrując się w szerokie plecy Reynauda. Czy była to prawda?

Rzeczywiście wprowadził ich w błąd? Jeżeli nawet tak było, to nie po to, by cieszyć się jej

względami nieco dłużej, lecz by ją

uwieść i w ogóle móc się nimi cieszyć.  
Czekała, żeby

zaprzeczył oskarżeniu. Czekała na  
próżno.

Drewienka zajęły się ogniem,  
wypełniając pokój zapachem sosny i  
dębowych szczap.

Reynaud odwrócił się i oparł dłonie na  
biodrach.

- Dałem wam możliwość wyboru.  
Mogliście odejść.

St. Amant wysunął się do przodu.

- Ale pozostawił nas pan w

nieświadomości co do odległości, jaką musielibyśmy

przebyć, ponieważ wiedział pan, że Elise, madame Laffont, poszłaby z nami. Nie, pragnął nas

pan zatrzymać i dopilnować, by tak się stało. Pozwolił pan, abyśmy tracili tu czas, zależni od

pańskiej gościnności, podczas gdy pan figlował z kobietą, którą zmusił do dzielenia z nim

łóża. Jesteśmy skompromitowani w oczach przyjaciół, którzy uznają nas za pozbawionych

serca łajdaków, nie przejmujących się tragedią w formie Rosalie i uczuciami tych, którzy

wyczekiwali wieści. My zaś żyliśmy tu sobie wygodnie, podczas gdy wszyscy myśleli, że

zginęliśmy.

- Nie, nie, za to nie biorę odpowiedzialności. Powiedziałem komendantowi St.

Denisowi, że przeżyliście i dochodzicie do siebie po tej ciężkiej próbie.

- Powiedziałaś ... - zaczął Pascal, a potem zaczerpnął głęboko powietrza, z

trudem

opanowując wybuch gniewu. - Kiedy?

- Tego samego popołudnia, kiedy tu dotarliśmy. Wziąłem szybkiego konia i

pojechałem do fortu. Wróciłem nazajutrz wczesnym popołudniem. Widzicie, musiałem tam

się udać - mówił z poważną miną - ponieważ strój Elise do konnej jazdy podarł się w drodze.

Znam dobrze pewną damę w forcie, która nosi suknie podobnego rozmiaru i do tego w

dobrym gatunku.

Bezczelność i perfidia mieszańca  
sprawiły, że zabrakło im słów. Jednak  
po chwili

Pascal znów zaczął przeklinać, a oczy  
St. Amanta zwęziły się niebezpiecznie.

Pierre spoglądał to na Reynauda, to na  
Elise. Jego spojrzenie prześlizgiwało  
się z

nieukrywanym zainteresowaniem po jej  
bladej twarzy i białych ramionach,  
grzywie

miodowobrązowych włosów,  
rozpościerających się na pościeli wokół

niej. Kupiec odwrócił

się do Reynauda, uniósł brew,  
uśmiechnął się lekko i pokiwał głową,  
jakby nie dowierzając,

że jego przyjaciel dobrowolnie  
wpakował się w tak kłopotliwe  
położenie. Reynaud

zachmurzył się i wzruszył ramionami.

- To prawda? - Elise pierwsza  
odzyskała głos. - Mogliśmy dotrzeć do  
fortu w kilka

godzin, gdybyś pożyczył nam koni i  
wskazał drogę?



W oczach Reynauda widać było ból, jednak nie uchylił się od odpowiedzi.

- Tak, to prawda.

Henri stał sztywno, patrząc z niedowierzaniem to na Elise, to na Reynauda.

- Mon Dieu - wykrztusił wreszcie - jeśli nikt i - i - inny nie u - u - ukarze tego szu - szu

- szubrawca, ja to zrobię!

St. Amant złapał chłopca za ramię i powstrzymał go.

- Powoli, powoli. Wysłuchajmy, co ma

nam do powiedzenia.

Elise patrzyła tylko na Reynauda, jakby inni w ogóle się nie liczyli.

- Musiałeś zdawać sobie sprawę, że w końcu wszystko się wyda?

- Tak, ale sądziłem, że wtedy nie będzie to już miało znaczenia, przynajmniej dla ciebie.

- Na przykład po ostatnim wieczorze?

Uczynił szybki przeczący gest.

- Nie. Za kilka dni, może za tydzień.

Kiedy już się mną znudzi, pomyślała Elise, wpatrując się w niego ze stężałą twarzą.

Spodziewał się, że zdoła mu dostarczyć przyjemności nie dłużej niż przez kilka dni. A potem

nie będzie już miało znaczenia, co ona myśli, co którekolwiek z nich myśli.

Pascal zamruczał niczym niedźwiedź.

- Obiecałem sobie, że wygarbuję mu skórę.

- Żadnej przemocy, dopóki nie skończę śniadania, bardzo proszę - powiedział Pierre,

wymachując filiżanką. Nie mogę na to pozwolić.

Dał im w ten sposób do zrozumienia, że jeśli zechcą rzucić się na gospodarza,

Reynaud nie pozostanie bez po - mocy.

- To by nic nie dało - zgodził się St.

Amant. - Żądamy jednak, aby wyprawił nas pan

najszybciej, jak tylko się da. - Możecie sobie jechać choćby zaraz i życzę wam wszystkiego

dobrego - powiedział Reynaud, pochylając głowę.

- Odmawiasz ...

- Jak już wiecie, to tylko siedemnaście kilometrów. A poza tym do bramy fortu prowadzi bita droga.

- Niech zgadnę - rzekł Pascal głosem ociekającym sarkazmem. - Skłamałeś co do tej drogi.

- Jestem zdumiony, że nie pojechaliście nią podczas któregoś z polowań.

- Zrobiliśmy to, lecz zawróciliśmy, gdyż powiedziałeś, że droga kończy się na granicy

twoich ziem. Czy to oznacza, że twoje posiadłości rozciągają się aż po fort?

Reynaud uśmiechnął się. - Niezupełnie.

- Będziemy gotowi za godzinę - oświadczył St. Amant i wyszedł, ledwie skinąwszy

głową.

Hemi podążył za starszym mężczyzną, ale odwrócił się i zapytał:

- M - m - madame Laffont, po - po - pojedzie pani z nami?

- Tak, pojedę.

Pierre odsunął się od drzwi,  
umożliwiając zebranym pośpieszny  
odwrót, sam także

wyszedł, osłaniając jasnymi rzęsami  
oczy, by nie mogli dojrzeć ich wyrazu.  
Zostali sami.

Ciszę zakłócał jedynie trzask ognia na  
kominku. Elise podeszła do szafy i  
wyjęła swój stary

kostium. Cisnęła go na łóżko i zaczęła  
rozglądać się za swoją bielizną i  
koszulą.

Reynaud obserwował ją, rozdarty  
pomiędzy potrzebą wyjaśnienia swego

postępowania a pragnieniem, aby sama zrozumiała, dlaczego tak postąpił. Mimo

zdeenerwowania i bólu z przyjemnością przyglądał się, jak perłowe światło poranka połyskuje

na skórze jej bioder i ud, na smukłych plecach i wąskiej talii. W pamięci miał miękkość jej

ciała, smak ust. Miał ochotę przytulić Elise, zmusić ją, aby została, ale Wówczas z pewnością

nie udałooby mu się zatrzymać jej przy sobie na dłużej.

- Posłuchaj, Elise.



Spojrzała na niego, dostrzegając natychmiast szeroką klatkę piersiową, ozdobioną

ciemnymi tajemniczymi liniami tatuażu, lśniącego niczym polerowana miedź, rzeźbione

kolumny nóg w bryczesach, których kształt podkreślał oświetlający je od tyłu

pomarańczowożłoty płomień ognia z kominka. Odwróciła wzrok i z obojętną twarzą wsunęła

przez głowę koszulę, a potem halkę.

Ostry krzyk przeciął zimne powietrze

poranka. Elise drgnęła przestraszona.

Uświadomiła sobie, że to krzyczy  
madame Doucet. Czyżby starsza dama  
znów zobaczyła

Indianina? Nic innego nie budziło w niej  
aż takiego przerażenia.

A potem ktoś zaczął dobijać się do  
drzwi. Usłyszeli głos Pierre'a:

- Lepiej, żebyś tu przyszedł, Reynaudzie!

Zebrali się na ganku. Elise obciągnęła  
na sobie kostium, który przywdziała tak

pośpiesznie. Z tyłu, z salonu, dochodziły  
łkania madame Doucet i cichy szept

Madeleine. Nikt

nie zwracał na nie uwagi. Tym razem alarm okazał się prawdziwy. Dom był otoczony przez

Natchezów: wysokich, potężnych mężczyzn o twarzach pomalowanych w białe i zielone

barwy. Na ramionach mieli peleryny z futra i piór. W dłoniach dzierżyli muszkiety, łuki i

strzały, ale trzymali je przy boku.

Ku schodkom ganku zbliżało się rzędem dziesięciu następnych Indian, przystrojonych

w pióropusze z piór łabędzich, oznakę przynależności do rodu Słońca.

Mężczyzna na czele

niósł w wyciągniętej ręce kalumet, fajkę pokoju, długą na półtora metra. Chłodny poranny

wiatr poruszył białymi orlimi piórami o czarnych końcówkach, rozpostartymi niczym

wachlarz pomiędzy długim cybuchem i lulką. Jaskrawe promienie słońca zabłyśły na

opalizującej zieleni piór z szyi dzikiej kaczki, ozdabiających cybuch.

Elise, która stała tuż obok Reynauda, usłyszała, jak po cichu wydaje on swemu

przyjacielowi polecenia dotyczące podarków, jakie w tej sytuacji należało wręczyć, i uczy

powitalnej. Po chwili procesja zatrzymała się i fajka została starannie zaprezentowana.

Reynaud zszedł powoli i z godnością po schodach, by przyjąć fajkę. Potem nastąpiła wymiana

komplementów, dokonana w prędkiej mowie Natchezów.

Indianie, choć byli wśród nich najznakomitsi wojownicy, nie przyjechali tu po to, by

walczyć, lecz prosić o coś Reynauda. Widać było jednakże, iż jeśli odpowiedź ich nie

zadowoli, zmienią się w oddział wojenny.

- Właśnie pomyślałem - stwierdził St. Amant z zadumą - że to była prawda: wojownik

Tensasów naprawdę śledził nas w lesie. Madame Doucet nie wyobraziła sobie tego.

Pascal zaklął cicho pod nosem, tak aby goście nie usłyszeli. Indianin, którego madame

Doucet spostrzegła tuż po ucieczce, został zidentyfikowany jako członek plemienia Tensas,

sojusznika Natchezów. Wyglądało na to, że przez cały czas znajdowali się pod ścisłą

obserwacją. Ale dlaczego? Czy Reynaud ich zdradził? Pozwolił, aby myśleli, że uciekają,

wiedząc, że przez cały czas ktoś za nimi podąża? A może nie chodziło o nich jako o cennych

jeńców, ale o Reynauda i jego wysoką pozycję?

- Przypuśćmy - odezwała się Elise ściszym głosem że Natchezowie przyjechali po

nas?

- Proszę o tym nie myśleć - odparł St. Amant. - Proszę nawet o tym nie myśleć.

Okazało się to doskonałą radą na następne godziny. Zgodnie zrezygnowali na razie z

wyjazdu. Nie było gwarancji, że pozwolono by im odjechać, a jeśli nawet, Indianie mogliby



uznać to za akt tchórzostwa, co  
wzbudziłoby w nich pogardę i  
wyzwoliło instynkt łowiecki.

Mogli też potraktować ich odejście jako  
obrażę, z podobnym skutkiem. Nikt nie  
miał ochoty

biec piechotą do fortu, zmykając przed  
depczącymi mu po piętach Indianami.

Służba miotała się gorączkowo,  
przygotowując ucztę.

Zagoniona Madeleine wydawała  
polecenia, zerkając na gęsto zapisaną  
kartkę z listą

produktów i napitków. W tej sytuacji

grubiaństwem byłoby nie zaoferować pomocy. Wkrótce

Elise stała przy kuchennym stole, z rękami unurzanyimi po łokcie w mące, z której miało

powstać pięćdziesiąt bochenków chleba, upieczonych następnie w piecu na zewnątrz domu.

Krążąc pomiędzy kuchnią a domem, Elise zauważyła dziewczynę, która polewała

tłuszczem piekące się na rożnie nad ogniskiem prosię, i chłopca mieszającego gulasz z

jelenia, dochodzący w wielkim garze.  
Drugi, jeszcze większy kocioł zawierał  
sagamite.

Dobrze było mieć coś do roboty, gdyż  
kiedy tylko przestawała pracować,  
natychmiast

ogarniały ją czarne myśli.

W końcu gargantuiczny posiłek został  
przygotowany.

Podano go na olbrzymich drewnianych  
tacach, ustawionych w krąg wokół  
płonącego

mocno ogniska. Najstarszy wojownik  
wygłosił długą mowę, której uważnie

wysłuchano.

Potem na dany znak rozpoczęła się uczta. Każdy mężczyzna częstował się sam, odkrawając

mięso własnym nożem i umieszczając odciętą porcję w drewnianej albo glinianej miseczce.

Czasami sięgali też do garnka z sagami te, nabierając fasoli, kukurydzy i sosu łyżkami z rogu.

Jako napitek podano mocną tafię - alkohol ze sfermentowanej melasy z przyprawami. Nie

minęło wiele czasu, a głosy Indian stały

się donośniejsze, a ich śmiech częstszy.

Elise obserwowała to wszystko z wnętrza domu, ukryta bezpiecznie za okiennicą.

Kobiet nie dopuszczono do uczy, natomiast musieli się na niej pojawić Renri, Pascal i St.

Amant. Chłopcu, który bynajmniej nie ufał przybyłym i uważał bratanie się z nimi za

wstrętne, wytłumaczono, że lepiej będzie, jeśli zachowa się kulturalnie, tak jakby Indianie

byli ambasadorami, którzy zebrali się,

aby omówić warunki rozejmu. Renri był tak

przestraszony, że jąkanie prawie uniemożliwiało mu mówienie. Z początku Pascal płonął

gniewem, a St. Amant siedział tak sztywno, iż Elise obawiała się, że Indianie mogą poczytać

to sobie za obrazę, co z pewnością nie przysłużyłoby się ich sprawie. Jednak po jakimś czasie

jedzenie tudzież alkohol zrobiły swoje i atmosfera nieco zelżała.

W porównaniu z innymi Pierre czuł się

zupełnie swobodnie, śmiał się z anegdot  
i sam

też opowiadał dykteryjki, witane  
pomrukiem aprobaty. Jego blond włosy  
połyskiwały w

świecie ogniska. Zdjął surdut, kamizelkę  
i koszulę. Siedział przy ognisku w  
skórzanej

pelerynie, ale nie było w tym niczego  
dziwnego. Dorastał wśród tych  
mężczyzn i wielu z nich

było niegdyś jego bliskimi przyjaciółmi.  
Teraz, zgromadzeni wokół fajki pokoju,  
mogli być

nim! znowu.

Poszukała spojrzeniem Reynauda. Jeśli idzie o ubranie, posunął się jeszcze dalej niż

Pierre i miał na sobie tylko spódniczkę, indiańskie nogawice i pelerynę. Włosy, ściągnięte w

ciasny węzeł, zdobiła opaska z łabędzich piór. Rozmawiał z najstarszym Natchezem,

gestykulując szybko, pochylony w przód, z łokciem wspartym na kolanie i zapomnianą

miseczką w dłoni. Jak obco wyglądał,



jak dziko. Próbowwała przypomnieć  
sobie, że tak

niedawno spoczywała w jego  
ramionach, całowała te jego  
barbarzyńsko piękne usta, ale nie  
potrafiła.

A może jednak? Wczorajszej nocy  
złączyła ich namiętność - dzika i nie  
tolerująca

ograniczeń. Ile razy? Nie potrafiła sobie  
przypomnieć. Za każdym razem Elise  
odpowiadała

jednak pożądaniem, równie dzika w  
swojej namiętności jak Reynaud. Nie

mylił się co do niej

- ona także jest dzikuską, tyle tylko że na wpół oswojoną. Czy jakiś inny mężczyzna mógłby

dokonać tego samego?

Była wolna, wiedziała o tym. To jego wytrwałość, delikatna nieustępliwość sprawiła,

że nie bała się już mężczyzn. Byli istotami ludzkimi: dobrymi bądź złymi. Lecz nawet ci źli

mogli skrzywdzić ją tylko wtedy, kiedy im na to pozwoli. Nie sądziła, by jeszcze kiedyś

wszystko w niej zamarło ze strachu, jeśli któryś z nich spróbuje jej dotknąć. W jakiś niejasny

sposób dopuszczała nawet możliwość, że kiedyś, w przyszłości, być może pozwoli, by ktoś

zbliżył się do niej na tyle, by ją pokochać. Wątpiła jednak, czy zdoła odwzajemnić uczucie.

Jednak teraz była to nie tyle kwestia fizycznej odrazy, ile braku zaufania. Zaufała

Reynaudowi, mimo iż wszystko świadczyło przeciwko niemu, zdradził ją, i to bolało.

Zapadła noc, a uczta trwała w najlepsze. Elise zjadła kolację z madame Doucet i

Madeleine, dziobiąc bez apetytu widelcem jedzenie na talerzu. Później pograła chwilę na

klawikordzie. Kuzynka zajęła się szyciem, jak gdyby na podwórzu przed domem nie działało

się nic niezwykłego. Niekiedy podnosiła się i szła do kuchni wydać dyspozycje, jednak

większą część wieczoru spędziła w salonie.

Madame Doucet próbowała haftować

chusteczkę, partaczyła robotę, pruła nitki  
co

najmniej pół tuzina razy, aż wreszcie  
rzuciła robótkę w kąt i zaczęła  
przemierzać niespokojnie

pomieszczenie, mówiąc bez przerwy.  
Przewidywała, co może się zdarzyć,  
opowiadała w

kółko o tym, co wydarzyło się w forcie  
Rosalie - o śmierci męża, porwaniu  
córkę i wnuczka.

Po jakimś czasie Elise poczuła, że jeśli  
rozluźni zaciśnięte zęby, zacznie  
krzyczeć. Nie miało

to oczywiście sensu. Madame Marie nie potrafiła się powstrzymać, a poza tym miała jednak

rację co do Indian. Każdy musiał to przyznać, ale niechby przestała o tym rozprawiać.

Było już blisko północy, gdy do salonu wszedł Pierre.

Na jego twarzy widać było powagę, ale oczy miał wesołe i pobrudzony tłuszczem

policzek. Choć mówił do nich wszystkich, patrzył na Elise.

- Reynaud mnie tu przysłał.

Skinęła głową, starając się nie zwracać uwagi na to, że jej żołądek ścisnął się w twardą

kulę.

- O co chodzi? - spytała madame Doucet bez tchu. Co oni mają zamiar z nami zrobić?

- Nie ma potrzeby się niepokoić, madame. Przyszli tylko po Reynauda.

Madeleine wyprostowała się na krześle.

- Dlaczego?

- Podczas potyczki z oddziałem francuskich zwiadowców został zabity wódz wojenny

Natchezów.

- A co z Francuzami? - zapiszczała madame Doucet przenikliwie.

- Niestety, także zginęli. Wygląda na to, że ich dowódca był zbrodniczo wręcz głupi i

nie przedsięwziął środków ostrożności, by zabezpieczyć się przed atakiem.

- Ale co to ma wspólnego z Reynaudem?

- spytała Elise niecierpliwie.

- Indianie przybyli tutaj prosić Reynauda, aby wrócił z nimi do wioski i został



wodzem wojennym. Jest synem  
Tatuowanego „Ramienia i bratem  
Wielkiego Słońca, więc to

stanowisko w sam raz dla niego.

- Zgodził się?

- Uważa, że nie wolno mu odmówić.  
Potrzebny jest ktoś, kto potrafi zachować  
spokój

i zimną krew podczas rozmów z  
Francuzami, wymusić na nich  
odszkodowanie i przywrócić

porządek. O ile Francuzi będą tego  
chcieli.

- Myślisz, że mogą nie zechcieć?

- Gubernator Perier może być zdania, że tylko zemsta zmaże hańbę klęski i sprawi, że

francuscy koloniści poczują się na tyle bezpiecznie, by powrócić do tej głuszy.

- Co w takim przypadku mógłby uczynić Reynaud?

- Jeżeli Perier nie będzie chciał słuchać Natchezów, jeżeli zignoruje wszelkie apele o

pokój, Reynaud może poprowadzić Indian do walki i uczynić wojnę na tyle nieopłacalną i

dokuczliwą, że w końcu motywy ekonomiczne przeważą i pokój zostanie zawarty.

- Ale dlaczego? - lamentowała madame Doucet.

- Musicie pamiętać, że Natchezowie to jego przyjaciele, lud jego matki. Nie może

siedzieć beczynn timer i patrzeć, jak miażdży ich ramię Francji, zwłaszcza że to polityka

obecn timer gubernatora doprowadziła do powstania.

- Czy poprowadzi ich ku następ timer

masakrze, tym razem może w samym Nowym

Orleanie? - dopytywała się Elise zapalczywie.

Cień przemknął po twarzy Francuza.

- Czasami trudno przewidzieć, co on zrobi, ale nie sądzę• Jedno jest pewne: jeżeli

Reynaud zostanie wodzem wojennym, kobiety i dzieci wzięte jako jeńcy z pewnością będą

lepiej traktowane. A to ma chyba jakieś znaczenie.

Nagle Elise uświadomiła sobie, że Francuzi nie przebaczą zdradzieckiemu

mieszkańcowi, jeśli poprowadzi przeciwko nim Natchezów. A jeśli Indianie przegrają, co

stanie się wtedy z Reynaudem? Co zrobią z nim, jeśli go schwytają? A raczej, czego nie

zrobią?

- Tak, och, tak. - Madame Doucet popłakiwała z podniecenia. - Niech jedzie, niech

jedzie zaraz.

- Odjedzie o świcie, kiedy tylko mężczyźni po całonocnym świętowaniu będą w stanie

wyruszyć. - Spojrzał na nie i powiedział nieco sztywno: - Wy zaś, moje panie, i wasi

dotychczasowi towarzysze wyruszą w zupełnie innym kierunku. Reynaud wolałby, by

wyjechali państwo przed Natchezami, w ten sposób mógłby dopilnować, byście wyruszyli

bezpiecznie. Pora się przygotować.

Skinął głową i ruszył do drzwi. Madame

Doucet zerwała się z krzesła, krzycząc: .

- Proszę zaczekać! Ja nie chcę - ja muszę  
... Pojadę z drogim Reynaudem!

Pierre zapatrzył się na nią.

- Ależ to niemożliwe.

- Proszę tak nie mówić! Pojadę.

Madeleine zerwała się na równe nogi,  
widząc, jak starsza dama zaciska dłonie  
w pięści

i uderza nimi o siebie.

- Proszę, niechże się pani tak nie  
denerwuje. To, że dołączy pani do

swoich bliskich,

nie pomoże im.

Kuzynka Reynauda wcześniej niż Elise zorientowała się, co kryje się za tą nagłą

obsesją madame Doucet, lecz kiedy już to nastąpiło, postarała się dołączyć własne argumenty

do próśb Madeleine:

- Jak pani zapewne pamięta, to długa, uciążliwa podróż i nie wiadomo, co czeka na

końcu drogi. Z pewnością nie chciałyby pani zostać niewolnicą.



- To by nie miało znaczenia, gdybym tylko mogła być ze swoją córką i wnuczkiem! -

Twarz madame Doucet wyrażała rozpacz. Znowu zaczęła płakać.

- Nie wie pani, co mówi. Na pewno by pani tego nie chciała. Reynaud zrobi wszystko,

aby im pomóc. Musi mu pani zaufać.

Dziwne słowa. A jednak Elise wypowiedziała je, i to z przekonaniem.

- Chcę iść. On mi pozwoli, zobaczycie

...

Czyżby traciła rozum? Nie wydawało się to wcale takie nieprawdopodobne. Płytką,

uwielbiająca przyjemności, pozbawiona źródeł utrzymania i uzależniona od męża, córki i

wnuka, madame Doucet straciła nagle wszystko, co było jej bliskie. Nauczyła się polegać na

Reynaudzie, kiedy prowadził ich przez leśną głuszę, i polegała na nim tutaj, w domu. Jak

zareaguje, kiedy Reynaud odmówi zaspokojenia jej nowego pragnienia?

Elise próbowała taktownie odradzać, błagać, przymilać się, okazywać złość, ostrzegać,

nie owijając w bawełnę. Nic nie skutkowało. Madeleine dodała swoje cicho wymruczane rady

i przestrogi. Pierre zaś po kilku minutach po prostu czmychnął. W końcu madame Doucet

sama rozwiązała problem: wyrwała się obu kobietom i popędziła do frontowych drzwi.

Otworzyła je szeroko i sfrunęła po schodach, jakby znów była młodą dziewczyną.

- Reynaud zabierze mnie ze sobą, wiem, że mnie zabierze! Udowodnię wam to!

Elise pobiegła za nią, spodziewając się, że kobieta znów dozna szoku, gdy znajdzie się

przed Indianami, których widziała ostatnio, jak uprowadzali tych, którzy pozostali z jej

rodziny. Jednakże pomysł, który wbiła sobie do głowy, musiał tkwić w niej na tyle mocno, że

starsza dama prawie nie zwróciła uwagi na wojowników. Podbiegła prosto do Reynauda,

chwyciła go za ramię i pociągnęła.

Biesiada właśnie się kończyła, widać mężczyźni najedli się do syta. Teraz obecność

kobiety nie przeszkadzała im już tak bardzo. Elise spostrzegła, że nieco się zdziwili, a potem

odwrócili głowy, by umożliwić Reynaudowi porozmawianie na osobności z kobietą, jeśli taka

będzie jego wola. Sam Reynaud wydawał się nieco skonsternowany. Rozmawiał z madame

Doucet stanowczym tonem.

Elise nie mogła zrobić nic więcej.  
Odwróciła się i skierowała w stronę domu. Była

bardzo zmęczona: wydarzenia dnia i wysiłek włożony w przygotowanie uczyty wyczerpały ją.

Nie musiała przygotowywać się do wyjazdu. Nie weźmie sukien, które dla niej przerobiono.

Madeleine może je oczyścić i znowu przerobić, to zależy od Reynauda. Ona pragnęła tylko

zdzjąć kostium i paść na łóżko. Dobrze byłoby wypocząć choć trochę przed długą drogą.

Leżała w ciemności z rękami założonymi za głowę. Odgłosy towarzyszące uczczeniu

pozwalają jej zasnąć. Indianie zaczęli wygłaszać kolejne przemowy, długie i pełne okrzyków

zwycięstwa.

Od czasu do czasu śpiewali, a potem wybuchali śmiechem. Nie zachowywali się

szczególnie głośno, ale nie milkli ani na chwilę. Elise denerwowała się, ponieważ nie

wiedziała, co z tego wyniknie.

Pomyślała o Reynaudzie, świętującym  
wraz z nimi i rozumiejącym ten bełkot.  
Był

częścią tego wszystkiego, lecz także tym  
samym mężczyzną, który poprzedniej  
nocy trzymał

ją w ramionach i szeptał ciche słowa  
miłości, tak pięknie brzmiące w jej  
języku. Tym samym,

przy którym leżała, dotykając czubkami  
palców jego barków, ramion, piersi, ud,  
całego ciała.

Niewiarygodne.

Gdzie będzie dzisiaj spał? Czy owinie



się peleryną i spocznie obok swoich  
dzikich

przyjaciół, śpiących tam gdzie upadli? A  
może znajdzie sobie siennik w pokoju  
Pierre'a i

prześpi tych kilka krótkich godzin do  
świtu? Lub zjawi się, by dzielić z nią  
łóżę? Jeśli tak,

spotka go rozczarowanie, gdyż ona nie  
chce już mieć z nim nic do czynienia.

A był takim cudownym kochankiem.  
Nigdy nie sądziła, że potrafi tak mocno

odczuwać, że spotkanie dwojga ciał  
może mieć w sobie tyle magii. Słodki,

mocny dreszcz

wstrząsnął nią na samą myśl o tym. Do tej strony uwięzienia jej nie ma żadnych zastrzeżeń.

Tyle że jego własne pragnienia były dla niego najważniejsze, a sposobu, w jaki zdecydował

się je zaspokoić, nic nie usprawiedliwiało.

Przewróciła się na brzuch, postanawiając wygnać niechciane myśli. Zaczęła się

zastanawiać, co będzie robiła w forcie Saint Jean Baptiste. Może spotka się z

Claudette,

dziewczyną z poprawczaka, która  
płynęła z nią na „Mutine”. Podobno  
wyszła za mąż za

człowieka z osady w pobliżu fortu.  
Zaprzyjaźniły się wtedy podczas  
podróży, choć Claudette

była starsza, miała prawie  
dziewiętnaście lat. Jej przypadek był  
bardzo smutny, została

bowiem sprzedana do burdelu, i to przez  
wuję, który najpierw sam przyuczył ją  
do tego fachu.

Claudette marzyła o poślubieniu miłego,

niemłodego mężczyzny i spokojnym  
życiu gdzieś na

końcu świata, gdzie nikt nie będzie znał  
jej przeszłości i kto wie, może nawet  
stanie się

kobietą godną szacunku.

A co z nią, z Elise? Miejscowa  
społeczność była niewielka, czy ludzie  
dowiedzą się o

jej zażyłości z mieszańcem? Czy może  
zaufać Pascalowi i pozostałym  
sąsiadom, że nie

rozgłoszą tego wszem i wobec, nie  
szczędząc pikantnych szczegółów?

## Normy moralne

panujące w kolonii nie były surowe i często naginano je do potrzeb, jednak Elise spodziewała

się, że ludzie będą prychać na widok kochanicy Indianina i opowiadać sprośne historyjki za

jej plecami, co ośmieli innych mężczyzn.

Lecz to nie miało znaczenia. Poradzi sobie, jak zawsze.

Najważniejsze to odzyskać ziemię i gospodarstwo. Musi jak najszybciej porozmawiać

z dowódcą fortu, St. Denisem, i skłonić go, by pomógł jej dostać się do Nowego Orleanu.

Przedstawi tam swoją sprawę radzie, a może nawet samemu gubernatorowi.

Wojna z

Indianami, która zapewne będzie się toczyła również na terenie jej posiadłości, może utrudnić

natychmiastowy powrót i odbudowę, ale kiedyś się przecież skończy.

Obudziła się pod wpływem czyjegoś dotyku. Nim zdołała zareagować, została przytrzymana, odwrócona i poczuła na

sobie ciężar silnego męskiego ciała.

Zesztywniała i

spróbowała się uwolnić.

- Leż spokojnie - wyszeptał Reynaud. -

Po prostu leż. Pomimo iż głowę miała wtuloną

w ramię intruza, a czoło przyciśnięte do jego szyi, zdołała wykrztusić pogardliwie:

- Puść mnie.

Nie odpowiedział, tylko przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej. Był nagi i zimny,

Z

wyjątkiem gorącego miejsca pośrodku ciała, które napierało na jej brzuch z niepokojącym

zdecydowaniem. Poglaskał delikatnie rozpuszczone włosy Elise i wdychał ich świeży zapach,

przytulając twarz do jej głowy.

Elise poczuła dziwną słabość. Stopniowo odprężyła się.

I choć gniew pozostał, wydawał się pozbawiony siły. Coś ścisnęło ją za gardło.

Uświadomiła sobie, że tym, co odczuwa najmocniej, jest ból, spowodowany



faktem, że

Reynaud tak ją wykorzystał. Posiadł ją, nagiął do swojej woli groźbami i podstępem nie

dlatego, że czuł coś do niej, ale ponieważ stanowiła wyzwanie. Obraziła go, więc dopilnował,

by tego pożałowała, skłaniając ją, żeby zaakceptowała go w najbardziej intymny sposób.

Uczynił wyłom w siłach obronnych Elise i wykorzystał jej własne uczucia, aby wymusić

kapitulację.

Pocieszała się, że bez względu na powód, którym się kierował, rozpoczynając

oblężenie, on także nie wyszedł z tego bez szwanku. Nie poddała się łatwo, a jego metody

uczyniły go podatnym na zemstę. Być może nie dbał zbytnio o nią jako o osobę, lecz pragnął

jej rozpaczliwie.

I rzeczywiście, wkrótce wszystko się skończy. I choć Reynaud nie trzymał się

dokładnie umowy, jutro - a raczej dzisiaj - będzie po wszystkim, jeśli tylko

konie okazały się

dosyć szybkie, by dowieźć ich do fortu przed zapadnięciem nocy.

Z drugiej strony, musiała przyznać, że Reynaud nie egzekwował zbyt ściśle swoich

praw. Obiecała dzielić z nim łóżce w zamian za pomoc w ucieczce i dobrze wiedziała, czego

naprawdę dotyczyła ta obietnica. Nie powinna się więc skarżyć.

Wsunął palce w gęstwinę włosów Elise i ustami poszukał jej warg. Pocałunek miał

słodki smak i moc tafii, którą pił tego wieczoru. Usta Reynauda, gorące z pożądania, były

jędrne i gładkie, z wyjątkiem małej blizny - pamiątki po tym, jak go uderzyła. Powoli

poruszył się na niej, pozwalając Elise poczuć swoją namiętność i zachęcając, by podzieliła ją

z nim.

Odpowiedziała na wezwanie, choć wydawało się jej, że robi to wbrew woli.

Przesunęła pieśczośliwie dłońmi po

gładkiej, muskularnej piersi mężczyzny,  
przemknęła

palcami po płtykich bliznach tatuazu. To  
będzie ostatni raz. Już nigdy nie poczuje  
jego siły,

pełnego czułości opanowania. Choć  
rozmyślała tak beztrosko o mężczyznach,  
to czy znajdzie

się inny, który by tulił ją tak słodko,  
który przedkładałby jej pożądanie nad  
własne, który

zechciałby - i potrafił - czekać z tak  
żelaznym opanowaniem i nie  
narzucającą się

cierpliwością, aż będzie gotowa go przyjąć? Czy kiedykolwiek spotka mężczyznę równie

pięknie zbudowanego?

Jeszcze tylko ten jeden raz. Komu to może zaszkodzić?

Jej na pewno nie, a on, czy na to nie zasłużył? Zawsze płaciła swoje długi, zapłaci

zatem także ten, i to z nawiązką, by wynagrodzić go za to, co jej ofiarował. Będzie szczodra,

gdyż tak właśnie się czuje. Ofiaruje mu siebie bez zastrzeżeń, tak jak on dał jej

siebie. I jeśli

zdoła, da mu na pożegnanie rozkosz. Bo  
chyba właśnie rozkoszy chciał, a teraz,  
w tej chwili,

pragnęła jej także ona. Chyba nie ma w  
tym nic złego, skoro pozwolił jej odejść.  
Wziął na

swoje barki niebezpieczny obowiązek  
sprawowania funkcji wodza wojennego  
Natchezów,

stając w ten sposób .po przeciwnej  
stronie barykady niż ona, ale czy miało  
to teraz jakieś

znaczenie?

Czując, jak łzy zaczynają dławić ją w gardle, objęła ramionami szyję Reynauda i

przycisnęła usta do jego warg. Pożądanie zakwitło w niej niczym ból, sprawiając, że sutki

nagich piersi nabrzmiały i stwardniały.

Uniosła nieco kolano, przesuwając nim wzdłuż uda mężczyzny. A kiedy Reynaud

położył dłoń na jej biodrze i podciągnął wyżej skraj koszuli, zadrżała.

Jęknęła miękko, pomagając mu pozbyć się koszuli.



A potem zaczęli poruszać się dziko i gwałtownie, choć nie bez czułości, szukając się

nawzajem, zespoleni ze sobą tak mocno, iż wydawało się, że ich ciała stopiły się w jedno. Z

dojmującą tęsknotą sycili nieziemską błogość, która trzymała ich w uścisku, dopóki nie

zaczęło im się wydawać, że więcej nie są już w stanie znieść. Elise pomogła mu wejść w

siebie, przyjmując 'jego wilgotną męskość z westchnieniem rozkoszy i uczuciem, że się

roztapia. Ciemność i noc zamknęły się wokół niej. Reynaud wypełnił ją i było to tak

cudowne, że łzy, dotąd powstrzymywane, trysnęły słonawą strugą spod jej rzęs, spływając na

policzki. A potem Reynaud był już nad nią, zanurzając się w niej głęboko i unosząc z sobą do

królestwa niewyobrażalnej ekstazy.

Ostatni raz. Przywarła do poznaczonych sznurami żył mięśni jego klatki piersiowej,

unosząc się ku niemu, czując w głębi

ciała echo ich wspólnego drżenia.

Teraz, w tej jednej

chwili, należała do niego, tak jak on  
należał do niej - niepodzielnie. To musi  
się skończyć, ale

nie teraz, dzięki Bogu, jeszcze nie teraz.

Było tak słodko, tak promiennie.

Doskonale. Jarzący

się gdzieś w głębi ogień, jaskrawy i  
gorący, wybuchł płomiennym blaskiem.

Już nigdy nie

zazna czegoś równie wspaniałego. Nie  
zniesie tego, po prostu nie zniesie ...

A kiedy leżeli potem wyciszeni,

przytuleni do siebie, Reynaud pogłaskał mokre od łez

pasmo włosów Elise i płonącymi oczami zapatrzył się w ciemność. Jeszcze wczoraj zamierzał

pozwolić jej odejść. Sądził, że potrafi, że tak trzeba, ale teraz już wie, że Elise należy tylko do

niego. Zatrzyma ją, choćby miał walczyć z całym światem. Lub z samą Elise.

## **ROZDZIAŁ X**

- Odjechali.

Elise, zdumiona, spojrzała na Madeleine

znad porannej filiżanki czekolady.

- Co to znaczy, odjechali?
- Wyruszyli do fortu o świcie.
- Beze mnie? Dlaczego mnie nie zawołano?

Odstawiła filiżankę z chińskiej porcelany, pomalowaną w fiołki, gdyż obawiała się, że

upuści to delikatne naczynie lub rzuci nim o ścianę.

Głos Madeleine brzmiał beznamiętnie, ale zaciśnięte mocno dłonie świadczyły o

zdenerwowaniu.

- Podobno zdecydowała się pani zostać.

- Kto tak powiedział?

Madeleine milczała i prawdę mówiąc, nie musiała odpowiadać. Kto inny by się

ośmielił? Kto poza Reynaudem zdołałby nakłonić ich, by wyruszyli bez niej?

- Zabiję go. - Elise odrzuciła przykrycie i wyskoczyła z łóżka, nie przejmując się

swoją nagością. Z zaciętą twarzą sięgnęła po bieliznę i stary kostium.

- Niech się pani tak nie denerwuje. On

chciał jak najlepiej.

- Najlepiej dla siebie! A co ja niby mam zrobić? Czekać tu cierpliwie, aż wróci z wojny? Nie ma mowy!

W ciągu ostatnich dwóch dni pomiędzy nią a kuzynką Reynauda doszło do

zawieszenia broni. Gospodyni najwidoczniej zaakceptowała Elise przez wzgląd na szczęście

kuzyna, a Elise myślała o niej dokładnie w ten sam sposób. Ich wzajemny stosunek

nacechowany był szacunkiem i

wyrozumiałością, a nawet pewną  
życzliwością.

Madeleine spochmurniała.

- Źle się stało - powiedziała - iż nie  
zostawił pani możliwości' wyboru, ale  
czy to takie

straszne, że chce, aby pani tu została?  
On pani potrzebuje i myślę, że to samo  
można

powiedzieć o pani.

- Ja nie potrzebuję nikogo.

- Ależ każdy z nas kogoś potrzebuje.



- Nie pozwolę się tu zatrzymać wbrew  
mojej woli!

- Nie może pani jechać sama.

- Mogłabym ich dogonić, gdybym miała  
szybkiego konia.

- Tak, ale czy Reynaud da ,go pani?

- Albo mi da, albo go ukradnę!

Wypadła z pokoju, dopinając w  
pośpiechu żakiet i odrzucając włosy  
opadające

pasmami na ramiona. Była tak wściekła,  
że ledwie zauważyła chłód poranka i  
festony mgły,

snujące się pomiędzy drzewami i  
przesłaniające słońce. Dostrzegła jednak  
Reynauda, jego

szerokie barki i obfite fałdy peleryny.  
Nadzorował pracę Natchezów  
ładujących bagaże na

grzbiety pięciu małych, niezbyt  
urodziwych koników. Reszta zapewne  
odeszła. Po

wczorajszej uczcie pozostał jedynie  
wydeptany krąg ziemi. Z dopalającego  
się ogniska snuł

się dym.

- Co ty sobie wyobrażasz, że kim

właściwie jesteś?! zawołała,  
podchodząc do niego. -

Jakim prawem pozwoliłeś im odjechać  
beze mnie?

Odwrócił się do niej. Jego twarz miała  
nieustępliwy wyraz. Zauważyła, że upiął  
włosy

wysoko i ozdobił łabędzimi piórami.  
Węzeł peleryny rozluźnił się, a jej poły  
rozchyliły,

ukazując nagą pierś i płaski brzuch.  
Nogawki bryczesów ciasno opinały jego  
uda, lecz nad

nimi widniał pas miedzianej skóry. I

kiedy tak stał, niewzruszony i na wpół  
nagi, wydał jej się

kimś zupełnie obcym, nie tym samym  
mężczyzną, którego trzymała w  
ramionach zeszłej

nocy. Elise uderzył wyraz  
zdecydowania, jaki przybrały jego rysy.

- Mówisz do mnie?

- Oczywiście! - odparła, zadzierając  
wyzywająco brodę.

- Więc zmień ton. Moi wojownicy nie  
mają cierpliwości do rozwrzeszczanych  
wiedźm

i nie zrozumieliby, gdybym jednej z nich pozwolił krzyczeć na siebie.

- Wiedźmy? Tylko dlatego, że nie zgadzam się, by zatrzymywano mnie tutaj wbrew

mojej woli?

- Idź do domu. Tam z tobą porozmawiam.

Te szorstkie słowa oznaczały odprawę. Odwrócił się do niej plecami, rzucając ostrym

tonem rozkaz Indianinowi, który zatrzymał się, aby posłuchać, o czym rozmawiają• Istniało

duże prawdopodobieństwo, że zrozumiał, czego dotyczyła rozmowa, ale cóż ją to mogło

obchodzić? Natchezowie obcowali z Francuzami od około trzydziestu lat i odznaczyli się

dużymi zdolnościami językowymi. Poszczególne plemiona posługiwały się odmiennymi

dialektami i większość Indian znała, oprócz własnego, dialekty swoich najbliższych sąsiadów,

a także język Czikasawów, który pełnił na tym terenie funkcję języka uniwersalnego.

Niestety, na własne nieszczęście  
zgadzała się z punktem widzenia  
Reynauda. Był teraz

wodzem wojennym i musiał dbać o swój  
wizerunek w oczach podległych mu  
ludzi. Nie mógł

więc w ich obecności i bez słowa  
sprzeciwu wysłuchiwać połajanki  
kobiety. Nie miało przy

tym znaczenia, jak wysoko w hierarchii  
plemienia jego matki stały kobiety.

Okazywanie

respektu wojownikom było żelaznym  
prawem przestrzegany przez wszystkie  
plemiona.

Zwiększało wiarę we własne siły i odwagę mężczyzn, którzy w każdej chwili mogli zostać

wezwani, by oddać życie za swój lud.

Odwróciła się zatem na pięcie i pomaszerowała z uniesioną głową do domu, jednak jej

oczy błyszczały niebezpiecznie, a krok zdradzał z trudem powstrzymany gniew.

Nim Reynaud dołączył do niej w salonie, zdążyła już wyszczotkować i zapleść włosy

w warkocz, owinać go sobie wokół



głowy i umocować kilkoma mosiężnymi spinkami

pożyczonymi od Madeleine.

Spacerowała niespokojnie przed kominkiem, powtarzając sobie

w myśli, co mu powie. Od czasu do czasu zatrzymywała się, by ogrzać dłonie. Gdy wszedł,

zaciśnęła wargi i spojrzała na niego wojowniczo, a w jej brązowo bursztynowych oczach

próżno by szukać choć odrobiny ciepła.

- Czego chcesz? - zapytał bez zbytnich wstępów.

- Chcę dostać konia, żebym mogła dogonić grupę Pascala. - Pogratulowała sobie, że

stać ją było na tak spokojne sformułowanie żądania.

- Nie.

- Nie?

- Nie mogę na to pozwolić.

- Nie zatrzymasz mnie. Jeżeli mi nie pozwolisz wyjechać teraz, odjadę stąd, gdy tylko

znikniesz z widoku! - Obawiam się, że nic z tego.

- Poczekaj - wycedziła przez zaciśnięte zęby - a zobaczysz.

- Możesz być pewna, że ani na chwilę nie spuszczę cię z oka.

Popatrzyła na niego, a w jej umyśle zaczęło kiełkować niepokojące przypuszczenie.

- Nie chcesz chyba powiedzieć ...

- Owszem.

Rozmiar jego zdrady na dłuższą chwilę pozbawił Elise zdolności mówienia. Nie zamierzał jej tu zostawić, lecz zabrać ze sobą do wioski Natchezów!

- Nie pojedę!

- Pojedziesz. Albo jako moja towarzyszka, jadąca swobodnie obok mnie, albo

przywiązana jak niewolnica.

- Zawarliśmy umowę: miałeś doprowadzić mnie i sąsiadów do fortu Saint Jean

Baptiste! Zrozumiałam, że będę wolna, kiedy twoje zadanie się skończy. Wykorzystałeś mnie

i nie ujdzie ci to na sucho!

- Zapewniam cię, że się nie boję.

Spojrzała na niego oczami  
pociemniałymi z nienawiści.

- Pożałujesz tego.

- Prawdopodobnie.

To suche stwierdzenie nie wpłynęło  
łagodząco na jej gniew.

- Jesteś łajdakiem.

- W wystarczającym stopniu, by cię  
zatrzymać.

Doprowadzona do ostateczności,  
zaciśnęła dłoń w pięść i zamierzyła się  
na niego.

Chwycił ją za nadgarstek i wykręcił jej rękę do tyłu. Miotła się bezsilnie, przyciśnięta do

jego muskularnego ciała. I choć ból w nadgarstku stawał się nieznośny, prawie go nie czuła.

- Puść mnie! - krzyknęła, wciągając gwałtownie oddech. Z ustami tuż przy jej ustach

oznajmił:

- Ostrzegam cię. Nie pozwolę, abyś mnie dłużej rozpraszała. Radziłbym ci zachować

rozsądek. W przeciwnym razie

cokolwiek się stanie, sama będziesz sobie winna.

- To ty mnie posłuchaj. Nasz układ już nie obowiązuje. I między nami też wszystko

skończone. Dotknij mnie tylko, a pożałujesz.

- Zobaczymy - powiedział i puścił jej ramię. - Przygotuj się. Za kwadrans odjeżdżamy.

Popełniła błąd, ostrzegając go, to oczywiste. Zdała sobie z tego sprawę, gdy tylko

zobaczyła konia, przywiązanego do

hiszpańskiego siodła Reynauda.

Stała tuż za progiem, rozważając, czyby się nie cofnąć i nie odmówić opuszczenia

domu. Jednakże bez konia ucieczka była niemożliwa, gdyż dogoniono by ją bardzo szybko.

Mogłaby się ukryć wśród zabudowań, ale wnet zostałaby odnaleziona i bezceremonialnie

wyciągnięta z kryjówki. Pozostanie w domu było prowokacją - Reynaud by ją stamtąd po

prostu wyniósł. Nie zamierzała dać mu



okazji do pokazania, kto tu rządzi.

Jedyne, co mogła teraz uczynić, to wymaszerować z podniesioną głową i nadzieją, że

zyska nieco na czasie, a kiedy jego czujność osłabnie - uciec.

Usłyszała stuk kopyt biegnącego powolnym truchtem konia. Reynaud wyjechał zza

szopy na wspaniałym czarnym ogierze, wielkim berberyjczyku z falującą grzywą i ogonem,

którego kupił od Hiszpanów. Prowadził za sobą siwą klacz, której smukłe

kształty

wskazywały na arabską krew. Podjechał do słupka i siedział, wpatrując się w dom ze

zmarszczonymi brwiami. A kiedy Elise, widząc ten manewr, także zmarszczyła w odpowiedzi

brwi, usłyszała za sobą dźwięk głosów. Madeleine, dźwigająca dwie peleryny, odsunęła się na

bok, aby przepuścić madame Doucet, ubraną w suknię z ciężkiego czarnego drogietu. Starsza

dama, podekscytowana i drżąca, objęła

Madeleine i głosem zdławionym od łez zaczęła

dziękować jej wylewnie za pomoc.

Madame Doucet postawiła na swoim: wracała z Reynaudem do wioski. A zatem Elise

źle oceniła sytuację. Wierzchowiec na uwięzi przeznaczony był dla Marie, która niezbyt

dobrze jeździła konno. Elise miała dosiąść arabskiej klaczy.

Ten przejaw rozsądku Reynauda był niczym uderzenie w twarz.

Najwidoczniej nie

obawiał się, że nie zdoła jej upilnować,  
nawet jeśli będzie miała pod sobą konia.  
Araby były

szybsze od kucyków, a na krótki dystans  
także od berberyjczyków, choć większy  
koń

okazałby się z pewnością bardziej  
wytrzymały. Reynaud najwidoczniej  
wierzył, że zdoła

dogonić Elise.

Madame Doucet przyjęła pelerynę i  
wyszła na ganek.

Madeleine podeszła do Elise i zarzuciła  
jej na ramiona takie samo okrycie,

uszyte z

ciemnego materiału. Elise wymruczała pod nosem słowa podziękowania.

Madeleine potrząsnęła głową:

- Proszę dziękować Reynaudowi, to on posłał po peleryny. On poświęcił czas i uwagę,

aby zadbać o waszą wygodę i bezpieczeństwo. - Zawahała się, a potem dodała: Mam

nadzieję, że teraz pani się o niego zatroszczy. Proszę go strzec. Będzie miał wielu wrogów.

- Tylko pośród Francuzów - rzekła Elise cierpko.

- I tych, którzy zaprzeczają jego prawo do zostania wodzem wojennym, gdyż pogardzają

nim ze względu na mieszane pochodzenie.

- Ja nic nie mogę na to poradzić.

- Może pani mieć oczy i uszy otwarte. Czasami to wystarczy.

Czy to podstęp, to nakłanianie jej, by czuła się za niego odpowiedzialna? Jeśli tak,

fortel nie poskutkuje, nigdy by nie poskutkował, lecz Madeleine nie mogła o tym wiedzieć.

Elise skinęła więc lekko głową w geście, który mógł być odebrany jako zgoda, i odwróciła się.

Najwidoczniej opóźniała wyjazd, gdyż Reynaud zmierzał właśnie w jej stronę z ponurym wyrazem twarzy. Zaalarmowana tym Elise mimo woli wysunęła przed siebie dłoń,

by go powstrzymać. Reynaud uchwycił ją i przerzucił sobie za głowę, unosząc

Elise i

zarzucając ją sobie na plecy. Usłyszała, jak Natchezowie, znani z opanowania i z tego, że

zawsze zachowują kamienną twarz, kołyszą się w siodłach~ rozbawieni. Zacerwieniła się z

gniewu.

- Postaw mnie - powiedziała cicho z furią. Duma i pewność, że jeśli zacznie walczyć,

jeszcze bardziej rozbawi wojowników, powstrzymały ją przed próbą wyrwania mu Się.



Nie odpowiedział, lecz zniósł ją ze schodków i podszedł do miejsca, gdzie stały konie.

Tam obrócił ją i posadził na siodle. Złapała się końskiej grzywy, starając się utrzymać

równowagę. Z zaczerwienionymi policzkami i spuszczonego wzrokiem, by ukryć gniew i

zażenowanie, poprawiła spódnicę i ujęła wodze. Z wysokości siodła spiorunowała wzrokiem

Reynauda, który zdążył już dosiąść konia i obserwował ją taksująco szarymi oczami.

Ich spojrzenia zetknęły się na dłuższą chwilę, a potem Reynaud spojrzał poza nią, na

wojowników i madame Doucet, po czym powrócił spojrzeniem do Elise i wyciągnął rękę, aby

poprawić pelerynę, która przekrzywiła się jej na ramieniu. Tak jakby tym gestem pragnął

zaznaczyć, że ona należy do niego - i tylko do niego. Odczuła szaloną pokusę, aby

natychmiast pozbyć się peleryny, odrzucając tym samym symbolicznie ów gest. I pewnie by

tak zrobiła, lecz po namyśle doszła do wniosku, iż być może był to z jego strony wyraz troski.

Wyruszyli z dziedzińca gęsiego, z Reynaudem na czele.

Tuż za nim jechała Elise, dalej wojownicy z madame Doucet. Gdy zagłębili się w las,

zrobiło się chłodniej, gdyż słońce rzadko docierało pod sklepienie gałęzi. Drzewa do reszty

straciły liście, z wyjątkiem buków i dębów, na których nadal widać było drżącą okrywę

brązowego listowia. Konary w pobliżu strumieni; gdzie powietrze było bardziej wilgotne,

pokrywały festony mchu. Gruba warstwa opadłych liści tłumiła stukot końskich kopyt.

To dziwne, jak spokojnie reaguje madame Doucet na obecność Indian u boku,

pomyślała Elise. Wydawało się, iż ledwie uświadamia sobie, że mężczyźni jadący obok niej

to Natchezowie, być może ci sami, którzy zabili jej męża, uprowadzili córkę i wnuka. Jakąż to

pokrętną logiką się posłużyła, by pozbyć się strachu? Czyżby wierzyła, że jej nie skrzywdzą,

kiedy Reynaud jest z nimi? A może po prostu uznała, że skoro zdecydowała się przyłączyć do

francuskich kobiet i dzieci, nie grozi jej już schwytanie?

Elise miała nadzieję, że sama zachowuje się równie spokojnie. W miarę jak oddalali

się od fortu w kraju Natchitoches, jej żołądek coraz bardziej się zaciskał. Gniew przerodził się

w gorzką frustrację, która nie opuszczała jej ani na chwilę - nawet wtedy, gdy była zmarznięta

i zmęczona.

Tak wiele straciła: rodzinę, dom, ziemię, a teraz także szacunek dla samej siebie, bo

oto uległa mężczyźnie, który ją zdradził i właśnie uczynił swoją niewolnicą.

Posmutniała, z

pobladłą twarzą, zaczęła rozmyślać o tym, co też przyniesie przyszłość. W porównaniu z

obecną sytuacją wyjazd do fortu Saint

Jean Baptiste zdawał się obiecywać  
niezliczone

możliwości. St. Amant, Henri i Pascal  
już się zapewne zbliżali do umocnień.  
Żałowała, że nie

zdążyła się z nimi pożegnać. Przetrwali  
masakrę i choć żadnego z nich nie  
mogłaby nazwać

przyjacielem, łączyła ich szczególna  
więź. Co też sobie pomyśleli, gdy  
powiedziano im, że

zrezygnowała z wyjazdu do fortu ...

Pogoda nie tylko się nie poprawiła, ale  
przeciwnie, z każdą chwilą robiło się

zimniej i

bardziej pochmurno. Zaczął padać drobny deszczyk. Zatrzymywali się od czasu do czasu, by

pozwolić odpocząć koniom, lecz zanim Elise zebrała siły do ucieczki, byli już znowu w

siodłach.

Raz, wczesnym popołudniem, Reynaud zwolnił i przez chwilę jechał obok niej. Był w

dobrym nastroju, widocznie cieszył się, iż wraca do ludu swej matki. Powiedział jej, jak



nazywają się towarzyszący im  
wojownicy. Najpotężniejszego z nich i  
wyglądającego

najgroźniej zwano Ścieżka  
Niedźwiedzia, ponieważ tak jak czarny  
niedźwiedź nie ustępował

nikomu, kto stanął mu na drodze. Potężny  
wojownik z kasty Słońca był  
naczelnikiem

Mącznej Wioski, drugiej co do  
wielkości po Głównej Wiosce. Prócz  
Ścieżki Niedźwiedzia

jechali z nimi także: Długa Szyja,  
Czerwony Lis, Krzyczący Jeleń i Zużyta  
Strzała mężczyźni

szlachetnego rodu, spokrewnieni z Reynaudem. Równie wysocy i barczyści jak on, mieli

jednak ciemniejszą skórę, wytatuowane piersi i ramiona, a niektórzy także policzki.

Większość nosiła w uszach ozdoby z muszli albo stalowe i złote kolczyki. Jeden w drugiego

czujni, obserwowali bacznie otoczenie, zawsze gotowi chwycić za broń: do wyboru mieli

muszkiety spoczywające im na kolanach, łuki i pęki strzał przewieszzone przez plecy lub

tomahawki przytwierdzone do pasa. Ich  
czujność była niczym ukryta groźba -  
przypominała

jej, że nie zdoła niepostrzeżenie  
oderwać się od kolumny.

Jednak tuż przed wieczorem nadarzyła  
się po temu okazja. Reynaud  
wysforował się

niedo do przodu, prowadząc pieszy  
zwiad, jak to miał w zwyczaju. Dwaj  
wojownicy weszli

niedo głębiej w las, a reszta stała oparta  
o pnie drzew, tocząc leniwą rozmowę i  
pojadając

orzechy z woreczków przytroczonych do pasa. Madame Doucet spacerowała, by rozprostować zdrętwiałe nogi.

Elise ruszyła powoli szlakiem w stronę, z której przybyli, prowadząc za sobą konia.

Tuż przed zakrętem skręciła w las, jakby za potrzebą.

Gdy tylko znikła z widoku, wskoczyła na siodło i skłoniła klacz, by przyśpieszyła

kroku, nie śmiała jednak ścisnąć jej boków, gdyż obawiała się, że wojownicy usłyszą tętent

oddalającego się konia.

Nagle dobiegło ją wołanie. Szukano jej.  
Do chwili, gdy ruszą za nią w pogoń,  
upłynie

zapewne trochę czasu, nie mogła  
ryzykować. Ścisnęła 'mocno piętami  
boki klaczy i

pochylona w siodle, aby uniknąć  
wiszących nad drogą gałęzi, pomknęła w  
kierunku szlaku.

Nim do niego dotarła, usłyszała za sobą  
tętent.

Pochylona nad szyją wierzchowca,  
ściągnęła wodze, używając ich

końcówek jako

bata, aby skłonić konia do szybszego biegu. Pamiętała, że niedaleko szlak się rozwidla. Czy

byłaby to dla niej szansa, gdyby wojownik automatycznie wybrał drogę, skąd przybyli? A

może powinna zsiąść z konia i uciekać dalej na piechotę, licząc na to, że Indianin będzie

ścigał klacz bez jeźdźca?

Zimny deszczyk rosił jej twarz, spływające krople były niczym lodowate łzy, a serce

mocno biło w piersi ze strachu i podniecenia. Peleryna wirowała wokół niej, uderzając o boki

rozpędzonego wierzchowca. Spod ostrych podków tryskały grudy gliniastej ziemi. W

nozdrzach czuła zapach wilgoci, mokrego lasu, rozgrzanego biegiem konia i przesiąkniętej

wilgocią wełnianej peleryny. Spostrzegła rozwidlenie drogi. Nie miała czasu na podjęcie

decyzji. Nie oglądając się za siebie, skręciła w znaną odnogę, ufając, że arabska krew klaczy

zapewni jej przewagę.

Jednakże koń był zmęczony. Niedługo zacznie słabnąć.

Elise poklepała klacz po szyi, szepcząc czule i skłaniając do szybszego biegu.

Pomogło, lecz nie na długo. Tętent za nią stawał się coraz głośniejszy. Spojrzała za siebie.

Ścigał ją Ścieżka Niedźwiedzia. Pędził na swoim kucyku, jakby on i koń stanowili jedność.

Po chwili był już obok niej. Wychylił się z siodła i złapał ją w pasie. Jego ramię



zaciśnęło się wokół talii Elise niczym imadło. W jednej chwili wywłókł ją z siodła. Upadła na

ziemię. Na dłoniach i kolanach poczuła ukłucia drobnych gałązek i patyków.

Potrząsnęła

głową, by oprzytomnieć. Zaciśnęła zęby z bólu wywołanego upadkiem i próbowała odzyskać

oddech.

Ścieżka Niedźwiedzia powiedział coś ostro, rozkazująco. Oszołomiona podniosła

wzrok i zobaczyła, że zsiadł z konia.

Chyba każe mi wstać, pomyślała Elise. Podniosła się chwiejnie. Klacz stała nieopodal

z opuszczoną głową• Elise odruchowo skierowała się w jej stronę.

Wojownik złapał Elise za ramię i gwałtownie odwrócił.

Poczuła, . jak palce mężczyzny boleśnie wpijają się jej w ciało. Podniosła głowę i

spojrzała na niego lodowato, jednocześnie wyrywając nadgarstek z uchwytu jego dłoni.

Wojownik podszedł do drzewa, odłamał

witkę grubą jak jego kciuk, smagnął nią raz czy dwa

w powietrzu, a potem ruszył ku Elise.

Miał zamiar ją zbić. Kiedy zdała sobie z tego sprawę, krew odpłynęła jej z twarzy.

Czyżby sądził, że ma do czynienia z niewolnicą, którą może wychłostać? A może Indianie w

ten sposób karali swoje kobiety za nieposłuszeństwo? Teraz jednak nie stanowiło to różnicy.

Odsunęła się od niego jeszcze bardziej. Ależ byłam niemądra, pomyślała.

Powinna była

wiedzieć, że ucieczka nie przyjdzie jej łatwo, i staranniej rozważyć konsekwencje. Mimo to

nie zamierzała biernie poddać się cięgom. Rozejrzała się wokół w poszukiwaniu czegoś, co

mogłoby posłużyć jako broń.

Rzeczywiście, było tam coś takiego: gałąź amerykańskiej sosny żółtej, jedyna

pozostałość po spróchniałym pniu.

Uniosła ją i z furią w oczach przyjęła pozycję obronną.

Ścieżka Niedźwiedzia zatrzymał się,  
zdumiony, że zamierza mu się  
sprzeciwić, lecz gniew

wziął górę i wojownik odrzucił  
pelerynę, a potem ruszył na Elise, tnąc  
powietrze prętem,

który trzymał w dłoni.

Zamierzył się, w odpowiedzi Elise  
uniosła gałąź jak maczugę i odparowała  
cios - tak

mocny, że kawałki przegniłego drewna  
pofrunęły wysoko w powietrze. Kolejne  
uderzenie

było wymierzone w kolana. Elise zdała

sobie sprawę, że może jedynie parować ciosy. Jej

opór nie potrwa jednak długo, siła razów sprawiała, że omdlewały jej ramiona, a mięśnie

pleców szarpał ostry ból. Nim się podda, zada przynajmniej jeden cios, choć była pewna, że

jeśli uda jej się go dosięgnąć, w odwecie Ścieżka Niedźwiedzia może ją nawet zabić.

Wojownik uniósł witkę nad głowę, by zadać ostateczny cios i na krótką chwilę odsłonił się. Ponieważ ona do tej pory

nie atakowała, nie oczekiwał, aby  
zrobiła to teraz.

Tymczasem Elise odwróciła się bokiem  
i trzymając w obu dłoniach gałąź niczym  
dzidę,

pchnęła nią napastnika w brzuch. Trafiła  
dokładnie w splot słoneczny. Owładnęło  
nią uczucie

triumfu.

Indianin wypuścił gwałtownie powietrze  
i cofnął się, wpatrując się w Elise  
szklistym

wzrokiem. Spojrzał w dół na ranę, jaką  
pozostawiła gałąź w miejscu, gdzie

rozwidlony

czubek przeciął skórę. Krew napłynęła mu do twarzy, zmieniając jej barwę na

fioletowomiedzianą. Pochylił się i ruszył do ataku.

Zamarł, gdy usłyszał rozkaz wypowiedziany ostrym, władczym tonem. Pomiędzy nich

wjechał na swym czarnym berberyjczyku Reynaud i zsunął się z siodła. Spojrzenie jego

szarych oczu prześliznęło się badawczo po Elise, jakby chciał sprawdzić, czy nic się jej nie



stało. Nie było w nim jednak ani śladu ciepła. Bez słowa przeszedł pod łbem swego konia, by

stawić czoło Ścieżce.

Potyczka tak bardzo zaabsorbowała Elise i Indianina, że nie zauważyli Reynauda i

Natchezów z madame Doucet, przewieszoną przez siodło niczym worek mąki. Twarze Indian

miały kamienny wyraz, choć w ich spojrzeniach Elise dostrzegła zdumienie i rozbawienie,

gdy spoglądali to na gałąź w dłoni Elise,

to na zraniony brzuch Ścieżki  
Niedźwiedzia.

Z tego, o czym mówili Reynaud i  
wojownik, nie zrozumiała ani słowa.  
Gesty

Indianina, kiedy wskazywał na nią, były  
gwałtowne, wyrażały oskarżenie.  
Wysłuchał z

szacunkiem tego, co miał do  
powiedzenia Reynaud, a potem znów  
wskazał na nią. W jego

głosie dźwięczała groźba. Reynaud  
przesunął się w bok, zagradzając mu  
drogę, i powiedział

coś bardzo stanowczo. Ścieżka odrzucił  
witkę i pomachał Reynaudowi pięścią  
przed nosem.

Reynaud skrzyżował ramiona,  
przyjmując nieustępliwą postawę.  
Indianin przez dłuższą

chwilę wytrzymał jego spojrzenie, lecz  
wreszcie spuścił wzrok, odwrócił się,  
długimi susami

dopadł swego konia i wskoczył na jego  
grzbiet. Obejrzał się jeszcze raz, a  
potem dołączył do

grupy Indian. Powiedział coś do nich i  
wszyscy powoli zaczęli się oddalać.

Elise wypuściła gałąź, zamknęła oczy i cała drżąca odetchnęła z ulgą. Aż do tej chwili

nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo napięte były jej nerwy. Nagle poczuła się tak słaba, iż

sądziła, że upadnie, jeśli się poruszy. Usłyszała cichy szelest i otworzyła oczy. Tuż przed nią

stał Reynaud.

- Potrafisz głośno krzyczeć?

To nie było próżne pytanie, uświadomiła to sobie, gdy tylko zobaczyła wyraz jego

twarzy. Mimo to wydało jej się bez sensu.

- Co takiego?

- Musisz zostać ukarana. Postawiłem sprawę jasno: jesteś moją kobietą i tylko ja mam

prawo podnieść na ciebie rękę. Mimo że z wielką chęcią przerzuciłbym cię przez kolano, nie

wydaje mi się to konieczne, jeżeli na mój znak będziesz krzyczała dostatecznie głośno. Teraz.

Uderzył otwartą dłonią w skórzane pokrycie hiszpańskiego siodła. W ciszy

lasu

rozległ się dźwięk do złudzenia  
przypominający odgłos ciosu. Koń  
przesunął się nieco w bok,

lecz nadal zasłaniał ich przed wzrokiem  
wojowników.

Reynaud złapał Elise mocno za  
nadgarstek i przyciągnął do siebie.

- Rób, co ci każę - wycedził - bo inaczej  
będę musiał wziąć tę witkę, zadrzeć ci  
spódnice i ...

- Nie! - powiedziała ostro.

- Tak lepiej. - Puścił ją. - Teraz.

Przez chwilę odgrywali tę scenę. Elise odwróciła twarz i przytuliła policzek do

ciepłego, drżącego boku konia. Łzy dławily ją w gardle. Ostatnio stała się szczególnie

wrażliwa i nie potrafiła poradzić sobie z uczuciami, o których sądziła, że już dawno wygasły

w jej sercu. Pragnęła być samodzielna, jednak los sprzysiągł się przeciwko niej, przynosząc

ból i straty, zmęczenie i rozczarowanie. Nic nie przebiegało tak, jak tego

oczekiwała lub jak

zaplanowała, wypadki zdawały się świadczyć, jak dalece nie potrafi o siebie zadbać.

Uderzenia ustały. Nastąpił moment bolesnej ciszy, którą przerwał Reynaud.

- Teraz zrób coś, żeby wyglądało, że naprawdę cię ukarałem - powiedział.

Odwróciła szybko twarz, zaniepokojona drwiącym tonem jego głosu, choć drwina ta

wydawała się skierowana przeciwko nim obojgu. Łzy, tak długo powstrzymywane, trysnęły z



jej oczu i potoczyły się po policzkach.  
Rozgniewana własną słabością,  
odwróciła się od niego

i otarła powieki grzbietem dłoni.

- Dlaczego? - zapytała. - Dlaczego to  
robisz?

- Możesz to określić jako mój kaprys.  
Chyba nie czułbym się najlepiej,  
podnosząc

rękę na kobietę.

- Nie o to mi chodzi.

- Pytasz, dlaczego zmuszam cię, byś ze  
mną pojechała? Odpowiedź jest prosta.

Bo cię

pragnę.

Te słowa wprawiły Elise w stan dziwnego zmieszania.

- To ci nie wyjdzie na dobre.

- Zobaczymy.

- I chyba nie uważasz, że ta ... wielkoduszność, jaką mi właśnie okazałeś, cokolwiek

zmieni?

- Nie, nie uważam. A ty nie sądz, że jeżeli sytuacja się powtórzy, nie zdołam

przemóc

swojej niechęci do bicia kobiet.

Skrzywiła wargi, chociaż i tak nie mógł zobaczyć pogardliwego wyrazu jej twarzy.

- Nie wątpiłam w to ani przez chwilę.

- To dobrze. Widzę, że się  
zrozumieliśmy.

Naprawdę? Elise wcale nie była tego  
pewna. Zastanawiała się nad jego  
słowami, kiedy

posadził ją przed sobą na siodle,  
przywiązał klacz do siodła i ruszył.

Uraza i oburzenie

walczyły w jej duszy z wdzięcznością,  
uniemożliwiając logiczne myślenie.

Pragnęła nim

pogardzać, ale nie potrafiła. Powiedział,  
że jej pożąda, i to powinno ją  
rozzłościć, a słowa te

wywołały w niej dziwne drżenie. To  
dlatego, że jest zmęczona, wmawiała  
sobie - zmęczona

jazdą i kłótniami. To tylko chwilowe.  
Jutro będzie lepiej, musi być.

Reynaud trzymał w ramionach jej  
smukłe i giętkie ciało, przez żakiet i

spódnicę

wyczuwając miękkość bioder. Wiedział,  
kiedy się odprężyła, bo wsparła się na  
nim mocniej,

a wtedy obręcz ściskająca mu pierś  
rozluźniła się. Musiał użyć całej siły  
woli, aby nie skrećić

w las i nie wziąć jej od razu, leżącej  
znów nago na warstwie uschłych liści,  
ze słonym

smakiem łez na wargach. Powstrzymała  
go nie tyle duma, jaką w niej wyczuwał,  
ile widok jej

posiniaczonych dłoni. Ciosy Ścieżki

Niedźwiedzia były naprawdę mocne. W duchu musiał

przyznać, że Elise nie brak odwagi. Ale był jeszcze inny powód, że powstrzymał się, by

posiąść ją gwałtem.

Choć tak bardzo tęsknił do słodkiej ulgi, jaką dawało mu jej ciało, równie mocno

pragnął poznać jej umysł, zgłębić go i przekonać się, że ona także go pożąda. Pragnął dzielić

z nią myśli, marzenia i tajemnice.

Chciał, aby przyszła do niego wiedziona pożądaniem i

odkryła, jak bardzo na to czekał - z otwartym sercem i umysłem. Teraz nie było to jeszcze

możliwe. Skupił się zatem na rozważaniach, co zrobi wielkiemu Indianinowi za to, że tak

brutalnie się z nią obszedł. Natchezowie nie walczyli jednak ze sobą i nawet najgorętsza

kłótnia nie prowadziła do wymiany ciosów.

Kiedy zapadła ciemność, zatrzymali się na nocleg.

Elise spała z madame Doucet na jednym

poślaniu z futer, zimnym i wilgotnym,  
gdy

zabrakło Reynauda, który rozgrzewał je  
ciepłem swego ciała. Co chwila się  
budziła, bo

starsza pani kręciła się i jęczała przez  
sen. Wieczorem drobny deszczyk  
przestał wreszcie

padać, lecz w powietrzu wisiała wilgoć.  
W miarę upływu godzin noc stawała się  
coraz

chłodniejsza. Leżeli ułożeni w krąg, ze  
stopami zwróconymi ku pozostałościom  
niewielkiego



ogniska. Gdyby wyciągnęła rękę,  
mogłaby dotknąć posłania Reynauda, ale  
jego i tak tam nie

było. Podczas najciemniejszych godzin  
nocy pełnił bowiem wartę i dopiero  
przed świtem

wsunął się między futra. Elise zasnęła  
wtedy naprawdę twardym snem.

Mijały kolejne szare i zimne dni.  
Pewnego razu padało przez całą noc, a  
kiedy rano

wyczołgali się z prowizorycznego  
schronienia, zobaczyli, że każda gałązka,  
każdy liść i

źdźbło trawy pokryte są cienką warstwą  
połyskującego szronu. Lód trzeszczał  
pod kopytami

koni, gdy przekraczali strumienie, a  
kiedy wzeszło słońce, błyszczał  
oślepiająco, rażąc oczy.

Elise, odrętwiała na duszy i ciele z  
powodu zimna, które wdzierało się pod  
pelerynę i

odbierało ciepło jej palcom, porzuciła  
myśl o ucieczce. Podróż stała się czymś,  
co po prostu

trzeba przetrzymać: niekończącymi się  
szeregami drzew, niezliczonymi krętymi  
strumykami,

które moczyły jej spódnice i pozbawiały  
troskliwie gromadzonego ciepła;  
kiepskimi

posiłkami z prażonej kukurydzy i  
suszonego mięsa; ciągłym uczuciem, że  
jest obserwowana

przez wojowników, którzy wlekli się za  
nią. Czasami zauważała znajome  
krajobrazy: słone

rozlewisko, w którym pływała z  
Reynaudem przy blasku księżyca; rzekę,  
gdzie na brzegu

zbudowali tratwę, a teraz przebyli ją na  
koniach; polankę, na której Reynaud stał  
nago w

deszczu tamtej pierwszej nocy. Widok  
znajomych miejsc wywołał jedynie  
słaby uśmiech na

jej ustach. Była otępiała ze zmęczenia i  
zmagania się ze sprzecznymi uczuciami,  
które targały

jej duszą i sercem.

Późnym popołudniem dotarli do  
Missisipi. Na brzegu czekały pirogi -  
wielkie

indiańskie czółna, zdolne pomieścić  
szesnastu mężczyzn - a także wojownicy,  
którzy mieli

pomóc im przeprowić się przez

spokojne, połyskujące wody. Przeprowa  
nie zajęła wiele

czasu, gdyż sprzyjał im zimny północno -  
zachodni wiatr, wiejący wprost w plecy.  
Nim

jednak wszyscy znaleźli się na  
wschodnim brzegu, łącznie z końmi,  
które płynęły za

pirogami, zapadł zmierzch.

Delikatne lawendowe światło  
zmiękczało krawędzie poczerniałych  
belek pozostałych

po zabudowaniach fortu Rosalie i  
sprawiało, że zrujnowane, przysadziste

stodoły oraz ocalałe

budynki gospodarskie na wzgórzach,  
wskazujące, gdzie niegdyś znajdowały  
się domostwa,

wydawały się mniej opuszczone.

Skrywały potrzaskane kości, ludzkie i  
zwierzęce,

oczyszczone dokładnie przez sępy,  
robactwo, kruki i kosy. Połamane i  
poszczerbione

naczynia kuchenne, dziurawe beczki,  
połamane obręcze i porwane, wypchane  
plewami lalki,

a także strzępy ubrań zaścielały drogę

jak zwykle śmieci, a nie zniszczone  
mienie tych, co

zginęli albo popadli w niewolę.

Madame Doucet załkała cicho, gdy  
mijali ruiny jej domu. Potem zbliżyli się  
do

posiadłości Elise. Miała ochotę  
odwrócić głowę, ale zmusiła się, by  
patrzeć, i to patrzeć

uważnie. Jak bardzo opustoszałe wydało  
się teraz to miejsce. Z domu i stajni  
pozostała

jedynie kupka popiołu i węgla. Zagroda  
dla drobiu stała pusta, a pastwiska były

wyschnięte i

szare. Zateśniła za uczuciem dumy, jaką odczuwała niegdyś, patrząc na swoje doskonale

prosperujące gospodarstwo i snując plany na przyszłość. Była tak pewna siebie, tak

przekonana, że jeśli tylko zachowa ostrożność i będzie ciężko pracować, nieszczęście jej nie

spotka.

Gdy w końcu zobaczyli światła, było już całkiem ciemno. Wieczny ogień, płonący w



Świątyni Słońca na najwyższym  
wzniesieniu w Głównej Wiosce, żarzył  
się pomarańczowo,

wabił obietnicą ciepła, jedzenia i  
odpoczynku. Kolumna przyśpieszyła.  
Wojownicy

wyprostowali się w siodłach. W  
chłodnym powietrzu unosił się zapach  
palącego się drewna i

gotowanego nad ogniskiem jedzenia.  
Byli oczekiwani, ponieważ wyprawili  
do wioski

posłańca, aby uprzedził o ich zbliżaniu  
się.

Po kilku minutach spostrzegli blask paleniska Wielkiego Słońca na szczycie drugiego

co do wysokości wzniesienia. Nieco niżej płonęły ogniska innych członków kasty. Blask

ognia przenikał przez ściany chat i szeroko otwarte drzwi. Pośrodku placu obrzędowego

płonęło wielkie ognisko. Było naprawdę olbrzymie - paliły się całe pnie, posyłając w niebo

snopy iskier. Psy zaczęły szczekać i z każdej pokrytej strzechą chaty, z każdej szopy zaczęli

wyłaniać się Indianie, pokrzykując do siebie, najwidoczniej uradowani z powodu

szczęśliwego powrotu Reynauda, znanego jako Jastrząb Nocy, oraz reszty wojowników.

Kolumna wjechała w światło wielkiego ogniska i zatrzymała się. Elise znalazła się w ciasnym

kręgu Natchezów.

Czyjeś ręce zaczęły szarpać jej spódnice, ciągnąć za nie i szczypać ciało. Indianie

przyglądali się jej oceniająco. Cisnęli

się wokół niej z szyderczymi  
uśmiechami na twarzach,

ciekawscy, przepelnieni pogardą i  
nieufni. Reynauda zaś witali niczym syna  
marnotrawnego.

Powoli oddalał się od niej. Protestująca  
madame Doucet została ściągnięta z  
siodła i pchnięta

pośród tłumu. Pochwyciły ją chciwe  
ręce. Starsza dama odpychała je dumnie  
wyprostowana.

Czy Elise tylko to sobie wyobraziła, czy  
też Reynaud rzeczywiście wykrzyczał  
jakiś

rozkaz? Nie mogła być pewna w tej  
kafonii krzyków, bębnow, grzechotu  
dyń i

przenikliwego dźwięku trzciniowych  
fletów. Kobiety skupiły się wokół niej i  
chichocząc

zaczęły ciągnąć w kierunku szałasu,  
stojącego za drugim co do wielkości  
wzniesieniem. Elise

potykała się na nierównym gruncie i  
uchylała przed nisko zwisającymi  
gałęziami. A kiedy o

mało nie upadła, poczuła przypływ  
gniewu. Nagłym ruchem oswobodziła  
się, odpychając

więżące ją dłonie. Olbrzymia Indianka, która dotąd ciągnęła Elise za ramię, wymierzyła jej

mocny cios, a potem złapała ją za włosy i wepchnęła do chaty przez małe drzwi, wysokie

najwyżej na półtora metra. Wnętrze było dosyć obszerne, liczyło około dziesięciu metrów

kwadratowych. Na środku płonął ogień. W pobliżu ogniska zgromadzono naczynia kuchenne,

w suficie zaś znajdował się mały otwór, na wpół przesłonięty plecioną trzciniową matą, przez

który wydostawał się dym.

Chata była bez okien, oświetlana blaskiem ognia oraz lampek zrobionych z glinianych

naczyń, wypełnionych niedźwiedzim sadłem, do którego dla zapachu dodano zioła,

umocowanych do zwieszającej się z sufitu plecionej siatki. Podłogę pokrywały maty. Wzdłuż

ścian stały szerokie ławy przykryte skórami. Służyły zarówno do spania, jak i do siedzenia. W

chacie nie było nikogo. Gdy tylko

znalazła się w środku, kobiety  
natychmiast zaczęły ją

rozbierać.

Walczyła z nimi, lecz miały nad nią  
przewagę liczebną• Wkrótce była  
zupełnie naga.

Stała ozłocona blaskiem ognia, z  
pasmami miodowobrazowych włosów  
opadającymi niczym

woal na białą skórę, a one gapiły się na  
nią. Jedna z kobiet uszczypnęła  
brodawkę Elise, a

potem przeciągnęła dłonią wzdłuż jej  
biodra, najwidoczniej czyniąc jakąś



niepochlebna

uwagę na temat jego smukłości.

Pozostałe roześmiały się,  
poszturchiwaniem zmusiły ją, aby

się położyła na ławie, okryły futrami, a  
potem powiedziały coś, co z pewnością  
miało być

napomnieniem, by pozostała tam, gdzie  
jest, i wyszły, zamykając za sobą drzwi.

W środku było ciepło, a nawet duszno.  
Leżała spokojnie, czując, jak jej  
zmarznięte

ciało rozgrzewa się. Spojrzała w górę  
na poczerniały sufit, osłonięty

trzciniowymi matami; na

zwieszające się z belek pęki suszonych  
ziół, pachnących w rozgrzanym  
powietrzu, na

kolekcję broni, skór zwierzęcych,  
niedźwiedzich i panterzych pazurów, a  
także skórzanych

pasów. Nie wiedziała, co będzie dalej,  
ale nie miała siły teraz się nad tym  
zastanawiać.

Światełko prymitywnych lamp  
przygasało, rzucając na ściany  
dziwaczne cienie. Pośłanie ze

skór było ciepłe i miękkie. Przymknęła

piekące powieki.

## **ROZDZIAŁ XI**

Do chaty weszła Indianka i zaczęła się krzątać. Roznieciła ogień, nastawiła sagan z

kleikiem kukurydzianym, przyniosła naręcze cedrowych bierwion i złożyła pod ławami, by

ich zapach odstraszał muchy.

Reynaud leżał na boku, z głową wspartą na łokciu, przykryty do pasa futrami.

Uśmiechając się lekko, obserwował Elise. Odwrócona przodem do niego, tak

starannie otuliła

się futrami, że spod przykrycia  
wystawała tylko głowa i ręka. Oczy  
miała zamknięte, a

oddech miarowy i głęboki. Spała.

Pod oczami widniały sine cienie,  
policzki miała osmagane wiatrem, a  
wargi suche i

spękane po dniach spędzonych na szlaku,  
ale i tak uważał, że jest śliczna. Kiedy  
nad ranem

położył się obok niej, odwróciła się we  
śnie, odruchowo dopasowując pozycję  
do kształtu

jego ciała. Uznał tę nieświadomą akceptację za dziwnie przyjemną i obiecującą.

Dłoń Elise, leżąca bezwładnie grzbietem do dołu, była równie śliska jak cienie pod

oczami. Jeszcze raz przeklął w duszy tego, który ją skrzywdził. Zdawał sobie jednak sprawę,

że częściowo była to jego wina. Tak bardzo starał się zastraszyć ją i zmusić, by dostosowała

się do jego planu, że nie pomyślał, jaki to będzie miało wpływ na zachowanie współbraci.

Wzięli ją za niewolnicę, jego chwilową kochankę, nic zatem dziwnego, że Ścieżka

Niedźwiedzia postąpił tak, jak uważał za słuszne.

Na dodatek Reynaud nie mógł zaprzeczyć, że zmuszanie jej do posłuszeństwa nie

sprawiało mu przyjemności.

Tak było, nim Elise nie zaryzykowała ucieczki. Chciała uciec od niego. Lecz gdy

spozrzegł, jak dzielnie broni się przed razami jego kuzyna, i zauważył

przerażenie w jej

oczach, kiedy wspomniał o karze, poczuł wyrzuty sumienia i zaczął przeklinać samego siebie.

Jak mógł - wiedząc, jakiemu brutalowi została poślubiona - narazić ją znów na to samo?

Teraz nie mógł znieść nawet myśli o tym. Z oczami pociemniałymi z bólu i poczucia

winy pochylił się i przycisnął wargi do posiniaczonej dłoni.

Rzęsy Elise drgnęły, a potem uniosły się. Przez chwilę wpatrywała się w

Reynauda,

świadoma mrowienia w dłoni i uczucia  
żalu, którego przyczyny nie знаła.

Gwałtownie

odsunęła się od niego i przywarła do  
ściany szałas.



- Zadowolony? - spytała przez zaciśnięte zęby. Zamrugał, uderzony trafnością jej

domysłów, lecz odpowiedział swobodnie:

- Z jakiego powodu?

- No cóż, powiedziałaś kiedyś, że pomysł uczynienia mnie swoją niewolnicą wydaje ci

się kuszący. Powinieneś być szczęśliwy, że udało ci się go zrealizować!

- Jestem - powiedział nieśpiesznie - chociaż wolałbym nie patrzeć na to w ten sposób.

Uciekła spojrzeniem od światła  
płonącego w szarych oczach mężczyzny.  
Jej rysy

stężały.

- A jak inaczej można na to patrzeć? Nie  
zostałam tutaj przyprowadzona przez  
twoje

kobiety, rozebrana do naga i wpakowana  
do twego łóżka dlatego, że jestem  
honorowym

gościem.

- To nie były moje kobiety - stwierdził  
sucho.

- Słuchały twoich rozkazów.

- Poprosiłem je, aby się tobą zajęły.

Niestety, kobiety Natchezów mają własne

pomysły.

- Więc nie spodziewałeś się mnie tu zastać? - spytała, czerwieniąc się.

- To była rozkoszna niespodzianka.

Wtem dobiegł ich chichot, jakby przejaw zbyt długo tłumionej wesołości.

Elise

uniosła się na łokciu, by zerknąć ponad szerokim ramieniem Reynauda. Tuż

obok ognia, nie

dalej niż trzy metry od nich, klęczała  
Indianka. W jej czarnych oczach  
błyszcząco

rozbawienie. Elise zmarszczyła brwi,  
lecz gniew natychmiast ulotnił się, gdy  
ją rozpoznała.

- Przepióreczka! Czy to naprawdę ty?

Przepióreczka była młodą Indianką,  
kupioną niegdyś przez jej męża, z którą  
zaprzyjaźniła się, kiedy obie cierpiały,  
stanowiąc własność Vincenta Laffonta.  
Kobiety

Natchezów rzadko oddalały się od wiosek, dlatego Elise widziała Przepióreczkę tylko dwa

razy od czasu, kiedy po śmierci Vincenta uwolniła ją i odesłała do swoich.

- Przepraszam, madame Laffont, naprawdę. Próbowałam być cicho, ale to takie

zabawne, że nie chcesz dzielić łoża z Jastrzębiem Nocy. Większość dziewcząt oddałaby się w

niewolę, aby go zadowolić. Ze też ten wielki wojownik pozwolił ci spać spokojnie, gdy

znalazł cię w swoim łóżu!

Reynaud odwrócił się i uśmiechnął leniwie do młodej Indianki.

- Masz spaczone poczucie humoru.

- Czy obraziłam cię, wielki? - spytała zaniepokojona i powtórzyła pytanie w języku

Natchezów.

- Wybaczę ci, jeśli przygotujesz mi dobre śniadanie odparł, przeciągając się.

Kobieta spojrzała na Elise i powiedziała figlarnie:

- Och, ale czy to możliwe, że nie chce pani dać przyjemności tak wspaniałomyślnemu

mężczyźnie?

- Jak najbardziej możliwe! - odparzyła Elise. - Jest zarozumiały, apodyktyczny i zbyt

pewny siebie.

- Więc musi pani go zmienić. - Przepióreczka pokiwała z przekonaniem głową.

- Obawiam się, że to zadanie mnie przerasta. Opowiedz mi lepiej o sobie. Czy

wszystko u ciebie w porządku?

- U mnie tak. Kiedy ostatni raz mnie pani widziała, byłam żoną. Teraz jestem wdową.

Elise z drzeniem przypomniała sobie rozmowę z mężem Przepióreczki w dniu masakry i swoje późniejsze przekonanie, że to on właśnie miał ją zabić albo przynajmniej

wziąć do niewoli.

- Wdową? Jak to się stało?

- Napotkał śmierć w bitwie, tak jak tego pragnął. Zginął, walcząc u boku



wielkiego

wodza wojennego, którego Jastrząb  
Nocy ma teraz zastąpić.

Elise usiadła i podciągnęła wyżej futro,  
tak aby zakryło jej piersi.

- Współczuję ci.

- To już skończone - powiedziała  
Przepióreczka łagodnie.

Twarz dziewczyny, o nieco kanciastych,  
egzotycznych rysach, wyrażała pełen  
rezerwy

stoicki spokój.

- Kiedy przyjechaliśmy - Elise zmieniła temat - nie zauważyłam francuskich kobiet ani

dzieci. Może ty wiesz, co się z nimi dzieje i jak są traktowane?

Przepióreczka odwróciła wzrok, jakby chciała sprawdzić, czy kleik w saganie nie

wymaga zamieszania.

- Mają się całkiem nieźle, zwłaszcza te, które chcą pracować. Zdecydowanie gorzej

powodzi się tym, które przywykły do bezczynności. Dla indiańskich kobiet

pracowitość' to

największa cnota. Nie ma  
usprawiedliwienia dla obiboków.

Elise bez trudu mogła sobie wyobrazić,  
jak ciężkie musiało się wydać życie w  
wiosce

paru 'jej znajomym. Wielu Francuzom, w  
tym także kobietom, pozwolono wierzyć,  
że tu, w

Luizjanie, bogactwo jest W zasięgu ręki,  
wystarczy tylko je gromadzić, a i to nie  
wymaga

zbyt wiele wysiłku. Oczekiwały zatem,  
że znajdą się w miejscu, gdzie nie trzeba

będzie robić

niczego poza wydawaniem pieniędzy,  
które same wpadną im do rąk. A kiedy te  
oczekiwania

się nie sprawdziły, wiele spośród nich  
popadło w marazm i próżniactwo.  
Największy wysiłek,

na jaki się zdobywały, sprowadzał się  
do poganiania nielicznych niewolników,  
którzy

wykonywali prace konieczne, aby  
wygodnie żyć. Lenistwo w połączeniu z  
brakiem siły

fizycznej, zarozumiałością i uporem z

pewnością naraziło je na liczne  
nieprzyjemności ze

strony indiańskich kobiet.

- Krążą pogłoski o chłopcu, który został  
zabity podczas rytualnego pogrzebu  
dziecka z

kasty Słońca - ośmieliła się zapytać  
Elise.

- Tak, jeden został w ten sposób  
uhonorowany.

- Czy nie był to przypadkiem wnuk  
mojej sąsiadki, madame Doucet? Może  
ją

pamiętasz.

- Nie wiem - odparła Przepióreczka pośpiesznie. Nie słyszałam nazwiska.

Elise zapytała, co stało się z czarnymi niewolnikami Francuzów, i dowiedziała się, że

w większości zostali sprzedani - w tym Murzyni należący do niej - po ataku niewolników z

Nowego Orleanu na wioskę Chouchasów, inspirowanym przez Periera. Niektórzy trafili do

posiadłości hiszpańskich, niektórzy za pośrednictwem Czikasawów i Krików

do angielskiej

Karoliny, a jeszcze inni wpadli w ręce Tensasów, którzy z pewnością sprzedadzą ich w N

owym Orleanie. Potem rozmowa zeszła na inne tematy. Gawędziły o pogodzie, obie cieszyły

się na myśl, że zrobi się cieplej, gdy słońce wzejdzie wyżej. Elise wyraziła zadowolenie ze

spotkania z Przepióreczką.

- Przyszłam nie tylko dlatego, że chciałam panią powitać - wyjaśniła, uśmiechając się

nieśmiało. - Jastrząb Nocy nie ma  
kobiety, która by mu gotowała, a  
wiedziałam, że będzie

pani bardzo zmęczona po podróży.  
Później, jeśli pani zechce, pokażę, jak  
przygotowywać

jedzenie na sposób indiański, ścielić  
futrzone posłania i robić inne niezbędne  
rzeczy.

Słowa Indianki zabrzmiały złowieszczo,  
jakby Przepióreczka spodziewała się, że  
Elise

zostanie wśród nich na długo.

- To ... to bardzo miło z twojej strony.



- Chciałabym odpłacić w ten sposób za uprzejmość, jaką okazała mi pani u siebie w domu.

- A zatem, jeszcze raz dziękuję - odparła Elise, nie patrząc na Reynauda, który przysłuchiwał się rozmowie.

Kleik, doprawiony niedźwiedzim sadłem i miodem, okazał się wspaniały, a może to

Elise była głodna. Przepióreczka podała im go do łóżka. Elise opróżniła miseczkę i zaczęła

rozglądać się za ubraniem. Kostium do konnej jazdy zniknął. Na jego miejscu leżały złożone

w kostkę dwa kawałki materiału. Po rozłożeniu okazało się, że są to kwadraty miękkiego,

pięknie utkanego multonu, ufarbowane na kolor rdzy. Większy kwadrat, związany na prawym

biodrze, służył jako spódniczka, a mniejszy, umocowany na ramieniu, zakrywał piersi i

brzuch. Stroju dopełniała peleryna z wyprawionej bielonej skóry, obszyta czerwonymi i

czarnymi koralikami, oraz para  
mokasynów z ozdobionymi paciorkami  
noskami i wiązaniami

na kostce.

- Gdzie moje rzeczy? - spytała Elise  
ostro.

- Już ich nie ma - odparła Przepióreczka  
beztrosko.

- Nie ma?

- Zostały spalone.

- Co takiego?

- Nie chciałyby pani chyba nosić

brudnych rzeczy?

Twarz Indianki wyrażała zdziwienie i jakby kpinę. Leżący obok Elise mężczyzna

zdawał się podzielać te uczucia.

Przypomniała sobie, jak swego czasu próbował nakłonić ją

do noszenia indiańskich ubrań, i odwróciła się do niego wściekła:

- Ty to zrobiłeś!

- Mógłbym to zrobić, gdybym w ogóle o tym pomyślał, ale nie miałem z tym nic

wspólnego.

- Nie mogę założyć czegoś takiego! -  
Elise machnęła gwałtownie ręką.

- To łatwe. Nauczysz się. Przepióreczka  
pokaże ci chyba że wolisz zostać tu ze  
mną.

Zerknęła na niego z oburzeniem, a potem  
sięgnęła niezdecydowanie po miękki  
multon.

Gdyby nie przekonanie, że  
Przepióreczka znowu dostanie ataku  
śmiechu, a Reynaud

rzuci parę złośliwych komentarzy,  
poprosiłaby go, by wyszedł, gdy będzie  
zmagąca się z tym

dziwacznym odzieniem, albo przynajmniej odwrócił głowę. No cóż, spróbuje go zignorować -

umiejętność, którą indiańskie kobiety opanowały tak doskonale. Nie było to łatwe,

zważywszy na to, że leżał z rękami założonymi za głowę i patrzył na nią, zupełnie, jakby miał

do tego prawo. Na pewno bawi go jej zażenowanie, pomyślała, i zrobi wszystko, by to

zażenowanie zwiększyć. Przyglądał się więc bacznie jej zwieńczonym koralowo różowymi

sutkami piersiom, kiedy obracała się,  
próbując zawiązać dziwaczną spódnicę,  
z miną

zadowolonego posiadacza błyskał  
oczami, gdy udało mu się dojrzeć  
fragment smukłego

białego uda.

Zza drzwi, które nie były niczym innym,  
jak tylko zwykłą drewnianą płytą,

odchylającą się w przód i w tył, by  
umożliwić wejście, dobiegło ich  
spokojne pozdrowienie.

Reynaud niechętnie oderwał wzrok od  
Elise, która na dźwięk obcego głosu

natychmiast

okryła się peleryną• Wyprostował się nieco na łożu, tak iż futra zsunęły mu się do kolan, ale

nie widać było, żeby zamierzał się ubrać, nim zaprosi nieznanego gościa. Drzwi odchyliły się

nieco i do środka wszedł młody mężczyzna.

- Magani - powiedział, wykonując prawą dłonią szybki gest - znak, że chce porozmawiać.

- St. Cosme! - Reynaud wyprostował się



i wyciągnął dłoń. - Tachete - cabanacte.

Dwaj mężczyźni przycisnęli do siebie nawzajem swoje nadgarstki, a potem Reynaud

zwrócił się do Elise:

- Przedstawiam ci mojego przyrodniego brata, St. Cosme - nazwanego tak na cześć

francuskiego księdza, który go ochrzcił. St. Cosme, ta dama to madame Elise Laffont.

Choć młodszy od Reynauda i Wielkiego Słońca, był równie przystojny jak oni i

odznaczał się tym samym poważnym, uprzejmym sposobem bycia. Z uśmiechem pochylił

głowę, a potem zwrócił się do brata:

- Przyszedłem w ważnej sprawie.

- Więc mów - odparł Reynaud, zapraszając go, by usiadł.

St. Cosme spoczął na ławie obok Reynauda. Przepióreczka podała mu gorący ziołowy

napar. Gość przyjął poczęstunek, aby jej nie obrazić. Zgodnie ze zwyczajem on jako gość

przemówił pierwszy i wygłosił coś, co wydawało się starannie wyćwiczonym przemówieniem.

Elise zrozumiała niewiele, domyśliła się jednak, że chodzi o radę. Przepióreczka stała

w milczeniu, z szeroko otwartymi oczami. Reynaud słuchał uważnie, a potem kiwnął głową

na znak przyzwolenia. Brat podniósł się i szybko wyszedł. Reynaud wstał, zupełnie nie

przejmując się swoją nagością, i zaczął się ubierać.

- O co tu chodzi? - spytała Elise.

- O nic, czym musiałybyś zaprzętać sobie głowę - odparł.

Wątpiła, czy powiedział jej prawdę, ale ponieważ przypuszczała, że sprawa dotyczy

jego nowych obowiązków jako wodza, nie wypytywała dłużej. Poza tym nie chciała wdawać

się w sprzeczkę w obecności Przepióreczki.

Kiedy był już ubrany, odwrócił się i chwycił ją za ramiona. Zanim zdołała się wyrwać,

poczuła na czole jego ciepłe wargi.  
Puścił ją, skinął głową i wyszedł z  
szałas.

Elise spojrzała zdumiona na  
Przepióreczkę. Ona jednak zajęta była  
podsycaniem ognia

i chyba nie słuchała, o czym rozmawiają  
Reynaud i St. Cosme. Elise podeszła do  
niej,

próbując pozbyć się niemiłego  
wrażenia, że coś tu jest nie tak.

Przepióreczka od razu zaczęła udzielać  
jej instrukcji.

Obowiązki nie były trudne. Francuzi

przejęli tak wiele z indiańskiej kuchni,  
że

przyrządzanie jedzenia niewiele się  
różniło. Inne były tylko naczynia i  
przybory kuchenne.

Indianie używali wielu rodzajów  
pojemników. Były pomiędzy nimi ciasno  
plecione koszyki

różnych kształtów i rozmiarów, w  
których trzymano wszystko: od  
orzechów i jagód po ryby;

wielkie misy mieszczące trzydzieści  
pięć kilogramów zboża i butle o  
pojemności ponad

czterech litrów; miseczki, w których podawano posiłki, oraz małe buteleczki do karmienia

niemowląt. Większość naczyń była sporządzona ze złotobrazowej glinki, ozdobionej wzorem

równoległych wijących się linii, które wyglądały jak fale, inne pomalowano

czzerwono-pomarańczową ochrą. Sagany do gotowania jedzenia były w większości gliniane.

Nie stawiano ich bezpośrednio nad paleniskiem, ale wkładano do nich rozgrzane do

czerwoności kamienie. W szałasie Reynauda sagany były żeliwne, podobnie jak u większości

bardziej zamożnych członków plemienia. Kupowano je od handlarzy takich jak Pierre.

Niektórzy sąsiedzi Elise niechętnie żywili się dziczyzną, woleli soloną wieprzowinę,

przywożoną w beczkach z Francji. Zadowalali się dietą złożoną z białej mąki i suszonej

fasoli, zupełnie pomijając kukurydzę, dynie i słodkie ziemniaki, powszechnie używane przez



Indian. Elise uważała takie postępowanie za niemądre, zwłaszcza kiedy jesienne sztormy

opóźniały przybycie statków z zaopatrzeniem i nieszczęśni tradycjoniści zaczęli cierpieć

głód. A teraz bardziej niż kiedykolwiek cieszyła się, że zdążyła poznać indiańską kuchnię,

ponieważ wszystko wskazywało na to, że będzie musiała gotować dla Reynauda.

Przez chwilę zastanawiała się, czyby nie odmówić, choćby po to, żeby przekonać się,

jaki właściwie jest jej status. Doszła jednak do wniosku, że nie warto. Nie chciała ryzykować,

że utraci przyjaźń Przepióreczki, ani marnować energii, sprzeciwiając się Reynaudowi w tak

mało ważnej sprawie. Poza tym sama musiała jeść, a jeśli odmówi przyrzędzenia mu

posiłków, będzie musiała zebrać, co z pewnością nie wpłynie najlepiej na jej poczucie

godności.

Oczywiście, mogła nie zgodzić się

dzielić z nim szłaś i zażądać, aby  
traktowano ją

jak pozostałe francuskie kobiety.  
Wymuszona bliskość Reynauda  
wydawała jej się wprawdzie

czymś okropnym, ale zamieszkanie u  
indiańskiej rodziny było o wiele gorsze  
- a mogłoby do

tego dojść, gdyby utraciła jego opiekę.  
Nie, z dwojga złego wolała zacisze  
szłaśu, nawet jeśli

miałoby to oznaczać, że będzie musiała  
usługiwać Reynaudowi.

Obserwowała, jak Przepióreczka

sporządza placki, nadaje im odpowiedni kształt i

układa do upieczenia na odwróconym do góry dnem garnku, posmarowanym gorącym

niedźwiedzim sadłem, i rozmyślała o ucieczce. Jednak im dłużej się nad tym zastanawiała,

tym szanse powodzenia wydawały jej się bardziej znikome. W Głównej Wiosce otaczali ją

czujni Natchezowie, a gdyby nawet udało jej się zbiec niezauważenie, od fortu Saint Jean

Baptiste dzieliło ją ponad sześćdziesiąt kilometrów, a od Nowego Orleanu blisko sto

pięćdziesiąt zdradliwych mokradeł pośród ciemnej puszczy z czyhającymi na nią Indianami i

dzikimi zwierzętami. Mam nadzieję, że nie straciłam ducha, pomyślała. Jednak trudności

związane z odległością i niebezpieczeństwami na drodze wydawały się nie do

przewyciężenia.

Lepiej być niewolnicą Reynauda niż

trupem, uznała z wisielczym humorem.  
Jednak

problem, jak ustrzec się dzielenia z nim  
łóża, skoro miała dzielić szafas i  
ognisko, nie miał w

sobie nic zabawnego. Z pewnością musi  
być na to jakiś sposób i ona go znajdzie.

Mijały godziny, a w wiosce nadal  
panował dziwny spokój. Przepióreczka  
wyraziła

przypuszczenie, że przyczyną mogło być  
pojawienie się kupca albo wizyta  
Anglików z

Karoliny, skupujących niewolników i

francuskie skalpy. W najgorszym razie  
niezwykły

spokój mógł oznaczać reakcję na świeże  
wieści o nowych ofiarach w walce z  
Francuzami.

Wreszcie młoda Indianka wyszła z  
szałasów zasięgnąć języka. Wyglądało na  
to, że część

wojowników ruszyła na polowanie,  
część zaś wysłano na zwiady, by  
zorientować się w

zamiarach Czoktawów, Tunicasów i  
Natchi tochezów.

Minęła godzina, a Przepióreczka nie

wracała. Elise zaczęła się martwić,  
każde bowiem

nieszczęście, jakie dotknęłoby  
Natchezów, odbiłoby się także na losie  
ich francuskich jeńców,

nie wyłączając jej samej. Nieobecnością  
Reynauda nie przejmowała się zbytnio -  
nieraz już

znikał na całe godziny, nie podając  
żadnego wyjaśnienia.

Miała ochotę wyjść z szałasów i  
przekonać się, co zaszło, nie była jednak  
pewna, jak

przyjmą ją ludzie z wioski. Ponadto w



skąpym stroju czuła się tak, jakby była w  
nocnej

bieliźnie. Indiański ubiór był nie tylko  
przewiewny, ale podczas ruchu  
niespodziewanie

eksponował te partie ciała, których Elise  
wcale nie zamierzała pokazywać. I choć  
nie była

purytanką, myśl, że zwykle zakryte  
fragmenty jej figury w każdej chwili  
mogą być

wystawione na widok publiczny,  
powstrzymywała ją od działania.

Mimo to była już niemal gotowa

przezwyciężyć opory, kiedy nagle, nie  
pytając o

pozwolenie, do szalasu wpadła młoda  
Francuzka. Na twarzy przybyłej  
malowało się

przerażenie. Wyprostowała się i  
powiedziała bez tchu:

- Moja pani nadchodzi.

Elise odsunęła zasłonę i zobaczyła  
wysoką, majestatyczną i na swój sposób  
przystojną

Indiankę, ubraną w pelerynę z  
czerwonego koca. Skrzyżowane na  
piersi ramiona zdobiły

srebrne bransolety.

Przez krótką chwilę gorączkowo szukała właściwych słów na powitanie gościa, aż

wreszcie przypomniała sobie odpowiednią formułkę. Nie doczekawszy się odpowiedzi, zaproponowała poczęstunek.

- Dziękuję, nie - powiedziała Indianka stanowczo. Chciałam tylko zobaczyć kobietę,

dla której mój syn musi stawić czoło śmierci.

Elise wpatrywała się w Indiankę, czując, jak krew odpływa jej z twarzy. Mogło być

tylko jedno wyjaśnienie.

- Masz na myśli Reynauda, pani?

- A czy jest ktoś inny, kto musi ryzykować tak wiele?

- Ja nie ... - zaczęła Elise i umilkła. - Ty jesteś Tatuowane Ramię, pani?

- Tak.

Oto kobieta, która ujawniła Francuzom spisek Indian.

Kobieta, która kochała Francuza, była matką Wielkiego Słońca i Reynauda.

- Nie wiem, o czym mówisz, pani. Nie zrobiłam niczego, co mogłoby wpędzić twego

syna w kłopoty, pani. - Wystarczy, że żyjesz.

Elise zabrakło słów.

- Tak, ale ... - zdołała, jękając się powiedzieć i już wydawało jej się, że odzyskała

kontenans, lecz Tatuowane Ramię jej przerwała:

- Jutro o wschodzie słońca zostanie z twego powodu poddany chłóście.

- Z mojego powodu?

- Został oskarżony przez Ścieżkę Niedźwiedzia, syna mojego młodszego brata i

kobiety pospolitego rodu. Twierdzi on, że nowy wódz wojenny kocha Francuzów i że zdradził

mój lud, gdyż pomógł wam w ucieczce. A postąpił tak, ponieważ pożądał ciebie, Francuzki.

Dla ciebie oddalił się stąd, co spowodowało wiele niedogodności,

kiedy rada starszych

orzekła, że powinien zostać nowym wozdem. A w końcu, aby uchronić cię przed karą, rzucił

wyzwanie Ścieżce Niedźwiedzia i byłby popełnił zbrodnię, wdając się z nim w walkę, gdyby

nie zimna krew mojego bratanka.

- I uwierzyłaś mu, pani? - spytała Elise.

- Tak było. Reynaud przyznał, że to prawda.

- Lecz w pani ustach brzmi to o wiele gorzej, niż było w rzeczywistości! -

Spojrzała na

Indiankę, nienawidząc spokoju, z jakim jej odpowiadała, mimo że żołądek miała ściśnięty ze

strachu.

- Sprawa okazała się na tyle poważna, że Reynaud musi przejść test sprawdzający jego

lojalność wobec własnego ludu.

- Najpierw mówiłaś, pani, o swoim ludzie, a teraz mówisz o jego.

Wymagasz zbyt

wiele od kogoś, kto nie jest ani



Francuzem, ani Natchezem, bo w jego żyłach płynie krew

jednych i drugich. Zmuszasz go, aby dokonał wyboru, a to nie jest w porządku!

- On już wybrał. Inaczej by go tu nie było.

- A zatem, dlaczego? ..

- Musi być absolutnie pewny, że wybrał właściwie, i my także. Od tego zależy życie

wielu ludzi.

- Trzeba ich powstrzymać! Pani może

tego dokonać! Trzeba pójść do  
Wielkiego

Słońca!

- On nic nie może zrobić. Próba się  
odbędzie. Tak postanowiła starszyzna.  
Mój syn,

obaj moi synowie, wiedzą, że decyzja  
rady jest niepodważalna.

Elise spojrzała na Indiankę  
nieustępliwie.

- Skoro nic już nie można zrobić, po co  
ta wizyta? Dlaczego zadałaś •sobie trud,  
pani,

by mnie o wszystkim zawiadomić?

- Chciałam się przekonać, czy jesteś kobietą szczerą i zdolną do uczuć. I czy mój syn

zasłużył na urząd, na który został wybrany.

- Nie rozumiem, jak ...

Tatuowane Ramię powstrzymała ją, unosząc dłoń.

- Mój syn okazał się mądry. Jestem usatysfakcjonowana - powiedziała i wyszła.

Elise patrzyła w ślad za nią i

zastanawiała się, co o tym wszystkim myśleć. Czy

Reynaud wiedział, co go czeka, kiedy opuszczał szafas dziś rano? Czy odgadł? ... Chyba tak,

pomyślała, wspominając szybki pocałunek i chłodne, pośpieszne pożegnanie. Serce ścisnęło

się jej boleśnie.

Chłosta. Nie tylko kara, ale i próba, zarezerwowana zwykle dla jeńców płci męskiej.

Polegała na zadawaniu bólu, by sprawdzić ich wytrzymałość. Niech

sobie mówią, co chcą o

lojalności i słabości Reynauda do  
Francuzów, ona i tak wie swoje:  
Reynaud zostanie poddany

próbie wyłącznie dlatego, że naraził na  
szwank dumę Ścieżki Niedźwiedzia.  
Wojownik

musiał znieść reprimendę, i to z powodu  
niewolnicy, więc łaknął zemsty.  
Reynaudowi zaś

dostaną się ciosy wymierzone z  
nawiązką, a przeznaczone dla niej.

Do szałasu wróciła Przepióreczka. Z  
napięciem w głosie zaczęła opowiadać

o

zbliżającej się próbie. Elise odnosiła przy tym wrażenie, być może niesłuszne, że dziewczyna

wini ją za to, co przydarzyło się Reynaudowi.

Odczuła przemożną potrzebę, aby wyrzucić z siebie gniew i opowiedziała

Przepióreczce o tym, co naprawdę wydarzyło się na szlaku, i o tym, jak bardzo nie ufa

Ścieżce. Młoda Indianka tylko skinęła głową.

- Możesz mieć rację. Ścieżka nie jest zbyt lubiany. Jego matka pochodzi z - niższych

sfer, ze Śmierdzieli. Poślubiła mężczyznę z kasty Słońca, wuja Reynauda, a będąc osobą

obdarzoną nieprzeciętną siłą woli, szybko zdominowała męża, który uciekł od niej, udając się

z wieloletnią misją do Chikasawów. Krążą plotki, że ma tam drugą rodzinę i wcale nie

zamierza wracać.

- Rozumiem, ale co to ma wspólnego ze

## Ścieżką Niedźwiedzia?

- Właśnie do tego zmierzam, cierpliwości - odparła Przepióreczka, potrząsając głową.

- Zważywszy na to, że nie miała już męża, aby za jego pośrednictwem zaspokajać swoje

ambicje, matka Ścieżki, zwana Rudą Łanią, zaczęła posługiwać się synem. To dzięki jej

wpływowi i pozycji uzurpował sobie stanowisko wodza wojennego w Mącznej Wiosce. Został

zatwierdzony przez radę i Wielkie



Słońce, ponieważ odznaczył się odwagą i, walecznością, a

także dlatego, że w jego żyłach płynie szlachetna krew. Niektórzy twierdzą jednak, że

popołniono błąd, gdyż to właśnie wódz tej wioski występował najostrzej przeciw Francuzom,

namawiając, aby wypowiedziano im bezwzględną wojnę, zwaną Krwawą Zemstą.

- A zatem to Ścieżka Niedźwiedzia jest odpowiedzialny za masakrę.

- Rzeczywiście, to on zasiał ten pomysł

w głowie byłego wodza. A kiedy tego

dokonał, jego pozycja jeszcze bardziej wzrosła. Spodziewał się, że zostanie nowym wodzem

wojennym, zwłaszcza że Jastrząb Nocy był daleko. Jednak ludzie, głównie kobiety, zaczęli

obawiać się jego żądzy krwi, toteż starszyzna zapytała w końcu brata Wielkiego Słońca, czy

nie zechciałby przyjąć tego zaszczytnego stanowiska.

- Ścieżka Niedźwiedzia ma zatem więcej niż jeden powód, by nienawidzić

Reynauda.

Przepióreczka skinęła głową.

- Jednak ta nienawiść sięga  
odleglejszych czasów. Kiedy obaj byli  
jeszcze dziećmi,

Ścieżka zawsze rywalizował z  
Jastrzębiem Nocy, który nie tylko  
pochodził ze

szlachetniejszego rodu, ale był też  
lepszym biegaczem, lepiej umiał  
obchodzić się zarówno z

muszkietem, jak i łukiem i miał więcej  
szczęścia podczas polowania - jednym  
słowem, był

dla Ścieżki niedościgłym wzorem.

- Jeśli Reynaud umrze ... - westchnęła Elise, wypowiadając na głos swoje obawy.

- Nie umrze, ale nie wolno mu okazać bólu.

- A kiedy ma odbyć się ta próba?

- Jutro - powiedziała Przepióreczka, spoglądając ze współczuciem na Elise. - O świcie.

Z upływem godzin powracała łącząca je niegdyś zażyłość. Elise poprosiła dziewczynę,

aby zwracała się do niej po imieniu, z pominięciem grzecznościowych zwrotów,

podkreślających niegdysiejszy status Przepióreczki jako niewolnicy w domu Laffontów, ta

zaś odwzajemniła się, proponując, że oprowadzi Elise po wiosce, aby poznała jej

mieszkańców, zajęła czymś myśli i odpędziła niepokój. Razem zaplotły włosy Elise w długi

pojedynczy warkocz spływający na plecy - tak jak czesały się kobiety Natchezów. W końcu

dziewczyna pomogła Elise włożyć pelerynę i zawiązała mocniej spódniczkę, aby uniknąć

niespodzianek. Wyszły z namiotu.

Chwilę spacerowały pod drzewami, mijając wysoką na dziesięć metrów i górującą nad

wioską ścianę domu Wielkiego Słońca. Zbudowany był podobnie jak inne domy z grubych

bali osadzonych w ziemi. Naroża tworzyły żywe drzewa, których korony, związane razem,

stanowiły swego rodzaju dach. Bale

pokryto następnie matami z trzciny, oblepionymi błotem.

Także dach przykryto matami. Dom Wielkiego Słońca wyróżniał się tylko wielkością: miał

wyższe ściany i dodatkowe piętro, służące jako magazyn na żywność i zboże, które podczas

zimy rozdawano potrzebującym.

Elise spojrzała na leżący w porannym cieniu dom Reynauda, znajdujący się na kopcu

Wielkiego Słońca. Choć nie tak duży jak dom brata, był jednak większy niż inne i

nowszy.

Zapewne dlatego, że zbudowano go na pogorzeliśku pozostałym po szałasie poprzedniego

wódza, uświadomiła sobie. Choć do tej pory nie myślała o tym, teraz przyszło jej na myśl, że

kości zmarłego leżały zapewne pod podłogą, po której dziś rano stąpała.

- Jak dawno temu zginął poprzedni wódz? - spytała.

- Niezbyt dawno. Jego kości zostały oczyszczone i spalone tuż przed wyprawieniem



delegacji do Jastrzębia Nocy. ••Choć  
głos dziewczyny brzmiał spokojnie,  
Elise poczuła

wyrzuty sumienia.

- Wybacz mi - powiedziała. -

Zapomniałam, że i ty straciłaś wtedy  
męża. Przepraszam,

że przywołałam bolesne wspomnienia.

- Nie musisz przeproszać. On odszedł i  
wcale nie jest mi smutno.

To prawda, nie wyglądała na pogrążoną  
w żalu, jednak Indianie nie są  
zwolennikami

długotrwałej żałoby. Zwykle opłakują zmarłego przez trzy dni i na tym koniec. Życie musi

toczyć się dalej.

- Jestem pewna, że bardzo ci go brakuje.

- Czy ja wiem ... - odparła dziewczyna, wzruszając ramionami. Widać nauczyła się

tego, kiedy przebywała pośród Francuzów.

- Nie masz dzieci.

- Nie. Postarałam się o to, by ich nie mieć.

- Co zrobiłaś?

Przepióreczka, zdumiona ostrym tonem Elise, spojrzała na nią.

- Żułam liście, które sprawiały, że moje ciało nie zatrzymywało tego, co pochodziło z

jego ciała. Czy ty nie postąpiłabyś podobnie?

- Zapewne tak - odparła Elise, myśląc o Vincencie Laffoncie - gdybym tylko mogła.

- Oczywiście, że mogłabyś!

- Francuzi nie znają takich liści.

Dziewczyna zatrzymała się.

- Ależ wy macie taką wiedzę ... Z pewnością wiecie i o tym, co jest tak ważne dla

kobiet.

- Nie.

- Jakie to dziwne. Więc co robicie?

- Są pewne sposoby, narzędzia ... ale to niebezpieczne. Zwykle więc nie robimy nic.

Przepióreczka potrząsnęła głową, zdumiona.

- Ale ty nie masz dziecka.

- Być może któreś z nas - mój mąż albo ja - nie było zdolne do poczęcia dziecka.

- Pewnie chodziło o niego, ponieważ kiedy z nim byłam, nie musiałam żuć liści.

Co za ulga, ucieszyła się Elise. Czasami zastanawiała się, dlaczego nigdy nie zaszła w

ciążę. Być może stało się tak, ponieważ jej ciało odrzucało wszystko, co pochodziło od tego

okropnego człowieka, także jego nasienie. Jednak natura rzadko aż tak

idzie nam na rękę,

pomyślała.

- Prawdę mówiąc - kontynuowała  
Przepióreczka śmierć męża tylko  
zaoszczędziła mi

kłopotu. I tak miałam zamiar wyrzucić  
go z domu.

Elise znowu spojrzała zdumiona na  
młodą Indiankę.

- Mogłabyś zrobić coś takiego?

- Oczywiście. Och, wiem, że u  
Francuzów dom należy do męża, lecz u  
nas jest

inaczej. Tutaj wszystko - dom, naczynia kuchenne, futra i skóry, a także ziemia, którą

uprawiamy - jest własnością kobiet. Mężczyzna może posiadać jedynie broń, ubranie, które

nosi, i czasami konia, jeśli kupił go za skóry upolowanych przez siebie zwierząt.

- I pozwolono by ci go wyrzucić? Nie ma takiego prawa, które zmusiłoby cię, abyś

przyjęła męża z powrotem? - Nie. To ja decyduję o wszystkim.

- Ale gdybyście mieli dzieci, twój mąż  
zabrałby je ze sobą?

- Moje dzieci? Czyż to nie ja nosiłabym  
je pod sercem, rodziła w bólu i  
troszczyła się

o nie, gdy są bezradne? Czy jelonek  
podąży za ojcem? Czy mały opos czepia  
się ogona swego

taty? Czy niedźwiedziątko rozpoznaje  
tego, kto je począł? Nie! Dlaczego  
miałby je zabierać?

- Ponieważ chciałby je znać,  
uczestniczyć w ich wychowywaniu.

- O dzieci troszczą się i wychowują je



wszyscy. Z tej strony nie byłoby żadnych trudności.

Wieść niosła, że dzieci Natchezów nigdy nie były bite i nawet rzadko podnoszono na

nie głos. Zawsze chętnie witano je przy każdym ognisku domowym, uczono zaś za pomocą

przykładu lub, jeśli zachodziła taka potrzeba, łagodnych napomnień. Wyrastały więc na ludzi

ufnych w swoje siły, pozbawionych lęku i odznaczających się pewnością siebie. Ciekawe, czy

to prawda, pomyślała Elise.

W jasnym świetle dnia dało się zobaczyć o wiele więcej niż w nocy, toteż Elise

uświadomiła sobie, że wioska zbudowana została na planie koła, a domy stały z dala od

siebie. Pośrodku wznosiło się wzgórze Wielkiego Słońca i jego dom, wejściem zwrócony na

południe, przed którym znajdował się szeroki, otwarty krąg ubitej ziemi. Właśnie odbywał się

tam mecz piłki, uszytej z wypchanego

mchem kawałka skóry. Wesołe okrzyki  
podrostków

płci obojga, uczestniczących w grze,  
niosły się daleko.

Po drugiej stronie placu, naprzeciw  
kopca Wielkiego Słońca, widać było  
kopiec

świątynny, najbardziej imponującą  
budowlę w wiosce, wzniesioną na  
planie czworokąta, z

czymś w rodzaju sieni,  
uniemożliwiającej osobom  
niepowołanym zerknięcie do środka.

Przed

świątynią płonął wieczny ogień,  
umieszczony pomiędzy słupami, których  
zwieńczenia

wyrzeźbiono na podobieństwo orłów.  
Jednak największe wrażenie sprawiały  
kalenice

świątyni, ozdobione wizerunkami  
białych łabędzi w locie.

Tuż za wzgórzem Wielkiego Słońca  
wznosił się jeszcze jeden kopiec.  
Znajdowała się

na nim stara świątynia, porzucona  
dawno temu, kiedy wody płynącego  
przez wioskę

strumienia, przez Francuzów zwanego potokiem St. Catherine, wdarły się na wzgórze. Na

dawnym placu przedświątynnym zbudowano liczne szałas, sięgające niemal linii wody.

Kilka z nich stało osobno, po drugiej stronie placu.

- Gdzie mieszkasz? - zapytała Elise.

- Mój szałas jest tam, pośród szałasów Czcigodnych - odparła Przepióreczka.

Czcigodnymi nazywano tych, których uhonorowano za szczególnie śmiałe czyny lub

bezinteresowną służbę dla swego ludu.  
Stanowili kastę stojącą w hierarchii  
nieco niżej niż

ludzie z kasty Słońca i szlachetnie  
urodzeni, lecz wyżej niż ci pospolitego  
rodu albo

Śmierdziele.

Elise spojrzała na okrągłą budowlę z  
dachem w kształcie stożka. Dom był  
mały, ale

wygodny. W pobliżu znajdowało się  
kilka innych, pomiędzy nimi zaś widać  
było pustą

przestrzeń, ocienioną drzewami.

Większe domy zbudowano bliżej  
wzgórza Wielkiego Słońca.

- A kto mieszka tam? - zapytała Elise,  
wskazując większe budynki.

- W tych bliżej nas - szlachetnie  
urodzeni, w tych obok wzgórza,  
członkowie kasty

Słońca. Ludzie pospolitego rodu  
mieszkają tam, jak najdalej od wzgórza.  
Chyba powinnam

powiedzieć ci, że mój mąż właśnie z  
nich się wywodził, a dokładniej  
mówiąc, był

Śmierdzielem.

Napięcie w głosie Przepióreczki zwróciło uwagę Elise.

Odwróciła się, by spojrzeć na towarzyszkę.

- To ma znaczenie?

- Tak, oczywiście. Nie wolno poślubiać ludzi ze swojej kasty. Gdybym została

wybrana przez mężczyznę ze szlacheckiego rodu, musiałabym słuchać męża i dbać o jego

przyjemności. Ponieważ wyszłam za mąż za kogoś stojącego niżej ode mnie, zatrzymałam



przywileje i majątek.

- Rozumiem. Tak czy inaczej, twoje dzieci i tak należałyby do Czcigodnych, bo

odziedziczyłyby status po matce. - W zasadzie tak, choć gdybym dostąpiła zaszczytu i została

poślubiona przez mężczyznę z kasty Słońca, moje dzieci stałyby się szlachetnie urodzonymi.

- A twój majątek?

- Nadal pozostałby mój, choć moi królewscy krewni próbowaliby mnie przekonać,

bym go przekazała rodzinie męża. Gdyby jednak do tego nie doszło, całe mienie dostałaby w

posagu moja córka.

- Ale w każdym przypadku dziedziczą go po tobie twoje dzieci?

- Tak. Wiem, że u was jest inaczej. Dziedziczy się w linii męskiej. Ale jakież to

nierozsądne! Każde dziecko zna swoją matkę, ale któż może być pewny, kto tak naprawdę

jest jego ojcem?

- Właśnie - powiedziała Elise, uśmiechając się krzywo. - Jednak niektórzy spośród

Natchezów, na przykład Wielkie Słońce, mają po kilka żop. Jak to możliwe, skoro kobiety

mogą rozstać się z mężem, gdy tego zapragną?

- Na ogół tylko przedstawiciele kasty Słońca biorą sobie drugą lub trzecią żonę, a

pierwsza zgadza się na to, gdyż poczytuje sobie za zaszczyt przynależność do tak wysoko

postawionego rodu. Poza tym najczęściej uznaje to za korzystne dla potomstwa oraz rodziny.

Bywa, że podczas wojen wielu mężczyzn ginie i nie dla wszystkich kobiet wystarcza

partnerów w odpowiednim wieku. Poza tym pierwsza żona nie zawsze musi być zazdrosna o

pozostałe. Czasami mąż bierze sobie kolejną żonę, ponieważ obecna jest właśnie w ciąży i

ona niekiedy sama sugeruje, by mąż wziął sobie drugą kobietę. Potem, gdy karmi dziecko

piersią, też wolałaby uniknąć ciąży.  
Wprawdzie mogłaby posłużyć się  
liśćmi, lecz to by ją

osłabiło lub spowodowało zanik  
pokarmu. A jeśli okaże się, że nie jest w  
stanie żyć z mężem

i jego drugą żoną, może go opuścić,  
zabierając dziecko i swoją własność.

Elise skinęła głową, rozmyślając nad  
dziwnymi obyczajami Natchezów.  
Minęły wielki

dom na palach, wypolerowanych tak, że  
błyszcząły niczym jedwab. Obok leżała  
na ziemi

drabina. Jakaś kobieta podniosła ją, oparła o nadproże i wspięła się do wnętrza. Elise zerknęła

w górę i zobaczyła, że kobieta trzepie narzutę, która bez wątpienia była francuskiego

po pochodzenia. W głębi pomieszczenia widać było .stosy ubrań, naczyń, nogi krzeseł, masywne

kształty skrzyń posagowych, a nawet czarny wlot armaty. Dom służył najwidoczniej jako

magazyn łupów, zagarniętych podczas napaści na fort Rosalie i domy Francuzów, a dokładnie

wypolerowane słupy podpierające miały uchronić przed najazdem szczurów i myszy. Elise

zamknęła oczy i szybko odwróciła się w drugą stronę.

Wkrótce natknęły się na dziewczynki grające na środku ścieżki w grę podobną do

bierków.

Z progu pobliskiego szałasów ich dwie starsze siostry, które zmieniały się przy mieleniu

ziarna, pozdrowiły Przepióreczkę wesoło. Ciemnooki cherubinek, odziany

tylko w kaftanik i

malutkie mokasyny, wytoczył się z szafasu i stanął przed nimi, kołysząc się na piętach.

Dumny ze swojej miedzianej, pulchnej nagości, uśmiechnął się do nich, gaworząc radośnie.

Miał czarne oczy i proste, ładne włosy. Patrząc na niego, Elise poczuła dziwny ból w piersi.

Przepióreczka wzięła malca na ręce i potarła nosem o jego mały nosek. Siwa kobieta okrążyła

pośpiesznie szafas, ciągnąc za sobą na



wpół oskrobaną skórę jelenia. Widząc chłopca w

ramionach Przepióreczki, roześmiała się bezzębnymi ustami i zmarszczyła lekko brwi w

udawanym gniewie. Pozdrowiła obie kobiety i zaczęła gawędzić z Przepióreczką. Jej czujne

spojrzenie przesuwało się od czasu do czasu po Elise, lecz zawsze wracało do Przepióreczki.

Elise odwróciła wzrok. Odnosiła nieprzyjemne wrażenie, że stara kobieta mówi o niej,

chichocząc przy tym z uciechy.  
Żałowała, że nie zna języka Natchezów.  
Pomyślała, że będzie

musiała się go nauczyć, jeśli nie chce  
czuć się wyobcowana.

Za szalasem zobaczyła roje much  
unoszących się nad trzewiami jelenia,  
którego skórę

oprawiała stara kobieta. Spłoszyło je  
zbliżanie się człowieka, wojownika.  
Jego nazbyt

pośpieszny, ukradkowy sposób  
poruszania się sprawił, że Elise zaczęła  
baczniej mu się

przyglądać. Mężczyzna czubkiem noża  
rozrucił wnętrzności, a potem wziął  
parę mocnych,

giętkich witek i zanurzył je między jelita  
i ich rozgrzebaną zawartość. U  
satysfakcjonowany,

rozejrzał się szybko wokół, odwrócił i  
odszedł.

Nie rozpoznał jej w indiańskim  
przebraniu lub może wziął za francuską  
niewolnicę,

jednak Elise poznała go natychmiast.  
Choć nie wiedziała, czemu miały służyć  
podejrzane

przez nią czynności - czy był to jakiś indiański zwyczaj czy po prostu nieprzyjemny nawyk -

była pewna, że wojownikiem był Ścieżka Niedźwiedzia.

Po kilku minutach ruszyły dalej.

Podjmując rozmowę, Przepióreczka powiedziała:

- Rozmawialiśmy o Wielkim Słońcu i jego żonach.

Biedak przepracowywał się i teraz obie jego żony są w ciąży. Pewnie niedługo zacznie

rozglądać się za trzecią.

- Może jego spojrzenie padnie na ciebie? Przepióreczka roześmiała się miękko, lecz

nie zaprotestowała.

- Czy gdyby tak się stało, wyszłabyś za niego, pomimo niebezpieczeństwa?

- Niebezpieczeństwa?

- Ze zostaniesz uduszona, jeśli on umrze przed tobą.

- Wielkie Słońce będzie żył długo. Nie uczestniczy w wojnie, a jego dom stoi wysoko,

tam gdzie powietrze jest chłodne i

zdrowe.

- Mimo to nadal wydaje ni się, że trudno mu będzie znaleźć żonę. Może raczej weźmie

sobie kochankę, jak nasz król Ludwik.

- Kochankę? Nigdy! - wykrzyknęła Przepióreczka.

- A co w tym złego?

- Tego się nie robi.

- Daj spokój, wszyscy wierzą, że takie rzeczy zdarzają się w wiosce.

- Jacy wszyscy?

- Często słyszeliśmy o tym w forcie, ja sama znalazłam kilku mężczyzn, którzy bardzo

chwalili sobie wizyty indiańskich kobiet, mających w wiosce mężów i dzieci.

Pełen zadowolenia uśmieszek wykrzywił wargi Przepióreczki.

- Ach, indiańskie kobiety. To zupełnie co innego.

- Jak to?

- Nie ma nic niezwykłego „ tym, że kobieta utrzymuje stosunki z mężczyzną, który nie

jest jej mężem. To nasz przywilej. Od mężczyzn wymaga się wierności.

Indianin przyłapany

w ramionach innej kobiety może zostać przez żonę skazany na śmierć.

- Nie mówisz poważnie.

- Oczywiście, że tak.

- A ... nie jest przypadkiem odwrotnie?

- Dlaczego miałyby być? Bo tak jest u was? Kobiety Natchezów mają prawo wziąć

sobie tylu kochanków, ilu chcą, i nie przejmują się protętami mężów.



- Zdradzany mąż z pewnością występuje o rozwód.

- Skądże znowu, dlaczego: Straciłby wszystko, a ona nic. Tak czy inaczej, to niemożliwe. Rozwód to sprawa kobiet.

Elise przez chwilę wpatrywała się w Indiankę z otwartymi ustami, a potem lekko

potrząsnęła głową, jakby chciała rozjaśnić umysł.

- Nie rozumiem. Skoro kobiety mają taką władzę, jak to się dzieje, że są zmuszane, by

oddać się Francuzom odwiedzającym wioskę? Wiem, że tak jest, bo Reynaud mi o tym

wspomniął.

- To kwestia uprzejmości. Zawsze wymaga się przy tym zgody kobiety, która z reguły

rzadko odmawia, ponieważ mądrzy ludzie twierdzą, że to dobry sposób, aby zasilić plemię w

świeżą krew, a poza tym my, kobiety, jesteśmy ciekawe obcych mężczyzn. A ty nie?

Elise pomyślała o Reynaudzie i o tym,

jak podczas pierwszej wspólnej nocy  
dotykała

tatuazu na jego skórze. Poczowała, jak  
rumieniec zalewa jej policzki.

- Chyba tak - zgodziła się.

W powietrzu unosił się zapach palonego  
drewna i gotujących się potraw. W  
każdej

chacie co najmniej jeden garnek, jeśli  
nie dwa lub trzy, bulgotał nad  
ogniskiem. Jeśli pominąć

szczególnie uroczyste okazje, nie  
obowiązywały ustalone pory posiłków:  
każdy jadł, kiedy

miął na to ochotę i kiedy jedzenie zostało przyrządzone. Apetyczny zapach dochodził również

od strony wędzarni. Dzień był wymarzony na wędzenie: suchy, chłodny, pogodny. Toteż nad

wolno żarzącym się ogniem widać było pasy niedźwiedziego, jeleniego i oposowego mięsa.

Obok wędzarni znajdował się mały szałas, w nim zaś ognisko, w którym rozgrzewały

się wielkie kamienie. Elise zapytała, do czego one służą.

- To szalas parowy - wyjaśniła  
Przepióreczka krótko.

- Ach, rodzaj łaźni parowej -  
powiedziała Elise, przypominając sobie  
niejasno, że

kiedyś słyszała coś na ten temat.

- Tak, na kamienie leje się wodę, aby  
wytworzyć parę. Łaźni używa się, aby

przepędzić zmęczenie albo w celu  
rytualnego oczyszczenia. Teraz  
przygotowują ją dla

Jastrzębia Nocy.

- Rozumiem.

Dotąd nie zdawała sobie sprawy, że chłosta może mieć charakter ceremonialny i

przestraszyła się.

- Przez cały dzień będzie pościł, a potem spędzi kilka godzin w łaźni.

Oczyszczony i

nadal na czczo, będzie oczekiwał brzasku w świątyni.

Elise odwróciła się ku Indiance i chwyciła ją za ramię.

- Czy to go nie osłabi?

- Pomoże skupić myśli na tym, co ma

nastąpić, i przygotowuje go na to.

- Czy jest coś, co mogłabym zrobić, aby mu pomóc?

- Zrobiłaś już dosyć. - Młoda kobieta odwróciła głowę.

- O co chodzi? - spytała Elise. - Co ja takiego zrobiłam?

- Nic.

- Przepióreczko, proszę!

Indianka odwróciła głowę, by spojrzeć w twarz Elise swoimi spokojnymi oczami.

- Dobrze, powiem ci. Jastrząb Nocy nie umrze, lecz boję się o niego, naprawdę się

boję. Ścieżka pragnął zostać wodzem wojennym, jednak kobiety przekonały radę starszych,

aby powierzyła to stanowisko bratu Wielkiego Słońca. Ścieżka zaś został wysłany, by

przyprowadził tego, z którym przegrał rywalizację o to, kto jest lepszym wojownikiem,

lepszym człowiekiem. Ty zaś dałaś mu okazję, aby się na nim odegrał. Teraz Ścieżka robi



wszystko, co w jego mocy, by Jastrząb  
nie doszedł do siebie po chłóście. A  
tymczasem nasz

lud nie potrzebuje na tym stanowisku  
podstępного zabijaki, ale człowieka  
inteligentnego,

śmiałego i niezawodnego. Bez niego  
będziemy zgubieni. Jeśli Jastrząb Nocy  
umrze, wina za

to spadnie na ciebie. Jeśli zginiemy, ty  
będziesz za to odpowiedzialna.

- Nie wiedziałam, że do tego dojdzie.

- Gdybyś była Indianką, pomyślałabyś o  
tym.

- Rzeczywiście - powiedziała Elise z twardą nutką w głosie. - Nie jestem Indianką.

Przez chwilę stały naprzeciw siebie, spoglądając wrogo jedna na drugą.

Chłodny

powiew załopotał spódniczką Elise, odsłaniając jej nogę aż po udo. Ledwie to zauważyła i

nawet nie poczuła, jak jej ciało pokrywa się gęsią skórką, tak wielki chłód odczuwała w

środku. Obok niej Indianie krzatali się wokół swoich zajęć - rąbali drewno, szlifowali

narzędzia i ostrzyli broń, nawoływali się i odpędzali wszechobecne psy. Nic się nie zmieniło,

a jednak Elise nagle uświadomiła sobie, i to w sposób, jakiego dotąd nie doświadczyła, że jest

Francuzką otoczoną wrogami.

- Elise! Och, Elise!

Odwróciła się na dźwięk swego imienia. W jej stronę biegła z rozwianymi włosami,

potykając się o podarte spódnice, madame Doucet. Rzuciła się z płaczem w ramiona Elise.

Elise złapała ją w ramiona i zapytała współczująco:

- O co chodzi? Proszę mi powiedzieć.

- Mój mały Charles! Wiedziałam, wiedziałam. To jego zabili. To jego udusiły te

okrutne bestie. Był taki mały, och, mon Dieu, taki mały! I za co? Za nic. Mówiłam ci!

Wiedziałam, że to prawda. Wiedziałam.

- Proszę się uspokoić, błagam. - Elise poklepywała Marie po ramieniu, czując, jak do

oczu napływają jej łzy, wywołane  
rozpaczą pani Doucet i dziwnym  
wrażeniem osobistej

straty. - Musi pani myśleć o córce -  
powiedziała, zaczerpnąwszy głęboko  
powietrza.

- Tak. - Madame Doucet odsunęła się. -  
Muszę być silna. Moja biedna córka  
straciła

dziecko, i to w taki sposób! Boję się o  
nią. Nie jest silna, a pracuje tak ciężko,  
tak bardzo

ciężko. Muszę jej pomóc. Ona mnie  
potrzebuje. Mój biedny wnuczek!  
Przeżył masakrę, a

potem oni go zabili. Zabili! Okrutni mordercy, oto kim są.

W tej chwili Elise skłonna była sądzić, że madame Doucet ma rację. Co mogło łączyć

je z tego rodzaju ludźmi? Dlaczego miałyby zabiegać o ich aprobatę albo przejmować się

gniewem? I co z tego, że jutro jeden z nich zostanie wychłostany, ponieważ stanął w obronie

osadników? Gdyby Reynaud nie zatrzymał jej siłą, nic takiego by się nie wydarzyło. Była

Francuzką, nie należała do tego świata.  
Odwróciła się do Przepióreczki.

- Czy jest jakiś powód, abym nie mogła odwiedzić córki madame Doucet?

- O ile wiem, nie.

- A zatem dziękuję ci za okazaną uprzejmość. Miłego dnia.

Wizyta nie okazała się udana. Córka madame Doucet była chora z rozpaczki, a także z

powodu infekcji, jaka wdała się w ranę na głowie, ponieważ nie pozwoliła leczyć jej na

sposób indiański. Nie bardzo wiedziała, gdzie się znajduje, a co dopiero, kto przyszedł ją

odwiedzić. Brudna i wychudzona na skutek niedożywienia, leżała na ławie w małym szałasie,

stojącym pośród domów Śmierdzieli. W miarę jak mijały godziny, do szałasów zaglądały

Francuzki, aby zobaczyć się z chorą i porozmawiać z Elise. W ich wzajemnych stosunkach

dało się jednak wyczuć napięcie, jakby kobiety nie ufały jej do końca.

Wiedziały, że mieszka



z Reynaudem i znały okoliczności, ale złość i urazę budził fakt, że ubrana w indiański strój

mogła swobodnie poruszać się po wiosce, nie obciążona obowiązkami, że zamieszkała pośród

szlachetnie urodzonych i zachowała włosy, podczas gdy im na znak niewolnictwa ścięto

warkocze. Sądziły, że w jakiś sposób je zdradziła i chociaż nie odważyły się otwarcie uczynić

jej afrontu, w obawie, iż mogłaby się zemścić albo odmówić pomocy, nie traktowały jej jak

jednej z nich - niewolnic Natchezów.

Wyglądało na to, że teraz i ona - tak jak Reynaud - nigdzie nie przynależy.

## **ROZDZIAŁ XII**

Następnego ranka w wiosce wczesnie zaczął się ruch.

Wokół szalasu, w którym leżała Elise, wpatrując się otwartymi szeroko, piekącymi z

niewyspania oczami w pociemniałą od dymu kopułę sufitu, rozbrzmiewał szmer głosów,

poszczekiwania psów, suche

grzechotanie tykw i świst trzciniowych gwizdków.

Po jakimś czasie wstała. Owinąwszy się peleryną, roznieciła ogień i trzęsąc się z

zimna, stała przez chwilę obok paleniska. Zastanawiała się, co robi Reynaud i o czym myśli.

Czy bał się nadchodzącej próby tak bardzo jak ona? A może poddał się z rezygnacją lub

nawet wyczekiwał tego sprawdzianu swej siły, podniesiony na duchu nocnym czuwaniem w

świątyni?

Nie będzie przyglądała się ceremonii,  
nie zniosłaby tego. Poza tym nie była  
dzikuską

przyzwyczajoną do takich widoków i nie  
miała zamiaru narażać się na  
zdenerwowanie.

Pozostanie w chacie, aż będzie po  
wszystkim. Być może powinna  
przygotować się do

opatrzenia obrażeń Reynauda. Chyba  
była mu to dłużna. W czasie, gdy  
mieszkała u nich

Przepióreczka, Elise dowiedziała się  
sporo o indiańskich metodach leczenia,  
a potrzebne zioła

były pod ręką - zwieszały się z belek u sufitu.

Podjęcie postanowienia nie zajęło Elise wiele czasu znacznie trudniej było go

dotrzymać. Gdy donośniejszy szum głosów na zewnątrz powiedział jej, że Reynaud wyszedł

ze świątyni i ceremonia wkrótce się rozpocznie, po prostu nie mogła usiedzieć w chacie.

Czuła, że chowanie się tam byłoby tchórzostwem.

Gdy wyłoniła się z mrocznego pomieszczenia, słońce zdawało się

świecić szczególnie

jaskrawie, ogrzewając swym wątlým ciepłem tłum zgromadzony wokół placu.  
W jego blasku

połyskiwały paciorki, ostrza noży i tomahawków. Dzieci biegały wokoło, poszczekiwały psy,

kobiety siedziały i gawędziły, ich mężowie, synowie i krewni stali, a poły peleryn trzepotały,

kiedy gestykulowali gwałtownie, rozmawiając. Nikt nie zwracał uwagi na mężczyzn

stojących w dwóch rzędach na placu, z

których każdy dzierżył w dłoni obdartą z kory

trzcinową witkę, długą prawie na półtora metra. Ci, którzy stali w dwuszeregu, byli

wojownikami - najmocniej zbudowanymi i najsilniejszymi w całym plemieniu.

Elise odwróciła się szybko i zobaczyła, że większość członków kasty Słońca

zgromadziła się na stokach kopca, by obserwować ceremonię. Mieli stamtąd lepszy widok niż

stojący niżej współplemieńcy.

Niedołączonych starców wyniesiono z szalasów. Oni także

chcieli być świadkami ekscytującego przedstawienia. Elise przecisnęła się przez tłum i

wspięła nieco wyżej na stok, skąd mogła spoglądać ponad tłumem.

Nagle tuż przy domu Wielkiego Słońca dało się zauważyć „niewielkie zamieszanie.

Odwróciwszy głowę, spostrzegła, że z szalasu wyłonił się brat Reynauda i zasiadł na

specjalnie przygotowanym krześle.



Przeładowany ozdobami mebel o  
rzeźbionych, -

złożonych nogach i oparciu, z  
siedzeniem pokrytym jedwabiem nie  
raziłby nawet w Wersalu.

Wielkie Słońce usadowił się na krześle,  
poprawiając płaszcz i spódniczkę utkaną  
z multonu,

ufarbowanego na kolor głębokiej czerni,  
jaki tylko on mógł nosić. Odwrócił się  
do mężczyzny

przy swoim boku, zapewne sługi  
świątynnego, powiedział coś do niego i  
uniósł pokryte skórą

berło na znak, że próba może się rozpocząć.

Zagrzmiały bębny. Dudniący, miarowy dźwięk dobywał się z olbrzymich dzbanów z

palonej gliny, na które naciągnięto skórę. Dzbany były napełnione wodą i wydawały

zróznicowany ton. Indianie zgromadzeni wokół placu umilkli.

Z wielkiej świątyni, położonej niemal naprzeciw miejsca, w którym stała Elise,

wyłonił się Reynaud, ubrany w

spódniczkę z białej skóry i pelerynę z łabędziego puchu.

Łabędzie pióra w opasce na głowie uniosły się, poruszone lekkim podmuchem.

Słońce zamigotało na granatowoczarnych włosach Reynauda i prześliznęło się po jego

miedzianej klatce piersiowej. Stał wyprostowany, opanowany. Krok po kroku, zgodnie z

rytmem uderzeń bębna, zaczął schodzić w dół wzgórza.

U jego stóp zatrzymał się. Bębny

przycichły, zmieniły rytm. Z tłumu  
wystąpiło kilka

kobiet, by zdjąć z pleców Reynauda  
pelerynę. Podprowadziły go ku  
szeregowi wojowników.

Stał tam przez dłuższy czas. Pewnie  
oddycha teraz głęboko, błędząc  
spojrzeniem gdzieś

ponad tłumem, pomyślała Elise. Ich oczy  
spotkały się na chwilę, lecz wyraz  
twarzy Reynauda

pozostał obojętny. Odwrócił wzrok i  
spojrzał na swego brata. Uniósł ramię w  
geście

pozdrowienia i skinął głową na znak, że jest gotowy.

Bębny umilkły. Trzcিনowe fujarki zabrzmiały ostrą nutą, przerwana zaraz gwałtownie.

Reynaud zaczerpnął głęboko powietrza, a potem uczynił krok w przód. Pierwsza witka opadła

ze świstem na jego plecy.

Kara chłosty wymierzona nieszczęśnikowi, który musiał przebiec wzdłuż dwuszeregu

żołnierzy, nie była niczym niezwykłym w armiach Europy. Czy ten obyczaj

przedostał się do

Nowego Świata wraz z wyprawami  
kolonizatorów w ostatnich dwustu  
latach, czy też

odwrotnie - przywędrował do Europy  
razem z egzotycznymi roślinami  
przywożonymi z

Ameryki? Elise słyszała, że winowajcę  
prowadził żołnierz wyposażony w  
muskiet z

nasadzonym bagnetem.

Nieszczęśnik nie mógł poruszać się zbyt  
szybko, jeśli nie chciał nadzieć się na  
ostrze.

Tutaj nie było żołnierza ani bagnetu.  
Elise spodziewała się, że Reynaud  
pobiegnie, uchylając

się przed ciosami, ale pomyliła się.

Z kamienną twarzą, powoli, Reynaud  
przesuwał się wzdłuż szeregu,  
wzdrygając się

lekko, gdy cienkie witki przecinały mu  
skórę. Oddychał płytko, wydając cichy  
dźwięk, nie

będący wszakże jękiem. Na jego plecach  
pojawiła się siatka krzyżujących się  
krwawych pręg.

Kiedy ciosy padały na to samo miejsce,

skóra pękała i zaczynała sączyć się z niej krew. Mimo

to Reynaud szedł dalej, chwiejąc się pod naporem ciosów, ale nie wypadając z rytmu.

Ciężkie, chlaszczące odgłosy uderzeń sprawiały, że za każdym razem Elise

przebiegało drżenie. Pragnęła zakryć sobie uszy, uciec i ukryć się gdzieś, lecz na miejscu

trzymał ją przymus silniejszy od tego pragnienia.

Trzęsła się cała, ręce miała spocone, palce lodowate i pobladłe wargi.



Gdzieś

wewnątrz niej rósł krzyk protestu, ale musiała go zdusić. Pragnęła odwrócić wzrok, ale nie

mogła.

Na końcu szeregu stał Ścieżka Niedźwiedzia. Trzymał w pogotowiu dwie witki, a jego

kwadratowa twarz jaśniała zadowoleniem, w przeciwieństwie do twarzy innych wojowników,

na których malowała się jedynie srogość i nieprzejednanie. Oczy Elise rozszerzyły się, gdy

zobaczyła, że Ścieżka trzyma w dłoni te same witki, które unurzał w gnijących

wnętrznosciach jelenia. Zdawała sobie sprawę, że jad nie pozwoli ranom goić się, a zatrucie

krwi może doprowadzić do śmierci.

Gdyby tylko zorientowała się wcześniej, do czego mają

służyć Ścieżce witki! Teraz było już za późno. Jedna z nich opadła właśnie na plecy

Reynauda i było jasne, że wojownik celuje w miejsce, gdzie skóra stanowiła już tylko jedną

skrwawioną masę. Reynaud zachwiał się, zamrugał powiekami, lecz nie ustawał w marszu.

Kolejne uderzenie. I jeszcze jedno. A potem ostatnie.

Wreszcie koniec.

Tłum ryknął z aprobatą. Indianie otoczyli Reynauda, chwając go i wysławiając jego

męstwo. Wielkie Słońce wstał i uczynił przyzywający gest. Reynaud odwrócił się do swego

brata i ruszył powoli w górę stoku, do miejsca, gdzie czekał na niego Wielkie

Słońce. W

połowie drogi zachwiał się, lecz przemógł słabość. Jego twarz gwałtownie pobladła, jakby ból

dopiero teraz dał o sobie znać.

Krok za krokiem pokonywał wyniosłość, zbliżając się do miejsca, gdzie znajdowała

się Elise. Stała wyprostowana, z uniesioną brodą i opuszczonymi wzdłuż boków rękami. Nie

chciała, by spostrzegł, że się o niego troszczy, że pragnie mu pomóc. Kiedy zrównał się z nią,

poszukał wzrokiem jej oczu. Zmusiła do uśmiechu sztywne wargi, wytrzymując jego

spojrzenie i nie okazując ani cienia współczucia, które odczuwała.

Wyminął ją i uścisnął wyciągniętą dłoń brata. Wielkie Słońce wskazał mu miejsce

obok krzesła.

- Ludu mój - przemówił głębokim, stentorowym głosem - przedstawiam wam nowego

wodza wojennego, znanego wam jako Jastrząb Nocy. Od dziś będzie z dumą

nosił imię

swoich poprzedników. Rozkazuję wam,  
abyście przyjęli do swojego grona tego  
człowieka,

zwanego odtąd Tatuowanym Wężem,  
ponieważ odznacza się on męstwem i  
honorem. Idźcie

za nim, dokądkolwiek was poprowadzi,  
gdyż w jego rękach leży los Natchezów.  
U jego boku

znajdziemy zwycięstwo lub śmierć!

Pochwalne okrzyki zmieniły się w  
radosną wrzawę.

Przywódcą plemienia wydał jeszcze kilka poleceń, po czym wycofał się wraz z bratem

do domu. Reszta dnia miała upłynąć na odpoczynku, zabawie i ucztowaniu.

Za wodzami podążyły kobiety z ziołami i maściami. Elise odwróciła się na pięcie i co

prędzej pobiegła do chaty Reynauda. W chwilę później trzymała w dłoniach mały gliniany

dzbanuszek, zawierający jej własną mieszankę ziół i łoju niedźwiedziego, znakomitą przy

leczeniu ran i siniaków.

Czuła się głupio, tłocząc się wraz z innymi kobietami przed drzwiami domu

Wielkiego Słońca, ale nie osłabiło to jej determinacji. W tym, co się wydarzyło, nie było jej

winy, zdawała sobie z tego sprawę. Mimo to odczuwała potrzebę zadośćuczynienia. To był

jedyny powód, skłaniający ją, aby przyszła z pomocą Reynaudowi, z pewnością jedyny.

Kobiety, zarówno te pospolitego rodu, jak i szlachećnie urodzone, rozstały się



przed

nią. Za progiem Elise zatrzymała się.  
Dom Wielkiego Słońca, choć większy i  
wyposażony w

magazyn żywności, niewiele się różnił  
od domu Reynauda. Pod ścianami stały  
ławki, nad

którymi zwieszały się koszyki i  
naczynia, a pod sufitem - pęki ziół i rogi  
jelenie. Pośrodku

pysznił się stół, który, podobnie jak  
krzesło i niebieski aksamitny płaszcz,  
był podarunkiem

od Francuzów. Różnica polegała na tym,

że w domu Wielkiego Słońca  
znajdowały się dwa

paleniska i dwa komplety naczyń  
kuchennych - po jednym dla każdej z żon  
wodza. Powietrze

wypełniał zapach pieczonego mięsa,  
zmieszany z wonią prażonego ziarna.  
Kilka kobiet

krążyło wokół paleniska, lecz jeszcze  
więcej tłoczyło się w odległym kącie  
pomieszczenia,

gdzie na ławie leżał Reynaud.

Elise nieśmiało dotknęła ramienia jednej  
z kobiet, sugerując z uśmiechem, że

chciałaby znaleźć się bliżej ławy.  
Indianka wzruszyła tylko ramionami i  
odwróciła się do niej

tyłem. Elise ponowiła prośbę, sądząc, że  
nie została zrozumiana. Potrząsnęła  
naczyniem z

ziołową mieszanką, ale w odpowiedzi  
padły słowa zgoła nieuprzejme i kobieta  
znów

odwróciła się do niej plecami. Elise  
zwróciła spojrzenie na stojącą z boku  
Przepióreczkę, ale

ona, zorientowawszy się, o co chodzi,  
tylko potrząsnęła głową. Elise  
zmarszczyła brwi.

Ciekawe, czy Reynaud wezwałby ją bliżej siebie, gdyby wiedział, że tu jest, czy też wolałby,

aby opiekowały się nim kobiety z plemienia.

Może powinna odejść, pozostawiając go ich pieczy?

Lecz one nie wiedziały, co zrobił Ścieżka Niedźwiedzia. Mogłyby okazać się niezbyt

staranne, a nawet niechcący zainfekować ranę. Nie może tak tego zostawić.

Jeszcze raz poklepała ramię stojącej przed nią kobiety.

Ta zaś odwróciła się, oparła ręce na biodrach i rozpoznawszy Elise, popchnęła ją.

Rozgniewana tą jawną niegrzecznością Elise zrewanżowała się jej tym samym.

Tamta

zamierzała złapać ją za warkocz i wtedy Elise przypomniała sobie tę noc, kiedy została

zaciągnięta za włosy do szałasu Reynauda. Twarz Indianki wydała jej się znajoma, łączyło się

z nią wspomnienie tamtego poniżenia. Elise z całej siły odtrąciła wyciągniętą ku niej rękę.

Tamta zaczęła mówić coś skrzekliwie.

Odgłos szamotaniny zwrócił uwagę Indianek. Rzuciły się na Elise, drapiąc ją i

szarpiąc. Ściągnęły jej przez głowę pelerynę razem z górną częścią odzienia zakrywającą

piersi. Naczynie z lekarstwem wypadło jej z rąk i rozbiło się o podłogę. Elise kopnęła mocno

jedną z kobiet i z satysfakcją patrzyła, jak pada bezwładnie na ziemię.

Przepióreczka

bezskutecznie usiłowała przedrzeć się w

jej stronę.

Ta sama Indianka, co poprzednio, znów próbowała złapać Elise za warkocz, lecz

została odepchnięta i swym impetem powaliła kilka napastniczek. Zerwały się natychmiast i

ciasnym kręgiem otoczyły Elise w zamiarze przewrócenia jej na podłogę. Węzeł spódniczki

poluzował się i materiał opadł Elise na stopy, ale ona nie przejęła się tym. Wzięła zamach i

wymierzyła cios pięścią prosto w twarz

Indianki. Z satysfakcją patrzyła, jak, jęcząc, przyciska

dłoń do krwawiącego nosa. Nie miała jednak czasu nacieszyć się sukcesem, ponieważ

następne przeciwniczki już na nią nacierały.

Nagła, wykrzyczana donośnym głosem komenda powstrzymała atak. Elise, uwolniona

z rąk napastniczek, upadła na kolana. Indianki odsunęły się, pozostawiając ją nagą. Piersi

Elise unosiły się w ciężkim oddechu,



potargane włosy zakrywały  
zarumienioną z wysiłku

twarz.

Mężczyzna siedzący na ławie, ten,  
którego wzięła za Reynauda, okazał się  
Wielkim

Słońcem. Z szeroko otwartymi oczami  
zbliżył się do Elise i spojrzał na nią z  
nieukrywaną

przyjemnością.

Reynaud leżał na ławie. Jego matka  
zmywała mu z pleców krew i  
oczyszczała rany

kawałkiem miękkiej skóry, zanurzonym  
co jakiś czas w gorącym wywarze z ziół.  
Zaklął z

cicha, kiedy zobaczył Elise, i próbował  
wstać, lecz brat powstrzymał go i sam  
zbliżył się

majestatycznie ku miejscu, gdzie  
klęczała Elise.

Pochylił się i wyciągnął dłoń, oferując  
pomoc. Elise, aż nadto świadoma  
swojej

nagości, zawahała się. Jednak szybko  
zrozumiała, że odmowa nie wchodzi w  
grę - pod tym

względem stojący przed nią mężczyzna równie dobrze mógł być królem Francji Ludwikiem.

Wsunęła więc palce w jego dłoń i wstała, starając się zrobić to z wdziękiem. Wódz

Natchezów przez chwilę z przyjemnością i niejakiem rozbawieniem przesuwiał wzrokiem po

jej smukłym ciele.

- Jak się domyślam - powiedział - masz na imię Elise i jesteś kobietą mojego brata.

- Tak, wasza wysokość, jestem Elise.

Skinął głowę, a potem, nadal trzymając ją za rękę, odwrócił się do Indianek i zaczął

łajać je za to, że biją się jak -  
'niegrzeczne dzieci. Wyjaśnił, że Elise jest gościem, drogim

sercu ich nowego wodza, a zatem należy traktować ją z największym szacunkiem.  
A

ponieważ czuje się zawstydzony ich zachowaniem, rozkazuje im odejść i nie pojawiać się bez

oficjalnego zaproszenia.

Kiedy wyszły, odwrócił się i lekko

skłonił.

- W jaki sposób możemy ci' usłużyć, madame Elise? zapytał.

- Ja ... chciałam tylko zająć się Reynaudem.

- Doprawdy? - Odwrócił się do swojej matki. - Maman?

Kobieta popatrzyła na Elise obojętnie i skinęła głową.

- A zatem, proszę bardzo - powiedział Wielkie Słońce, uśmiechając się czarująco.

Jaki on podobny do brata, pomyślała

Elise. Byli bliźniakami, mieli takie same  
oczy,

włosy, tę samą budowę ciała. Jedyna  
różnica polegała na tym, że wódz nosił  
tatuaż nie tylko

na piersi, lecz także na ramionach i jako  
oznakę szczególnie wysokiego statusu -  
na kolanach.

Elise odwróciła wzrok od nieukrywanie  
pochlebnego spojrzenia, z jakim na nią  
spoglądał, i poprosiła:

- Gdybym mogła się najpierw okryć ...

Spojrzał na zachmurzoną twarz brata, a

potem na swoje dwie żony klęczące przy  
paleniskach. Poza Tatuowanym  
Ramieniem i Przepióreczką tylko one  
pozostały jeszcze w  
chacie.

- Skoro musisz ...

Sięgnęła po sponiewieraną spódniczkę i  
zawiązała ją sobie ciasno wokół bioder.

Zacisnęła gniewnie wargi. Przyszła tu,  
żeby pomóc. Dlaczego została  
zaatakowana,

wydrwiona, a w końcu obnażona,  
wystawiona na ich spojrzenia? Kiedy'

pomyślała o

utraconej pozycji szanowanej  
właścicielki ziemskiej, która sama  
rządzi swoim życiem, sama

podejmuje decyzje i nie musi tłumaczyć  
się przed nikim, poczuła żal tak wielki,  
że przez

chwilę sądziła, iż po prostu dłużej tego  
nie zniesie.

Przepióreczka podała jej górną część  
ubrania, która, zawiązana ciasno na  
ramieniu,

osłoniła piersi Elise. Jej długa peleryna  
została powieszona na kołku. Tatuowane



Ramię

podniosła się z ławy, wskazując gestem Elise, aby zajęła jej miejsce.

Elise spojrzała na Reynauda. Na widok malującego się na jego twarzy współczucia i

zrozumienia krew zabarwiła jej policzki lekkim rumieńcem. Odwróciła się do matki wodza.

- Nie zamierzałam zająć twego miejsca, pani.

- Przekazuję ci je.

- Ale lekarstwo, które przyniosłam,

przepadło.

Jedna z żon wodza próbowała właśnie zebrać je z podłogi kawałkiem skorupy.

- Poczekaj, zaraz przyniosę -  
powiedziała Przepióreczka i co prędzej  
wybiegła z

szafasu.

Po wszystkim, co się ostatnio  
wydarzyło, czuła się dziwnie, nie tylko  
tu, w domu

Wielkiego Słońca, lecz także w szafasie  
córkii madame Doucet, gdzie francuskie  
kobiety

potraktowały ją tak chłodno. Zbliżając się do Reynauda, odniosła wrażenie, jakby w wiosce

stał się obcym człowiekiem, nie tym, którego poznała w domu, w pobliżu rozlewiska Duc du

Maine.

Spojrzała na niego.

- Pozwolisz? - spytała sztywno.

W jego oczach pojawiły się iskielki rozbawienia.

- To mi poehlebia. Prawdę mówiąc, bardzo lubię, kiedy się mną zajmujesz,

wiesz o

tym doskonale.

Usiadła obok niego na ławie. Dotknęła lekko ramienia Reynauda, by zasugerować mu,

że chce, aby odwrócił się do niej plecami.

Wydawało jej się, że jest przygotowana na to, co zobaczy, ale widok poranionego

ciała poraził ją. Skóra wokół płonących żywą czerwienią pręg zaczynała już sinieć, a w kilku

miejscach, tam gdzie razy trafiły  
kilkakrotnie, była zupełnie pocięta,  
zwłaszcza na łopatkach,

gdzie celował Ścieżka. Tatuowane  
Ramię dobrze oczyściła ranę i  
krwawienie prawie ustało,

jednak Reynaud odczuwał już skutki  
biczowania, które zniósł tak dzielnie.

- Gdybym tylko miała odrobinę koniaku  
- wymamrotała Elise pod nosem.

- Koniaku? - powtórzył Wielkie Słońce  
z powątpiewaniem.

- Widziałam, jak przemywano nim rany.  
Podobno przyśpiesza gojenie.

- Może mam gdzieś kieliszek lub dwa.

- Hmmm - parsknęła jego matka.

Syn posłał jej spojrzenie skrzywdzonego niewiniątka i rozkazał jednej ze swych ciężarnych żon, by przyniosła alkohol.

Elise ledwie zdawała sobie sprawę z tego, co dzieje się wokół niej. Zanurzyła skórzany gałganek w naparze ziół i przycisnęła go do rany, z której nadal sączyła się krew.

Przyniesiono koniak. Pozostało go ledwie na dwie kamionkowe butelki.  
Wielkie

Słońce spojrział z żalem na trunek, a potem wręczył go Elise.

- Może bardziej przysłużyłby się bratu, gdyby po prostu go wypił.

Reynaud potrząsnął głową.

- Nie sądzę, nie na pusty żołądek.

- Zaradzimy temu, gdy tylko zostaniesz opatrzony.

- Czy mogłabyś się pośpieszyć? -  
wykrztusił Reynaud, wciągając  
gwałtownie

powietrze, gdy Elise wylała alkohol na  
jego plecy.

Zanim wróciła Przepióreczka, wszystko było przygotowane do nałożenia maści.

Elise

nie żałowała leku, a potem okryła rany pasami tkaniny z włókna morwowego i przytrzymała

opatrunek dłuższymi kawałkami materiału, opasującymi ciało.

W końcu przystąpili do jedzenia.

Reynaud z ulgą przyjął pozycję siedzącą.

Dołączył

do nich ojciec jednej z żon wodza oraz dwie starsze kobiety - jedną z nich Elise poznała



wczoraj, gdy zajmowała się chłopcem.  
Obie były ciotkami Tatuowanego  
Ramienia.

Przyprowadzono także cherubinka o  
miedzianej skórze i przedstawiono jako  
syna Wielkiego

Słońca. Wszyscy byli bardzo troskliwi  
wobec Reynauda: podsuwali mu co  
smaczniejsze

kawałki mięsa i chleb oraz wmuszali w  
niego esencjonalny rosół, który  
przywracał siły.

Nawet chłopiec, zwany Sówką, zdawał  
sobie sprawę, że stało się coś złego,  
gdyż bardzo

ostrożnie wdrapał się Reynaudowi na kolana i przytulił mały nosek do jego gładkiego

policzka.

Reynaud jadł łapczywie i z apetytem, przerzucając się żarcikami ze starszymi

kobietami i z bratem. Jednak wkrótce umilkł, a kiedy Elise spojrzała na niego, zobaczyła, że

się zachwiał. Szybko odzyskał równowagę i co prędzej oparł się o ścianę. Zauważyła też, iż

pod oczami ma ciemne kręgi, a jego ściągnięta bólem twarz zdradza

wyczerpanie.

Dlaczego nie miałyby być wyczerpany?  
Przez całą długą drogę ze swego domu  
rzadko

sypiał, a kiedy dotarli w końcu na  
miejsce, pół nocy uczestniczył w  
powitalnej uczcie, a

podczas czuwania w świątyni też  
pewnie nie zmrużył oka. Nie jadł od  
ponad trzydziestu

sześciu godzin, a potem został poddany  
srogiej chłości. To cud, że jeszcze  
trzyma się na

nogach.

Dotknęła jego ramienia. - Połóż się.

U słyszała szmer. To Wielkie Słońce podszedł do brata. - Tak, idź spać. Rozkazuję ci.

Jednak Reynaud wpatrywał się tylko w nią. Jego ciemne oczy, błyszczące od gorączki

i bólu, patrzyły szczerze. Nie było w nich podstęp.

- Połóż się obok mnie, Elise.

Niełatwo było odrzucić taką prośbę, zwłaszcza że brzemię winy nadal jej ciążyło. Co

prawda, niedawno zaklinała się, że nie powróci do jego łóża. I choć w obecnym stanie nie

przedstawiał sobą żadnego zagrożenia, to jeśli teraz się zgodzi, jak zdoła odmówić mu

później?

Odetchnęła głęboko.

- Tylko bym ci przeszkadzała.

- Brakowało mi ciebie wczoraj i podczas wszystkich nocy, które spędziliśmy na

szlaku.

- Powiedziałam ci już - nasza umowa  
wygasła. Nie muszę dłużej ...  
towarzyszyć ci w

łóżu.

- Podyskutujemy o tym innym razem. A  
teraz po prostu chodź do mnie.

Wyciągnął do niej rękę.

- Zrób, co ci mówi - powiedziała matka  
Reynauda.

- Nie mogę.

Wielkie Słońce podszedł bliżej.

- Czy muszę ci rozkazać? To znowu nie

takie wielkie poświęcenie, Francuzko.

Doprawdy? A co z jej dumą i godnością? Z jej przyszłością?

- Proszę, Elise ...

Szare oczy Reynauda pociemniały, a twarz pobladła.

Ręka, którą do niej wyciągał, drżała lekko. Współczucie skłoniło w końcu Elise, aby

zrobiła jeden sztywny krok i ujęła wyciągniętą dłoń. Współczucie i rozkaz jego brata. Nic

więcej, wmawiała sobie.

Ignorując spojrzenia i szept, wsunęła się na ławę od ściany i przyciągnęła go do

siebie. Nasunęła na nich oboje futra, dbając, aby najbardziej miękkie z nich okrywały plecy

Reynauda. Ze ściśniętym sercem zauważyła, że zanim jeszcze dotknęła głową poduszki, on

już spał. Nie pozostało jej nic innego, jak pójść w jego ślady.

Kiedy się obudziła, było jeszcze ciemno. Leżała przyciśnięta do ściany, a jedna z belek boleśnie wbijała jej się w plecy.



W szalasiu panowała nieznośna duchota.  
Usłyszała coś

jakby niewyraźne mamrotanie. Odrzuciła  
ciężkie przykrycie i uniosła się na  
łokciu.

Dogasające w palenisku węgle  
zabarwiały ciemność szkarłatem. W ich  
świetle

zobaczyła członków rodziny Wielkiego  
Słońca, śpiących na ławach. Reynaud  
zamruczał

przez sen. Nie zrozumiała ani słowa i  
nagle targnął ją lęk. Uniosła dłoń i  
przyłożyła mu do

czoła.

Płonęło gorączką, a jego skóra była tak gorąca i sucha, że Elise mimo woli cofnęła

dłoń, skonsternowana i przerażona. Podniosła się ze swego miejsca i usiadła na ławie obok.

Jeszcze raz dotknęła twarzy Reynauda. Przez chwilę zastanawiała się, co w tej sytuacji

powinna zrobić.

Zimna woda, oto czego jej trzeba. Musi go w niej wykąpać, a potem dopilnować, aby

przygotowano napar z kory wierzby.  
Będzie potrzebowała pomocy.  
Rozejrzawszy się po

śpiących, zagryzła wargi,  
niezdecydowana, kogo obudzić.  
Reynaud znów zaczął majaczyć.

Wstała więc szybko i położyła dłoń na  
ramieniu jego matki.

Mijały godziny. Nadszedł ranek, a  
Reynaud nadal nie odzyskał  
przytomności.

Gorączka rosła i spadała, zgodnie . z  
rytmem ich działań, lecz ani na chwilę  
nie ustąpiła. Koło

południa zdjęły bandażę i przemyły  
obrażenia naparem z kory wierzby. Stan  
Reynauda ani się

nie poprawił, ani nie pogorszył. Pewna  
starucha, najstarsza kobieta w  
plemieniu, która знаła

się na ziołach, przyniosła jakiś  
paskudnie woniejący wywar i nalegała,  
aby podawać go

Reynaudowi o brzasku, w południe, o  
zachodzie i o północy. Z trudem  
wmusiły w niego

ohydny specyfik, lecz rezultatów nadal  
nie było.

Na zewnątrz domu zaczęli gromadzić się ludzie. Elise słyszała, jak rozmawiają, a

potem jakaś kobieta zaczęła żałośnie zawodzić. Kiedy późnym wieczorem do chaty wróciła

Przepióreczka, Elise spojrzała na nią znad wyżymanych właśnie bandaży.

- Co ma znaczyć to zamieszanie? Można by pomyśleć, iż spodziewają się, że on umrze.

- Obawiają się tego.

- Ale dlaczego tak demonstracyjnie! Co będzie, jeśli Reynaud ich usłyszy?

Indianka potrząsnęła głową.

- On zrozumie.

- A ja myślałam, że Indianie podchodzą do śmierci ze stoickim spokojem i nie okazują

żalu.

Przepióreczka spojrzała na nią spod oka.

- Nie uważasz, że lepiej okazywać żal, kiedy ten, kto ma odejść, może nas usłyszeć i

upewnić się, że jest kochany? A Jastrząb Nocy, obecnie Tatuowany Wąż, jest kochany przez

wszystkich. A poza tym jest członkiem kasty Słońca i wodzem wojennym.

- Może masz rację, lecz co za różnica ....  
aaa, rozumiem. Jako wysoki rangą członek

kasty Słońca Reynaud nie umarłby samotnie. Wiele bliskich mu osób poszłoby za nim, by

służyć mu również na tamtym świecie. Ponieśliiby śmierć przez uduszenie. A ponieważ został

właśnie wodzem wojennym, wymagałoby to złożenia dalszych ofiar. Gdyby była jego żoną,

nawet ona ... nie, lepiej o tym nie myśleć.

- Cztery lata temu - mówiła  
Przepióreczka - kiedy zmarł ówczesny  
Tatuowany Wąż,

zapanowało ogólne przerażenie,  
ponieważ on także był bratem Wielkiego  
Słońca. Bracia

bardzo się kochali i nasz władca złożył  
przysięgę krwi, że podąży za  
Tatuowanym Wężem na

tamten świat, a to oznaczało rytualne  
ofiary, prawdopodobnie około setki.  
Zapobiegł temu



Francuz. Siedział z Wielkim Słońcem przez całą noc po śmierci brata. W końcu Wielkie

Słońce spotkał jednak śmierć. Niektórzy mówią, że umarł z rozpacz, inni, że z powodu

wstydu, iż nie dotrzymał przysięgi. Teraz sytuacja jest podobna i ludzie boją się, że jeśli

Jastrząb Nocy umrze, jego brat może zechcieć pójść za nim.

- Nie zrobiłby tego, prawda?

- Kto wie? Nieczęsto zdarza się, aby obu bliźniaczym noworodkom

pozwolono żyć.

Zwykle jedno z nich się zabija, tak jak postępuje się z kalekami. W tym przypadku

noworodka, który urodził się jako drugi, uratował ojciec dzieci, twierdząc, iż jeden chłopiec

będzie mógł pozostać w plemienu, a drugi należy się jemu. Jednak więź pomiędzy braćmi

jest bardzo silna i niepokoi ludzi.

Elise wpatrywała się w Indiankę, słuchając jej bez zdziwienia. Chyba w ogóle straciła

zdolność dziwienia się czemukolwiek.

- Nie mają powodu się martwić -  
powiedziała stanowczo. - Reynaud nie  
umrze.

- Gdybyśmy tylko mogli mieć pewność -  
westchnęła Przepióreczka, spoglądając z  
niepokojem na leżącego bezwładnie  
nieprzytomnego Reynauda.

- Dopilnuję tego. Nie pozwolę, by  
Ścieżka Niedźwiedzia triumfował.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Przepióreczka przez cały dzień to  
wchodziła, to wychodziła z chaty,

przynosząc

wszystko, co było potrzebne do  
pielęgnowania chorego, pomagając  
Elise go odwracać i

opiekując się Sówką. Obie kobiety bez  
zbędnych słów odsunęły na bok dzielące  
je różnice i

niemal odzyskały dawną bliskość.

- Nie wspominałam ci? - powiedziała  
teraz Elise. Sądziłam, że ci mówiłam,  
gdyż stale

o tym myślę. Posłuchaj.

Przepióreczka z ponurą miną wysłuchiwała

opowieści, a potem sprowadziła  
Tatuowane

Ramię i przekazała jej to, czego  
dowiedziała się od Elise. W trakcie  
opowiadania o niego

dziwnym postępku Ścieżki wokół nich  
zaczęły się gromadzić kobiety,  
spoglądając jedna na

drugą.

Tatuowane Ramię wysłuchiwała  
Przepióreczki w milczeniu. Z wolna jej  
twarz

przybierała wyraz smutku i  
nieprzejednania.

- Babko - zwróciła się do najstarszej z kobiet - i co powiesz?

Chociaż staruszka nie przemówiła od razu, nikt nie okazał zniecierpliwienia. W końcu

stara kobieta uniosła pooraną bruzdami smutną twarz i powiedziała:

- Ścieżka Niedźwiedzia postąpił niegodnie. Niech uda się na wygnanie.

Kobiety skinęły tylko powoli głowami, podając sobie z ust do ust to jedno słowo:

wyrok, a zarazem klątwę: wygnanie, wygnanie.

Na pierwszy rzut oka kara mogła wydawać się niezbyt sroga. Ścieżka zatrzyma

stanowisko naczelnika Mącznej Wioski, nadal będzie mógł uczestniczyć w tańcach i

świętach, a także walczyć jak wojownik, ale nie wolno mu wejść do Głównej Wioski. Taki

wyrok był dla niego najboleśniejczy, oznaczał bowiem kres wszelkich ambicji, ponieważ to

właśnie w Głównej Wiosce rozgrywały się wszystkie ważne w życiu plemienia wydarzenia:

zbierała się starszyzna, aby ustalić czas zasiewów i żniw, polowań i wojen, tam mieścił się

dwór Wielkiego Słońca, gdzie rozdzielano łaski i przywileje. Ścieżka zaś do końca życia

pozostanie tym, kim był: pomniejszym wodzem, który nigdy nie będzie miał wpływu na

decyzje, w istotny sposób wpływające na życie plemienia. Był skończony.

Żony Wielkiego Słońca spojrzały jedna na drugą, a potem młodsza z nich wyśliznęła



się z domu. Głosy na zewnątrz przybrały na sile, dały się też słyszeć gniewne okrzyki.

Czas mijał, a Elise i jej pomocnice nadal zajmowały się Reynaudem. Mniej więcej w

godzinę później przed domem dało się słyszeć głośno wypowiedziane pozdrowienie i jakaś

kobieta poprosiła, by pozwolono jej wejść. Starsza z żon Wielkiego Słońca wyraziła zgodę i

do szalasu weszła matka Ścieżki Niedźwiedzia, Ruda Łania, która pierwsza zaatakowała rano

Elise. Masywnie zbudowana kobieta,  
której grube rysy zdradzały mieszaną  
krew,

prawdopodobnie Natchezów i Tiouxów,  
przyszła wstawić się za swoim synem.

Wielkie Słońce przebywał akurat w  
świątyni, a Tatuowane Ramię odmówiła  
pójścia

tam z Rudą Łanią albo posłania po syna.  
Wysłuchiwała matki Ścieżki Niedźwiedzia  
w ciszy, nie

odwracając od niej spojrzenia ani na  
sekundę. Kobieta gestykulowała dziko,  
wymachując

rękami w kierunku Elise i Reynauda  
leżącego na ławie. W końcu umilkła.  
Matka wodza

uniosła ramię i przemówiła, płynnie i  
bez wahania.

Elise nie rozumiała słów, lecz ich  
znaczenie było oczywiste. Nie będzie  
odwołania od

wyroku. Matka Ścieżki odwróciła się.  
Zachowała dumną postawę i starała się,  
aby jej twarz

wyrażała tylko gorycz porażki i głęboki  
smutek. Mijając Elise, spojrzała na nią  
wzrokiem

pełnym nienawiści.

Sąd nad Ścieżką, mimo że pośpieszny i nieformalny, był prawomocny. Nikt nie ogłosi

wyroku, uzbrojeni wojownicy nie przyjdą, by wyprowadzić skazanego z wioski, lecz jeśli nie

odejdzie sam, będzie traktowany jak zmarły. Nikt się do niego nie odezwie ani nawet nie

zauważy jego obecności. Przyjaciele będą traktować go jak powietrze, a kobiety zaczną

ignorować i głośno rozprawiać o nim

jako o kimś bezwartościowym, czyja  
nieobecność czyni

życie lepszym. Nikt nie wytrzyma długo  
takiego ostracyzmu, toteż często zdarzało  
się, że

osoba skazana na wygnanie popełniała  
samobójstwo albo zniknęła w lasach.

Czasami

dołączała do innego plemienia, ale tak  
czy owak, słuch o niej ginął.

Noc nie przyniosła zmiany w stanie  
zdrowia Reynauda.

Elise zastanawiała się gorączkowo nad  
innymi sposobami leczenia.

Słyszała o wylewaniu alkoholu na rany,  
a potem podpalaniu go, by przypalić  
chorą

tkankę, ale wątpiła, czy tego typu  
kuracja przyniesie coś więcej niż ból i  
szok. Podobno

kawałki spleśniałego chleba położone  
na ranie czynią cuda, lecz tu nie było  
białego chleba. N

a statku lekarz miał specjalne proszki,  
jednak Elise po pierwsze, nie miała do  
nich dostępu, a

po drugie, nie wierzyła, by były one  
bardziej skuteczne niż zioła.

Tuż przed świtem Tatuowane Ramię wstała i zajęła miejsce Elise, jej zaś kazała się

położyć. I choć Elise bardzo pragnęła odmówić, nie była w stanie tego uczynić. Obawa o

zdrowie Reynauda, jak również wysiłek fizyczny 'związany z nieustannym pielęgowaniem

go zupełnie wyczerpały jej siły.

Obudziły ją krzyki i wrzawa dochodząca z głównego placu. Na dworze był już jasny

dzień. Sądząc, że to tylko jakaś zabawa,

Elise z trudem zwlokła się z posłania,  
poprawiła

ubranie i poszła sprawdzić, co 1,  
Reynaudem. Znalazła go w stanie nie  
lepszym niż

wieczorem. Czuwała przy nim  
Przepióreczka. Elise podeszła do sagana  
z ciepłą wodą, by

obmyć twarz. Zatrzymała się jeszcze na  
chwilę, żeby przyjść z pomocą  
szczeniakowi, którego

Sówka włókł za ogon. Była przekonana,  
że psina i tak wkrótce trafi do garnka.

Usiadła i wzięła na kolana roześmiane



dziecko. Zaczęła obmywać mu buzię i bawić

się z nim. Radosny szczebiot małego działał odprężająco. Zajęła się dzieckiem tak po prostu,

jak zwykły to czynić codziennie wszystkie kobiety w chacie. Malec bez przerwy plątał im się

pod nogami, wszystkiego ciekaw i trzeba było pilnować, aby nie zrobił sobie krzywdy. Nigdy

na niego nie krzyczano, nigdy nie dostał klapsa. Aby odwrócić jego uwagę, na przykład od

paleniska, dawano mu zabawkę albo jakieś naczynie. Nigdy też nie dopuszczano do tego, by

dzieciak przeszkadzał Reynaudowi lub swemu ojcu albo utrudniał wykonywanie codziennych

zajęć.

Przepióreczka powiedziała coś po cichu do Tatuowanego Ramienia, a potem podeszła

do Elise i zapytała, czy nie zechciałyby pójść z nią do strumyka i wykąpać się.

Kiedy przechodziły przez plac, podeszła do nich jakaś kobieta. Powiedziała, że

zwiadowcy natknęli się na ekspedycję francuską, która przeprowadzała rozpoznanie na

południu. Zabili pięciu żołnierzy i uprowadzili dwóch, z których jeden został od razu

zameczony na śmierć. Drugiego przyprowadzono do wioski i choć nie znała jego imienia,

chodziły słuchy, że jeniec jest kupcem. Kobieta sądziła, iż dobrze się składa, że wojownicy

będą mieli okazję sobie pokrzyczeć i potaćzyć, oderwie to bowiem ich myśli od rozważań o

tym, co przygotowują dla nich Francuzi,  
i o sprawie Ścieżki Niedźwiedzia.

Elise nie mogła nic zrobić dla  
schwytanego mężczyzny, toteż za  
wszelką cenę starała

się nie myśleć o tym, co wkrótce będzie  
się działo na placu. Nie rozmawiały zbyt  
długo z

kobietą, lecz pośpieszyły nad strumień.  
Elise zastanawiała się, kim też może być  
ów Francuz -

czy jest to ktoś, kogo zna, czy po prostu  
żołnierz pełniący swoją powinność.  
Wiedziała już, że

Indianie nie cenili zbyt wysoko żołnierzy regularnej armii francuskiej, uważając ich za niewiele

lepszych od niedoświadczonych młodych wojowników. Szacunkiem obdarzali tylko milicję -

ochotników, którzy nauczyli się walczyć na sposób indiański, atakując z zasadzki, zamiast

maszerować w szyku wprost w objęcia śmierci.

Na brzegu zdjęły ubrania i zanurzyły się w wodzie. Nagły chłód sprawił, że niemal

zaparło im dech, lecz lodowata  
świeżość przywracała siły, a ruch  
rozgrzewał.

Nieco dalej od nich, w dole strumienia,  
kobieta, która dopiero co urodziła  
dziecko,

obmywała siebie i noworodka. Elise  
słyszała, że to właśnie ów obyczaj jest  
powodem tak

wysokiej śmiertelności wśród  
indiańskich niemowląt, jednak matki  
były nieczułe na

perswazje, nad wszystko przedkładając  
czystość. Również indiańskie dzieci,  
cierpiące z

powodu gorączki wywołanej chorobami białych ludzi: ospą i przeziębieniami, przychodziły

kąpać się w lodowatej wodzie, co prowadziło do zapalenia płuc i śmierci. To prawda, że ci,

którzy przetrzymali codzienne kąpiele, byli zdrowi i silni. Bardzo rzadko widywało się kaleki

albo osoby zdeformowane z przyczyn innych niż rany odniesione w bitwie, nic więc

dziwnego, że jeśli młody Indianin zobaczył na swoim ciele ślady po ospie, popełniał

samobójstwo, przerażony, że pozostanie oszpecony do końca życia.

Nigdzie wokół nie było widać mężczyzn. Kąpią się w innym miejscu, wyjaśniła

Przepióreczka. I nie chodzi o to, że nagość wprawia kogokolwiek w zażenowanie, nie, skąd.

Chłopcy i dziewczęta do wieku dojrzewania kąpią się i pływają razem. Później, kiedy

zaczynają się obowiązki, wspólne kąpiele pochłaniałyby zbyt wiele czasu, który należy



poświęcić na wykonywanie różnych zajęć. Elise, przypomniawszy sobie pewną szczególną

noc sprzed paru tygodni, uznała ten argument za rozsądny.

Wracały do domu na wzgórzu lżejszym krokiem i z lżejszym sercem. Idąc, gawędziły

wesoło, korzystając na przemian z drewnianego grzebienia. Kiedy przechodziły przez plac,

Elise spostrzegła wznoszoną tam właśnie konstrukcję w kształcie bramy i szybko odwróciła

wzrok. Umilkła, a wkrótce potem  
zatrzymała się gwałtownie.

Indianie przywiązywali właśnie  
Francuza do słupów.

Rozebranego do naga jeńca rozciągnięto  
pomiędzy palami i przywiązano za  
nadgarstki

i kostki nóg. Głowa opadła mu  
bezwładnie na pierś, jasne włosy  
błyszcząły w słońcu,

poruszane lekkim wiatrem. Na białej  
skórze nieszczęśnika widać było ślady  
uderzeń, a spod

ciasno zaciśniętych więzów sączyła się

krw. Jeden z wojowników podszedł bliżej i dźgnął

skazańca czubkiem noża. Ten nawet nie jęknął, lecz podniósł głowę i spojrział przed siebie

przez plac, prosto na Elise.

- To Pierre! - wyszeptała z niedowierzaniem.

- Owszem - zgodziła się Przepióreczka obojętnie. - Jak na Francuza wychowanego

wśród Natchezów postąpił bardzo głupio. Nie powinien był wracać.

## ROZDZIAŁ XIII

- Musisz to zrobić - proszę,  
Przepióreczko, błagam cię!

- Jeżeli zażądam tego mężczyzny dla  
siebie, zawsze już będę za niego  
odpowiedzialna.

- Jesteś wdową, nie masz nikogo, kto  
przynosiłby ci mięso i oczyszczał pola  
przed

zasiewem.

- Moi konkurenci doskonale sobie z tym  
radzą. - Indianka dumnie uniosła głowę.

- Ach, konkurenci! Ci zawsze usiłują cię

naciągnąć, namówić, byś poszła z nimi do

łóża, lub dopaść cię samą w lesie.

- Jesteś w błędzie. Nie polują na mnie i nie biorą mnie przemocą, jak to jest w

zwyczaju ludzi twojej rasy. U nas mężczyzna nie podejździe do kobiety, o ile nie zostanie do

tego wyraźnie zachęcony. Wojownik wie, że musi panować nad swymi namiętnościami.

Elise wpatrywała się w nią zdziwiona, lecz kiedy przypomniała sobie delikatność, jaką

wykazał Reynaud, zbliżając się do niej, nie wątpiła, że Indianka mówi prawdę. - Sama

widziałam, jak próbują zwabić cię do lasu.

- Owszem. Ale to ja decyduję, z kim pójdę i kiedy, tak jak wszystkie dziewczęta po

osiągnięciu dojrzałości. To dlatego ojczulkowie w czarnych habitach nazywają nas

nierządnicami, wychwalając moralność naszych mężczyzn, ponieważ powstrzymują się od

obcowania z kobietami. Nie rozumieją,  
że od mężczyzny oczekuje się, iż  
zapanuje nad

pokusami cielesnymi, podczas kiedy  
kobieta z natury rzeczy ma prawo  
zaspokajać ciekawość

mężczyzn, nawet z tym, którego w końcu  
poślubi. Nasze małżeństwa są o wiele  
szczęśliwsze

niż wasze.

~ Czasami, ale nie zawsze. Nie byłaś  
szczęśliwa ze swoim indiańskim mężem.

- Bo nie potrafił zapomnieć, że byłam  
niewolnicą pana Laffonta.

- A teraz ty możesz mieć białego mężczyznę, który, jeśli zechcesz, zostanie twoim

niewolnikiem. Weź go przynajmniej do swego szałas! Dogadalibyście się. Oboje znacie

francuski i język Natchezów, a poza tym ogrzewałby cię, kiedy wieje zimny północny wiatr.

- Ależ Elise, on jest zdrajcą, wrogiem!

- Wcale nie! Opuścił plemię, żeby handlować, a nie po to, żeby przyłączyć się do

Francuzów. Odszedł na długo przed



masakrą w wigilię świętego Andrzeja, o ile wiem, całe

lata wcześniej. Nikt nie może powiedzieć na niego złego słowa. Nie poinformował

Francuzów o poczynaniach Natchezów i nie przyłączył się do karnej ekspedycji wojskowej.

Podróżował ze zwiadowcami, ponieważ dowiedział się, co spotkało Reynauda i bał się o

przyjaciela. Jaki z niego wróg?

- Jest Francuzem.

- Ja także!

- Właśnie.

Dyskusja zdawała się jałowa i Elise obawiała się, że zanim zdoła namówić

Przepióreczkę, by ocaliła Pierre'a, wojownicy zdążą go oskalpować.

Reynaud opowiadał jej o

tym zwyczaju i czasami zdarzało się, że jakiś jeniec został uratowany przez kobietę. Nie

spodziewała się jednak takiego oporu ze strony Przepióreczki.

- To bliski przyjaciel Reynauda -

podjęła, starając się nie stracić  
cierpliwości - wiesz o

tym. Jak myślisz, czy Reynaud nie  
zrobiłby, co w jego mocy, by uwolnić  
Pierre'a? Będzie

szalał z rozpacz, kiedy odkryje, że  
zginął tu, w wiosce, podczas gdy on  
leżał nieprzytomny.

Pomyśl tylko, jak bardzo będzie ci  
wdzięczny, gdy dowie się, że go  
uratowałaś.

- Nie chcę mężczyzny.

Elise udała się najpierw do  
Tatuowanego Ramienia.

Matka Reynauda odparła jednak, że to sprawa mężczyzn, ona nie może się wtrącać.

Tylko wódz wojenny lub Wielkie Słońce ma dość władzy, by uratować jeńca.

Elise poprosiła

więc o interwencję brata Reynauda, ale nie uznał tego za dobry pomysł. I tak podejrzewano

go o profrancuskie sympatie i nie chciał narażać swojej pozycji. Uznał, że najlepiej będzie

pozostawić sprawy własnemu biegowi.

Elise wróciła do Przepióreczki i

spróbowała jeszcze raz.

Chwyciła ją za ramiona i potrząsnęła.

- Pamiętasz, jak dorastaliście razem?

Nie masz żadnych wspólnych wspomnień? Nie

został w tobie nawet cień sympatii dla towarzysza zabaw dziecięcych?

Indianka spochmurniała.

- Nosił za mnie wodę ze strumienia, kiedy wykręciłam sobie nadgarstek.

Podarował

mi dziesięć niebieskich piór sójki i dziesięć niebieskich koralików, bym

miała czym ozdobić

mokasyny.

- Widzisz?

- Pomagał mi też ukrywać tłustego białego szczeniaka, którego babka chciała wrzucić

do garnka, i nie śmiał się tak jak inni, kiedy go w końcu znalazła.

- To ten sam człowiek, uprzejmy i szczodry, troszczący się o tych, których kocha.

Inaczej by go tu nie było, jestem tego pewna. Powrócił w te strony, ponieważ

usłyszał, co

przytrafiło się Reynaudowi.

- Gdy mieszkał z nami, nazywał się Włosy Słońca, ponieważ jego włosy były jasne

niczym słoneczne promienie. Nigdy dotąd takich nie widzieliśmy.

- Teraz nieco ściemniały, lecz nadal są inne niż włosy mężczyzn z plemienia

Natchezów - zasugerowała Elise.

- Tak. Z pewnością przyjemnie byłoby ich dotykać.

- o ile go ich nie pozbawią, i to razem ze skalpem! Och, Przepióreczko, proszę!

- W plemienu uważa się go za szlachetnie urodzonego, a kiedy zawitał do nas

ostatnio, przywiózł nam drogie prezenty.

Elise zamilkła w obawie, by nie przeciągnąć struny. Indianka siedziała z wyrazem

głębokiego zastanowienia na twarzy. Nagle wstała.

- Doskonale, zrobię to - powiedziała stanowczo.



Elise nie dała jej czasu na zmianę decyzji, chwyciła za rękę i pociągnęła w stronę

placu. W pobliżu słupów, do których przywiązano Pierre' a, płonął ogień. Torturowanie już

się rozpoczęło, na ciele skazańca widać było ślady oparzeń. Jednak Pierre, podobnie jak

ludzie, wśród których się wychował, nie wydał z siebie jęku.

Teraz, kiedy już podjęła decyzję, Przepióreczka zamierzała w pełni wykorzystać

dramatyzm sceny.

Z podniesioną głową dziarsko  
wkroczyła na plac. Zatrzymała się przed  
Pierre'em i

zaczęła mu się demonstracyjnie  
przyglądać, nie pomijając intymnych  
części jego ciała,

kiwając z aprobatą głową.

Niektórych wojowników zaniepokoiła  
jej obecność, lecz inni uśmiechali się  
pod

nosem. Większość okazywała po prostu  
grzeczne zaciekawienie. Przepióreczka  
potoczyła po

nich wzrokiem.

- Przyszłam - oznajmiła dobitnie - aby zażądać tego mężczyzny dla siebie.

Prawem

wdowy, która straciła męża na polu bitwy, domagam się, by odtąd był ze mną.

Elise trzymała się z tyłu, ale zobaczyła, że Pierre podniósł głowę i spojrzał na

Indiankę. W jego spojrzeniu, gdy zorientował się, kim jest jego wybawicielka, widać było

niedowierzanie, wdzięczność i coś, co sprawiło, że Elise zadrżała w chłodzie

poranka.

Ci sami wojownicy, którzy tak brutalnie przywiązali Pierre'a do słupów, teraz odcięli

go delikatnie, okryli kocem i zanieśli do szałasu Przepióreczki. Indianka kazała im wyjść, co

potulnie uczynili, ale gdy tylko znaleźli się za drzwiami, zaczęli głośno żartować i śmiać się.

Elise dołożyła dREW do paleniska i nastawiła wodę, a potem zajrzała do garnków w

poszukiwaniu czegoś do jedzenia.

Znalazła tylko gulasz i postawiła go na ogniu.

Przepióreczka napełniła wodą małą kamionkową butelkę i ruszyła z nią ku ławie, na której

leżał Pierre.

- Chcesz pić? - zapytała krótko.

Lekki uśmiech rozjaśnił jego bladą twarz. - Ponad wszystko.

Widocznie zmuszano go do nieustannego marszu, nie pozwalając zaspokoić

pragnienia. Przepióreczka od razu odgadła, czego potrzeba mu najbardziej,

i był to znak, że

troszczy się o niego.

Pierre próbował usiąść, lecz nie dał rady. Szok wywołany torturami osłabił go

bardziej, niż przypuszczał. Jego twarz przybrała wyraz zdziwienia. Indianka pochyliła się

szybko i uniosła mu głowę. Z jej pomocą, krzywiąc się z bólu, zdołał wreszcie się napić.

- Rany z pewnością mocno ci dokuczają  
- powiedziała Przepióreczka cicho,  
miętko. -

Zaraz się nimi zajmę.

- Jesteś bardzo ... uprzejma, a ja jeszcze ci nie podziękowałem.

Przepióreczka cofnęła się.

- To Elise powinieneś dziękować. To ona ubłagała mnie, żebym poszła na plac i

zażądała, by mi ciebie wydano.

- Więc dziękuję ci z całego serca, Elise  
- powiedział Pierre, pochylając głowę w geście

wdzięczności.

We dwie umyły go, oczyściły rany i posmarowały uzdrawiającym balsamem.

Nie

skarżył się, a nawet zażartował, że straszne z nich diablance, ponieważ chcą załaskotać go na

śmierć, co jest gorszą torturą niż te, które wymyślili dla niego wojownicy.

Jednak już w

następnej chwili gorąco im dziękował. Zapewnił je też solennie, że ma dość sił, aby samemu

się wykąpać i tylko lenistwo oraz przyjemność, jaką czerpie z faktu, że zajmują się nim dwie



piękne kobiety, powstrzymuje go od tego. Jednak kiedy to mówił, musiał opierać się o ścianę

szafasu, tak bardzo był osłabiony.

W pewnej chwili jego dłoń niby niechcący musnęła pierś Przepióreczki. Dziewczyna

odsunęła się gwałtownie, co wywołało łobuzerski błysk w oczach Pierre'a. Odtąd nie pomijał

żadnej okazji, by dotknąć jej biodra, uda czy szyi. Przepióreczka, wzburzona i niepewna, co o

tym sądzić, rzucała mu groźne

spojrzenia, lecz on miał minę  
niewiniątka. Może i był

osłabiony, ale z pewnością nie stracił  
ducha.

W końcu pacjent, czysty' i opatrzony,  
leżł wygodnie na ławie. Bruzdy  
znamionujące

znużenie powoli znikały z jego twarzy,  
która szybko odzyskiwała kolor,  
zwłaszcza gdy wypił

solidną porcję esencjonalnego rosołu.  
Leżał cicho, z zamkniętymi oczami.  
Przepióreczka,

siedząc obok niego na ławie, jakby

przyciągana magiczną siłą, odsunęła z jego czoła kosmyk

miękkich, lśniących złotych włosów. W pierwszej chwili zaskoczony, chwycił dłoń Indianki,

uniósł do ust i spojrzał wymownie.

- Zależy ci na mnie - powiedział cicho. -  
Przyznaj się.

- Mówiłam ci ...

- Powiedziałaś mi, kto ubłagał cię, byś mi pomogła, ale nie wyjaśniłaś, dlaczego

wyraziłaś zgodę.

- Ja .... musiałam, skoro Jastrząb Nocy nie mógł tego uczynić.

- Co powiedziałaś?

Kiedy wysłuchał opowieści o kłopotach Reynauda, przez chwilę leżał w milczeniu,

głaszcząc dłoń Przepióreczki. Tym razem nie śpieszyła 'się, by mu ją odebrać.

- Dobrze, że przyjechałem - powiedział po dłuższej chwili.

- Cieszysz się, że zostałeś schwytany i o mało nie zginąłeś? - zdziwiła się

Przepióreczka.

- Dobrze, że jestem tutaj, gdyż Reynaud może mnie potrzebować - odparł,

uśmiechając się. - Ale nie żałuję, że mnie schwytano, skoro dzięki temu możemy być razem. -

Majaczysz - prychnęła i wyrwała mu dłoń.

- Zawsze byłaś nieznośna, gdy czułaś się zakłopotana - powiedział Pierre. -  
Pamiętam,

że kiedy podarowałem ci niebieskie pióra i koraliki, kopnęłaś mnie w goleń.

- Nieprawda!

- Zrobiłaś to, pamiętam doskonale.

- Ja też to pamiętam i ...

- Ach, więc naprawdę mnie kochasz!

Przepióreczka poderwała się  
gwałtownie i odskoczyła od ławy.

- Wiedziałaś, że tak będzie!

Wiedziałaś, co sobie pomyślisz!

Uważasz, że cię

uratowałam, ponieważ za tobą szaleję!

Dlatego uchroniłam cię przed torturami!

Gdyby nie ja,

twój skalp wisiałby już u pasa jakiegoś wojownika! Zarozumialec! Zrobiłam to z litości!

- Litość prowadzi do miłości, więc przyjmuję twoje wyjaśnienie - powiedział szybko. -

Często o tobie myślałem, Przepióreczko. Widziałem, jak wyrastasz na śliczną, miłą

dziewczynę, ale zanim zdążyłem cokolwiek przedsięwziąć, już cię sprzedano, a potem byłaś

mężatką• A ty, myślałaś o mnie czasami?

W milczeniu wpatrywała się w niego, a

kiedy sięgnął po jej dłoń, nie odebrała mu jej.

- Od czasu do czasu - przyznała.

- Ale w jaki sposób? Pytam, bo zaintrygowały mnie słowa, które wypowiedziałaś,

kiedy po mnie przyszłaś.

Co miałaś na myśli?

Ciemny rumieniec zabarwił twarz  
Przepióreczki.

- To były tylko słowa.

- O nie, nie przyjmuję takiego



wytłumaczenia. Musisz mi powiedzieć. -  
Przyciągnął ją

do siebie i przycisnął wargi do jej dłoni.

- Nie musisz uwodzić mnie pięknymi  
słówkami i gestami dlatego, że  
uratowałam ci

życie.

- Nawet jeżeli sprawia mi to nieziemską  
przyjemność? I jeśli jest tylko bladym

odbiciem tego, co czuję do ciebie w tej  
chwili?

- Jesteś osłabiony, nie wolno ci się  
męczyć.

- Z każdą chwilą odzyskuję siły, ale z pewnością ozdrowiałbym szybciej, gdybyś tu do

mnie przyszła.

- Co za zarozumiałość - powiedziała Przepióreczka, ale jej słowom brakowało

przekonania.

Elise chrząknęła, aby oczyścić ściśnięte gardło.

- Powinnam już iść. Zbyt długo nie było mnie przy Reynaudzie.

Pierre i Przepióreczka nie

odpowiedzieli i nie wyglądało na to,  
aby w ogóle zdawali

sobie sprawę, że Elise wychodzi.

Tak bardzo chciała opowiedzieć o  
wszystkim Reynaudowi! Nikt inny nie

rozumiałby, co czuła. Jednak on był  
nadal nieprzytomny. Leżał bezwładnie  
na ławie w

dusznym ciepłe domu, nieświadomy  
toczącego się wokół codziennego życia.

Chciała przenieść go do jego chaty, lecz  
delikatnie dano jej do zrozumienia, że  
nie jest

to dobry pomysł. Matka i brat martwili się o niego i nie ufali jej na tyle, aby zostawić go z nią

sam na sam. Ten brak zaufania, choć nie wyrażony głośno, mówił sam za siebie.

Próbowała wpuścić do środka trochę powietrza i światła, pozostawiając uchylone

drzwi, lecz jedna z ciotek zamknęła je zaraz, drżąc w swoim płaszczu, którego poły ciągnęły

się po podłodze, tak bardzo staruszkę przygiął do ziemi artretyzm. Elise postanowiła dać

sobie spokój. Dobrze przynajmniej, że nikt nie wpadł na pomysł, aby zaciągnąć gorączkującego Reynauda do strumienia i sprawić mu lodową kąpiel, pomyślała.

Zapadła kolejna noc. Członkowie rodziny jeden po drugim układali się na ławach i

wreszcie w domu zapanowała cisza. Elise siedziała na odwróconym dzbanie, wsparta plecami

o ławę, na której leżał Reynaud, i wpatrywała się w dogasający ogień. Myślała o Pierze i

Przepióreczce, zastanawiając się, jak też ułoży się ich wspólne życie.

Później jej myśli powędrowały ku Nowemu Orleanowi i fortowi Saint Jean Baptiste.

Co robią teraz Francuzi? Co z ekspedycją przeciw Natchezom? Kiedy o niej usłyszą, kiedy

zobaczą swych rodaków? Z jej obliczeń wynikało, że Boże Narodzenie minęło, gdy byli na

szlaku, i że teraz jest już nowy rok, 1730.

Jeszcze kilka tygodni i nadejdzie wiosna

- u Natchezów pora odradzania się,

przyjmowana równie naturalnie, jak  
wywodzenie rodowodu dziecka od  
matki czy podział

roku na trzynaście miesięcy, zgodnie z  
fazami księżyca i kobiecymi cyklami.

Ona sama właśnie spodziewała się  
comiesięcznej przypadłości, opóźnionej  
nieco z

powodu wyczerpania wywołanego  
męczącym marszem. Mimo to czuła, że  
miesiączka

wkrótce się pojawi i nie będzie musiała  
prosić Przepióreczki o odpowiednie

zioła. To z

pewnością zbliżający się okres  
sprawiał; że czuła się taka apatyczna,  
przygnębiona i

rozkojarzona. Jeśli dołączyć do tego  
zdenerwowanie spowodowane poranną  
walką o życie

Pierre'a i fizyczne zmęczenie, nie ma się  
co dziwić, że była rozdrażniona i miała  
ochotę

wybuchnąć płaczem, do czego zresztą o  
mało nie doszło, gdy niezdarnie i  
bezsukutecznie

próbowała napić Reynauda leczniczym



naparem.

Wysuszone wargi chorego popękały, kości policzkowe wyraźniej rysowały się pod

skórą. Oczy zapadły się, a brodę i policzki pokryła ciemna szczecina. Była to twarz o

zdecydowanych rysach, twarz człowieka, któremu można zaufać. To niemożliwe, aby on

umarł, pomyślała.

Przesunęła palcem po dolnej wardze Reynauda, szorstkiej teraz i spękanej, choć swego

czasu, kiedy dotykał ustami jej warg, wydawała się tak gładka i ciepła. Czy jeszcze kiedyś

tego doświadczy? I czy chciałaby? ... Na samą myśl o tym zakręciło jej się w głowie.

Przezesłała palcami szorstki, czarny jedwab jego włosów, czując, jak łyzy dławią ją w gardle.

- Reynaudzie - szepnęła. - Jastrzębiu Nocy, Tatuowany Wężu, nie umieraj. Proszę, nie

umieraj.

Leżący bezwładnie mężczyzna nie

poruszył się ani nie odezwał, ale jego pierś unosiła

się oddechem. Wzruszona, oparła głowę na jego ramieniu.

Obudził ją jakiś skrzeczący odgłos. Poderwała raptownie głowę, ganiąc się w duchu za

to, że zasnęła. Próbując pobudzić ośpiąte zmysły, dotknęła dłonią jego policzka. Był

rozpalony i wilgotny od potu.

- Elise, kochanie - zachrypiał Reynaud - czy mógłbym dostać coś do picia?

Zaczerpnęła gwałtownie powietrza i zerwała się na równe nogi. A więc obudził się i

znowu był sobą. Gorączka ustąpiła.

- Tak, och tak, oczywiście.

Podbiegła do glinianego naczynia, przykrytego skórą, napełniła drewnianą czarzkę

wodą i niosąc ją ostrożnie, wróciła do Reynauda. Uniosła mu głowę i przytknęła miseczkę do

warg. Przytrzymał naczynie i łapczywie opróżnił.

- Mogę jeszcze? - zapytał, kiedy czarka była już pusta. - Nalałbym sobie sam, ale

jestem słaby jak mały opos, a na dodatek zupełnie zeszywniałem.

- Nie, nie, ja ci przyniosę. - Była zdezorientowana i czuła się tak, jakby właśnie

obudziła się z koszmaru lub dalej śniła.

Kiedy przyniosła mu wodę, upił nieco, a potem spojrzał na nią znad krawędzi

naczynia.

- Mam w ustach okropny smak.

Uśmiechnęła się lekko, słysząc ten żalony ton.

- To po lekarstwie.

- Chyba nie chcę go już zażywać.

- Nie będziesz - powiedziała drżącym głosem i w końcu łzy, tak długo

powstrzymywane, spłynęły jej po policzkach i spadły na ramię, którym go podtrzymywała.

- O co chodzi? - zapytał z troską.

- O nic - odparła, uśmiechając się i potrząsając głową. - Krople łez zabłysły

w

przyćmionym świetle. - Teraz już o nic.

Dni mijały niepostrzeżenie. Z południowego wschodu nadciągnęły chmury. Deszcz

padał bez ustanku, sprawiając, że zbocza wzgórz ociekały wodą, a plac zamienił się w bajoro.

Reynaud wracał do zdrowia, choć nie tak szybko, jakby tego pragnął. Na ogół był

posłusznym pacjentem, czasami jednak zapominał się i nieostrożnym ruchem powodował, że

świeżo zagojone rany pękały.

Przeszkadzał mu też zapach maści, którą Elise i Tatuowane

Ramię codziennie wcierały w jego plecy. Kiedy najgorsze minęło i poczuł się silniejszy,

zaczęła dokuczać mu beczynność. Tak było, dopóki nie zorientował się, że Przepióreczka

nauczyła Elise kilku słów w języku Natchezów, i sam nie przejął roli nauczyciela.

Rezultat jego poczynań wywoływał u indiańskich kobiet takie rozbawienie, że aż



chwytaly się za boki. W języku Natchezów używało się bowiem zwrotów i formuł

grzecznościowych w zależności od tego, czy mówiący zwracał się do kogoś z rodu Słońca,

czy do osoby należącej do innej kasty. Poza tym mężczyźni wymawiali głoski krócej i

bardziej twardo niż kobiety. Francuzi, którzy nauczyli się języka od swoich indiańskich

kobiet, byli uważani przez Natchezów za zniewieściałych. Elise odwrotnie, wyrażała się jak

mężczyzna, mimo że bardzo się starała mówić poprawnie. Męski ton jej wypowiedzi

sprawił, że kiedy zwracała się do Sówki, ostrzegając go, aby nie zbliżał się zbytnio do

paleniska czy gorących naczyń, chłopiec słuchał jej tak, jak słuchał ojca czy Reynauda.

Częste wizyty Pierre' a także przyjemniały Reynaudowi czas przymusowej

bezczynności, choć ich rozmowy, zwłaszcza gdy rozkładali plany i mapy narysowane na

wyprawionej skórze, bywały poważne, a nawet niepokojące. Najczęściej jednak przerzucali

się sprośnymi żarcikami. Elise i Przepióreczka krzątały się przy palenisku i udawały, że tego

nie słyszą. To właśnie Francuz zaraz pierwszego dnia po odzyskaniu przez Reynauda

przytomności opowiedział przyjacielowi o tym, jak go schwytano i co zrobiła Elise, by go

uwolnić. Wdzięczność, z jaką o tym mówił, i deklaracje dozgonnej przyjaźni chwytały za

serce.

A kiedy Pierre i Przepióreczka wyszli, Reynaud przywołał Elise. Ujął jej dłoń i

powiedział:

- Trzymałaś los Pierre'a w tych małych rękach, ma chire. Wiesz o tym?

- Wy obaj robicie z igły widły - zbagatelizowała. Spuściła oczy i próbowała się

uwolnić z uścisku.

- Jestem ci niewypowiedzianie wdzięczny, że wykazałaś dość rozumu i troski, aby

podsunąć Przepióreczce sposób uratowania go.

- Każdy by tak postąpił.

- Wątpię. W wiosce jest wiele francuskich kobiet, a żadna z nich nie kiwnęła palcem,

aby mu pomóc - niektóre nie wiedziały jak, a reszta po prostu ze strachu.

„ - Moje położenie jest inne niż ich.

- Ponieważ ty jesteś inna i dziękuję za to wszystkim bogom.

Uniósł do ust jej rękę i ucałował.  
Spoglądając w jego ciemne, pełne

namiętności oczy,

Elise poczuła, jak coś w niej śpiewa z  
radości, podczas gdy kolana z  
niewyjaśnionych

przyczyn uginają się pod nią niczym  
żdźbła trawy.

Wyglądało na to, że Pierre nie uważa  
obowiązków, jakie wyznaczyła mu

Przepióreczka, za uciążliwe. Co do  
Indianki zaś, to zaczęła paradować w  
mokasynach

ozdobionych niebieskimi paciorkami i  
nie traciła żadnej okazji, by dotknąć  
swego Francuza,

ilekroć znalazła najmniejszy choćby pretekst, by się do niego zbliżyć. Dobrze się złożyło, że

Reynaud zdrowiał tak szybko, ponieważ Przepióreczka rzadko przychodziła teraz do chaty

Wielkiego Słońca. Wolała spędzać czas w domu, z Pierre'em.

Być może sprawiła to interwencja Elise w sprawie białego jeńca, a może jej nawyk

pomagania każdej Francuzce czy dziecku obciążonemu zbyt ciężką pracą, że stosunek

rodaczek do niej zaczął się powoli zmieniać. Nie zachowywały się już w jej obecności tak

czujnie, stały się bardziej życzliwe. Przyjmowały jedzenie, które dla nich zdobywała, i

indiańskie ubrania, by mogły zastąpić nimi podarte na strzępy suknie.

Wykorzystując

znajomość języka Natchezów, pomagała im zrozumieć, czego się od nich żąda.

Pewnego popołudnia Reynaud potarł brodę i skrzywił się, kiedy poczuł szorstki zarost.



Zerknął na Elise, która właśnie kisiła śliwki. Pierwsza żona Wielkiego Słońca przygotowuje z

nich chleb śliwkowy. Wiosną i latem będzie on niezastąpionym lekarstwem przeciwko

biegunce i innym chorobom żołądka.

- Ma chire - powiedział przymilnie. - Pomogłabyś mi odzyskać przyzwoity wygląd?

- Masz na myśli zarost?

Wiedziała, iż Reynaud pragnie, aby zrobiła to dla niego. Okazał się prawdziwym

ekspertem w skłanianiu ludzi, by oddawali mu przysługi. I chociaż miała ochotę spróbować,

nie zamierzała poddać się tak łatwo.

- Przypuszczam - powiedział, wzdychając ciężko - że w mojej chacie powinny być

szczypczyki i lusterko.

Szczypczyki, długie i ostro zakończone, podobne do chirurgicznych, leżały w

osobnym pudełeczku wyłożonym satyną. Elise przyniosła je do domu Wielkiego Słońca,

wręczyła Reynaudowi i zapytała słodko:

- Potrzytać ci lusterko?

Spojrzał na nią szybko.

- Tak, proszę.

Przyglądała się uważnie, jak wyrywa sobie jeden granatowoczarny włos po drugim,

nie krzywiąc się przy tym ani razu. Nie wymagało to żadnej metody oprócz staranności.

Kiedy oczyścił miejsce wielkości monety i sprawdzał, czy nie pozostały jeszcze jakieś włoski,

Elise wyciągnęła rękę po szczypczyki.

- Mogę?

- Gdybyś zechciała ... - uśmiechnął się czarująco.

Usiadła na ławie, a on obrócił się na plecy i ułożył głowę na jej kolanach.

Pole

operacyjne oświetlała wisząca lampa. Uchwyciła szczypczykami włos i mocno pociągnęła.

Nie musiała się wysilać, wyszedł bardzo łatwo. Potarła skórę, aby złagodzić szczypanie, które

Reynaud musiał odczuwać, i wyrywała dalej. Gdy doszła do miejsca pod dolną wargą,

uświadomiła sobie, że Reynaud się uśmiecha.

- Co cię tak bawi? - spytała.

- Ty. Jesteś taka poważna, taka stanowcza.

Nie zamierzał jej tego mówić, lecz jego rozbawienie wywołał widok jej lewej piersi,

wyłaniającej się spod materiału, kontrastujący z jej poważną miną. Biała, zwieńczona

różowym sutkiem, miękka i zapraszająca, wyglądała ku niemu podczas każdego ruchu Elise.

- Nie lubię sprawiać ci bólu - odparła.

- Naprawdę? A jeszcze niedawno pomyślałbym, że nic nie może sprawić ci większej

przyjemności.

- Tak było - powiedziała po chwili milczenia. Zmrużył oczy nie tylko z bólu.

- A co się zmieniło?

- Nie wiem - powiedziała, a potem powtórzyła w języku Natchezów: -

Noco.

- To słowo - zauważył - znaczy: „nie mogę powiedzieć”, a to nie to samo, co „nie

wiem”.

- Z pewnością wiesz, co mam na myśli. Po prostu wszystko się zmieniło.

- Ponieważ leżę rozłożony na cztery łopatki? - zażartował.

- Nie lituję się nad tobą, jeśli o to ci chodzi.

- Doprawdy?

- Już nie.

- Powiedz jeszcze, że przestałaś mną pogardzać - zakpił.

- Owszem. - A widząc, że ze zdziwienia odebrało mu mowę, wyjaśniła: - Mimo to

nadal mam ci za złe, że sprowadziłeś mnie tutaj wbrew mojej woli, że zmusiłeś mnie, abym

dzieliła z tobą łożę, wtedy i teraz, w wiosce. Nie podoba mi się też, że gdybyś umarł,

obwiniono by za to mnie.



- Zamierzam wyzdrowieć - przerwał jej.

- Widzę - powiedziała, obrzucając krótkim, badawczym spojrzeniem ciało Reynauda,

zwłaszcza tę jego część, którą skrywały bryczesy.

Reynaud z ciekawością przyglądał się, jak rumieniec zalewa jej policzki. Czym

prędzej naciągnął skórzane przykrycie na dolną część swego ciała.

- Zimno ci? - spytała fałszywie słodkim tonem.

- Nie - odparł szczerze. - Już nie.

Przyglądając się pochylonej nad sobą  
twarzy Elise, rozmyślał nad tym, co

powiedziała. Milczał, gdyż nie chciał  
zakłócać delikatnego porozumienia,  
jakie zaistniało

pomiędzy nimi, a poza tym brat i jego  
rodzina mogliby podsłuchać, jak kłóci  
się ze swoją

kobietą. Kiedyś wszystko sobie  
wyjaśnią, już on tego dopilnuje. Teraz  
było na to za wcześnie.

Elise potrzebowała czasu - i on także. A  
choć pragnął jej tak, iż pożądanie  
płonęło w nim

niczym ogień, nie był wcale przekonany, czy byłby w stanie je zaspokoić, nawet gdyby trafiła

się po temu okazja. Infekcja i gorączka bardzo go osłabiły. Nie, póki co lepiej rozkoszować

się jej bliskością, dotykiem rąk, ciepłem ciała i rzadkimi przejawami troski.

Poruszył lekko ramieniem, by poczuć jędrność jej ud.

Zamknął oczy i bez trudu przypomniał sobie, jak to było mieć ją pod sobą.

Wstrzymał

oddech.

- Czy bolą cię plecy? - zapytała, marszcząc lekko brwi, pochylona nad nim ze

szczypczykami w dłoni.

Otworzył oczy. Przez chwilę nie mógł dobyć głosu, a potem wykrztusił jedynie:

- Nie, tylko ... tylko bandaże trochę ciągną w miejscach, gdzie przykleiły się do ran.

- Chciałbyś, żebym je poluzowała?  
Zrobię to bardzo delikatnie.

Z rozkoszą powiedziałałby, że może robić, co jej się podoba, delikatnie czy nie. To

jednak nie byłoby mądre. Westchnął więc tylko z żalem:

- Nie, wszystko w porządku.

Reynaud z wolna odzyskiwał siły. Szare zimowe dni z przenikliwym wilgotnym

zimnem i lodowatymi deszczami minęły.

Pewnego ranka opuścił chatę o pierwszym brzasku i

poszedł wykąpać się w rzece. Dwa dni później, kiedy blade słońce przedarło się przez zasłonę

chmur, zwołał radę. W następnym tygodniu wychodził już codziennie, by nadzorować

ściananie pni, z których miały powstać dwie palisady obronne poniżej Głównej Wioski, po obu

stronach potoku. Ponad krętym korytem wznosiły się strome brzegi, wróg mógł więc

atakować tylko z trzech stron i musiał najpierw wspiąć się na wzgórze. Poza tym wzniesienie

palisad w tym miejscu nie będzie tak uciążliwe jak zbudowanie ich na otwartym terenie.

Pogoda ustabilizowała się, zrobiło się cieplej. Pewnego razu Elise weszła do ciemnej

chaty, która powinna była być pusta,  
ponieważ o tej porze kobiety zajęte były  
obowiązkami

lub odwiedzały się wzajemnie.

Spostrzegła zarys sylwetki mężczyzny  
leżącego na ławie,

gdzie zwykle sypiała z Reynaudem, i  
pośpieszyła ku niemu, nie zdając sobie  
sprawy, że jej

oczy nie przywykły jeszcze do  
panującego we wnętrzu sząłasu  
półmroku. Położyła dłoń na

ramieniu mężczyzny i pochyliła się nad  
nim.

- Dobrze się czujesz, Reynaudzie?

Mężczyzna odwrócił się i wtedy Elise zobaczyła, że był to Wielkie Słońce.  
Chwycił ją

za rękę i przyciągnął ku sobie tak, że upadła na jego pierś.

- A więc w końcu do mnie przyszłaś, Elise - powiedział niewyraźnie. Jego oddech

pachniał brandy.

- Mylisz się, panie - zapewniła pośpiesznie, próbując się uwolnić.

- Co ty na to - mówił dalej wódz, nie



puszczając jej byś wybrała mnie na  
męża zamiast

mojego brata? Pragnę cię, Elise. Chcę,  
żebyś została moją żoną.

Zaskoczona Elise przestała się  
wrywać.

- Nie mówisz tego poważnie, panie.

- Ależ tak, zapewniam cię.

- Nie dałam ci żadnego powodu, byś  
mógł przypuszczać, że się zgodzę!

- Aż do teraz - odparł po prostu.

- Pomyliłam cię z Reynaudem! - Nie

powinna mu się przyglądać, słuchać go.  
Tak

bardzo byli do siebie podobni! Wielkie  
Słońce lekko bełkotał i Elise pomyślała,  
że jest

bardziej pijany, niż sądziła.

- Naprawdę?

- Musisz mi uwierzyć!

- N o cóż, przykro mi. Więc nie  
zostaniesz moją żoną? Nawet nie  
rozważysz mojej

propozycji?

- Twoją trzecią żoną? - zapytała drwiąco. - Jeszcze jedną ofiarą do uduszenia, kiedy

umrzesz? Dziękuję za zaszczyt, ale nie!

Zacisnął wargi.

- A gdybym nie był Wielkim Słońcem?

- Nadal pozostałbyś bratem Reynauda.

- I twoim oddanym wielbicielem.

Przyjemnie na ciebie spojrzeć, Elise.

- Jesteś mężem dwóch kobiet i ojcem.

- I co z tego? Nie zanieczyściłbym cię tak jak mój brat, bez względu na to, ile

miąłbym żon.

Zaczerwieniła się mocno, rozgniewana i zażenowana tym, że wódz zauważył brak

intymności w jej stosunkach z Reynaudem. Jednak nie zamierzała dyskutować z nim o swoich

problemach.

- Proszę, puść mnie.

- Nie, naprawdę tego właśnie chcesz? Tak przyjemnie trzymać cię w ramionach.

Mógłbym sprawić, że czułabyś się szczęśliwa - przynajmniej przez godzinę

lub dwie.

Elise nagle uświadomiła sobie, że nadal leży wsparta na jego klatce piersiowej.

Szarpnęła się w tył, próbując wstać. -  
Nie walcz ze mną, obiecuję, że nie  
zrobię ci krzywdy.

Wezmę cię tylko za twoim  
przyzwoleniem.

- Nie doczekasz się - powiedziała przez  
zaciśnięte zęby. - Puść mnie albo -  
nieważne,

kim jesteś - nie ręczę za siebie.

- Musisz bardzo kochać mojego brata.

Znieruchomiła, zaskoczona tą myślą.  
To nie

mogła być prawda. Potrząsnęła mocno  
głową.

- Z pewnością nie kocham ciebie!

Wzdychając z żalem, puścił ją,  
przymknął oczy i założył ręce na piersi.  
Elise nie

wiedziała, czy stracił przytomność, czy  
też po prostu próbował ocalić swą  
dumę, dając jej

okazję do ucieczki. Nie czekała, aby się  
o tym przekonać, lecz odwróciwszy się  
na pięcie, co

prędzej wybiegła z chaty.

Nie powiedziała nikomu, że wzięła Wielkie Słońce za Reynauda ani o propozycji, jaką

jej złożył. Bo i komu mogłaby powiedzieć? Przepióreczka z pewnością uznałaby ją za

niemądrą, skoro nie zechciała zaspokoić żądzy kogoś, kogo Indianka uważała niemal za boga.

A gdyby o całej sprawie dowiedział się Reynaud, mogłoby to wywołać niesnaski między

braćmi. Być może Reynaud postarałby

się znaleźć jakiś szczególny obyczaj,  
'który

pozwoliłby mu zwrócić się przeciw  
swemu władcy, ale skoro nic lub prawie  
nic się nie

wydarzyło, lepiej o tym nie mówić.

Budowa fortyfikacji postępowała  
zadziwiająco szybko.

Reynaud poganiał wojowników, jakby  
chciał nadrobić czas stracony podczas  
choroby,

i sam także się nie oszczędzał.

Codziennie wychodził z domu przed  
świtem i nie wracał,



dopóki nie zapadł zmrok. Jadł na stojąco, razem z robotnikami. Elise rzadko widywała go w

dzień, chyba że przyłączała się do kobiet, które nosiły jedzenie na budowę. Zdarzało się, że

jeszcze nie spała, gdy wracał wieczorem do chaty, ale on tylko przytulał ją do siebie, by było

im razem wygodniej na wąskiej ławie.

Wmawiała sobie, że jest zmęczony i nadal osłabiony, że ma na głowie inne sprawy niż

dokształcanie jej w sztuce miłości, ale

nie była o tym przekonana.

Być może jej niepokój rozbudziły słowa Wielkiego Słońca, świadczące o tym, że brat

Reynauda orientuje się w ich wzajemnych stosunkach, ale to była tylko część problemu.

Prawda wyglądała tak, że skoro już musiała sypiać z nim w jednym łóżku i leżeć co noc przy

jego boku, dręczyła ją pokusa, by się przekonać, czy emocje, które kiedyś odczuwała, były

prawdziwe i trwałe, czy też powstały

pod wpływem chwili. Ta niepewność powodowała u

Elise rozdrażnienie, lecz znacznie gorszy był żal, że ona i Reynaud poznali się w ten właśnie

sposób, że nie spotkali się w innym czasie i innym miejscu.

Minęło kilka tygodni, odkąd wojownicy zaczęli wznosić palisady. Pewnego zimnego i

bardzo deszczowego poranka Elise wyprawiała się nad potok, by zanieść Reynaudowi gorącą

ziołową herbatę i coś do jedzenia.

Ukryta pod parasolem z piór dzikich indyków, minęła plac i wzgórze świątynne,

żałując, że nie natłuściła mokasynów, by zabezpieczyć je przed wilgocią. Stok od strony

pierwszego fortu ludzie ściągający bale zamienili w błotnisty trakt. W środku palisady

panował w ten pochmurny dzień półmrok. Stopniowo zamykający się krąg pali przypominał,

że nieuchronnie nadchodzi czas wyrównania rachunków. Francuzi gromadzili armię, tak

przynajmniej głośiły plotki docierające do wioski. Czekali tylko na wiosnę i lepszą pogodę,

która umożliwi im przyciągnięcie w górę rzeki dział i ciężkich wozów z amunicją, by

przystąpić do rozgromienia Natchezów.

Elise przez chwilę przyglądała się pracującym. Dookoła wyznaczonego placu

wykopano dwa głębokie rowy, odległe od siebie o metr, a w nich umieszczono wysokie

okorowane słupy i przysypano ziemią,

by stały prosto. Resztą ziemi  
wypełniono przestrzeń

po między dwiema ścianami pali.  
Powstała w ten sposób mocna,  
pojedyncza ściana, która

powinna oprzeć się ostrzałowi dział.  
Ścinanie pni i wleczenie ich do  
obozowiska za pomocą

nielicznych wołów skradzionych  
Francuzom lub siły ludzkich mięśni było  
morderczą,

zginającą grzbiet pracą. Z kolei  
unoszenie pali oraz umocowywanie ich  
wymagało wielu rąk i

ściśle współpracy. To było zajęcie dla mężczyzn, lecz wiele kobiet i dzieci pospolitego rodu

zmuszono, by pomagały w budowie, nosząc ziemię w koszykach i udeptując ją pomiędzy

ścianami umocnień. W ten sam sposób powstawały kopce stanowiące istotny składnik kultury

plemienia.

W regularnych odstępach zbudowano półokrągłe bastiony, skąd obrońcy będą

odpierać ataki. Dwa największe były na tyle duże, aby pomieścić działa zabrane

z fortu

Rosalie. Na szczycie wału znajdowała się platforma, na której mogli stać obrońcy.

Przedsięwzięcie zapowiadało się imponująco, zważywszy na to, jak niewielkimi środkami

dysponowali Indianie.

Choć wiele plemion budowało umocnienia przeciwko swoim wrogom, żadne nie były

tak wielkie i potężne, jak te, które powstawały na brzegach 'potoku St. Catherine. Organizacja



prac przypadła Reynaudowi. Elise  
odszukała go wzrokiem. Stał na  
rusztowaniu i spoglądając

na prymitywny plan, wyjaśniał  
robotnikom, co chce uzyskać. Ruszyła ku  
niemu, starając się

uniknąć ześlizgujących się po zboczu  
bali i ziemi wysypywanej z koszyków.

Reynaud był przemoczony. Włosy  
przyłgnęły mu do czaszki, lecz on  
zdawał się tego

nie zauważać. Podziękował jej ciepło.  
Czekając, aż zje, kiwnęła głową w  
kierunku palisady i

powiedziała:

- Prace szybko postępują.
- Tak, Natchezowie zawsze byli dobrzy w budowaniu.
- Zdążycie na czas?

Rozejrzał się wokół zmrużonymi oczami.

- Miejmy nadzieję.
- Jak myślisz, czy w obrębie umocnień starczy miejsca dla wszystkich? - zapytała.

Większa część plemienia mieszkała w

Głównej Wiosce, reszta żyła w pięciu

mniejszych osadach rozsianych wzdłuż  
strumienia. Niektóre z nich były  
zaledwie małymi

przysiółkami, zamieszkanymi przez kilka  
spokrewnionych ze sobą rodzin. W  
sumie

liczebność plemienia Natchezów  
oceniano na mniej więcej dwa tysiące  
mężczyzn, kobiet i

dzieci.

- Będzie musiało wystarczyć.

- Nie spodziewasz się długiego

oblężenia.

Jeśli wewnątrz palisady znajdzie się tak wielu ludzi, zapasy szybko się skończą, mimo

że cała społeczność od wielu dni gorączkowo gromadziła żywność i przygotowywała się do

oblężenia. Elise widziała małe oddziały Indian nieustannie wyprawiających się na polowanie.

Przy paleniskach trwała wytężona praca. Kobiety lepiły dzbany i wyplatały koszyki.

Wewnątrz umocnień wojownicy kopali

studnie.

- Wytrwamy dłużej niż Francuzi. Oni będą musieli przywieźć ze sobą każdy kęs

jedzenia. Na uzupełnienie zapasów nie mają co liczyć, bo kiedy zaczną się ostrzał, zwierzyna

ucieknie i nie będzie na co polować.

Odszedł kilka kroków, by wydać polecenia wojownikom ustawiającym kolejny pal.

Gdy wrócił, plecy miał całe mokre. Zaczął się po nich drapać.

- Blizny swędzą jak diabli - wyjaśnił.

- Mogę jakoś pomóc?

Spojrzał na nią, a w jego oczach widać było dawne ciepło i coś jakby przebłysk

poczucia humoru.

- A zechciałabyś?

- Jeżeli potrafię• - Wytrzymała jego spojrzenie, choć czuła, że na policzki wypływa jej

delikatny rumieniec.

- Być może pozwolę ci na to później - powiedział Reynaud po chwili

milczenia.

Pytanie, co właściwie miał na myśli, prześladowało Elise, kiedy wracała w deszczu na

wzgórze Wielkiego Słońca. Czy jego słowa były tak jednoznaczne, jak się wydawały, czy też

było w nich jakieś ukryte znaczenie? Rozmawiali w języku Natchezów. Elise posługiwała się

nim już dość biegle, choć nie znała jeszcze wszystkich niuansów i dodatkowych znaczeń.

- Elise! Madame Laffont!

Wołanie dobiegało gdzieś z tyłu.  
Odwróciła się szybko, poruszona  
rozpaczą w głosie

wołającej. Dobiegła do niej młoda  
Francuzka z twarzą zalaną łzami i  
zatrzymała się

gwałtownie. Elise chwyciła jej dłonie i  
mocno przytrzymała.

- Co się stało? Proszę mi powiedzieć!

- Córka biednej madame Doucet, niech  
Bóg ma w opiece jej duszę, odeszła w  
nocy.

Madame siedzi w szalasiu, trzyma ciało  
córki w ramionach i nikomu nie pozwala



się zbliżyć.

Chyba zwariowała z rozpaczy. Wciąż płacze i przemawia do zmarłej. Nie można rozpocząć

przygotowań do pogrzebu.

- Rozumiem - powiedziała Elise, bynajmniej nie zdziwiona. Kiedy ostatnio odwiedziła

obie kobiety, córka madame Marie ledwie żyła, wycieńczona głodem i rozpaczą•

Najwidoczniej pragnienie śmierci było tak silne, że zamieniło tę frywolną niegdyś bez

przerwy rozprawiającą o fatalaszkach  
kobietę w żywego trupa. To  
zadziwiające, ile

determinacji potrafią wykrzesać z siebie  
tego rodzaju kobiety, pomyślała Elise.

- Musi pani przyjść i porozmawiać z  
madame Doucet. Nikogo innego nie  
posłucha.

To była prośba, której Elise nie mogła  
odmówić. I nawet nie chciała,  
zważywszy na

to, ile razem przeżyły. Zawołała małą,  
mniej więcej dziesięcioletnią Indiankę i  
poleciwszy jej

odnieść naczynia do domu Wielkiego  
Słońca, ruszyła do szałasu madame  
Doucet.

We wnętrzu panował mrok i zaduch.  
Palenisko wygasło, wszędzie  
poniewierały się

drewniane miski i gliniane naczynia z  
resztkami jedzenia. Na brudnej podłodze  
nie było mat,

a przez otwór w dachu do środka  
wpadały krople deszczu, tworząc kałuże  
pośród popiołów i

nadpalonych szczap.

Elise od progu wydała polecenie, by

rozniecono ogień i przyniesiono wodę  
do

sprzątania. A potem ruszyła przed  
siebie, z trudem odnajdując drogę w  
smudze światła

padającego przez otwarte drzwi.

- Madame Doucet? Przyszłam z panią  
porozmawiać.

- Ach, Elise, posmuc się ze mną, moja  
córka odchodzi.

Głos dobiegał z najdalszego kąta. Kiedy  
oczy Elise przywykły do ciemności,

zobaczyła, że madame Marie siedzi na

ławie oparta o ścianę, w ramionach  
trzyma ciało córki

i bełkocząc coś niezrozumiale, odgarnia  
włosy z czoła zmarłej. Elise zrozumiała,  
że błaga

Boga, aby przywrócił jej bladej i chudej  
córcie zdrowie. Staruszka miała na sobie  
szmaty,

które niegdyś stanowiły jej ubranie, a jej  
siwoblond włosy zupełnie zbielały.

Elise uklęknęła obok i wzięła madame  
Doucet za rękę.

- Obawiam się, że to niemożliwe,  
madame. Ona odeszła.

- Nie, nie, ona nie mogła odejść. Nie teraz, kiedy ją odnalazłam. Ocal ją, Elise, ocal ją.

- Zrobiłabym to, gdybym mogła, lecz nie mam takiej mocy. Proszę pozwolić ją zabrać.

Dopilnuję, aby spoczęła w spokoju.

- Nie! Nie dam jej na pożarcie zwierzętom. Oni tak robią, wiesz. Wynoszą zmarłych

niewolników i ludzi pospolitego rodu do lasu i zostawiają tam. Bez żadnych ceremonii, bez

towarzystwa bliskich i wielkich ogni,

aby uniosły duszę zmarłego ku słońcu.

Madame Doucet mówiła prawdę.

Prostych ludzi grzebano' w płytkim, nie

oznakowanym grobie w jakimś spokojnym miejscu w lesie, razem z kilkoma ulubionymi

przedmiotami zmarłego. Inaczej postępowano ze zmarłymi z wyższych kast. Ich zwłoki

umieszczano w trumnie z płatów kory i stawiano ją na podwyższeniu. Duch zmarłego,

zaopatrzony w jedzenie i wodę, czekał, aż ciało odpadnie od kości. Wówczas

kości chowano

pod podłogą domu zmarłego, a  
dokładnie, pod paleniskiem. Wyjątek  
stanowili władcy,

których kości, zebrane w koszyku,  
trzymano w świątyni.

- Zgodzi się pani ze mną, że jej tu już nie  
ma - przekonywała Elise.

Chociaż madame Doucet nie od razu się  
poddawała, w końcu wyraziła zgodę i  
pozwoliła

zabrać córkę - nie dlatego, że została  
przekonana, ale ponieważ nie miała siły  
dłużej się



opierać.

Francuzki umyły ciało i ubrały, a potem zniosły je do lasu. Kijami i glinianymi

łyżkami wykopały w miękkiej, błotnistej ziemi grób i postawiły na nim krzyż z dwóch gałęzi,

związanych razem skórzanymi pasami. Elise odmówiła modlitwę w najczystszej

francuszczyźnie, kobiety odśpiewały kołysankę, którą madame Doucet nuciła dawno temu w

pokoju dziecięcym w dalekiej Francji. Uroniły trochę łez, lecz niewiele, bo

wszystkie łzy już

wypłakały.

Wróciły do wioski. Trzeba było przygotować posiłek i dopilnować dzieci. Wlokły się

w milczeniu i zaraz rozeszły do chat, do których zostały przydzielone. Elise wstąpiła do

szałas madame Doucet i zabrała się do sprzątanía: zamiotła podłogę, wytrzepała pościel i

wywietrzyła, rozmawiając przy tym ze starszą damą. Opowiedziała jej o pogrzebie, w którym

nie chciała uczestniczyć, o budowie palisad i podzieliła się nowinami zasłyszczanymi od

odwiedzających wioskę wojowników. Wykąpała madame Doucet i owinęła ją w czysty pled.

Uprała i powiesiła ubranie, by wyschło. Potem umieściła miskę z jedzeniem w jej słabych

dłoniach i przypilnowała, by zjadła. Serce ścisnęło jej współczucie.

Francuzki utraciły wszystko: mężów, domy, cały majątek, a często i dzieci - zwłaszcza

.dorastający chłopcy byli narażeni na niebezpieczeństwo. Żyły w nędznych warunkach,

zmuszano je do fizycznej pracy. Służba ludziom, których uważały za stojących niżej od

siebie, upokarzała je. Na ogół nie były molestowane. Indianie odznaczyli się wysokim

stopniem samokontroli, a ponadto uważali Francuzki za nieczyste, ponieważ nie kąpały się

codziennie. Zdarzały się jednak przypadki zniewolenia. Nie wiadomo, ile ich dokładnie było,

ponieważ żadna z tych kobiet nie przyznała się do tego, że żyła w hańbie. Ich niechęć do

pracy i nieskrywana nienawiść wobec Indian powodowała, że ich właściciele nie szczydzili

im szturchańców, a nawet kopniaków. Większość przywykła do takiego życia, ale ich duma

została zraniona tak mocno, że pewnie nigdy już nie przyjdą w pełni do siebie. Nazywały

Natchezów okrutnymi bestiami i bez przerwy rozpamiętywały straszliwe sceny zachowane w

pamięci: podrzynanie mężczyznom  
gardel i rozbijanie czaszek toporkami,  
zabijanie

ulubionych zwierząt domowych,  
podpalanie rezydencji razem z  
rodzinnymi pamiątkami

przywiezionymi z Francji.

Elise miała podobne doświadczenia i  
dlatego czuła się rozdarta.

Przepióreczka była

jedną z Natchezów, ich dzika krew  
płynęła też w żyłach Reynauda.

Przyglądała się Sówce,

Wielkiemu Słońcu, jego żonom, a także

ich ciotkom i wujkom, słyszała, jak się śmieją, i

widziała, jak troszczą o siebie nawzajem. Tak nie zachowują się potwory. W świątyni dwóch

strażników zawsze pilnowało świętego ognia. Indiańskie kobiety przerażała myśl, że Francuzi

biją swoje dzieci i że używają biczów, rozpalonego żelaza, koła tortur i stosów przeciwko

ludziom swojej narodowości. Kto miał rację? Czy obyczaje którejkolwiek ze stron dawały się

obronić? A może liczyła się tylko siła armii i wola walki żołnierzy, którym wkrótce przyjdzie

zmierzyć się ze sobą?

Kiedy Elise wreszcie opuściła szalas madame Doucet, było już późne popołudnie.

Deszcz ustał i blade promienie słońca prześwitywały przez gałęzie drzew. Dłuższą chwilę

rozkoszowała się jego słabym ciepłem, a potem ruszyła w kierunku strumienia, gdyż po

całym dniu ciężkiej pracy odczuwała



potrzebę odświeżenia się. Woda była lodowata, ale

Elise, pływając z prądem i pod prąd, rozgrzała się. Po jakimś czasie stanęła w wodzie,

nasłuchując. Mężczyźni przestali pracować, gdyż nie słyszała dźwięku siekier i nawoływań. Z

pewnością wkrótce przyjdą nad strumień. Czym prędzej wyszła na brzeg, wytarła się

wilgotnym płaszczem i ubrała.

Uświadomiła sobie, że zostawiła parasol w szałasie madame

Doucet. Będzie musiała po niego pójść,  
nim wróci do domu, ponieważ  
przedmiot ten był

własnością drugiej żony Wielkiego  
Słońca.

Zwłoka spowodowała, że zrobiło się  
późno. Madame Doucet płakała i trzeba  
było ją

pocieszać. Kiedy Elise opuszczała jej  
szalas, nad wioską zapadł już  
lawendowy zmierzch.

Choć wydawało się to dziwne,  
powietrze po deszczu wyraźnie się  
ociepliło. Delikatny

podmuch z południa pieścił jej policzek,  
przynosząc z sobą zapach wilgotnej  
ziemi i żywicy

zmieszany z wonią dymu i aromatem  
potraw przygotowywanych na wieczorny  
posiłek. Myśl

o jedzeniu sprawiła, że Elise  
uświadomiła sobie, iż nie miała nic w  
ustach od rana,

przyśpieszyła więc kroku.

Reynaud zaszedł ją od tyłu, wyłaniając  
się zza drzew, które latem ocieniały  
domy

szlachetnie urodzonych. Nie był sam, tuż

za nim podążało jeszcze dwóch czy trzech

mężczyzn. Dogonił ją, chwycił w objęcia i podbiegł ścieżką wokół kopca, na którym

znajdował się dom Wielkiego Słońca. Biegł tak szybko, że Elise zaparło dech w piersi i mimo

woli mocniej objęła go za szyję.

Na wzgórzu pojawiły się kobiety Wielkiego Słońca, krzycząc coś do nich i nawołując.

Był z nimi brat przyrodni Reynauda, St. Cosme, i stary wuj pierwszej żony

Wielkiego Słońca,

obaj z tomahawkami w rękach, oraz sam wódz, który ruszył w dół stoku, wywijając łukiem i

strzałami.

Reynaud zanurkował do swego szałasu i postawił Elise na podłodze. Jego przyjaciele

zostali na zewnątrz, podobnie jak krewni i starszyzna. Reynaud zamknął starannie drzwi, a

potem odwrócił się do niej. Elise, czując dziwny ucisk w piersi, odgadła, co miało oznaczać to

małe przedstawienie. Jednak postanowiła odegrać swą rolę do końca. Wyprostowała się więc

i lodowatym tonem zapytała:

- Czy zechciałbyś mi łaskawie wyjaśnić, co to wszystko ma znaczyć?

Reynaud uśmiechnął się szeroko, w jego ciemnoszarych oczach zamigotały iskierki.

- To znaczy, że jesteś moją żoną - powiedział.

## **ROZDZIAŁ XIV**

- Twoją żoną? Nie przypominam sobie

oświadczyn!

- A gdybym ci się oświadczył,  
przyjęłaś mnie? - Zatrzymał się tuż  
przed nią, z

rękami wspartymi na biodrach.

- Kto to może wiedzieć?

- Ty mogłabyś, gdybyś zechciała -  
odparł bez gniewu. - To zresztą nie ma  
znaczenia.

Małżeństwo do niczego cię nie  
zobowiązuje.

- Co takiego?

- Chyba że zechcesz, by było inaczej.

- Więc dlaczego ...

- Na rozkaz mojego brata.

Wpatrywała się w niego, czując, jak wściekłość zastępuje zdziwienie.

- Chcesz powiedzieć, że odegrałeś tę farsę na rozkaz jego królewskiej wysokości?

Przez dłuższą chwilę wytrzymał jej spojrzenie, a potem machnął gwałtownie ręką.

- Niezupełnie. Ja też tego chciałem. Zauroczyłaś mnie swoim głosem,



włosami o

barwie dzikiego miodu, pełnym życia  
spojrzeniem. Pragnienie, by cię dotykać,  
nie daje mi

spokoju. Wszystko, czego chcę, to być z  
tobą. Dlatego cię porwałem. Teraz  
odpowiemy na

pytania przed radą starszych i wszem i  
wobec będzie wiadomo, że cię kocham,  
Elise.

Słowa „kocham cię” Elise słyszała  
jedynie od matki.

Teraz rozbrzmiewały w jej głowie,  
wprawiając ją w takie zmieszanie, że

nie potrafiła

opanować drżenia dłoni.

Uścisk w piersi zelżał, a potem zniknął zupełnie i Elise zapragnęła rzucić się

Reynaudowi w ramiona, ale zacisnęła dłonie w pięści i pozostała na miejscu.

- Nie wierzę ci!

- Więc spróbuj - poradził jej krótko. - Nie oczekuję, że odwzajemnisz moje uczucia.

Pozwól zatem, że będę cię chronił dzięki mojej pozycji i tytułowi. Ponieważ należę do kasty

Słońca, nie możesz odprawić mnie jak pierwszego lepszego, ale przysięgam, że kiedy wojna

się skończy, odejdę, jeśli tego zażadasz.

Rzuciła mu kamienne spojrzenie.

- A gdybym chciała odzyskać wolność już teraz?

- To nie jest możliwe.

- Nie? Dlaczego?

- Wszyscy już wiedzą o naszym małżeństwie. Zostanie zawarte także po to, by

udowodnić, że ja nie tyle wolę  
Francuzki, ile jedną konkretną  
Francuzkę, i że uciekłem od

Natchezów, ponieważ cię pragnę.

- I to by było na tyle, jeśli chodzi o  
miłość - powiedziała, uśmiechając się z  
przymusem.

- Wątpisz we mnie? - zapytał ostrym  
tonem. - Czy mam ci to udowodnić?

Nie ugięła się. - Siłą?

. U milkł, tylko mięśnie na jego twarzy  
stężały.

- Naprawdę myślisz, że byłbym do tego zdolny? Nawiedzona nagłym wspomnieniem

tego, co było pomiędzy nimi, odwróciła wzrok.

- Nie - wykrztusiła przez zaciśnięte gardło. Dotknął jej policzka spracowaną dłonią.

- To już coś. Zaufaj mi.

- Oszukałeś mnie przedtem i zaaranżowałeś wszystko tak, żebym została twoją

niewolnicą.

- Teraz jest inaczej.

- Ciągłe mówisz, co trzeba zrobić i czego ty chcesz, ale nie zapytałeś mnie, czego ja

pragnę.

Ujął Elise pod brodę, zmuszając ją, aby spojrzała mu w oczy.

- A czego ty pragniesz, Elise?

Ciepło tego dotyku, bliskość Reynauda spowodowały, że zadrżała, a owo drżenie

zdawało się koncentrować w dolnej części jej ciała. Rozchyliła wargi, lecz

nic nie

powiedziała.

- Tak trudno to powiedzieć? - zapytał Reynaud. Mam ci pomóc? Pogardzasz mną za

to, kim jestem i co zrobiłem, a mimo to pożądasz mnie. Gdyby nie duma i lęk ...

- Nie boję się ciebie! - krzyknęła zdenerwowana i odwróciła się od niego.

- Nie mnie, lecz tego, co mogłoby się wydarzyć, gdybyś przyznała się, że mnie

pożądasz, gdybyś pozwoliła sobie zbliżyć się do mnie, przyjąć to, co ci

ofiaruję.

- Nie zostawiłeś mi wyboru. - Jej głos powinien brzmieć stanowczo, ale był tylko

szeptem.

- Zgadza się.

- Nie ... nie musieliśmy się pobierać.

- Wielkie Słońce sądzi inaczej. Uważa, że to najlepsze rozwiązanie, zarówno dla nas,

jak i dla Natchezów.

Odwróciła się gwałtownie, by spojrzeć



mu w twarz.

- On? ...

- Mój brat - wyjaśnił Reynaud, nie spuszczając wzroku z jej spłonionej twarzy - mówi,

że pasujemy do siebie. Ja też tak uważam.

Co sobie powiedzieli ci dwaj mężczyźni? Żałowała, że tego nie wie.

- Ja ... ja nie wiem, co myśleć.

- Więc nie myśl, tylko odczuwaj.

- Jeśli ... jeśli się zgodzę na ślub,

będziesz tego żałował.

- Nie. Zamierzam zrobić wszystko, co tylko możliwe, abyś była szczęśliwa.

Czy mogę

poprosić tu pozostałych?

Jak by zareagowała na jego oświadczeniu, gdyby nie poinformował jej, że to był

pomysł jego brata, i nie zapewnił tak pośpiesznie, że ów ślub do niczego jej nie zobowiązuje?

Nie była pewna. Nagle przypomniało się jej, jak Wielkie Słońce powiedział, że jest

zakochana w Reynaudzie. Czy ta~ było?  
Nie, to niemożliwe. To, co czuła, to  
tylko naturalne

zauroczenie mężczyzną, który uwolnił ją  
od lęku przed fizyczną miłością.

Właśnie:

zauroczenie i pożądanie - to wszystko.  
Jednak uczucia te były tak silne, że Elise  
cała trzęsła

się w środku.

Czy wyraziła w końcu zgodę na to  
małżeństwo? Nie pamiętała. Tak czy  
inaczej,

publiczność zgromadzona na zewnątrz

została wpuszczona do szałas. Kobiety otoczyły Elise

i zaczęły rozczesywać jej włosy, które następnie zaplotły w warkocz ozdobiony niebieskimi

paciorkami i słodkowodnymi perłami. Przebrały ją w strój z bielonej skóry, wyszywany

niebieskimi koralikami. Tatuowane Ramię uklękła i wsunęła jej na stopy miękkie białe

mokasyny, także ozdobione koralikami. Do lewej ręki Elise włożyła gałązkę lauru, a do

prawej - kaczan kukurydzy: symbole  
wierności i płodności.

Po drugiej stronie izby przebierał się  
Reynaud. Miał na sobie pelerynę i  
spódniczkę

utkaną z łabędziego puchu. Włosy,  
zaplecione w warkocz, zdobił pęk  
czerwonych łabędzich

piór i pokryta liśćmi gałązka dębu.  
Pierwsza ozdoba oznaczała, że nie jest  
już wolny, druga

wskazywała, iż nie boi się pójść do  
lasu, by zaopatrzyć swą żonę we  
wszelką zdobycz, jakiej

sobie zażyczy. W dłoni trzymał łuk i strzały, symbole złożonej przysięgi, że będzie bronił

swej żony i chronił ją.

Następnie stanęli oboje przed radą starszych i odpowiedzieli na zadane im pytania.

Potem wręczono podarunek, który w takich okolicznościach otrzymałaby rodzina panny

młodej. Rolę krewnych Elise odegrała Przepióreczka i żony Wielkiego Słońca. Jako rodzina

narzeczonej symbolicznie protestowały

na wzgórku przeciwko porwaniu Elise.

Reynaud ujął prawą dłoń wybranki, z której wyjęto kukurydzę, i mocno ją uściskał.

- Czy pragniesz mnie na swego męża? -  
zapytał niskim, głębokim głosem.

Elise, wpatrując się w jego ciemnoszare  
oczy, powtarzała za Przepióreczką  
słowa

przysięgi wypowiedane w języku  
Natchezów:

- Bardzo tego pragnę i jestem  
szczęśliwa. Kochaj mnie tak, jak ja  
kocham ciebie! Nie

kocham nikogo innego i nigdy nie  
pokocham.

Ciekawe, ile ona z tego rozumie,  
zastanawiał się Reynaud, obserwując jej  
twarz i

przysłuchując się spokojnie  
wypowiadanym słowom. Naszła go  
myśl, że być może powinien

był przeprowadzić całą sprawę inaczej,  
lecz nie było na to czasu. No cóż, dostał  
to, co chciał,

i powinien być zadowolony. Pewnym  
głosem powtórzył proste słowa  
przysięgi. Jeżeli nie



będą żyli razem zgodnie i szczęśliwie,  
groziło im wygnanie. Potem nastąpił  
poczęstunek

przygotowany przez kobiety, a po nim  
tańce. Elise nie pamiętała, co jadła ani  
kto tańczył.

Wiedziała tylko, że Reynaud siedzi obok  
niej i trzyma jej dłoń w ciepłym uścisku.

W końcu było po wszystkim. Ostatnią  
bezzębną staruszkę, uśmiechającą się  
szeroko,

wyprowadzono troskliwie z szałas.  
Pierre i Przepióreczka też sobie poszli,  
objęci ramionami.

Ich głosy, kiedy życzyli im wszystkiego  
najlepszego, z wolna cichły w oddali.

Szałas nagle wydał się Elise bardzo  
przestronny. Gdzieś w oddali  
pohukiwała sowa,

rechotały żaby, korzystające z ciepłej,  
wilgotnej pogody, by złożyć ikrę, i ktoś  
cichutko grał

na fujarce. Reynaud zakrzętnął się, aby  
zgasić ledwie płonące lampy i podsycić  
ogień w

palenisku. Elise, niczym troskliwa pani  
domu, sprawdziła posłanie i materac  
świeżo

wypchany sianem.

Poczuła gwałtowne pragnienie, by ten ślub był jej pierwszym prawdziwym ślubem, a

ta noc - nocą poślubną. Żałowała, że nie ma ładnej koszuli nocnej, skromnej, a przecież

kuszącej, ani ozdobionej delikatną koronką bielizny. Nie przywiązywała do tego wagi, po

prostu chciała wyglądać i czuć się jak panna młoda.

Reynaud podszedł i odwrócił ją ku sobie. Jedną ręką przytulił ją do siebie,

a drugą

objął pierś Elise, pocierając miękką wypukłość kciukiem.

- Zmęczona, untsaya athlu - żono mego serca?

- Nie, a ty? - W końcu to on pracował przez cały dzień przy wznoszeniu umocnień. -

Nie.

Jego głos wibrował w klatce piersiowej, czuła to. Objął Elise i delikatnie przywarł

wargami do jej ust. Jego pocałunek,

ciepły i słodki, niósł z sobą radość.

Pożądanie, miłość, obowiązek - co tak naprawdę nimi kierowało? I czy miało to

jakiegokolwiek znaczenie, skoro gorąca krew szybciej krążyła w ich żyłach i byli sami pośród

nocy? Elise odprężyła się i z westchnieniem ulgi pozwoliła, aby uleciał z niej gniew.

Zanurzyła palce w gęste włosy Reynauda, pociągając jego głowę w dół tak mocno, że

jej wargi płonęły od nacisku jego ust.

Język Reynauda, nieco bardziej szorstki  
niż język Elise,

wtargnął do wnętrza jej ust.

Odpowiedziała delikatną pieśczołą.

Reynaud zaczerpnął gwałtownie  
oddechu i odsunął się, by na nią  
popatrzeć.

Odwzajemniła spojrzenie. W półmroku  
szalasu jej bursztynowo brązowe oczy  
płonęły

pożądaniem.

- Elise - wyszeptał.

Mroczny płomień pożądania zalśnił

żywszym blaskiem w jej oczach. Palce Reynauda

zręcznie rozwiązały supeł bluzki i poszukały węzła przytrzymującego jej spódnicę. A kiedy

obie części ubrania miękko opadły im do stóp, Elise odwróciła się i sięgnęła ku skórszanemu

rzemieniowi przy spódniczce Reynauda.

Stali obok siebie, ich ciała, miedziane i kremowe, połyskiwały, ozłoczone pełgającym

płomieniem. Pozbawieni wstydu niczym poganie, przyglądali się sobie.

- Jesteś taka piękna - szepnął, dotykając grzbietem dłoni jej policzka, ramienia, płaskiego brzucha.

Elise położyła dłonie na muskularnej piersi mężczyzny, a potem przesunęła je wyżej,

wzdłuż kolumny szyi, by dotknąć wysokich kości policzkowych.

- Ty także.

Przyciągnięci nie dającym się opanować pożądaniem, rzucili się na siebie i splekli

ramionami, pierś w pierś, udo w udo,



usta w usta. Jego ramiona objęły ją tak mocno, że ledwo

mogła oddychać i sterczącymi sutkami naparła na jego pierś. Całowała go łapczywie, a z

głębi jej gardła wydobywało się coś w rodzaju szlochu. Reynaud zaczerpnął głęboko

powietrza, a potem przesunął dłoń niżej i przycisnął Elise do pulsujących żarem bioder.

Niczym iskra i hubka rozniecali ogień, przytulając się do siebie coraz mocniej i pożerając ustami. Trawiący ich pożar

sprawił, że chwiali się, dając i  
przyjmując rozkosz,

niezdolni myśleć o niczym innym, jak  
tylko o zaspokojeniu pożądania, które  
trzymało ich w

swojej mocy.

Reynaud przysunął się do ławy i nie  
wypuszczając Elise z objęć, osunął się  
na nią.

Przewrócił się na bok i przywarł do jej  
szyi, wdychając zapach ukochanej. Jego  
dłoń gładziła

łuk bioder, smukłość talii i  
powędrowała ku piersi. Reynaud potarł

kciukiem drżący pąk, a

potem pochylił się i przywarł do niego ciepłymi wargami.

Przysunęła się bliżej, bez wstydu oferując mu siebie.

Zacisnął palce, uniósł głowę i jęknął z rozpaczą:

- Elise, tak bardzo cię pragnę ... Jeżeli ty nie ... nie będę w stanie czekać.

- Więc nie czekaj - szepnęła, rozchylając uda na przyjęcie jego twardej, gorącej

męskości.

Jednym ruchem bioder przyjął  
zaproszenie, zanurzając się w niej  
głęboko. Wilgotna i

chętna, przyjęła to nagłe wtargnięcie z  
dreszczem rozkoszy.

Ciepła i rozpalona namiętnością,  
odpowiadała na jego szybkie, mocne  
pchnięcia,

przyjmując i oddając rozkosz i całą  
siebie. Kiedy poczuła jego dłoń, jego  
palce w miejscu,

gdzie ich ciała łączyły się, jej serce  
przyśpieszyło bieg.

Pragnęła, nie, ona musiała wziąć go w

siebie głębiej. Owinęła więc nogi wokół jego

bioder i pozwoliła mu przewrócić się na plecy. Jej dłonie błądziły po ciele mężczyzny,

rozkoszując się siłą napiętych mięśni i ścięgien. Dotknęła blizn na jego skórze i targnął nią

ból i współczucie. Przycisnęła się jeszcze mocniej, pogrążona w absolutnej i czulej tęsknocie.

Zmagali się tak, walcząc o rozkosz, na chwilę połączeni w jedno. A rozkosz zbliżała

się, jasna, milcząca i czysta. Była coraz bliżej. Wciąż bliżej i bliżej.

- Kochaj mnie, Reynaudzie - szepnęła, uświadamiając sobie swoją najgłębszą

potrzebę. I wiedząc, że on jej nie zawiedzie, pozwoliła, by ogarnęła ją radość i uniosła,

drżącą, ku światłości.

Czy Reynaud usłyszał to ciche błaganie?  
Noc minęła wypełniona miłością:  
delikatną i

gwałtowną, czułą i namiętą, a kiedy nadszedł ranek, Elise nadal nie była tego pewna.

Reynaud patrzył na nią ciepło i dotykał z czułością. A kiedy przygotowywała śniadanie,

zwyczajem indiańskich kobiet ubrana tylko w spódniczkę, przyglądał się żonie z uśmiechem.

U dał, że chce pomóc jej zapleść warkocz, ale tylko rozrzucił włosy Elise po jej piersiach i

'zaczął ustami szukać sutek, przesuwał wargami po pięknych, błyszczących pasmach.

Obserwował ją spod rzęs, przygotowując się do wyruszenia do pracy przy palisadzie. Nic

jednak nie powiedział.

Dopiero gdy był przy drzwiach,  
odwrócił się i poprosił:

- Wyjaśnij mi coś.

- Jeśli tylko potrafię. - Uśmiechnęła się  
do niego przez ramię i zawiązała supeł  
bluzy.

- Przyjęłaś moje oświadczenia, a  
odrzuciłaś mojego brata. Dlaczego?

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Wiesz o tym?

- Wiem. Dlaczego mu odmówiłaś?



- Prawie nie znam twojego brata!
- Ale on jest Wielkim Słońcem.
- Spodziewał się, że tym mi zaimponuje?  
Dla mnie oznacza to jedynie, że gdyby  
umarł, miałabym zaszczyt zostać  
uduszona jako trzecia z kolei.
- To samo odnosi się do mnie, tylko że  
wtedy byłabyś pierwsza.

Spoglądał na nią ze ściśniętym gardłem.  
Co niby miałyby odpowiedzieć? Głupie

pytanie: chciał, żeby powtórzyła to, co  
szepnęła w nocy. Pragnął upewnić się,  
że go

potrzebuje, że jej wyznanie nie było tylko łózkową paplaniną.

- Więc będę musiała dopilnować, by nic ci się nie stało, prawda? - odparła,

uśmiechając się z przymusem. Nie wyobrażała sobie, że on mógłby umrzeć. Miał w sobie tyle

życia.

- Nie musisz się martwić. Jeśli zostanę zabity ...

- Nawet o tym nie mów! - przerwała mu szorstko.

- Pójdiesz natychmiast do Pierre'a -

ciągnął, nie zważając na jej słowa. -  
Natychmiast,

rozumiesz? Zabierze cię do fortu Saint  
Jean Baptiste lub do Nowego Orleanu.  
Na Pierre'a

można liczyć, na pewno potrafi cię  
ochronić.

Spojrzała na niego. Gardło miała  
boleśnie ściśnięte. Po chwili  
powiedziała:

- Doceniam twoją troskę, ale wolałabym  
o tym nie myśleć.

- Musisz. Wprawdzie wielką  
przyjemność sprawiłaby mi

perspektywa, że będziesz

moją towarzyszką w zaświatach, ale nie  
znieślibym myśli, że umarłaś przeze  
mnie.

Przyrzeknij, że tak zrobisz.

Ponieważ wyglądało na to, że nie  
zamierza ruszyć się z miejsca, dopóki  
ona nie

wyrazi zgody, Elise z przymusem  
kiwnęła głową. U satysfakcjonowany  
odwrócił się do

drzwi.

- Zaczekaj!

Spojrzał na nią, unosząc pytająco brwi.

- Kto ci powiedział, że twój brat mi się oświadczył?

- Sam Wielkie Słońce - odparł krótko.

- I co ci jeszcze powiedział?

- Ze zaoferował ci przyjemności łoża, a ty odmówiłaś, i to bardzo stanowczo.

Chyba

chciał mi się poskarżyć.

- I nic więcej? - Na przykład, że jest zakochana w Reynaudzie?

- A co mógłby mi jeszcze powiedzieć?

- To ... to, że był zupełnie pijany i nie podobały mu się moje odpowiedzi.

- Ale nie zrobił ci krzywdy?

- Nie, ani nie zbliżył się za bardzo. To było po prostu ... żenujące.

W oczach Reynauda zabłysły wesołe iskierki.

- Dla mojego brata także. Nieczęsto spotyka się z odmową. Do zobaczenia w południe.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Elise stała, patrząc przed siebie,

zapomniawszy o nieistotnym problemie  
z

oświadczynami Wielkiego Słońca i  
rozmyślając o tym, co się z nią stanie na  
wypadek śmierci

Reynauda. Śmierć. Była blisko nich w  
nocy, być może dlatego tak desperacko  
zatapiali się w

sobie. Ona musi nadejść, to równie  
pewne, jak to, że wiosną pojawią się tu  
Francuzi. Wielu

polegnie i jest bardziej niż  
prawdopodobne, że będzie wśród nich  
ten, który poprowadzi do

boju Natchezów. Francuzi go nie oszczędzą. Prawdę mówiąc, będą starali się dopaść przede

wszystkim jego.

Im bardziej starała się wyprzeć te myśli z umysłu, tym stawały się jaśniejsze i bardziej

klarowne. Nic dziwnego, że kiedy w jakiś czas później rozległo się pukanie do drzwi,

odetchnęła z ulgą.

Otworzyła je i zobaczyła, że przed szaląsem stoi Francuzka. Elise natychmiast



pomyślała o madame Doucet, jednak tym razem chodziło o coś innego. Młoda kobieta,

blondynka o jasnej karnacji i w bardzo zaawansowanej ciąży, stała w milczeniu, miętosząc

brudny fartuch, którym okryła przyciasną i postrzępioną suknię.

- Proszę do środka - powiedziała Elise, zakłopotana. Kobieta rozejrzała się

niespokojnie, a potem weszła do szafasu i stanęła na środku pomieszczenia, przyglądając się

Elise tak intensywnie, że ta znowu

poczuła się zakłopotana. zaproponowała przybyłej

poczęstunek i poprosiła ją, aby usiadła. Kobieta odmówiła wypicia czegokolwiek, lecz

przycupnęła na skraju ławy.

Elise milczała. Po chwili uświadomiła sobie, że tak już przywykła do obyczajów

Natchezów, iż czeka, by gość przemówił pierwszy. Przypominając sobie manieri dobrej

gospodyni, zapytała:

- Czy mogę coś dla pani zrobić?

Kobieta podniosła wzrok, a potem znów opuściła go na dłonie. Oblizwała blade, niemal

bezkrwiste wargi.

- Czy to prawda ... Czy mogłaby mi pani powiedzieć ... To znaczy, słyszałam, że

Reynaud Chavalier ocalał z masakry panią i ... i kilka innych osób. Czy to prawda?

- W pewnym sensie.

- Podobno byli wśród nich trzej mężczyźni i oni nadal żyją.

- Tak?

- Czy jednym z nich był może ... czy mógł nim być Jean - Paul St. Amant?

- Och! - wykrzyknęła Elise. - Pani jest jego chire amie! Kobieta aż podskoczyła.

- Nie byłam jego kochanką, nigdy! To nie tak, zupełnie nie tak!

- Nie, oczywiście, że nie - powiedziała Elise uspokajająco, ganiąc się w duchu za brak

rozwagi. - Proszę, niech pani usiądzie.

- Kochaliśmy się - powiedziała kobieta,

wybuchając płaczem. - Kochaliśmy się.

- Wiem, St. Amant mi powiedział. -

Objęła ramieniem chude barki ciężarnej,  
która

przywarła do niej wstrząsana łkaniem.

Kiedy St. Amant opowiadał jej o  
kobiecie, którą kochał, nawet przez myśl  
jej nie

przeszło, iż może ją kiedykolwiek  
spotkać. Pod naporem wydarzeń  
zapomniała o całej

sprawie i nie zadała sobie trudu, aby  
popytać w wiosce o ukochaną  
towarzysza niedoli.

Zresztą i tak nie mogłaby tego zrobić, ponieważ St. Amant, jak na dżentelmena przystało, nie

wymienił jej imienia.

Elise zaczęła mówić. Opowiedziała, jak bardzo St. Amant lękał się o nią, o jej

zdrowie, o to, jak znosi niewolę i że modlił się, by Natchezowie uwolnili ją od męża. Powoli

kobieta uspokajała się. W końcu podniosła głowę i powiedziała, ocierając twarz:

- Jest pani bardzo uprzejma. Tak bardzo się denerwowałam ... to dziecko, wie

pani, no

i mój mąż nie żyje. Sądziłam, że St. Amant zginął. Ja ... teraz już wszystko będzie dobrze.

Elise spojrzała w blado błękitne oczy kobiety i dostrzegła w nich błysk

nieustraszonego męstwa. Nagle sama poczuła się nie dość silna.

- Czy mogłabym coś dla pani zrobić?

- Już pani zrobiła - dała mi pani nadzieję.

Elise ujęła ją za ramię i spostrzegła na skórze liczne siniaki, niektóre świeże,

inne

ledwo już widoczne.

- Musi być coś jeszcze - powiedziała miękko.

Kobieta miała na imię Helene i była niewolnicą Rudej Łani, matki Ścieżki

Niedźwiedzia. Dopiero teraz udało jej się przyjść do Elise, ponieważ zwykle miała zbyt wiele

zajęć, by mogła choć porozmawiać ze swymi rodaczkami. Jeżeli nie pracowała dostatecznie

szybko albo nie rozumiała polecenia,



dostawała ciągi. Jeśli w porę nie usunęła się z drogi,

była szturchana i popychana. Zupełnie, jakby stała się kozłem ofiarnym, na którym Ruda

Łania wyładowywała gniew za to, że jej syn został wygnany z wioski przez inną Francuzkę.

Kiedy Elise usłyszała opowieść Helene, poczuła się winna. Nie wiedziała, jak ulżyć

doli tej kobiety, ale coś powinna zrobić, i to szybko. Jednak wszelkie działanie wymaga

czasu, więc choć Elise trudno było się pogodzić z tym, że Helene będzie musiała wrócić do

szafasu Rudej Łani, na razie nic nie mogła dla niej uczynić.

Gdy Francuzka wyszła, Elise postanowiła poradzić się Reynauda, lecz nie udało jej się

go znaleźć. Oznaczał w lesie drzewa do ścięcia na budowę palisady. Udała się więc do domu

Wielkiego Słońca. Wątpiła, czy przedstawienie tej sprawy samemu wodzowi ma sens,

ponieważ niechybnie uznałby ją za zbyt trywialną i niegodną jego uwagi, a poza tym nie był

chyba dobrze do niej usposobiony, gdy odrzuciła jego oświadczenia. Poprosi o radę

Tatuowane Ramię, postanowiła.

Matka Reynauda przyjęła ją łaskawie, wysłuchiwała z zainteresowaniem, ale nie

udzieliła żadnej rady. Francuzka stanowi własność Rudej Łani i nikogo nie obchodzi, jak jest

traktowana. To przykre, lecz tylko ona sama może sobie pomóc. Jeżeli uda jej

się oszukać

swoją panią i wykręcać od cięższy.ch robót, nikt nie będzie miał jej tego za złe. Cięża czyniła

to zadanie co prawda trudniejszym, ale nie niemożliwym, jeżeli dobrze wybierze broń.

Elise wyobraziła sobie, jak Helene łapie kawał drewna czy kamionkową butlę i stawia

czoło swej dręczycielce. Helene była odważna, ale jaka z niej przeciwniczka dla Rudej Łani.

Poza tym za kilka dni urodzi dziecko i co

wtedy?

Kiedy wieczorem wrócił Reynaud, opowiedziała mu o wszystkim. Od razu udał się do

Rudej Łani z propozycją, że odkupi od niej Francuzkę. Uprzedził jednak Elise, by nie liczyła

na to, że Ruda Łania wyrazi zgodę. I rzeczywiście, po godzinie nadeszła odpowiedź.

Odmowna.

Elise nie poddała się. Poprosiła Przepióreczkę, by poszła z nią odwiedzić Helene.

Chciała przekonać się, czy wszystko z nią w porządku. Zamieszanie wokół ciężarnej

niewolnicy Rudej Łani niewiele pomogło, ale przynajmniej podtrzymało rodaczkę Elise na

duchu.

W pięć dni później ten problem przestał być ważny.

Rankiem Natchezowie odkryli, że pod umocnieniami koczuje tysiąc sześciuset

Czoktawów, sprzymierzeńców Francuzów, pomalowanych w barwy wojenne.

Zwołano radę starszych, składającą się z członków kasty Słońca, mężczyzn i kobiet.

Elise jako żona wodza wojennego także mogła przysłuchiwać się naradom. Reynaud zalecił

odwleknięcie bitwy, dopóki budowa umocnień nie zostanie ukończona. Czoktawowie

przyłączyli się do Francuzów, bo chcieli zemścić się na Natchezach za to, że przyśpieszyli

atak na fort Rosalie, pozbawiając ich tym samym udziału w łupach. Być może uda się ich

udobruchać, odstępując część niewolników i zabranych Francuzom przedmiotów. Jeśli plan

się nie powiedzie, przynajmniej zyskają trochę czasu.

I rzeczywiście, do Czoktawów wysłano delegację z piękną fajką pokoju, ozdobioną

piórami i zwojami wypolerowanego miedzianego drutu. Wojownicy, poprzedzani przez

starszyznę plemienia, wyruszyli ubrani w paradne, budzące respekt stroje. Z ich ramion



zwieszały się peleryny z łabędzich piór,  
na głowach mieli pióropusze z takich  
samyh piór.

Słońce opromieniało złotem cały ten  
splendor, połyskując miedzią na  
szerokich,

wyprostowanych barkach i ramionach.  
Reynaud wyruszył razem z  
wojownikami.

Czy propozycja zostanie przyjęta, czy  
odrzucona, a wysłannicy zamordowani,  
z

wyjątkiem jednego, oszczędzonego, aby  
przedstawił warunki? Wioskę ogarnęło  
pełne

napięcia oczekiwanie. Minęła godzina, a wojownicy nie wracali. Tymczasem do szafasu Elise

zawitał gość.

Tatuowane Ramię siedziała spokojnie, nie przejawiając ani cienia niepokoju, i sączyła

ziołową herbatę. Gawędziła o pogodzie, o tym, że zaczynają kiełkować pędy dzikich cebul i

pęcznieją pąki drzew, że w miejscach osłoniętych od wiatru pojawiła się już młoda trawa.

- Kobiety bardzo mądrze zrobiły -

powiedziała po chwili milczenia - że na wodza

wojennego wybrały Reynauda, a nie Ścieżkę Niedźwiedzia. Może wszystko dobrze się

skończy.

- Musimy mieć nadzieję - odparła Elise grzecznie. Słyszałam, że Reynauda wybrały

kobiety, ale jak to możliwe? Sądziłam, że to stanowisko jest dziedziczne, a rada starszych

tylko zatwierdza kandydata.

- To prawda, jednak rada może wybrać na to miejsce innego wojownika, jeśli

pierwotnego kandydata uzna za niegodnego tego stanowiska, ale wstępnej selekcji dokonują

właśnie kobiety.

- Rozumiem - powiedziała Elise i rzeczywiście tak sądziła.

- Mój syn jest wojownikiem, ale nie pochwała wojny.

Mądrość nakazuje mu rozwiązywać konflikty bez walki, jeśli tylko istnieje taka

możliwość. Swego czasu został z tego  
przeegzaminowany, podobnie jak  
Ścieżka

Niedźwiedzia, i teraz widać, jak bardzo  
przydało mu się to doświadczenie.

- Przeegzaminowany? Jak? - Elise  
chętnie podtrzymywała rozmowę.

Tatuowane Ramię najwidoczniej  
potrzebowała towarzystwa, ona zaś nie  
chciała

zostać sama ze swymi lękami.

- Gdzie indziej, jak nie w łóżu? To tam  
mężczyzna najpełniej się odsłania. Mój  
syn ma

moc, ale trzyma ją na wodzy. Zawsze wykazywał się cierpliwością i rozwagą. Starał się

przewodzić i ochraniać, nie dominować. Bo widzisz, kiedyś, na początku, zadaniem wodza

wojennego było przede wszystkim zapewnić plemieniu bezpieczeństwo. Nigdy nie wybrano

by kogoś, kto posłużyłby się siłą, aby zapewnić sobie to, czego pragnął, który zniżyłby się do

brudnych sztuczek, by zdobyć kobietę, lub porzucił ją bez litości, gdy już ją posiadał.

Elise spuściła wzrok.

- Czy ten egzamin ... czy Reynaud musiał być z wielo - ma kobietami?

- To był bardzo gruntowny sprawdzian. To wiele wyjaśniało.

- A czy on wiedział, że jest poddawany egzaminowi?

- Nie, skądże. Wtedy sprawdzian nie byłby miarodajny, prawda? Po prostu przez jakiś

czas otaczało go spore grono kobiet, które chętnie odpowiadały na jego zaloty.

- Rozumiem. A czy Wielkie Słońce też został w ten sposób sprawdzony?

- Oczywiście. Wiadomo, że tak jak męczyzna obchodzi się z kobietą, tak będzie

rzadził.

- A Sto Cosme?

- Również. Mój trzeci syn - gdyby obaj starsi zginęli - objąłby władzę i sprawował ją,

dopóki córka mojej siostry nie zapewniłaby ciągłości linii. Jak wiesz, ja nie mam córek.



- Kobiety Natchezów mają wielkie wpływy i cieszą się dużą swobodą, większą niż

Indianki z innych plemion, tak przynajmniej słyszałam. Jak do tego doszło?

- Stare dzieje.

- Co masz na myśli, pani?

Indianka milczała przez dłuższą chwilę, wpatrując się w przestrzeń, aż wreszcie powiedziała:

- Zgodnie z tym, co mówią stare podania, nie te przechowywane przez

kapłanów w

świątyni, ale powtarzane przez  
najstarsze kobiety, Natchezowie, nim  
przywędrowali w to

miejsce, byli dziećmi księżyca. Rządziły  
wtedy kobiety, dawczynie życia, one  
bowiem

sprawiają, że ziemia daje plony. Rada  
składała się z kobiet, a plemieniem  
rządziły trzy

władczynie: matka, córka i wnuczka. Ta  
trójka błogosławiła zawierane  
małżeństwa.

Mężczyźni nie zawracali sobie głowy

nonsensownym porywaniem swojej  
wybranki. W

tamtym czasach kobiety oddawały się  
im z przyjemnością, swobodnie i bez  
strachu,

ponieważ były uważane za świętość.

Mężczyźni, czciciele siły żywotnej,  
księżycy, w swoim powiększaniu się i  
zanikaniu

kontrolującego przyływy wód i kobiece  
przypadłości, księżycy okrągłego,  
niczym brzuch

ciężarnej kobiety, byli zadowoleni z  
tego, że są rządzeni. Polowali, aby

zapewnić żywność

swoim kobietom, dzielili z nimi domy, bronili ich i dzieci. Wszyscy żyli w pokoju i dostatku.

Tak było przez wiele pokoleń, których nie sposób wręcz zliczyć. A potem ze wschodu

nadciągnęło plemię, które zapragnęło żyznych ziem Natchezów. Zabrali je przemocą,

zabijając wielu naszych. Wtedy kobiety poprosiły mężczyzn, by użyli swej siły i odparli

wroga.

Stopniowo zyskiwali coraz większe wpływy. Kobieta i matka ustąpiła miejsca

mężczyźnie, pozwoliła przejąć władzę, ponieważ stale groziło im niebezpieczeństwo.

Strażnicy świątyni mówią, że ze słońca zstąpił pomiędzy nas biały mężczyzna z białą

kobietą i oboje zaczęli szerzyć kult słońca. Podobno od tej pary wywodzi się cały ród Słońca,

znany ze szczodrości i uprzejmości wobec siebie. Jednak kobiety twierdzą, że słońce

zwyciężyło, ponieważ nie sposób toczyć  
bitew w mroku, a jaskrawe światło  
słoneczne jest

przeciwieństwem delikatnego blasku  
księżycy. Kobiety, czcicielki księżycy,  
zostały

odsunięte, a świątynie przejęli silniejsi  
od nich wyznawcy kultu słońca.

Wykradli święty

ogień, który niegdyś był symbolem  
bezpieczeństwa domowego ogniska,  
twierdząc, że został

im przekazany przez kobietę i  
mężczyznę, którzy zstąpili ze słońca, i że  
jeśli ten ogień

kiedykolwiek zgaśnie, na plemię spadnie klęska. Wmawiają sobie i nam, iż nie można ufać,

że kobieta zaryzykuje utratę wolności, by bronić świętego ognia, choć właśnie to my

chroniliśmy go od zarania dziejów. A prawda wygląda tak, że nie chcą powierzyć kobiecie

odpowiedzialnego zadania, ponieważ odpowiedzialność oznacza przywództwo. Zmiany

nastąpiły bardzo szybko, zwłaszcza w porównaniu do otchłani czasu, kiedy to panowały

dawne porządki.

Teraz mężczyźni trzymają kobiety z dala od rady; ważne spotkania organizują w

tajemnicy, tak jak wtedy, kiedy postanowili uderzyć na Francuzów. Nie powiedzieli nam o

tym, ponieważ wiedzieli, że kobiety doradzałyby cierpliwość zamiast ataku. Wkrótce, jeśli

przetrwamy jako plemię, będą chcieli odebrać nam ziemię i szałas, naczynia i nawet dzieci,

które wychodzą z naszego łona. A wtedy nadejdzie kres, bo oni będą chcieli tylko



walczyć,

bez przerwy walczyć. Nie potrafią dawać życia, tylko je odbierać, na tym polega ich siła.

Kiedy nie będą się nią posługiwali, utracą ją. Wówczas kobiety znów odzyskają swoją

pozycję• Plemię nigdy już nie odwróci się od kobiet, gdyż one na to nie pozwolą.

Kobiety dają życie, bez względu na okrucieństwo wojen, ból i straty. Nic dziwnego, że

kiedy Tatuowane Ramię umilkła i Elise

usłyszała nagle krzyk wołającej ją  
Helene, wydało jej

się to właściwe i zgodne z odwiecznym  
porządkiem rzeczy.

Zerwała się z ławy i pobiegła do drzwi,  
które zostawiła otwarte, by wpuścić do  
środka

świeże powietrze i ciepło wiosennego  
popołudnia.

Jasnowłosa Francuzka z trudem  
wtoczyła się do środka.

Podtrzymując rękami brzuch i zataczając  
się, padła Elise w ramiona. Z twarzą

wykrzywioną grymasem bólu krzyknęła:

- Dziecko, Elise, dziecko!

## **ROZDZIAŁ XV**

To było piękne dziecko, dziewczynka. Poród nie trwał długo ani nie był szczególnie

ciężki. Tatuowane Ramię orzekła, że przebiegł normalnie, tak jak zwykle przebiega poród

pierwszego dziecka u zdrowej kobiety, nawet jeśli jest ona Francuzką.

Elise była wdzięczna, że Indianka została i pomogła odebrać poród i że

posłała po

znachorkę, która była także położną.  
Elise nie miała w tym doświadczenia,  
choć

przypuszczała, że gdyby znowu  
nadarzyła się okazja, dałaby sobie radę  
sama.

Tatuowane Ramię oczyściła drogi  
oddechowe noworodka, podczas gdy  
położna

zajmowała się matką. Potem Indianka  
przekazała niemowlę Elise. Musiała  
wracać do domu,

do czekających tam obowiązków. I tak

jej nieobecność trwała zbyt długo. To właśnie Elise po

wyjściu obu Indianek wykąpała małą i utuliła do snu. Helene spojrzała na córkę, uśmiechnęła

się i zasnęła wyczerpana porodem.

Wiele indiańskich kobiet, które usłyszały krzyk nowo narodzonego dziecka, przyszło

je obejrzeć. Gruchały do małej cichutko, dotykając jej różowych paluszków, jak gdyby nigdy

przedtem nie widziały takiego dziecka. Przyniosły drobne prezenty: zwierzątka z

drewna,

pieluszki z włókna morwowego,  
kołderki z miękkiej skóry i grzechotki z  
dyni. Niepokoiły się

też, że dziecko nie zostało natychmiast  
przywiązane do specjalnej deski, która  
nadałaby jego

głowie tak pożądaną płaską kształt, lecz  
wiedziały, że Francuzi inaczej troszczą  
się o dzieci.

Z pewnością okaże się to konieczne,  
kiedy matka wróci do pracy: jak inaczej  
mogłaby

dźwigać bezradne niemowlę i

jednocześnie mieć wolne ręce?

Kiedy ostatnia z kobiet wyszła, drzwi otworzyły się raz jeszcze i na progu stanęła

Ruda Łania. Przyjrzała się uważnie śpiącej kobiecie i niemowlęciu, które Elise trzymała w

ramionach. Założyła ręce na piersi, a jej twarz pociemniała z gniewu.

- Powiedziano mi, że jest tu moja zbiegła niewolnica.

Nie mogę uwierzyć, że byłaś na tyle głupia, aby udzielić jej schronienia.

Elise ostrożnie odłożyła dziecko na ławę, a potem odwróciła się do Łani.

- Jeżeli mówisz O Helene, to rzeczywiście ona tu jest. Jak zapewne widzisz, dopiero

co urodziła dziecko. Przyszła tutaj, ponieważ potrzebowała pomocy, czyli czegoś, czego nie

mogła spodziewać się od ciebie.

- A co miałam zrobić z tą bezużyteczną niewolnicą? To pech, że przydzielono mi

kobietę w tak zaawansowanej ciąży. Płodu nie dało się usunąć, musiałam



więc znosić jej

słabość. Dobrze, że już pozbyła się dziecka. Będzie mogła ciężiej pracować.

- Przede wszystkim będzie musiała zająć się córką zauważyła Elise. - Niech zostanie

tu, w domu wodza wojennego, ponieważ w ciągu najbliższych miesięcy i tak nie będzie z niej

pożytku.

Kobieta prychnęła grubiańsko.

- Bez dziecka szybko wróci do siebie.

- Bez ... o czym ty mówisz?

- Takie blade i słabe z pewnością niedługo pociągnie. Lepiej od razu wynieść je do

lasu.

Elise poczuła, jak ogarnia ją przerażenie. Słyszała, że Indianie postępują tak z dziećmi,

które urodziły się z jakąś wadą, ale z dzieckiem Helene wszystko było w porządku.

Instynktownie zasłoniła sobą niemowlę.

- Nic z tego - powiedziała stanowczo.

Matka Ścieżki Niedźwiedzia roześmiała się.

- Dziecko jest moje i mogę z nim zrobić, co zechcę.

- Nie dotkniesz go.

- A kto mnie powstrzyma? - Kobieta oparła dłonie na biodrach.

Helene, którą obudziły odgłosy kłótni, zaczęła płakać, wydając ciche, zwierzęce

odgłosy. Elise spojrzała z nienawiścią na Indiankę, a potem cofnęła się i chwyciła muszkiet

Reynauda zawieszony nad ławą.

Trzymając mocno broń, odwróciła się do Rudej Łani.

- Ja cię powstrzymam - odparła spokojnie. - I to od razu. Jesteś podłą kobietą i

powinnaś zostać wypędzona razem ze swoim synem. Wynoś się z tego szałasu i nigdy nie

wracaj. Jeżeli jeszcze kiedykolwiek cię tu zobaczę, zabiję cię bez wahania.

- Nie odejdę bez mojej niewolnicy. Francuzka musi wstać i pójść ze mną.

Choć słowa brzmiały pewnie, Indianka

wycofała się w kierunku drzwi. Elise  
potrząsnęła głową.

- Ona tu zostanie. A ty wynoś się.

Kobieta zamrugała z niedowierzaniem  
powiekami na dźwięk słów  
wypowiedzianych

na sposób męski, lecz szybko odzyskała  
kontenans i spojrzała na Elise z  
nienawiścią.

- To się tak nie skończy, zobaczysz -  
wysyczała. Zwrócę się do rady.

- Bardzo proszę.

- Narobię tyle hałasu, że wszyscy moi przyjaciele przyjdą ze mną i ją zabiorą.

- Naprawdę? Niech tu przyjdą i dowiedzą się, co zamierzałaś zrobić. Powiem im i

bardzo się postaram, by dobrze zrozumieli, że nie potrafisz sama odzyskać swojej własności.

Wyśmieją cię, zamiast ci pomóc.

- Bez względu na to, co się stanie, i tak dosięgnie cię moja zemsta! - wrzasnęła

kobieta, wybiegając z szałasu.

Po długiej dyskusji nazwały dziecko

Jeanne. To było zwykłe imię, pasujące do

każdego innego, z którym rodzice zechcieliby je połączyć. Elise domyślała się, że Helene

myśli o chwili, kiedy spotka się ze St. Amantem.

Kiedy dziecko dostało imię, Helene nakarmiła je po raz pierwszy, a potem ułożyła się

spać. Tymczasem zrobiło się naprawdę późno. Dzień obfitował we wrażenia i do tej pory

Elise nie miała czasu się martwić. Lecz

kiedy na dworze zapadła ciemność i w domu

zapanował wreszcie spokój, a Reynaud nadal nie wracał, ogarnął ją lęk.

Dłuższy czas stała na progu szałasu, wpatrując się w noc. W końcu ruszyła ku stokom

wzgórza Wielkiego Słońca i zaczęła się na nie wdrapywać. Zatrzymała się w pobliżu szczytu,

skąd widać było obóz Czoktawów. Ogniska nadal płonęły i widać było sylwetki mężczyzn.

Co świętowali? Zawarcie porozumienia



czy zwycięstwo nad wysłannikami  
Natchezów?

Sfrustrowana niepewnością, trwała tak  
przez kilka minut, mając nadzieję, że  
zdoła

rozpoznać Reynauda. Nocny wiatr unosił  
jej spódniczkę i rzucał na twarz pasma  
włosów.

Powiew był zimny, toteż Elise ciaśniej  
owinęła się skórzaną bluzą. Na niebie  
świecił słabo

księżyc, posrebrzając wątlym blaskiem  
dachy domów i pozostawiając w cieniu  
ścieżki

pomiędzy nimi. Na lewo znajdowały się umocnienia. Ostro zakończone wierzchołki pali

wyglądały jak postawione na sztorc dzidy.

Po jakimś czasie w obozie Czoktawów zaczął się ruch.

Mężczyźni odeszli od ognisk i skierowali się w stronę uśpionej wioski. Mała grupka

rozdzieliła się przy pierwszych domach i kilku wojowników, skradając się, pośpieszyło do

domu Wielkiego Słońca.

Elise obserwowała, jak nadchodzą.  
Idący na czele spojrzali w górę. Blask  
księżycy

zaśnił na miedzianej skórze mężczyzny,  
którego wyglądała. Nie czekała dłużej,  
nie zwlekała

ani chwili, ale zerwała się i zbiegła  
pewnie i lekko ze wzgórza, aż krótka  
spódniczka

powiewała wokół niej. Z twarzą  
rozjaśnioną radością rzuciła się w  
ramiona Reynauda.

Pochwycił ją, przytulił mocno i  
zawirował. Mężczyźni z kasty Słońca  
mijali ich, odwracając

twarze. - Jesteś bezwstydną niczym  
kobiety Natchezów - zaśmiał się  
Reynaud, przytulając do  
ją siebie.

Elise uświadomiła sobie, że bluza  
rozwiązała się i jej piersi są nagie.  
Zamiast się

zawstydzić, przywarła mocniej do  
swego męża. Reynaud zaczerpnął  
gwałtownie powietrza, a

potem wziął ją na ręce i pewnym  
krokiem skierował się do szałas. W  
słabym świetle

żarzących się na palenisku szczap

znalazł drogę ku ławie, ułożył na niej  
Elise i szybko

ściągnął ubranie.

Elise pomyślała o Helene, leżącej w  
drugim końcu pomieszczenia, lecz nie  
przejęła się

tym. Pozbyła się resztek odzieży i  
przytuliła do Reynauda. Leżeli ciasno  
spłeceni, smakując

pocałunki i pieszcząc 'się nawzajem. W  
pewnej chwili Reynaud przekręcił się na  
plecy i teraz

Elise nadawała rytm ich miłosnej  
potyczce. Jednak w końcu to jego

niespożyta siła i wprawne

dłonie przyniosły im ukojenie i uwolniły na jakiś czas od lęku.

Kiedy leżeli przytuleni, czekając, aż uspokoją się ich oddechy, rozległ się ostry,

naglący płacz głodnego niemowlęcia.

- A cóż to, u licha? - zapytał Reynaud, unosząc się na łokciu.

- Dziecko, oczywiście!

Elise usiadła i sięgnęła po ubranie, leżące na podłodze obok ławy, gorączkowo

szukając w ciemności tasiemek.

- Co to znaczy: oczywiście? Kiedy wychodziłem, nie było tu żadnego dziecka.

- To dziecko Helene.

- Powiniennem był się domyślić - powiedział z rezygnacją.

Znieruchomiała.

- Przeszkadza ci, że tu jest? To takie maleństwo, nie sprawi kłopotu. Helene zaczęła

rodzić, a nie miała dokąd pójść. Ruda Łania zamierzała wynieść malutką do

lasu i tam

porzucić, jakby była kaleką, tylko dlatego, żeby Helene mogła wcześniej wrócić do pracy. Nie

mogłam na to pozwolić.

Podniósł jej dłoń do ust.

- Nieważne. Możesz tu trzymać setkę dzieci razem z ich matkami, jeśli ci to sprawia

przyjemność. Ten dom jest teraz twój.

- Ale został zbudowany dla wodza wojennego.



- Jago tylko zajmuję. Dom czekał na ciebie.

Elise poczuła w głowie zamęt i tradycje indiańskie poplątały jej się z francuskimi.

- Ale to ty musisz go bronić.

- Muszę bronić tych, którzy się w nim znajdują, nie samego domu. Dom ma dla mnie

znaczenie tylko o tyle, że stanowi schronienie dla ludzi, którzy go zamieszkują.

Dziecko leżało przy matce. Helene najwidoczniej obudziła się i dała mu

pierś, bo

głośny płacz zastąpiło ciche, pełne zadowolenia posapywanie.

- Jesteś zbyt szczodry - powiedziała miękko Elise.

- Ponieważ daję ci to, co i tak ci się należy?

Jako Natchez z pewnością uważał, że szalas należy do niej, ale czy jako Francuz

dzieliłby się z nią równie chętnie swoją ziemią? Wątpiła w to.

- Wszystko, co posiadam, należy teraz

także do ciebie - powiedział Reynaud,  
jakby

czytał w jej myślach.

:: - Jednak szybko byś to odzyskał,  
gdybym zdecydowała, że nie chcę dłużej  
być twoją

żoną.

- Nie ma sposobu, by cię przekonać, a  
nie będę ryzykował, że cię utracę, tylko  
po to,

by udowodnić, że mówię prawdę.

Lodowaty ton jego głosu sprawił, że  
Elise skuliła się na posłaniu. Nie miała

zamiaru

kwestionować jego słów. A poza tym, co za różnica, skoro pozwolił Helene zostać?

- Powinnam ci podziękować - spytała kpiąco - czy jest to niepotrzebne?

- To zależy, jaką formę przyjmie podziękowanie - powiedział.

Przyciągnął ją do siebie

i pocałował.

Kiedy ciche odgłosy ssania dochodzące od strony pośłania Helene umilkły, oni nadal

nie spali. Elise zapytała o wynik pertraktacji z Czoktawami i dowiedziała się, że odniesiono

umiarkowany sukces. Czoktawowie przedstawili długą listę żądań, lecz widać było, że

najbardziej zależy im na zysku. Reynaud był pewny, że drobnymi ustępstwami uda się odwlec

atak, przynajmniej do czasu zakończenia budowy umocnień. Natchezowie musieli tylko co

dzień przekazywać Czoktawom część łupów zdobytych na Francuzach - kilka bel jedwabiu,

narzędzia, niewolników.

Elise słuchała uważnie, leżąc z głową na ramieniu Reynauda. Ulżyło jej, że nie od razu

trzeba będzie bronić wioski przed tłumem Czoktawów, ale myślała już o czymś innym.

- Czy byłoby możliwe - zapytała - aby Helene i jej dziecko, a może i madame Doucet,

znalazły się pośród tych niewolników, którzy zostaną przekazani Czoktawom?

- Prawdopodobnie tak, ale nie zalecałbym tego - powiedział Reynaud

poważnie. -

Czoktawowie są co prawda sojusznikami Francuzów, lecz to wcale nie oznacza, że każdy

jeniec, którego dostaną, zostanie natychmiast odesłany do fortu. Jest bardziej niż

prawdopodobne, że Czoktawowie zatrzymają ich dla okupu.

- Nie mogą tego zrobić!

- Ależ zapewniam cię, że mogą. Niewolnicy zmieniliby jedynie właściciela, pracując

odtąd dla Czoktawów zamiast dla Natchezów. A ponieważ Czoktawowie mieszkają teraz nie

w wiosce, ale w obozie, lepiej, żeby niewolnicy pozostali tam, gdzie są. Mają co jeść, gdzie

się schronić i nie pracują ponad siły.

- Jak więc wybierzesz tych, których będziesz musiał przekazać?

- Powiniennem wysłać tam najsilniejszych i najzdrowszych, ale chyba wyjaśnię

sytuację francuskim kobietom i zobaczę, czy znajdą się ochotniczki. Istnieje



możliwość, że

Francuzi od razu zdecydują się zapłacić okup, choć byłbym zdziwiony, gdyby dotarli tutaj

przed upływem miesiąca.

- Dlaczego zatem Czoktawowie przybyli tak wcześnie? - Rozpostarła dłoń i leciutko

przesunęła palcami po bliznach tatuażu na jego piersi.

- Aby wytargować to, co właśnie uzyskali: udział w łupach.

- Sądziłam, że łakną zemsty.

- Dla nich odebranie nam sporej części łupu to też rodzaj zemsty. Indianie nie prowadzą wojny tak jak biali.

- Rzeczywiście?

- Na przykład Indianie nigdy nie rzucają się do boju przeciw przeważającym siłom,

nie walczą na otwartym polu ani nie atakują dobrze obwarowanych pozycji. Dla nich to nie

akt odwagi, ale przejaw głupoty. Chętnie oddadzą życie w szczytnym celu, ale zbyt je cenią,

by nim beztrosko szafować. A poza tym u Natchezów wódz wojenny musi płacić

odszkodowanie rodzinie każdego wojownika, który zginie na polu bitwy. To zniechęca do

wydawania nierozważnych rozkazów.

- Będziesz musiał zapłacić za każdego wojownika, który straci życie pod twoim

dowództwem? Podobaś temu? - Nic innego mi nie pozostaje.

Elise przesunęła dłoń z piersi Reynauda i zaczęła pieścić jego sutek.

- To bardzo rozsądny sposób prowadzenia wojen.

- Tylko wtedy, gdy obie strony przestrzegają tych samych zasad.

- Co masz na myśli?

- Natchezowie, jak większość plemion indiańskich, nie zabijają kobiet i dzieci.

Owszem, zdarza się w ferworze walki, że kobieta przypadkiem stanie im na drodze, i wtedy

może zginąć albo gdy opóźnia marsz. Dziecko, które głośnym płaczem ostrzega wroga, także

stanowi zagrożenie. Brytyjczycy wycinali w pień całe wioski - ciągnął Reynaud - obawiam

się, że Francuzi zechcą użyć dział, by przebić się przez nasze umocnienia. Jeżeli coś takiego

się wydarzy, nie jestem pewny, jak przyjmą to Natchezowie. Wojownik Natchezów raczej

zginie, a nie pozwoli wziąć się do niewoli, ale prędzej sam odda się w niewolę, niż dopuści,

aby zabito kobiety i dzieci z jego rodziny.

- Ładny mi wybór - powiedziała Elise drżącym głosem.

Jej dłoń przestała się poruszać.

Reynaud westchnął głęboko.

- Rzeczywiście - powiedział z wolna.

Przez jakiś czas milczeli, sen jednak nie nadchodził.

- Skoro wódz wojenny musi płacić za wojowników, którzy polegą pod jego

dowództwem, nic dziwnego, że wywodzi się z kasty Słońca. Nikt inny nie mógłby sobie na to

pozwolić.

- Wódz wojenny rzadko zatrzymuje dla siebie łupy.

- Z drugiej strony, jak rozumiem, aby otrzymać tę funkcję, trzeba spełnić też inne

ważne kryteria. - Przesunęła powoli palcami po jego piersi i zatrzymała je w zagłębieniu

pępka.

- Na przykład jakie? - zapytał, pochylając się nad nią, by ucałować czubek jej głowy. -

Te dotyczące kobiet.

- Nie rozumiem.

- Doprawdy? - spytała, uśmiechając się do siebie. - Test zdałeś bez trudu.

- Test?

- Chyba nie powinnam o tym mówić. - Przesunęła dłonią po płaskiej powierzchni jego

brzucha, a potem niżej, do miejsca, gdzie wąska linia włosów przechodzi w trójkąt.

Delikatnie, pieszczotliwie dotknęła gładkiej, ciepłej męskości Reynauda.



- Wiedźma - mruknął.

- Czy naprawdę chcesz to wiedzieć? -  
zapytała.

- Nie ... tak.

- Chodzi o to - wyjaśniła, przesuwając  
wargami po jego płaskim brzuchu - że

mężczyźni podczas walki stosują tę samą  
taktkę, jaką posługują się, by zdobyć  
kobiety.

- Też coś! - oburzył się. - Kto tak  
twierdzi?

- Twoja matka. A test polega na  
sprawdzeniu, jak mężczyzna zachowuje

się w

chwilach intymnych.

- Chyba rozumiem. - W głosie Reynauda pobrzmiwał śmiech, który sprawił, że

mięśnie jego brzucha zadrgały pod ustami Elise. - A gdybym się teraz poddał, czy

zniszczyłoby to bezpowrotnie moją reputację? A może nawet straciłbym stanowisko?

Dni miesiąca łaski szybko mijały. Myśliwi częściej niż kiedykolwiek wyruszali na

łowy i zapuszczali się dalej, nawet na drugi brzeg Missisipi. Ogniska, nad którymi wędzono

mięso, nigdy nie gasły. Kobiety wyszukiwały młode warzywa oraz korzenie i z nich

przygotowywały potrawy, aby oszczędzić ziarno. Zbierały i suszyły zioła, przydatne do

opatrywania ran bitewnych. Wodę ze strumienia magazynowano w specjalnych dzbanach,

ustawianych jeden na drugim, a studnie nadal pogłębiano. Dla ochrony przed kaprysmi

pogody wewnątrz umocnień zbudowano  
szalasy, tak że forty wyglądały jak nowo  
założona i

bardzo zatłoczona wioska. W centrum  
głównego fortu, na zachodnim brzegu  
strumienia,

wzniesiono kopiec, na którym miała  
zamieszkać rodzina Wielkiego Słońca.

Kiedy zrobiło się cieplej, pozwolono  
dzieciom bawić się w lesie, lecz czujnie  
ich

strzeżono. Starszym chłopcom  
zapowiedziano, aby nie oddalali się  
zbytnio i byli gotowi

wrócić na każdy sygnał. Kobiety trapiły się, że pola nie zostały przygotowane pod uprawę, a

tymczasem wkrótce zrobi się gorąco i będzie za późno, by siać kukurydzę, dynię i fasolę. Nikt

nie śmiał głośno powiedzieć, że w tym roku pola być może pozostaną nie obsiane.

Martwiono się także o grupkę myśliwych: czterech mężczyzn i dwie kobiety - którzy

nie wrócili z łowów. Wyprawiono wojowników, aby ich odszukali. Wrócili z wieściami, że

myśliwi zostali ujęci przez plemię  
Tunica, sprzymierzone z Francuzami.  
Wysłano poselstwo

do wodza Indian Tunica, ale stary  
człowiek oznajmił, że odesłał jeńców do  
wielkiego białego

wodza, gubernatora Periera w Nowym  
Orleanie.

Czoktawom przekazano kilka  
francuskich kobiet, ale, jak przypuszczał  
Reynaud,

zamieniły tylko jedną niewolę na drugą,  
w dodatku w obozie Czoktawów  
warunki były

gorsze. Część narzędzi, bel materiału, lornetek, kryształów i miedzianych imbryków oraz

złota przeszła z rąk do rąk. Natchezowie zaopatrywali także obóz Czoktawów w wędzoną

wieprzowinę, dziczyznę i sagamite. W zamian za swoją szczodrość zyskiwali czas,

najcenniejszą rzecz, jaką mogli teraz otrzymać.

Budowa fortów została ukończona. Nie miały szerokich wrót, ponieważ żadne pojazdy

na kołach nie miały do nich wjeżdżać ani ich opuszczać. Zamiast nich w jednym miejscu

skrzydła umocnień pozostawiono wolną przestrzeń, nie szerszą jednak niż barki mężczyzny.

Tu znajdowało się jedyne wejście, którego łatwo było bronić. Nawet gdyby atakującym udało

się sforsować obronę, przez wąski przesmyk mogło przedostać się naraz tylko niewielu

przeciwników.

W marcu drzewa okryły się młodą



zielenią, ich delikatne liście niczym  
zielona

mgiełka prześwitywały przez szare  
gałęzie. Słodki zapach żółtego jaśminu  
unosił się w

ciepłym powietrzu, a razem z nim  
napływała delikatna, rozkoszna woń  
dzikich różowych

azalii, rosnących nad wodą• Derenie,  
przypominające przywiązane do ziemi  
białe chmury,

otwierały jasne przylistki, a nad  
potokiem St. Catherine z ziemi obficie  
wysztzereliły fiołki.

Pewnego dnia o zmierzchu Reynaud  
wśliznął się do szalasu. W dłoni trzymał  
pęk

dzikich azalii, delikatnych różowych  
kwiatów, kontrastujących mocno z  
miedzianymi,

silnymi i zniszczonymi od pracy dłońmi.  
Oderwał gałązkę od bukietu i wsunął  
Elise we włosy

nad uchem. Uśmiechnęła się do niego,  
porwana zapachem delikatnych płatków  
i uczuciem

nagłego, porażającego szczęścia.  
Reynaud wziął ją w ramiona i trzymał  
tak przez dłuższą

chwilę, z policzkiem opartym o jej  
głowę. Elise otoczyła ramionami jego  
talię i trwała tak,

pełna lęku i uczuć, których nie potrafiła  
nazwać.

W końcu puścił ją i odsunął się. Jego  
ciemne oczy posmutniały.

- Francuzi przybyli - powiedział z  
troską. - Rozbili obóz na ruinach fortu  
Rosalie.

Francuzi nie od razu ruszyli na wioskę.  
Odpoczywali po podróży, czyścili  
sprzęt,

budowali drabiny i czekali, aż

nadciągnie reszta ich sił. Dowodził nimi namiestnik królewski,

kawaler de Loubois. Spodziewano się, że wyśle poselstwo do Wielkiego Słońca i spróbuje

odzyskać jeńców. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

Natchezowie nie czekali. Rankiem trzeciego dnia całe plemię, łącznie z mieszkańcami

odległych wiosek, znalazło się w obrębie umocnień.

Główna Wioska opustoszała. Drzwi szałasów stanęły otworem, paleniska

wystygły,

święty ogień przeniesiono do małej świątyni wewnątrz umocnień. Panował powszechny

bezruch, słyhać było tylko krakanie kruka, który przysiadł na grzbiecie rzeźbionego

łabędzia, jednego z dwóch zdobiących budynek świątyni. Na Elise widok ten robił wrażenie

miejsca nawiedzonego przez zarazę, która zabrała wszystkich żyjących.

Piątego dnia oddziały Francuzów zajęły Główną Wioskę. Szałasów używali jako

stajni

dla koni, burzyli ściany i ścinali stare drzewa na opał. Kawaler de Loubois na swoją kwaterę

wybrał świątynię i na stokach świętego wzgórza umieścił największe działo.

Wzniesiono

maszt, na którym powiewała francuska flaga, ozdobiona burbońskimi liliami.

Zewsząd

dochodził dźwięk bębnów i trąb. A potem zapadła noc.

Nikt nie wiedział, skąd nadeszła wiadomość. Być może sami Francuzi

powiedzieli o

tym Czoktawom, którzy z kolei przekazali ją Natchezom. Wieść rozeszła się szybko. Elise

usłyszała ją od śmiejącej się obłąkańczo madame Doucet. Okazało się, że sześcioro

myśliwych pochwyconych przez Tunicasów zostało w Nowym Orleanie straconych przez

Francuzów. Gubernator Perier osobiście wydał rozkaz. Czterech mężczyzn i dwie kobiety

spłonęły żywcem przy palu.

Niewiele osób zmrużyło oczy tej nocy. Mężczyźni przechadzali się niespokojnie po

wałach, z muszkietami kupionymi za futra od handlarzy bądź zdobytymi w forcie Rosalie.

Wydano proch i kule, zmagazynowane w szałasie wybudowanym w pobliżu studni, by łatwiej

było ugasić ewentualny pożar. Mniej zdenerwowani wojownicy malowali twarze i ciała w

czerwone, żółte i białe pasy.

Trudno powiedzieć, ilu dokładnie



wojowników zebrało się wewnątrz  
'umocnień, ale z

pewnością było ich blisko pięciuset.  
Pozostałych dwustu czy trzystu  
znajdowało się w drugim

forcie na przeciwległym brzegu  
strumienia, gdzie ulokowano  
mieszkańców odległych wiosek.

Elise słyszała, że dowodzi nimi Ścieżka  
Niedźwiedzia.

Jako naczelnik drugiej co do wielkości  
wioski był trzecią osobą w plemienu,  
zaraz po

Wielkim Słońcu i Reynaudzie.

Wprawdzie wojowników  
zgromadzonych w obu fortach było

więcej niż Francuzów, ale oni mieli za  
sobą Czoktawów - ich połączone siły  
niemal

dwukrotnie przewyższały siły  
Natchezów.

W głównym forcie, na małym placyku  
przed domem Wielkiego Słońca,  
panowało

zamieszanie. Ludzie miotali się,  
szukając schronienia dla siebie i swego  
dobytku. Kobiety

nawoływały się, dzieci płakały,

szcekały psy, kury gdakały i kwiczały  
świnie. W powietrzu

unosił się kurz zmieszany z dymem z  
palenisk.

Ustalono plan mający zapewnić  
wszystkim godziwe warunki bytowania,  
ale

wyegzekwowanie jego założeń od  
kilkuset zmęczonych i przestraszonych  
kobiet i dzieci nie

było sprawą prostą. Najważniejsze  
wydawało się przestrzeganie podziału  
na kasty. I choć

niektórzy sarkali, większość upierała się

przy zachowaniu dotychczasowych przywilejów.

Reynaud zdawał się być wszędzie: rozkazywał, by uwiązano wałęsające się swobodnie

zwierzęta, rozstrzygał kłótnie dotyczące rozlokowania poszczególnych rodzin, brał na ręce

płaczące dzieci i uspokajał je. St. Cosme służył mu za adiutanta, przynosząc rozkazy i

sugestie pomiędzy nim a Wielkim Słońcem.

Elise pomagała przy rozpakowywaniu

tobołków, a kiedy trafiła się wolna chwila,

'rozmawiała z Francuzkami, wyjaśniając im, co się dzieje. Kobiety obawiały się, że gdy

Francuzi zaatakują, dotkną je represje ze strony Indian. Elise uważała, że to niemożliwe. Po

upływie tylu miesięcy jeńcy stali się dla Natchezów bliscy niemal jak członkowie plemienia.

Oczywiście nie sposób przewidzieć, co może się wydarzyć w gorączce walki, zwłaszcza jeśli

Indianie zaczęły przegrywać.

Po jednej stronie małego placu zaczęto przygotowywać stawę. Tu także zasiadł na

swoim tronie Wielkie Słońce. Wydawał polecenia, działając z zadziwiającym pośpiechem,

aby opanować chaos.

W miarę jak upływała noc, wrzawa cichła. Opróżniono ostatnią drewnianą miskę,

resztki jedzenia rzucając kurom i świniom.

Wielkie Słońce wycofał się do swego  
szałas. Kręte alejki między szałasami

opustoszały. Dobiegało z nich chrapanie  
lub niespokojny płacz dziecka. Nocny  
wiatr jęczał

nad palisadą. Od czasu do czasu  
zaszczeakał pies pilnujący swego nowego  
terytorium, a potem

znów zapadała cisza. Wszędzie widać  
było sylwetki śpiących mężczyzn  
owiniętych w

peleryny. Elise zamarła w bezruchu na  
progu szałas, który zajmowała z Helene  
i jej

dzieckiem, i przyglądała się, jak stojący wysoko na niebie księżyc w trzeciej kwadrze

zakrywa chmury, pogrążając wioskę w ciemności. Zadrżała.

Podszedł do niej Reynaud i przyciągnął ją do siebie. Pochylił głowę, aby ustami dotknąć wrażliwego miejsca za uchem. Jego oddech ogrzewał policzek Elise, gdy mówił: -

Wkrótce będzie świt, na razie nic nie możemy zrobić, tylko czekać. Chodź do łóżka.

Kochał się z nią mocno i czule,



obdarzając ją swoją siłą i czerpiąc siłę z niej, jakby

szukał zapomnienia, ucieczki, choćby na krótko, przed straszliwą odpowiedzialnością.

Przywarli do siebie w ciemności, przytuleni ciasno, z zaciśniętymi powiekami, pełni obaw,

ale nieustraszeni.

Kiedy Elise obudziła się o szarym świcie, Reynauda już przy niej nie było.  
Poranek

wstał spokojny, ciszy nie mącił nawet śpiew ptaków. W drugim kącie szałasu

Helene

poruszyła się na posłaniu. Widząc, że Elise usiadła i nasłuchuje, uniosła się na łokciu i

zapytała:

- Co to takiego?

- Ja nie ...

Resztę jej słów zagłuszył huk wystrzałów i ochryple nawoływania straży. Hałas, na

który składały się okrzyki wojowników i żołnierzy po drugiej stronie palisady, był

ogłuszający. Zaczął się atak, pierwszy podczas obłączenia.

Elise odrzuciła niedźwiedzią skórę i zeskoczyła z posłania. Chwyciła spódniczkę i

szybko zawiązała ją wokół bioder. Dziecko płakało wystraszone kanonadą, Helene próbowała

je uciszyć. Elise zerknęła na matkę i córkę, owinęła się peleryną i podbiegła do drzwi.

Odsunęła je i zobaczyła chmurę szaroniebieskiego, gryzącego dymu, przez który

prześwitywały sylwetki wojowników,  
strzelających do nacierających  
Francuzów. Rannych

znoszono z wałów i układano pokotem  
na ziemi. Kobiety biegały tu i tam,  
pokrzykując do

siebie. Dzieci płakały. Dwa konie  
zerwały się z uwięzi i galopowały po  
placu, świnie

uskakiwały im spod kopyt, a psy biegły  
ich śladem, ujadając.

Elise wdrapała się na wał, skąd mogła  
obserwować potyczkę, nie  
przeszkadzając

wojownikom.

Karne szeregi Francuzów nadchodziły jeden po drugim. Żołnierze przyklękali,

odpalali broń, a potem wycofywali się, zacieśniając szereg, jeśli któryś z nich padł lub został

ranny. Niektórzy próbowali przystawić do umocnień drabiny, ale zostali natychmiast odparci.

Za liniami Francuzów Czoktawowie rozwinęli się w szyk bojowy i zaczęli strzelać. Ponieważ

nie posuwali się przy tym do przodu, ich kanonada nie sięgała dalej jak do

wałów, stanowiąc

zagrożenie raczej dla nacierających Francuzów niż ukrytych bezpiecznie za palisadą

Natchezów.

Jednak siły francuskie zaczęły zadawać straty. W pobliżu miejsca, gdzie atak był

najbardziej zażarty, jeden wojownik krzyknął nagle i upadł na plecy. Po twarzy spływała mu

rew. Inny padł bez jęku i już się nie poruszył.

Elise zeszła po drabinie na ziemię i

dopiero lekkość stóp powalanych  
żywicą

uświadomiła jej, że nie założyła  
mokasynów. Pognała bosą do szafasu,  
rzuciła się na kolana i

zaczęła gorączkowo szukać mokasynów  
pod ławą, opowiadając przy okazji  
Helene o tym, co

dzieje się na zewnątrz. Włożyła obuwie,  
zawiązała ciężką pelerynę, używaną w  
charakterze

płaszcz, i ponownie wkroczyła w chaos  
panujący w obłąkanej wiosce. Pierwszą  
osobą, którą

zobaczyła, była Przepióreczka.

Krzyczała, że trzeba usunąć zabitych i rannych, by nie

tarasowali przejścia.

Szybko zebrała się wokół niej grupka dzielnych i silnych niewiast. Wszystkie

skierowały się ku wałom.

W ciągu następnej godziny Elise słyszała tylko huk wystrzałów i grzechot kul

odbijających się od umocnień, czuła zapach prochu, krwi i potu. Razem z innymi kobietami



układała ciała zabitych w cieniu wielkiego dębu. Jeden z szalasów przeznaczono na szpital i

tam zносиły rannych. Elise opatrywała rany, jako bandaży używając pasów skóry, ścierek,

podartych na pasy płóciennych koszul, a nawet satynowych i jedwabnych sukien odebranych

Francuzkom. Tylko niewielu rannych dało się przekonać, by pozostali w szpitalu - ci, którzy

mogli utrzymać się na nogach, wracali na wały.

Podczas krótkich przerw w pracy Elise obserwowała potyczkę toczącą się na murach i

u wąskiego wejścia, przypominającego tunel. Natchezowie, pod dowództwem Reynauda,

odpierali wciąż nowe ataki. Z niehumanicznym wręcz zapamiętaniem sięgali do rezerw siły i

odwagi, nie znanych Francuzom. Walczyli o swoje życie, o to, by nie zostać wasalami,

niewolnikami swoich wrogów, walczyli, aby ocalić życie swych kobiet i dzieci. Jednak było

w tym coś jeszcze. Bardziej dzicy niż Francuzi i mniej od nich cywilizowani nie bali się

śmierci, gniewu bożego ani ognia piekielnego. A może po prostu bardziej kochali życie?

Elise wydawało się, że mogą tak walczyć w nieskończoność, że nie sposób ich

pokonać. Gdy zaniosiła Reynaudowi wodę, podzieliła się z nim tym spostrzeżeniem.

- A jeśli zwyciężysz, jeżeli Francuzi poproszą o pokój, czy zastanowisz się nad tym,

by odesłać im francuskich jeńców w zamian za obietnicę, że pozostawią was w spokoju?

- Jeśli Francuzi postawią to jako warunek? - zapytał.

- Tak.

- Dlaczego pytasz?

Kiwnęła głową w kierunku walczących.

- Walczą tak dobrze, nie widać po nich bólu ani zmęczenia, zupełnie jakby nie byli

ludźmi.

- Niech cię to nie zmyli. Odczuwają ból i zmęczenie jak każdy człowiek, mimo że tego

nie okazują. Francuzi także są dzielni. Maszerują prosto pod ogień.

- Myślałam, że uważasz to za przejaw głupoty.

- Człowiek może być głupi i jednocześnie odważny. - Reynaud wzruszył ramionami. -

Gdybym stał po drugiej stronie, wielu z tych mężczyzn nazwałbym bohaterami.

Skinęła głową, przyjmując jego argumentację, ale mówiła dalej, aby

przedstawić swój

tok rozumowania.

- Wydaje mi się, że Francuzi nie mają wielkiego pożytku z Czoktawów. Gdyby

przeegrali, kobiety nadal pozostałyby niewolnicami i doprawdy nie wiem, jak by to przyjęły. -

Pewnie w końcu by przywykły.

- Wątpię. Francuzi są tak blisko i na pewno o nich nie zapomną.

Skinął głową.

- Masz rację. Najlepiej byłoby pozwolić

im odejść. Ale nie wiem, czy rada  
wyrazi na

to zgodę.

- A co z nami? Co my zrobimy? Spojrzał  
na nią szybko.

- My?

- Przypuszczam ... To znaczy, jesteśmy  
małżeństwem. Czy zostaniemy tutaj? -

Ciemny rumieniec wypłynął jej na  
policzki, ale nie spuściła wzroku. Niech  
Reynaud sobie

myśli, co chce.

- Użyłaś określenia „oni”, mówiąc o Francuzach; nie uważasz się już za Francuzkę?

Nie chciałybyś wrócić wraz z innymi do Nowego Orleanu?

- Sama już nie wiem, kim jestem. Ja ... chyba pojechałabym z nimi, gdyby okazało się

to konieczne.

- Nie będzie - powiedział, oddając jej pustą miskę i otaczając dłońmi palce, którymi ją

trzymała. - Kiedy to tutaj się skończy, wrócę do mojego domu nad



rozlewiskiem Duc de

Maine. Będiesz mogła pojechać ze mną, jeśli zechcesz.

Jak odległe wydawało się teraz Elise tamto życie. Czy jeszcze zobaczy dom

Reynauda? Poczujecie ogarniający ją spokój, gdy w ciepły letni dzień będzie chodziła po jego

pokojach? Czy urodzi dzieci, które będą bawiły się przed domem, a potem wyrosną na

uczciwych i mądrych ludzi, nie obawiających się nikogo? To tylko marzenie, nic więcej.

Nagle usłyszeli krzyk Pierre'a. Wzywał wodza, ponieważ zaczął się kolejny atak.

- Idź już - powiedział Reynaud, obrócił ją i delikatnie popchnął. Wycisnęła mocny

pocałunek na jego czarnej od prochu twarzy, a potem zsunęła się po drabinie.

Po drodze zajrzała do szpitala, napiła kilku rannych i przez chwilę rozmawiała z

Przepióreczką, która siedziała z wachlarzem z indyjskich piór w dłoni i odganiała muchy od

twarży umierającego chłopca. Kiedy poszła do studni po wodę, usłyszała świst kul w

gałęziach drzewa. Jedna z nich trafiła w pień, odbiła się i upadła u jej stóp. W ciągu ostatnich

godzin tak bardzo przywykła do tego rodzaju sytuacji, że ledwie zwróciła na to uwagę.

Gdybym stał po drugiej stronie ... słowa Reynauda stale do niej wracały, budząc

niepokój. Czy nadal był w rozterce, rozdarty pomiędzy lojalnością wobec ludu swej matki a

lojalnością wobec narodu swego ojca?  
Sądziła, że odrzucił tego rodzaju  
wątpliwości, gdy

zgodził się zostać wodzem wojennym.  
Wiedziała, że przez cały czas poszukuje  
honorowego

sposobu, aby przywrócić pokój, ale  
sądziła, że czyni tak ze względu na  
Natchezów. Jednak

metoda, jaką się przy tym posługiwał,  
raczej nie znajdzie zrozumienia w N  
owym Orleanie. Z

pewnością nie pojma, dlaczego został  
przywódcą Indian, którzy zabijają  
francuskich

żołnierzy, nazwą go renegatem, zdrajcą.  
A jeśli dostanie się do niewoli,  
gubernator Perier nie

potraktuje go lepiej niż Indian, których  
rozkazał żywcem spalić.

Powoli atak słabł. Kanonada zmieniła  
się w pojedyncze strzały, a potem w  
ogóle

ucichła. Fort został utrzymany. Francuzi  
wrócili na swoje pozycje. Rozległ się  
pojedynczy

okrzyk triumfu, a po nim następne.  
Oszołomieni mężczyźni schodzili z  
wałów, wymieniając

opowieści o chwilach  
niebezpieczeństwa, strachu i chwały.  
Głośno rozwodzili się nad

męstwem i taktyką Francuzów,  
maszerujących prosto pod ogień  
indiańskich strzelb, zdumieni

tym, że w ogóle zdecydowali się  
przypuścić szturm na tak masywne i  
kuloodporne

umocnienia. Doceniali ich odwagę, lecz  
jednocześnie rozpierała ich duma, że  
udało im się

odeprzeć zmasowany atak.

W miarę jak mijały dni, a kolejnego

ataku nie było, Indianie świętowali,  
handlowali ze

sobą i odwiedzali się wzajemnie, jakby  
nie było oblężenia. Niektórzy grali w  
piłkę. 'Gra

polegała na tym, że jedna drużyna  
próbowała uniemożliwić drugiej  
dotknięcie ściany domu

Wielkiego Słońca skórzaną piłką. Inna  
gra, wymagająca posłużenia się  
tyczkami i kamieniem,

nosiła nazwę chunkey. Brali w niej  
udział dwaj mężczyźni wyposażeni w  
długie niemal na

trzy metry zaostrzone tyczki oraz okrągły kamień o średnicy blisko ośmiu centymetrów.

Jeden z nich rzucał równocześnie kamień i tyczkę, drugi natomiast, stojąc w gotowości,

wykonywał jedynie rzut tyczką. Ten, czyja tyczka trafiła bliżej kamienia, 'otrzymywał punkt i

prawo do rzutu kamieniem i tyczką w następnej kolejce. Rywalizacja była ostra i nawet

postawiono kilka zakładów.

Tymczasem Francuzi dokonywali



przegrupowań. Minął tydzień i nadal nic się nie

działo. Reynaud, który większość czasu spędzał na wałach, ignorując świętowanie, gry,

handel i wizyty towarzyskie, coraz bardziej pochmurniał. Francuzi zachowywali się zbyt

spokojnie, jedynie z rzadka oddawali strzały albo ostrzeliwali się, by osłonić zmianę pozycji.

Całą energię zużywali na kopanie rowów, które umożliwią im przygotowywanie

niespodziewanego wypadu. Widział także, jak przytaczano działa i umieszczano je na

pozycjach w pobliżu wału.

Niewątpliwie wkrótce czeka ich ciężki atak.

Miał rację. Następnego ranka znowu rozległa się kanonada. Nastąpił kolejny, długo

wyczekiwany szturm.

## **ROZDZIAŁ XVI**

Porażający huk pierwszej eksplozji sprawił, że Indianom dosłownie odebrało mowę.

Płaczące dzieci uciszano, a kobiety spoglądały na siebie szeroko otwartymi przerażonymi

oczami; mężczyźni pobiegli natychmiast na wał, aby zobaczyć, co dzieje się po drugiej

stronie. Wielu z nich zrzucił podmuch drugiej eksplozji. Jednak podwójna palisada, którą

zbudowali, nie szcędząc sił, przetrwała. Bale drżały i sypała się spomiędzy nich ziemia, tu i

ówdzie coś się zapaliło i trzeba było ugasić ogień, jednak palisada stała nieporuszona - mocna

bariera oddzielająca ich od Francuzów,  
nieme świadectwo inżynierskiego  
kunsztu Reynauda i

jego zdolności przywódczych.

Huk wystrzałów działał deprymująco.  
Od salw trzęsła się ziemia. Ogłuszający  
dźwięk

dochodził falami razem z gryzącym  
dymem, który atakował płuca. Psy  
kręciły się w kółko z

podkulonymi ogonami jak oszalałe,  
dzieci ukryły się pod ławami. Z  
początku zarówno

mężczyźni, jak i kobiety wzdrygali się

mimo woli, lecz w końcu przywykli do  
huku i

traktowali go z lekceważeniem.

Indianom najtrudniej było zrozumieć nie  
to, że Francuzi oblegają umocnienia, ale  
że

strzelają do wioski, w której znajdują  
się ich kobiety i dzieci. Co za szaleniec  
naraża je na

takie niebezpieczeństwo? A skoro  
Francuzom tak dalece nie zależy na życiu  
kobiet i dzieci,

oznacza to, że nie spoczną, dopóki nie  
dokonają krwawej zemsty i przy życiu

pozostanie choć

jeden.

I rzeczywiście, atak nie ustawał ani na chwilę. Szaroczarny dym przesłonił niebo.

Płonące odłamki spadały na trzciniowe dachy, wywołując pożary. Kiedy Francuzi przekonali

się, że palisada wytrzyma ostrzał armatni, zbudowali podwyższenie, skąd ostrzeliwali dom

Wielkiego Słońca i wojowników na wałach. Wódz w trosce o bezpieczeństwo swoich żon w

bardzo już zaawansowanej ciąży odesłał je na dół, do wioski, lecz sam odmówił opuszczenia

domu. Nowa świątynia straciła jedną ścianę, gdy trafił w nią pocisk. Kapłan strzegący

świętego ognia zginął i trzeba było wyznaczyć następnego, który zresztą szybko został ranny.

Obawiano się powszechnie, że święty ogień może wygasnąć, jednak kolejne zastępy

strażników dzielnie broniły go przed Francuzami.

Zebrani wewnątrz umocnień ludzie mieli nerwy napięte jak postronki. Kłótnie

wybuchwały z najbliższych powodów. Tłok i coraz większy zaduch spowodowany

nagromadzeniem odchodów ludzi i zwierząt oraz odpadków, których nie było jak się pozbyć,

był dla Natchezów równie uciążliwy jak ostrzał. Muchy bzyczały, dokuczały pchły rojące się

w posłaniach, poziom wody w studniach obniżył się, gdyż używana była także do polewania



dachów i gaszenia pożarów.

Francuskie kobiety i dzieci cierpiały tak samo jak Indianie, choć one miały

przynajmniej nadzieję, że wkrótce zostaną uratowane. W każdej wolnej chwili zbierały się i

modliły o rychłe wyzwolenie. Przed oblężeniem wydawało się, że niemal zasymilowały się z

plemieniem, jednak obecność Francuzów za murami uświadomiła im, kim są i skąd pochodzą.

Różnice między nimi a Natchezami stały się wyraźniejsze. Indianie także to czuli,

gdyż

traktowali jeńców gorzej niż wtedy,  
kiedy ich pojмали.

W końcu z wielkim trudem na wały  
zawleczono dwa działa zabrane z fortu  
Rosalie.

Kiedy wystrzeliły po raz pierwszy,  
wzbudziły popłoch wśród Francuzów.  
Niestety, pełni

entuzjazmu wojownicy nazbyt  
swobodnie obchodzili się z prochem.  
Późnym popołudniem

jedno działo uległo rozerwaniu, laweta  
pod nim rozpadła się i przygniotła

załogę. Lufa

drugiego przegrzała się od ciągłego strzelania, a kiedy polano ją wodą, pękła. Pierwsze działo

udało się jakoś poskładać, jednak i ono umilkło, kiedy po paru godzinach zabrakło prochu.

Przetrząsnięto zapasy sprowadzone z wioski i okazało się, że amunicji starczy jeszcze na

jeden dzień.

Dla Elise życie w oblężonej wiosce było równie męczące jak dla wszystkich. Bardzo

polubiła Helene, jednak mieszkanie z nią w jednym szalasie stawało się uciążliwe. Tęskniła

do samotności, miała dość ciągłego wyjaśniania jej, co dzieje się na zewnątrz, i uspokajania

podczas ataków. Płacz dziecka często przerywał jej sen i coraz bardziej irytował, zwłaszcza

że tak rzadko miała okazję się wyspać. Czasami myślała, że gdyby nie Helene, Reynaud

częściej wracałby na noc do chaty. Był bardzo zajęty, stale na posterunku. A kiedy w końcu

udawało mu się przywlec do domu,  
padał ze zmęczenia. Mimo iż domagał  
się, by przy nim

leżała, ich zażyłość zdawała się zanikać.  
Kiedy się budził, na jego twarzy nadal  
widniały

bruzdy zmęczenia, rzadko też z nią  
rozmawiał. Czasami przyciskał Elise do  
siebie tak mocno,

że aż bolało, i kochał się z nią  
rozpaczliwie, jakby obawiał się, że to  
ostatni raz. W miarę jak

oblężenie przedłużało się, ona także  
zaczęła odnosić wrażenie, iż z ich  
związku ulotniła się

cała radość.

Z każdym dniem uświadamiała też sobie, kim naprawdę jest. To nie był świadomy

proces, po prostu tak się działo.

Indianki, z wyjątkiem Przepióreczki, odsunęły się, a ona,

czując się samotna i odizolowana, odpłacała im tym samym. Coraz więcej czasu spędzała z

rodaczkami, pilnując, by otrzymywały swoje porcje jedzenia i wody. Do ich obowiązków

należało oczyszczanie wioski z odpadków i nieczystości. Musiały

zbierać ogryzione kości,

obierki, sprzątać gnój, a potem zakopywać, podobnie jak ciała zwierząt zabitych przez kule.

Ich zadaniem było też dopilnowanie, by szczury, coraz bardziej rozzuchwalone, nie dobrały

się do zapasów i aby głodne psy nie wykopywały zwłok wojowników pogrzebanych w

płytkich mogiłach. Traktowane gorzej niż przedstawiciele kasty Śmierdzieli, były bez

przerwy obserwowane i łajane.

Kiedy pewnego dnia Elise wróciła do chaty, nie zastała Helene. Dziecko spało na

posłaniu z futer ułożonych na podłodze. Zawróciła, aby jej poszukać. Napotkała ją w pobliżu

bramy. Helene szła w jej stronę, z twarzą wilgotną od łez. Bez słowa rzuciła się jej w

ramiona. Elise tuliła ją przez chwilę, a potem, nie mogąc powstrzymać niepokoju, zapytała:

- Co się stało? Powiedz!

Helene spojrzała. na nią oczami



lśnjącymi z radości.

- Widziałam go, Elise, widziałam!

- Kogo?

- Jean - Paula! On tu jest!

A zatem udało mu się przedrzeć do fortu Saint Jean Baptiste. Elise dopiero teraz

uświadomiła sobie, jak bardzo martwiła się, czy St. Amantowi, Henriemu i Pascalowi nic się

nie stało. Widocznie ukochany Helene pojechał do Nowego Orleanu, tam dowiedział się o

ekspedycji przeciw Natchezom i przyłączył się do żołnierzy.

' - Czy zdajesz sobie sprawę, co to oznacza? - spytała, potrząsając Helene. -  
Zależy

mu na tobie, i to tak bardzo, że przybył,  
by cię ocalić.

- Lecz jeśli on zginie, co wtedy'?  
Reynaud nauczył Natchezów dobrze  
strzelać.

Odpierają wszystkie ataki i zadają tyle  
ran, wyrządzają tyle szkód, tak  
desperacko się bronią.

Boję się, Elise, bardzo się boję.

Elise wpatrywała się w nią,  
zacisnąwszy pobladłe usta.

- Jak my wszyscy.

- Ty także? Wydajesz się taka dzielna,  
taka opanowana.

Elise sądziła dotąd, że Helene poczytuje  
jej troskę o Reynauda za zdradę.

Tymczasem

ona po prostu jej współczuła.

Najwidoczniej nie uznawała romansu  
Elise za zwykły

mezalians, lecz za tragedię. Jej związek  
ze St. Amantem miał szansę się  
rozwinąć, a

przynajmniej mogła żywić taką nadzieję. Przed Elise i Reynaudem nie było przyszłości.

Niektóre sprawy już z samej swojej natury przynoszą zgubę, a miłość Elise i Reynauda

właśnie do takich należy, pomyślała ze smutkiem.

Dzieci, zarówno indiańskie, jak i francuskie zaczęły mieć wszy. Walczono z nimi za

pomocą starannego oczyszczania głów i polewania ich naparem z ziół. Psy zniknęły z alejek,

ponieważ trafiły do garnków. Po trzydniowej ulewie nieczystości przedostały się do studzien,

zatruwając wodę i ludzie zaczęli masowo chorować. Poziom wody w studniach stale się

obniżał i zmniejszały się jej zapasy w dzbanach.

Zwołano w tej sprawie radę. Elise także udała się na zgromadzenie, ale usiadła poza

zasięgiem słuchu, ponieważ uznała, że lepiej nie zwracać na siebie uwagi.

Natchezowie

obwiniali o wywołanie gorączki francuskie kobiety i dzieci, podobnie jak obwiniali je o

przywleczenie wielu innych chorób, i nie bez racji. Elise żałowała, że nie siedzi dostatecznie

blisko, by słyszeć Reynauda. Wiedziała, że z pewnością zabierze dzisiaj głos. Liczyła na to,

że komentarze szeptane z ust do ust powiedzą jej to, co chciała usłyszeć.

Głos Reynauda, przemawiającego w języku Natchezów, obfitującym w grzeczności i

dźwięczne frazy, dobiegał nawet tutaj,  
budząc w jej sercu głęboki odzew.

Przysłuchiwała się,

nie próbując zrozumieć słów ani  
dostrzec go ponad tłumem. Wystarczyło,  
że w jego głosie

brzmiał ton radości i miłości.

Wiedziała, że nie zapomni go nigdy,  
przenigdy. Jak wiele

zawdzięczała Reynaudowi i jak  
niewiele mu dała! Sprawił, że miała  
wspomnienia dane

niewielu kobietom, wspomnienia  
słodkie i żywe. Zachowa je aż do  
starości i będzie

przywoływała jedno po drugim, aby  
podziwiać ich blask i kolor. Pierwsza  
noc na szlaku,

kiedy stał nagi na deszczu. Wieczór,  
kiedy zobaczyła go skąpanego w  
księżycowej poświacie

na rozlewisku. Lawendowy zmierzch,  
gdy po raz pierwszy kochali się w lesie.  
Mroczne

popołudnie, kiedy porwał ją, aby  
uczynić swoją żoną. Tyle wspomnień!  
Bardzo żałowała, że

nie będzie następnych.

Głos zabrał starszy mężczyzna, gniewnie



wymachując pięścią w kierunku Francuzów.

A kiedy usiadł, wstał następny i przemówił spokojnym, zrównoważonym głosem. A potem

zapadła cisza.

Przysłuchując się prowadzonym wokół niej rozmowom, Elise dowiedziała się, że

Reynaud sugerował dalszą walkę. Twierdził, że Francuzi są w równie złej kondycji jak oni.

Żołnierze, z których wielu było kolonistami, mającymi obowiązki w

Nowym Orleanie,

wkrótce zmęczą się strzelaniem do twierdzy, której nie sposób zdobyć. Jeżeli Indianie okażą

cierpliwość, Francuzi w końcu przyślą oficerów z propozycją zawarcia pokoju na warunkach

Natchezów. Stary człowiek, który przemawiał jako drugi, nie zgadzał się z Reynaudem.

Rozgniewany przedłużającym się oblężeniem, winił Reynauda za to, że kazał wojownikom

walczyć tak, jak walczą Francuzi, miast

zastosować indiańską taktykę. Nalegał, aby

zaskoczyć Francuzów we śnie i zabić tylu, ilu się da. Ostatni przemawiający nie zgadzał się

ani z jednym, ani z drugim przedmówcą. Obawiał się, że wszyscy w obozie wymrą, powaleni

chorobą i pragnieniem. Gorączka osłabiła wojowników, nie mieli dość sił, by skutecznie

bronić umocnień lub przeprowadzić udany wypad. Jego zdaniem należało zastosować do

Francuzów poselstwo, które  
wynegocjowałyby warunki pokoju.

Dyskusja, od czasu do czasu zbaczająca  
na inne tory, ciągnęła się aż do nocy.

Brakowało zdrowych wojowników, aby  
utrzymać wał, z tego samego powodu nie  
wchodził

też w grę atak pod osłoną nocy, a  
Francuzi wydawali się tak zawzięci, że  
mogli wymordować

posłów, zanim ci zdołaliby w ogóle się  
odezwać. Niektórzy domagali się, aby  
spalono dwie

Francuzki, traktując to jako ostrzeżenie

pod adresem Francuzów, a także odwet za śmierć

Natchezów spalonych na rozkaz gubernatora. Propozycja została natychmiast odrzucona, ale

to, że w ogóle padła, zdecydowanie pogorszyło atmosferę.

W końcu wstała Tatuowane Ramię. Przemawiała krótko, ze spokojną pewnością siebie

i wszyscy natychmiast ucichli.

- O co chodzi? - zapytała Elise, pochylając się do Przepióreczki, która siedziała kilka

rzędów przed nią.

- Matka Wielkiego Słońca  
zapropnowała, by do Francuzów  
wysłano w charakterze

posła Francuzkę.

- Każda z nich z pewnością  
namawiała by go, by zrównał wioskę z  
ziemią.

- Większość rzeczywiście tak właśnie  
by postąpiła zgodziła się Przepióreczka.

-

Większość, ale nie ty.

- Nie, ale to niepodobne do

wojowników chować się za spódnicą.

Przepióreczka zmarszczyła brwi.

- Oni tak na to nie patrzą. Sprawa jest delikatnej natury i wymaga zastosowania

szczególnych środków. Kto może przedstawić ją lepiej niż kobieta, orędowniczka pokoju i

ochraniająca życie? W dodatku Francuzka, której z pewnością nie zrobią nic złego?

- Reynaud do tego nie dopuści.

- Będzie musiał, jeżeli rada tak postanowi. Gdyby chodziło o oddział

wojowników,

stanąłby na ich czele i jego słowo  
miałoby decydujące znaczenie, nawet  
przed słowem

Wielkiego Słońca. Lecz tutaj decydują  
się losy wszystkich i dlatego obowiązują  
postanowienia rady.

Starszyzna naradzała się przez jakiś  
czas. Zasięgnięto opinii Wielkiego  
Słońca, który

skinął na Reynauda, kiedy decyzja  
została podjęta. Gdy ją oznajmiano,  
Reynaud przyglądał



się bacznie ludziom siedzącym tuż za miejscem obrad, a potem ruszył w stronę Elise.

Przeciskał się przez tłum, zupełnie jakby od początku wiedział, gdzie ona siedzi. Zatrzymał

się tuż przed nią i wyciągnął dłoń, by pomóc jej wstać.

- Chodź, kochanie - powiedział, a jego szare oczy błyszczały gniewnie. - Zostałaś

wybrana.

Rano Tatuowane Ramię, Przepióreczka i Helene ubrały Elise w suknię z

brązowego

aksamitu, obszytą koronką i złotym galonem. Na suknię założyła długi płaszcz z łabędziego

puchu, biały i miękki, u dołu przybrany krętym deseniem w kolorze złota i czerwieni. Jej

włosy zapleciono i upięto na czubku głowy grzebykami z muszli. Szyję Elise ozdobił naszyjnik

ze słodkowodnych pereł, a uszy złote kolczyki zagrabione Francuzkom.

Ponieważ w

magazynie nie znaleziono ani jednej pary

butów, które by na nią pasowały,  
założyła swoje

białe ślubne mokasyny. Reynaud,  
Wielkie Słońce i Tatuowane Ramię  
poczyli ją, co ma

powiedzieć.

Wywieszono białą flagę. Rozległ się  
przenikliwy dźwięk trzcinyowych fletów.

Zadudniły bębny. Odsłonięto wąskie  
przejście za umocnienia.

W ostatniej chwili Reynaud zagroził jej  
drogę. Przesunął spojrzeniem po  
sylwetce

Elise. Jej skóra, ledwie ozłocona słońcem, pozostała nieskazitelna. Włosy błyszcząły w

światle poranka, a bursztynowe oczy wyrażały spokój. Była taka piękna, zdecydowana i

odważna. Ujął jej dłoń i podniósł do ust.

- Nie jestem pewien, czy mogę pozwolić ci odejść - powiedział.

Spojrzała w mroczną głębię jego oczu, dostrzegła ich pełen napięcia wyraz, ściągniętą,

zmęczoną twarz i oparzone podczas gaszenia płonącego domu ramię.

- Ja wrócę.

- Naprawdę? A jeśli Francuzi ci nie pozwolą?

- Będą musieli, jeśli chcą ocalić pozostałych jeńców.

- Być może będą woleli uwolnić ich siłą. Istnieje takie ryzyko.

- Rada zdecydowała. Muszę iść - w interesie wszystkich - twoich ludzi i moich.

- Jeśli nie wrócisz ... Uścisnęła mocniej jego dłoń.

- Tak?

W oczach Reynauda rozbłysło światło, zastąpione wyrazem bolesnego skupienia.

- Na zawsze pozostaniesz w moim sercu.

Francuzi pozwolą jej wrócić. Będą musieli. Mimo to słowa Reynauda sprawiły, że

serce Elise ścisnęło się z lęku.

Rozbrzmiały fujarki i po drugiej stronie przejścia ubrani w

niebieskie mundury Francuzi

przegrupowali się, przygotowując się na przyjęcie osoby, która

wyjdzie z fortu. Nie wolno dopuścić,

aby czekali zbyt długo. Z oczami pełnymi łez, niemal

nie widząc przed sobą drogi, wyrwała dłoń z uścisku Reynauda i odwróciła się. Lekki

wietrzyk rozwiewał wokół niej cienki płaszcz, który spowijał Elise niczym delikatna

pajęczyna. Pozostawiła za sobą fort i ruszyła samotnie na spotkanie z Francuzami.

Królewski namiestnik, kawaler de Loubois, był uprzejmy. Wprawdzie z niesmakiem

spojrzał na jej indiański płaszcz, ale zaprowadził ją do namiotu dowódcy i poprosił, aby

usiadła. Przyniesiono napoje. Wokół nich zgromadziło się kilku oficerów i żołnierzy. Elise

spozrzegła St. Amanta i uśmiechnęła się do niego. Loubois przez chwilę sącył wino, a

potem poprosił niecierpliwie, by wyjaśniła, z czym przychodzi.

Elise zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Polecono mi przekazać, co następuje:  
Natchezowie żyli szczęśliwie na tej



ziemi.

Kiedy Francuzi, zbyt liczni w swojej  
ojczyźnie, przybyli w te strony,  
Natchezowie

powiedzieli: „Witamy, ziemi wystarczy  
dla wszystkich”. Gdy zima przeciągała  
się i

brakowało żywności, sami nie dojadali i  
dzielili się nią z Francuzami. Gdy  
pływające domy -

okręty z żywnością - nie przybywały na  
czas, Natchezowie zapraszali  
francuskich żołnierzy

do wioski i karmili ich, a kobiety

chętnie dawały im przyjemność i same ją czerpały. W

zamian biali przywlekli choroby śmiertelne dla Indian. Gospodarzy tej ziemi traktowali jak

niewolników, biorąc siłą to, czego nie dostali dobrowolnie. Francuzi mogliby powiedzieć, że

dali Indianom koce i strzelby, ale po co Natchezom strzelby, skoro do tej pory wystarczały im

łuki i strzały? I czy naprawdę potrzebowali koców, skoro mają ciepłe futra z upolowanych

zwierząt, a kobiety potrafią tkać z pierza i włókna drzewa morwowego materiały na piękne

okrycia?

Podczas ostatnich żniw - mówiła Elise - komendant fortu Rosalie zażądał ziem, na

których Natchezowie żyją o wiele dłużej, niż pamiętają najstarsi Indianie, najlepszych i

najżyźniejszych ziem Dzieci Słońca. Czy Natchezowie mają wymrzeć z głodu, pozbawieni

zboża, czekającego, by je zżąć? Mieliby

zginąć podczas zimy z chłodu, nędzy i niewygód, by

komendant mógł dostać to, czego pragnął? Ścieżka przyjaźni nie wymaga takich ofiar, więc

Natchezowie wkroczyli na ścieżkę wojenną. Komendant Chepart nie żyje, a my odzyskaliśmy

równowartość tego, co zagarnęli Francuzi. Dlatego zgadzamy się zwrócić wolność

francuskim kobietom i dzieciom w zamian za to, że będziemy mogli żyć w spokoju, nie

niepokojeni przez Francuzów ani  
naszych wrogów, Czoktawów. Na znak,  
że zgadzacie się

przyjąć te warunki, żądamy, abyście  
wycofali żołnierzy na odległość co  
najmniej pięciu

kilometrów od fortu, a wtedy francuscy  
jeńcy zostaną wypuszczeni.

Kawaler de Loubois patrzył na nią,  
pochylony w przód, z łokciem wspartym  
na udzie.

Jego twarz pozostała niewzruszona.

- Pani zdaniem, madame Laffont -  
przemówił, jakby nie usłyszał niczego z

tego, co

powiedziała, z wyjątkiem propozycji  
uwolnienia jeńców - jak długo  
Natchezowie zdołają

utrzymać fort?

- Nie potrafię powiedzieć - odparła  
sztywno.

- Nie potrafi pani czy nie chce? Widzi  
pani, słyszałem o pani romansie z  
Reynaudem

Chavalierem, tym galantem, który panią  
uratował. Ten człowiek to najgorsza  
kreatura, jaka

żyje w koloniach, zdrajca i mieszaniec.  
Nie jest mu pani nic winna. Przeżyła  
pani masakrę,

mieszkała pośród Natchezów i wie, jak  
traktują francuskich jeńców. Pani  
informacje są dla

nas niezwykle cenne. Jeżeli zostały w  
pani jakieś uczucia wobec własnego  
kraju, powie nam

pani to, co chcemy wiedzieć.

- Nie jestem żołnierzem - odparła  
powoli, ostrożnie. Nie potrafię ocenić,  
jak długo

Indianie zdołają się utrzymać. - Nie

miałem na myśli ich waleczności, lecz zapasy jedzenia.

Czy mają ich dużo? Ile zdołali zgromadzić? A co z wodą? Co sądzą o nas jako o żołnierzach?

- Żywności mają chyba pod dostatkiem, podobnie wody. Nie zaczęli jeszcze jej racjonować.

Nie była to cała prawda. Wody nie racjonowano tylko do picia i gaszenia pożarów, a

jej brak do celów higienicznych bardzo dawał się Natchezom we znaki. Jednak królewski



namiestnik nie musi o tym wiedzieć.

- A co z działami?

- Chyba nie wyrządzają wielkiej szkody?

- To prawda. - Kawaler wstał i zacierając ręce, spojrzał na Elise. -  
Więc skąd ta oferta?

Widok białej flagi bardzo nas zdziwił.

- Sądzę, że oni naprawdę chcą żyć w pokoju. Uważam, że masakrę białej ludności

urządzili w odwecie za to, co im zrobił komendant Chepart. Sam ściągnął na

swoją głowę

Krwawą Zemstę. Rachunki zostały wyrównane, honor ocalony. Uważają, że przybył pan po

francuskich jeńców. Wypuszczą ich, mam na to słowo Wielkiego Słońca. Jeżeli zabierzecie

jeńców i odejdziecie, nie musicie się niczego obawiać.

- Dziecinne rozumowanie! Natchezowie zabili kilkuset naszych. Gubernator Perier

posłał do Francji po dodatkowe oddziały, broń i zaopatrzenie, aby zdusić

wielkie powstanie

Indian. Przybędą tu za kilka miesięcy.

- Czy chce pan powiedzieć, kawalerze de Loubois, że skoro komendant posłał po

posiłki, nie może teraz zawrzeć pokoju z Indianami, by powstrzymać rozlew krwi? - Nie ma

pani pojęcia, o czym mówi.

- Doprawdy? Dla mnie zabrzmiało to tak, jakby komendant wolał dalej walczyć z

Indianami, ponieważ nie chce przyznać,

że wpadł w panikę.

- Nie o to chodzi - rozzłościł się de Loubois.

- A zatem, jeśli pokój dla gubernatora Periera i Kompanii Zachodnioindyjskiej coś

znaczy, nie może pan zignorować tego apelu, zwłaszcza że być może jest to jedyna okazja,

aby odzyskać jeńców całych i zdrowych.

- O czym pani mówi?

- Francuskie kobiety i dzieci cierpią tak samo jak indiańskie i narażone są na

takie

samo niebezpieczeństwo związane z  
oblężeniem. Co powie pan  
gubernatorowi i

mieszkańcom Nowego Orleanu, jeśli one  
umrą, zanim zdobędziecie fort?

- To się nie zdarzy.

- Zapewniam pana, kawalerze, że bez  
względu na to, jak bardzo lekceważy pan  
Indian

i pogardza nimi, jeżeli nie będą widzieli  
innego wyjścia, zginą do ostatniego  
człowieka, a nie

poddadzą się. A jeśli skrzywdzi pan ich kobiety i dzieci, furii Natchezów z niczym nie da się

porównać.

- 'Chce pani powiedzieć, że zemszczą się na jeńcach?

- To nie jest niemożliwe. Gubernator Perier kazał spalić dwie indiańskie kobiety i

czterech mężczyzn.

Przez chwilę de Loubois przyglądał się Elise z zainteresowaniem, a potem oparł dłonie na kolanach i wstał.

- Muszę to przemyśleć - powiedział szorstko. - Wrócę do pani za godzinę.

St. Amant natychmiast napełnił kieliszek Elise i powiedział:

- Proszę wypić to wino. Dobrze pani zrobi.

- Tak, dziękuję bardzo - odparła z roztargnieniem.

A kiedy skomplementował jej strój, potrząsnęła tylko głową, jakby słowa nie miały

żadnego znaczenia - bo rzeczywiście nie miały.

- A pozostałe kobiety? Jak one sobie radzą?

Spojrzała St. Amantowi w oczy, z trudem zmuszając się, aby poświęcić mu uwagę.

- Tak jak można się było tego spodziewać. Czy jest pan pewny, że obchodzą pana

wszystkie kobiety, czy też interesuje się pan zwłaszcza jedną?

- Elise - zapytał bez tchu - widziała ją pani?

- Nie dalej jak rano.



- I? .. - dopytywał się niecierpliwie.

Elise uśmiechnęła się wzruszona.

- Z nią wszystko w porządku. Ma pan piękną córkę, która nie daje spać całej wiosce,

tak głośno domaga się jedzenia.

St. Amant zamknął oczy, by powstrzymać łzy.

- Mam też dla pana wiadomość - mówiła dalej Elise. Ona pana widziała. Przesyła

wyraży miłości i modli się, by Bóg miał pana w swojej opiece.

- Ach, Elise” mógłbym panią ucałować!

- Lepiej nie. Pańska Helene może obserwować nas z wałów albo Reynaud.

- A tak, Chavalier. Przykro mi, że Loubois tak źle się o nim wyrażał. Próbowałem

przekonać wszystkich, że została pani uprowadzona, oddzielona od nas wbrew swojej woli.

Jedynie Pascal po pijanemu twierdzi coś wręcz przeciwnego. Henri zagroził, że wyzwie go na

pojedynek.

- Nie może pan do tego dopuścić!

- Och, Pascal nie podejmie wyzwania.  
Śmieje się z jego obelg. Mówi, że Henri  
jest tak

zadurzony, że nie uwierzy w ani jedno  
złe słowo wypowiedziane na pani temat.

- Mam

nadzieję, że nie będą się ze sobą stykali  
często i nie dojdzie do awantury.

- Społeczność fortu w kraju  
Natchitoches nie jest liczna, ale St.  
Denis zajął się

chłopakiem.

- Nadal obaj tam są?

- Z pewnością. To miejsce leży głębiej w głuszy niż kraj Natchezów, a to oznacza, że

trafiają się tam lepsze okazje do przemytu i nielegalnego handlu z Hiszpanami z Los Adaes.

Dlaczego więc Pascal miałby się stamtąd ruszać? A co do Henriego, jak już powiedziałem,

zajął się nim komendant St. Denis i dał mu pracę.

Rozmawiali jeszcze o różnych sprawach - o porodzie Helene, o warunkach

panujących

w obleganym forcie. Elise nie była bardziej wylewna, niż kiedy rozmawiała z dowódcą.

Kiedy minęła prawie godzina, zerknęła szybko na St. Amanta.

- Co pan sądzi o namiestniku? Czy dotrzymuje słowa?

- To znaczy, czy zwinie namioty i wróci na statek, gdy tylko upewni się, że jeńcy są

bezpieczni? Będzie musiał, jeśli da słowo.

- Tak pan sądzi? Niektórzy uważają, że przyrzeczenia składane dzikusom się nie liczą,

zwłaszcza złożone pod przymusem.

St. Amant uniósł brwi.

- Stała się pani cyniczna.

- Tylko ostrożna, zawsze taka byłam. Loubois wydaje się człowiekiem bardzo

ambitnym. Czy nie uzna, że przysporzyłoby mu sławy, gdyby odzyskał kobiety i dzieci, a

potem zawrócił i wybił w pień Natchezów, kiedy nie będą mieli się na

baczności? Może

udowodnić, że powstanie Indian to poważny problem, usprawiedliwiając w ten sposób panikę

Periera, a jednocześnie zaoszczędzić kompanii wydatków na prowadzenie wojny, jeśli

wymorduje Indian bez sprowadzania tu dodatkowych sił.

- To możliwe - powiedział Amant, pochmurniejąc.

- Możliwe?

- Wolałbym tak o nim nie myśleć -

powiedział ponuro.

Do namiotu powrócił namiestnik.

Skłonił się Elise uprzejmie i przeprosił,  
że musiała

czekać tak długo. Wyjaśnił, że nie chciał  
się śpieszyć, bo stawka jest wysoka.

- Rozumiem - powiedziała cicho i  
spojrzała na St. Amanta. Uprzejmy ton  
kawalera

jemu także wydał się podejrzanym,  
spochmurniał bowiem jeszcze bardziej.

- Zgadzam się na warunki, które pani  
podała. Wycofamy się na taką odległość,  
aby



kobiety i dzieci mogły zostać uwolnione.  
W zamian za to Natchezowie będą mogli  
żyć

spokojnie.

- Wypali pan z nimi fajkę pokoju?

- Tak.

- I zabroni Czoktawom wtargnąć do  
fortu Natchezów?

- Nie wejdą tam.

- Ich wojownicy odejdą wraz z panem?

- Odejdą.

Elise czuła, że coś jest nie tak, ale nie wiedziała co. Stała, wpatrując się w

królewskiego namiestnika, i zastanawiała się, jak zmusić go do dotrzymania danego słowa,

ale nic nie przychodziło jej do głowy.

Kawaler założył ręce za plecami i kołysząc się na piętach, powiedział:

- Jest jeden warunek.

- Tak, jaki? - zapytała szorstko.

- Natchezowie muszą spalić fort, jeżeli rzeczywiście tak bardzo zależy im na pokoju.

Spalenie fortu sprawi, że będą bezbronni wobec niespodziewanego ataku.

- Nie mogę decydować za nich, ale przekażę pańskie słowa Wielkiemu Słońcu i jego

bratu, Reynaudowi, przywódcy wojowników.

Loubois podniósł brwi.

- Wraca pani? Sądziłem, że zechce pani jedynie przesłać wiadomość. Mogłaby pani

zostać z nami.

- Miło z pańskiej strony, że pan to zaproponował, ale oni tam na mnie czekają.

- Na pewno nie da się pani przekonać?

- dodał St. Amant.

- Nie. Muszę wracać.

- Jak pani sobie życzy. - Dowódca francuskiej ekspedycji pochylił głowę w lekkim

ukłonie. - My tymczasem, czekając na odpowiedź, przygotowujemy się na przyjęcie jeńców.

To była odprawa. Elise poczuła się niepewnie, obawiając się, że Loubois

manipuluje

nią.

Rada, którą zwołano po jej powrocie, była burzliwa i trwała długo. Starsi nie ufali

Francuzom. Biały oficer poddał się zbyt łatwo, orzekli. Co więcej, skoro Czoktawom

zabroniono wejść do fortu, to po co gromadzą się pod umocnieniami? Czy Francuzi są tak

mało inteligentni, że pozwolą im przejąć jeńców? Wtedy ci z pewnością nie wróciliby do

swoich, zanim Francuzi nie zapłaciliby gigantycznego okupu. A jeśli tak się stanie, Francuzi

obwiniają o to Natchezów, co posłuży im za pretekst, by nie dotrzymać warunków pokoju. A

zatem nie należy uwalniać jeńców.

Muszą ich uwolnić, twierdzili co młodsi członkowie rady. Jeśli nie zrobią tego, do

czego się zobowiązali, też złamią warunki rozejmu. Francuzi i Czoktawowie runą na nich

wszystkimi siłami i co wtedy? Nie są już

tak silni jak wtedy, zanim  
zdziesiątkowała ich

gorączka. Jeżeli Czoktawom uda się  
wedrzeć do fortu, dojdzie do masakry, a  
wówczas bardzo

wątpliwe, czy kobiety i dzieci  
Natchezów zdołają uciec.

Reynaud, po uważnym wysłuchaniu  
Elise i starannym przepytaniu jej,  
zapropozował

inne wyjście. Zasugerował, by poczekał  
do jutra z uwolnieniem jeńców i  
wypaleniem fajki

pokoju. Nie było powodu do pośpiechu.

Im rozważniej będą działać, tym  
mniejsza szansa na

popęlnienie błędu. Pozwólmy  
Francuzom się wycofać, mówił. To  
prawda, Natchezowie

muszą uwolnić jeńców, skoro się do  
tego zobowiązali, ale nie trzeba palić  
fortu, zanim

Francuzi i Czoktawowie na dobre nie  
odejdą, zwłaszcza że jest to ich jedyne  
zabezpieczenie.

A jeśli Francuzi nie odstąpią od  
oblężenia, Natchezowie nie będą się już  
musieli martwić o to,



co zrobić z jeńcami i jak ich wyżywić.

Wielkie Słońce przysłuchiwał się pilnie, obserwował, lecz milczał. Wysłuchał

każdego, tak jak wysłuchał Elise, kiedy opowiadała Reynaudowi o tym, czego dowiedziała się

w obozie Francuzów. Wódz milczał nie dlatego, że nie miał nic do powiedzenia, ale ponieważ

pragnął poznać zdanie wszystkich, zanim ustali własny pogląd na sprawę i wyda rozkazy.

Jeżeli członkom rady nie uda się dojść do porozumienia, jeśli nie opracują

wspólnego planu,

będzie musiał podjąć decyzję sam.

- Elise!

Słyszając ten cichy okrzyk, Elise odwróciła się i zobaczyła nawołującą ją Helene.

Wstała z miejsca, z którego przysłuchiwała się obradom, i podeszła do młodej Francuzki. - O

co chodzi?

- Czy to prawda, że mamy zostać uwolnione? Powiedz mi, że to prawda!

- Nie wiem, lecz wszystko na to wskazuje.

- Kiedy? - dopytywała się Helene, ściskając jej ramię.

- Może jeszcze dziś po południu, a może jutro.

- Tak właśnie słyszałam, ale nie uwierzyłam w to. A Jean - Paul, widziałaś się z nim?

Przekazałaś mu wiadomość?

Elise zapewniła, że tak i powtórzyła słowo w słowo całą rozmowę, jaką odbyła ze St.

Amantem, opisując, jak Jean - Paul wyglądał i jak zareagował na wieść, że ma córkę.

Helene otarła oczy wierzchem dłoni, a potem szybko uścisnęła Elise.

- Ależ jestem głupia, płaczę z powodu dobrych wieści!

Biegnę przekazać je pozostałym. Nie masz pojęcia, jakie krążą plotki. Kobiety będą

szczęśliwe, takie szczęśliwe!

Posiedzenie rady przeciągało się. Nadeszło południe i obradującym podano posiłek.

Członkowie plemienia, którym wolno było przysłuchiwać się obradom, przychodzili i

odchodzili. Za palisadą Loubois dołączył do Czoktawów i chodził teraz niespokojnie tam i z

powrotem, spoglądając na fort. W końcu zaszył się gdzieś, lecz kiedy słońce zaczęło chylić

się ku zachodowi, powrócił.

Elise nogi zeszywniały od siedzenia w jednej pozycji, opuściła więc swoje

stanowisko. Poszła do szałasów i zajrzała do środka. Wyglądało na to, że Helene

nie było tam

już od jakiegoś czasu. Ogień wygasł,  
jedzenie w garnkach stojących na skraju  
paleniska było

zimne, pokryte warstwą skrzepłego  
niedźwiedziego tłuszczu. Dziecka także  
nie było.

Dziwny lęk opanował Elise. Wypadła z  
szałasami i popędziła w stronę domu  
Wielkiego

Słońca, omijając plac. Skierowała się  
ku szałasom ludzi pospolitego rodu,  
gdzie zwykle

zbierały się Francuzki.

Spostrzegła Helene w gromadzie kobiet  
pod poczerniałymi konarami drzewa,

gumowego, wypuszczającego pierwsze  
zielone pędy. Cisnęły się wokół niej i  
tak hałasowały,

iż przechodzące Indianki śmiały się,  
słyszac ten świadczący o braku dobrych  
manier jazgot

przekrzykujących się kobiet.

Powiedziano im, że wkrótce zostaną  
uwolnione, ale dzień się kończył, a  
rozkaz

uwolnienia nie nadchodził. Francuzi  
wycofywali się, podobnie

Czoktawowie. Czyżby to było

kłamstwo? Czy na zawsze pozostaną niewolnicami Natchezów? Czy ojczyzna i Kompania

Zachodnioindyjska zostawiły je na pastwę losu?

- Nie prosimy o wiele - powiedziała jedna z kobiet, załamując ręce. - Chcemy wiedzieć, co z nami będzie.

- Żałuję, ale nie wiem - odparła Elise bezradnie.

- Natchezowie! - powiedziała pogardliwie jedna z kobiet ~ splunęła.



- Żołnierze kompanii! - dodała druga i też splunęła. Helene z dzieckiem

przymocowanym do pleców spojrzała na Elise i uniosła ramiona w geście zniecierpliwienia.

- Jesteśmy tylko zastawem, czyż nie? Zastanawiamy się, jak długo jeszcze pozostaniemy niewolnicami.

- Gdybyśmy byli mężczyznami - powiedziała kobieta, która splunęła .pierwsza -

mogłybyśmy odesłać ich wszystkich do diabła. Chwyciłybyśmy za broń i wywalczyły sobie

drogę.

- Gdybyśmy byli mężczyznami -  
powtórzyła druga.

- Gdybyśmy nimi były - dodała trzecia -  
już byśmy nie żyły.

Nagle wszystkie jak na komendę  
odwróciły się i spojrzały w stronę  
wyjścia z fortu.

Było otwarte, choć dobrze strzeżone.  
Przez otwór widać było kilku  
francuskich oficerów i

pojedynczy szereg Czoktawów,  
oczekujących, by je powitać. Tam, na  
zewnątrz, czekali ich

krajanie, przybyli, by je ratować, ludzie, którzy mówili tym samym językiem, mieli te same

wspomnienia, upodobania, nawyki i złudzenia. Dzielą je od nich tylko niewielka przestrzeń,

dosłownie kilka metrów, i ... tuzin wojowników uzbrojonych w muszkiety.

Wojownicy mieli pilnować, by do fortu nie wdarli się Francuzi. Czy strzelaliby do nie

uzbrojonych kobiet i dzieci? Podczas masakry, kiedy ogarnął ich morderczy szal, zabili wiele

niewinnych istot. Teraz jednak jeńcy stanowili część plemienia i mieli prawo do ochrony. Ale

czy rzeczywiście?

- Powiedzieli, że będziemy mogli odejść - szepnęła Helene - jeśli tylko Francuzi

zostawią ich w spokoju. Francuzi się zgodzili, więc czemu jeszcze nas tu trzymają? - To

okrutne skazywać nas na czekanie - powiedziała inna.

Istotnie, takie igranie z życiem niewinnych kobiet i dzieci, które nigdy

nikogo nie

skrzywdziły, było okrucieństwem. Co one miały wspólnego z wojną?

Tatuowane Ramię nie

myliła się, wojna to sprawa mężczyzn.

Oni zabijają i ponoszą śmierć. Dlaczego ich ustalenia

miałyby być wiążące dla tych, które dają życie?

- Wolność jest blisko, tak blisko.

- Gdyby szukali kogoś, kto pójdzie pierwszy, ja się zgłoszę.

- I ja.

- Ja także.

- I ja.

Helene odwróciła się, jej  
bladoniebieskie oczy błyszczały.

- Elise może tego dokonać. Któż by  
inny?

Elise słyszała ich głosy, lecz miała  
wrażenie, że dobiegają z wielkiej  
odległości. Czy

to byłaby zdrada? Podobnie jak te  
kobiety ona także została tu  
sprowadzona wbrew swojej

woli. I podobnie jak one mieszkała ze

swoim panem, słuchała jego rozkazów.  
Lecz w jej

przypadku wyglądało to inaczej,  
zupełnie inaczej! Czyż Reynaud nie  
powiedział, że i tak

muszą wypuścić jeńców? I że nawet  
jeśli Francuzi nie dotrzymają słowa, dla  
Indian będzie

korzystniej pozbyć się francuskich  
kobiet i dzieci? Więc gdzie tu zdrada?

W tym, że go opuści.

Nagły, ostry ból przeszył jej serce. Jak  
mogłaby go opuścić? Jak?

Usłyszała zbiorowe westchnienie.  
Wszystkie kobiety odwróciły się i na  
coś patrzyły.

Elise także spojrzała. W ich stronę  
zmierzała Ruda Łania, matka Ścieżki  
Niedźwiedzia. Na

jej szerokiej twarzy widniał szyderczy  
uśmiech, a w oczach błyszczał triumf.

- I co, francuskie niewolnice, tak bardzo  
chcecie nas opuścić? Zapewniam, że my

również pragniemy się was pozbyć.

Wysłano mnie, abym powiedziała ci,  
kobieto

Tatuowanego Węża, że masz iść jeszcze



raz do Francuzów. Zabierzesz ze sobą te  
żałosne

imitacje kobiet i ich mazgajowate  
potomstwo. Powiesz namiestnikowi  
królewskiemu, że

Natchezowie nie będą już z nim dziś  
rozmawiali. Jutro wypalimy fajkę  
pokoju i wtedy

ustalimy warunki.

- Wysłali ciebie? Dlaczego ciebie?  
Czemu Reynaud sam nie przyszedł, by  
mi o tym

powiedzieć?

- Twój widok sprawia mu ból. Masz tu więcej nie wracać.

- Nie ... nie rozumiem.

- Nie rozumiesz? On właśnie tego sobie życzy.

Wokół niej Francuzki śmiały się, płakały, krzyczały z radości. Czyjeś dłonie

pochwyciły ją i szarpały, ciągnąc w stronę bramy. Elise ledwie mogła oddychać. Reynaud ją

odsyłał. Naprawdę chciał, aby odeszła? Miał jej dosyć? A jeszcze rano mówił...  
A może

dowiedział się czegoś nowego i uznał,  
że odtąd pobyt w forcie będzie dla niej  
zbyt

niebezpieczny?

Zmusiła się, by zebrać myśli.

- Czy wszyscy już są? Zabrałyście  
wszystko ze sobą? Kobiety zaśmiały się  
krótko.

Któraś pobiegła, aby zawołać te, które  
odeszły, i dzieci bawiące się w pobliżu.  
Kilka kobiet

było chorych, lecz inne pomogły im  
wyjść z szałasów. Pomiędzy nimi była  
też madame

Doucet. Wyglądała na przestraszona i bez przerwy dopytywała się, dokąd idą.

W końcu Helene zawołała:

- Jesteśmy w komplecie. Ruszajmy, nim zmienią zdanie. Z oczami zasnutymi mgłą,

choć wysoko uniesioną głową, Elise zaczęła iść w kierunku bramy.

Wydawało się jej, że

wyjscie z' fortu znajduje się w odległej perspektywie. Nogi uginały się pod nią. Zacisnęła

ręce. Płaszcz powiewał wokół niej, a spódnica ocierała się o łydki. Kobiety

podążające za nią

rozmawiały stłumionymi głosami, ale im bliżej było do otwartej bramy, milkły.

Wartownicy przygotowali broń do strzału. Jeden z nich pobiegł szybko do namiotu, w

którym obradowała rada starszych. Elise zawahała się. Czyżby strażników nie

poinformowano o tym, że mają uwolnić jeńców? Dlaczego blokowali drogę? Może w

ostatniej chwili rozstąpią się i przepuszczą je. Ruszyła przed siebie.

Odległość od bramy zmniejszała się.  
Dwadzieścia metrów, piętnaście.  
Wartownicy

unieśli muszkiety. Ich twarze były  
spokojne, opanowane. Co najmniej  
dwóch celowało w jej

pierś. Pomyślała o Rudej Łani, o jej  
triumfie. Czy to możliwe, że kłamała?  
Czy jej nienawiść

była tak silna, że mogłaby spowodować  
śmierć co najmniej tuzina kobiet, byle  
tylko zobaczyć

pośród nich Elise?

Kątem oka dostrzegła ruch po swojej

prawej stronie. To nadbiegał Reynaud,

srowadzony przez młodego  
wojownika. Zatrzymał się, kiedy  
zobaczył Elise i pojął, co się

dzieje. Jego twarz stężała, wyglądała  
niczym pośmiertna maska. W jednej  
chwili Elise

zrozumiała to, co powinna była  
odgadnąć od razu. Reynaud nie wydał  
żadnego rozkazu, nie

poleciał uwolnić kobiet i wcale nie  
pragnął, by ona odeszła i nigdy nie  
wróciła. Spojrzała na

niego i uświadomiła sobie, że wszystko,

co powiedziała Ruda Łania, było kłamstwem. Co

gorsza, Reynaud sądził, że ona odchodzi z własnej woli, że go opuszcza, aby wrócić do

swoich. Dostrzegła moment, w którym przyjął to do wiadomości, zobaczyła, jak zacisnął

dłonie, a jego twarz gwałtownie pobiadła.

Kobiety nadal tłoczyły się za nią, popychając ją wciąż bliżej i bliżej wycelowanych

muszkietów. Ledwie to zauważała.



Czuła się tak, jakby serce miało zaraz pęknąć jej z bólu.

Łzy, z trudem powstrzymywane, piekły ją w gardle i tamowały oddech. On myśli, że go

zdradziła, jego i miłość, którą z nim dzieliła, a jej uczucie było farsą, udawaniem, by zmylić

jego czujność. Już się nie dowie, jak płonęła pod dotykiem jego rąk, jak tęskniła do jego

pocałunków, ponieważ nigdy mu tego nie powiedziała. I nigdy mu powie.

- Przepuście je.

Wojownicy opuścili muszkiety i rozstąpili się. Elise i jeńcy Natchezów opuścili fort i

ruszyli wprost w żółte światło zachodzącego słońca. Elise szła z oczami pełnymi łez. Słońce

straciło dla niej cały swój blask.

## **ROZDZIAŁ XVII**

W obozie powitano francuskie kobiety i dzieci radosnymi okrzykami. Wśród

ochotników było wielu krewnych jeńców. Wzruszeni i poruszeni bracia, wujowie lub kuzyni

wysłuchali opowieści o masakrze i o tym, co działo się potem, w dniach niewoli. Kobiety co

rusz unosiły dłonie ku swoim obciętym splotom, symbolizującym czas, kiedy były

niewolnicami i brankami tych dzikusów, jak nazywały Indian. Dzieci były ściskane,

obejmowane i karmione słodyczami. Mogły się bawić fajkami i nie naładowanymi

muszkietami.

Spotkanie St. Amanta i Helene,

powolny, pełen wahania krok, gdy się do siebie

zbliżali, nim padli sobie w objęcia, wywołało łzy w oczach Elise. Szybko odwróciła wzrok i

zobaczyła nadchodzącego komendanta Loubois.

Słyszał już, że bezpiecznie wyprowadziła kobiety z fortu. Była bohaterką i on z

pewnością dopilnuje, by dowiedziano się o tym w Nowym Orleanie. Podziwiał jej odwagę i

to, jak dzielnie trzymała się, żyjąc w

warunkach, do których znoszenia ją  
zmuszono. Zapewnił

też, że ci, którzy ją krzywdzili, zostaną  
przykładnie ukarani.

- Co pan ma na myśli? - zapytała,  
pochmurniejąc. Zgodnie z umową  
Francuzi mają

zostawić Natchezów w spokoju, skoro  
uwolnili kobiety i dzieci.

- Ach, ten układ, kto by się nim  
przejmował - machnął lekceważąco  
ręką. - Czyż

trzeba dotrzymywać układów  
wymuszonych groźbami? Obiecalibyśmy

tym dzikusom

wszystko, aby tylko uchronić naszych jeńców przed męczeńską śmiercią przy palu.

- Dał pan słowo. To sprawa honoru.

- A co Natchezowie wiedzą o honorze! Napadli na ludzi z fortu Rosalie i wyrznęli ich

jak świnie! A poza tym otrzymałem wyraźny rozkaz od gubernatora Periera. Niech te dzikusy

zaznają gniewu Ludwika, króla Francji. Muszą zostać ukarani surowo, by nigdy więcej nie

dopuszcili się podobnego okrucieństwa.

- Ależ nie może pan tego zrobić! To się nie godzi! Zauważyła, że ludzie odwracają się

w ich stronę. Dowódca dotknął lekko jej ramienia.

- Jest pani przewrażliwiona i nic dziwnego. Proszę nie zawracać sobie głowy

sprawami, których pani nie rozumie, madame Laffont. Proszę zostawić to żołnierzom.

Skinął głową i oddalił się. Spoglądając za nim, Elise pomyślała, że rada

starszych

miała rację. Nie uwierzyłaby w to, gdyby nie usłyszała na własne uszy - Francuzi wcale nie

mieli zamiaru honorować warunków rozejmu. Nie było wątpliwości, że znowu zaatakują,

pytanie tylko kiedy. Jedyna pociecha, że na Reynaudzie można polegać z pewnością będzie

przygotowany.

Tymczasem Francuzi i ich indiańscy sojusznicy wycofali się aż do rzeki, gdzie na



kotwicy stał statek zaopatrzeniowy. Na stokach wzgórz, w pobliżu dawnego fortu Rosalie,

stały teraz baraki. Zbudowane z pni młodych drzewek i trzciny zapewniały jakie takie

schronienie przed kapryсами pogody. Do tych właśnie baraków skierowano kobiety i dzieci.

Wydano im koce, ubrania, mydło i naczynia kuchenne. Baraki znajdowały się w pobliżu

obozowiska Czoktawów. Uzbrojeni wartownicy patrolowali teren. W miarę jak upływał

dzień, stawało się jasne, że uważają Francuzki za swego rodzaju zakładniczki. Przynieśli im

co prawda dziczyznę i ziarno, lecz kiedy kobiety próbowały oddalić się po wodę lub drewno

na opał, towarzyszyli im uzbrojeni wojownicy. Kobiety bardzo dobrze przyjęły restrykcje.

Czoktawowie uznawani byli za przyjaznych, a poza tym wierzyły, że komendant dopilnuje,

by szybko je uwolniono i odesłano do Nowego Orleanu.

To ponowne uwięzienie nie zdziwiło Elise. Po ostrzeżeniach Reynauda nie oczekiwała

niczego innego. Nie ufała Czoktawom i z trudem znosiła każdy przejaw ograniczenia

swobody.

Czoktawowie nie byli ani tak wysocy, ani tak schludni jak Natchezowie. Ich ubiór

stanowił dziwaczną mieszanię znoszonych lub nabytych od kupców francuskich ozdobnych

strojów i skór zwierzęcych, a obóz

zaśmiecały połamane narzędzia,  
potłuczone garnki i także

resztki jedzenia. Wojownik, który  
pilnował jej, gdy poruszała się po  
obozowisku, miał

dziobatą skórę i okopconą, szarą twarz.  
Czoktawowie mieli bowiem zwyczaj  
ogrzewać się

dymem z ogniska. Traktowała go z  
ledwie maskowaną wrogością, łajając  
ostro w lingua

franca, języku Czikasawów, ilekroć  
próbował zagrozić jej drogę.  
Uświadomiła sobie, że

irytacja wynika ze zmartwienia, ale wcale jej od tego nie ulżyło. Martwiła się o Natchezów

uwięzionych w forcie, narażonych na kolejne ataki Francuzów. Nie dawał jej spokoju wyraz

oczu Reynauda, kiedy opuszczała indiański fort, którzy Francuzi nazywali już Fort de Valeur,

Fort Męstwa.

Kobietom służyła jako tłumacz, rozstrzygała kłótnie, kto ma z kim zamieszkać,

znalazła miejsce dla ponad trzech

tuzinów osieroconych dzieci. Dopiero po kilku godzinach

zdała sobie sprawę, że w żadnym baraku nie widziała madame Doucet. Zaczęła jej szukać, a

kiedy poszukiwania nie odniosły skutku, odnalazła dziewczynę, która pomagała starszej pani

dojść do bramy fortu.

- Och, Elise! - zawołała dziewczyna. - Tak mi przykro, ale co miałam zrobić? To

zdarzyło się przy bramie, kiedy Indianie już mieli zacząć do nas strzelać.

Madame wyrwała

mi się i pobięła z powrotem do fortu.  
Bałyśmy się krzyczeć. Wołałyśmy cię,  
ale nie

słyszałaś. Nie pobięliśmy za nią,  
ponieważ żadna z nas nie chciała zostać  
pojmana i

zmuszona do pozostania u Natchezów.  
Proszę, nie wiń nas za to! Nie mogliśmy  
jej

powstrzymać, po prostu nie mogliśmy!

- Nie, oczywiście, że nie - powiedziała  
Elise tępo. Powinna była usłyszeć  
wołanie i

pośpieszyć za madame Doucet. I pewnie by usłyszała, gdyby nie była skupiona na swoich

problemach. Ale nie, ona tak bardzo bała się, co sobie o niej pomyśli kochanek mieszaniec, że

zostawiła własnemu losowi bezbronną kobietę, która na niej polegała. Nie wiedziała, co

mogłaby wówczas zrobić, ale powinna była przynajmniej spróbować. Poczucie winy było tak

silne, że o mało nie zwymiotowała.

I co teraz stanie się z madame Doucet?



Czy Francuzi, kiedy dowiedzą się, że nadal jest

ona w rękach Natchezów, zażądają jej uwolnienia? A jeśli Natchezowie odmówią, czy ruszą

na ratunek rodaczce, ryzykując życie, czy pozostawią ją własnemu losowi?

Żadna z tych możliwości nie była satysfakcjonująca.

Wojownik Czoktawów nie pozwolił jej pójść do Francuzów, a kiedy posłała im

wiadomość, przysłali młodego żołnierza, by sprawdził, czego potrzebuje. Bardzo przejęty,

wysłuchał Elise i oddalił się natychmiast, by przekazać informację o madame Doucet

przełożonym, i na tym sprawa się skończyła. Zapadła noc, a Elise nadal nie miała żadnych

wieści.

Dzieliła barak z Helene, jej dzieckiem i czwórką sierot.

Przygotowały wieczorny posiłek składający się z pieczonej kaczki i sagamite. Po

kolacji dzieci natychmiast zasnęły, Helene ziewała. Zupełnie naturalna

reakcja po dniu tak

pełnym wrażeń, zwłaszcza że pierwszy raz od kilku miesięcy byli jeńcy poczuli się

bezpiecznie. Kiedy tylko pozmywały naczynia i uprzątnęły resztę jedzenia, padły w ubraniu

na posłanie i owinęły się w koce.

Elise nie mogła zasnąć. Leżała, wpatrując się w zamierające płomienie. Na zewnątrz

obóz stopniowo pogrążał się w ciszy, jeśli nie liczyć sporadycznych wybuchów śmiechu,

dochodzących od strony obozowiska francuskich żołnierzy. Bez przerwy rozmyślała o tym,

jak wyglądał Reynaud, kiedy ostatni raz go widziała. Mniej bolesne od tego wspomnienia

było już poczucie winy, związane z madame Doucet.

Sama nie rozumiała więzi, jaka połączyła ją z Marie.

Madame Doucet, chociaż głupiutka, frywolna i próżna, nie była jednak zła.

Nie

wiedziała, co to podłość i

małostkowość. Co więcej, kochała szczerze i z całego serca. Dom i

rodzina znaczyły dla niej wszystko, a kiedy pozbawiono ją jednego i drugiego, życie straciło

dla niej sens.

Może to właśnie łączyło ją z Elise? Ona też utraciła wszystko i choć miała naturę,

która nie pozwalała jej się poddać, lęk przed samotnością nie był jej obcy i rozumiała, co to

znaczy być zdany na czyjąś łaskę. A może chodziło po prostu o to, że tyle

razem przeżyły?

Prześladowała ją wizja madame Doucet samotnej wśród Natchezów, niezdolnej do

pracy i na wpół oszalałej z rozpacz. Kto się• nią zajmie? Czy umrze z głodu w swoim

szalasie? A może Natchezowie odeślą ją do lasu, aby troszczyła się o siebie sama? Albo,

zdjęci okrutnym współczuciem wobec niesprawnych ludzi, tym samym, które Francuzi

okazywali chorym zwierzętom, zabijają

Marie, aby wyzwolić ją od bólu  
żałosnej egzystencji?

Nie mogła znieść nawet myśli o tym.

Nocny wiatr poświstywał w szparach  
luźno tkanej trzcinowej maty  
zasłaniającej otwór

wejściowy. Trzcinowe badyle  
szeleściły, jakby wymieniały szeptem  
jakieś uwagi. Elise

naciągnęła koc na głowę, zacisnęła  
powieki i próbowała zasnąć.

Obudził ją wiatr. Z delikatnego,  
odległego poświstu przerodził się w  
chłodny

podmuch, owiewający jej twarz i włosy.  
Widocznie we śnie zsunęła koc z głowy.  
Kiedy

otworzyła oczy, przez chwilę sądziła, że  
mata zakrywająca drzwi spadła,  
ponieważ zobaczyła

jaśniejszy czworokąt na tle ciemności.  
Włosy stanęły jej dęba, a ciarki  
przebiegły po plecach,

gdy zorientowała się, że ktoś pochyła się  
nad nią. Odwróciła lekko głowę i  
sposzregła

sylwetkę mężczyzny.

Przeturlała się po posłaniu, próbując



uciec, jednak on był szybszy. Jedną ręką  
zatkał

jej usta, a drugą przytrzymał za ramiona.  
Szarpnęła się i zatopiła paznokcie w  
dłoni, którą

zakrywał jej twarz. Intruz zaklął z cicha  
i zwalił się na nią całym swym  
ciężarem. Słaby,

męski zapach jego ciała wydał się Elise  
znajomy. Zaczepnęła gwałtownie  
powietrza, serce

omal nie wyskoczyło jej z piersi na  
myśl, kim jest napastnik.

- Nie zrobię ci krzywdy - szepnął.

Skinęła lekko głową. Reynaud wziął ją na ręce i wstał.

Elise objęła go mocno za szyję. Po chwili byli już na zewnątrz, w ciemności i chłodzie

nocy.

- Co ty wyprawiasz? I jak ... - zaczęła Elise cicho.

- Nie teraz.

Słowa brzmiały stanowczo. Miały przypomnieć jej, że znajdują się na terytorium

wroga. Gdyby ich odkryto, Reynaud z

pewnością zapłaciłby za to życiem, od razu lub po

jakimś czasie, i to bez względu na postanowienia układu. Wyjaśnienia będą musiały

poczekać.

- Postaw mnie, mogę iść - szepnęła.

Nie zwrócił na to uwagi.

Prawdopodobnie uznał, że potrafi poruszać się ciszej, nawet

z nią w objęciach.

Badał wzrokiem ciemność, nasłuchując i wyglądając niebezpieczeństwa. Nie

chodziło

. .mu o własną skórę - bał się o Elise. Za wszelką cenę musiał zapobiec temu, by i ją uznano

za zdrajczynię. Zbyt dużo już zrobił, by tak się stało. Gdyby zostali schwytani,'  
powie, że ją

porwał, co w gruncie rzeczy było prawdą. Nie oczekiwał z jej strony współpracy, prawdę

mówiąc, nie zdziwiłby się wcale, gdyby zaczęła wierzgać i wrzeszczeć.

Elise nie ciążyła mu wcale, lecz miękki nacisk jej piersi i bioder, jedwabisty

dotyk

włosów rozpraszały go.

Mógłby pozwolić jej iść na własnych nogach, ale wówczas wyglądałoby, że ucieka z

nim z własnej woli.

Przemknął obok baraków niczym duch, minął szalás Czoktawów i na chwilę ukrył się

pod dębem, by przepuścić zmianę warty. Płócienne namioty Francuzów połyskiwały bielą w

ciemności, przed siedzibą komendanta

żarzyły się głównie. Skradając się,  
kluczył między

namiotami, aż znaleźli się poza  
obozowiskiem. Mimo to nie puścił jej,  
ale przyśpieszył kroku

i zaczął biec długimi susami, kierując  
się ku rzece. Oddychał równo ani trochę  
nie zmęczony.

Francuska armia oraz jej indiańscy  
sojusznicy zostali z tyłu.

Missisipi połyskiwała w ciemności,  
odbijając słabe światło nocnego nieba.  
Na brzegu

czekała na nich wielka piroga. Obok

ciemniała sylwetka mężczyzny.

- Mon Dieu, przyjacielu, nie było cię  
całe wieki! - wykrzyknął. - Elise  
rozpoznała głos

Pierre'a. - Ale już jestem.

- Z Elise?

- Oczywiście. Przepuść nas.

Pierre powiedział coś, ale Elise  
usłyszała tylko:

- ... drażliwy jak niedźwiedź ze zranioną  
łapą.

- Nie mam czego świętować - burknął

Reynaud.

- Ale żyjesz, przyjacielu.

Pierre wskoczył do łodzi i usiadł obok Przepióreczki kulącej się na dnie.

Reynaud postawił Elise i podał jej ramię. Ścisnęła je lekko, by przyciągnąć jego

uwagę.

- Dokąd płyniemy?

- Zawarliśmy umowę. Obiecałem, że cię doprowadzę do fortu w kraju Natchitoches.



Chłód w jego głosie sprawił, że zadrżała.

- A co z Natchezami?

- Natchezowie odeszli.

- Co takiego?

- Odeszli, rozplynęli się w mroku wraz z całym dobytkiem: garnkami i świniakami.

Pragną żyć w pokoju, a ponieważ stało się to niemożliwe, opuścili ziemię, na których

mieszkali od wieków, i udali się na zachód od Missisipi .. Nie będą już

walczyć, więc nie

potrzebują wodza wojennego.

- Natchezowie odeszli, bo odebrałam im argument przetargowy, gdy wyprowadziłam

jeńców z fortu?

- Raczej dlatego, że nie ufają Francuzom.

- I nie bez powodu - dodała, odwracając wzrok.

- To żadna niespodzianka po trzydziestu latach ciągłego łamania obietnic.

- Reynaudzie - powiedział Pierre ostrzegawczo.

- Tak - odparł, zerkając na przyjaciela, zanim ponownie spojrział na Elise. -  
Popłyniesz

z nami, czy wolisz, bym odprowadził cię z powrotem do swoich?

- Dlaczego w ogóle mnie stamtąd zabrałeś, skoro chcesz mnie zostawić w forcie Saint

Jean Baptiste?

- Bo dotrzymuję słowa, a poza tym ...  
widziałem cię dzisiaj w obozie Czoktawów jako

ich więźnia i nie spodobało mi się to. Z pewnością Francuzi dogadają się z nimi co do okupu,

ale to potrwa wiele dni, o ile nie tygodni.

Chciał powiedzieć coś innego, była tego pewna.

- Nie bardzo uśmiecha mi się myśl, że opuszczam Helen e i pozostałe kobiety, a

przede wszystkim madame Doucet. Czy wiesz ...

- Tak, wiem - przytaknął. Schylił się, wziął Elise na ręce i posadził na stosie

futer w

czólnie. Zepchnął na wodę ciężką  
dłubankę, wskoczył do środka i chwycił  
za wiosło, aby

skierować pirogę w nurt rzeki.

Była mu wdzięczna. Obowiązek,  
odpowiedzialność, nawet jeśli nie  
mogła nic zrobić,

paraliżowały. Chciała odejść, ucieszył  
ją widok pirogi i perspektywa spędzenia  
kilku dni z

Reynaudem na rzece. Mimo to sama nie  
potrafiłaby się zmusić, by uciec z  
obozowiska i bez

słowa porzucić towarzyszkę niedoli. Czy Reynaud rozumiał, jak była mu wdzięczna, czy

zdawał sobie z tego sprawę, pomimo iż żadne słowa na ten temat nie padły?

Podejrzewała, że

mogło tak być. Była niedoskonałą istotą ludzką: istniały rzeczy, na które nie miała wpływu.

Zrobiła wszystko, co mogła, lecz na tym kończyły się jej możliwości. Jaka to ulga o nic się

już nie starać! Usiadła wygodnie w łodzi i podparła głowę rękami.

Poruszali się szybko. Wschód słońca zastał ich daleko w dole rzeki. Znad

zaróżowionego horyzontu jaskrawe promienie padały ukośnie na wodę, przebijały się przez

mgłę i wydobywały miękko zarysowane, niewyraźne kształty. Reynaud i Pierre wiosłowali

zawzięcie, to pochylając się, to prostując, rytmicznie i niezmordowanie.

Rzeka była wezbrana od padających ostatnio deszczy i topniejącego w górach śniegu.

Szybki nurt, obfitujący w wiry i

zamulony, niósł z sobą kawałki kory,  
liście i pnie wyrwanych

z korzeniami drzew. Mgła opadająca na  
ich ubrania chłodziła, podobnie jak  
wiejący wzdłuż

koryta rzeki wiatr, miło więc było  
poczuć na skórze słoneczne promienie.

Elise odwróciła się, by spojrzeć na  
pracującego bez wytchnienia Reynauda.  
To

niebывałe, że on w ogóle się nie męczy  
i potrafi utrzymać takie tempo,  
pomyślała. Ta jego

wytrzymałość, podobnie jak podczas



dawno minionych dni po masakrze,  
czyniła go w jej

oczach kimś prawie nieludzkim. Jego  
milczenie wzmagało tylko to wrażenie.  
Potrzeba, by

wszystko wyjaśnić i usunąć wreszcie  
panujące pomiędzy nimi napięcie, rosła  
w niej niczym

ból, mimo to nie podjęła tego tematu w  
obecności Pierre'a i Przepióreczki.  
Sprawa była zbyt

osobista, chociaż wiedziała, że ta para  
stanowiłaby najdyskretniejsze  
audytorium.

Okazja, by porozmawiać sam na sam z Reynaudem, nadarzyła się dopiero późnym

rankiem, gdy dobili do brzegu, by rozprostować nogi, odpocząć i zjeść zimne śniadanie.

Przepióreczka i Pierre zniknęli w lesie, a Reynaud zabrał się do wypakowywania bagaży.

Elise podeszła, aby mu pomóc. Pracując razem, ramię przy ramieniu, rozpostarli wielką

wołową skórę, która miała służyć im za stół, a potem wyjęli z płaskich koszyków mięso i

kukurydzę.

Elise, która wydobywała właśnie butelki z wodą, zaczerpnęła głęboko powietrza,

zerknęła spod rzęs na Reynauda i wyrzuciła z siebie:

- Jeśli chodzi o to, w jaki sposób opuściłam wczoraj fort ...

- Nie ma o czym mówić, zrobiłaś to, co musiałaś.

- Nie było tak, jak myślisz - zapewniła żarliwie, zaciskając palce, aż pobielwały knykcie. Zduszonym głosem, milknąc co

chwila i jękając się, opowiedziała, co się naprawdę

wydarzyło. Przerwał swoje zajęcie i patrzył na nią, słuchając uważnie, ale nic w jego twarzy

nie zdradzało, że ta opowieść ucieszyła go albo przynajmniej sprawiła ulgę. W końcu Elise

umilkła.

Reynaud poczuł, jak węzeł, trzymający w żelaznym uścisku jego serce, rozpływa się i

znika, mimo to nie do końca uwierzył w jej wersję wydarzeń. Mogło być

przecież tak, że

Elise tylko się wydawało, iż jej  
działanie zostało spowodowane  
fałszywą wiadomością

przekazaną przez Rudą Łanię.

Skorzystała z wymówki i zrobiła to, co  
przez cały czas chciała

uczynić, to znaczy wrócić do swoich. On  
jednak nadal jej pragnął. Całą siłą woli  
powstrzymał

się, by przyciągnąć Elise do siebie,  
przytulić twarz do miękkiej skóry jej  
policzków i

wdychając zapach ukochanej, zatopić się

w szczęściu. Przed oczami stanął mu wczorajszy

dzień i ona w ciężkiej aksamitnej sukni, z wysoko upiętymi włosami. To wspomnienie

uświadomiło mu, że musi nad sobą zapanować. Jego żona jest Francuzką, a on mieszkańcem i

zdrajcą uciekającym przed francuską armią. Nie było dla nich nadziei.

- Reynaudzie ...

- Daj spokój, Elise.

- Ale czy ty mi wierzysz?

Popatrzył na nią. Jego spojrzenie było mroczne. Nagle poderwał się i pobiegł do lasu.

Wołała go, ale nie odwrócił się ani nie dał żadnego znaku.

Aby dotrzeć do fortu Saint Jean Baptiste, nazwanego tak na cześć świętego z

Bienville, który założył Nowy Orlean i przez wiele lat był gubernatorem Luizjany, musieli

płynąć Missisipi aż do ujścia rzeki Red, a potem w górę jej biegu, do kraju Natchitoches.

Posterunek i fort, dowodzony przez St.

Denisa, leżał na wyspie, która powstała,  
gdy nurt rzeki

Red podzielił się na dwie odnogi. W  
zwyczajnych okolicznościach nie była to  
męcząca

podróż, ale okoliczności nie były  
zwyczajne.

Dwukrotnie widzieli na brzegu Indian.  
Sądząc po odzieniu, byli do  
Czoktawowie i

Tunicasi. Ubranie Reynauda, Pierre'a i  
Przepióreczki jednoznacznie  
wskazywało, że są

Natchezami, Elise zaś wyglądała jak



francuska branka. Za każdym razem  
Indianie

pozdrawiali ich głośno i zapraszali, by  
podpłynęli do brzegu i porozmawiali,  
lecz kiedy

załoga pirogi nie reagowała, zaczęli  
strzelać. Szczęśliwie szybko wydostali  
się z zasięgu

ostrzału, ale wypadek świadczył o  
nastrojach panujących w okolicy.

Zostawiali za sobą kolejne zakręty rzeki.  
Poranna mgła uniosła się, ukazując  
czyste

błękitne niebo. Widzieli jelenie pijące

wodę z rzeki i kołujące nad nimi  
myszołowy, słyszeli

ostre nawoływania sójek i przenikliwe  
poświstywanie kardynałów. Dzikie  
śliwy okryte

welonem kwiecia sypały płatki wprost  
do wody. Różowoczerwone i fioletowe  
klony rosnące

na przybrzeżnych moczarach odbijały się  
w wartko płynącym nurcie, splątane  
pędy winorośli

oplatające pnie drzew wypuszczały  
pierwsze zielone listki. Mijając martwe  
odnogi, płoszyli

wygrzewające się na słońcu  
czarnozielone żółwie błotne, które na  
ich widok uciekały do

wody.

Słońce sięgnęło zenitu i rozpoczęło  
wędrówkę w dół nieba. Popołudnie  
mijało szybko.

W powoli zapadającym zmierzchu  
bulgotanie wartko płynącej rzeki i  
miarowy plusk wiosel

zdawały się rozbrzmiewać coraz  
głośniej.

- Zatrzymamy się na noc? - zawołał  
Pierre z drugiego końca pirogi.

Reynaud zanurzył jeszcze ze dwa razy wiosło w wodzie, a potem, wyrwany z ponurej

zadumy, z widocznym wysiłkiem zaprzestał wiosłowania, skinął głową i skierował czołno do

brzegu.

Wykąpali się. Elise i Przepióreczka w pobliżu pirogi, Reynaud i Pierre nieco dalej.

Woda była zimna, odświeżająca, prawdziwe dobrodziejstwo dla mięśni zdrętwiałych od

długotrwałego siedzenia w jednej

pozycji. Elise wydawało się, że woda zmywa z niej

zmęczenie. W ciągu dnia robiło jej się coraz bardziej smutno. Bolało ją milczenie Reynauda,

który najwyraźniej nie uwierzył w to, co mu powiedziała, a także dziwne, do głębi

rozczarowujące zakończenie pertraktacji pomiędzy Natchezami a francuskimi siłami

ekspedycyjnymi. Po kąpieli rzeka zabrała ze sobą część jej smutku.

Przepióreczka, unosząc się pionowo na

głębokiej wodzie, odrzuciła z twarzy  
uparte

pasmo ciemnych włosów i uśmiechnęła  
się do Elise. Prysnęła na nią wodą,  
Elise zrobiła to

samo i wkrótce rozgorzała prawdziwa  
wodna bitwa, która je rozgrzała i  
uwolniła od napięcia.

Wreszcie Elise, oślepiąca wodą i  
wyczerpana zmaganiem, skierowała się  
ku brzegowi.

Przepióreczka, chichocząc, wyszła na  
brzeg i chwyciła miękki kawałek skóry,  
by się wytrzeć.

Nagle spoważniała i odwróciła się do Elise.

- '. Chyba jeszcze nie powiedziałam, jak bardzo jestem ci wdzięczna za to, że

namówiłaś mnie, abym uratowała Pierre'a.

- Postąpiłaś słusznie.

- Tak, ale okazało się, że nie tylko on na tym skorzy - stał. Kocham go, Elise, tak jak

nie kochałam nikogo.

Elise z uśmiechem zerknęła na przyjaciółkę.

- Naprawdę?

- Ach, wiesz, że to prawda. Mimo to chciałabym ci podziękować, na wypadek, gdyby

później nie trafiła się po temu okazja.

- Co masz na myśli? - zapytała Elise, poważniejąc.

- Nie wiemy, co spotka nas w forcie. Być może komendant nie zechce mnie przyjąć.

Podobno to mądry i szczodry człowiek, trzyma się z dala od knoń i swarów Nowego Nowego



Orleanu i ignoruje nadchodzące stamtąd rozkazy, jeśli uważa je za błędne.

Dobrze zna

Pierre'a, więc z pewnością zrozumie, że musiał walczyć u boku Natchezów, gdy został

pojmany, ale może nie pozwolić nam pozostać w forcie.

- I co wtedy?

- Postanowiliśmy, że schronimy się w lesie albo udamy do hiszpańskiej kolonii w Los

Adaes. Pierre znowu zacznie handlować, a ja będę podróżowała

razem z nim.

Elise strzepnęła z siebie wodę i zaczęła się ubierać.

Z opuszczoną głową, nie patrząc na Przepióreczkę, zapytała:

- A co z Reynaudem? Powiedział, jakie ma plany?

- Nie. Widzisz, jego sytuacja wygląda inaczej. Nie został uprowadzony jak Pierre, lecz

walczył z własnej woli. Jest w połowie Francuzem i majątnym człowiekiem, a jednak nikt mu

tego nie zapomni. Kiedy odstawi cię do fortu, prawdopodobnie zostanie z nami albo

przyłączy się do Natchezów.

Nie było czasu na dalszą pogawędkę. Nadchodzili mężczyźni, głośno rozmawiając, by

zasygnalizować paniom swoją obecność. Pośpiesznie dokończyły toaletę.

Rozpalili mały ogień w wygrzebanej w ziemi jamie, na którym podgrzali wieczorny

posiłek i zagotowali wodę na zmywanie.

Gdy Elise i Przepióreczka krzątały się przy ognisku,

mężczyźni zbudowali tradycyjne indiańskie szałas z młodych pędów, związanych razem i

nakrytych sukrem. Elise obserwowała ich spod oka. Zobaczyła, że budują tylko dwa szałas,

każdy dla dwóch osób. Ten widok przywołał falę wspomnień.

Reynaud spierał się z Pierre'em, który z nich pierwszy obejmie wartę. W końcu rzucili

monetę. Wyszło na to, że pierwszy

będzie czuwał Pierre. Wziął do rąk muszkiet i przykucnął

pod drzewem, w pewnej odległości od ogniska. Elise wczołgała się do szałas i rozmyślając o

tym, jak łatwo było zrzucić z siebie indiański strój, zaczęła zdejmować aksamitną suknię. Gdy

naga wślizgiwała się pod futra, słyszała z oddali szmer głosów Pierre' a i Reynauda. Wkrótce

i one ucichły.

Kiedy Reynaud wpelził do namiotu, była rozgrzana i odprężona mimo męczącego

dnia,

który miała za sobą. Nie spała jednak. Ruchy Reynauda, ukradkowe i ostrożne, mówiły jasno,

że wolałby jej nie budzić. Odezwała się więc, by zaoszczędzić mu trudu.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie dziś rano. Nie wierzysz w to, co ci powiedziałam?

- A mógłbym? - zapytał. Zdjął bryczesy, położył się obok niej i naciągnął na siebie

futra. - Dobrze wiesz, co do ciebie

czuję. Dlaczego miałbym się z tobą rozstawać? -

Pomyślałam ... że to dla mojego dobra.

- Przeceniasz mnie - powiedział i roześmiał się.

- Naprawdę? Nie sędzę.

- Gdybyś znała mnie tak dobrze, jak ci się wydaje, nie zwątpiłabyś we mnie.

- Ja ... moje wątpliwości zrodziły się z szaleństwa tej wojny, obawy przed zdradą,

którą ze sobą niesie.

- Powinnaś była wiedzieć, że dobrowolnie nigdy bym cię nie odesłał Francuzom.

- Nawet dla mojego dobra?

- Nie, nawet wtedy.

Uniosła się na łokciu i spojrzała na niego w ciemności.

- Mimo to towarzyszysz mi do fortu Saint Jean Baptiste, by potem zniknąć w głuszy?

- Kto ci powiedział... ach tak, Przepióreczka.

- Taki właśnie masz zamiar, prawda?



- A czy spodziewasz się, że z twojego powodu zdam się na łaskę Francuzów? -  
Chłód

w jego głosie wydał jej się wymuszony.

Chciała powiedzieć: „Spodziewam się, że weźmiesz mnie ze sobą”, lecz milczała.

Powoli narastał w niej ból tak silny, iż była pewna, że nie zdoła znieść go ani chwili dłużej.

Kiedy zdążyła go tak pokochać? Kiedy?

- My ... my jesteśmy małżeństwem -  
zaczęła.

- Zawarliśmy ślub według obrządku Natchezów, bez błogosławieństwa księdza. Nie

jesteś do niczego zobowiązana.

- Dla ciebie to nic nie znaczy?

Zignorował pytanie.

- Jestem pół Francuzem, pół Natchezem. W czasie pokoju nie ma to znaczenia, ale teraz jest wojna. Porzuciłem Francuzów dla ludu mojej matki i nawet ceremonia biczowania

nie przywróciła mnie do łask. Nie mam żadnych praw. Jestem wrogiem i tyle.

Rozsądek ani

powody, dla których postąpiłem tak, a nie inaczej, nie liczą się. Może St. Denis przyjmie

mnie ze względu na starą przyjaźń, przynajmniej na kilka godzin. A potem, cóż mi zostaje,

jak tylko zaszyć się w głuszy?

- A co będzie ze mną?

- Urodziłaś się do bezpiecznego i dostatniego życia w cywilizacji. Źle postąpiłem, że

cię uprowadziłem, a postąpiłbym

jeszcze gorzej, gdybym zatrzymał cię przy sobie.

- I znowu nie pozostawiasz mi wyboru - szepnęła.

- Co takiego?

- Być może ... być może wolałabym zostać z tobą.

Zesztywniał obok niej w ciemności. Długo trwało, nim się odezwał, a i wtedy jego

głos był pełen napięcia.

- Wydaje ci się. To, co czujesz, to tylko wdzięczność, ponieważ cię chroniłem i

...

- ... nauczyłeś mnie miłości.

- Nauczyłem cię poddawać się naturalnym pragnieniom.

Przysięgłaby, że w jego głosie słyszy ból. Czy chciał przekonać ją, czy może raczej

siebie? Na szczęście, oprócz słów istniały jeszcze inne argumenty.

- Sądzisz, że wszystko, co do ciebie czuję, to wdzięczność i pożądanie? - zapytała,

muskając ramię i twardą pierś

Reynauda.

- Ja to wiem - powiedział z głębi serca -  
ale na razie, tak jak w przeszłości, to mi  
wystarczy.

Przyciągnął Elise do siebie i tulił z całej  
siły, jakby chciał przeniknąć do jej  
jestestwa

poprzez jedwabistą gładkość skóry.  
Przywarła do niego w nagłym  
paroksyzmie strachu,

wywołanym obawą o to, co on zamierza  
zrobić w najbliższym czasie, lękiem  
przed życiem

bez niego i ceną, jaką przyjdzie im zapłacić za miłość w tym nie przebaczącym niczego

świecie. Wiedziała już, jak to jest bać się, że noc, którą z sobą spędzają, może się okazać

ostatnia. Teraz ten lęk powrócił, zwiększony po tysiącokroć. Chciała wziąć go głęboko w

siebie, tak aby stał się jej częścią i aby nikt już nie mógł ich rozdzielić. Pragnęła poczuć, jak

jego siła przenika w nią, i wiedzieć, że są nierozłączni, na zawsze z sobą związani - dwie

części jednej i tej samej całości.

Pożądanie było niczym rozprzestrzeniający się płomień. Lęk przed tym, co przyniosą

nadchodzące dni, podsycił je, a ból zbliżającej się przymusowej rozłąki dodawał mu siły.

Drżąc na całym ciele, z mocno zaciśniętymi powiekami, poszukiwali w sobie nieskończonej

afirmacji życia i na chwilę o wszystkim zapomnieli. Dali się porwać gwałtownej namiętności,

lecz choć leżeli ciasno spleceni, tak że



ich oddechy mieszały się ze sobą, nie mogli

powstrzymać upływającego czasu.

W osiem dni później dopłynęli do fortu Saint Jean Baptiste. Kiedy minęli Postes

Rapides, przystań w pobliżu bystrzyn, gdzie pobierano myto, i nikt ich nie zatrzymał,

wiedzieli, że są już w kraju Natchitoches. Mijali rzadko rozsiane wsie z chatami z

tynkowanymi błotem kominami, z których unosił się dym. Wypłynęli zza

zakrętu i zobaczyli

leżący przed nimi fort, zbudowany na planie prostokąta, z trzema sterczącymi wysoko

romboidalnymi bastionami i jednym prostopadłościennym. Palisada, choć masywna, nie

umywała się do tej, którą zbudowali Natchezowie, ale jej przeznaczeniem nie była obrona

przed zmasowanym ostrzałem artyleryjskim. Bramy fortu stały otworem, ludzie wchodzili i

wychodzili swobodnie. Tylko na wałach

widać było pełną obsadę straży.

Nim zdążyli wylądować, na brzegu pojawił się mały oddziałek żołnierzy, z wysokim,

przystojnym oficerem o żołnierskiej postawie i władczyim sposobie bycia na czele.

Reynaud, którego ruchy pozostały płynne, a plecy wyprostowane, mimo że tyle dni

spędził pochylony nad wiosłami, ruszył w kierunku bramy. Pierre kroczył tuż obok niego, za

nimi podążały obie kobiety. Elise

spojrzała wyczekująco na oficera,  
domyślając się, że na ich

powitanie wyszedł sam komendant,  
Louis Antoine Juchereau de St. Denis.

St. Denis znany był jako człowiek  
inteligentny i prawy, który tylko o tyle

podporządkowywał się rozkazom z N  
owego Orleanu, o ile było to niezbędne.  
Nie popierał

rujnującej gospodarkę polityki  
handlowania jedynie z Francją i  
przymykał oko na kontakty

handlowe z Hiszpanami z odległego o  
niecałe sto kilometrów fortu Los Adaes,

ponieważ

uważał, że w ten sposób przyczynia się do rozwoju podległego mu obszaru. A znał się na

rzeczy, bo zanim został komendantem, przez jakiś czas był kupcem. Z bliskich związków

komendanta z Hiszpanami, umocnionych małżeństwem z Manuelą, wnuczką hiszpańskiego

komendanta San Juana Bautisty, wynikały jak dotąd same korzyści. Wobec zamieszkujących

te tereny Indian Natchitoches, Kaddo i

Adaes był otwarty i szczodry, mimo to żelazną ręką

trzymał w ryzach skłonne do kłótni, swarów i nieprzestrzegania sojuszy plemiona od ciągłych

walk pomiędzy sobą i z Francuzami. W rezultacie panował tu spokój, a gospodarka i handel

kwitły. Z racji odległości od centrum władzy Sto Denis sprawował niemal despotyczną

władzę, cieszył się jednak opinią człowieka sprawiedliwego, oddanego królowi.

Jak przyjmie przybyszów?

Mógł kazać ich rozstrzelać na miejscu,  
aresztować albo zabronić choćby  
postawić

stopę w forcie i na podległych mu  
terenach. Jednak St. Denis oddał  
Reynaudowi ukłon,

skinąwszy z powagą głową.

- Przepraszam za tę nieproszoną wizytę -  
powiedział Reynaud. - Ośmielam się  
jednak

prosić, aby poświęcił mi pan chwilę  
czasu.

St. Denis przyglądał im się przez chwilę bacznie, mrużąc oczy, a potem zapytał:

- Przybywacie z kraju Natchezów?

- Tak. I możemy opowiedzieć panu o tym, co się tam wydarzyło, jeżeli tylko zechce

nas pan wysłuchać.

- Słyszałem o ekspedycji, któż o niej nie słyszał? Ostrzeżono nas także, całkiem

niepotrzebnie, abyśmy przygotowali się na ewentualne kłopoty. Poinformowano mnie, iż

przyłączył się pan do Natchezów.



Domyślam się więc, że ponieśli klęskę?

Reynaud skinął lekko głową.

- W pewnym sensie.

- Pańska obecność, jak rozumiem, nie oznacza, że mamy się przygotować do walki na

śmierć i życie?

- Zdecydowanie nie.

- A więc zapraszam do mojej kwatery. Powinienem chyba wysłuchać informacji, które

mogą dopomóc nam w obronie, prawda?

- dodał, uśmiechając się lekko.

Biuro komendanta i jego prywatna kwatera mieściły się na wprost bramy, niemal w

samym środku umocnień. Po prawej stronie widać było długą, niską budowlę, w której

mieściły się koszary. W jednym jej końcu znajdowała się jadalnia, w drugim - wartownia. Z

lewej strony bastionu stał mały kościółek z wieżą. Budynek wraz z chatą przeznaczoną do

użytku wędrownego kaznodziei

sąsiadował z małą prochownią. Z kuchni dolatywał

smakowity zapach piekącej się na ruszcie wołowiny. Wszystkie budynki, łącznie z toaletami i

kwaterami służby, były zbudowane z bali, uszczelnionych błotem wymieszanym z sierścią

jelenia i szarym mchem. Dachy pokrywały cyprysowe gonty.

Elise i Przepióreczka weszły za mężczyznami do kwatery komendanta. Kiedy usiedli,

afrykański służący przyniósł wino, chleb

i masło, a także ciasto z dżemem śliwkowym.

Madame St. Denis, dona Manuela, z dzieckiem uczepionym spódnicy, zajrzała do pokoju, aby

przekonać się, czy gościom niczego nie brakuje, i szybko odeszła. Zaczęli rozmawiać. St.

Denis zadawał szczegółowe pytania. Chciał wiedzieć, jakimi siłami dysponowały obie strony,

jakiej broni użyto, jakiego rodzaju okopy zbudowali Francuzi, jak zachowali się Czoktawowie

i ilu ludzi poległo. Jego pełne powątpiewania chrząknięcie, kiedy Reynaud powiedział, że

Natchezowie odeszli, wyrażało cyniczne przekonanie, że Czoktawowie, jeśli nie sami

Francuzi, zostali przekupieni, skoro udawali ślepych i głuchych. Reynaud nie zaprzeczył ani

nie potwierdził. St. Denis wypytywał zwłaszcza o losy siedmiu kobiet spokrewnionych z

ludźmi mieszkającymi w okolicy fortu i widać było, że jest wdzięczny za każdą informację.

Po mniej więcej godzinie na zewnątrz zaczął zbierać się tłum. Nowiny o przybyciu

zbiegów szybko się rozeszły i każdy chciał ich zobaczyć na własne oczy. St. Denis ignorował

narastający gwar głosów tak długo, jak mógł, lecz w końcu spojrzał z niepokojem w kierunku

drzwi i powiedział, zwracając się do Reynauda:

- Zmuszony jestem zapytać cię, przyjacielu, po co tu przyjechałeś i co zamierzasz.

Reynaud ujął dłoń Elise, która siedziała obok niego na twardym krześle pokrytym wołową skórą.

- Pragnę tylko jednego: aby zapewnił pan bezpieczeństwo tej damie. Wiele

wycierpiała, choć nie skrzywdziła nikogo. Tu, w forcie, przebywa obecnie jej przyjaciółka,

która z pewnością się nią zaopiekuje. Jeżeli dopilnuje pan, by miała okazję z nią pomówić,

zaskarbi pan sobie moją dozgonną wdzięczność.

- Załatwione - powiedział St. Denis. -  
Ale co z panem?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi,  
ponieważ z zewnątrz dobiegł ich krzyk,  
naglący i

domagający się natychmiastowej uwagi.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział St.  
Denis, podszedł do drzwi i otworzył je.

Elise zerwała się z krzesła, gnana  
lękiem, którego nie potrafiła określić.  
Ledwie

zdawała sobie sprawę z obecności  
Reynauda, Pierre'a i Przepióreczki.  
Oszołomiona,



uświadomiła sobie, że stoi przed nią jej dawna przyjaciółka, Claudette, śmieje się do niej i

wymachuje przyjaźnie rękami. Tuż za nią, z ramionami założonymi na piersi i wyrazem

złośliwej satysfakcji w oczach, stał Pascal. Henri, ze wzrokiem utkwionym w twarzy Elise,

usiłował przepchnąć się do przodu, ale wpadł na Pascala i zatrzymał się.

Krzyk nie wydobywał się jednak z gardła żadnego z nich, lecz z gardła mężczyzny,

który minął właśnie bramę fortu,  
galopując na koniu, za którym ciągnęły  
się liny od pługą, tak

jakby jeździec przybywał prosto z pola.  
Rozwiane włosy powiewały wokół jego  
twarzy, a

oczy błyszcząły podnieceniem.

- Komendancie St. Denis! - zawołał,  
zatrzymując się gwałtownie, tak że koń  
stanął

dęba. - Indianie! Natchezowie!  
Natchitoches widzieli ich! Są  
pomalowani w barwy wojenne!

## **ROZDZIAŁ XVIII**

Dziwne uczucie przyglądać się  
napływającej do fortu fali francuskich  
uciekinierów,

pomyślała Elise. Zdenerwowane kobiety  
taszczyły na plecach płaczące dzieci  
albo tobołki z

dobytkiem; mężczyźni prowadzili bydło,  
obładowane wszystkim, co tylko  
zmieściło się na

ich grzbietach, głównie jednak zapasami  
żywności. Było tak, jakby jakiś  
swawolny bóg

zamienił role i oblegani stali się  
atakującymi, a atakujący - obleganymi.  
Tylko kurz i

zamieszanie były w obu sytuacjach takie same, podobnie jak strach.

Poza tym Francuzów było zdecydowanie mniej. Wokół fortu żyło zaledwie około

trzystu dusz, wliczając w to Indian i afrykańskich niewolników, w tym nie więcej niż

osiemdziesięciu mężczyzn zdolnych do walki - część z nich tworzyła regularne oddziały,

część była kolonistami.

Różnica polegała też na tym, że Elise nie miała nic do roboty. Dona Manuela i dwie

czy trzy starsze kobiety zaprowadzały w panującym wokół chaosie pewien ład. Przygotowały

koszary na przyjęcie napływających rodzin, starszym dzieciom kazały zająć się płaczącymi

maluchami, a kobietom poleciły ugotować zupę i kleik w olbrzymich saganach, doglądały

zbiórki bandaży i lekarstw. Elise czuła się niepotrzebna i wystawiona na pastwę ciekawych

spojrzeń. Mieszkańcy fortu zerkali na nią spod oka i przekazywali sobie szeptem uwagi. Niby

przeszkadzało jej powszechne zainteresowanie, ale w głębi duszy w ogóle nie dbała o to, co o

niej myślą.

Claudette, z trójką dzieci uczepionych spódnicy, czwartym, które trzymała na biodrze,

i piątym w brzuchu, podeszła do Elise, stojącej na ganku kwatery komendanta.

Przyjaciółka

Elise z czasów, gdy obie były pensjonariuszkami domu poprawczego, zmieniła się w kobietę

pulchną, o twarzy zaczerwienionej i

zgnębionej troskami macierzyństwa.

Zawsze była

nieskomplikowaną osobą, więc teraz też  
uśmiechnęła się, choć jej zmęczone  
brązowe oczy

wyrażały niepokój.

- Brakowało mi ciebie, Elise.

Prawdę mówiąc, Elise niewiele myślała  
o Claudette od czasu, kiedy ostatni raz  
się

widziały. Zawstydzona, uśmiechnęła się  
z przymusem.

- Jak ci się wiedzie?

- Jak widzisz - odparła Claudette, wskazując na dzieci i wzruszając ramionami. - Nie

masz dzieci?

Elise potrząsnęła głową.

- Jestem teraz wdową.

- Słyszałam.

Elise pomyślała sobie, że przyjaciółka słyszała nie tylko o tym. W Luizjanie nie było

aż tylu Francuzów, żeby wieści o kimś, kogo się znało, nie dotarły do wszystkich.



- Cieszę się, że dobrze ci się wiedzie i jesteś szczęśliwa.

- Tak. Wiem, że ty nie miałaś tyle szczęścia. Rozmawiałam o tobie ze St. Amantem i

tym młodym chłopakiem, Renrim. Chciałabym ci jakoś pomóc, jeśli pozwolisz. Mogłabyś z

nami zamieszkać.

- Claudette ... - Elise poczuła, jak wzruszenie ściska ją za gardło. Nie mogła

wykrztusić nic więcej.

- Naprawdę, wiem, co mówię. Pozostań z nami tak długo, jak zechcesz. Wiesz,

kompania przysłała tutaj dwa lata temu cały kontyngent skromnych panienek z klasztorów, z

posagami w koszykach, tak jakbyśmy my, dziewczyny z domu poprawczego, były jakimiś

kokotami, nie nadającymi się na żony kolonistów, choć le bon Dieu wie, że tutajszym

mężczyznom daleko do świętości. Te, które przyjechały pierwsze, powinny trzymać się

razem.

- A co na to twój mąż?

- Jules nie będzie się sprzeciwiał -  
zapewniła Claudette ze śmiechem. -  
Mało co mu

przeszkadza.

- Ludzie zaczną gadać. - Może nie  
powinna być taka szczerą, lecz nic nie  
mogła na to

poradzić.

Claudette wzruszyła ramionami.

- A kiedy nie gadają? Tymczasem ja z

rozkoszą posłucham o tym, jak zostałam  
kobietą

tego mieszańca Chavaliera. Oto  
mężczyzna, który mógłby co dzień pukać  
do drzwi mojej

sypialni.

- Wydaje mi się, że twój mąż robi to  
wystarczająco często - zauważyła Elise,  
uśmiechając się lekko.

- Tak - westchnęła Claudette. - Straszny  
z niego zwierzak.

- A gdzie on teraz jest?

Claudette wyciągnęła rękę. Elise podążyła spojrzeniem w kierunku, który wskazała

przyjaciółka, i ledwie zdołała się powstrzymać, by nie wybuchnąć śmiechem. Zwierzak

Claudette był niskim, łysiejącym mężczyzną z dużym brzuchem. Zmarszczki wokół oczu

wskazywały na jego bezkonfliktowy charakter i skłonność do śmiechu.

- Jesteś pewna, że nie będzie miał nic przeciwko temu?

- Będzie zachwycony, niech no tylko cię

zobaczy. Choć musisz od razu dać mu jasno

do zrozumienia, że nie lubisz szczypania w tyłek.

- Ja ... pewnie nie zostanę długo.

- Oczywiście, że zostaniesz! Dokąd mogłabyś pójść?

Rzeczywiście, dokąd? Elise nie miała jednak czasu zastanowić się nad tym, ponieważ

w ich stronę zmierzał Renri.

- Madame L - laffont - powiedział, jękając się z podniecenia - jaka to ulga

znów panią

widzieć, choć kto mógł przypu - u -  
szczać, że spotkamy się w ta - a - akich  
okolicznościach?

- Uniósł dłoń, w której trzymał muszkiet,  
i wskazał nim żołnierzy zamykających  
bramy i

mężczyzn ustawiających się w kolejkę  
po amunicję.

- Na pewno nie ja. - Elise uśmiechnęła  
się słabo. Jak ci się wiodło?

- Zostałem po - o - omocnikiem m'sieu L  
- lagrossa, kupca. Zajmuję się jego  
końmi i

troszczyć o klientów, podróżuję z nim do Nowego Orleanu po towary. Co w -  
więcej, uważają

mnie tu za mężczyznę i nawet dali mi muskiet, bym bronił fortu.

Elise obejrzała broń, wyrażając stosowny podziw. Miło było wiedzieć, że Henri

dochodzi do siebie po szoku przeżytym podczas masakry.

- Czy m - m - mogę powiedzieć, że wygląda pani doskonale, madame? -  
kontynuował

młodzieniec. - Prawdę mówiąc, za



każdym razem, gdy panią widzę, jest  
pani coraz

piękniejsza.

- Widzę, że stałeś się pochlebcą -  
odparła, uśmiechając się, choć miała  
ochotę się

rozplakać na samą myśl o bitwie, która  
wkrótce się odbędzie. Młodzi,  
niedoświadczeni

Natchezowie i Francuzi ginęli zwykle  
pierwsi.

- N - n - nie, madame, za - a - apewniam  
panią. Muszę już iść, potrzebują mnie.

- Będziesz na siebie uważał?

- O - o - oczywiście, madame!

Odszedł pośpiesznie, jednak po chwili odwrócił się i pomachał do nich.

Claudette

spojrzała za nim i powiedziała: - Miły młody człowiek. A teraz chodź, przedstawię cię

paniom.

Nie miała wyboru, musiała wyrazić zgodę. W rzeczywistości nie było wcale tak źle,

jak się obawiała. Wypytywanie o

przeszłość uchodziło w kolonii za niegrzeczne, ale chęć

dowiedzenia się, jak wiodło się brankom Natchezów, usłyszenia szczegółów ich pojmania,

wypywania Elise o masakrę, o to, kto zginął, a kto przeżył, była u tych kobiet większa niż

świętoszkowate oburzenie. Poza tym tylko kilka niewiast mogłoby się oburzyć szczerze -

mało która z nich przybyła do Luizjany dobrowolnie, większość z nich po prostu tu przysłano.

Najwięcej jednak bólu, choć nie tyle z powodu zażenowania, ile rozpacz, która

ścisnęła jej serce niczym żelazna pięść, przysporzyło Elise najstarsze dziecko Claudette.

Bawiła się właśnie z dziewczynką, gdy nagle mała pisnęła:

- Spójrz, mamusiu, ta pani ma dziwne buty.

Spod poplamionej i pogniecionej spódnicy wystawały mokasyny, które Tatuowane

Ramię podarowała jej tego wieczoru,

kiedy została poślubiona Reynaudowi.  
Mokasyny z

bielonej skóry, ozdobione  
słodkowodnymi perłami i niebieskimi  
koralikami były jedyną

pamiątką jej indiańskiego ślubu. Teraz,  
tutaj, Elise wydawało się, że tamta  
uroczystość nigdy

się nie odbyła.

Wartownik zawołał coś głośno. Na  
skraju lasu dostrzeżono indiańskiego  
wojownika.

Natchezowie się zbierali. Napięcie  
wewnątrz umocnień rosło, ale nikt nie

wystrzelił. Istniała

bowiem możliwość, że Indianie przybyli, by pertraktować albo handlować.

Elise spostrzegła, że Reynaud rozmawia na osobności ze St. Denisem. Tuż za nim stał

Pascal z szyderczym wyrazem twarzy. Nie podszedł do niej i najwidoczniej nie zamierzał z

nią rozmawiać. I bardzo dobrze; nie miała mu nic do powiedzenia. Mimo to nie podobał się

jej się mściwy błysk i wyraz potępienia

w oczach kupca, gdy patrzył na Reynauda. Nie

obchodziła ją też nieskrywana  
lubieżność, z jaką na nią spoglądał.

Do fortu zbliżała się delegacja Indian.  
St. Denis, któremu towarzyszył Reynaud,

wspiął się na przedpiersie wału. Kilku  
mężczyzn także dołączyło do stojących  
na

posterunkach żołnierzy. Elise  
pośpieszyła za nimi. Przywykła do tego,  
że wie, co się dzieje, i

nie miała zamiaru z tego rezygnować.  
Rozpychała się łokciami, nie jak na

damę przystało,

mamrocząc pod nosem przeprosiny.

Mężczyźni, zaskoczeni zachowaniem Elise, pozwolili jej

przejsć. Jeden czy dwóch próbowało ją co prawda powstrzymać, napomykając o

niebezpieczeństwie, ale ona tylko się uśmiechnęła. Jej uwagę pochłonęło to, co działo się pod

lasem.

Na czele pół tuzina wojowników, z buńczucznie zadartą głową, z dłońmi wspartymi



na biodrach, kroczył Ścieżka  
Niedźwiedzia, naczelnik Mącznej  
Wioski. Gdy dotarł na

odległość głosu, zawołał:

- Sto Denis, komendancie fortu w kraju  
Natchitoches, czy to ty?

- Tak, to ja. - St. Denis odpowiedział  
rytualnym pozdrowieniem.

- Ufam, że dobrze ci się powodzi?

- Nie najgorzej - odparł francuski  
komendant. - Czego chcesz?

- Przychodzę do ciebie w pokoju,  
ponieważ zawsze leżało ci na sercu

dobro Indian.

Chciałbym porozmawiać o krzywdzie,  
jaka nas spotkała, i prosić cię, abyś  
wstawił się za

nami u swego przełożonego, gubernatora  
Periera. Wypalmy razem fajkę na znak  
pokoju

między fortem, którym dowodzisz, a  
fortem Natchezów po tej stronie  
wielkiej rzeki.

Porozmawiajmy.

- Przecież rozmawiamy.

- W ten sposób? I to ma być gościnność?

Otwórz wrota i pozwól mnie i moim  
wojownikom wejść, abyśmy mogli  
porozmawiać jak cywilizowani ludzie.

Choć słowa Ścieżki były uprzejme, w  
uszach Elise brzmiały fałszywie. Czy był  
to

podstęp, jak wtedy, gdy fortelem  
przedostali się do fortu Rosalie i pod  
pozorem wielkiego

polowania, by zaopatrzyć w żywność na  
zimę siebie i Francuzów, prosili o broń i  
amunicję?

Nie potrafiła powiedzieć. Być może to  
osobiste uprzedzenie każe jej wątpić w

szczeróść

Ścieżki.

- Twoi ludzie i moi toczą ze sobą wojnę  
- powiedział St. Denis. - Nie mogę  
pozwolić

ci wejść do fortu, ale cieszę się, że będę  
miał okazję przyczynić się do zawarcia  
pokoju.

Musisz mi tylko powiedzieć, co mam  
przekazać gubernatorowi.

Twarz Ścieżki spochmurniała z gniewu.  
Przez dłuższą chwilę milczał, a kiedy  
przemówił, w jego głosie nie było już

uprzejmości.

- Widzę, że jest między wami wódz wojenny Natchezów.

To dziwne, jemu udzieliliście schronienia, a mnie nie ufacie. -  
Przyszedł sam, bez

wojowników.

- Czy winisz mnie za to, że moi bracia zostali zmuszeni do opuszczenia odwiecznych

siedzib i teraz żyją w lasach niczym zwierzęta? Przyłączyli się do mnie w nadziei, że

zapewnię im bezpieczeństwo. Ale to przekrzykiwanie się ubliża nam obu. Skoro nie możemy

wejść do fortu, wyjdźcie wy - ty i twoi oficerowie - do nas. Przeprowadźcie ze sobą naszego

wodza wojennego, Tatuowanego Węża, by razem z nami błagał o pokój i wybaczenie.

Czy St. Denis dosłyszał nutę obłudy w głosie Ścieżki?

Elise miała ochotę ostrzec komendanta, aby uważał na tego Indianina, ale nie śmiała

się wtrącać, jeszcze nie teraz.

- Los twoich ludzi, którzy w przeszłości tak bardzo pomagali Francuzom, bardzo leży

mi na sercu - powiedział Sto Denis. - Jednakże, mając na względzie dobro powierzonych

mojej opiece mężczyzn i kobiet, nie mogę opuścić fortu, aby pertraktować z pomalowanymi

w barwy wojenne Indianami.

Powtarzam, jeżeli chcesz, abym zaniósł wasze przesłanie

gubernatorowi, przekaż mi je teraz.

- Musicie wyjść! - wrzasnął Ścieżka Niedźwiedzia, wymachując pięścią.

- Innym razem, kiedy przyjdziecie z fajką pokoju.

- Teraz!

Sto Denis odwrócił się, jakby miał zamiar odejść.

- Wyjdźcie, bo w przeciwnym razie spalimy Francuzkę!

- Co zrobicie? - Głos St. Denisa zabrzmiał niczym trzaśnięcie bata.

- Spalimy Francuzkę, tę, która jest z nami, tak jak gubernator spalił kobiety



Natchezów w Nowym Orleanie.

Ścieżka Niedźwiedzia odwrócił się i machnął ręką w kierunku lasu.

Pojawiło się dwóch wojowników podtrzymujących słaniającą się na nogach kobietę.

Głowa opadła jej na pierś, białe włosy zakryły twarz. Ubrana była w podarte szmaty.

- Spalcie tę kobietę, a ściągnę na was zemstę, jakiej nawet nie potraficie sobie wyobrazić! - powiedział St. Denis.

Ścieżka Niedźwiedzia uśmiechnął się.

Dziki grymas wykrzywił jego pełne wargi.

- Aby to zrobić, będziecie musieli najpierw wyjść z fortu! - Odwrócił się i odmaszerował.

Ludzie okrążyli St. Denisa, gdy tylko zszedł z wałów.

Niektóre kobiety płakały. Dzieci, widząc łzy swoich matek i odczuwając panujące

wokół napięcie, zanosły się łkaniem. Mężczyźni milczeli, spoglądając na siebie spod oka. Z

tlumu wysunął się Pascal i stanął przed komendantem.

- Proszę mi wybaczyć, komendancie - powiedział ze zjadliwym uśmiechem - ale

zapytam w imieniu wszystkich: co zamierza pan zrobić z tym zdrajcą?

- Zdrajcą? - St. Denis zmarszczył brwi, jakby nie wiedział, o kim Pascal mówi.

Najwidoczniej umysł miał zaprzątnięty czymś innym.

- Jak powiedział ten tam Indianin, udzieliliśmy schronienia wodzowi Natchezów,

mieszkańcowi, którego nazywają  
Tatuowanym Wężem. On nas zdradził.

- Ten Indianin to Reynaud Chavalier -  
powiedział St. Denis ostro. - Nie żaden  
zdrajca.

- Natchezowie przybyli tu zaraz po nim.  
Czy może udowodnić, że ich nie

przyprowadził? Czy nie przyszedł  
pierwszy, by dostać się do fortu? A co  
się stanie, jeśli

otworzy bramy, gdy Natchezowie  
zaatakują?

- Niech pan nie będzie śmieszny!

- Śmieszny? Skoro to on nadzorował budowę fortu, w którym schronili się jego

indiańscy bracia, to musiał też dowodzić obroną podczas oblężenia, o którym było głośno. W

ciągu minionych lat nieraz zmieniał skórę, to żyjąc jako Francuz, to znowu jako Indianin.

Dlaczego nie miałby się od nas odwrócić?

Elise przepchnęła się przez tłum.

- Ten człowiek uratował ci życie! -  
rzuciła w twarz Pascalowi. -

Zapomniałeś już o

tym?

- Nie - powiedział Pascal, patrząc znacząco na Elise. Nie zapomniałem też, dlaczego

to zrobił.

Za ścianami fortu rozległ się krzyk, cienki i przenikliwy. Wartownik, którego głos

także nie brzmiał zbyt pewnie, zawołał:

- Wbili w ziemię pal i przywiązują do niego tę damę.

Znoszą też chrust.

Elise spojrzała na Reynauda i zobaczyła, że jego twarz przybiera wyraz rozpacz.

Dostrzegł jej spojrzenie i nagle rozpacz ustąpiła miejsca stanowczości i swego rodzaju

ponurej akceptacji.

- To, co człowiek może zrobić dla jednych ludzi z poczucia lojalności, nie ma nic

wspólnego z tym, co może zrobić innym  
- rzekł sentencjonalnie St. Denis.

- Być może ma pan rację - odparł

Pascal, odwracając się do komendanta. -  
Ale czy

stać nas na ryzyko? Odeślijmy go z  
powrotem do jego współbraci i niech  
zrobi wreszcie coś

dla Francuzów. Skoro jest ich wodzem  
wojennym i bratem Wielkiego Słońca,  
uratowanie

madame Doucet nie powinno sprawić  
mu trudności.

Wśród zgromadzonych rozległ się  
pomruk aprobaty.

Z oddali nadal dochodził pełen  
przerażenia krzyk madame Doucet.



- Nie - szepnęła Elise z rozszerzonymi  
lękiem oczami. - Nie! - powtórzyła  
głośniej. -

Mężczyzna, który dowodzi tymi  
wojownikami, to odwieczny wróg  
Reynauda. Już raz

próbował zająć jego miejsce. Zabije go  
natychmiast, gdy tylko wpadnie mu w  
ręce. Reynaud

nie będzie miał szansy nikogo uratować.

St. Denis odwrócił się. Jego twarz  
wyrażała zdecydowanie. - Tracimy  
cenny czas.

Zorganizujemy wypad i uratujemy tę

kobietę.

- Proszę zaczekać - powiedział Reynaud. Nie mówił głośno, lecz jego głos

natychmiast przykuł uwagę wszystkich. - Pójdę sam. Nie ma potrzeby wysłać nikogo

innego.

- Nie - powtórzyła Elise, lecz nawet jeśli Reynaud ją usłyszał, nie dał tego po sobie

poznać.

- Nie mogę na to pozwolić, jeśli to, co

mówi madame Laffont; jest prawdą -  
oznajmił

komendant niecierpliwie.

Szkoda czasu na próżne przekomarzenie  
się, mówił jego ton. Tym bardziej że  
wokół

przywiązanej do pala kobiety  
wzniesiono już wysoki stos chrustu.  
Krzyki nieszczęsnej,

przerywane łkaniem i głośną modlitwą,  
docierały aż tutaj. Francuzki też zaczęły  
się głośno

modlić.

- Nie może pan mnie powstrzymać -  
powiedział Reynaud. - I nie powinien  
pan, z

uwagi na wszystkich, którzy schronili się  
pod pańską opieką. Proszę tylko  
przygotować się do

przeprowadzenia ataku za murami na  
wypadek, gdyby mi się nie udało. A jeśli  
na nic innego

nie starczy czasu, skróćę męki madame.

Elise usłyszała zbiorowe westchnienie i  
sama zaczerpnęła gwałtownie  
powietrza,

kiedy uświadomiła sobie, co Reynaud

ma na myśli. Jeżeli nie uda mu się ocalić  
madame

Marie, jeśli odsiecz nie nadejdzie na  
czas, zabije ją. Ta propozycja, tak  
jednoznaczna, tak

ludzka i tak bezlitośnie naturalna, była  
świadcstwem jego niezłomnej odwagi.  
Elise poczuła,

jak serce wzbiera jej uczuciem.

Denis przez chwilę wpatrywał się w  
Reynauda, a potem pochylił głowę w  
głębokim

ukłonie.

- Będzie, jak powiedziałeś.

Reynaud odwrócił się do Elise. Ruszyła mu na spotkanie, on zaś paroma długimi

krokami znalazł się przy niej. Nie miało dla nich znaczenia, że są obserwowani.

Wyciągnęła

do niego dłoń, a on ujął je i mocno uścisnął.

- Nie idź - szepnęła. - Zostań:

- Muszę, nie widzisz tego? Zresztą tak będzie lepiej.

Potrząsnęła głową, oślepią łzami.

Spojrzał na nią, na blady owal jej  
twarzy, wilgotne od łez bursztynowe  
oczy, drżące

usta. Nie było niczego, czego by pragnął  
równie mocno, jak zostać z nią, ale był  
wygnańcem i

nie mógł zapewnić jej domu, wygod ani  
bezpieczeństwa. Jeśli dotąd nie zdawał  
sobie z tego

sprawy, teraz będzie musiał. Nie może  
prosić jej, by dzieliła z nim niepewne  
jutro. To byłoby

okrucieństwo, a on wyrządził jej już  
dość zła. Zamierzał nauczyć Elise  
miłości, a sprawił jej

ból. Lepiej od razu z tym skończyć. To będzie czyste cięcie, szybkie i ostre jak cięcie nożem.

- Zapomnij, untsaya athlu - powiedział. - Pamiętaj tylko, że cię kochałem. I niech szczęście cię odnajdzie.

Od strony muru dobiegł ich krzyk wartownika:

- Podpalają chrust!

Reynaud puścił dłonie Elise, odwrócił się i pobiegł do bramy. Uchyłono ją, by go

przepuścić, a potem znowu zamknięto.



„Żono mojego serca” - tak ją nazwał.  
Elise uniosła do ust drżące palce,  
spoglądając w

ślad za kochankiem, a potem opuściła  
dłonie i pobiegła ku stopniom  
prowadzącym na wał. Na

szczybie potknęła się, lecz stojący tam  
żołnierz podtrzymał ją. Wczepiła się w  
poznaczone

śladowi siekier bałe tak mocno, że  
kostki jej palców zupełnie zbiełały.  
Płonącym wzrokiem

wpatrywała się w skraj lasu, gdzie  
Reynaud rozmawiał z wojownikami,  
pomagając sobie

gwałtowną gestykulacją.

W pobliżu miejsca, gdzie stali, madame Doucet wiła się przy palu, kaszląc i krztusząc

się dymem.

Jaskrawe języki płomieni zaczynały już lizać chrust i drewno. Trzask palącego się

chrustu, boleśnie wręcz głośny, dobiegał aż do fortu. Dym, żółtawy u podstawy, gęstniał.

Jeszcze chwila i wybuchną płomienie. Dym i żar nieodwracalnie uszkodzą płuca madame

Doucet. Śmierć przyjdzie wówczas szybko, choć może się zdarzyć, że ogień dosięgnie

najpierw jej stóp i sukni, a wtedy koniec będzie już tylko wyczekiwaniem uwolnieniem od

cierpień.

Reynaud odwrócił się od wojowników i Ścieżki Niedźwiedzia, a potem podbiegł do

kobiety przy palu. Kopnięciem rozrzucił chrust i polana, aż posypały się iskry.

Rozległy się okrzyki radości, a potem brawa, gdy Reynaud zaczął

rozwiązywać więzy

krępujące madame Doucet.

Wiwaty umilkły gwałtownie, kiedy  
wybawca, spowity dymem, wyciągnął  
zza pasa

nóż. Jego ostrze błysnęło w słońcu. Po  
chwili biegł już w stronę fortu z  
bezwładną madame

Doucet w ramionach. Jej ręce opadły,  
głowa zwisała do tyłu. Otwarto bramę.  
St. Denis

wyszedł Reynaudowi na spotkanie i  
delikatnie wziął od niego nieprzytomną  
kobietę. Reynaud

skłonił się, minął bramę i ruszył biegiem z powrotem pod las, gdzie obozowali jego bracia.

- Krwiożerczy bękart!

Mężczyzna, który to powiedział, uniósł broń i wystrzelił w ślad za Reynaudem. Za

jego przykładem poszli inni.

Natchezowie także odpowiedzieli ogniem, zabezpieczając

odwrót swego wodza.

Reynaud pochylił się, przyśpieszył i po kilku sekundach znalazł się pod osłoną drzew.

U słyszeli jeszcze, jak głośno  
wykrzykuje rozkazy.

St. Denis, wpatrując się w madame  
Doucet, uniósł nagle dłoń.

- Zaprzestać ognia! - zawołał. - Ona  
żyje! Powtarzam, ona żyje!

Grzechot strzałów umilkł. Wojownicy  
zniknęli w głębi lasu. Jedyłą oznaką, że  
w

ogóle tu byli, pozostał pal i otaczający  
go stos tlącego się chrustu.

Francuzi spędzili noc niepewni, jak  
daleko odeszli Natchezowie i czy nie  
wrócą.

Wiele było do zrobienia, zanim  
zaprowadzono porządek. Kobiety  
przygotowywały posłania i

wieczorny posiłek dla wielu osób,  
kłócąc się, która więcej zrobiła dla  
wspólnego dobra, o

koce dla dzieci i o to, kto będzie miał  
zaszczyt nocować w kościele i  
koszarach, a nie w

kwaterach dla służby albo w wartowni.

Elise była ignorowana.

Oddaliła się więc od gęgających niczym  
stado gęsi kobiet, które z pewnością

wzbudziłyby uśmiech politowania Natchezów, i pośpieszyła do domu St. Denisa, aby

zaoferować jego żonie pomoc przy pielęgnowaniu nadal nieprzytomnej madame Doucet.

Nałożyła maść na poparzone miejsca i owinęła je luźno bandażami, przebrała Marie w czystą

płócienną koszulę nocną i uczesała jej cienkie, białe i opalone na końcach włosy. Postanowiła

spędzić noc przy jej pościeli, bo wiedziała, że kobiety będą zajęte dziećmi i mężami.



Cieszyła się, że ma czym zająć ręce i umysł, ponieważ nie pozwalało jej to zbyt wiele

rozmyślać. A poza tym drobne usługi, jakie świadczyła teraz madame Doucet, zmniejszały

poczucie winy, że wtedy, w indiańskim forcie, pozostawiła ją własnemu losowi. Bo chociaż

rozsądek podpowiadał jej, że nie ponosi winy, to serce mówiło co innego: starsza kobieta była

chora i niemal odchodziła od zmysłów z rozpacz, trzeba było jej lepiej pilnować.

Mijały godziny, a madame Doucet leżała nieporuszona.

Z zewnątrz dochodziły odgłosy zabawy, jakby Francuzi postanowili uczcić fakt, że

udało im się uniknąć niebezpieczeństwa. Na placu przed domem komendanta tańczono przy

dźwięku skrzypiec i harmonijki ustnej. Głosy biesiadników wznosiły się coraz wyżej w miarę

opróżnianych butelek. Elise nie potrafiła się zmusić, by wyrzeć na zewnątrz, nie mówiąc już

o przyłączeniu się do zabawy. Siedziała bez ruchu, wpatrując się w płomyk pojedynczej

świacy, który ledwie rozpraszał panującą w pokoju ciemność.

W końcu hałasy ustały. Słyszeć było tylko odgłos kroków straży. Noc zbliżała się ku

końcowi, nastąpiła pora, kiedy na zewnątrz panuje najgęstszy mrok, a duszę ludzką opanowuje

przygnębienie.

- Elise - wyrzęziła madame Doucet. -  
Czy to ty? Elise nie spała, mimo to

wzdrygnęła

się przestraszona.

Pochyliła się nad Marie.

- Owszem, to ja. Jak się pani czuje?

- Nie wiem. Tak jakoś ... dziwnie.

- Przeszła pani ciężką próbę. Proszę się oszczędzać i nic nie mówić. Czy podać coś do

picia?

Marie skinęła powoli głową, więc Elise przyniosła wodę w czerpaku z wydrążonej

dyni, uniosła głowę madame Doucet i przytknęła naczynie do jej ust.

- Jesteś dla mnie taka dobra -  
powiedziała madame Doucet.

Elise zaczerpnęła gwałtownie powietrza.

- Ja ... to nieprawda. Zostawiłam panią u Natchezów i bardzo tego żałuję, naprawdę.

Madame Doucet uśmiechnęła się lekko.

- To nie była twoja wina. Bałam się.

- Bała się pani?

- Bałam się dalej żyć.

- No cóż, ale żyje pani. Proszę spróbować zasnąć.

Elise ujęła chudą, poznaczoną żyłami dłoń Marie. Chora odpowiedziała słabym

uściskiem.

- Widziałam dzisiaj śmierć.

Czyżby traciła kontakt z rzeczywistością, jak w Głównej Wiosce? Elise milczała

w

nadziei, że starsza dama zaśnie, ale ona uniosła powieki i spojrzała przytomnie.

- Bałam się Natchezów i bólu, ale nie śmierci. Śmierć wydawała mi się czymś wspaniałym i dobrym. I była tak blisko, tak blisko. Kiedy zobaczyłam Reynauda, poprosiłam

go, aby mnie zabił, ale nie zrobił tego.

Łzy. Tyle już ich przelała, a mimo to popłynęły znowu, ogrzewając wilgotnym ciepłem policzki Elise.

- Moja kochana, nie płacz. Nie jest tak źle. Reynaud powiedział, że muszę czekać,

więc czekam.

Mniej więcej w godzinę później, kiedy zaczęły pisać koguty, a niebo rozjaśnił brzask,

Elise poczuła, że uścisk palców madame Doucet słabnie i zorientowała się, że starsza dama

właśnie wydała ostatnie tchnienie.

## **ROZDZIAŁ XIX**

Elise zamieszkała u przyjaciółki, w jej dwuizbowym domu stojącym na zewnątrz

umocnień. Claudette i jej mąż sypiali w odległym kącie frontowej izby, na łożu z



okorowanych młodych drzewek, a ich dzieci w drugim kącie, stłoczone niczym szczenięta.

Elise dostała do dyspozycji mniejsze pomieszczenie, zastawione towarami, którymi

handlował mąż Claudette ' - stosami futer, materiałów i kołder, pudłami noży, naczyń i

paciorków. Większość mężczyzn w okolicy w zimie trudniła się handlem, a w lecie uprawiała

ziemię.

Mijały dni wypełnione gotowaniem,

sprzątaniem, opieką nad dziećmi i ciężarną

Claudette. Nadeszło lato i Elise czasami pomagała Julesowi w polu, usuwając chwasty i

szkodniki. Była ciągle zajęta i bardzo jej to odpowiadało. Praca pomagała oderwać się od

smutnych myśli i zapewniała zdrowy sen nocą.

Bywały jednak chwile, gdy dręczyła ją zazdrość, zwłaszcza kiedy przyglądała się, jak

coraz bardziej brzemienna Claudette,

kochana, bezpieczna i pożądana, krząta się wokół

swojej rodziny. Jej indiańska idylla z Reynaudem nie wyda owocu - Elise nie była w ciąży. I

choć powinno jej to sprawić ulgę, tylko spotęgowało smutek i gorycz. Skoro nie mogła mieć

Reynauda, pragnęła przynajmniej jego dziecka. Tymczasem nawiedzały ją wspomnienia,

które sprawiały, że leżała w nocy sztywno, z zaciśniętymi zębami i zwiniętymi w pięści

dłóćmi, niecierpliwie wyczekując świtu.

Reynauda zmuszono, aby dokonał wyboru. I po co? Nie uratował w ten sposób ani

madame Doucet, ani Natchezów. On zresztą od początku wiedział, że na nic się to nie zda.

Mimo to odszedł. Zniknął, pochłonał go las. Wyrzekł się jej, 'zmuszając, aby wytrwała przy

wyborze, którego, jak sądził, dokonała, odchodząc z indiańskiego fortu. Elise była

przekonana, że wcale nie chciał jej

opuszczać, tak jak ona nie pragnęła, by odszedł.

Właściwie mogłaby przysiąc, że tak było.

Żałowała, że nie mieli więcej czasu na miłość i śmiech i że nie uświadomiła mu,

słowem i uczynkiem, jak bardzo go kocha. Pragnęła, by powróciły noce na szlaku, by mogła

jeszcze raz przytulić się do kochanka.

Dobry Boże, jakże nienawidziła samotnych nocy! Czuła się taka mała, nic nie

znacząca, schwytana przez coś, nad  
czym nie panowała. Wszyscy byli  
ludźmi, czyż nie? Co

znaczyły te drobne różnice? Dlaczego  
nie mogli żyć razem bez strachu, bólu i  
śmierci? Była

Francuzką, a jednak niewidzialne więzy  
połączyły ją z mieszańcem Reynaudem -  
Jastrzębiem

Nocy - Tatuowanym Wężem. Te więzy  
zacieśniały się, dusząc ją niemal tak,  
jakby Reynaud

umarł, a ona musiała podążyć za nim na  
tamten świat. Od szarpiącej duszę  
tęsknoty bolało ją

serce.

Po jakimś czasie do fortu dotarły wieści o ekspedycji karnej. Francuzi byli

zaskokowani, kiedy rankiem zbliżyli się do fortu i odkryli, że został opuszczony, a plemię

zniknęło. Loubois i jego ludzi oskarżano o niekompetencję, a nawet o zмовę z Indianami.

Natchezowie nie tylko sami zniknęli, ale zabrali z sobą cały dobytek, od najmniejszego

garnka po łupy zrabowane podczas masakry. W forcie zostały tylko

bezużyteczne działa i

parę pocisków. Indianie musieli obracać  
'kilka razy, by wszystko wynieść.

Wydawało się

niemożliwe, by żołnierze i Czoktawowie  
niczego nie usłyszeli. Powtarzana  
szeptem plotka

głosiła, że część złota skradzionego  
kolonistom zmieniła właściciela i  
dlatego pilnujący

Indian wartownicy pozostali ślepi i głusi  
na to, co działo się tamtej nocy pod ich  
bokiem.

Co do francuskich kobiet i dzieci, to



rzeczywiście zostały one zakładnikami

Czoktawów. Loubois z początku odmówił zapłacenia okupu, jednak kiedy położenie kobiet

znacznie się pogorszyło, rozpoczął negocjacje. Nie mając złota ani towarów, dał Czoktawom

do zrozumienia, że ich żądania zostaną zaspokojone, więc niech zapewnią więźniom więcej

swobody. A potem po cichu załadował kobiety i dzieci na statek, na którym on i jego

żołnierze przyплыnęli w górę Missisipi, i

odesłał je do Nowego Orleanu,  
pozostawiając w

rękach Czoktawów jedynie kilku  
Murzynów i jednego białego.

Kiedy Indianie odkryli nieobecność  
zakładników, sytuacja stała się  
niebezpieczna?

lecz w końcu zadowolili się obietnicą  
zapłaty i odstąpili. Francuscy żołnierze  
pod

dowództwem Loubois spalili  
umocnienia Natchezów i przystąpili do  
odbudowy fortu Rosalie

na wzgórzu nad rzeką.

Z tego samego źródła pochodziły również informacje o wydarzeniach

poprzedzających ostateczne uwolnienie kobiet z rąk Indian i nagle Elise, traktowana dotąd jak

parias, została uznana za bohaterkę, która wyprowadziła z niewoli uciemiężone niewiasty i

ich dzieci. Kobiety z fortu i okolicy zaczęły wpadać do niej z wizytą, pragnąc zaspokoić od

dawna powściąganą ciekawość. Pytały ją o życie pośród tych strasznych Natchezów i

wpatrywały się w nią, jakby oczekiwały, że to doświadczenie uczyniło ją kimś innym niż one.

Żadna nie odważyła się zapytać wprost, jak to jest być kochanką wytatuowanego wodza

wojennego, lecz to pytanie wisiało w powietrzu, gdy w ciepłe wieczory siedziały na ganku.

Wiosna przeszła w lato. Sierotami z fortu, których nikt nie wziął do siebie - a było ich

dwadzieścioro czworo - zaopiekowały się siostry urszulanki, przedstawicielki zakonu

powstałego przed dwoma zaledwie laty, ale już odgrywającego znaczącą rolę w życiu kolonii.

Mężczyznom i kobietom ocalałym z masakry przyznano ziemię pod Nowym Orleanem, ale

część z nich powróciła w pobliże Głównej Wioski, pomimo zdarzających się napaści ze

strony małych oddziałów Natchezów.

Elise także zastanawiała się, czy nie wrócić i nie zacząć wszystkiego od nowa na

własnej ziemi. Jednak majątek leżał

daleko od fortu i mogłoby się to okazać niebezpieczne, a

poza tym nie miała serca do tego przedsięwzięcia.

W czerwcu do fortu zawitał wędrowny kaznodzieja, śpieszący z religijną posługą do

Indian Kaddo. Ochrzcił Przepióreczkę i udzielił jej ślubu z Pierre'em Broussardem.

Uroczystość trwała krótko, świętowanie również. Kiedy było po wszystkim, nowożeńcy

objuczyli konie i wyruszyli na szlak.

Przepióreczka jechała dumnie na  
własnym wierzchowcu.

Był to honor nieczęsto spotykany wśród  
Indian Adaes i Kaddo, z którymi  
Broussardowie

mieli zamiar handlować. Jedynie kobiety  
Natchezów należące do kasty Słońca  
miały prawo

do własnego konia.

- Nie smuć się - pocieszała Elise  
Indianka - wkrótce znowu się  
zobaczymy. I

przyniesiemy ci tyle wieści o  
Tatuowanym Wężu, ile tylko zdołamy

zebrać.

I rzeczywiście, zrobili to, przywożąc nowiny, które, jak mawiali Indianie, „unosły się

z wiatrem”. Reynaud przyłączył się do swego brata, Wielkiego Słońca, i wraz z matką

założyli nowy obóz nad rzeką Black. Zaczęli budować fort na stromym brzegu i obsiali pola,

aby wyżywić swoich ludzi. Siedlisko znajdowało się po drugiej stronie Missisipi, za

mokradłami, nie dalej niż dwadzieścia



pięć kilometrów na południowy wschód  
od fortu w

kraju Natchitoches. Dla Elise ta  
odległość mogłaby równie dobrze  
wynosić tysiąc kilometrów.

Klęska w wojnie z Francuzami  
spowodowała rozpad plemienia. Część  
Natchezów

pozostała wierna Wielkiemu Słońcu i  
jego bratu, część odeszła ze Ścieżką  
Niedźwiedzia,

reszta przystała do sprzymierzonych  
plemion Yazoo i Quachita. Wojownicy  
pod

dowództwem Ścieżki Niedźwiedzia byli odpowiedzialni za większość napadów na świeżo

odbudowany fort Rosalie, a także za urządzenie zasadzek na francuskie patrole wojskowe i

kupców podróżujących rzekami. Podczas tych potyczek kilka osób poniosło śmierć.

Pewnego upalnego dnia w środku lipca Claudette urodziła szóste dziecko,

dziewczynkę. Elise została matką chrzestną małej i z oddaniem się nią zajmowała. Claudette

śmiała się dobrodusznie z jej fascynacji  
czerwoną na buzi istotką, która zbyt  
długo zwlekała z

przyjściem na świat, więc wędrowny  
ksiądz w końcu wyjechał, nie  
ochrzciwszy jej.

Kupiec podróżujący łodzią wiosłową w  
górze rzeki Red, leniwie toczącej swoje

błotniste wody przez znękany upałem  
kraj, przywiózł wiadomość, że do portu  
zawinął statek

z Francji „Somme”, z bratem  
gubernatora na pokładzie. Alexisowi  
Sieur le Perier de

Salvertowi król powierzył zadanie  
uśmierzenia indiańskiego powstania.

Energiczny

dżentelmen najpierw przez kilka tygodni  
odpoczywał po podróży, a potem  
rozpoczął

przygotowania do wysłania ekspedycji  
przeciwko Natchezom.

Krążyły też plotki, że Kompania  
Zachodnioindyjska, która dotąd odnosiła  
największe

sukcesy w kolonizowaniu Luizjany,  
gotowa była przyznać się do klęski,  
ponieważ, mimo

zagrożenia łupieżczymi napaściami Indian, koszty zorganizowania ekspedycji były tak

olbrzymie, że przewyższały ewentualne zyski ze spokojnego handlu. Wyglądało na to, iż

Francja, reprezentowana przez brata gubernatora, raz jeszcze będzie musiała wziąć sprawy w

swoje ręce.

Mijały tygodnie i miesiące. Elise cierpiała na brak apetytu i chudła coraz bardziej.

Stała się też nerwowa i niespokojna, co

wyrażało się w rozpaczliwej potrzebie,  
by bez

przerwy coś robić, czegoś doglądać, a  
wreszcie, by choć w najmniejszym  
stopniu wpływać na

bieg spraw. Kiedy nie opiekowała się  
swoją małą chrześniaczką, pomagała  
Julesowi

prowadzić interesy. Wdzięczny kupiec  
zrewanżował jej się kuponem materiału  
na suknię.

Elise jednak dała materiał Pierre'owi,  
aby wymienił go na indiańskie garnki i  
koszyki, a

potem je sprzedawała i za uzyskane pieniądze kupiła więcej towarów.

Wszystkie te zajęcia zajmowały co prawda czas, ale nie pomagały odpędzić przygnębienia i niepokoju. Co więcej, ponieważ kobiety zwykle nie zajmowały się handlem,

działalność Elise wzbudziła w ich małej społeczności, wstrząsanej nieustannym kłótniami i

zawiściami, falę krytyki. Społeczność ta była tak niewielka, że to, co zrobiła lub powiedziała

jedna osoba, natychmiast przedostawało

się do publicznej wiadomości, budząc zainteresowanie i często potępienie.

Samotna kobieta ,musiała pogodzić się z tym, że jest bacznie obserwowana, stanowi

obiekt nieustannych dyskusji oraz manipulacji. Panowało powszechne przekonanie, że Elise,

zamiast zajmować się handlem, powinna poszukać sobie męża albo kochanka.

Pewnego razu do domu Claudette zawitał Pascal. Zapędził Elise w kątek,



sugerując, że powinna być bardzo szczęśliwa, ponieważ przyszedł zaprosić ją na spacer nad

rzekę. Mogliby wziąć z sobą butelkę wina, trochę chleba i sera, a także koc. Minęło trochę

czasu, od kiedy ostatni raz obdarzono ją względami, których zapewne potrzebuje, a i on także.

Posunął się do tego, że próbował dotknąć jej piersi. Elise uderzyła go na odlew w twarz, a

potem wypędziła, nie szczędząc mocnych słów. Claudette, która bezwstydnie podsłuchiwała

ich rozmowę, wyszła na ganek, by obserwować rejteradę kupca, i głośnymi okrzykami

przerywanymi wybuchami śmiechu zagrzewała Elise do odpierania mało wyrafinowanych

zalotów Pascala. Zdając sobie sprawę, że jutro wszyscy będą wiedzieć, iż został tak

bezwzględnie odprawiony, obawiając się ośmieszenia, Pascal spakował manatki i słuch o nim

zaginał.

Nie był on jedynym mężczyzną, którego

umizgi Elise musiała odrzucać.

Zalotnicy z

każdym dniem stawali się śmielsi i nie mogli zrozumieć, dlaczego Elise nie podskakuje z

radości, gdy jej się oświadczają.

Próbowała tłumaczyć, że już ma męża, ale oni traktowali

indiański obrządek mało poważnie, podobnie jak swoje związki z Indiankami i murzyńskimi

niewolnicami.

Znękana nieustannym podglądaniem jej życia i natręctwem mężczyzn, poprosiła

Przepióreczkę i Pierre' a, aby zawieźli ją do posiadłości Reynauda. Miała zamiar spędzić kilka

tygodni z Madeleine. Liczyła na to, że kuzynka Reynauda ma jakieś pocieszające wieści o

nim. Chciała też pobycć przez jakiś czas w domu, w którym odkryła szczęście i gdzie czułaby

bliskość ukochanego, a śpiąc w łóżku, które z nim dzieliła, śnić o nim i marzyć.

Madeleine nie zmieniła się. Nadal była chuda i małomówna. Przywitała się z Elise,

poczęstowała ją czekoladą i ciasteczkami, a potem zaprowadziła do przeznaczonego dla niej

pokoju. Nie rozmawiały o Reynaudzie aż do drugiego dnia po wyjeździe Przepióreczki i

Pierre'a.

Siedziały właśnie na werandzie, ciesząc się wieczornym chłodem i obserwując, jak

słońce powoli znika za ciemną linią drzew. Wachlowały się palmowymi liśćmi, odpędzając

moskity. Na stoliku stał dzbanek z

miętową herbatą, doskonałą na  
trawienie, w powietrzu

unosił się zapach pieczonego chleba i  
wieprzowiny. Aromat ten nie zagłuszał  
jednak

dobiegającej od strony lasu delikatnej  
woni małych biało - brązowych  
kwiatków, zwanych

indiańskimi fajkami.

Był wrzesień i wieczorami odczuwało  
się chłód. U niosły głowy na dźwięk  
łopotu

skrzydeł i zobaczyły przelatujące nad  
nimi stado gołębi. Dźwięk przybierał na

sile i po chwili

chmara ptaków przesłoniła niebo.

- Wkrótce nadejdzie jesień - zauważyła Madeleine.

- Tak. To już prawie rok. - Nie musiała wyjaśniać, że ma na myśli masakrę.

- Nie wspomniałam jeszcze, jak bardzo współczułam ci z powodu tego, co musiałaś

przeżyć podczas oblężenia. To nie był łatwy czas.

Elise uśmiechnęła się nieznacznie.

~ Oczywiście, że nie był, mimo to nie zmieniałabym niczego.

Madeleine skinęła głową. Po chwili powiedziała:

- Jesteś teraz inną kobietą niż wtedy, kiedy przyjechałaś tu po raz pierwszy.

- Jeżeli nawet tak jest, to dlatego, że Reynaud ... och, Madeleine, tak bardzo się o

niego boję!

- Podobnie jak ja. Chociaż to bezcelowe, ponieważ on i tak zrobi to, co uzna za



słuszne. A jednak ...

- Tak.

Elise milczała, czekając, aż kuzynka dokończy myśl.

A kiedy to nie nastąpiło, powiedziała:

- Martwię się o panią. Jeśli Reynaud zostanie schwytany i uznają go za zdrajcę, jego

majątek zostanie skonfiskowany.

- Masz na myśli ten dom i otaczające go grunty? Nie, nic takiego mu nie grozi, choć

miło, że o tym pomyślałaś. Posiadłość została przepisana na mnie już kilka lat temu. Reynaud

obawiał się, że przepisy dotyczące stanu posiadania mieszkańców mogą zostać zmienione, a

prawa własności kobiety niezamężnej, i do tego rodowitej Francuzki, nikt nie zakwestionuje.

Oczywiście, to rodzaj umowy pomiędzy mną a Reynaudem. W końcu to jego dziedzictwo, ja

tylko się nim opiekuję.

- Jego dziedzictwo? Sądziłam, że to dar

od ojca.

- Raczej spadek.

- Ale jako nieślubny syn nie miał chyba prawa dziedziczyć?

- A kto ci powiedział, że Reynaud jest nieślubnym synem? - zapytała Madeleine,

szttywniejąc z oburzenia.

- N o cóż, założyłam, że skoro jest synem Tatuowanego Ramienia ...

- Założyłaś, że jego rodzice zawarli jedynie ślub według indiańskiego obrządku?

Zapewniam cię, że Tatuowane Ramię została ochrzczona i ślub zawarła z wielką pompą• U

dzielił go ksiądz, który należycie odnotował wszystko w rejestrach. Ta kobieta Natchezów

była pierwszą i jedyną legalną żoną mego wuja.

- A zatem, ta dama we Francji ...

- To przykre, ale była jedynie konkubiną, choć we Francji uważają ją za wdowę po

nim.

Elise przez dłuższą chwilę wpatrywała się w kobietę.

- Proszę mi wybaczyć, nie miałam zamiaru być wścibska.

- Nic nie szkodzi, choć dziwię się, że Reynaud nic ci nie powiedział.

- Raz nawet poruszyliśmy ten temat, ale ... chyba nie chciał wtedy w to wnikać”  
a

potem nie nadarzyła się już sposobność.

A zatem celowo pozwolił jej myśleć o sobie jak najgorzej. Dlaczego? Czy sądził, że

Elise wykorzysta to, co jej powie,  
przeciwko niemu? A może miał na  
względzie dobro

Madeleine, a także swoich przyrodnicich  
braci i sióstr we Francji?

- Jeżeli zastanawiasz się nad tym, komu  
przypadłby tytuł - powiedziała  
Madeleine - to

sądzę, że Reynaudowi lub jego bratu,  
temu, którego zwą Wielkim Słońcem. Co  
prawda

wątpię, by Tatuowane Ramię była w  
stanie określić, który z nich przyszedł na  
świat pierwszy.

Jednak Reynaud zrzekł się tytułu. Tutaj na nic by mu się on nie przydał, podobnie jak jego

bratu. Reynaud nie dba też o majątek we Francji ani o pozycję na dworze. Wielkie Słońce ma

nad swymi poddanymi większą władzę niż we Francji król Ludwik. Po co mu posiadłości i

tytuły? Wszystko, czego zażądał w ramach podziału majątku, to srebrny muszkiet i krzesło

tronowe. Reynaud przywiózł mu te rzeczy, kiedy powrócił objąć posiadłość stanowiącą jego

spuściznę.

- A pani przyjechała wraz z nim.

Madeleine potraktowała tę uwagę jako pytanie o motywy, które kierowały nią, kiedy

podejmowała tak drastyczną decyzję.

- Byłam zmęczona tym, że traktowano mnie jak ubogą krewną, żyjącą na uboczu

spraw, zmuszoną okazywać wdzięczność fałszywej hrabinie, mimo iż doskonale wiedziałam,

że nie ma ona prawa do tytułu, który



nosi. Nie jestem frywolna, ale nie  
czułam też powołania

do życia w służbie Bogu i nie zostałam  
zakonnica. Życie z Reynaudem tutaj, w  
Nowym

Świecie, bynajmniej mnie nie  
rozczarowało. Odkryłam w sobie pociąg  
do przygód.

- Nie czuje się pani samotna?

- Nigdy. Zawsze kręcą się tu jacyś  
ludzie: kupcy, wartownicy, podróżni,  
którzy

zatrzymują się u nas w drodze do fortu  
Saint Jean Baptiste czy Prairie des

Canots nad rzeką

Quachita.

- ~ nie miała pani kłopotów podczas zamieszek?

- Żadnych, o których warto wspominać. Och, pojawiło się tu kilku maruderów, ale

szybko sobie z nimi poradziliśmy.

Wszyscy wiedzą, że ten dom pozostaje pod opieką

indiańskich przyjaciół Reynauda, a poza tym to solidna budowla. Wystarczy zamknąć

okiennice i dom zmienia się w istną twierdzę.

- Reynaud jest chyba bardzo zadowolony, że pani tu wszystkiego pilnuje.

- Co innego mogłabym robić? To całe moje życie.

- Czy nigdy nie myślała pani o małżeństwie?

- W tym wieku? A kto by mnie chciał? - zaśmiała się.

- Niejeden - powiedziała Elise z przekonaniem.

- Ale ja nie chcę. Jestem zbyt niezależna, przywykłam stanowić o swoim losie i nie

potrafię podporządkować się żadnemu mężczyźnie. Poza tym byłam świadkiem, jak mój wuj

ujawnił kobiecie, która dotąd uważała się za jego żonę i hrabinę, że nie jest ani jednym, ani

drugim. Nie powiedział jej, że ma syna mieszańca. Po prostu przedstawił jej Reynauda. To

dopiero był szok! Gdybym była młodsza, być może zdołałabym zaufać mężczyźnie na tyle,

aby powierzyć mu swoje życie, ale nie teraz.

- Jednak ufa pani Reynaudowi.

- Jest w połowie Natchezem, a to oznacza, że różni się od białych mężczyzn tym, że

przestrzega nieskomplikowanych zasad honoru ludu swej matki.

Elise wachlowała się w zamyśleniu.

- To dziwne - powiedziała - że mężczyzna, który próbował utrzymać w sekrecie swoje

poprzednie małżeństwo, zdecydował się

wprowadzić do domu syna z tego związku.

- Kiedy jego ojciec żenił się po raz drugi, Reynaud podróżował ze swym guwernerem

po Włoszech i Turcji i nikt nie wiedział o istnieniu dziedzica. Dopiero gdy wuj chciał się

zemścić na żonie za to, iż miała romans z dworakiem, powiedział jej i najbliższej rodzinie o

swoim poprzednim związku.

- Straszny człowiek.

- Raczej zawiedziony. W 1698 roku przybył do Luizjany z d'Iberville'em i przez trzy

lata badał tutejsze lasy, udając trapera. Był szczęśliwy wśród Natchezów, ale obowiązki

wzywały go do ojczyzny. Wydawało mu się, że gdy wróci do cywilizowanej Francji i

znajdzie się daleko od Luizjany, zapomni o swoim małżeństwie z piękną dzikuską. Popełnił

błąd, który Reynaud postanowił naprawić.

Elise uświadomiła to sobie następnego dnia, kiedy spacerowała po lesie, kierując się w

stronę rozlewiska. Był dobrym i szlachetnym człowiekiem i za to go kochała. Ciekawe, czy

przed rokiem, tego dnia, kiedy zmusił ją, aby dzieliła z nim łóżę, kierował się wyłącznie jej

dobrem, odkrywając przed nią świat zmysłowych doznań. Elise woląa wierzyć, że pragnął jej

szczerze i zrobił wszystko, co w jego mocy, aby ją zdobyć, bo za to też go kochała.



Gdzie był i co robił? Czy o niej myślał?  
Tęsknił za nią tak jak ona za nim? Czy

wspominał ten dzień, kiedy pierwszy raz  
kochali się pod drzewem na łożu z liści?  
Czy

pragnął przeżyć to jeszcze raz? Czy  
zastanawiał się, jak mogłoby wyglądać  
jego życie, gdyby

pozostał w domu i nie został wodzem  
Natchezów? I czy to by cokolwiek  
zmieniło? .

On jednak został wodzem i uratował lud  
swej matki, przynajmniej na jakiś czas.

Wybrał Natchezów, ale zdecydował, że

Elise będzie się lepiej czuła wśród Francuzów.

A jeśli Perier odnajdzie nową siedzibę Natchezów? Czy powtórzy się historia z

Fortem de Valeur? Czy Reynaud spędzi resztę życia, kryjąc się w lasach i uciekając przed

zemstą, na którą nie zasłużył? A jeśli nowy królewski namiestnik wytropi go niczym zwierzę

i zamorduje wraz z jego współbraćmi?

Elise padła na kolana i wzięła w drżącą dłoń kruchy, zbrązowiały liść klonu, pozostały

z zeszłego roku. Był tutaj, kiedy ona i Reynaud leżeli nadzy, zatopieni w zmysłowych

rozkoszach. Pochyliła głowę, a łzy spływające po policzkach spadły na suchy liść, który

zadrżał w jej dłoni od delikatnego uderzenia. Roztarła go w palcach i pozwoliła szczątkom

opaść na ziemię.

Mniej więcej w miesiąc po powrocie do domu Claudette Elise dowiedziała się, że

Alexis Perier wraz z pięciuset

pięćdziesięcioma ludźmi, podzielonymi na trzy bataliony,

którym towarzyszyło ponad półtorej setki wojowników ze sprzymierzonych plemion, dotarł

do ujścia rzeki Black. Boże Narodzenie minęło bez żadnych nowin i dopiero w końcu

stycznia dotarły do nich wieści, że zlokalizowano wroga i przystąpiono do oblężenia.

Potem długo nie sposób było niczego się dowiedzieć, choć Elise przepytowała

każdego kupca i traperę, który zapuścił

się w okolicy fortu Saint Jean Baptiste.  
W końcu

natknęła się na mężczyznę, który brał udział w walkach. Powiedział jej, że Francuzi przez

dwa dni ostrzeliwali fort z dział, nie wyrządzając większych szkód, jednak trzeciego dnia

jeden z pocisków upadł w centrum fortu, gdzie przebywały kobiety i dzieci. Wiele z nich

zginęło albo zostało rannych, ponieważ z fortu dochodziły okropne krzyki. Nim zapadł

zmierzch, zza umocnień wyłonił się wojownik z fajką pokoju.

Perier odmówił pertraktacji z wojownikiem, żądając, aby sam Wielkie Słońce wyszedł

do niego z fortu, grożąc, że jeśli wódz odmówi, żołnierze wyrzną w pień wszystkich jego

mieszkańców, z kobietami i dziećmi włącznie. Wielkie Słońce, w towarzystwie St. Cosme i

Ścieżki Niedźwiedzia, stawiał się przed obliczem generała. Za murami pozostał dowodzący

obroną wódz wojenny. Rozmawiali w  
siąpiącym deszczu, a kiedy kapuśniaczek  
przeszedł w

ulewę, Perier zasugerował, aby  
schronili się w chacie zbudowanej dla  
francuskich oficerów.

Mając jako zakładników Wielkie Słońce  
i towarzyszące mu osoby, Perier  
zażądał, aby

poddano fort. Zanim otrzymał  
odpowiedź, zapadła noc. W ciemności  
Ścieżce Niedźwiedzia

udało się zbiec. O świcie z fortu wyszła  
pierwsza żona Wielkiego Słońca, która  
postanowiła

dzielić los męża, a także jej rodzina.  
Francuzi posłużyli się nimi i zagrozili,  
że jeśli dowódca

się nie podda, spalą żywcem wszystkich  
Natchezów, którzy znaleźli się w ich  
rękach.

Reynaud nie miał wyjścia i opuścił fort,  
a wraz z nim kobiety, dzieci i najstarsi,  
najśłabsi

wojownicy. Około siedemdziesięciu  
najsilniej szych mężczyzn pozostało za  
murami na

wypadek, gdyby Francuzi złamali  
obietnicę zachowania jeńców przy  
życiu. Ocaleli



wojownicy staliby się wtedy prawdziwym szwadronem śmierci, który pomściłby zabitych.

Dwa dni później, kiedy Francuzi powitali Natchezów jak braci i nakarmili ich,

siedemdziesięciu wojowników wymknęło się z fortu i zniknęło w mroku nocy. Ogółem do

niewoli dostało się ponad czterystu Natchezów.

- Nie wiem, co zamierza zrobić z nimi naczelny dowódca - powiedział żołnierz. - N a

razie wysłał ich do Nowego Orleanu.  
Krążą plotki, że generał wraz ze swym  
bratem

gubernatorem chcą sprzedać jeńców  
jako niewolników na Santo [Domingo\\*](#), a  
pieniądze oddać

kompanii. Spodziewają się, że w ten  
sposób na zawsze pozbędą się  
przywódców i odbiorą

nadzieję tym, którzy jeszcze ukrywają  
się w lasach. Bez wojowników z kasty  
Słońca

Natchezowie szybko upodobnią się do  
innych plemion.

Z powodu wyjątkowo nieprzyjemnej pogody Pierre i Przepióreczka nie wyruszyli na

szlak. Zamieszkali w chacie Pierre'a, zbudowanej niedaleko fortu, na brzegu rzeki. W

niepełną godzinę po wysłuchaniu opowieści żołnierza Elise stuknęła już do ich drzwi. Kiedy

Pierre jej otworzył, nie marnowała czasu na powitania.

- Muszę się dostać do Nowego Orleanu  
- powiedziała, chwytając przyjaciela za ramię.

- Zawieziecie mnie?

Wyjechali następnego ranka. Rzeki Red i Missisipi wezbrały po ostatnich deszczach i

nurt w krętym korycie przyśpieszył biegu. Niskie szare chmury zapowiadały kolejne deszcze,

a lodowaty wiatr przenikał do szpiku kości.

Pierre wynajął wojownika Natchitoches do wiosłowania, mimo to Elise i

Przepióreczka także chwyciły za wiosła, głównie po to, aby choć trochę się rozgrzać.

W Nowym Orleanie niewiele  
świadczyło o tym, że problem z  
Indianami został

wreszcie rozwiązany. Elise sądziła, że  
będzie zmuszona znosić radość  
mieszkańców miasta i

wysłuchiwać obelg pod adresem  
przeklętych dzikusów, a zwłaszcza ich  
zdradzieckiego

wodza wojennego, który wywołał  
ciągnącą się miesiącami wojnę.  
Tymczasem nic takiego nie

nastąpiło. Życie w mieście zdawało się  
toczyć zwykłym trybem. W niedawno  
zbudowanym

porcie rozładowywano barki. Przy placu d'Armes Indianie sprzedawali plecione koszyki i

ozdoby. Mlekiem, masłem, serem i warzywami handlowali Niemcy oraz Szwajcarzy, przybyli

z terenów leżących powyżej Nowego Orleanu, zwanych La Cote des Allemands. Mężczyźni i

kobiety krążyli w chodakach po błotnistych uliczkach, zajęci swoimi sprawami. Z pewnością

nie było po nich widać gniewu ani podniecenia.

Miasto zmieniło się, odkąd Elise  
widziała je po raz ostatni. Spodziewając  
się

kłopotów, gubernator kazał wznieść  
umocnienia, które połączyły cztery  
znajdujące się na

rogatkach forty: St. Jean, St. Charles, St.  
Louis i Bourgogne. Po wewnętrznej  
stronie murów

wykopano fosę. Przy placu d'Armes  
wzniesiono kościół z drewna i cegły,  
ozdobiony

\*\*Obecnie Haiti.

sztukaterią. Pewien marynarz

przeznaczył cały swój majątek na budowę szpitala, który

powstał za murami miasta. Ulice, szerokie i proste jak zawsze, zostały obramowane siecią

kanałów odprowadzających ścieki, tak iż każdy kwartał domów stał jakby na oddzielnej

wyspie. Kładki z ociosanych desek nad kanałami ściekowymi i chodniki pozwalały

przechodniom poruszać się po mieście suchą nogą. Ponieważ mostki wyglądem przypominały



ławy, nazywano je [banquettes\\*](#). Za kanałem odprowadzającym nadmiar wody w razie

powodzi stał gęsty, nieprzebyty - las. Z drzew zwieszały się szare festony mchu, zwanego

brodą kapucyna.

N owy Orlean liczył teraz około dwustu domów, w większości parterowych,

wzniesionych z bali i otynkowanych. Jedyne siedziba gubernatora i kilka innych domów, w

tym dom St. Amanta i Helene miały dobudowane piętro.

Gdy St. Amant otrzymał stanowisko w urzędzie gubernatora, postanowił zostać w

Nowym Orleanie i nie wracać do fortu Rosalie. Bardzo cieszył się z tej pracy, a dzięki

talentowi mediacyjnemu doskonale dogadywał się z ludźmi. Helene po cichu spodziewała się,

że kariera męża szybko nabierze rozpędu i być może doprowadzi go do urzędu gubernatora.

Elise udała się prosto do nich. Miała nadzieję, że zgodzą się gościć ją pod swoim

dachem, gdyż nie znała w Nowym Orleanie nikogo, u kogo mogłaby się zatrzymać. Słyszała

już o awansie St. Amanta i liczyła na to, że dowie się czegoś konkretnego o przyszłym losie

Natchezów, gdyż do tej pory musiała polegać wyłącznie na plotkach.

Nie pomyliła się w oczekiwaniach. Helene powitała ją jak dawno nie widzianą siostrę.

Natychmiast też zaoferowano nocleg nie tylko jej, lecz także Przepióreczce i jej mężowi.

Córka St. Amanta i Helene, Jeanne, miała już ponad rok. Gdy piastunka przyniosła dziecko,

zachwycali się, patrząc, jak raczkuje.

A potem, popijając czekoladę, zaczęli rozmawiać o Reynaudzie. Elise miała rację, że

nie zwlekała z przybyciem do Nowego Orleanu. Za trzy dni kobiety i dzieci Natchezów miały

zostać wystawione na aukcji. A kiedy tylko statek przybije do brzegu, wojownicy, nie

wyłączając Wielkiego Słońca i jego

brata, zostaną odesłani na Santo Domingo, gdzie będą

pracowali jako niewolnicy na polach trzciny cukrowej. Plotki nie kłamały.

- Ale Reynaud nie jest zwykłym Natchezem, to na pół Francuz! - wykrzyknęła Elise. -

Czy nic nie można zrobić?

- Musi być traktowany albo jako Natchez, albo jako Francuz. - St. Amant potrząsnął

głową. - W przeciwnym razie zostałby osądzony jako zdrajca i powieszony lub wleczony za

koniem i poćwiartowany. Lepiej zostawić sprawy własnemu biegowi.

\*\*Banquettes (fr.) - ławy.

- Nie mogę.

- Obawiam się, że nie masz wyboru - odparł miękko St. Amant.

- A nie mogłabym przynajmniej ... Czy jest jakiś sposób, bym mogła z nim

porozmawiać?

- Nie sędzę. Władze boją się, że Indianie mogliby zorganizować ucieczkę, więc nie

pozwalają nikomu zbliżyć się do nich. Natchezowie są w tym bardzo dobrzy, wiesz o tym.

- Więc może mogłabym do niego napisać, dać mu znać, że tu jestem?

- To nie byłoby rozsądne. Spojrzała na niego buntowniczo. - Nie dbam o rozsądek.

- Będziesz musiała tu żyć, kiedy on odjedzie - powiedziała Helene.

- Sądzisz, że ma to jakieś znaczenie?

- Reynaud właśnie tak by uważał - powiedział St. Amant. - Najlepsza okazja, by go

zobaczyć, to pójść na aukcję.

Wojownicy też tam będą. To element kary: mają przyglądać się,

jak ich żony, matki i dzieci będą sprzedawane. Być może Reynaud zauważy cię w tłumie.

Elise postarała się, by tak się stało. Stała na przedzie w sukni z żółtego, pasiastego

jedwabiu, którą miała na sobie, gdy pierwszy raz kochali się w lesie.

Madeleine przysłała ją

wraz z resztą garderoby, wybraną dla niej przez Reynauda. Z uniesioną wysoko głową



wpatrywała się w niego, gdy wraz z innymi wojownikami posuwał się powoli, z rękami i

nogami skutymi łańcuchem. Jego bracia, Wielkie Słońce i St. Cosme, szli za nim, a dalej,

według rangi, pozostali wojownicy.

Wygląda na zmęczonego, pomyślała. Wokół jego ust i na twarzy pojawiły się bruzdy,

których wcześniej nie było. Na szczęście zobaczyła świeżą bliznę, a na ramieniu oparzenie.

Skórzany płaszcz na nim był

poplamiony, a bryczesy ubrudzone  
błotem. Mimo to Reynaud

zachował jasne spojrzenie i dumną,  
wyprostowaną postawę. Na  
miedzianobrązowej, zastygłej

niczym maska twarzy nie widać było  
śladu przygnębienia ani strachu.

W pewnej chwili wzrok Reynauda  
błądzący ponad tłumem spoczął na  
twarzy Elise.

Jego szare oczy pojaśniały, a ich  
spojrzenie wyrażało głęboką tęsknotę.  
Uśmiechnął się na

widok sukni, którą miała na sobie.

Postąpił krok do przodu, jakby chciał podejść bliżej, lecz

powstrzymały go łańcuchy. Żołnierz z muszkietem powiedział coś i blask rozjaśniający rysy

Reynauda zniknął.

Elise zaczerpnęła głęboko powietrza, jej pierś uniosła się. Tak bardzo bała się, że

trudny wybór, jakiego Reynaud musiał dokonać, życie z dala od niej i klęska ludu jego matki

załamią go.

Wyprowadzono indiańskie kobiety i

dzieci. Szły z uniesionymi wysoko  
głowami.

Kupujący natychmiast otoczyli je kołem.  
Elise spostrzegła Tatuowane Ramię.  
Twarz matki

Reynauda płonęła gniewem. Jeden z  
kupujących wystąpił do przodu i uniósł  
dłonie, jakby

zamierzał otworzyć jej usta i obejrzeć  
zęby. Tatuowane Ramię obrzuciła go tak  
jadowitym

spojrzeniem, że zrejterował. W tłumie  
rozległ się śmiech. Paru kupujących  
odstąpiło, lecz

pozostali nadal okrażali kobiety,  
demonstracyjnie przytykając do nosów  
perfumowane

chusteczki. W kwaterach przydzielonych  
kobietom i dzieciom nie było urządzeń  
sanitarnych.

Odór nie mytych ciał z pewnością  
stanowił dla Natchezów jedną z  
najgorszych kar.

Ponížanie kobiet i dzieci było celowe,  
miało osłabić morale Indian i  
uświadomić im,

że teraz oni są jeńcami. Znęcanie się nad  
indiańskimi kobietami i dziećmi w  
rewanżu za

torturowanie białych jeńców przez Natchezów było niegodne ludzi, którzy uważali się za

cywilizowanych i nie powinni byli dopuścić do tego, aby kobiety i dzieci wystawiono na

widok publiczny.

Aukcja trwała. Składano oferty, pieniądze przechodziły z rąk do rąk. Kilka kobiet,

między innymi Tatuowane Ramię, będzie pracować na królewskich plantacjach, niektóre

trafią do prywatnych majątków

plantatorów. Znikały jedna po drugiej, a wraz z nimi ich

dzieci. Nie było żadnych krzyków, błagań, tylko łzy' spływające po miedzianych twarzach i

spojrzenia rzucane ukradkiem w kierunku wojowników, którzy stali murem, nie okazując

rozpaczy, tylko stali i patrzyli.

Elise uświadomiła sobie, że rozpad plemienia Natchezów nie nastąpił nad rzeką Black,

lecz właśnie dokonywał się przed jej oczami, kiedy mężczyźni i kobiety, ojców

i dzieci

rozdzielano, by nigdy więcej się nie spotkali.

Mieli w sobie tyle godności, tyle dumy. Tak, potrafili zabijać i zabijali, lecz także

ginęli. Gdy po raz pierwszy zetknęli się z białymi ludźmi, było ich ponad siedem tysięcy. W

kilka lat później, kiedy biali zaczęli przybywać gromadnie, plemię, zdziesiątkowane

chorobami przywleczonymi przez pierwszych osadników, liczyło już



zaledwie pięć tysięcy

głów, a wkrótce niespełna dwa tysiące.  
Ilu przetrwało do dziś? Może kilkuset.  
Wkrótce słowo

Natchez stanie się pustym dźwiękiem.  
Nikt nie będzie pamiętał, jak śmiali się i  
tańczyli, jak

kochali się w świetle księżyca i  
śpiewali pieśni o kukurydzy, jeleniach i  
indykach ...

Kto pozna słodycz namiętności płynącej  
w ich żyłach, uniesienie, jakiego  
doznawali,

świadcząc posługi tym, których uważali

za wywodzących się od Słońca, ich  
radość życia?

Aukcja została zakończona i tłum powoli  
zaczął się rozpraszać. Już nigdy nie  
zobaczy

Reynauda, nie dotknie go, nie poczuje  
ciepła jego ciała. Miała ochotę  
wykrzyknąć głośno

swój gniew i rozpacz, wrzeszczeć co siłą  
w proteście przeciwko  
niesprawiedliwości - zrobić

cokolwiek, byle ten szarpiący jej serce  
rozdzierający ból choć na chwilę zelżał.  
Nie była w

stanie mówić ani się poruszać. Łzy tak bardzo dławili ją w gardle, że ledwie mogła oddychać.

- Elise - powiedziała Przepióreczka, potrząsając ją za ramię. - Elise, nie patrz tak.

Zaczerpnęła gwałtownie tchu i wreszcie łzy popłynęły jej po policzkach.

Pierre zasłonił ją sobą przed wzrokiem ciekawskich.

- Och, przestań, Elise. Reynaud nie chciałby, żebyś płakała.

- Nie mogę się powstrzymać.

- Nie obawiaj się, nie będą go torturować - pocieszała Przepióreczka. -  
Pierre

powiedział, że nie postępują tak z jeńcami schwytanymi podczas wojny.

- Gdybym tylko mogła coś zrobić!

- Jesteś wdową. Nie możesz o niego poprosić?

Elise uśmiechnęła się do Indianki, ocierając dłonią policzki.

- Francuzi tego nie praktykują.

- Co szkodzi spróbować.

Elise znieruchomiła, uderzona tą myślą.  
Poczuła budzącą się w niej nadzieję.

Nie

odezwała się, ponieważ St. Amant i  
Helene, zajęci dotąd rozmową z  
przyjaciółmi, właśnie

szli w ich stronę.

## **ROZDZIAŁ XX**

Musiała poczekać do rana, ale długie  
nocne godziny wykorzystała na  
dopracowanie

planu, który powoli krystalizował się w  
jej umyśle. Leżąc w ciemności,  
dostrzegła wiele

przeszkód, które będzie musiała pokonać, lecz nic nie mogło jej zniechęcić. To, co zamierzała

zrobić, było lepsze od bezczylnego oczekiwania na rozwój wypadków.

Kiedy nadszedł ranek, wstała i odszukała Helene na ganku z tyłu domu. Dzień był

ciepły i przyjaciółka jadła śniadanie na świeżym powietrzu, osłonięta zieloną ścianą róż

przywiezionych aż z Francji. Pięły się wysoko, sięgając piętra domu. Obok drzwi

wejściowych rosły w okrągłych  
glinianych donicach wiecznie zielone  
karłowate palmy.

Helene trzymała na kolanach córkę i  
karmiła ją chlebem maczanym w mleku i  
jajku, a

następnie obsmażonym. Kolejne porcje  
pain perdu, zbywającego chleba - nie  
wykorzystane

czerstwe pieczywo - leżały na talerzu  
pośrodku stołu. Tuż obok widać było  
dzbanek z

czekoladą. Elise pozdrowiła  
gospodynię, przystanąła na chwilę, aby  
pobawić się z małą

Jeanne, a potem poczęstowała się grzanką. Gdy zjadła, przedstawiła Helene swój plan.

- Zdaję sobie sprawę, że nadużywam twojej gościnności, Helene, ale czy byłabyś tak

miła i wysłuchała mnie. Zrobisz to dla mnie?

- Jak możesz tak mówić! Gdyby nie ty, pewnie już bym nie żyła i moja Jeanne także! -

wykrzyknęła Helene, a jej spojrzenie wyrażało gorącą wdzięczność. - Co więcej, ocaliłaś



mnie przed morderczą harówką u Rudej Łani, dałaś mi schronienie i dzieliłaś się ze mną

strawą. Mów, jak mogę ci pomóc.

- Jesteś dla mnie za dobra.

- Bzdura. No mów!

- Trudno to wytłumaczyć. Może wydam ci się próżna, ale widzisz, uważam, że ludzie

w mieście powinni dowiedzieć się, że odegrałam pewną rolę w uwolnieniu kobiet i dzieci z

Fortu de Valeur.

- Pewną rolę! - zawołała Helene.

Jeanne głośnym krzykiem przypomniała jej o macierzyńskich obowiązkach i rumiany

kawałek chleba powędrował do małej buzi.

Kiedy dziecko uspokoił q się, Elise wyjaśniła:

- Nie chodzi o mnie. Prawdę mówiąc, aż boję się o tym mówić, żeby nie zapeszyć.

- Nie musisz mi niczego wyjaśniać, jeśli nie chcesz powiedziała Helene ugodowo. - A

co do twojej reputacji kobiety, która przyczyniła się do uwolnienia jeńców, to nic

łatwiejszego. Wszyscy wiedzą, że pomagałaś nam, kiedy byliśmy niewolnicami Natchezów.

Trzeba tylko tę informację upowszechnić.

- Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć. Ale jest jeszcze coś.

- Tak?

„Elise przez chwilę wpatrywała się w przyjaciółkę, a potem wyrzuciła z siebie:

- Chciałabym, by wszyscy dowiedzieli się, że zostałam niewolnicą mieszańca,

Reynauda Chavaliera, syna księcia de Combourg, pod przymusem.

Helene upuściła łyżeczkę na talerz, rozbryzgując mleko. - Ależ Elise, byłaś jego żoną!

- Nie muszą o tym wiedzieć, a poza tym można dać im do zrozumienia, że stało się tak

wbrew mojej woli.

- On był dla ciebie bardzo dobry, czuły i uważający przynajmniej wtedy, kiedy z wami

mieszkałam.

- Owszem - zgodziła się Elise.

- Jeżeli obawiasz się, że ludzie mogą wziąć ci za złe związek z nim, to pewnie masz

rację, ale nie spodziewałam się, że zechcesz tak go oczernić.

- I nie zrobiłabym tego, gdyby był jakiś inny sposób!

Oni uważają go za zdrajcę i pamiętają tylko to, że dowodził Indianami.  
Zapomnieli, że

wiele lat spędził we Francji, że w jego

żyłach płynie szlachetna krew. U czynił  
wiele dobrego

dla kontaktów między Francuzami a  
Indianami. Nikomu nie przejdzie przez  
myśl, że gdyby

nie zgodził się dowodzić Natchezami, ta  
wojna mogłaby ciągnąć się znacznie  
dłużej i

pochłonąć o wiele więcej ofiar.

- N o to dlaczego?

- Reynaud pójdzie do niewoli, a jego  
pan zrobi wszystko, żeby nie pożył zbyt  
długo.

Jeżeli mogę uchronić go przed takim losem, to czy ma znaczenie, w jaki sposób to zrobię?

- Uchronić go? - powtórzyła Helene, zdumiona.

- A przynajmniej spróbować to uczynić.

Helene posłała przyjaciółce niespodziewanie ostre spojrzenie.

- Jeśli myślisz o ucieczce, to ci się nie uda. Są dobrze strzeżeni. Nawet jeżeli udałoby

się zebrać dość mężczyzn i odbić Reynauda, to musisz zdawać sobie sprawę, że wraz z nim

uciekną wszyscy Natchezowie, a wtedy nikt z nas nie będzie bezpieczny.

- Przysięgam, że w grę nie wchodzi ucieczka.

Jeanne zaczęła znów płakać, więc Helene podniosła łyżeczkę i powróciła do karmienia

małej.

- Wyjaśnij mi, na czym polega twój plan  
- powiedziała z wahaniem.

Od rozmowy minęły dwa dni i Helene wydała małe przyjęcie. Elise, ubrana w jaskrawą suknię, promieniała radością i



dobrym humorem, a kiedy Helene  
zręcznie

skierowała rozmowę na Natchezów,  
wybuchnęła gniewem, rzucając pod  
adresem Indian

najgorsze oskarżenia.

W końcu głos zaczął jej drżeć, oczy  
wezbrały łzami i zakryła twarz  
chusteczką.

Helene udała, że wybuch Elise bardzo ją  
zaniepokoił, i dyskretnie wyjaśniła

zgromadzonym damom, że jej  
przyjaciółka nadal bardzo przeżywa to,  
co spotkało ją w

ostatnim czasie, choć stara się trzymać dzielnie, jak na prawdziwą bohaterkę przystało.

Wystarczyło wspomnieć o naturze tych przeżyć, by rozbudzić w damach niepohamowaną

ciekawość, którą Helene postarała się zaspokoić, nie szczędząc pikantnych szczegółów,

podkreślając przy tym zasługi Elise w uwolnieniu kobiet, które w większości były

przyjaciółkami albo krewnymi zgromadzonych pań.

Następnego ranka udały się po zakupy.  
Szepty, jakie towarzyszyły ich  
pojawieniu się,

świadczyły o tym, że taktyka Helene  
okazała się skuteczna.

Ludzie podchodzili do nich na ulicy i  
wszczynali rozmowę. Najpierw na temat

zwykłych, codziennych spraw, ale  
zawsze znajdowali okazję, by  
podziękować Elise za to, co

uczyniła dla ich kuzynki, siostry czy  
bratanicy. Na użytek rozmówców  
natarczywie

przyglądających się Elise jej twarz

przybierała wyraz tłumionego gniewu.  
Wystarczyło

przywoływać obraz Reynauda w  
kajdanach.

Za pieniądze uzyskane z handlu kupiła  
płaszcz z niebieskiego aksamitu z  
kapturem

oblamowanym jedwabiem w kolorze  
brzoskwiniowym. Wyglądała w nim  
oszałamiająco.

Elegancji dodawały ufarbowane na  
błękitno pióra czapli i modne buciki z  
niebieskiego

brokatu na wysokim obcasie. Pachniała

uwodzicielsko perfumami o orientalnym zapachu.

W kilka dni później nadarzyła się sposobność, by zaprezentować nowy strój podczas

wieczorku wydanego przez gubernatora. Było to galowe przyjęcie z okazji zwycięstwa. Długi

pokój w rezydencji oświetlały kryształowe żyrandole z mirtowymi świecami rozsiewającymi

ostry, korzenny zapach. Lustro w ramach ze złotych liści, zawieszzone ponad dwoma

kominkami z surowej cegły, w których  
płonął żywy ogień, odbijały światło  
świec. Ściany nad

boazerią przykrywały gobeliny, a pod  
nimi stały rzędami wypożyczone krzesła.  
Mężczyznom

podano poncz, mocny napitek  
sporządzony z pięciu rodzajów wódki, a  
damom - młode wino

z dzikich winogron oraz ratafię.

Nastrój gości oscylował od radości do  
ostrożnej ulgi.

Na wolności pozostało bowiem jeszcze  
sporo Natchezów, którzy mogą okazać

się

niebezpieczni, zwłaszcza kiedy  
dowiedzą się, jak haniebny los spotkał  
ich przywódców,

kobiety i dzieci. Z drugiej strony, walki  
na razie ustały, oni zaś byli  
zwycięzcami. Nic zatem

dziwnego, że oficerskie mundury  
mieszały się z wizytowymi strojami  
gości.

Elise ubrała się starannie w satynową  
suknię, pod którą założyła kremową,  
satynową

halkę, na nogach miała nowe buciki.

Czaple pióra opadały na upięte wysoko  
włosy, z

figlarnym loczkiem z boku głowy. Stała  
wraz z Helene i St. Amantem,  
przyglądając się

połyskującym w blasku świec  
aksamitom i jedwabiom, złotym  
koronkowym ozdobom pań i

srebrnym galonom panów. W kącie,  
obok klawikordu, dwóch skrzypków  
przygotowywało się

do występu. Elise czekała na pojawienie  
się gubernatora. Przyrzeczno jej, że  
zostanie mu



przedstawiona.

- O, jest - powiedział St. Amant.

Elise spodziewała się, że od razu poczuje niechęć do tego człowieka, jednak okazało

się to niemożliwe. Gubernator był mężczyzną raczej potężnej postury. Lata spędzone w

marynarce podczas wojny o sukcesję hiszpańską sprawiły, że trzymał się prosto. Jego ubiór

nie odbiegał od stroju pozostałych mężczyzn, a peruka nie była ani trochę bardziej obfita.

Uśmiechał się łagodnie. Plotki głosiły,  
że odznacza się niezdecydowaniem.

Szerokie usta

mężczyzny świadczyły o jego  
wielkoduszności i szczodrości.

Powiadano, że jest ostrożny i

rozważny, co musiało być prawdą,  
ponieważ udało mu się przetrwać na  
stanowisku i nie

utracić łask kompanii i jednocześnie  
dbać o interesy kolonistów. Wkrótce  
okaże się, czy

umysł ma otwarty, jak twierdzili  
niektórzy.

Właśnie zbliżał się do nich. St. Amant  
podał ramię Elise i oboje postąpili kilka  
kroków

do przodu. Elise złożyła dworski ukłon.  
Chciała się uśmiechnąć, lecz mięśnie  
twarzy nie

słuchały jej.

- Madame Laffont, jestem oczarowany -  
powiedział gubernator, unosząc jej dłoń  
do

ust. - Tyle o pani słyszałem, iż pozostaje  
mi tylko wyrazić wdzięczność w imieniu  
kompanii i

króla za to, co uczyniła pani dla naszych

krajanek.

- Jest pan bardzo uprzejmy - odparła Elise, ledwie powściągając triumfalną nutkę w

głosie.

- Ależ skąd! Nie będę teraz wspominał o tym, co musiała pani znosić razem z innymi

przedstawicielkami płci pięknej, ale zapewniam o swojej szczerzej sympatii.

Elise wybąkała pod nosem słowa podziękowania i gubernator ruszył dalej, ona zaś

odwróciła się do St. Amanta i z gorączkowo błyszczącymi oczami wyszeptała:

- U da się, wiem, że się uda.

- Obyś miała rację. Zwlekałem, żeby ci o tym powiedzieć, ponieważ nie chciałem cię

martwić przed spotkaniem z gubernatorem. Mam nowiny. Podobno do Balize u ujścia

Missisipi zawinął statek z zaopatrzeniem. Kieruje się teraz w górę rzeki i jutro zarzuci

kotwicę w naszym porcie. W drodze

powrotnej zawiezie pojmanych  
Natchezów na Santo

Domingo.

- A zatem będę musiała załatwić to jutro rano - powiedziała Elise stanowczo.

- Tak. Kiedy statek przybędzie, gubernator będzie zbyt zajęty, by cię uważnie

wysłuchać.

Elise wyprostowała ramiona i uśmiechnęła się do St. Amanta.

- Doskonale. Mam dosyć czekania.

Nazajutrz ubrała się starannie. Włożyła suknię podarowaną jej kiedyś przez Reynauda,

tę złotą w zielone pasy, z szerokimi rękawami zakończonymi pianą koronek i koronkowymi

riuszkami przy głęboko wyciętym dekolcie. Od Helene pożyczyła niezwykle śmiałe nakrycie

głowy z zielonego aksamitu, przypominające żołnierski trójgraniasty kapelusz, którego męski

charakter łagodziła złota brosza z boku i koronkowa kokarda. Kapelusz za bardzo rzucał się w

oczy i Helene nigdy go nie nosiła. Elise  
było w nim do twarzy. Przed wyjściem z  
domu

spojrzała jeszcze raz w lustro.  
Wyglądała na kobietę, która wie, czego  
chce i śmiało po to

sięga, nie tracąc przy tym kobiecości,  
widocznej w kokieteryjnym wyrazie  
oczu i

uróżowanych policzkach. To tylko strach  
i podniecenie sprawiają, że tak  
wyglądam,

powiedziała do siebie, szybko  
odwróciła się od lustra i szeleszcząc  
spódnicami, opuściła



pokój.

Kiedy dotarła na miejsce, wprowadzono ją do gabinetu z zachowaniem wszelkich

formalności. Gubernator siedział za wielkim czereśniowym biurkiem, pisząc coś szybko na

kartce kancelaryjnego papieru. Na kominku zarzyły się polana, napełniając powietrze

charakterystycznym zapachem. Podłoga z desek nie była przykryta dywanem, w oknach

wisiał jedynie portiery z cienkiego aksamitu.

- Chwileczkę - powiedział, nie podnosząc wzroku. Złożył pod dokumentem

zamaszysty podpis. Odłożył pióro, posypał papier piaskiem i strząsnął jego nadmiar. Dopiero

wtedy podniósł wzrok, aby przekonać się, kto przed nim stoi.

- Madame Laffont! - Wstał i okrążył biurko. - Proszę mi wybaczyć. Nie wiedziałem,

że to pani. Jestem zrozpaczony, że kazałem pani czekać.

- Proszę nie zawracać sobie tym głowy -

powiedziała z uśmiechem. Jego brak

uprzejmości z początku ją przeraził, ale po takim powitaniu już o tym nie pamiętała.

Ujął dłoń Elise i podprowadził ją do krzesła, odprawił adiutanta i zajął miejsce za

biurkiem.

- Jest pani bardzo wspaniałomyślna. Ufam, że czuje się pani dobrze po trudach

wczorajszego wieczoru.

Teraz przyszła jej kolej, aby

skomplementować przyjęcie, co też uczyniła. Przez kilka

minut rozmawiali o sprawach ogólnych, aż wreszcie zniecierpliwiona Elise nie potrafiła już

się powstrzymać, aby nie wspomnieć o celu swojej wizyty.

- Wasza wysokość, wiem, że ma pan mnóstwo pracy w związku ze spodziewanym

przybyciem statku z zaopatrzeniem, postaram się więc nie zająć panu zbyt wiele czasu.

Zapewniono mnie, że mógłby pan

wyświadczyć mi pewną przysługę,  
gdyby mój projekt

zyskał sobie pańską przychylność.

- Z radością uczynię wszystko, co w  
mojej mocy.

- To bardzo szlachetnie z pańskiej  
strony. Chodzi o moje ziemie w pobliżu  
fortu

Rosalie. Ponieważ nadal jest tam  
niespokojnie, uznałam, że nie byłoby  
mądrze wracać, ale nie

mam dokąd pójść.

- Obawiam się, że w podobnym

położeniu znajduje się wiele osób.

- Tak, rzeczywiście. Jednak z tego, co wiem, zaproponowano im tereny zastępcze i

właśnie w tej sprawie przyszedłem dziś do pana. - Spuściła skromnie oczy. - Zapewne wie pan,

ile wycierpiałam z rąk tego zdrajcy Reynauda Chavaliera?

Gubernator chrząknął.

- Owszem.

- Czy nie byłoby właściwe, abym otrzymała rekompensatę właśnie z rąk

tego

człowieka? Dowiedziałam się, że ma on posiadłość liczącą kilkaset morg, położoną w pobliżu

rozlewiska Duc du Maine. To dosyć daleko od terenów, na których toczyły się walki, więc

powinno tam być stosunkowo bezpiecznie. Gdyby to było w pańskiej mocy ... To znaczy,

chciałam zapytać, czy istnieje możliwość przeniesienia na mnie praw własności do tego

gruntu?

Gubernator odchylił się w krześle i złączył czubki palców.

- Pani prośba wydaje się całkiem rozsądna, madame Laffont. Jednakże z przykrością

muszę panią poinformować, że ta sprawa była już rozpatrywana przez moich urzędników.

Pod kątem ewentualnej konfiskaty, oczywiście. Posiadłość, o której mowa, nie jest własnością

Chavaliera, ale jego kuzynki.

Elise dobrze o tym wiedziała od Madeleine. Wiedziała także, iż udało jej



się osiągnąć

cel: głos gubernatora rozbrzmiewał  
szczerym współczuciem i żalem.

- Rozumiem. - Uczyniła bezradny gest  
dłonią, spoglądając na gubernatora z  
bezsilnym

gniewem w brązowobursztynowych  
oczach. - Czy nie ma sposobu, bym  
mogła zemścić się na

tym człowieku? Gdyby był dzikusem, to  
co innego, ale on jest w połowie  
Francuzem i dlatego

tak bardzo nienawidzę go za to, że mnie  
wykorzystał. Nie jestem w stanie tego

nawet

wyrazić! Chciałabym, aby choć przez godzinę był na mojej łasce!

- Oto gniew kobiety! - powiedział gubernator, uśmiechając się nieco obłudnie i

potrząsając głową. - Słusznie powiadają, że piekło nie może się z nim równać!

- To powiedzenie odnosi się chyba do kobiety, której odebrano mężczyznę, nie do tej,

która została wzięta siłą.

Perier poruszył się niespokojnie na krześle i zaczął przekładać papiery.

- No cóż, przykro mi, że muszę odmówić pani prośbie, ale załatwienie tej sprawy nie

leży w mojej mocy.

- Gdyby tylko było coś, co mogłabym mu zabrać, tak jak on odebrał mi szacunek dla

samej siebie i moją dumę. Musi pan zrozumieć, że byłam zmuszona związać się z nim, gdyż

bałam się o życie swoje i sąsiadów. Byłam jego niewolnicą. Sprawiłoby mi

wielką

przyjemność, gdybym mogła go  
zobaczyć w tym samym położeniu!

- Ależ madame, on przecież będzie  
niewolnikiem na Santo Domingo. Czy to  
pani nie

pociesza?

- Och, tak, choć gdyby to zależało ode  
mnie, byłby moim niewolnikiem, moim!

- Jej

słowa zabrzmiały tak szczerze, że  
zaczęła się zastanawiać, czy mężczyzna  
po drugiej stronie

biurka także to dostrzegł.

- Mówi to pani pod wpływem emocji.  
Zresztą to raczej niemożliwe.

- Ale właściwie dlaczego? -  
powiedziała powoli, tonem osoby, która  
właśnie wpadła

na intrygujący pomysł i zaczyna go  
rozważać. - Reynaud Chavalier nie jest  
dzikusiem. Ma

wiedzę rolniczą, którą mogłabym  
wykorzystać. A skoro powstanie upadło,  
jego brat Wielkie

Słońce wkrótce wyląduje w kolonii, a  
matka zostanie niewolnicą na

królewskiej plantacji'.

Bez swoich bliskich nie przedstawiałby sobą zbyt wielkiego zagrożenia.

- Był wodzem wojennym i mógłby znów skupić wokół siebie Natchezów.

- Teraz, kiedy poznał potęgę Francji?  
Wiedząc, jakie siły mogą zostać skierowane

przeciwko niemu i znając nieustraszony charakter tego, kto stoi na czele kolonii?  
Wątpię w

to. A poza tym już ja bym dopilnowała, by nie miał czasu na takie głupstwa. U mnie stanie się

najbardziej pokojowo nastawionym  
człowiekiem na świecie.

Gubernator potarł niezbyt dokładnie  
ogoloną szczękę i rzucił Elise  
powątpiewające

spojrzenie.

- No nie wiem.

- Widzi pan, to nie jest zwykły Natchez,  
ale prawowity syn zmarłego hrabiego de

Combours - choć zrzekł się tytułu na  
korzyść przyrodniego brata - więc  
pewnie żywi jakieś

uczucia wobec Francuzów.

- To wszystko prawda?

- Małżeństwo jego ojca i Indianki zostało odnotowane w rejestrach kościelnych,

sprawdziłam to. Oczywiście, niepokojenie jego przyrodniego brata, młodego hrabiego, byłoby

bardzo nie na miejscu, lecz z drugiej strony, nie sposób zaprzeczyć, że Reynaud Chavalier jest

szlachcicem.

- Rozumiem.

- O ile się orientuję, jego związki z



rodziną we Francji są dość bliskie.  
Istnieje zatem

możliwość, że młody hrabia zainteresuje się losem swego przyrodniego brata, któremu winien

jest wdzięczność. Gdyby Reynaud Chavalier zginął na Santo Domingo, ściągnęłoby to na

pana nieprzyjemności ze strony dworu. Zwłaszcza że, jak głoszą plotki, kolonia wkrótce

wróci do korony. Nie sądzi pan, że z wielu względów byłoby lepiej, gdyby ten człowiek

znajdował się wówczas w Luizjanie?

Perier wpatrywał się w nią, a jego spojrzenie nie było już współczujące.

- Potrafi pani być bardzo przekonująca, madame Laffont.

- No cóż, dziękuję bardzo, gubernatorze Perier - odparła Elise, uśmiechając się.

Wygrała!

Sekretarz gubernatora udał się z nią do długiego budynku z pokrytych tynkiem cegieł,

w którym mieściło się więzienie. Miał z sobą rozkaz napisany w pośpiechu przez

Periera. -

Okazał go dowódcy straży. Kapitan przeczytał dokument, uniósł brwi, a potem wykrzyknął

jakieś nazwisko. Po chwili zjawił się dozorca więzienny, a za nim dwóch strażników.

Zapoznawszy się z rozkazem, odmaszerowali, by przyprowadzić więźnia. Elise wbiła wzrok

w ścianę przed sobą, ignorując zaciekawione spojrzenia mężczyzn oraz ich gadaninę i z

całych sił starała się zapanować nad

sobą.

Usłyszała rytmiczne pobrzękiwanie łańcuchów. Pojawił się strażnik z muszkietem

gotowym do strzału. Tuż za nim do pokoju wszedł Reynaud, pochylając się, by nie uderzyć

głową o framugę drzwi. Na widok Elise zatrzymał się gwałtownie, tak że idący z tyłu strażnik

wpadł na więźnia, zaklął i popchnął go do przodu.

Elise musiała przygryźć wargi, aby nie krzyknąć na strażnika, nakazując mu, by

nie

tykał więźnia. Stojący obok niej sekretarz skinął na kapitana. Oficer rozwinął arkusz i

monotonnym głosem odczytał rozkaz, a potem zwinął papier i podał Elise.

Wzięła dokument do ręki, jakby był czymś niezwykle cennym. Przełknęła ślinę i

uniosła wysoko brodę.

- Jak sędzę, wszystko jest w porządku?

- Tak, madame Laffont.

- Zabieram więc więźnia.

- Jak pani sobie życzy. Dla bezpieczeństwa będą pani towarzyszyli dwaj strażnicy.

- Doskonale. Jestem gotowa. -  
Odwróciła się do Reynauda. Z  
najwyższym trudem,

starając się zachować obojętny wyraz  
twarzy, zapytała: - Rozumiesz, że jesteś  
teraz moim

niewolnikiem?

- Rozumiem.

Jego głos brzmiał chrapliwie, jak gdyby

dawno się nim nie posługiwał, ale w  
jego

szarych oczach, kiedy spojrzął na nią,  
dostrzegła niepewność zmieszana z  
niechętnym

podziwem.

- Będiesz szedł trzy kroki za mną. -  
Elise odwróciła się do kapitana i  
sekretarza

gubernatora. - Miłego dnia, panowie.

Wypadła z więzienia, nie oglądając się  
za siebie. Pobrząkiwanie łańcuchów i  
szuranie

stóp mówiło jej, że Reynaud i strażnicy podążają za nią.

Było już prawie południe, uzyskanie odpowiednich podpisów i pieczętek zajęło

bowiem sporo czasu. Na szczęście na ulicy nie było wielu przechodniów. Od strony jeziora

Pontchartrain wiał lodowaty wiatr. Elise otuliła się płaszczem. Nie przyśpieszyła jednak

kroku, ponieważ Reynaud nie nadążyłby za nią.

Zastanawiała się, o czym on teraz myśli,



ile zrozumiał z tego, co się wydarzyło.  
Czy

będzie zadowolony? A może wolałby  
nie rozstawać się z Wielkim Słońcem i

współtowarzyszami? Czy jest gotów  
zrobić to, co przyrzekła w jego imieniu,  
to znaczy

zapomnieć o wojnie z Francuzami? A  
może uczyni z niej kłamczynię i  
przyłączy się do

Natchezów pozostających jeszcze na  
wolności? No cóż, wkrótce wszystko  
będzie jasne.

W domu powitał ich St. Amant. Stał

odwrócony plecami do kominka, a obok na małej

sofie siedziała Helene. Kiedy Elise weszła do pokoju, odwrócił się ku niej i otworzył usta,

jakby chciał coś powiedzieć, a gdy zobaczył Reynauda, rzucił jej pełne podziwu spojrzenie i

wyciągnął rękę w powitalnym geście.

- Witaj w moim domu - powiedział. -  
Możecie zdjąć łańcuchy - polecił strażnikom.

Strażnicy spojrzeli po sobie, a potem starszy z nich pochylił głowę w ukłonie.

- Jak pan sobie życzy, m'sieu, ale czy jest pan pewny, że to rozsądne?

- Najzupełniej. - A kiedy nadal się ociągali, dodał: Albo sami otworzycie te kajdany,

albo rozbiję zamki. Milie tam wszystko jedno, ale może wolelibyście zabrać je ze sobą.

- Tak, m'sieu - powiedział strażnik i ostrożnie zbliżył się do więźnia. Rozkuł krępujące

go więzy i szybko odsunął się, trzymając w dłoni łańcuchy.

Elise przyglądała się, jak Reynaud

rozciera nadgarstek, czerwony od rdzy i zakrzepłej

krwi.

- Możecie odejść - powiedziała zimno.

A kiedy wreszcie wyszli, rzucając przez ramię zaciekawione spojrzenia, Helene wstała

i podeszła do Reynauda.

- Ja także witam pana w naszym domu - powiedziała. - Jest do pańskiej dyspozycji,

tak jak kiedyś pański dom dla mnie. A teraz, co wolałby pan najpierw: mocny

trunek, gorące

jedzenie czy ciepłą kąpiel?

Leniwy uśmiech rozciągnął pełne,  
wyraziste wargi Reynauda:

- Wszystko naraz, jeśli można.

Helene skinęła głową i St. Amant  
napełnił szklaneczkę rumem.

- Za chwilę będzie pan mógł skorzystać  
z kąpeli w pokoju Elise - ciągnęła  
Helene - a

ja tymczasem przygotuję coś do  
jedzenia.

Kiedy drzwi zamknęły się za pokojówką, która przyniosła ostatnie naczynie z gorącą

wodą, w pokoju zapadła cisza. Ogień płonący na palenisku zdawał się trzeszczeć zbyt głośno,

natrętnie. Za oknem pociemniało i zaczął padać deszcz. Zrobiło się tak zimno, że woda w

drewnianej balii parowała.

Elise uświadomiła sobie, że dotąd nie zdjęła płaszcza.

Odwróciwszy się od Reynauda, zsunęła kaptur i rozpięła sprzączkę, gmerając

przy niej

tak niezdarnie, iż ciężkie aksamitne okrycie o mało nie spadło na podłogę. Nic dziwnego, jest

trochę roztrzęsiona po rozmowie z gubernatorem, wmawiała sobie, choć dobrze wiedziała, że

pryczyna zdenerwowania leży zupełnie gdzie indziej. Odłożyła płaszcz na cyprysową szafkę

i spojrzała na Reynauda.

Przyglądał się Elise, jakby nigdy dotąd jej nie widział lub nie mógł uwierzyć, że ona

naprawdę tu jest. Na dłuższą chwilę  
zatonęła spojrzeniem w jego szarych  
oczach, a kiedy

odwróciła wzrok, poczuła w środku  
drżenie, spowodowane strachem,  
oczekiwaniem, a może

bardziej pierwotnym uczuciem, którego  
nie potrafiła nazwać.

Machnęła gwałtownie ręką, wskazując  
na balię.

- Co prawda, nie jest to potok St.  
Catherine, lecz chwilowo nie mamy  
niczego

lepszego.



- To w zupełności wystarczy.

Nie spuszczać z niej wzroku, zerwał z siebie sztylpy i mokasyny, a potem

spódniczkę. Jednym płynnym ruchem wszedł do balii i ukląkł w wodzie.

Sięgnął po leżące na

krześle obok ręcznika mydło i czystą szmatkę i szybkimi, oszczędnymi ruchami zaczął

namydlać ciało.

Za pozwoleniem St. Amanta Elise wybrała dla Reynauda ubrania z jego szafy i

położyła w nogach łóżka. Odwrócona tyłem, wygładzała już i tak doskonale gładki rękaw

koszuli.

- Jak udało ci się to przeprowadzić? - zapytał, trąc energicznie plamy od rdzy na

przegubach.

Uśmiechnęła się do niego przez ramię.

- Poświęcając twoje dobre imię, obawiam się.

- Tak jakbym je miał - stwierdził z ponurym rozbawieniem. - Ale mów

dalej.

Oparła się o łóżko i opowiedziała wszystko najlepiej, jak potrafiła. Jednak, chociaż

starła się przedstawić wydarzenia logicznie i we właściwym porządku, nawet dla niej

opowieść brzmiała chaotycznie, a fakty nie wiązały się ze sobą. Mimo to Reynaud zdawał się

wszystko rozumieć.

- Załatwiłaś to po mistrzowsku -  
powiedział spokojnie i z podejrzaną  
słodyczą w

głosie. - Więc teraz jestem niewolnikiem zdanym na twoją łaskę?

Nigdy dotąd nie widziała bardziej bezradnego mężczyzny, pomyślała, spoglądając na

Reynauda spod opuszczonych rzęs. Blask ognia odbijał się na jego miedzianozłotej skórze,

podkreślając moc drzemiącą w mięśniach, a także, jak sobie uświadomiła, nieco kanciaste

piękno męskiego ciała.

- Czy potrafisz zapomnieć o wojnie Natchezów? zmieniła temat.

Reynaud natychmiast spowaźniał.

- Niedawno umarł pewien człowiek. W plemieniu Natchezów pełnił funkcję strażnika

świątynnego - dbał o to, by święty ogień pochodzący ze słońca, podtrzymywany przez

poprzednie pokolenia, nie wygasł. Na łożu śmierci wyznał, że wiele lat temu dopuścił, by

święty ogień zgasł. Przerażony, ponieważ taki postępek był karany śmiercią, przyniósł

zwykły żar z paleniska i na nowo

rozpalił ogień w świątyni. Kiedy Natchezowie usłyszeli tę

historię, zrozumieli, dlaczego stracili ziemię i ponieśli klęskę w wojnie z Francuzami. To była

kara za to, że utracili święty ogień. Dlatego mój brat, Wielkie Słońce, poddał się Francuzom.

Dni Natchezów minęły. Nie ma o co walczyć.

- Wierzysz w to, tak jak twój brat?

- Teraz, kiedy już nie muszę przewodzić plemieniu, nie ma to znaczenia.

Oczywiście, był zbyt cywilizowany, by wierzyć w tego rodzaju legendy, mimo to nie

miała pewności. Umysł tego mężczyzny krył głębie, do których nie potrafiła dotrzeć.

- A co z tymi, którzy nadal przebywają na wolności?

- Ci, którzy uznali swoje życie za stracone, będą chcieli sprzedać je jak najdrożej.

Pozostali wymieszają krew z Czikasawami, Quachita, a może nawet Czoktawami, i tak będą

żyć.

- Słyszeliśmy, że Ścieżce Niedźwiedzia udało się zbiec.

- Tak, spodziewam się, że zbierze ludzi i zaatakuje fort Saint Jean Baptiste. O niczym

innym nie mówił. Ale to błąd porywać się na St. Denisa. On nie walczy jak Francuz, lecz jak

Indianin.

- Musimy ostrzec komendanta!

- Już dawno to zrobiłem.



- Nie wiedziałam, że porozumiewałeś się z kimś z fortu - powiedziała z wahaniem.

- Wydawało mi się, że tak będzie lepiej.

Wypłukał włosy, przeczesał je palcami, a potem wstał, rozchlapując wodę, wyszedł z

balii i zaczął się energicznie wycierać ręcznikiem.

- Lepiej dla kogo? - zapytała Elise podejrzenie spokojnym tonem, nie spuszczając z

niego wzroku.

Reynaud odłożył ręcznik i podszedł do niej.

- Dla ciebie, ponieważ wiadomości ode mnie otwierałyby stare rany, a także dla mnie,

ponieważ w ten sposób łatwiej mi było trzymać się od ciebie z daleka, tak jak po - winienem.

A tymczasem ,ty zaaranżowałaś wszystko tak, że w świetle prawa jestem z tobą związany.

Dlaczego?

- Czy to właśnie cię niepokoi? -  
zapytała, odpierając impuls nakazujący

cofnąć się, w

miarę jak on podchodził coraz bliżej.

Wyciągnął rękę i delikatnie pogładził ją po policzku ciepłymi palcami.

- Nie. Jestem twoim niewolnikiem od pierwszej chwili, gdy zobaczyłem cię w

kwaterze komendanta Cheparta. Wzięłaś w dłonie moje serce i moje życie, gdy pierwszy raz

dotknęłaś mnie pod zimowym niebem. Jesteś moją żoną i w tobie jest słońce, które mnie

ogrzewa i uzdrawia. W tobie bije

źródło, z którego czerpię radość. Jestem twój.

- Reynaudzie - wyszeptała przez zaciśnięte gardło.

- A jednak chciałbym wiedzieć, dlaczego zadałaś sobie tyle trudu, bym z jednej

niewoli popadł w drugą?

- Już raz mnie zostawiłeś, postarałam się, żebyś nie mógł zrobić tego znowu.

- Tylko dlatego ...

Położyła mu dłoń na ustach.

- Wiem, mimo to czułam się tak, jakby jakaś część mnie umarła. Kocham cię,

Reynaudzie, tak jak kochałam cię - nie wiedząc o tym - od chwili, kiedy Wielkie Słońce dał ci

mnie za żonę.

- Mój wścibski brat, który sądził, że wie, co jest dla nas najlepsze.

- Bo wiedział.

Milczeli, wspominając wodza Natchezów, St. Cosme i wszystkich, którzy wkrótce

odpłyną na Santo Domingo. W końcu

Elise powiedziała:

- Co do twojej matki, to może uda się znaleźć sposób, aby po jakimś czasie zabrać ją z

królewskich plantacji. Mogłaby zamieszkać z nami w domu nad rozlewiskiem Duc du Maine.

- Przyjęłabyś ją?

- Z radością, ale czy Madeleine ...

- Myślę, że tak. Choć zgodnie z obyczajami Natchezów to teraz twój dom -

przypomniał.

- Nasz - poprawiła go, potrząsając głową. - A pewnego dnia być może uda nam się

wrócić do mojego ... do naszego domu w pobliżu fortu Rosalie i odbudować go. Moglibyśmy

dzielić czas pomiędzy te dwa miejsca.

- Ach, Elise, nie potrafię wyrazić, jak bardzo cię kocham. Gdybym nie kochał cię do

tej pory, to pokochałbym teraz. - Silne ramiona Reynauda otoczyły ją, przyciągnęły do nagiej,

poznaczonej tatuażem piersi i gorącego

ciała. - A skoro tak właśnie sprawa  
wygląda i

ponieważ jesteśmy razem, choć nie  
przypuszczaliśmy, że jeszcze  
kiedykolwiek będzie to

możliwe, czy masz dla mnie jakieś  
rozkazy, pani?

- Tak - szepnęła, wytrzymując jego  
ciemnoszare spojrzenie. - Kochaj mnie,  
kochaj

mnie mocno i długo. Na zawsze.

Ciepłe oczy Reynauda pełne były  
obietnic, gdy stanowcza odpowiedź  
rozbrzmiała



echem w jego mocnej piersi:

- Elise, chirie, untsaya athlu, żyję, aby ci służyć.